



**HARLAN  
COBEN**

**Mistyfikacja**

**HARLAN  
COBEN**

# Mistyfikacja

Z angielskiego przełożył  
KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI



Wydanie elektroniczne

## HARLAN COBEN

Współczesny pisarz amerykański, który uznanie w kręgu miłośników literatury sensacyjnej zdobył trzecią książką **Bez skrupułów**, opublikowaną w 1995. Jako pierwszy współczesny autor otrzymał trzy prestiżowe nagrody literackie przyznawane w kategorii powieści kryminalnej, w tym najważniejszą – Edgar Poe Award. Światowa popularność Cobena zaczęła się w 2001 od thrillera **Nie mów nikomu**, bestsellera w USA i Europie (zekranizowanego w 2006 przez Guillaume’a Caneta; obecnie w USA powstaje remake). Kolejne powieści, za które otrzymał wielomilionowe zaliczki od wydawców, m.in. **Bez pożegnania**, **Niewinny**, **W głębi lasu**, **Zaginiona**, **Na gorącym uczynku**, **Wszyscy mamy tajemnice**, **Schronienie**, **Zostań przy mnie** i *Seconds Away* uczyniły go megagwiazdą gatunku i jednym z najchętniej czytanych autorów, także w Polsce. W marcu 2013 ukazał się jego nowy thriller *Six Years*.

[www.harlancoben.com](http://www.harlancoben.com)

*Tego autora*

NIE MÓW NIKOMU  
BEZ POŻEGNANIA  
JEDYNA SZANSA  
TYLKO JEDNO SPOJRZENIE  
NIEWINNY  
W GŁĘBI LASU  
ZACHOWAJ SPOKÓJ  
MISTYFIKACJA  
NA GORĄCYM UCZYNKU  
KLINIKA ŚMIERCI  
ZOSTAŃ PRZY MNIE  
SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ

Jako współautor

AŻ ŚMIERĆ NAS ROZŁĄCZY  
NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2011

**z Myronem Bolitarem**

BEZ SKRUPUŁÓW  
KRÓTKA PIŁKA  
BEZ ŚLADU  
BŁĘKITNA KREW  
JEDEN FAŁSZYWY RUCH  
OSTATNI SZCZEGÓŁ  
NAJCZARNIEJSZY STRACH  
OBIECAJ MI  
ZAGINIONA  
WSZYSCY MAMY TAJEMNICE  
SCHRONIENIE  
KILKA SEKUND OD ŚMIERCI

Tytuł oryginału:  
PLAY DEAD

Copyright © Harlan Coben 1990, 1993  
Introduction copyright © Harlan Coben 2010  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Krzysztof Sokołowski 2010

Redakcja: Jacek Ring

Zdjęcie na okładce: Jun Mu/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-085-4

Wydawca  
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ  
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa  
[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

*Pamięci ojca,  
Carla Geralda Cobena,  
najlepszego taty na świecie*

## Wstęp

No tak... jeśli to pierwsza moja książka, którą trzymasz w ręku, odłóż ją. Zwróć. Weź inną. Nie ma sprawy, ja poczekam.

Ale jeśli ciągle tu jesteś, wiedz, że nie czytałem *Mistyfikacji* od prawie dwudziestu lat. Nie chciałem poprawiać tej książki i sprzedawać jej jako nowej. Nienawidzę, kiedy pisarze to robią. Na dobre i na złe jest to ta powieść, którą napisałem, mając zaledwie dwadzieścia parę lat: naiwny dzieciak pracujący w turystyce i zastanawiający się, czy nie powinien iść śladem ojca i brata do (przeróżające, prawda?) szkoły prawniczej.

Jestem niesprawiedliwy, ale czyż wszyscy nie jesteśmy niesprawiedliwi dla naszych pierwszych prób? Pamiętasz esej, który napisałeś w szkole, ten oceniony na szóstkę, ten nazwany przez nauczyciela „natchnionym”? Pewnego dnia szperasz w szufladzie, znajdujesz go, czytasz, serce ci zamiera i mówisz sobie: „Jezu, o czym ja wtedy myślałem!”.

Tak właśnie bywa z pierwszymi powieściami.

Przez lata pożyczałem stąd to i owo: nazwiska, miejsca, nawet kilka postaci. Uważni czytelnicy rozpoznają je. Mam nadzieję, że się uśmiechną.

Na koniec: mimo wszelkich jej wad uwielbiam tę książkę. Jest w niej energia i skłonność do podejmowania ryzyka, których, być może, już mi brak. Mówi się, że młodzi dostają młodość na zmarnowanie. Nie jestem już tym człowiekiem co kiedys, ale to w porządku. Wszyscy się zmieniamy, zmienia się nasza praca, zmieniają zamiłowania. To dobrze.

Miłej lektury.

Harlan Coben, luty 2010

# Prolog

**29 MAJA 1960**

Wiedział, że byłoby błędem przyglądanie się jej, kiedy mówiła. Słowa na niego nie działały, jej twarz i ciało – wręcz przeciwnie.

Zamknęła drzwi, a Sinclair odwrócił się i wyjrzał przez okno. Dzień był ciepły, studenci z przyjemnością leniuchowali na słońcu. Niektórzy grali w rekreacyjny futbol, ale większość leżała na kocach bez ruchu. Pary tuliły się do siebie, zapomniawszy o rozrzuconych wokół podręcznikach, wątpliwej wartości dowodach na to, że może kiedyś zaczną się uczyć.

Blask złotego pasma zwrócił jego uwagę na blond główkę. Przyjrzał się jej bliżej; tak, to ta piękność z drugiego roku, z jego wykładu o czternastej. Otaczało ją kilku chłopców, walczyli pomiędzy sobą o to, który zwróci jej uwagę, a każdy miał nadzieję na zdobycie najbardziej obiecującego uśmiechu. Stereo z jednego z pokojów zalewało zielony uniwersytecki plac ostatnim singlem Buddy'ego Holly. Pożegnał spojrzeniem blondynkę, nawet w jednej dziesiątej nie tak atrakcyjną jak brunetka, która stała teraz tuż za nim.

– I co? – spytał.

Oszałamiająca piękność z jego pokoju skinęła głową, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że gospodarz na nią nie patrzy.

– Tak.

Sinclair westchnął ciężko. Część chłopców zza okna opuściła blondynkę. Byli tak zawiedzeni, jakby przegrali w jakichś zawodach. I zapewne przegrali.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna.

Skinął głową, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego.

– Co masz zamiar zrobić?

Piękność spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – powiedziała, nie kryjąc irytacji – ale odnoszę wrażenie, że ty też jesteś w to wmieszany.

Znów skinął głową bez powodu. Kolejny chłopiec wyleciał z ringu, przy boku blondynki pozostali już tylko dwaj, toczący pojedynek o jej względy. I nadal grano w futbol. Wydawało się, że piłka leci powoli w wilgotnym powietrzu. Nagi do pasa chłopak wyciągnął do niej ręce, już miał ją złapać, ale wirowała szybko i tylko odbiła mu się od palców. Upadła na ziemię.

Sinclair skoncentrował się na grze. Wręcz czuł rozczarowanie chłopaka. Robił, co mógł, by nie poddać się władzy, jaką kobieta sprawowała nad jego umysłem.



Machinalnie znów zerknął na blondynkę. Ona wybrała zwycięzcę. Przegrany opuścił wzrok, wstał i odszedł ponury.

– Mógłbyś odwrócić się i spojrzeć mi w oczy?

Uśmiechnął się. Nie był aż tak głupi, by się odwrócić, zdać na łaskę jej najgroźniejszej broni, pozwolić, by rzuciła na niego zmysłowy czar. Spojrzał na chłopaka, któremu udało się zdobyć blondynkę. Nawet z okna na piętrze widział w jego oczach pożądanie. Widział, jak przytula dziewczynę, całuje ją, przesuwa dłońmi po jej ciele.

Zwycięzca bierze wszystko.

Skupił uwagę na bibliotece. Miał wrażenie, że narusza prywatność młodych ludzi teraz, kiedy ich zażyłość stawała się coraz bliższa. Włożył do ust papierosa.

– Wyjdź.

– Co?

– Wyjdź. Możesz robić, co ci się podoba, ale tu nie wracaj. Nigdy.

– Nie mówisz tego poważnie! Nie możesz!

– Mogę. – Zapalił papierosa. – I mówię.

– Ale ja chciałam powiedzieć...

– Nie mów nic nikomu. Sprawy i tak zaszły za daleko.

Zapadła cisza, a kiedy brunetka znów się odezwała, jej błagalny ton zagrał mu na nerwach.

– Myślałam...

Zaciągnął się papierosem głęboko, jakby chciał go wypalić całego, od razu. Usłyszał ostry trzask. Blondynka powstrzymała zwycięzcę, któremu hormony kazały przekroczyć granicę niewinnych pieszczot.

– Myliłaś się. A teraz wyjdź.

– Sukinsyn – wyszeptała.

Sinclair skinął głową jeszcze raz, tym razem jednak wiedział dlaczego: w pełni zgadzał się z tym, co właśnie usłyszał.

– Wynoś się z mojego gabinetu.

– Sukinsyn – powtórzyła.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi i stukot wysokich obcasów na drewnianej podłodze. Najpiękniejsza kobieta, jaką znał, szła do wyjścia obrośniętego bluszczem budynku.

Wyjrzał przez okno, nie skupiając uwagi na niczym szczególnym; widział tylko zieloną masę, trawnik, rozmazane czerwone budynki. Szarpały nim wątpliwości: „co, jeśli...”, „co, jeśli...”, „co, jeśli...”.

Dobrze zrobiłem, dobrze zrobiłem, dobrze zrobiłem, dobrze...

Otworzył szeroko oczy. Wpadł w panikę. Musi ją znaleźć, musi powiedzieć jej, że nie to miał na myśli, tylko tak sobie powiedział, że... Już miał obrócić się w krześle, pobiec za nią, kiedy poczuł, jak coś zimnego dotyka tyłu jego głowy.

Coś, co wypełniło go całego chłodem.

– Sukinsyn.

W cichym letnim powietrzu huk wystrzału zabrzmiał wyjątkowo głośno.

## 17 CZERWCA 1989

Laura otworzyła okno. Na nagim ciele poczuła powiew tropikalnej bryzy. Zamknęła oczy; chłodny wietrzyk poruszający czubkami palm sprawiał, że na skórze czuła przyjemne mrowienie. Mięśnie jej nóg drżały. Odwróciła się w stronę łóżka, uśmiechnęła do Davida, mężczyzny, który wprowadził je w ten niebezpieczny stan.

– Dzień dobry, panie Baskin.

– Dzień? – David zerknął na stojący na nocnym stoliku zegarek. – Niewiele nam zostało tego dnia, pani Baskin. Niemal cały spędziliśmy w łóżku.

– Skarżysz się?

– Z całą pewnością nie, pani B.

– Więc nie będziesz miał nic przeciwko kilku dodatkowym ćwiczeniom?

– Co masz na myśli?

– Popływasz?

– Jestem wykończony. – David opadł bezwładnie na poduszki. – Nie zdołałbym wstać z łóżka, nawet gdyby ktoś je podpalił.

Laura uśmiechnęła się kusząco.

– To doskonale – powiedziała, powoli odwracając się od okna.

David wpatrywał się w nią zachwycony. Pamiętał, kiedy po raz pierwszy zobaczył to ciało, kiedy po raz pierwszy cały świat zobaczył to ciało. Było to niemal dziesięć lat temu i więcej niż osiem przed ich spotkaniem. Laura zadebiutowała jako siedemnastoletnia dziewczyna z okładki „Cosmopolitan”, ubrana w. a kto, do diabła, zwracał uwagę na ciuchy? Był wtedy na trzecim roku Uniwersytetu Michigan i nadal pamiętał, jak całej drużynie koszykówki opadły szczęki, kiedy chłopaki zobaczyły ten numer w kioskach w Indianie tuż przed ćwierćfinałami.

Udał panikę.

– Dokąd idziesz?

Laura uśmiechnęła się jeszcze drapieżniej.

– Do łóżka.

– Proszę, nie. – Wyciągnął ręce w obronnym geście. – Przez ciebie skończę w szpitalu.

Nie udało mu się jej zatrzymać.

– Witamina E – powiedział błagalnie. – Proszę.

Znów mu się nie udało.

– Zacznę krzyczeć, że mnie gwałcą.

- Krzycz.
- Na pomoc – wyszeptał.
- Spokojnie, Baskin. Nie zamierzam zrobić ci krzywdy.
- Naprawdę? – spytał, nie kryjąc rozczarowania.

Laura potrząsnęła głową i odwróciła się.

- Hej, poczekaj, dokąd idziesz?
- Do jacuzzi. Wzięłabym cię z sobą, ale wiem, jaki jesteś zmęczony.
- Właśnie łapię drugi oddech...
- Wracasz do formy w zdumiewającym tempie.
- Dziękuję, pani B.
- Ale nadal sporo ci brakuje.
- Tak? – zdziwił się David. – Przecież gra przeciw Lakersom nie jest aż tak

wyczerpująca.

- Musisz więcej ćwiczyć.
- Będę pracował, trenerko, obiecuję. Tylko powiedz mi, co mam zrobić.
- Jacuzzi – rozkazała Laura.

Narzuciła na ramiona jedwabny szlafroczek, częściowo okrywając nim wspaniałą figurę, która uczyniła ją najlepiej zarabiającą modelką, gdy jeszcze pracowała jako modelka; przeszła na wcześniejszą emeryturę przed czterema laty, mając lat dwadzieścia trzy. David odrzucił jedwabną pościel. Był wysoki, miał prawie metr dziewięćdziesiąt pięć, co czyniło go jednym z niższych zawodowych koszykarzy.

Laura przyjrzała mu się, nie ukrywając podziwu.

- Mówią, że zrewolucjonizowałeś grę. Nic dziwnego.
- To znaczy?

– Tyłek, Biała Błyskawico. Kobiety przychodzą oglądać, jak kręcisz tyłkiem na parkiecie.

- Przez ciebie czuję się taki bezwartościowy...

David wypełnił wodą okrągłą wannę, włączył bicz wodny, otworzył szampana i powoli zanurzył swe muskularne ciało. Laura nieśpiesznie zdejmowała szlafroczek. Tak można wyobrazić sobie raj. Żywa doskonałość.

Zadzwonił telefon.

Laura przewróciła oczami.

– Lepiej odbiorę – powiedziała z niechęcią. Zawiązała jedwabny pasek i wróciła do sypialni. David rozluźnił mięśnie, pozwalając nogom swobodnie unosić się w wodzie. Ciepłe prądy obmywały jego obolałe ciało, mięśnie miał przepracowane po ciężkich play-offach, choć sezon skończył się niemal miesiąc temu. Uśmiechnął się. Celtowie zdobyli puchar, więc był to dobry ból.

- Kto dzwonił? – spytał Laure, kiedy pojawiła się w łazience.

– Nikt.

– Nikt znalazł nas aż w Australii?

– To tylko Grupa Petersona.

– Grupa Petersona? – powtórzył. – Czy to nie ta firma, którą próbujesz namówić, żeby zajęła się linią Svengali w rejonie południowego Pacyfiku?

– Trafiłeś w dziesiątkę.

– I?

– No i chcą się dziś ze mną spotkać.

– O której?

– Nic z tego. Nie będzie spotkania.

– Co?

– Oznajmiłam, że nie mogę się z nimi spotkać, ponieważ spędzam tu mój miesiąc miodowy. Bo rozumiesz, mam bardzo zazdrosnego męża.

David westchnął głośno.

– Jeśli zmarnujesz tę szansę, twój zazdrosny mąż osobiście zło ci tyłek. Poza tym jak masz zamiar utrzymać męża na poziomie, do którego przywykł, marnując takie okazje?

Laura zrzuciła szlafrok i chociaż oglądał jej nagie ciało wielokrotnie od dwóch lat, bo zakochali się w sobie właśnie dwa lata temu, nadal się na nie gapił. Dołączyła do niego w kąpieli, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Patrzył, jak jej piersi giną powoli pod powierzchnią wody. Czarne, długie włosy otaczały niezwykle egzotyczno-europejską twarz.

– Nie obawiaj się. – Otworzyła błyszczące niebieskie oczy ozdobione plamkami srebra i szarości. Obrzuciła go twardym spojrzeniem. – Obiecuję cię, że zostaniesz otoczony wyjątkową opieką.

David potrząsnął głową.

– Co się stało z tą praktyczną, interesowną suką, w której się zakochałem?

Laura wsunęła stopę między jego nogi. Sprawdzała, co też się tam dzieje.

– Kocha, kiedy mówisz świństwa.

– Ale...

– Zapomnij, Baskin. Nie zostawię męża nawet na chwilę.

David jęknął.

– Słuchaj, mamy dla siebie całe trzy tygodnie. Jeśli przez trzy tygodnie będę spędzał z tobą dwadzieścia cztery godziny na dobę, oszaleję. Zrób to dla mnie i idź sobie... idź na spotkanie. Już zaczniesz być utrapieniem.

– Słodkie masz gadane. To przez nie wpadłam. – Laura pochyliła się, zaczęła masować jego potężne nogi. – Mówiłam ci kiedyś, jak mi się podobają?

– Często. A w ogóle to skąd te wszystkie komplementy? Chcesz, żeby mi od nich głowa spuchła?

Stopa zatoczyła mały krąg i zatrzymała się.

– W każdym razie coś spuchło.

David przekonująco udał wstrząśniętego.

– Co? Takie uwagi z ust zeszłorocznej kobiety interesów? Jestem oszołomiony, zawstydzony... i podniecony. Przede wszystkim podniecony.

Laura przytuliła się do niego, jej pełne, twarde piersi naparły na jego ciało.

– Więc musimy coś z tym zrobić.

– I zrobimy, ale pod warunkiem że potem umówisz się na spotkanie z grupą Petersona.

Miękkie usta dotknęły jego ucha.

– Czasami cię nie rozumiem – szepnęła. – Podobno mężczyźni czują się zagrożeni przez kobiety robiące karierę zawodową.

– Odnoszące wielkie sukcesy zawodowe – poprawił ją z dumą. – Gdybym był jednym z tych twoich facetów, rzuciłabyś mnie dawno temu.

– Nigdy – powiedziała Laura cicho. – A jeśli rzeczywiście się z nimi spotkam... jak wypełnisz sobie wolny czas?

David ujął jej pośladki mocnymi dłońmi, podniósł ją i przytulił; ustami niemal dotykał jej sutków.

– Rzucę kilka koszy. Miałaś rację, nie jestem w formie. Obiecujesz czy nie obiecujesz?

Laura czuła jego oddech na skórze.

– Ach, wy, mężczyźni! Bezwstydnie używacie ciała, by postawić na swoim.

– Obiecujesz?

Czuła go, twardego, tuż pod sobą. Pragnęła go aż do bólu. Drżała. Zaledwie udało się jej skinąć głową.

Opuścił ją na wzwiedzonego członka. Westchnęła, krzyknęła cicho. Chwyciła go za głowę. Kołysała się w przód i w tył, szarpała go za włosy, tuliła jego twarz do piersi.



Laura wstała, delikatnie pocałowała śpiącego jeszcze Davida i wzięła prysznic. Wytarła długie, smukłe nogi, zaczęła się ubierać. Niemal się nie malowała, co najwyżej odrobinę, wokół oczu, jej oliwkowa cera nie potrzebowała kosmetyków, sama w sobie była darem bożym. Włożyła szary, bardzo profesjonalny kostium z metką jej firmy, Svengali. Zapięła białą bluzkę.

Miała pełne piersi, nie takie, jakie mężczyźni nazywają dużymi, ale kiedy dziesięć lat temu zaczęła pracować jako modelka, uznano je za nieodpowiadające klasyce, a ją za nadającą się do pokazywania kostiumów kąpielowych i, ewentualnie, twarzy. Agencja chciała, żeby bandażowała je przed wyjściem na wybieg. Odmówiła, twierdząc, że to jak polecenie mężczyznom, żeby przyklejali członek do uda. Potem pojawiła się w „Cosmo”... i nic nie mogło powstrzymać jej kariery. Tą twarzą i tym ciałem nie sposób było się znudzić; to ona, wraz z kilkoma koleżankami z branży, przede wszystkim Pauliną Porizkową i Elle Macpherson, przywróciła do łask dekolt... założywszy, że kiedyś wyszedł on z mody.

David przewrócił się z boku na bok, usiadł, spojrział na swą żonę od czterech dni.

– Transformacja zakończona.

– Jaka transformacja?

– Z nimfomanki w rekina biznesu. Aż mi żal tych facetów od Petersona.

Roześmiała się.

– To nie potrwa dłużej niż godzinę, może dwie – obiecała. Założyła kolczyki, podeszła, pocałowała męża. – Będziesz za mną tęsknił?

– Ani trochę.

– Sukinsyn.

David odrzucił koc. Wstał.

– Całujesz matkę tymi ustami?

Przyjrzała się krytycznie jego umięśnionemu ciału, potrząsnęła głową.

– Nieprawdopodobne – powiedziała cicho, jakby do siebie. – Spodziewasz się, że zostawię taki skarb choćby na chwilę?

– Oho!

– Co?

– Problemy z transformacją, kapitanie. Wyczuwam kilka molekuł nimfomanki ukrytych za tą poważną, biznesową fasadą.

– Wyczuwasz prawidłowo.

– Lauro?

– Tak?

David ujął ją za rękę.

– Kocham cię – powiedział i oczy zaszyły mu mgłą. – Uczyniłaś mnie najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Laura przytuliła się do niego. Opuściła powieki.

– Ja też cię kocham, Davidzie. Nie mogłabym bez ciebie żyć.

– Starzej się ze mną, a obiecuję, że zawsze będziesz szczęśliwa.

– No to umowa stoi – powiedziała Laura łagodnie – i lepiej dla ciebie będzie, jeśli jej dotrzymasz.

– Na zawsze.

Pocałowała go, nie wiedząc, że ich miesiąc miodowy właśnie się skończył.

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry. – Laura uśmiechnęła się do recepcjonisty. Zatrzymali się w hotelu Reef Resort w Palm's Cove, niespełna czterdzieści kilometrów od Cairns w Australii. Ten prywatny ośrodek był niczym kawałek raju, był edenem z widokiem na Pacyfik, ukrytym wśród wiekowych palm i bujnego buszu tropikalnej północnej Australii. Wystarczyło wypłynąć łodzią w dowolnym kierunku, by zachwyconego człowieka oczarowały tęczne kolory australijskiej Wielkiej Rify Koralowej, arcydzieła natury powstałego z połączenia ostrych koralu i egzotycznego podmorskiego życia, podwodnego parku, który ludzkość jednocześnie badała i chroniła. Wystarczyło wyjść na spacer w dowolnym kierunku, a zachwycony człowiek przemierzał zielone tropikalne lasy z ich iskrzącymi się wodospadami, docierając aż do granicy słynnej australijskiej pustyni. Nie było takiego drugiego miejsca na całym wielkim świecie.

– Taksówka będzie za kilka minut, proszę pani – powiedział recepcjonista z ciężkim australijskim akcentem. – Mam nadzieję, że dobrze się państwo u nas czują, pani i mąż.

– Bardzo dobrze.

– Pięknie tu, prawda? – spytał z dumą. Jak większość tutejszych mieszkańców skórę miał brązową z odcieniem czerwieni od ciągłego przebywania na słońcu.

– Tak, rzeczywiście.

Recepcjonista postukał ołówkiem w blat, rozejrzał się po jaskrawym wnętrzu.

– Przepraszam, ale czy wolno mi zadać pani takie trochę osobiste pytanie?

– Chyba tak.

Mimo to recepcjonista potrzebował chwili, żeby się przemóc.

– Pani męża rozpoznałem od razu, z telewizji. Nawet tu, na krańcu świata, mamy telewizję i oglądamy najważniejsze mecze, zwłaszcza kiedy gra Boston Celtics. Ale pani też wydaje mi się strasznie znajoma. Jakby ze zdjęcia na okładce albo coś... mam rację?

– Jeśli chodzi panu o okładkę, to tak.

Laure zdumiewało zarówno to, jak wielki jest zasięg przynajmniej niektórych środków przekazu, jak i ludzka pamięć. Od czasu, kiedy jej zdjęcie zdobiło okładkę, minęły cztery lata, oczywiście jeśli nie liczyć listopadowego numeru „Business Weekly”.

– Wiedziałem, że muszę skądś panią znać. Ale proszę się nie obawiać, nic nikomu nie powiem. Nie pozwolę, by ktoś zakłócał spokój pani albo panu Baskinowi.

– Dziękuję.

Rozległ się krótki sygnał klaksonu.

– To z pewnością pani taksówka. Życzę miłego dnia.

– Z pewnością będzie miły.

Wyszła, przywitała się z kierowcą i usiadła z tyłu. Ustawiona na maksimum klimatyzacja działała tak sprawnie, że w samochodzie było niemal za zimno, ale po krótkim pobycie na słońcu tę zmianę można było uznać wyłącznie za pożądaną.

Laura odetchnęła. Patrzyła na tropikalne rośliny stojące się jedną ścianą zieleni, w miarę jak taksówka przyspieszała w drodze do miasta. Od czasu do czasu wśród tworów natury pojawiał się niewielki budynek, ale przez pierwsze dziesięć minut jazdy było ich zaledwie kilka: lekkie, małe domki, poczta, jakiś sklepik. Mocno ścisła katalog najnowszych produktów Svengali. Prawą nogą nieświadomie przytupywała ze zdenerwowania.

Zacząła pracować jako modelka, gdy miała zaledwie siedemnaście lat. Za debiutem w „Cosmo” poszły okładki w „Mademoiselle” i „Glamour” w tym samym miesiącu, potem w corocznym „Sports Illustrated”, poświęconym kostiumom kąpielowym; to dzięki temu magazynowi jej nazwisko stało się swego rodzaju firmą. Fotografie zrobiono o zachodzie słońca na australijskim Złotym Wybrzeżu, dobre osiemset kilometrów od Palm’s Cove. Przedstawiała Laurę brodzącą w sięgającej kolan wodzie, patrzącą w obiektyw, szesującą do tyłu ciemne włosy.

Miała na sobie czarny jednoczęściowy kostium bez ramiączek, doskonale uwydatniający jej ciało i nieokrywający pleców. To wydanie „Sports Illustrated” sprzedało się najlepiej w całej historii pisma.

Od tego momentu liczba okładek, na których gościła, i rozkładówek rosła w tempie proporcjonalnym do zawartości konta bankowego. Czasami Laura pojawiała się na okładce magazynu cztery, a nawet pięć miesięcy z rzędu, ale w odróżnieniu od innych nie zdarzyła się jej utrata popularności wynikająca ze znudzenia czytelnika. Z nią nie sposób było przesadzić. Oczekiwania publiczności się nie zmieniły.

Można to było uznać wyłącznie za bardzo dziwne. Jako dziecko Laura była gruba

i nieatrakcyjna. Koleżanki i koledzy z klasy kpili bezlitośnie z jej wagi, włosów w strąkach, grubych okularów, braku makijażu, sposobu ubierania się. Przezywali ją, ubliżali jej i śmiali się okrutnie, jak to dzieci. Werbalne ataki nie słabły, nie kończyły się. W kafeterii, na korytarzach, na boisku, na sali gimnastycznej trwały, niszcząc bezbronną ofiarę.

Jej dzieciństwo było prawdziwym piekłem.

Czasami grupka naprawdę popularnych dziewczyn zaciągała ją do lasku za boiskiem i biła, ale prześladowanie fizyczne nie wydawało się Laurze tak okrutne jak słowa. Ból po kuksańcu czy nawet kopnięciu odchodził, okrutne słowa pozostawały na zawsze.

Wtedy, dawno temu, Laura z płaczem wracała ze szkoły do mamy, która musiała być najcudowniejszą istotą na świecie, kobietą niezdolną zrozumieć, dlaczego jej córeczka nie jest ulubienicą klasy. Mary Simmons Ayars zawsze była niezwykle piękna i bardzo popularna. Wszystkie dziewczynki chciały być jej przyjaciółkami, wszyscy chłopcy chcieli nosić jej książki i może nawet trzymać ją za rękę.

Ojciec Laury, jej kochany, wspaniały tata, ciężko przeżywał to, co się działo. Świadomość, że jego córka spędza noce, płacząc w kącie ciemnej sypialni, rozdzierała serce doktora Jamesa Ayarsa. On też próbował pomóc, ale co ojcowie mogą zrobić w takiej sytuacji?

Raz, w siódmej klasie, doktor Ayars kupił jej drogą białą sukienkę z metką naprawdę dobrego projektanta. Laura pokochała ją od pierwszego wejrzenia. Była pewna, że sukienka zmieni całe jej życie. Wyglądała w niej ślicznie. Tak powiedział tata. Włoży ją do szkoły i te najbardziej popularne dziewczyny też uznają ją za ładną. Polubią ją, wszystkie, nawet Lisa Sommers, najładniejsza w klasie. Poproszą, żeby zjadła lunch z nimi, a nie jak zwykle w dalekim kącie kafeterii. W czasie przerwy zaproponują jej wspólną grę w klasy i już nie będzie stała z boku, sama, nie mając do kogo otworzyć ust. Kto wie, może Lisa Sommers po lekcjach zaprosi ją do siebie?

Laura była tak podniecona, że nie spała przez całą noc. Wstała bardzo wcześnie rano, wzięła prysznic, włożyła nową sukienkę. Starsza siostra, Gloria, naprawdę popularna wśród chłopców, pomogła jej się ubrać, wyszczotkowała włosy, zakręciła je i nawet zrobiła bardzo delikatny makijaż. Kiedy skończyła, cofnęła się i pozwoliła Laurze spojrzeć w lustro. Dziewczynka próbowała być krytyczna wobec siebie, ale nic nie mogła poradzić na to, że wyglądała ślicznie.

– Dobrze wyglądam? – spytała siostrę głosem pełnym nadziei.

Gloria przytuliła ją, pogładziła po głowie.

– Idealnie.

Zeszły na śniadanie. Ojciec powitał je uśmiechem.

– No, no, tylko spójrzcie na moją księżniczkę – powiedział do młodszej córki.

Laura roześmiała się szczęśliwa.

– Pięknie wyglądasz – orzekła matka.

– Nie doliczymy się dziś bójek na boisku – zażartowała tata.

– Chcesz, żebym odprowadziła cię do szkoły? – spytała Gloria.

– Byłoby wspaniale!



Szła do szkoły w towarzystwie Glorii, promieniejąc z radości. Zatrzymały się przy boisku, starsza siostra znów przytuliła młodszą. W jej ramionach Laura czuła się ciepło, bezpiecznie.

– Po szkole mam trening cheerleaderek – powiedziała Gloria. – Do zobaczenia wieczorem, w domu. Zgoda?

– Zgoda.

– Opowiesz mi, jak ci minął dzień.

Laura odprowadziła wzrokiem siostrę, schodzącą z boczem pagórka do budynku szkoły średniej, a potem spojrzała na swoje gimnazjum. Nie mogła się doczekać, co powiedzą koleżanki, kiedy zobaczą jej nowe wcielenie. Wreszcie, wreszcie miała mieć swój dzień. Odetchnęła głęboko i podeszła do grupy bawiących się koleżanek.

Pierwsze uwagi padły jeszcze przed dzwonkiem.

– Hej, patrzcie! Baryła przykryła się nowym namiotem!

Okrutnym komentarzom nie było końca.

– Ale wielki biały wieloryb!

– Hej, czterooki grubasie, dobrze, że jesteś biała. Możesz robić za ekran!

Lisa Sommers podeszła, przyjrzała się jej uważnie i zadarła nos.

– Jesteś obrzydliwa! – krzyknęła, nie kryjąc radości.

I ten straszny śmiech, śmiech, którego okrucieństwo raniło serce dziewczynki niczym ostre odłamki szkła.

Laura pobiegła do domu, płacząc, łzy ciekły jej po policzkach. Próbowwała dzielnie ukryć uczucia oraz rozdarcia sukienki, owoc starcia z Lisą na przerwie. Rodzice doskonale wyczuwają krzywdę swych dzieci i kiedy tata znalazł podartą sukienkę, rozgniewał się nie na żarty. Wpadł do gabinetu dyrektora jak burza, złożył skargę. Winne zostały ukarane. Co oczywiście zmieniło sytuację na gorsze: te najpopularniejsze znienawidziły Laurę jeszcze bardziej.

Choć w dzieciństwie przeżywała koszmar, Laura wiele czasu poświęcała nauce. Postanowiła sobie, że skoro nie może być popularna, nawet lubiana, to przynajmniej będzie mądra.

No i była jeszcze Gloria. Z perspektywy czasu wielokrotnie zastanawiała się, czy przeżyłaby te długie lata bez dwójki przyjaciół – podręczników i starszej siostry. Fizycznie była ona seksbombą, taką, której pożądają wszyscy dorastający chłopcy, ale serce miała wielkie, aż za wielkie. Kiedy Laura czuła, że jej świat się kończy, Gloria pocieszała ją ciepłymi słowami i uściskami, powtarzała, że wszystko będzie dobrze... i przynajmniej przez jakiś czas rzeczywiście było. Czasami nawet odwoływała randki tylko po to, by zostać w domu i pocieszać siostrzyczkę. Chodziły razem do kina, do sklepów, do parku, jeździły na rolkach. Laura wiedziała, że ma najwspanialszą siostrę na świecie. I kochała ją odpowiednio mocno.

To dlatego omal się nie załamała na wieść o tym, że Gloria uciekła z domu i była bliska popełnienia samobójstwa.

Metamorfozę fizyczną Laura przeszła w czasie letnich wakacji między drugą i trzecią klasą liceum. Owszem, ćwiczyła. Owszem, zaczęła nosić szkła kontaktowe, a także stosowała dietę (praktycznie w ogóle przestała jeść). Jednak to wszystko nie

wystarczało, by wyjaśnić zmiany. Mogło je przyspieszyć, ale zaszyby tak czy inaczej. Po prostu nadszedł właściwy czas. Rozkwitła, a w szkole nikt nie potrafił uwierzyć w to, co widzi. Wkrótce zwróciła na nią uwagę agencja modelek i tak się zaczęła jej kariera.

Laura nie od razu uwierzyła, że jest wystarczająco piękna, by zostać modelką. Ona, gruba i brzydka, modelką? Wolne żarty. Nic z tych rzeczy.

Nie była jednak ani ślepa, ani głupia. Potrafiła rozpoznać w lustrze to, o czym wszyscy mówili. Wkrótce przywykła do myśli, że jest atrakcyjna. Jakimś zwiariowanym zrządzeniem losu brzydkie dziecko zmieniło się w doskonale opłacaną supermodelkę. Naraz jej towarzystwo stało się czymś pożądanym, ludzie zaczęli ubierać się jak ona i koniecznie chcieli się z nią zaprzyjaźnić. Tylko dlatego, że była fizycznie atrakcyjna, ci, którzy kiedyś pluli na nią i kpili z niej, zaczęli ją uważać za kogoś wyjątkowego. Nauczyło ją to traktować motywy postępowania innych co najmniej podejrzliwie.

Okazało się, że dla niej praca modelki oznacza łatwe pieniądze. W wieku osiemnastu lat miała na koncie ponad pół miliona. A jednak to zajęcie niezbyt się jej podobało. Wprawdzie przedziwne godziny pracy wyczerpywały lub nużyły, ale poza tym trudno było uznać pracę za wymagającą. Pozowanie do serii zdjęć to przecież nie wyzwanie, jest raczej zwyczajnie nudne. Laura chciała dokonać czegoś większego, ważniejszego, ale świat zachowywał się tak, jakby zapomniał, że ma mózg. Kompletny absurd. Kiedy była brzydka i nosiła okulary, uważano ją za kujona, a kiedy stała się piękna, uznano, że musi mieć pusto w głowie.

W owych czasach rzadko uczestniczyła w sesjach wyjazdowych. Były tylko trzy: jedna w Australii i dwie na Riwierze Francuskiej. A to dlatego, że w odróżnieniu od wielu koleżanek po fachu nie rzuciła szkoły. Nie było to proste, ale udało jej się skończyć liceum, a cztery lata później Uniwersytet Tuftsa. Odebrała dyplom gotowa do wejścia w biznes mody i kosmetyków, jednak biznes był słabo przygotowany na jej atak. W czerwcu 1983 roku ukazało się jej ostatnie zdjęcie okładkowe; jako modelka przeszła na emeryturę w dojrzałym, wręcz poważnym wieku dwudziestu trzech lat. Pokażne oszczędności zainwestowała we własną firmę, Svengali, reklamowaną jako coś specjalnie dla aktywnych kobiet. Zakładała ona połączenie praktyczności, inteligencji i wyrafinowanej elegancji z kobiecością i zmysłowością. Slogan reklamowy brzmiał „Bądź swoją Svengali”.

Powiedzenie, że pomysł chwycił, byłoby największym niedomówieniem w świecie mody lat osiemdziesiątych. Krytycy początkowo szydzili z sukcesu modelki-bizneswoman, twierdząc, że to tylko jeden więcej kaprys losu i szczęście odwróci się od niej po kilku miesiącach. Dwa lata po promocji damskich ubrań i kosmetyków Laura rozszerzyła działalność na buty i perfumy. Mając dwadzieścia sześć lat, wprowadziła Svengali na giełdę, skupiając w swoim ręku większość akcji firmy i będąc dyrektorem naczelnym wartego wiele milionów konglomeratu.

Taksówka ostro skręciła w prawo.

– Peterson ma biura na Esplanade, prawda, panienko?

– Panienko? – Laura nie była w stanie powstrzymać się od śmiechu.

– To tylko takie wyrażenie – wyjaśnił taksówkarz. – Nie chciałem nikogo obrazić.

– Nie czuję się obrażona. Tak, to na Esplanade.

Oczywiście natychmiast pojawiły się naśladownictwa, jak chwasty próbujące zarosnąć jej dorodny kwiat. Konkurowały o odpady z bogatego stołu Svengali, szukały recepty na sukces Laury. Jak wiele podobnych chwastów zostały wyrwane, nim zdążyły się zakorzenić. Zaufana kadra kierownicza знаła sekret, którego konkurencja nie znała, a który czynił firmę jedyną w swoim rodzaju. Tym sekretem była Laura Ayars. To jej ciężka praca, determinacja, mądrość, styl i – tak! – ciepło kierowały działalnością Svengali w każdej fazie. Banał, owszem, ale jednak prawdziwy. Ta kobieta była swoją firmą.

Wszystko szło zgodnie z planem... póki nie poznała Davida Baskina.

Taksówka zwolniła, zatrzymała się.

– Jesteśmy na miejscu, kochana.



Hotel Pacific International w Cairns wcale nie znajdował się aż tak daleko od biura Petersona. Stał niedaleko centrum, po drugiej stronie ulicy i naprzeciw Marlin Jetty, gdzie kotwiczyła większość łodzi wycieczkowych i przeznaczonych dla nurków. Jako popularne miejsce wakacyjne przyciągał gości pragnących wprowadzić poznać australijskie tropiki, ale niegustujących w całkowitym odosobnieniu.

Gość z pokoju 607 nie przyjechał tu jednak na wakacje.

Wyglądał przez okno, ale nie dlatego, że widok zachwycał go swą oszałamiającą urodą. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Ważniejsze i straszne. Takie, które trzeba załatwić, choć konsekwencje będą tragiczne. Tak tragiczne, że nawet gość z pokoju 607 nie miał pojęcia o prawdziwym rozmiarze tragedii.

I trzeba je załatwić teraz. Już.

Gość oderwał wzrok od przepięknego widoku cieszącego oczy jego poprzedników, zachwycających się nim przez niezliczone godziny. Podszedł do telefonu. Na planowanie pozostało mu bardzo niewiele czasu. Podnosząc słuchawkę, zastanowił się jeszcze przelotnie, czy istnieje jakiegokolwiek inne wyjście.

Nie. Nie istniało.

Podniósł słuchawkę. Wybrał numer.

– Reef Resort. W czym mogę pomóc?

Gość przełknął ślinę, próbując opanować strach.

– Z panem Davidem Baskinem proszę.



Spotkanie trwało, nudne, lecz obiecujące. Pierwsze dwie godziny przebiegły względnie gładko, umowa była już praktycznie zawarta. Pozostały tylko zwyczajowe drobiazgi, które jednak koniecznie należało uprzątnąć z drogi. Laura zerknęła na zegarek. Było już jasne, że wróci później, niż zamierzała. Poprosiła o pozwolenie skorzystania z telefonu, przeprosiła obecnych i zadzwoniła do hotelu. W pokoju nikt

nie odpowiadał, poleciła więc, by połączono ją z recepcją.

W słuchawce rozległ się głos znajomego recepcjonisty.

– Pani mąż wyszedł kilka minut temu. Zostawił mi informację do przekazania.

– Mógłby pan przekazać mi ją teraz?

– Oczywiście. Proszę chwilę poczekać. – Usłyszała, jak recepcjonista rzuca słuchawkę na drewniany blat, rozległo się echo ciężkich kroków i głos. – Już mam. – Zaszeleścił papier.

– To... – powiedział recepcjonista z wahaniem – ...pani Baskin, to raczej osobista wiadomość.

– W porządku.

– Mam ją przeczytać?

– Przecież już pan ją zna.

– Co prawda, to prawda. – Mimo to recepcjonista niechętnie odczytywał słowa Davida. – „Wyszedłem na chwilę, zaraz wracam”. – Chrząknięcie. – „Czarny pas do pończoch i pończochy na łóżku. Włóż je i czekaj na mnie, mój...”. Hmmm... „mój mały seksy kociaku”.

Laura z trudem stłumiła śmiech.

– Bardzo panu dziękuję. Czy mógłby pan przekazać mężowi wiadomość ode mnie? Gdy tylko wróci?

– Wolałbym nie, proszę pani. To jednak raczej duży gość, chyba pani rozumie?

Tym razem po prostu musiała się roześmiać.

– Nie, nic takiego... niech pan mu tylko powie, że wrócę później, niż zamierzałam.

– To mogę zrobić. – Recepcjonista nie ukrywał ulgi.

– Tak, oczywiście, nie ma sprawy.

Laura odłożyła słuchawkę, odetchnęła głęboko i wróciła do stołu negocjacyjnego.



Dwie godziny później umowa została zawarta. Drobiazgi usunięto z drogi i już wkrótce, być może nawet przed sezonem bożonarodzeniowym, produkty Svengali miały zalać domy towarowe w Australii i Nowej Zelandii. Laura rozsiadła się wygodnie na miękkim siedzeniu taksówki. Uśmiechała się.

Koniec z interesami.

Gdy taksówka zatrzymała się przed jej hotelem, zapadał zmierzch, gasząc kolejne, nieliczne już promienie słońca nadal padające na Palm's Cove. Ale Laura nie czuła zmęczenia. Interesy dodawały jej energii... interesy i świadomość tego, że od Davida dzieli ją zaledwie kilka metrów, że David na nią czeka...

– Pani Baskin?

Znów recepcjonista. Podeszła do niego, uśmiechając się promiennie.

– Mam tu kolejny liścik od pani męża.

– Chce mi go pan przeczytać?

Recepcjonista roześmiał się i wręczył jej kopertę.

– Dziękuję za zaufanie, ale z tym już poradzi sobie pani sama.

– Rzeczywiście.

Laura rozdarła zaklejoną kopertę i przeczytała:

*Lauro, wracam wkrótce. Poszedłem popływać w oceanie.  
Zawsze będę cię kochał. Zawsze, pamiętaj.  
David*

Nieco zdziwiona Laura schowała kartkę papieru i poszła do pokoju.



Czarne pończochy leżały na łóżku.

Laura wsunęła w nie stopy i z wolna wciągnęła je na smukłe nogi. Rozpięła bluzkę, zdjęła ją powoli. Sięgnęła ramionami za plecy, rozpięła koronkowy stanik, pochyliła się i zsunęła go z ramion.

Włożyła pas. Przypięła do niego pończochy, wstała, spojrzała w lustro. A potem zrobiła coś, czego nie zrobiłby chyba nikt inny podziwiając tak wspaniały widok.

Roześmiała się.

Oszalałam przez tego mężczyznę, pomyślała, kręcąc głową. Doskonale pamiętała, kim była zaledwie dwa lata temu, zanim David wkroczył w jej życie. I pamiętała, że nie od razu przypadli sobie do gustu. Już raczej można powiedzieć, nie owijając w bawełnę, że ich pierwsze spotkanie było mniej więcej tak romantyczne jak zderzenie dwóch samochodów.

Było to w Bostonie, w wilgotny czerwcowy wieczór 1986 roku, na balu wydanym dla Boston Pops, jednym z tych wymagających półoficjalnych strojów – smokingu i muszki. Tłok był wręcz nieprawdopodobny. Każdy, kto należał do bostońskiej socjety, uważał swą obecność na tym balu za nieodzowną.

Laura nienawidziła podobnych okazji, nienawidziła powodów, dla których w nich uczestniczyła (a czuła, że musi), nienawidziła nieszczerych uśmiechów i nieszczerych komplementów, których nie szczędzili sobie goście. A jeszcze gorsi byli spotykani tam mężczyźni: próżni, natrętni, zarozumiali neoplayboye z ego tak wielkim, że przewyższało wyłącznie skrętnie skrywany brak pewności siebie. Na podobnych imprezach próbowano ją poderwać tak często i tak bezskutecznie, że sama sobie zaczynała się wydawać niezdojła. Z czasem reagowała na zaczepki coraz mniej uprzejmie, aż wreszcie jej zachowanie stało się po prostu niegrzeczne. Ale bywa, że tylko ostra riposta jest w stanie powstrzymać szarżującego byka.

Laura otoczyła się wysokim murem, była fortecą z fosą, w której pływają głodne rekiny. Wiedziała, że zarabia sobie na reputację zimnej suki, a także kobiety, która „wie, że jest na topie, i myśli, że jej gównem nie śmierdzi”. Znała te opinie, w jej przekonaniu nieprawdziwe. Nie robiła jednak nic, by się przed nimi bronić, ponieważ pomagały utrzymać w klatkach przynajmniej niektóre zwierzęta.

Na tym szczególnym przyjęciu stała akurat kilka kroków od bufetu, z niedowierzaniem w oczach obserwując szalenie eleganckich gości atakujących wykwintne dania jak głodujący w Bangladeszu. Odwróciła się wtedy... i wpadła na Davida.

– Przepraszam – powiedziała, nawet na niego nie patrząc.

– Ponury widok – powiedział David, przyglądając się wygłodzonym dzikusom przy bufecie. – Witamy w *Dniu Szarańczy*.

Laura skinęła głową i odsunęła się od niego. Zamierzała odejść jak najszybciej.

– Chwileczkę – zawołał za nią David. – Nie chcę udawać fana, ale... czy pani to Laura Ayars?

– Tak, to ja.

– Proszę pozwolić mi się przedstawić. Jestem David Baskin.

– Ten koszykarz?

– Ten sam. Kibicuje pani Celtom?

– Nie kibicuję, ale nie sposób, mieszkając w Bostonie, nie usłyszeć pańskiego nazwiska.

– Rumienię się skromnie.

– Oczywiście. Teraz proszę mi pozwolić...

– Już pani odchodzi? Więc nim się rozstaniemy, czy wolno mi powiedzieć, że wygląda dziś pani olśniewająco?

– Cóż za oryginalna kwestia, panie Baskin. – Głos Laury ociekał jadem.

– Proszę mi mówić po imieniu – powiedział wtedy spokojnie. – A tak dla porządku... ja nie wygłaszam kwestii. Można wiedzieć, dlaczego nie lubisz koszykówki? – spytał po chwili.

Typowy mięśniak, pomyślała Laura. Myśli, że Ziemia przestałaby się kręcić, gdyby banda dorosłych w końcu facetów nie biegła bez sensu najpierw w jedną, potem w drugą stronę, stękając i tak okropnie się pocąc. Z tym nie powinnam mieć kłopotów. Pewnie nie potrafi podtrzymać rozmowy, jeśli mówi się do niego pełnymi zdaniem.

– To nie do pomyślenia, prawda? – rozpoczęła. – Chodzi mi głównie o to, że nie do pomyślenia jest, przynajmniej dla ciebie, wyobrażenie sobie myślącego człowieka, nietęskniącego za widokiem analfabetów o mózdkach odwrotnie proporcjonalnych do wzrostu, próbujących wsadzić kulisty przedmiot w metalowy krąg.

Twarz mężczyzny pozostała kamiennie spokojna.

– Oho, trafiłem na czyjś kiepski nastrój. I takie długie zdanie... Imponujące. Była pani kiedyś w Boston Garden? Widziała Celtów w akcji?

Laura potrząsnęła głową, udając, że sama się nad sobą lituje.

– Nie. Chyba można o mnie powiedzieć, że dotąd nie żyłam. – Spojrzała na zegarek, ale nawet nie odczytała godziny. – Ojej, jak ten czas leci. Przyjemnie się gawędziło, ale niestety, muszę już...

– Nie musimy rozmawiać o koszykówce.

– Nie musimy? – zdziwiła się. Nadal kpiła z niego w żywe oczy. Ale nie robiło to na nim wrażenia. Uśmiechał się sympatycznie.

– Nie, nie musimy. Można mi wierzyć lub nie, ale potrafię rozmawiać o sprawach znacznie ważniejszych: ekonomii, polityce, pokoju na Bliskim Wschodzie... proszę wymienić temat. – Pstryknął palcami, uśmiechnął się szerzej. – Dlaczego nie mielibyśmy zająć się czymś wymagającym naprawdę wielkiego potencjału intelektualnego, na przykład pracą modelki? Ale nie. Chodzi mi głównie o to, że nie

do pomyślenia jest, przynajmniej dla ciebie, wyobrazenie sobie myślącego człowieka nietęskniącego za widokiem kobiet o mózdkach rozmiaru wprost proporcjonalnego do grubości ich tkanki tłuszczowej, usiłujących tak bardzo upodobnić się do manekinów, jak to tylko możliwe.

Ich oczy spotkały się na chwilę i to Laura pierwsza opuściła głowę. Podniosła ją niemal natychmiast i zobaczyła, że David uśmiecha się w sposób doskonale łagodzący uszczypliwość jego słów.

– Rozpromień się, Lauro – powiedział łagodnie; te słowa miała później słyszeć wielokrotnie. – Nie chciałem niczego więcej niż chwili rozmowy. Dużo czytałem o tobie i Svengali... tak, istnieją koszykarze umiejący czytać... i uznałem, że jesteś interesującą osobą, którą warto poznać. O niczym innym nie myślałem, ale z twoją urodą... pewnie weźmiesz to za kolejną kwestię. Ja cię nie winię, bo może nią jest.

Uklonił się lekko i odwrócił.

– Nie będę już przeszkadzał – powiedział. – Miłej zabawy.

Laura odprowadziła go wzrokiem, nienawidząc się za aż tak odpychające zachowanie i za to, że nie potrafi zaufać mężczyźnie, nawet jednemu mężczyźnie. A ten przejrzał ją, jakby potrafił zajrzeć wprost do jej głowy, odczytać myśli. Mimo wszystko... przecież do niej nie pasuje. Mięśniak? Też pomysł. Postanowiła zapomnieć o Davidzie Baskinie. Dziwne, ale nie mogła.

Teraz, w Australii, niemal naga Laura pochyliła się i spojrzała na zegarek.

Piętnaście po dziesiątej.

Odgłosy buszu przenikały przez noc pokrywającą okno ciemną zasłoną. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, już bardzo by się bała. Ale David był wspaniałym pływakiem, omal nie zakwalifikował się do reprezentacji olimpijskiej i, co ważniejsze, potrafił nieustannie zaskakiwać tych, którzy go znali, robiąc dokładnie to, czego spodziewali się najmniej. Między innymi za to kochały go media sportowe. Dziennikarze zbierali się po meczu pod jego szafką, bo to on miał zawsze na podorędziu powiedzenie, które doskonale nadawało się do zacytowania w porannych wydaniach. Był gwiazdą arogancką, lecz zawsze uprzejmą i zawsze gotową dowieść, że zasłużenie cieszy się reputacją nieprzewidywalnego.

Laura przykryła się kocem. Nocne powietrze było chłodne, pieściło skórę, lecz drażniło nerwy.

Mijały godziny, a wraz z nimi odchodziły w przeszłość tłumaczenia, pozwalające Laurze opanować strach i narastającą panikę.



Ubrała się już po północy, o wpół do pierwszej. Zeszła do holu. Dyżur pełnił znajomy recepcjonista; zastanowiła się nawet przelotnie, czy on kiedykolwiek sypia.

– Bardzo przepraszam – powiedziała – ale... widział pan może mojego męża?

– Pana Baskina? Nie, proszę pani. Nie widziałem go od czasu, kiedy poszedł popływać.

– Może powiedział coś, wychodząc?

– Nic a nic, proszę pani. Oddał mi tylko klucz i tę wiadomość, którą przekazałem.

Nawet na mnie nie spojrział.

– Recepcjonista dostrzegł błysk strachu w jej oczach. – Jeszcze się nie pokazał?

– Niestety, nie.

– Cóż, na pani miejscu bym się tym nie przejmował. Sądząc z gazet, pani towarzysz cieszy się reputacją człowieka... lubiącego przygody. Do rana wróci.

– No tak, z pewnością ma pan rację. – Laura westchnęła bez przekonania. Miała ochotę zacząć szukać Davida, ale szybko uświadomiła sobie, że w ten sposób niczego nie osiągnie, tylko chwilowo uspokoi się tym, że coś jednak robi, zamiast siedzieć w pokoju. Problem w tym, że samotna Amerykanka wędrująca po australijskim buszu w całkowitych ciemnościach nie jest jednak kompetentną ekipą poszukiwawczą. Najprawdopodobniej David pojawi się w hotelu cały i zdrowy dokładnie wtedy, kiedy ona ostatecznie zgubi się w dziczy.

Wróciła do pokoju, podejmując postanowienie, że nie wpadnie w panikę aż do rana.



Zegarek przy łóżku wskazał siódmą rano. Laura oficjalnie wpadła w panikę.



## 2

– Musi pani chwileczkę poczekać na połączenie.

– Dziękuję, poczekam.

Laura usiadła i wbiła wzrok w telefon. Przy tej różnicy czasu w Bostonie dochodziła dziewiąta wieczorem wczorajszego dnia i .T.C mógł jeszcze nie wrócić do domu. Formalnie kończył pracę trochę po ósmej, ale nie było dla niej tajemnicą, że często zostaje o wiele dłużej.

Jej dłonie drżały. Twarz miała zmęczoną, spuchniętą, oczy suche, spojrzenie udręczone po pozornie niekończącej się nocy, zakończonej tak niedawno. Wyjrzała przez okno. Słońce świeciło jasno, jego promienie i zegarek przy łóżku były jedynymi widocznymi oznakami tego, że wczoraj przeszło w dziś i że noc rzeczywiście ustąpiła porankowi. Ale dla niej trwała ona nadal, tak jak ściskający jej serce niczym imadło koszmar.

Na chwilę zamknęła oczy. Przypomniała sobie ten dzień, kiedy David po raz drugi wkroczył w jej życie. Zdarzyło się to trzy tygodnie po ich pierwszym spotkaniu na balu Boston Pops, a przez te trzy tygodnie ich krótka rozmowa drażniła ją, była jak tępy ból głowy, nigdy nieparalizujący, lecz zawsze obecny, nasilający się, gdy tylko próbowała zapomnieć.

Bez żadnego racjonalnego powodu (tak przynajmniej twierdziła) Laura przejrzała kilka poświęconych mu artykułów w prasie. I choć dziennikarze nie szczędzili wyrazów podziwu dla jego talentu, postawy na boisku i niezwykle pozytywnego wpływu na grę, dla niej znacznie bardziej fascynujące (no nie, nie „fascynujące” – powtarzała sobie – najwyżej „interesujące”) były rozsiane tu i ówdzie informacje na temat jego wychowania, doskonałych ocen na Uniwersytecie Michigan, okresie spędzonym w Europie jako stypendysta Rhodesa i bezinteresownej pracy z niepełnosprawnymi. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że czuje się dziwnie winna temu, jak go potraktowała, jakby zaciągnęła dług i musiała go kiedyś spłacić lub zostać mu coś winna na zawsze. Uznała, że miło byłoby spotkać go znowu i przeprosić, żeby nie myślał, że jest taka zimna i bezduszna.

Z tego powodu zaczęła akceptować zaproszenia na te przyjęcia i uroczystości towarzyskie, na których miał powód się pojawić. Sama oczywiście za nic nie przyznałaby, że David Baskin miał cokolwiek wspólnego ze sposobem, w jaki organizowała sobie życie towarzyskie. Upierałaby się do końca, że to tylko zbieg okoliczności. Svengali wymaga od niej zaangażowania, musi być widoczna i jeśli przy okazji spotka tego koszykarza, cóż... życie składa się z przypadków, prawda?

Ku jej głęboko ukrywanej konsternacji David uczestniczył w tego rodzaju wydarzeniach w sposób, można powiedzieć, symboliczny. Tyle że uśmiechał się

szeroko do ludzi otaczających go natychmiast, potrząsających jego dłonią i klepiących go po ramieniu. Laura czasami odnosiła wrażenie, że zauważa lekkie skrzywienie warg i nieznaczne pogardliwe spojrzenia, kiedy dotykali go ci szarlatani, ale równie dobrze mogła to sobie tylko wyobrażać.

W każdym razie nie podchodził do niej, nawet nie patrzył w jej stronę. W końcu Laura postanowiła zrobić coś naprawdę dziecinnego i kiedy raz zauważyła go przy barze, wykonała manewr nazywany przez nastolatki „strategicznym spacerkiem”, to znaczy poszła w jego stronę, manewrując tak, by się z nim zderzyć. I udało się. Tym razem zwrócił na nią uwagę. Uśmiechnął się serdecznie (a może nie tylko serdecznie? Może w tym uśmiechu było coś jeszcze? Kpina?) i usunął się jej z drogi bez słowa.

Laura wróciła do biura, gotując się ze złości. Wstydziała się za siebie, wyprowadzało ją z równowagi to zachowanie licealistki zakochanej w kapitanie szkolnej reprezentacji futbolu. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego zależy jej na kolejnej konfrontacji z Davidem. Czy tylko dlatego, że z poprzedniej to on wyszedł zwycięsko? Że zmusił ją, by przemyślała sobie zachowanie, które uważała za normalne, i działanie własnych mechanizmów obronnych? Czy też może rzeczywiście ją pociągał, choć raczej pasywnie, i stąd te elektryczne bodźce w mózgu? Nie wyglądał źle, to fakt, był nawet przystojny, choć w niekonwencjonalny sposób. Twarz i ciało miał ciemne, mocne, niczym drwał z reklamy piwa lite. Zielone oczy patrzyły na świat przyjacielsko i te schludnie przystrzyżone włosy... No dobrze, powiedzmy sobie, że rzeczywiście jest przystojny, a jednocześnie znacznie bardziej rzeczywisty i prawdziwy niż reklamowani jako „wspaniali mężczyźni” modele, z którymi zdarzyło się jej pracować.

Jednakże nawet jeśli Baskin nie pasował do stereotypu egoistycznego, niedojrzałego mięśniaka, to mimo wszystko był mięśniakiem, bohaterem uwielbianym przez niedojrzałych facetów w każdym wieku, gościem grającym w dziecinną grę i robiącym na boisku karierę. Był też niewątpliwie atletą – playboyem otoczonym przez pustogłowe cizie marzące o sławie i pokazaniu się w telewizji wraz z zasiadającymi na trybunach żonami. A Laura nie miała zamiaru okazać się cizią i kolejnym podbojem nieśmiertelnego herosa Celtów. Jej zdaniem David Baskin był antytezą prawdziwego mężczyzny, choć Laurze akurat nie zależało na związku z prawdziwym mężczyzną. W tej chwili w jej życiu nie było miejsca dla mężczyzny. Miała Svengali: cel w życiu, marzenie i partnera.

Odchyliła krzesło, oparła stopy na biurku. Jej prawa noga drżała jak zwykle, gdy była spięta lub pogrążona w myślach. Ojciec miał ten sam denerwujący zwyczaj. Oboje doprowadzali ludzi do szału, bo tak naprawdę nie było to zwykłe drżenie, tylko autentyczne potrząsanie. Kiedy ona lub tata naprawdę się przyłożyli, zaczynało wibrować krzesło, biurko, w końcu cały pokój, tak nieustępliwe były te ich nogi. Tych, którzy akurat znaleźli się blisko, widowisko to wyprowadzało z równowagi, a Laura, choć próbowała, nie umiała się opanować.

Teraz udało się jej nawet zrzucić uchwyt na długopis. Nie pofatygowała się, by go podnieść. Po kilku minutach drżenie nogi zdołało wygnąć jej z głowy myśli o koszykarzu, w czym niewątpliwie pomógł Marty Tribble, jej dyrektor marketingu,

wchodząc do gabinetu z szerokim uśmiechem na ustach.

– Właśnie dokonaliśmy reklamowego wyczynu roku – oznajmił.

Laura nigdy nie widziała go takiego. Marty pracował z nią od początku, od narodzin Svengali. Był typowym menedżerem, zawsze poważnym, praktycznym konserwatystą, zupełnie niepasującym do liberalnego i uchodzącego za niezbyt poważny biznesu. W firmie słychać z poczucia humoru tylko dlatego, że w ogólnej opinii nie miał go za grosz. Opowiedz Marty’emu dowcip, a doczekasz się reakcji takiej, jakbyś ten dowcip opowiedział szafce na akta. Był opoką biura, a nie człowiekiem, którego poruszałyby drobiazgi.

– O którym produkcie mówisz?

– O nowej linii.

– Obuwie codzienne i sportowe?

– Właśnie.

Ich oczy się spotkały. Laura musiała się uśmiechnąć.

– Siadaj i mów.

Zatyraną Marty (chciał, żeby mówiono mu „Martin”, więc na zawsze został Martym, właśnie z tego powodu) praktycznie wskoczył na krzesło; w tej chwili, w śródmiejskim biurze Svengali, nie było chyba drugiego tak żwawego pracownika.

– Na jesieni zaczynamy krajową kampanię telewizyjną. Przedstawimy klientom całą naszą nową linię.

Laura czekała na coś więcej, ale Marty umilkł i tylko się uśmiechał jak prowadzący teleturniej, który nie zamierza zdradzić prawdziwej odpowiedzi przed ostatnią reklamą. Nie wytrzymała.

– Słuchaj, przecież to nie jest coś, co mogłoby wstrząsnąć światem.

Tribble pochylił się w krzesło i przemówił wolno, dobitnie:

– A właśnie że jest... jeśli w twoim imieniu mówi sportowy idol dekady. Tym bardziej że ten idol nigdy nie zachwalał żadnego produktu.

– Czyli kto?

– David Baskin, alias Biała Błyskawica, supergwiazda Boston Celtics, trzykrotnie wybierany na Najbardziej Wartościowego Gracza ligi.

Jego słowa uderzyły ją z siłą ciosu.

– Baskin?

– Słyszałaś o nim?

– Oczywiście, że słyszałam, ale sam mówiłeś, że nie robi reklam.

– Wyjąwszy te dla niepełnosprawnych dzieci.

– Więc czemu my?

Tribble wzruszył ramionami.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem, ale tylko pomyśl... wystarczy, żebyśmy zmontowali reklamowy nalot, kiedy na jesieni zacznie się koszykarski sezon, i David Baskin wyniesie Svengali na swych szerokich ramionach na sam szczyt sportowego świata. Dzięki niemu rynek rozpozna nas błyskawicznie i natychmiast nam uwierzy. To się nie może nie udać. Powtarzam: ludzie go kochają!

– Jaki jest nasz następny krok?

Marty sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, w której zawsze trzymał komplet: wieczne pióro i ołówek Cross. Wyjął z niej dwa bilety.

– Dziś wieczorem idziemy do Boston Garden.

– Co?

– Idziemy na mecz Celtów z Nuggets. Po meczu podpisujemy umowę.

– Ale... dlaczego mamy iść na mecz?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Nie mam pojęcia, ale Baskin nalegał na to osobiście, z jakichś sobie tylko znanych powodów. Powiedział, że to wzbogaci twoją duszę czy coś.

– Żartujesz?

Tym razem Marty potrząsnął głową.

– To część układu.

– Hej, chwileczkę. Chcesz mi powiedzieć, że jeśli nie pójdę na mecz...

– Nici z umowy. Właśnie to chcę ci powiedzieć.

Laura znów odchyliła krzesło. Oparła ramiona na podłokietnikach, splotła palce, a jej prawa noga znów rozpoczęła ten swój denerwujący taniec. Nagle nieoczekiwanie uśmiechnęła się, a po chwili nawet zachichotała. Marty spojrzał na nią zaniepokojony.

– No więc, Lauro, co na to powiesz?

Przez chwilę w gabinecie panowało milczenie, a potem Laura spojrzała na swego dyrektora marketingu.

– No to gramy.



Pierwsze zetknięcie z Boston Garden było, bez przesady, szokujące. Raczej sceptycznie nastawiona Laura weszła do starej ohydnej budowli siedzącej okrakiem na North Station. Garden? Nazwać ogrodem starą, sypiącą się ruinę? Bostoński Ogród wyglądał bardziej na Bostońskie Więzienie. Większość hal sportowych w kraju to nowoczesne wieże z chromu i szkła, lśniące, wymuskane, wyposażone w klimatyzację i wyściełane krzesła na trybunach, ale nie ta drużyna Boston Celtics: spękana bryła sypiącego się betonu, śmierdząca zastarzałym piwskim, gorąca i duszna. Drewniane, twarde, niewygodne krzesła najeżone były groźnymi drzazgami. Laurze wszystko to razem kojarzyło się nie z wyczynowym sportem, lecz raczej powieścią Dickensa.

A potem miała szansę obejrzeć bostońskich kibiców wypełniających halę jak wierni kościół w bożonarodzeniowy ranek. Dla nich panująca tu atmosfera była rajem, aromat róż nie był potrzebny, a wygodniejsze, bardziej luksusowe krzesła po prostu nie istniały. Mogło się wydawać, że wszyscy ci ludzie uciekają od tego, co codzienne i wygodne, bo przyjemniejsze i wygodniejsze jest dla nich towarzystwo ich Celtów. To był prawdziwy Boston Garden, apoteoza milionów szkolnych sal gimnastycznych, podwórek i podjazdów do domów na całym świecie, miejsce, które wyobrażały sobie miliony dzieciaków; to tu rzucały za zwycięskie dwa, to tu przejmowały podanie mogące skończyć mecz wygraną. Podniosła wzrok na zardzewiałe belki konstrukcyjne dachu, z których zwieszały się flagi oznaczające zwycięstwa w sezonie i koszulki z numerami zarezerwowanymi dla pamiętnych graczy: medale na piersi

generała. Zapewne zabrzmiałoby to dziecinnie, ale to było historyczne miejsce, tak bostońskie jak obelisk na Bunker Hill i dom Paula Revere'a. Z jedną wielką różnicą: historia Celtów żyła, stale się zmieniała i pozostawała nieprzewidywalna, a drużyna zawsze była rozpieszczana i kochana przez swoje piękne miasto.

Rozgorączkowany tłum zerwał się na równe nogi: to gracze wychodzili na rozgrzewkę. Laura natychmiast dostrzegła Davida. Ze swego miejsca w trzecim rzędzie spróbowała pochwycić jego wzrok, ale nie, mogło się wydawać, że jest sam na parkiecie, że nie zwraca uwagi na otaczające go tysiące kibiców. Miał oczy człowieka opętanego, człowieka mającego do spełnienia misję, pokonującego drogę, z której nikt i nic go nie zawróci. A jednak Laura doznała wrażenia, że w jasnej zieleni jego oczu jest też spokój i poczucie pewności siebie kogoś, kto jest dokładnie tam, gdzie pragnie być.

I walka o pierwszą piłkę oraz początek meczu.

Sceptycyzm Laury ustępował powoli, jak żelazny łańcuch przeżerany kwasem. Pod koniec pierwszej kwarty zaczęła się uśmiechać. Potem się śmiała. Później wiwatowała. Wreszcie uległa czarowi i kiedy odwróciła się, by przybić piątkę siedzącemu za nią facetowi, stała się konwertytką. Mecz koszykówki przypomniawszy jej to, co przeżyła, kiedy pierwszy raz, jako zachwycona pięciolatka, widziała Balet Nowojorski w Lincoln Center. W ruchach koszykarzy było mistrzostwo, takie jak w skomplikowanym i doskonałym pod względem choreograficznym tańcu, w którym tancerze napotykali nieoczekiwane przeszkody, dzięki czemu spektakl tym bardziej cieszył oczy.

W tym balecie solistą był David Baskin.

Nietrudno było zrozumieć, za co chwalono go tak bez opamiętania. Był poezją w ruchu, w unikach, wyskokach, zmianach kierunku, zatrzymaniach, pogoniach i ucieczkach, obrotach w miejscu, na jednej nodze i dwóch. Promieniował czymś, co można nazwać tylko nieustępliwym, wręcz agresywnym wdziękiem. W jednej chwili był opanowanym przywódcą, kapitanem drużyny, w następnej na pozór lekkomyślnie dokonywał niemożliwego, jak jakiś komiksowy bohater. Prowadził szybki atak, a kiedy trafiał na obrońcę, improwizował jak wielki artysta, najczęściej już unosząc się w powietrzu. Kiedy rzucał, wpatrywał się w obręcz z takim napięciem, że, zdaniem Laury, tablica nie miała prawa wytrzymać tego spojrzenia i nie pęknąć. Na parkiecie odzywał się jego szósty zmysł; David nigdy nie patrzył tam, gdzie podaje, ani na trzymaną w rękach piłkę, a kiedy kozłował, wydawało się, że piłka jest jego częścią, przedłużeniem ramienia, obecnym zawsze, od dnia narodzin.

Mecz kończył się, pozostało kilka sekund. Wynik był nierozstrzygnięty, ukochani chłopcy z Beantown przegrywali, ale tylko jednym punktem. Gracz w dobrze znanej bieli i zieleni Celtów podał do Davida. Dwaj przeciwnicy kryli go szczelnie jak kocem. Do końca została sekunda i wówczas wykonał swój firmowy rzut z wysokości, z głębokiego odchylenia. Piłka wyleciała mu z dłoni nieprawdopodobnie wysokim łukiem, zmierzała do kosza nieprawdopodobnym lotem. Na widowni wszyscy stali. Z sercem bijącym w szaleńczym rytmie Laura obserwowała pomarańczową kulę spadającą powoli, prowadzoną uczuciem i marzeniem widzów. Syrena oznajmiła

koniec czwartej kwarty. Piłka musnęła tylko skraj tablicy, a potem... zatrzepotała siatka. Dwa punkty. Tłum oszalał, a ona oszalała wraz z nim. Celtowie znowu wygrali.

– Mam sygnał telefonu – powiedział głos z australijskim akcentem.

– Dziękuję.

Laura przewróciła się na brzuch. Ścisnęła słuchawkę. Czy to patrząc na lot piłki po zwycięskim rzucie, zakochała się w Davidzie? Usłyszała trzask i sygnał centrali w Bostonie; przewędrował pół świata, nim trafił do miasteczka Palm's Cove.

Po trzecim sygnale ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo?

– To ty, T.C.?

– Laura? Nie wierzę. Jak tam miesiąc miodowy?

– Słuchaj mnie uważnie, muszę ci coś powiedzieć.

– Tak?

Szybko streściła mu wydarzenia ostatnich dni. T.C. słuchał, nie przerywając jej ani razu, a potem, tak jak tego po nim oczekiwała, natychmiast przejął kontrolę nad sytuacją.

– Zawiadomiłaś miejscową policję?

– Tak.

– Doskonale. Przylecę najbliższym samolotem. Kapitan twierdzi, że i tak muszę wykorzystać urlop.

– Dzięki, T.C.

– Jedna rzecz: powiedz policjantom, jakie to ważne, żeby nie nagłaśniać sprawy. Ostatnia rzecz, której potrzebujesz, to samolot pełen dziennikarzy lądujący ci na głowie.

– Jasne.

– Lauro?

– Tak?

Głos T.C. zabrzmiał twardo, zdecydowanie.

– Nic mu nie będzie.

Laura zawahała się, jakby za bardzo bała się powiedzieć, co myśli. „Nie jestem pewna. A jeśli miał jeden ze swych...”. Milczała, jakby te słowa, raz wypowiedziane, miały stać się jeszcze przykrzejsze. Ale T.C. był jednym z niewielu ludzi, którym David ufał. Zrozumie, o czym ona mówi.

– T.C. to mój najlepszy przyjaciel – powiedział jej David w zeszłym roku. – Wiem, wiem, jest trochę szorstki, a ty niechętnie ufasz ludziom, ale kiedy pojawią się prawdziwe problemy, to dzwoni się najpierw do niego.

– A twoja rodzina? – spytała go Laura.

David wzruszył ramionami.

– Mam tylko starszego brata.

– Naprawdę? Nigdy o nim nie wspominałeś.

– Nie rozmawiamy z sobą.

– Ale jest twoim bratem.

– Wiem.

– Więc dlaczego nie rozmawiacie?

– To długa historia. – David westchnął. – Mieliśmy problemy. Teraz to już przeszłość.

– To dlaczego do niego nie zadzwonisz?

– Zadzwonię. Ale jeszcze nie teraz. To nie jest właściwy czas.

Właściwy czas? Tego Laura nie zrozumiała wówczas i nie rozumiała nadal.

– Po prostu przyjedź, jak naj szybciej – powiedziała drżącym głosem. – Proszę.

– Ruszam w drogę.

W Bostonie, mieście wielbionych Celtów, T.C. odłożył telefon na widełki. Spojrzał na rozłożone przed nim jedzenie: king whoppera i frytki, które kupił po drodze do domu, i stwierdził, że już nie jest głodny. Sięgnął po cygaro, zapalił je zapalniczką Bic, zdjął słuchawkę z widełek i zadzwonił. Począł, aż ktoś odbierze telefon, i powiedział dwa słowa:

– Właśnie dzwoniła.



Minęło dwadzieścia siedem godzin. Terry Conroy, wśród przyjaciół znany jako T.C. czyli tak, jak nazwał go David Baskin, zapiął pasy. Samolot linii Qantas lot 008 podchodził do lądowania w Cairns w Australii. Niemal dwadzieścia godzin w powietrzu.

T.C. odsunął zasłonę na oknie i spojrzął w dół. Południowy Pacyfik nie przypominał niczego, co zdarzyło mu się oglądać. Jego wody nie były po prostu błękitne. Nazwanie ich błękitnymi było jak nazwanie *Piety* Michała Anioła bryłą marmuru, o tyle wydawał się wspanialszy i czystszy, aż nazbyt cudowny. T.C. był pewien, że wprost z pokładu samolotu może przebić wzrokiem kilometrową głębię i dostrzec dno oceanu. Małe wyspy, jak kropki na płótnie, wieńczyły niezwyklej pejzaż tęczowej Wielkiej Rify Koralowej.

Rozluźnił pas uciskający mu rosnący ostatnio brzuch. Za wiele śmieciowego żarcia. Spojrzał na wyraźnie widoczną fałdę, potrząsnął głową. Robił się gruby. Co tam, spójrzmy prawdzie w oczy. Jak na faceta przed trzydziestką jestem flakiem. Może zacznę ćwiczyć? Po powrocie do Bostonu?

Jasne, oczywiście. I jeszcze spotkam uczciwego polityka.

Wyprostował się, wcisnął w oparcie.

Skąd wiedziałeś, Davidzie? Skąd mogłeś wiedzieć na pewno?

W zeszłym tygodniu T.C. skończył dwadzieścia dziewięć lat; on i David byli rówieśnikami. Przez cztery lata mieszkali w jednym pokoju w akademiku Uniwersytetu Michigan, byli najlepszymi przyjaciółmi, *amigos*, partnerami, równymi sobie...

a jednak to on zawsze bałwochwalczo podziwiał Davida. Nie chodziło tylko o jego koszykarskie umiejętności, same w sobie godne bałwochwalczego podziwu, nie, to nie one ich rozdzieliły. Chodziło bardziej o jego samego jako człowieka, pozwalającego, by problemy, nawet nieszczęścia, opływały go jak ledwie marszcząca

się woda. Większość ludzi uważała, że David jest beztroski, bo wszystko zawsze mu się udaje, bo życie nie nauczyło go, co to kłopoty i konflikty, ale T.C. wiedział lepiej. Wiedział, że David musiał przyjąć wiele ciosów, nim znalazł się na szczycie, że nadal miał swoje prywatne piekło, które od czasu do czasu odwiedzał, i sprzyjająca mu fortuna nie miała tu nic do powiedzenia.

– To nie jest rzeczywiste – powiedział mu w pierwszym sezonie u Celtów.

– Co nie jest rzeczywiste?

– Sława. Dziewczyny. Fanki. Pochlebstwa. Ludzie, którzy czepiają się ciebie, bo jesteś sławny. Nie wolno dopuścić, by to coś dla człowieka znaczyło.

– A co ma znaczyć?

– Gra – powiedział David i oczy mu błysnęły. – To, co czujesz na parkiecie. Współzawodnictwo. Chwila, gdy wynik meczu wisi na włosku. Idealne podanie. Rzut z odchylenia. Wsad. Czysty blok. O to chodzi, T.C., tylko o to.

A teraz, pomyślał T.C., po latach, na czele tej listy znalazła się Laura.

Boeing 747 wylądował z łomotem i zaczął kołować do małego terminalu. David! T.C. potrząsnął głową. Myślał, że przez ostatnie kilka lat widział już wszystko, ale to? Do diabła, nie jego rzeczą jest zadawanie pytań. Ma pomóc, później przyjdzie czas na wyjaśnienia.

Wypełnił formularz zwolnienia z kwarantanny, zdjął walizkę z karuzeli, przeszedł kontrolę celną i wszedł do sali przylotów, gdzie miał spotkać się z Laurą. Przesunęły się elektronicznie sterowane drzwi i... stanął naprzeciw oceanu twarzy. Po prawej stali kierowcy, wyciągając nad głowy tabliczki z wypisanymi wielkimi literami nazwiskami, po lewej przewodnicy w podkoszulkach i szortach, machający tabliczkami z nazwami hoteli lub grup. Rozpaczliwie szukał wzrokiem Laury.

Odnalazł ją po minucie.

T.C. doznał wrażenia, że oto ostry nóż ugodził go wprost w serce. Laura pozostała najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu, nadal tak olśniewającą, że każdy mężczyzna miał ochotę natychmiast paść przed nią na kolana, ale zniknięcie Davida odcisnęło na niej swe piętno, bardzo wyraźnie widoczne. Trudno było rozpoznać w niej dawną Laurę. Wystające kości policzkowe wydawały się teraz zapadnięte, podkrążone oczy patrzyły na świat niepewnie, ze strachem, a ich zieleń przerażająco zbladła.

Podbiegła do niego, a T.C. objął ją i mocno przytulił, próbując dodać jej w ten sposób odwagi.

– Jest coś nowego? – spytał, ale bez nadziei, bo odpowiedź mógł wyczytać z jej twarzy.

Laura pokręciła głową.

– To już dwa dni – jęknęła. – Gdzie on się podział? T.C.?

– Znajdziemy go. – T.C. mógł tylko marzyć o tym, by jego głos odzwierciedlał pewność siebie. Wziął za rękę żonę przyjaciela. Nie ma powodu czekać ze śledztwem, lepiej od razu chwycić byka za rogi. – Pozwól, że o coś cię spytam, Lauro. Czy przed zniknięciem David...

– Nie – przerwała mu. Nie chciała usłyszeć tych strasznych słów. – Nie od ośmiu



miesiący.

- Doskonale. A teraz... gdzie mogę znaleźć kogoś odpowiedzialnego za śledztwo?
- W Palm's Cove są tylko dwaj policjanci. Szeryf czeka na nas w swym biurze.

Czterdzieści minut później taksówka zatrzymała się przed drewnianym budynkiem, na którym widniały dwa szyldy: „Ratusz” i „Sklep spożywczo-przemysłowy”. Był to jedyny dom przy drodze i wyglądał jak żywcem wyjęty z *Petticoat Junction*, z jednym wyjątkiem – otaczała go bujna tropikalna roślinność.

- Lauro, posłuchaj, chyba lepiej będzie, jeśli porozmawiam z szeryfem sam na sam.
- Dlaczego?

– Rozejrzyj się, proszę. Na litości boską, to miejsce wygląda jak żywcem wyjęte z *Bonanzy*. Jakoś nie chce mi się wierzyć, by tutejszy szeryf szedł z postępem. Ruch Wyzwolenia Kobiet to dla miejscowych pieśń dalekiej przyszłości. Ze mną pogada chętnie, wiesz, jak gliniarz z gliniarzem.

- Ale...

– Dowiesz się ode mnie wszystkiego. Natychmiast. Kiedy tylko ja się czegoś dowiem.

Laura się zawahała.

- No, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej...
- Uważam. Zaczekaj tu na mnie, proszę.

Szywno skinęła głową, oczy miała wilgotne, szkliste. T.C. wysiadł z taksówki. Przeszedł dróżką z opuszczoną głową, przyglądając się chwastom wyrastającym z pęknięć w cemencie. Potem podniósł wzrok na budynek, stary, pokryty spękaną farbą, wyglądający tak, jakby miał się zawalić od zwykłego pchnięcia. Zastanowił się przelotnie, czy to klimat, czy też wiek tak szybko niszczy drewno, i uznał, że prawdopodobnie i jedno, i drugie.

Drzwi były otwarte. Wsadził głowę do środka.

- Mogę wejść? – spytał od progu.

Teraz po raz pierwszy miał okazję usłyszeć australijski akcent.

- Jesteś inspektor Conroy?

– Tak, to ja.

- Graham Rowe. Szeryf tego miasteczka.

Szeryf wstał. Przedstawił się jak w kiepskim westernie, ale nie pasował do kiepskiego westernu ani akcentem, ani rozmiarami. Szeryf Rowe był wielki jak góra. Wyglądał jak grizzly Adamsa albo zawodowy zapaśnik. Twarz zarastała mu siwo blond broda. Piwne oczy miał bystre, przenikliwe. W zielonym mundurze, którego częścią były szorty, wyglądał jak przerośnięty harcerzyk, ale T.C. nie miał akurat ochoty na samobójstwo, więc zatrzymał tę myśl dla siebie. Głowę zdobił mu charakterystyczny kapelusz z rondem podwiniętym po prawej stronie, a przy pasie miał duży rewolwer i równie duży nóż. Gruba pomarszczona skóra nie nosiła śladów zaawansowanego wieku; T.C. uznał, że szeryf ma najwyżej czterdzieści parę lat.

– Mów mi Graham – powiedział, wyciągając wielką łapę. Gość potrząsnął nią i poczuł się, jakby ścisnął rękawicę baseballisty.

- Mnie nazywają T.C.

- Musisz być zmęczony po tak długiej podróży, T.C.
- Spałem w samolocie. To co możesz mi powiedzieć o śledztwie?
- Aż tak ci do niego pilno?
- David jest moim najlepszym przyjacielem.

Graham wrócił za biurko. Gestem wskazał gościowi krzesło. Jeśli nie liczyć jeszcze obracającego się wiatraczka, pokój był pusty, tylko na ścianie wisiało mnóstwo broni. Jeden z kątów zajmowała mała cela aresztu.

– Szczerze mówiąc, niewiele mogę ci powiedzieć. David Baskin zostawił żonie wiadomość, że idzie popływać, i od tego czasu nikt go nie widział. Rozmawiałem z hotelowym ratownikiem. Pamięta, że około trzeciej Baskin bawił się, rzucając do kosza, sam. Dwie godziny później znów go zobaczył, idącego plażą na północ.

– A więc David nie poszedł jednak popływać?

Szeryf wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? Pływać to tu można prawie wszędzie, ale tam, dokąd szedł, nie ma straży przybrzeżnej, a prąd jest cholernie silny.

– On świetnie pływa.

– Jego pani to samo powiedziała, ale ja tu mieszkam od urodzenia i mogę ci powiedzieć z ręką na sercu, że jeśli prąd chce cię wciągnąć, to nie masz wyboru i toniesz.

– Zacząłeś szukać ciała?

Rowe skinął głową.

– Jasne. Ale na razie po chłopaku nie ma śladu.

– Jeśli utonął, to ciało powinno już wypłynąć.

– Normalnie tak, ale, człowieku, przecież jesteśmy w północnej Australii! Na kąpiącego się w oceanie czeka tu więcej przygód niż w waszym metrze. Może fala wypłukała go na jedną z tych małych wysepek, które nie mają nawet nazwy, albo nadziała na koralowce Wielkiej Rafy? Albo zeżarło go Bóg wie co? Mogło mu się zdarzyć milion rzeczy.

– Masz jakąś teorię, Graham?

Potężny Australijczyk wstał, przeszedł przez pokój.

– Kawy?

– Nie, dziękuję.

– Ten upał, co? Trudno się dziwić. Coli?

– Brzmi nieźle.

Sięgnął do małej lodówki za biurkiem, wyjął dwie butelki, wręczył jedną gościowi.

– Powiedziałaś, że jesteś kumplem tego Baskina?

– Od wielu lat.

– I sądzisz, że potrafisz być obiektywny?

– Tak sądzę.

Graham zważył się na krzesło z westchnieniem ulgi.

– T.C., jestem tylko szeryfem małej, przyjaznej społeczności. I to mi się podoba. Ma być cicho, miło, spokojnie. Wiesz, o czym mówię?

T.C. skinął głową.

– Nie chcę być żadnym wielkim bohaterem. Nie chcę sławy, nie lubię skomplikowanych spraw, takich, jakie prowadzą twoi kumple z Bostonu. Pojmujesz?

– Jasne.

– No więc pozwól, że powiem ci, jak to widzi prosty człowiek. Nie sądzę, żeby Baskin utonął.

– Naprawdę?

Szeryf skinął głową.

– Może i wygłosiłem pouczające przemówienie o tym, co się może zdarzyć zwłokom w Pacyfiku, ale prawda bywa na ogół znacznie prostsza. Gdyby utonął, jego ciało już by tu było. Nie na sto procent, warto o tym pamiętać, ale prawie.

– Więc co?

Wielki Australijczyk pociągnął łyk coli.

– Może być tak, że dostał typowego cykora, nie? Nie byłby to pierwszy raz, kiedy facet wieje podczas miesiąca miodowego. Cholera, raz sam omal nie zwiąłem.

T.C. tylko się uśmiechnął.

– A przyjrzałeś się dobrze jego żonie?

– Jasne. – Graham zagwizdał z podziwu. – Człowieku, czegoś takiego w życiu nie widziałem. Gały mi na wierzch wylazły. – Wypił kolejny łyk, odstawił butelkę, przetarł usta przedramieniem grubym jak gałąź dębu. – Więc chyba możemy bezpiecznie założyć, że nie zwiął. No to teraz pozwolę sobie zadać ci kolejne pytanie. Sprawdziłem tego twojego Baskina, w końcu sam dobrze wiesz, że tak się robi, i wyszło mi, że był z niego całkiem niezły dowcipniś. Jest szansa, że pozwolił sobie na ostatni żart albo coś?

– Przy okazji aż tak denerwując swoją panią? To nie w jego stylu, mówię ci.

– No dobra. Zawiadomiłem przez radio sąsiednie miasteczka i straż przybrzeżną. Oni też nie chcą płaczących się wszędzie dziennikarzy, więc będą trzymać gęby na kłódkę. Poza tym niewiele mogą zrobić.

– Chciałbym poprosić cię o przysługę, Graham.

– Strzelaj.

– Wiem, że tu, u ciebie, nie mam żadnych praw, ale mimo to chcę pomóc w dochodzeniu. Jeśli tylko będę mógł. David Baskin to mój najbliższy przyjaciel, znam go lepiej...

– Hej, spokojnie, człowieku – przerwał mu Graham. Wstał.

Jego wzrok powędrował na północ i na południe, z twarzy gościa na znoszone, zniszczone mokasyny. Wyjął chusteczkę, przetarł spocone czoło. – Nawet w normalnej sytuacji mam za mało ludzi – powiedział powoli – więc pewnie nie zaszkodzi zrobić cię zastępcą. W tej sprawie. – Wyjął z szuflady kartkę, popchnął ją po biurku do T.C. – Masz tu listę miejsc do odwiedzenia. Jeśli dowiesz się czegoś, natychmiast mnie zawiadom.

– Dzięki. Doceniam to.

– Nie ma sprawy. A teraz będzie ostatnie pytanie. Czy z Baskinem coś jest nie tak?

T.C. poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Przez głowę przeleciało mu kilka niechcianych wspomnień.

- Nie tak?
  - No wiesz, kontuzja, wada serca, coś w tym rodzaju.
  - Nic o tym nie wiem – skłamał.
  - A kto mógłby o tym wiedzieć lepiej od ciebie? – Szeryf uśmiechnął się szeroko. – W końcu jesteś jego najlepszym kumplem, nie?
- T.C. spojrział w oczy wielkoluda. Nie potrafił wyczytać z nich niczego.



Do hotelu jechali krótko, w milczeniu. T.C. zameldował się, zostawił bagaże w recepcji i poszedł za Laurą do apartamentu dla nowożeńców.

– I co teraz? – spytała, gdy drzwi się za nimi zamknęły.

T.C. odetchnął głęboko. Podrapał się po głowie, mierzwiąc palcami rzadziejące włosy. Jeszcze nie siwieję, pomyślał z nadzieją, że włosy wytrwają wystarczająco długo, by osiwieć. Ale wątpił, by wytrzymały tak długo. Cienkie kasztanowate kosmyki ustąpiły już z czoła i cofały się z czaszki. Wojska Shermana wypierały przeciwnika, prac na Atlantę. Wyjrzał przez okno, poklepał się po kieszeni w poszukiwaniu cygar. Nie znalazł ani jednego.

– Podzwonimy. Pokręcimy się. Skontrolujemy teren.

Laura zachowała się zdumiewająco rozważnie i rzeczowo.

– Przez „podzwonimy” rozumiesz sprawdzenie w kostnicach? – Jej głos brzmiał bardzo spokojnie.

– W kostnicach, w szpitalach... tak, tego rodzaju rzeczy.

– A przez „pokręcenie się i skontrolowanie terenu” sprawdzenie, czy ciało Davida nie pływa przypadkiem w oceanie albo czy fale nie wyrzuciły go na brzeg?

T.C. skinął głową. Laura podeszła do telefonu.

– Może chciałbyś się przebrać albo odpocząć, nim zaczniemy? Wyglądasz fatalnie.

Spojrział na nią z uśmiechem.

– Właśnie wysiadłem z samolotu po długim locie. Teraz twoja kolej.

– No tak, ja pewnie też nie za bardzo nadaję się na okładkę.

– I tak nadal zawstydzasz konkurencję.

– Dzięki. A teraz zrób mi przysługę, dobrze?

– Zawsze.

– Zejdź na dół i kup sobie kilka pudełek ich najlepszych tanich cygar.

– Co?

Laura podniosła słuchawkę telefonu.

– Uzupełnij zapasy. Przez jakiś czas będziemy bardzo zajęci.



Laura najpierw obdzwoniła kostnice. Najpierw, bo chciała mieć je z głowy jak najszybciej. Przez dolinę cieni lepiej przebiec w szaleńczym pędzie, niż iść spacerowym krokiem. Kładła głowę pod topór za każdym razem, kiedy koroner mówił: „Zaczekaj chwileczkę, kochana”, i czekała na wykonanie wyroku dobre

dziesięć lat, tak się jej przynajmniej wydawało, aż do informacji; „Nie, nie mamy tu nikogo odpowiadającego opisowi”. Potem parę sekund niebotycznej ulgi i... T.C. dawał jej kolejny numer.

Apartament dla nowożeńców śmierdział dymem cygar, jakby chłopcy urządzili sobie tutaj cotygodniowego pokerka, ale Laura nawet tego nie zauważyła. Czowała się jak zamknięta w pułapce, dusiła się, ale to nie dym był winien, lecz każda kolejna rozmowa, bezustanne przeskoki od nadziei do strachu i z powrotem do nadziei. Przyszła kolej na szpitala. Rozpaczliwie pragnęła wiedzieć, a jednocześnie bała się tego, co może usłyszeć. Było to trochę jak życie w koszmarze, kiedy człowiek boi się obudzić, bo wówczas koszmar może stać się rzeczywistością.

Godzinę później skończyli z telefonami.

– I co teraz?

T.C. strząsnął popiół na blat stołu. W swoim czasie wypalił mnóstwo cygar, ale to australijskie skrecono chyba z kaczego gówna. Jeden dymek załatwiłby Amerykanów tak, jak Fidel Kennedy’ego w Zatoce Świń. Postanowił, że to jego ostatnie.

– Idę na dół – oznajmił. – Znajdę ci jeszcze kilka numerów w książce telefonicznej. Potem przepytam personel. Nie ma sensu, żebyśmy oboje siedzieli przy telefonie.

Wstał, podszedł do drzwi, zatrzymał się i westchnął. Odwrócił się i wziął ze stołu pudełko cygar. A cholerę z tym, jego kubki smakowe i tak zdechły dawno temu.



Nieco później, siedząc samotnie w pokoju i czekając na powrót T.C. (a jeszcze lepiej – Davida), Laura postanowiła zadzwonić do domu. Spojrzała na zegarek. W Bostonie była dwudziesta trzecia.

Jej ojciec, doktor James Ayars, siedzi teraz w swym nieskazitelnie czystym gabinecie przy nieskazitelnie czystym biurku. Dane medyczne do porannego obchodu leżą w schludnych stosikach, te już przejrane po prawej, te jeszcze nieprzejrane po lewej. Ma na sobie szary jedwabny szlafrok, pod nim porządnie zapiętą piżamę. Okulary siedzą na nosie mocno, tak mocno, żeby nie spadały z niego przy licznych westchnieniach.

Matka, uroczą bywalczyni salonów, gwiazda towarzystwa Mary Ayars, najprawdopodobniej czeka już na górze na nocną wizytę męża w sypialni. Siedzi w łóżku, podparta poduszkami, i czyta najnowszą prowokacyjną powieść, której lekturę zleciła jej grupa czytelnicza, w istocie prawdziwy klan, składający się z najwybitniejszych bostońskich pseudointelektualistek. Ich ulubioną rozrywką były czwartkowe spotkania, podczas nich nadawały zaaprobowanym, czyli „obiecującym” dziełom znaczenia, których nie potrafili wyobrazić sobie ich twórcy nawet na najwspanialszym hajju. Laura poszła na jedną z sesji (matka wytłumaczyła jej, że to właśnie „sesje”, nie jakieś tam „spotkania”) i uznała, że Webster’s Dictionary powinien mieć zbiorowe zdjęcie tych pań przy hasle „bzdura”. Ale matka po prostu co czwartek próbowała zadzierzgnąć więzy, przykleić się do jakiejś grupy, obojętne, czy brydżystek, czy też świadomej seksualności.

– Halo?

Po raz pierwszy od chwili zniknięcia Davida Laurze łzy napłynęły do oczu. Głos ojca był jak wehikuł czasu. Przeniósł ją w dzieciństwo; bardzo chciała otoczyć się zasłoną przeszłości, tym mocnym, pewnym głosem, dającym poczucie ciepła i bezpieczeństwa.

– Cześć, tato.

– Laura? Co u was słycać? Jak tam Australia?

Laura nie wiedziała, co powiedzieć, jak zacząć.

– Jest piękna... słońce świeci cały dzień...

– No to wspaniale, skarbie. – Głos ojca stał się nagle bardzo rzeczowy. – To może damy sobie teraz spokój z grzecznościami, dobrze? Powiedz, o co chodzi.

Cały tata. Dość zabawy, nie mam czasu na pogawędkę. Od razu przechodzimy do rzeczy.

– Chodzi o Davida.

– O co? – spytał głosem autorytatywnym, jak zawsze. – Coś mu się stało?

– Nie wiem. – Laura omal się nie rozplakała.

– Co znaczy „nie wiem”?

– Zaginął.

Długa chwila ciszy bardzo ją przeraziła.

– Zaginął?

W głosie ojca usłyszała raczej strach niż zaskoczenie, jak wówczas kiedy mówią ci, że przyjaciel palący trzy paczki papierosów dziennie ma raka płuc. Wiadomość tragiczna, ale nie zaskakująca. Laura spodziewała się, że ojciec powie coś więcej, spyta o szczegóły, jak to miał w zwyczaju, ale nie. To ona musiała kontynuować rozmowę.

– Zostawił mi wiadomość, że idzie popływać. To było przedwczoraj.

– O Boże! – powiedział ojciec cicho, a jego słowa były jak ostre, przebijające skórę igły. Znikł gdzieś pewny ton, jego znak firmowy. Niemal czuła, jak bardzo stara się zachować spokój, ale tylko powiedział cicho: – Dlaczego nie zadzwoniłaś wcześniej? Zawiadomiłaś policję?

– Już go szukają. T.C. wie, przyleciał przed kilkoma godzinami.

– Złapię najbliższy lot. Będę...

– Nie, to niepotrzebne. Nic tu nie pomożesz.

– Ale...

– Naprawdę, tato. Nic mi nie jest. Proszę, nie mów mamie.

– Co miałbym jej powiedzieć? Przecież ona nawet nie wie, że jesteś w Australii.

Wszyscy się dziwią, gdzie zniknęliście oboje.

– I niech nasza ucieczka zakochanych pozostanie tajemnicą, przynajmniej na razie. Mama w domu?

Doktor Ayars zmarł.

– Nie.

– To gdzie jest?

– Poleciała na tydzień do Los Angeles. Lauro, naprawdę nie chcesz, żebym przyleciał?

– Naprawdę. Poradzę sobie. Z pewnością szybko go znajdą. Jestem przekonana, że wyciął nam kolejny ze swoich numerów.

I znów zapadła cisza. Laura czekała, aż ojciec się z nią zgodzi, przytaknie, powie, że oczywiście, wróci, nie histeryzuj, córeczko, jak typowa żona – ale nic takiego nie powiedział. Gdzie się podział podnoszący na duchu głos rozsądku? Gdzie się podział człowiek będący niezawodną pociechą i podporą? Jej ojciec, zawsze spokojny, zawsze panujący nad sobą i tym, co się wokół niego dzieje. Wiedział, co to cierpienie i śmierć, poznał je zawodowo i osobiście, a jednak zawsze zachowywał olimpijski spokój. Co się stało, że teraz brakuje mu słów?

– Zadzwońię znowu, kiedy tylko się czegoś dowiem – obiecała, choć w jej głowie zakiełkowała myśl, że ojca nie trzeba o niczym informować, że już wie, jaki będzie wynik poszukiwań. Ale była to przecież głupia myśl, wynik zmęczenia i strachu, nic więcej. Zdarzenia ostatnich dni robiły jej z mózgu watę.

– Oczywiście. – Zabrzmiało to tak, jakby doktor Ayars został już nie tylko pobity, ale wręcz złamany.

– Chcesz mi coś powiedzieć, tato?

– Tak, oczywiście – rzekł głosem bez wyrazu. – Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Laura słuchała go zdumiona. Nie martwić się? Nagle zrobiło się jej bardzo zimno.

– Może Gloria jest gdzieś w pobliżu?

– Nie, twoja siostra znów pracuje do późnej nocy. Powinnaś być z niej bardzo dumna.

– Oczywiście, że jestem. Kiedy wraca mama?

– Za parę dni. Jesteś pewna, że nie chcesz, bym przyleciał?

– Jestem pewna, Do widzenia, tato.

– Do widzenia, córeczko. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała...

– Dam znać.

Usłyszała, jak ojciec odkłada słuchawkę.



Pocieszała się, że nie ma powodu zamartwiać się tą rozmową. W końcu ojciec nie powiedział jej nic szczególnego, a w jego słowach i zachowaniu też nie było nic, co można by uznać za niepokojące. A jednak czuła, że coś jest nie tak, i od tego wyraźnego, nawet bardzo wyraźnego uczucia ścisnął się jej żołądek. Otworzyła torebkę, szperała w niej chwilę, ale nie znalazła tego, czego szukała.

Boże, dlaczego rzuciłam palenie?!

Wyjrzała przez okno, ale nie to wychodzące na plażę, lecz na przeciwną stronę, na słynny australijski busz. Przypomniała sobie ten dzień, kiedy oboje z Davidem zdecydowali się porzucić na jakiś czas wspaniałości miejskiego życia na korzyść buszu nowoangielskiego. Dorastający w Michigan David miał jakieś pojęcie o łonie natury i radośnie zarezerwował im tydzień z dala od świata. Laura, która znała tylko cywilizację, uznała, że będzie to tydzień spania w błocie z mnóstwem robaków.

– Spodoba ci się – powtarzał David.

– Jestem pewna, że wręcz przeciwnie.

Pojechali do Vermontu. Założyli ciężkie plecaki. Brnęli dusznym lasem tak długo, że Laura zaczęła liczyć czas w tysiącleciach, ale wreszcie, z łaski losu, dotarli do zagubionego w dziczy kempingu. Umyła się w strumyku, rozłożyła śpiwór i wpełza do niego zachwycona.

Po czym do tego samego śpiwora wpełzł David.

– A ty co sobie myślisz? – spytała. – Zdaje się, że masz własny śpiwór.

– Mam. Ale musimy spać razem, żeby ogrzewać się nawzajem.

– Ciepłym ciałą?

– No właśnie.

– Jest pewien problem.

– Jaki?

– Termometr wskazuje jakieś trzydzieści pięć stopni.

– Ciepła?

Laura skinęła głową. David zastanawiał się przez chwilę.

– W takim razie pozwolę sobie zaproponować spanie *au natural*.

Kochali się gwałtownie, wręcz przerażająco intensywnie, a potem leżeli nadzy, tuląc się do siebie.

– O rany – wydyszał David, gdy tylko zdołał złapać oddech.

– Co?

– Kocham prawdziwą naturę. Nie wiem, ale... otoczenie... czuję się tu żywy, czuję jedność z naturą, jestem...

– Napalony?

– Strzał w dziesiątkę.

– Ja też staję się powoli wielbicielką natury – przyznała Laura.

– Zauważyłem. Ale powinnaś być ostrożniejsza.

– Dlaczego?

– Te twoje krzyki... kobieto, przeraziłaś na śmierć naszych kosmatych przyjaciół!

– Tobie się podobało.

– Prawda.

– Poza tym z ciebie kiepski był Marcel Marceau.

– *Moi?*

– Ryczałeś jak łoś. Tylko czekałam, aż na polanie pojawi się jakaś łosza.

– Nie miałem szczęścia. Ty musisz mi wystarczyć.

– Przesadziłeś ze złośliwością.

Laura sięgnęła do kieszeni džinsów, wyjęła z niej wygniecioną paczkę papierosów. David jęknął.

– Masz zamiar to palić?

– Nie. Mam zamiar nakarmić zwierzęta.

– Miś Strażnik mówi: to ludzie podpalają lasy.

– Zachowam ostrożność.

– Słuchaj, Lauro, nie przeszkadza mi, kiedy palisz w mieście...

– Bzdura.



– W porządku, bzdura. Ale tutaj, w leśnej głuszy, musisz mieć wzgląd na naszych kosmatych przyjaciół.

– Dlaczego tak strasznie ci się nie podoba, że palę?

David wzruszył ramionami.

– Poza tym, że to nałóg obrzydliwy, niebezpieczny dla zdrowia, za którym nie przemawia nic, choćby jedna drobna korzyść, chyba chodzi o to, że nie lubię całować popielniczki. Z języczkiem.

– Ale ja po prostu muszę coś trzymać w ustach.

– Wiem. To jedna z tych rzeczy, za które cię kocham.

– Zboczeniec. Miałeś czas przyzwycząć się do dymu. Przez cztery lata mieszkałeś z T.C. A Clip? Oni dwaj ciągle palą te śmierdzące cygara.

– No tak, ale ich nie całuję z języczkiem. No, może czasami T.C., ale rzadko.

– Podejrzywałam cię o coś takiego.

– Weź pod uwagę, że T.C. nie przeżyłby bez swoich cygar. Są jego częścią, przedłużeniem osobowości, powiedzmy. A Clip ma siedemdziesiąt lat i w dodatku jest moim szefem. Nie uważamy za stosowne krytykować szefów. Poza tym lubię palącego Clipa.

– Dlaczego?

– Cygaro Zwycięstwa. Kiedy pali, to znaczy, że mamy zwycięstwo w kieszeni.

Laura objęła go, przytuliła.

– To mój papieros można nazwać Papierosem Zwycięstwa.

– Tak?

– Clip lubi sobie zapalić po zwycięskim meczu. Ja lubię sobie zapalić po niezwykle silnym orga...

– Nie wycieraj sobie buzi tym słowem, Ayars.

– Przepraszam.

David usiadł.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego zależy mi na tym, żebyś rzuciła palenie?

Laura potrząsnęła głową. David tulił ją, delikatnie gładząc jej włosy.

– Bo nie chcę, żeby zdarzyło ci się coś złego – powiedział cicho. – Bo chcę być z tobą na zawsze.

Spojrzała na niego z nadzieją.

– Naprawdę?

– Kocham cię, Lauro. Kocham cię bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić.

Dwa miesiące później rzuciła palenie. I od tej pory nawet nie pomyślała o papierosie... aż do dziś.

Głośnie pukanie do drzwi przywołało ją do rzeczywistości.

– T.C...?

– Tak, to ja.

– Otwarte.

T.C. wszedł do apartamentu. Twarz miał ściągniętą.

– Też mi cywilizacja! Gdzie McDonald? Gdzie Roy Rogers?

– Masz coś nowego?

T.C. pokręcił głową. Laurze wydał się dziwnie roztrzęsiony.

– Co się stało? – spytała.

– Nic. Tyle że chyba jestem trochę zmęczony i głodny.

– Zamów coś do pokoju.

– Za chwilę.

– Na co czekasz? Jeśli jesteś głodny...

Zadzwoił telefon. T.C. praktycznie rzucił się na niego, poderwał słuchawkę...

– Halo?

Laura próbowała odczytać coś z wyrazu jego twarzy, ale odwrócił się do niej tyłem, opuszczając nisko głowę. Wyglądał jak bukmacher w budce telefonicznej, przyjmujący stawki. Minęło kilka minut, nim powiedział: „Dobra, już jadę”.

– Co się dzieje?

– Wrócę za jakiś czas.

– Dokąd jedziesz? Kto do ciebie dzwonił?

– Może to jakiś ślad, a może nie – rzucił T.C. przez ramię, wychodząc z apartamentu. – Jeśli coś z tego wyjdzie, zadzwonię.

– Idę z tobą.

– Nie. Potrzebuję cię tutaj. Ktoś zawsze może zadzwonić.

Laura chwyciła torebkę.

– Recepcjonista zapisze wiadomości.

– To nie wystarczy.

– O co ci chodzi? Siedzeniem w pokoju niczego nie zwojuję.

– Z całą pewnością niczego nie zwojujesz, jadąc ze mną. Będziesz mi tylko wchodzić w paradę. Słuchaj, Lauro, ja potrzebuję faktów. Nie mam zamiaru chuchać i dmuchać...

– Tak? – przerwała mu Laura. – Daj sobie spokój z tymi bzdurami. Bo wiesz, że to bzdury!

– Może pozwolisz mi skończyć? Każdy z tych Krokodyli Dundee na twój widok zamarzy o miastowej narzeczonej i zamknie się jak ostryga albo przynajmniej zacznie uważać na słowa.

– Więc zostanę w samochodzie.

– Posłuchaj mnie choćby przez sekundę. W najbliższym czasie spodziewam się ważnego telefonu. Chcę, żebyś ty go przyjął. Ja zadzwonię, kiedy tylko się czegoś dowiem. Obiecuję.

– Ale...

T.C. tylko potrząsnął głową i szybko wyszedł. Laura nie pobiegła za nim. W Bostonie nigdy nie zgodziłaby się, żeby ktokolwiek, mężczyzna czy kobieta, potraktował ją tak szorstko, z wyższością, ale nie była w Bostonie, a poza tym T.C. to T.C. Najbliższy przyjaciel Davida. Najbardziej zaufany przyjaciel. Jeśli ktokolwiek może pomóc Davidowi, to on. Ma największe szanse. Największe.

Rozmówca po drugiej stronie usłyszał, jak T.C. przerywa połączenie. Czekał. W słuchawce brzmiał niezmienny, monotony sygnał, ale nie odkładał jej. Stał jak zaczarowany.

Wszystko zostało już załatwione. T.C. wiedział. Sprawy posuwały się naprzód. Nie było odwrotu.

Rozmówca odłożył słuchawkę, upadł na łóżko i rozplakał się.



Laura siedziała w hotelowym pokoju samotna, niepewna i kompletnie zdezorientowana. Telefon nie dzwonił. Nikt nie zapukał do drzwi. Czas włókł się chwiejnie, nierówno i bardzo powoli. Czuła, jak słabnie jej związek z rzeczywistością, ze światem i z Davidem.

Rozejrzała się po niegdyś pięknym apartamencie i jej wzrok spoczął na rzeczach zwykłych, znajomych, uspokajających. Na koszykarskich butach Davida, rozmiar dwanaście i pół, specjalnie wzmocnionych w kostce, bo prawą złamał jeszcze na studiach. Jeden leżał na wykładzinie, na boku, jak przewrócone canoe, drugi stał pod kątem prostym do pierwszego. Na tym po prawej widziała wyraźne logo Svengali, na prawym zasłaniała je przepocona skarpetka. Od drugiej, rzuconej luzem, skrzyśonej i wyglądającej jak mężczyzna śpiący w pozycji embrionalnej, dzielił ją jakiś metr. David nie należał do najporządniejszych, zdarzyło się jej spotkać kilku mężczyzn pod tym względem znacznie od niego lepszych. Chętnie używał klamek i krzeseł w charakterze wieszaków, wykładzina doskonale zastępowała mu szafki na spodnie i bluzy, a kafelki podłogi łazienkowej szuflady na gacie, skarpetki i piżamę. O higienę osobistą dbał aż przesadnie, ale apartament wyglądał tak, jakby porzucono go w ucieczce przed pożarem.

– Tak jest przytulniej – argumentował.

– To tylko bałagan – powtarzała Laura.

I znów obrazy przeszłości przepędziło stukanie do drzwi. Spojrzała na zegarek. T.C. wyszedł prawie dwie godziny temu.

Dziki australijski ptak hałasował za oknem mimo późnej godziny.

– Kto to? – spytała, choć wiedziała, kogo może się spodziewać.

– Ja.

Głos przyjaciela sprawił, że żołądek skręcił się jej boleśnie. Wstała mechanicznie i podeszła do drzwi. Po drodze kątem oka dojrzała swoje odbicie w lustrze i dopiero teraz zorientowała się, że w dodatku do dzinsów Svengali ma na sobie jedną z konserwatywnych, zapinanych koszul Davida. Właściwie bez przerwy łąziła w jego ciuchach: treningowych bluzach Celtów w chłodne bostońskie noce, górach od piżam w charakterze koszul nocnych. Dziwne zachowanie jak na kobietę rządzącą imperium mody. Potrząsnęła głową, odpędzając od siebie tę myśl, zdziwiona, że jej mózg, w tak ważnej chwili, mógł skoncentrować się na takim głupstwie. Zdążyła jeszcze zastanowić się, czy nie zadziałał u niej mechanizm obronny, chroniący ją przed ponurą rzeczywistością, po czym otworzyła drzwi.

Natychmiast spojrzała w oczy T.C., ale on odwrócił wzrok, jakby sprawiła mu ból. Opuścił głowę, wbił spojrzenie w podłogę. Twarz pokrywał mu krótki, niechlujny zarost.

– Co się stało?

Nie wszedł do środka. Nic nie powiedział. Stał przed nią nieruchomo, jakby zbierał w sobie odwagę. Wreszcie, z wysiłkiem, podniósł głowę. Laura patrzyła na niego z nadzieją, on na nią ze smutkiem.

Nadal nie padło między nimi ani jedno słowo, tylko w oczach Laury zabłyśły łzy.

– T.C...? – spytała oszołomiona.

Przyjaciół podniósł rękę i oszołomienie Laury zmieniło się w straszne cierpienie.

– O Boże, nie! – krzyknęła. – Błagam, nie!

T.C. trzymał w palcach kolorowe slipki Davida i jaskrawozieloną koszulkę Celtów.

I slipki, i koszulka były podarte.

### 3

Gloria Ayars zamknęła walizkę, zgasiła światło i przeszła pustym korytarzem. Inni kierownicy wrócili do domów przed wieloma godzinami, ale to było w porządku. Oni spłacili swoje długi, ona jeszcze nie.

Spojrzała na zegarek. Świejące cyferki poinformowały ją, że jest dwudziesta trzecia dwanaście.

– Dobranoc, panno Ayars – pożegnał ją ochroniarz.

– Dobranoc, Frank.

– Tym razem naprawdę się pani zasiedziała, co?

Gloria uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Jasne.

Podeszła do samochodu. Potrząsnęła głową, nadal lekko uśmiechnięta. Tak trudno było jej w to uwierzyć. Słyszała szept, tyle ich było przed wyjazdem Laury (jej miesiącem miodowym, oczywiście, ale to ciągle był sekret). Nie rób tego, ostrzegali ją jej przybocznicy. Zrujnuje ci biznes. Lecz Laura zignorowała ich, podjęła ryzyko. Wielkie ryzyko. Postanowiła na czas nieobecności powierzyć Svengali siostrze, zdumiewając tym nawet ją. Ona chyba oszalała, powtarzała sobie Gloria, pozostawiając wielomilionowy biznes w rękach kogoś takiego jak ja.

Ale teraz nie miała już wątpliwości, że nie. Że dobrze wiedziała, komu może zaufać.

Szła chodnikiem, a mężczyźni z przejeżdżających samochodów zwalniali i gwizdali na jej widok z podziwem, a co najmniej się na nią gapili. Gloria zdążyła przyzwyczaić się do takich reakcji i spojrzeń. Nie aż tak piękna jak siostra, mimo to potrafiła doprowadzać męską krew do wrzenia. Była w niej niewinność, łagodność w stosunku do świata, bez przerwy co najmniej poszturchującego ją, a często się nad nią znęcającego. Co najgorsze, ta słodka niewinność zamknięta była w ciele, które najprościej dawało się zdefiniować jako seksualna maszyna w typie Marilyn Monroe, okrągłym tam, gdzie powinno być okrągłe, ciele, które niezależnie od tego, czym okryte, promieniowało zmysłowością, a nie tylko ją sugerowało.

Wskoczyła do samochodu, przesunęła lusterko, przyjrzała się swemu odbiciu. Znow się uśmiechnęła, zadając sobie pytanie, czy patrzy na tę samą Głorię Ayars. Jeszcze niedawno była heroinistką, kokainistką, paliła marihuanę i szła do łóżka z każdym mężczyzną, który miał akurat ochotę się z nią przespać. Nie do wiary, ale tak niedawno wbijała sobie igły w żyły i omal nie wystąpiła w filmie porno.

Po drodze do domu Gloria po raz setny podziękowała w myśli Laurze za to, że ją uratowała. Gdyby nie młodsza siostra, ona najprawdopodobniej już by nie żyła. Byłaby martwa lub gorzej niż martwa. Wjeżdżając na podjazd rodzinnego domu,

odepchnęła od siebie tę myśl. Zaparkowała koło samochodu ojca, wyjęła klucze do drzwi. Minutę później zamykała je za sobą.

Jeszcze tak niedawno nie byłaby tu mile widziana. Były czasy, kiedy twarz ojca czerwieniała z gniewu, gdy ktoś wymienił przy nim jej imię, kiedy została bezceremonialnie wyrzucona z domu, w którym się wychowała.

Całkiem zasłużenie.

W przedpokoju było ciemno. Gloria odłożyła teczkę, zdjęła płaszcz i schowała jedno i drugie w szafie.

– Tato?! – zawołała. Nie usłyszała odpowiedzi, więc poszła w tamtą stronę. Ojciec nie wchodził na piętro po północy, a poza tym matka wyjechała akurat na tydzień do Los Angeles, więc ostatnio pracował nawet dłużej niż zazwyczaj.

Drzwi do gabinetu były otwarte, światło lampy wydostawało się na korytarz. Weszła do środka, rozejrzała się szybko. Ojca tu nie było. Wyłączyła lampę, podeszła do schodów.

– Tato?! – zawołała znowu, lecz nadal nikt nie odpowiadał. Samochód stał na podjeździe, więc ojciec musiał być w domu. Prawdopodobnie już się położył. Weszła na piętro, zrobiła kilka kroków przed siebie i nagle się zatrzymała.

Co, do...?

W starym pokoju Laury paliło się światło. Dziwne. Nikt nie wchodził tam od lat z wyjątkiem samej Laury podczas jej nielicznych odwiedzin u rodziców i z wyjątkiem sprzątaczk. Gloria zrobiła kilka cichych, ukradkowych kroków, zajrzała do środka...

Poczuła, że robi się jej bardzo zimno.

Ojciec siedział na łóżku Laury, plecami do drzwi. Głowę podparł dłońmi, widać było, że cierpi. Ten widok wstrząsnął Głorią. Nigdy nie widziała takiego ojca, drobnego, kruchego.

– Tato? – powiedziała nieśmiało.

Wyprostował się powoli, usłyszała, jak pociąga nosem. Nie odwrócił się, nie spojrzał jej w oczy.

– Gloria? Cieszę się... cieszę się, że jesteś w domu.

Ciesz się, że jestem w domu. Ach, te słowa. Były czasy, kiedy łatwiej wyobraziłaby sobie Armagedon niż ojca wypowiadającego je do niej.

– Nic ci nie jest? – spytała.

Doktor James Ayars nie odpowiedział od razu. Jego ramiona unosiły się i opadały w rytm ciężkiego oddechu.

– Mam złe wieści.

W swym trzydziestoletnim życiu Gloria poznała strach. Bała się aż nazbyt często, choć przeważnie ze swej winy. Kiedyś, na Zachodnim Wybrzeżu, zażyła zanieczyszczone LSD, po którym widziała rzeczy tak straszne, że omal nie wyskoczyła z okna dziesiątego piętra. Przypomniła sobie teraz swój strach i to, jak serce biło jej w piersi. A kiedyś...

– Mamo! Mamo!

– Wychodź, Glorio! Wyjdź natychmiast!

...dowiedziała się, co znaczy prawdziwe przerażenie, ale była wtedy taka mała. Była małą dziewczynką. Nie pamiętała nic oprócz...

Krew. Tyle krwi...

...tego, co widziała w snach.

– Co się stało? – spytała.

– Laura dzwoniła z Australii... niedawno. – Doktor mówił powoli, jakby z każdym słowem tracił siły. – David nie żyje. Chwycił go jakiś potężny prąd. Utonął.

Gloria wpadła w rozpacz. Przecież to niemożliwe! Po prostu niemożliwe! Nie David. Nie ten jeden jedyny mężczyzna, którego jej siostra potrafiła pokochać. Nie ten jeden jedyny mężczyzna, który traktował ją jak człowieka, jej jedyny prawdziwy przyjaciel.

Coś w niej pękło. Podbiegła do ojca na miękkich nogach, łzy płynęły jej po policzkach.

Przecież to niemożliwe!

W samolocie T.C. i Laura siedzieli obok siebie. Laura milczała; od chwili gdy przekazał jej tragiczną wiadomość, zadała tylko jedno pytanie:

– Kiedy będę mogła zobaczyć ciało?

T.C. miał nadzieję, że to pytanie nie padnie.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział łagodnie.

– Ale chcę...

– Nie, nie chcesz.

T.C. załatwił sprawy z właściwą sobie sprawnością. Wiedział, że David nie ma rodziny, z którą trzeba byłoby się skontaktować. Jedynym jego żyjącym krewnym był Stan, nic niewarty braciszek, którego żadne z nich nie widziało do dziesięciu lat i który na wieść o jego śmierci prawdopodobnie skakałby z radości. Nie ma sensu zawiadamiać sukinsyna. T.C. zajął się także prasą i dopilnował, by nie narzucała się przesadnie. Wiedział, że gdy tylko Laura wróci do Bostonu, dziennikarze otoczą ją jak sępy, zaczną zadawać pytania ciekawi, jak to dokładnie jest, kiedy wyrywają ci serce z piersi, i co się wtedy czuje. Uznał, że najlepiej będzie ukryć ją na razie w apartamencie Serity, choć z doświadczenia wiedział, że nie da się ich unikać w nieskończoność.

Spojrzał na Laurę. Szukał właściwych słów, rozpaczliwie pragnął w jakiś sposób choć trochę złagodzić jej ból. Obserwował uważnie każdy jej ruch, jakby mógł wskazać mu, co powinien zrobić. Było to przedsięwzięcie beznadziejne, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

Niech cię diabli wezmą za to, co jej robisz, Davidzie! Niech cię diabli wezmą.

Wiedział, o czym Laura myśli w swym bólu, ponieważ należał do tych niewielu, którzy znali prawdę o Davidzie i o jego nieszczęściu. Na własne oczy znał jego straszne skutki. Widział, jak niemal zabija najlepszego przyjaciela.

Ale Laurze udało się je przetrwać. Dzięki Bogu, należało teraz do przeszłości. W jakiś sposób dopadła i zniszczyła upiора torturującego Davida Baskina przez większość jego życia. Niemniej oboje nie wyleczyli się z lęku przed jego powrotem.

Musieli zastanawiać się, czy naprawdę odszedł, czy może jak Godzilla czekał w ukryciu na kogoś, kto nakreśli kontynuację? Zbierał siły, gotów w sprzyjającym momencie zaatakować z mocą, która zniszczyłaby Davida na zawsze.

Laura musiała także zadawać sobie inne, bardziej bezpośrednie pytanie. Czy stworzył ten sparaliżował Davida falą potwornego bólu w chwili, gdy pływał po niebezpiecznych wodach? Czy gdyby przy nim była, mogłaby w jakiś sposób obronić ukochanego Davida przed kryjącym się w jego duszy okrutnym stworem?

Wyciągnął rękę, pogłaskał jej dłoń. Pragnął powiedzieć jej, że powinna przestać myśleć o tych sprawach. Chciał jej powiedzieć, że nie, David nie miał kolejnego ataku. I że cokolwiek by zrobiła, nie mogła zmienić tego, co się stało.

Ale tego, oczywiście, nie mógł powiedzieć. Laura nigdy nie przyjmie do wiadomości jego słów tak po prostu, nie, natychmiast zacznie wypytywać o to, skąd tyle wie o okolicznościach utonięcia męża.

A tej tajemnicy nie wolno mu zdradzić. Nigdy.



Doktor James Ayars bardzo poważnie zastanawiał się, czy nie odwołać wszystkich dzisiejszych zajęć, choć niczego podobnego nie zrobił od dwudziestu lat. Przez ten czas nie pozwolił sobie nawet na dzień choroby. Zawsze był dumny z tego, że jest taki systematyczny. Z wyjątkiem trzech tygodni wakacji, od poniedziałku do piątku zawsze zaczynał obchód o wpół do ósmej, pierwszego pacjenta przyjmował w gabinecie o dziewiątej, ostatniego o wpół do piątej, po czym następował kolejny szybki obchód, a potem powrót do domu na przedmieściach Bostonu. Jeśli z powodów osobistych brał dzień wolny, pacjenci i personel szpitala wiedzieli o tym co najmniej dwa miesiące wcześniej.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat jego rutyna pozostawała niemal nienaruszona, ale przez cały ten czas nie miał powodu do jej naruszenia, aż do wczorajszego telefonu od Laury. Przekazana przez nią wiadomość zasmuciła go i wytrąciła z równowagi w stopniu, w którym nawet człowiek tak zdyscyplinowany miał prawo rozważać wzięcie dnia wolnego. Marzył tylko, by leżeć w łóżku i spróbować się pogodzić z tak okrutnym ciosem.

Lecz w końcu uświadomił sobie, że pozostanie w domu niczemu by nie służyło. Miałby za wiele czasu na myślenie w chwili, kiedy i ciało, i umysł najbardziej potrzebowały jakiegoś zajęcia. Zadzwoił już do psychiatry Glorii – mimo ogromnych postępów nadal potrzebowała psychiatry – i opowiedział, co się stało. Pani doktor powiedziała, że chce się z nią natychmiast zobaczyć.

Odsunął fotel od biurka. Pacjenci czekali, pan Campbell na sali numer pięć, a pani Salton w trójce.

Zadzwoił telefon.

– Doktor Ayars? – spytał dobiegający z głośnika skrzekliwy głos.

– Tak.

– Telefon od pańskiej żony na drugiej linii.

– Dziękuję. – Doktor z wysiłkiem opanował strach. Podniósł słuchawkę, wcisnął



pulsujący na czerwono klawisz. – Mary?

– Cześć, James.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewała? Próbowałem cię złapać przez całą noc. Byłem pewien, że zatrzymałaś się w Four Seasons.

– Mieli jakiś zjazd. Strasznie hałaśliwy, więc przeniosłam się do Hyatta.

James zamknął oczy i przetaił powoli. Nie miał zamiaru powiedzieć żonie, że do Hyatta też dzwonił.

– Mam złe wiadomości.

– Och – powiedziała po chwili milczenia.

– Chodzi o Davida.

– Co się stało?

– Nie żyje.

– O mój Boże! Jak... popełnił samobójstwo?

Przewidywalna reakcja, pomyślał James, a głośno powiedział:

– Utonął w oceanie. W Australii.

– Przecież był takim dobrym pływakiem.

– Zapewne nie docenił siły prądu.

– Albo...

– Albo co?

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Straszne. Jak Laura sobie z tym radzi?

– Nie sądzę, by w pełni zrozumiała, co się stało, na to jeszcze za wcześnie. Jest z nią przyjaciel Davida, T.C. On załatwia wszystkie sprawy.

– Będzie zdruzgotana. Musimy pomóc jej jakoś przez to przejść.

– Pomożemy, oczywiście.

– Ale w końcu wróci do siebie – powiedziała Mary z nadzieją. – Jest silna, zawsze była.

– Niewątpliwie masz rację. – W głosie doktora wyraźnie brakowało entuzjazmu.

– Mogę złapać samolot jutro.

– Chcesz, żebyśmy wyjechał po ciebie na lotnisko?

– Nie ma potrzeby, James. Przyjadę z Logan taksówką.

– W porządku. W takim razie do zobaczenia.

Doktor odłożył słuchawkę, poprawił się w fotelu i westchnął głęboko. Mary nie umiała dobrze kłamać. Nie pofatygowała się nawet spytać, co Laura i David mieli do roboty w Australii. Spojrzał na swoje dłonie i zauważył ze zdziwieniem, że drżą.



Stan Baskin ocknął się nagle, gwałtownie. Próbował przypomnieć sobie sen, który go obudził, ale nie mógł, i w końcu się poddał. Dziewczyna – nie pamiętał w tej chwili jej imienia – spała, dzięki niech będą Bogu, mocno, odwrócona do niego plecami. Spróbował przypomnieć sobie przynajmniej to, jak wygląda, ale nie zdołał i wreszcie sobie odpuścił.

Koszmar z pewnością dotyczył ostatniego meczu Red Soksów. Do cholery,

przecież sprawa była jasna od początku. Dokładnie przestudiował materiały przedmeczowe i doszedł do jedyne go możliwego wniosku: Brewersi nie mają prawa wygrać. Milwaukee nie wyeliminuje leworękiego narzucającego, którego rekord w bezpośrednich konfrontacjach wynosi 7-0. Dodaj do tego sposób, w jaki Soksi wybijają przeciw Brewersom i jeszcze to, że grają na Fenway Park. Jeśli jest coś pewnego na świecie, to ich zwycięstwo.

Soksi przegrali 6-3.

Stan postawił na nich tysiąc dolców. Poza tym Pan K (nazywany tak, bo uwielbiał kruszyć kości) już go szukał z banalnego powodu opóźnienia kilku niewielkich rat. Tymczasem Stan wiedział, że potrzebuje tylko jednej jedynej szansy. Wiedział, że dzisiejszy mecz Astrosów z Houston z Cardsami z St. Louis to pewniak. Mike Scott był gotów wybuchnąć. Może nawet rzucić dzisiaj nie do odbicia, właśnie przeciw St. Louis. A w piątej na Yonkers biegł koń, którego po prostu uwielbiał.

Stan wyslizgnął się z łóżka po cichu, zrobił siusiu, splukał toaletę i przyjrzał się swemu nagiemu ciału odbitemu w lustrze. Nieźle jak na mężczyznę po trzydziestce, prawdę mówiąc, dużo po trzydziestce. Ciało ciągle twarde (wliczając w to Pana Szczęściarza), twarz nadal przyciągająca uwagę kobiet. Czego dowodem jest ostatnia noc, pierwsza w Bostonie.

Wrócił do sypialni. Pani Anonimowa ani drgnęła, i bardzo dobrze. Przejrzał jej toaletkę w poszukiwaniu aspiryny, znalazł kilka tabletek tylenolu, połknął trzy, mając głęboką nadzieję, że złagodzi objawy kaca, i włączył telewizor. Zmieniał stacje, póki nie trafił na tę, której szukał. Pani Anonimowa poruszyła się raz i drugi, powoli wychodziła ze śpiączki, a telewizor się nagrzewał.

Prezenter znów mówił o jego bracie. Na litość boską, można by pomyśleć, że szlag trafił prezydenta Stanów Zjednoczonych, tyle gadano o nim w mediach. Podniósł papierosa z podłogi (nie miał pojęcia, jakim cudem papieros znalazł się na podłodze). Zapalił, a prezenter gadał i gadał, i gadał.

„Świat sportu nie może otrząsnąć się z szoku po tragicznej śmierci wielkiego koszykarza Davida Baskina. Dzisiaj nasze miasto złoży ostatni hołd panu Baskinowi, legendzie Boston Celtics, człowiekowi, po którym pozostało nam tyle wspaniałych wspomnień i mistrzowskich tytułów. Nabożeństwo żałobne, w którym może wziąć udział każdy, odbędzie się w południe w Faneuil Hall. Należy oczekiwać udziału tysięcy pragnących pożegnać Davida Baskina. Mowy wygłoszą senator Ted Kennedy, prezes Boston Celtics Clip Arnstein oraz dwaj zawodnicy, środkowy Earl Roberts i rzucający obrońca Timmy Daniels”.

Stan potrząsnął głową. Całe miasto oplakuje jednego dupka. Nie do wiary. I nagle jego oczy zrobiły się strasznie wielkie, bo na ekranie pojawiło się zdjęcie Laury.

„Rzecznik zespołu oznajmił, że piękna wdowa, prawdziwa królowa świata mody, Laura Ayars-Baskin wyjdzie z ukrycia i weźmie udział w dzisiejszej ceremonii oraz planowanym później prywatnym pogrzebie. Pani Ayars-Baskin wraz z mężem spędzali utrzymywany w głębokiej tajemnicy miesiąc miodowy, gdy zdarzyła się ta tragedia. Nie widziano jej od powrotu...”.

Ten obraz zaczarował Stana. Mógł nie lubić brata (szczerze mówiąc, nienawidził

go), ale, człowieku, wdówka po nim to zupełnie inna historia. Co za ciało! Chryste, a jaka zapewne jest cudowna w łóżku, bez dwóch zdań! Taka dziewczyna musi się często pieprzyć, bez tego lada chwila zacznie łązić po ścianach. Taka dziewczyna potrafi docenić, kiedy znajdzie się przy niej prawdziwy mężczyzna. Na odmianę.

Drogi starszy braciszek kochanego Davida to właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Stan wstał.

– Dokąd idziesz?

A więc Pani Anonimowa wreszcie się obudziła. Wyteżył pamięć. Jak mówił do niej wczoraj? Jakie to było imię? Nie mógł sobie przypomnieć i w końcu dał spokój.

– Co?

– Dobrze spałeś, Davidzie?

Omal się nie roześmiał. Zwróciła się do niego jak do tamtego sukinsyna!

– W porządku.

Odwrocił się i spojrzał na kobietę po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru.

No nie!

Najpierw Red Sox przegrywają mecz, a teraz jeszcze ona. Potwór. Założyłby się o wszystko, że wczoraj wyglądała o niebo lepiej.

– Co chciałbyś dostać na śniadanie?

Chryste, ale krowa.

– Muszę już iść.

– Ale zadzwonisz?

Muuuu!

– Jasne, kochanie.

Dziewczyna opuściła pokornie głowę.

– No bo jeśli nie chcesz...

Krowa, i to natrętna. Jakim cudem w ogóle ją poderwał? Gdyby Stan nie znał siebie tak dobrze, pomyślałby, że zaczyna zaliczać wpadki.

Przyjrzał się dziewczynie. Dopiero teraz zauważył, że ma wielkie cycki. Naprawdę wielkie. To już się liczyło, ale teraz należało dać jej nauczkę. Niech wie, kto tu rządzi.

– A może wybralibyśmy się gdzieś wieczorem? – zaproponował.

Oczy jej zapłonęły, twarz rozjaśniła się radością.

– Naprawdę!?

– Jasne. Kolacja, tańce, stroje wizytowe, wszystko jak trzeba. Wskocz dziś i kup sobie jakąś suknię. Podoba ci się pomysł?

Usiadła w łóżku wyprostowana.

– Brzmi wspaniale. O której?

Znów z wysiłkiem powstrzymał się od śmiechu. Kupowała to, krowa jedna.

– Ósma? Pasuje ci? Ja mam spotkanie w interesach, więc mogę się parę minut spóźnić.

– Oczywiście.

Wyobraził sobie potwora w nowej sukni, czekającego na pukanie, którego nie będzie. Tym razem nie wytrzymał i zachichotał.

– Coś się stało, Davidzie?

Davidzie. To usprawiedliwiało chichot.

– Nie, nic, tylko przypomniało mi się coś śmiesznego.

Jeszcze raz spojrzął na dziewczynę. A może robi błąd? Może jest przesadnie brutalny? Może się myli? Może powinien się nad tym zastanowić? W końcu ma wielkie cycki...

Nie. O wiele fajniej będzie umówić się i nie przyjąć. Poza tym na ten wieczór ma przecież wielkie plany. Pora przedstawić Stana Baskina wielkiemu miastu Boston i jego dziennikarzom...

...i Laurze Ayars.



Wielkie tytuły były z pierwszych stron gazet na całym świecie.

Śmierć Davida była zdarzeniem rzucającym wyzwanie każdemu dziennikarzowi. Nie istniał sportowiec tak dobrze znany na świecie jak on, nie tylko dlatego, że był wspaniałym koszykarzem, że zdziałał cuda na olimpiadzie, że jako stypendysta Rhodesa zdominował europejską koszykówkę, lecz przede wszystkim ze względu na nieustanną, niezmordowaną pracę z upośledzonymi dziećmi. Dodajmy do tego jego ślub z piękną supermodelką Laurą Ayars, twórczynią linii Svengali, i możemy już bez zdziwienia obserwować, jak ślinią się przedstawiciele mediów.

Co czyni news jeszcze bardziej pikantnym? Oczywiście tragedia spotykająca szczęśliwą parę. Ukochani uciekli na koniec świata, zorganizowali sobie sekretny miesiąc miodowy w Australii i oto wspaniała Biała Błyskawica pada ofiarą zwykłego głupiego wypadku, tonie, pozostawiając piękną wdowę, oplakującą okrucieństwo losu.

Dla gazet wszędzie, od Warszawy po Nowy Jork i od Bangkoku po Leningrad, był to materiał na pierwszą stronę. Każda, od tabloidu z hipermarketu po rządowy informator, zajęła się tym tematem, a wszystkie prześcigały się w chwytliwych tytułach informujących, że Biała Błyskawica już nie zdobędzie punktów, że natura powstrzymała gracza, którego nie potrafił powstrzymać człowiek. Jednak, przynajmniej zdaniem Laury, to „Boston Globe”, głos rodzinnego miasta Celtów, trafił najbliższej dziesiątki, kiedy wielkimi, czarnymi, prostymi literami kazał krzyknąć z bólu:

### BIAŁA BŁYSKAWICA NIE ŻYJE

Odłożyła gazetę na łóżko, opadła na poduszkę, zapatrzyła się w sufit. Nie mogła przestać mrugać nerwowo. Serita próbowała chronić ją przed gazetami, ale Laura nalegała, a przyjaciółka nie była przecież kimś, kto mógłby dyktować jej, co ma robić, a czego nie. Już trzeci dzień Laura nie wychodziła z jej mieszkania, leżała na łóżku w gościnnej sypialni i przypominała sobie to, co przeczytała, a zwłaszcza fragment o tym, że ciało Davida znaleziono „opuchnięte i uszkodzone w stopniu uniemożliwiającym jego rozpoznanie”.

Płakała, choć nie miała wrażenia, że to ona płacze. Była jak sparaliżowana i zbyt cierpiała, by po prostu płakać. Płacz niczemu nie służył. Jej bólu nie da się ukoić łzami, jest zbyt silny, zbyt wielki. Wiedziała, że media szukają jej wytrwale, ale bardzo niewielu ludzi znało jej kryjówkę, a Serita czuwała nad nią niczym izraelski żołnierz na lotnisku.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że dziś będzie wreszcie musiała wstać z łóżka, wyjść spod opiekuńczych skrzydeł Serity, stanąć przed światem, po raz pierwszy od dnia, gdy David...

Niemożliwe, żeby zginął. To po prostu niemożliwe. Proszę, powiedzcie mi, że to nieprawda. Proszę, powiedzcie mi, że to tylko głupi żart i że kiedy go teraz zobaczę, będę mogła zrobić mu koszmarną awanturę za to, iż tak mnie przestraszył. Proszę, powiedzcie mu, że każdy żart ma swoje granice, bo wiem, że tak naprawdę nic mu się nie stało, że jego ciała nie rozdarł ostry koral i kamienie.

– Lauro...

Spojrzała na starą, wypróbowaną przyjaciółkę. Serita (nie używała nazwiska) była oszałamiającą pięknoscią i jedną z zaledwie kilku kobiet mogących konkurować z Laurą pod względem urody. Miała przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu, bardzo szczupłe, lecz umięśnione ciało i przepiękną mahoniową skórę. Kiedy spotkały się przed sześciu laty, należała do czołówki czarnych modelek. Szybko zaprzyjaźniła się także z Davidem, którego poznała dwa lata temu. David polubił ją tak bardzo, że osobiście skontaktował dziewczynę ze swym najlepszym przyjacielem z boiska, mającym dwa metry piętnaście wzrostu środkowym Celtów, Earlem Robertsem.

– Tak?

– Kochanie, musisz wstać. Dzwoniła Gloria. Przyjadą z ojcem za godzinę.

Laura nie odpowiedziała.

– Ale najpierw chcę z tobą porozmawiać.

– O czym?

– O twojej matce – odpowiedziała Serita. Nie od razu.

Oczu Laury błysnęły gniewem. Ożyły po raz pierwszy od śmierci Davida.

– A konkretnie?

– Chce przyjechać na pogrzeb.

– Niech się pieprzy.

– To twoja odpowiedź?

– To moja odpowiedź.

Serita wzruszyła ramionami.

– Jestem tylko sekretarką. A teraz poderwij tyłek z tego łóżka.

Laura spędziła w nim trzy dni, ale nie spała. Nie zaznała sekundy ucieczki od koszmaru, którym stała się rzeczywistość. A w tej chwili nie chciało jej się wstać, nie chciało jej się ubrać, nie chciało jej się wziąć udziału w publicznym nabożeństwie w Faneuil Hall.

Bardzo cię kocham, Davidzie. Wiesz, że już nigdy nikogo nie pokocham. Proszę, wróć do mnie. Proszę, wróć do mnie, przytul mnie tak delikatnie, powiedz jeszcze raz, jak mnie kochasz, jakie cudowne będzie nasze wspólne życie. Opowiedz mi jeszcze

raz o tym, co nas będzie łączyć, i o dzieciach, które wychowamy.

– Spodziewają się potężnych korków – mówiła dalej Serita. – Moim zdaniem cały Boston będzie próbował wbić się w Quincy Market. Mamy tylko nadzieję, że Earl nie spaprze swojej mowy.

Laura robiła, co mogła, ale i tak łzy spłynęły jej po policzkach.

– Posłuchaj. – Przyjaciółka delikatnie ściągnęła z niej pościel, pomogła jej usiąść. – Przecież musisz tam być.

Laura otarła twarz rękawem.

– Wiem. Cieszę się, że to on wygłosi mowę pogrzebową. Cieszę się, że jesteście razem.

– Nie jesteśmy razem – sprostowała Serita z naciskiem – tylko się pieprzymy.

Laura roześmiała się z wysiłkiem.

– Wspaniale!

Serita była najlepszą przyjaciółką Laury z wyjątkiem Glorii, jeśli można zaliczyć siostrę do przyjaciółek, a w czasach, gdy Laura była jeszcze aktywną modelką, właściwie nie przyjaźniła się z koleżankami po fachu. Nie z powodu idiotycznego, lecz powszechnego przekonania, że wszystkie jak jeden mąż są idiotkami, bo nie są, tylko czasami ich wyobrażenie o samych sobie nie pozwala poznać prawdy. Poza tym, ponieważ Laura była niekwestionowanym numerem jeden ich świata, dość powszechnie jej zazdrozczono. Wątpiła jednak, by Serita kiedykolwiek doświadczyła uczucia zazdrości.

Dzisiaj miasto Boston zamierzało odsłonić przedstawiającą Davida rzeźbę z brązu w Faneuil Hall, obok podobnej Clipa Arnsteina. Clip, siedemdziesięcioletni prezes Celtów, należał do tych niewielu ludzi, których David lubił i poważał. To on oraz burmistrz, senator Ted Kennedy (którego nieszczególnie poważał), Earl i Timmy Daniels, także gracz Celtów, mieli wygłosić przemówienia podczas uroczystości.

Prace nad rzeźbą zaczęły się dawno temu, choć jej przeznaczenie było inne. Przewidywano, że ozdobi mały plac zabaw szkoły dla niepełnosprawnych dzieci, by upamiętnić zaangażowanie Davida w pracę z nimi. Okoliczności sprawiły, że pośpiesznie ukończona stanie się dziś pamiątką jego przedwczesnej śmierci. Laura westchnęła. Nie potrafiła obronić się przed myślą, że David z pewnością wolałby widzieć samego siebie przed szkołą.

Potem miał się odbyć prywatny pogrzeb. Pogrzeb! Serita poprowadziła do łazienki oszołomioną, kręcącą głową przyjaciółkę. Rozległ się szum wody.

– No już, wchodź.

Laura weszła pod prysznic, woda rozprysnęła się na jej nagim ciele.

Nie każ mi iść na jakieś nabożeństwo, Serito. Nie ma powodu, naprawę. Bo widzisz, David wcale nie zginął. To kłamstwo. Z nim wszystko jest w porządku, ja to wiem. Przecież obiecał, że nigdy mnie nie opuści. Że pozostaniemy razem na zawsze. On nigdy nie złamał danego słowa. Przecież wiesz. No i rozumiesz, że nie może nie żyć. Nie może. Nie może nie...

Powoli, bezwładnie osunęła się po śliskiej, wyłożonej kafelkami ścianie, aż usiadła w kącie kabiny. Zasłoniła twarz dłońmi i rozpłakała się.



Chirurg spojrział na wiszący na przeciwległej ścianie zegar.

Za piętnaście piąta. Rano.

Odetchnął głęboko. Szył jeszcze kilka minut, wreszcie zamknął ostatnią ranę.

Operacja trwała sześć godzin.

Wyszedł z zaimprovizowanej sali operacyjnej, zdjął maskę, rzucił ją do szuflady. Podszedł do przyjaciela i współnika. Zauważył, że tym razem denerwuje się znacznie bardziej niż normalnie.

Ale to można było zrozumieć.

– Jak poszło?

– Bez komplikacji.

Jego przyjaciel westchnął z wielką ulgą.

– Jestem twoim dłużnikiem, Hank.

– Nawet nie wiesz jakim. Zaczekaj na rachunek.

Reakcją na ten żart był nerwowy chichot.

– Co teraz?

– To samo co zwykle. Nie wolno mu nic robić co najmniej przez dwa tygodnie. Za dwa tygodnie go zbadam.

– W porządku.

– Zostawię pielęgniarkę.

– Ale...

– Już się tym zajmowała. Można jej zaufać.

– To trochę inna sprawa, nie uważasz?

Chirurg musiał się zgodzić z tym twierdzeniem. Sprawa była rzeczywiście nietypowa.

– Jeszcze raz mówię ci, że jest godna zaufania. Współpracuje ze mną od lat. A on musi mieć pielęgniarkę.

Jego przyjaciel zastanawiał się przez długą chwilę.

– Chyba masz rację – przyznał niechętnie. – Coś jeszcze?

Chirurg miał milion pytań, ale działał w biznesie wystarczająco długo, by wiedzieć, że odpowiedzi na takie pytania mogą być bardzo, nawet śmiertelnie niebezpieczne. Więc tylko pokręcił głową.

– Do zobaczenia za dwa tygodnie.

Telefon zadzwonił, kiedy Judy Simmons, ciotka Laury, pakowała się na wyjazd do Bostonu.

David nie żyje, Judy. Możesz wmówić w siebie wszystko, co nie zmieni faktu, że ty jesteś winna.

Zamknęła oczy. Próbowwała uciszyć okrutny głos, ale oskarżenia nadal odbijały się echem w jej głowie.

Mogłaś to powstrzymać, Judy, ale teraz jest już za późno. David nie żyje, to twoja wina...

Nie chciała więcej tego słuchać. Niedawno skończyła czterdzieści dziewięć lat i była samotna; zawsze była samotna, a nigdy tego nie chciała. Nie tego chciała, ale tak się złożyło, że jeśli chodzi o mężczyzn, miała szczęście Wileya E. Kojota goniącego Strusia Pędziwiatra. Czy też, by być dokładniejszym, każdy jej związek kończył się katastrofą rozmiaru pożaru „Hindenburga”. Choć nie była porażającą pięknoscią jak jej siostra Mary, według obowiązujących standardów z pewnością mogła uchodzić za atrakcyjną. Twarz miała przeciętnie ładną, figurę doskonałą, a jej największym atutem były piękne kasztanowate włosy do ramion. Mężczyźni zawsze ją lubili. Problem w tym, że z jakiegoś powodu przyciągała niewłaściwych mężczyzn.

To nie do końca prawda. Omal nie dostałam najlepszego.

Dwukrotnie.

Lecz to było dawno temu. Lepiej zapomnieć. A poza tym i tak miała prawo czuć się szczęśliwa. Była profesorem angielskiego Colgate College i choć zimy bywały tu ostre, lubiła styl życia małej społeczności. Dawało jej to zadowolenie, satysfakcję...

Nudziło.

Może. Jednak odrobina nudy nie zawsze jest taka zła. W tej chwili miała wielką ochotę na to, żeby się ponudzić. Błagała o nudę. Nie marzyła o nowych niespodziankach.

Jej nieszczęśliwa piękna siostrzenica. Że też tak okropna rzecz musiała się przydarzyć właśnie jej. Być może, była w tym ręka Boga? – pomyślała Judy. Dziwne, że taka myśl mogła zrodzić się w głowie kobiety niemającej żadnych związków z religią, kobiety, która zawsze z pogardą traktowała „pocieszające” słowa wypowiedane w obliczu tragedii: „wola boska”. Ale zrodziła się.

Może była w tym właśnie wola boska? Niech tak będzie, proszę. Śmierć Davida musiała być wynikiem woli boskiej. Albo jakimś przedziwnym, tragicznym przypadkiem. Albo...

Nie, to zbyt straszne, by choćby o tym myśleć. Włożyła do walizki gruby sweter i w tym momencie zadzwonił telefon.



– Halo?

– Judy?

Dzwoniła jej siostra.

– Witaj, Mary. Jak się czujesz?

Odpowiedzią był płacz.

– Okropnie. Laura ciągle nie chce ze mną rozmawiać. Ona mnie nienawidzi. Nie wiem, co robić.

– Daj jej trochę czasu.

– Wiem, że zawsze będzie mnie nienawidzić.

– Ona teraz bardzo cierpi, Mary.

– Myślisz, że nie wiem? – warknęła jej siostra. – Przecież wiem. Doskonale. Jestem jej matką, na litość boską! Potrzebuje mnie.

– Oczywiście, że cię potrzebuje.

– Judy?

– Tak?

Na chwilę zapadła cisza.

– Nie powiedziałam ci wszystkiego.

– Nie rozumiem.

Judy znów usłyszała w słuchawce płacz.

– Powinnam była zadzwonić wcześniej. I chciałam, naprawdę. Ale wiedziałam, że będziesz próbowała mi to wyperswadować.

Serce Judy zatrzepotało w piersi.

– Mary, co się stało? Chyba nie...

Mary płakała niepowstrzymanie.

– A ty co byś zrobiła? Nie rozumiesz, że nie miałam wyjścia? Jest moją córką. Nie mogłam tylko siedzieć i patrzeć. A teraz... Boże, przecież nie tego chciałam.

Judy nerwowo skręcała sznur telefonu. Sięgnęła myślą w przeszłość. Jak długo? Ilu ludzi musi zapłacić, nim wszystko się skończy? I dlaczego muszą cierpieć niewinni? Dlaczego niewinni muszą płacić za grzechy innych?

Zachowanie spokoju wymagało od niej wielkiego wysiłku.

– Może po prostu powiedz mi, co się stało?



Ciemne okulary chroniły oczy przed promieniami ciepłego, wiosennego słońca, ale Laura założyła je nie tylko z tego powodu. Był też ważniejszy: osłaniały spuchnięte powieki przed światem, w tym wycelowanymi w nią ze wszystkich stron kamerami. Zajęła miejsce na podwyższeniu, mając po prawej stronie T.C., po lewej Seritę. Koło Serity siedział Earl. Fotoreporterzy przepychali się, byle podejść jak najbliżej poblądłej wdowy. Laura zauważyła, że T.C. obrzuca ich wściekłym spojrzeniem i zaciska w pięści złożone na kolanach dłonie.

Znajdowali się w Faneuil Hall, jednym z najpopularniejszych miejsc wypoczynku w Bostonie. Właściwszą nazwą byłaby Żarcie Hall. Rzecz jasna, w galerii znajdowały się przeróżne sklepy: odzieżowe, butiki, księgarnie, nawet Sharper Image. Ale nie

powinno to nikogo zmylić – liczyło się jedzenie, wielkie ilości jedzenia, niezmierna obfitość jedzenia, wszystkie rodzaje jedzenia. Jedno przy drugim stały stoiska: hinduskie, chińskie, włoskie, greckie, meksykańskie, japońskie, libańskie... chyba każdy istniejący kraj podawał tu specjalności swej kuchni. Prawdziwa organizacja narodów zjednoczonych kulinariami.

Jeśli z jakiegoś niezbadanego powodu ktoś miał ochotę na coś więcej, posiłek można było zakończyć w barze specjalizującym się w owocach tropikalnych, lodziarni, przy stoisku z mrożonymi jogurtami, w ciastkarni lub sklepie ze słodyczami. David zażartował kiedyś, że na wadze przybiera się tu od samego spaceru.

A przy tym prawie nie było gdzie tu usiąść, co czyniło doświadczenie tym bardziej ekscytujące. Laura pamiętała, jak bawiło go obserwowanie jakiegoś biednego faceta, który na stojąco balansował trzymanym souvlaki, serwetkami, truskawkowym daiquiri oraz taco, starając się ze wszystkich sił niczego nie upuścić.

Bawiło go...

Nie potrafiła uwierzyć, że w ten sposób pomyślała o Davidzie.

Bawiło...

W Faneuil Hall zawsze było mnóstwo ludzi, ale nigdy nie widziała tu takiego tłoku. Z miejsca na podwyższeniu widziała tysiące, a może nawet setki tysięcy głów, morze ludzi rozciągające się po najdalszy horyzont, ludzki dywan zakrywający wszystkie dostępne miejsca.

Dziś wszystkie restauracje, bary, sklepy i salony zostały zamknięte na cztery spusty. Nawet daleki Boston Garden sprawiał wrażenie pogrążonego w żałobie, jak zniszczony życiem starzec przyglądający się z rozpaczą śmierci ukochanego syna. Inne budynki miejskie, zarówno te ceglane, kolonialne, jak i nowoczesne wieżowce ze szkła, asystowały mu z opuszczonymi głowami. Mogło się wydawać, że całe miasto – ludzie, gmachy, ulice i pomniki – choć przez chwilę pogrążyło się w żalu z powodu śmierci Davida Baskina.

Ukryte za okularami oczy Laury spoglądały to w jedną, to w drugą stronę. Przyjaciele Davida, kibice, gracze z jego drużyny, Faneuil Hall, stary, zamazany napis: Boston Garden. Zbyt wiele tego było, zbyt potężnie atakowało zmysły. Kręciło jej się w głowie. Osłabła. Zaledwie słyszała wypowiedane wzniosłe opinie. Docierały do niej tylko fragmenty zdań, jakby w jej umyśle działał jakiś filtr. Przypuszczała, że włączył się mechanizm obronny, broniący ją przed załamaniem, ale brakowało jej energii, by dokładnie to sobie przemyśleć.

„David był człowiekiem niezwykle lojalnym. Kiedy przyjaciel miał problem, to był jego problem. Pamiętam, jak kiedyś...”

Spojrzała na T.C. Nie widziała go od chwili, gdy oddał ją w ręce Serity, teraz zauważyła, że chyba nie spał ani się nie golił od dnia powrotu z Australii niemal przed tygodniem. W jego przekrwionych oczach dostrzegła troskę. Uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć, że wszystko jest w najlepszym porządku, i odwróciła od niego wzrok.

„Był jednym z tych niewielu znanych mi ludzi, którzy nie muszą niczego nikomu

odebrać, żeby sobie dodać. Gratulowałeś mu, bo zagrał świetny mecz, a on podkreślał, jak dobrzy byli koledzy z drużyny. Wspomniałeś, że ciężko pracuje z niepełnosprawnymi dziećmi, a on opowiadał, jakie są dzielne. Przy tym, jeśli o chodzi Davida, nie było mowy o fałszywej skromności...”.

Miejsce obok Serity było wolne, Timmy Daniels skończył swą mowę, ustępując miejsca Earlowi. Laura robiła, co w jej mocy, by słuchać go uważnie, a to, co usłyszała, wydało jej się piękne, poruszające, płynące wprost z przepełnionego bólem serca. Widziała, że traci panowanie nad sobą, że mówi zdławionym głosem, że jego potężne, przeszło dwumetrowe ciało chwieje się niekontrolowanie, i przypomniła sobie opinię Davida, według której reagował on tak emocjonalnie jak żaden inny znany mu mężczyzna.

Kto znający przeszłość ich obu potrafiłby sobie wyobrazić, że zostaną bliskimi przyjaciółmi?

Laura nie miała pojęcia o koszykówce w czasach, gdy David i Earl po raz pierwszy spotkali się na boisku, ale wiedziała, jakim wstrząsem dla wszystkich było to, że się zaprzyjaźnili. Dla wszystkich z wyjątkiem Clipa Arnsteina, który to oczywiście zaaranżował.

Obaj byli zaciętymi rywalami od czasów szkolnych, gdy grali w licealnej drużynie w Michigan. Prasa tylko zaostrzała tę rywalizację, spekulując bezustannie, który dostanie lepsze stypendium i w jakiej drużynie uniwersyteckiej będzie grał. Na ich starciach roilo się od dziennikarzy, a szczególnym smaczkim były dla nich finały stanowe. David i Earl spotkali się w nich trzykrotnie i tę rundę wygrał Earl dwa do jednego.

Zajmowali miejsca na szczycie listy pożądaných studentów, mogli przebierać jak w ulegawkach. David wybrał Uniwersytet Michigan, Earl – Notre Dame. Rywalizacja zdecydowanie się zaostrzyła. Kibice w nieskończoność analizowali mocne i słabe punkty graczy i kłócili się zażarcie, każdy pewien, że jego faworyt jest lepszy. Media nadal porównywały białego gracza wzrostu metr dziewięćdziesiąt pięć z czarnym o wzroście dwa pięćnaście. Uniwersytecka koszykówka kręciła się wokół dwóch supergwiazd.

Wojownicy nie zawadzili. Za ich kariery Michigan i Notre Dame dwukrotnie spotkały się w półfinałach. Po raz pierwszy, gdy David był na pierwszym roku; nie mógł wówczas grać z powodu pechowej kontuzji – wieczorem w przeddzień meczu złamał nogę w kostce. Ale kibice mieli szczęście, trzy lata później David i Earl spotkali się w finale.

Był to bez wątpienia najbardziej oczekiwany finał w historii uniwersyteckiej koszykówki. Przeszedł do legendy. Każdy magazyn sportowy publikował materiały o meczu, który szybko zaczęto nazywać meczem dziesięciolecia. Na okładce „Sports Illustrated” pojawiło się zdjęcie Davida i Earla, mierzących się wzrokiem, obu szyderczo uśmiechniętych. Z podpisem: „Który z nich bardziej chce zostać mistrzem NCAA”?

Bitwa okazała się warta aż takich przygotowań. Od samego początku była starciem geniuszy. Obie drużyny realizowały strategie jak w szachach. Ale to końcówka na

zawsze przeszła do historii. Do końca pozostało dwadzieścia sekund. Notre Dame Earla prowadziło 87-86. David zaatakował i rzucił z dystansu, z odchylenia, całkowicie, wydawałoby się, wytracony z równowagi. Michigan objęło prowadzenie 88-87.

Zegar wskazywał siedemnaście sekund do końca gry.

Notre Dame wzięło ostatni czas. Trener nakazał podanie do Earla, rozgrywającego świetne spotkanie i mającego już na koncie trzydzieści cztery punkty. Załedwie dwa więcej i jego drużyna zdobędzie najcenniejsze trofeum uniwersyteckiej koszykówki.

Plan był prosty: Earl dostanie piłkę pod koszem, koledzy odciągną kryjących, a on już zrobi swoje.

Notre Dame wprowadziło piłkę do gry. Rozgrywało ją po okręgu, szukając okazji do podania, ale Earl był dobrze kryty.

Osiem sekund.

Rozgrywający znalazł kawałek wolnego miejsca. Podał po zwodzie w lewo. Earl przyjął podanie.

Trzy sekundy.

Earl wykonał zgrabny zwód, zrobił sobie miejsce, podszedł kozłem pod kosz, wyskoczył do wsadu, w całej koszykownicy nie było nic łatwiejszego...

Tylko okazało się, że nie ma piłki.

Odwrócił się równo z syreną oznaczającą koniec meczu. Piłkę trzymał David. Przejął ją od wielkiego środkowego, zapewniając tym zwycięstwo Uniwersytetowi Michigan.

Earl był zdruzgotany, prasa zachwycona. Rozpisywała się w nieskończoność o sporach między gwiazdami, o nabierającej nieprzyjemnych tonów rywalizacji, o rodzącej się głębokiej wzajemnej niechęci. David i Earl spotykali się niemal wyłącznie na boisku.

O niechęci zaczęło się mówić więcej, w miarę jak zbliżał się draft do NBA. Znowu zaczęto się spierać o to, który zawodnik znajdzie się na czele listy. I znowu kibice podzielili się na obozy.

W tym momencie do gry wszedł Clip Arnstein, niewysoki, łysy, stary i wyglądający raczej na pracownika delikatesów niż drużyny zawodowej koszykówki. I zagrał *va banque*.

Sporo ryzykował i wielu twierdziło, że wymieniając trzech weteranów na dwóch zielonych z draftu, podejmuje za duże ryzyko. Ale Clip miał za sobą praktykę sięgającą lat czterdziestych i nie zamierzał akurat teraz przejmować się komentarzami sceptyków.

Rankiem w dniu poprzedzającym draft Celtowie ogłosili, że zdobyli prawo do numerów jeden i dwa, a kiedy komisarz NBA wezwał prezesa Celtów do wybrania pierwszego zawodnika, Clip Arnstein wstał, zapalił cygaro, wyjął z kieszeni monetę i krzyknął do Earla Roberta: „Decyduj, orzeł czy reszka?”

– Słucham, panie Arnstein? – zdziwił się Earl.

– Kazałem ci wybrać: orzeł czy reszka.

Earl wzruszył ramionami.

– Niech będzie orzeł.

Clip rzucił monetą.

– Orzeł. Jesteś pierwszy na liście. Baskin, jesteś drugi.

Tłum zamarł. Odwieczni rywale mieli zagrać w jednej drużynie!

Earl kończył mowę. Spojrzał na Laurę, uśmiechnął się i powiedział po prostu: „Kocham cię, Davidzie. I zawsze będę cię kochał”.

Ustał miejsca śmiertelnie blademu Clipowi. Sceptycy mogli z pewną dozą prawdopodobieństwa twierdzić, że jest zdruzgotany, bo stracił to, co miał najcenniejszego, ale Laura za często widywała go razem z mężem, by choć przez chwilę uwierzyć w te bzdury.

Patrzyła, jak stary podchodzi do odgradzonego liną na słupkach miejsca, w którym stała rzeźba przedstawiająca go siedzącego na ławce, uśmiechniętego, a nie, jak teraz, z twarzą skrzywioną w grymasie cierpienia. Ściągnął płótno okrywające do tej pory drugą rzeźbę. Laura westchnęła głośno, nie ona jedna. Jakimś cudem artyście udało się doskonale przedstawić Davida z jego kpiącym uśmiechem i wielką duszą...

W tej chwili Laura marzyła tylko o tym, by nie żyć i nie czuć już bólu tej straty...

Błagam, nie chcę, żeby to się ciągnęło. Chcę znowu być z Davidem, z moim ukochanym Davidem. Proszę, żyj... niech mój David żyje...

Na szczęście ceremonia już się kończyła. Ludzie wychodzili powoli, za chwilę wrócą samochodami do swych bezpiecznych domów. Otepiąła, niczym otoczona kłębamii nieprzeniknionej mgły, Laura słuchała głosów. tylu głosów.

– Tak mi przykro...

– Prawdziwa tragedia...

– Najlepiej jest...

– Dlaczego on...?

– To takie smutne...

Przytakiwała machinalnie, skłaniała głowę, słowa zbijaly się w wielką, nic nieznaczącą falę dźwięku... i nagle drgnęła. Ten głos dosłownie nią wstrząsnął

– Jestem bratem Davida, mam na imię Stan.



Jakimś cudem zdołała przetrwać pogrzeb. Jakimś cudem minęły niekończące się godziny, wypowiedziano wszystkie poważne słowa, ziemia zasypała trumnę. Jakimś cudem Laurze udało się przetrwać w otępieniu, odgradzić od rzeczywistości zasłoną mgły. Gdyby nie to, gdyby w pełni rozumiała, co się dzieje, z pewnością zaczęłaby krzyczeć, aż utraciłaby głos wraz ze zmysłami.

Ojciec pomógł jej wysiąść z samochodu, łagodnie poprowadził ją w kierunku domu. Na okrągłym podjeździe stało kilka samochodów, a drogę dojazdową zagrodzono, próbując utrzymać prasę z daleka. Mimo to Laura słyszała trzaski migawek aparatów z teleobiektywami, ciągle, nieprzerwane niczym atakujące uszy brzęczenie złowrogich owadów. Kolana znów się pod nią ugięły, ale ojciec był na miejscu, podtrzymał ją, nie upadła tylko dzięki niemu. Mocniej uchwycił ją za ramię i właściwie zaniósł do środka.

Było to spotkanie prywatne, tylko dla najbliższych. Laura dostrzegła kolegów z drużyny Davida, jego trenerów, Clipa, Seritę, Glorię, Judy, ojca i oczywiście wielką niespodziankę: Stana Baskina. Dziwne, ale spośród wszystkich obecnych nigdy nie spotkała właśnie jego, jedynego żyjącego krewnego męża. Przez całą ich znajomość wspomniał o nim raz, może dwa. Wiedziała, że braciom się nie układało, ale od dziś to, co ich różniło, należy już do przeszłości. Stan jest rodziną, przyszedł opłakiwać śmierć brata, a w obliczu śmierci wiele się wybacza, wiele zapomina; przynajmniej to nie stanowi tragedii.

Po jakichś dwudziestu minutach Laura mogła wreszcie odpocząć na kanapie, wreszcie sama. Siedziała bezwładnie, wpatrując się w swoje stopy. Nagle dostrzegła przy nich elegancko wyglansowane buty. Podniosła wzrok, spojrzała w oczy brata Davida. Nie brata bliźniaka, nic z tych rzeczy, ale rodzinnego podobieństwa nie dało się ukryć. Rozpoznała Stana, jej serce przeszły ból, a łzy znów napłynęły do oczu.

– Nie usiądziesz? – spytała.

– Dziękuję.

Laura zawahała się, przelknęła z wysiłkiem.

– To miłe, że przyjechałeś – powiedziała.

Stan powoli skinął głową.

– Tak mi przykro. Tyle rzeczy pozostało niedopowiedzianych... o tylu powinienem był powiedzieć wcześniej, znacznie wcześniej.

– Nie musisz nic mówić.

– Wręcz przeciwnie, Lauro. Muszę zrzucić z piersi ten ciężar. – Westchnął ciężko, jego przystojna, smutna twarz poorana była głębokimi bruzdami. – David był moim małym braciszkiem. Ciągle pamiętam ten dzień, kiedy się urodził. Miałem dziesięć lat. Rozumiesz, David to był taki mały wypadek przy pracy. – Zaśmiał się cicho. – Tak czy inaczej, kochałem go jak szalony, a on trzymał się mnie, jakbym był jego bohaterem. Gdziekolwiek poszedłem, szedł ze mną. Głównie dlatego, że nasz ojciec umarł, pewnie, ale szkoda, że nas wtedy nie widziałaś. Byliśmy nierozłączni. Bawiliśmy się na podwórku, lepiliśmy ze śniegu bałwany, chodziliśmy do szkoły, zbieraliśmy gąsienice... jak dwoje tak bliskich sobie ludzi może do tego stopnia oddalić się od siebie? Co wywołuje tak ogromne zmiany? Nigdy nie przestałem go kochać, Lauro. Niezależnie od tego, co nas rozdzieliło, nigdy nie przestałem go kochać.

Szerokie ramiona zdrząły. Rozplakał się. Laura ujęła jego dłoń.

– Jestem pewna, że onto zrozumie, Stan. I jestem pewna, że on też nigdy nie przestał cię kochać.



Stan płakał niepowstrzymanie.

Och, mój dobry człowieku, jesteś nie do przebicia! Ona to kupiła! Kupiła to wszystko! Byleś tylko nie przesadził, chłopcze, a wyskoczy z majtek, nim zdążysz się obejrzeć.

Zerknął na Laurę. Roześmiał się, a jego śmiech zabrzmiał jak szloch. Laura

próbowała go pocieszyć.

Ale z niej gorąca sztuka. Właśnie pogrzebała mężulka, a już trzyma mnie za rękę!  
Laura obserwowała go uważnie.

Jakie to smutne! Stan nigdy nie wybaczy sobie, że nie powiedział Davidowi, co czuje. A teraz jest już na to za późno. Za wiele czasu zmarnowali przez drobiazgi.

Za plecami Stana, w prowadzących na korytarz drzwiach pojawiła się twarz, spuchnięta od łez i udręki bezsennej nocy. Twarz potarganej kobiety, bladej jak upiór. Laura pomyślała o Davidzie i Stanie, o czasie, który zmarnowali na jakiś absurdalny spór, którego przyczyn pewnie już nie pamiętali, i widząc tak zazwyczaj piękną matkę, zaczęła zastanawiać się nad sensem własnego zachowania.

Wszyscy myśleli, że ona i David uciekli do Australii przed zainteresowaniem prasy, ale była to tylko część prawdy. Główny powód ich ucieczki pojawił się właśnie w pokoju. Nie wiedziała, co właściwie powinna teraz zrobić. Tak bardzo pragnęła nauczyć się czegoś z błędów Stana, uwolnić się od gniewu, pogodzić z matką, ale...

– Lauro, chcę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście, mam. O czym?

– O tym chłopcu, z którym się spotykasz.

– Davidzie?

– Chyba ci już mówiłam, że nie chcę, żebyś się z nim spotykała?

– Mówiłaś. Kilkakrotnie.

– Więc dlaczego mnie nie posłuchałaś?

– Ponieważ nie mam już osiemnastu lat. Mogę się spotykać, z kim chcę.

– Ale ja go nie lubię!

– Więc to chyba dobrze, że nie jest twoim chłopakiem.

– Nie bądź przemądrzała, Lauro. Nie chcę, żebyś się z nim spotykała.

– Dlaczego go nie lubisz? Dlaczego nie chcesz nawet z nim rozmawiać?

– Nie muszę. Znam ten typ.

– Typ? Co to niby ma znaczyć?

– Playboy z mnóstwem pieniędzy. To do ciebie nie pasuje.

– Wiesz, że nie byłabym z nim, gdyby był playboyem z mnóstwem pieniędzy.

– Zdziwiłabyś się, wiedząc, co uchodzi płazem mężczyznom.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Właśnie ci powiedziałam.

– Cóż, David nie jest taki.

– Przestań się z nim spotykać, Lauro. Koniec dyskusji.

– Nie przestanę się z nim spotykać. Bo tak się złożyło, że go kocham.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Och, Lauro, proszę, powiedz mi, że to nieprawda.

– Co możesz mieć przeciwko temu? Nie rozumiem...

– Właśnie o to chodzi! Nie rozumiesz. Wystarczy, żebyś mi zaufała. Nie pasuje do ciebie. Spójrz tylko na historię rodziny. Jego ojciec...

– Nie jest swoim ojcem. A w ogóle to skąd, do diabła, wiesz?

– Proszę cię, Lauro! Błagam! To może się skończyć tylko nieszczęściem. Przestań

się z nim spotykać, zanim będzie za późno.

Oczy Laury i jej matki spotkały się na krótką chwilę. Wiele osób twierdziło, że są do siebie bardzo podobne, co Laura uznawała, według swych kryteriów, za duży komplement. W tej chwili bardzo pragnęła wstać, podejść do matki, przytulić ją serdecznie, przebaczyć. Ale ból był jeszcze zbyt wielki, a potrzeba obciążenia kogoś winą, choćby i niesprawiedliwie, nadal nieopanowana. Tego akurat nie potrafiła zrobić.

Opuściła wzrok i odwróciła się.

Gloria stała w kącie, nerwowo przecierając twarz. Przez długość pokoju obserwowała siostrę. Dlaczego coś takiego musiało zdarzyć się właśnie im, jej i Davidowi? Gloria przez całe życie kusiła śmierć, drażniła ją, traktowała swe życie niczym przynętę dla niej. Ale z jakiegoś powodu śmierć nie chwyciła przynęty. Nie tę, ta nie była dla niej wystarczająco dobra. Pragnęła tych dobrych, tych, którzy się liczą, takich jak David. Śmierć nie zaprzęta sobie głowy nieważnymi.

Podeszła do baru, przygotowanego przez ojca dla żałobników. Po raz pierwszy od dnia, gdy Laura przemocą zabrała ją do kliniki, naprawdę zapragnęła się napić, sztachnąć się, wziąć niucha, zażyć cokolwiek, co uspokoiłoby jej nerwy. Ojciec zdawał sobie z tego sprawę. On i doktor Jennifer Harris, jej psychiatra, nie zostawili jej samej sobie, za co była im niezwykle wdzięczna.

Z chwili na chwilę Gloria stawiała się coraz silniejsza. Zadziwiła znajomych tym, jak daleko udało się jej zejść, lecz przed sobą miała o wiele dłuższą drogę. Czowała się już wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie jest w pełni zdrowia, że same postępy, więcej, całe jej życie, ciągle jeszcze są bardzo kruche. Więc nie przeszkadzało jej uważne spojrzenie ojca, śledzącego każdy jej ruch nawet teraz, gdy rozmawiała z Timmym Danielsem, jednym z przyjaciół Davida z drużyny. Wręcz przeciwnie, wydawało się nawet miłe. Uśmiechnęła się i znów spojrzała na Laurę.

Zadrzała. Przygryzła wargi. Jeden mały niuch. Jeden mały dymek. Tylko tyle. Wystarczy, by od razu poczuła się lepiej. Przetrwa do końca dnia. Prześni noc. Do samego rana.

A rano co? Co jutro? Dwa niuchy, dwa dymki? A pojutrze? Wiedziała, co niesie przyszłość. Będzie się staczać, staczać, aż przestanie ją obchodzić, czy rano w ogóle się obudzi, staczać aż na samo dno. I tym razem nie znajdzie już w sobie dość siły, by się od niego odbić.

Ktoś poklepał ją po ramieniu. Odwróciła się szybko. Obok niej stał mężczyzna, bardzo przystojny. Rozpoznała go, a raczej natychmiast rozpoznała jego twarz.

– Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłem – powiedział cicho. – Może wolisz być sama...

– Nie, nic...

– Jesteś Gloria, prawda?

Skinęła głową.

– Jestem Stan Baskin. Brat Davida.

– Przyjmij wyrazy współczucia z powodu jego śmierci. Bardzo go kochałam. Był wspaniałym człowiekiem.



Stan lekko skinął głową.

– Ja też go kochałem, Glorio.

– To nie fair.

– Po prostu... po prostu nie potrafię uwierzyć, że on nie żyje. Pytam sam siebie, dlaczego tak się stało, może zrobiłem coś nie tak...

– Ty?

– Prawdę mówiąc, to przez ostatnie lata tylko się kłóciliśmy. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo żałuję przeszłości. I zastanawiam się, czy gdybym był lepszym bratem...

– Nie powinieneś się zadreczać.

– Nie miałem nawet okazji, żeby go przeprosić – ciągnął Stan. – Żeby mu powiedzieć, jak bardzo go kocham. – Ujął dłoń Glorii, spojrzał jej w oczy. I choć o tym akurat wolałaby nie myśleć, nie teraz, Gloria poczuła, że ten mężczyzna ją pociąga i że nic nie może na to poradzić. Był bardzo przystojny i bardzo podobny do brata. No i to, jak się przed nią otworzył, jak nie wahał się okazać emocji... w tym też przypominał Davida.

Widziała, że Stan może się w każdej chwili rozplakać. Znowu. Wyciągnęła rękę, chciała go przytulić, ale się cofnęła.

– Słuchaj, Glorio, przepraszam, że zawracam ci głowę.

– Nie bądź głupi.

– Jesteś taka piękna i taka dobra. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy.

– Ja też mam taką nadzieję.

– Nie znam Bostonu, a przy tobie i twojej siostrze dobrze się czuję. Mam nadzieję, że... że mogę do was zadzwonić. Od czasu do czasu.

Dlaczego, kiedy to powiedział, serce zabiło jej tak mocno?

– Będzie mi bardzo miło, Stan. Będzie mi bardzo miło.



Stan pożegnał się z Glorią i odszedł.

Widziałeś to ciało? O cholera, myślałem, że mój kumpel Stan po prostu zejdzie z tego świata! Tyłoma cudownymi wypukłościami nawet kolejka górską nie może się pochwalić. No i Gloria ma na mnie chrapkę. Oczywiście. Takie rzeczy wyczuwam bezbłędnie...

Ktoś na niego wpadł, potracił go za mocno, żeby mógł to być tylko przypadek. W każdym razie przywołał Stana do rzeczywistości, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył kogoś, kogo nie widział od niemal dziesięciu lat.

T.C. nie patrzył na niego przyjaźnie.

– A ty co tu robisz, skurwielu? – syknął.

Stan szybko odzyskał panowanie nad sobą.

– No proszę, mały Terry Conroy! Dawno się nie widzieliśmy. Przytyłeś, przyjacielu.

– Zadałem ci pytanie.

– To człowiekowi nie wolno już opłakiwać zmarłego braciszka?

– Człowiekowi wolno. Ale nie takiej kupie gówna jak ty.  
– Wielkie słowa... jak na miejskiego gliniarza. Bo jesteś teraz miejskim gliniarzem, co, T.C.?

– Pytałem, co tu robisz.  
– Czy to oficjalne przesłuchanie?  
– Mów, co chcesz.  
– Jak ci się spodoba: „To nie twój interes”?  
– A jak ci się spodoba, jeśli rozbiję okno twoim łbem?  
– Świetny pomysł, T.C. Dlaczego nie zrobisz sceny przed tymi wszystkimi ludźmi, nie zakłócisz ich żałoby? Spodobałoby ci się, nie?  
– Jeśli zaczniesz się komuś naprzykrzać...  
– T.C., proszę, naprawdę sądzisz, że byłbym do tego zdolny?  
– Wynoś się stąd.  
– Och, przepraszam bardzo. Popatrz, popatrz, a ja byłem pewien, że jestem w domu Ayarsów, nie twoim. Bostoński wydział policji musi dobrze płacić swoim pracownikom.  
– A co ty właściwie masz do roboty w Bostonie?  
– Składałem wizytę kondolencyjną pięknej szwagierce.  
– Pozwól, że cię ostrzegę, gnoju... jeśli ją skrzywdzisz, w jakikolwiek sposób...  
– T.C., czy ty nie widzisz, że się zmieniłem? Jestem nowym człowiekiem.  
– Gówno nie przestaje śmierdzieć, tylko się rozkłada.  
– Co za barwny język! Muszę to sobie zapamiętać. A wracając do rzeczy, przykro mi kończyć tak interesującą rozmowę, ale naprawdę muszę już lecieć.  
– Wracasz do Michigan?  
– Jeszcze nie. Pomyślałem sobie, że w Bostonie można miło spędzić kilka chwil.  
– Odradzałbym ci to z całego serca, Stan. To miasto potrafi szorstko potraktować obcych.  
– Groźba? Miło z twojej strony. A teraz wybac, proszę...  
T.C. chwycił go za ramię.  
– Ostrzegam cię, Stan, nie próbuj tych swoich parszywych sztuczek. Nie ze mną. Pamiętam, co zrobiłeś Davidowi.  
Dopiero teraz w oczach Stana błysnął gniew.  
– Nie wiesz nic o tym, co zaszło między Davidem a mną. – Próbował się wyrwać, ale T.C. trzymał go mocno. Spróbował jeszcze raz. – Puść mnie, kupo gówna – na pół szepnął, na pół krzyknął. – Tak się składa, że jestem jego bratem. Członkiem tej rodziny. W odróżnieniu od ciebie, bo ty, jak wielu, przyssałeś się do niego, żeby ugrać coś dla siebie.  
T.C. rozluźnił wreszcie uścisk.  
– Wynoś się, Stan. Wynoś się stąd w cholerę.  
Stan cofnął się, pożegnał i wyszedł. Przy drzwiach otarł łzę z policzka. Ciekawe, pomyślał, dlaczego tak łatwo mi grać rolę pogrążonego w żalu po śmierci brata, którego do tego stopnia nienawidziłem?  
Tego wieczoru Judy Simmons wróciła do hotelu sama. Była zmęczona, dosłownie

wyczerpana wydarzeniami dnia. Usiadła na łóżku, wyjęła portfel z torebki. Zza prawa jazdy wysunęła fotografię sprzed trzydziestu lat.

Podniosła ją do światła, przyglądała się jej wzrokiem oczarowanym przez czarno-białe obrazy z lat sześćdziesiątych. Położyła się, trzymała pogniecione zdjęcie nad głową. Patrzyła na zdjęcie pięknej i pełnej nadziei początkującej studentki i przystojnego starszego mężczyzny.

Dlaczego się torturujesz?

Ale tak naprawdę to przeszłość ją torturowała. Torturowała ich kiedyś, torturuje teraz i będzie torturowała.

Niekoniecznie. Mogę powiedzieć prawdę.

Tylko że co to przyniesie dobrego? Wstrzyma tortury? Uwolni od poczucia winy? Raczej nie. Lepiej zachować tajemnicę. Lepiej żyć nadzieją, że wszystko będzie dobrze. Poza tym tak naprawdę nie wiedziała przecież, co się stało w Australii. Mogło być dokładnie tak, jak powiedzieli. Mógł zdarzyć się wypadek. Smutny, tragiczny wypadek.

Tylko to nie był wypadek.

Usiadła, położyła zdjęcie na nocnym stoliku. A co, jeśli to nie był wypadek? Co, jeśli...? Odepchnęła od siebie tę myśl. David nie żyje. Piękna, cudowna siostrzenica Judy jest zdruzgotana. Tego nic nie zmieni. To należy już do przeszłości. Prawda nie jest wehikułem czasu, nie przeniesie jej w przeszłość, nie sprawi, że wszystko nagle będzie w porządku. Prawda nie wróci życia Davidowi.

Spojrzała na zegarek. Podniosła walizkę. Prawda. Prawda może już dokonać tylko jednego...

...może zabijać.

Laura zdobyła się wreszcie na to, by wstać z łóżka po raz drugi.

Minęły trzy bolesne tygodnie, trzy tygodnie nieznośnych cierpień, podczas których całe dni spędzała zła na cały świat, nie wychodząc z gościnnego pokoju mieszkania Serity. Boże, jak ona nie znosiła złościć się na cały świat, jak nienawidziła leżeć w łóżku i litować się nad sobą.

Odrzuciła kołdrę. Była rozczochrana, jej zwykle ciemna skóra stała się szara, oczy miała spuchnięte i podsiniałe. Tak, minęły trzy tygodnie, ale ból pozostał; licząc miarą bólu, minęła zaledwie sekunda. Prawdziwe, nieznośne cierpienie spowodowane wiedzą o tym, że jej David nie żyje, nie ustąpiło, nawet nie osłabło, choć na chwilę.

Miała gości. Gloria była przy niej przez niemal cały czas i pod wieloma względami była jej prawdziwą podporą, nie dlatego, że słowa lub samo towarzystwo przynosiło ulgę, lecz raczej dlatego, że obawa o siostrę uwalniała Laurę od jej osobistej udreki. Gloria drżała, trzęsła się na całym ciele i to przypominało bolesne chwile wychodzenia z nałogu, czas, gdy po raz pierwszy zobaczyła nagie ciało o ramionach pokrytych rankami od nakłuć.

Stan także pomagał, chodzący, nieszczęsny przykład, do czego doprowadzić może stracona szansa. Przychodził codziennie, na ogół wtedy, gdy Laurę odwiedzała siostra.

Nietrudno było zauważyć, że bardzo się jej podoba. Laura nie wiedziała, czy ją to cieszy, czy nie, ale na razie był dla Glorii wyłącznie miły. A więc chyba wszystko w porządku. Na tym etapie nieudany związek z mężczyzną oznaczałby dla Glorii katastrofę.

Przychodzili i inni. Earl pojawiał się często, Clip Arnstein i Timmy Daniels również, a także młodszy, rezerwowy gracz, dla których David był jak starszy brat.

Pukali do drzwi i wówczas Laura grała jak filmowa gwiazda. Udawała silną, tłumaczyła, że czuje się dobrze, że codziennie wychodzi na spacer, że nie ma się o co martwić. Innymi słowy, kłamała jak z nut. Nie była pewna, czy udaje jej się kłamać przekonująco, ale wszystko było lepsze od znoszenia ludzkich spojrzeń pełnych litości. Z litością nie potrafiła sobie poradzić.

– No nie, cuda jednak się zdarzają!

Laura odwróciła się, spojrziała na Seritę.

– Mówiłaś coś?

– Kibice podrywają się na równe nogi. Laura wreszcie wstała z łóżka! I... nie, to nie do wiary! Włożyła na siebie coś oprócz koszuli nocnej i szlafroka.

– Bardzo śmieszne.

– Wracasz do pracy? Powiedz „tak”.

- Nie.
- Więc dokąd się wybierasz?
- Do domu.

Serita spojrzała na nią zdziwiona.

– Nie. Zróbmy coś innego. Przejedźmy się do Combat Zone. Pogwiźdźmy na chłopaków.

- Wracam do domu.
- Kochanie, jesteś pewna?
- Jestem pewna.
- Ale dlaczego?
- Muszę posprzątać.
- To może poczekać.
- Nie – powiedziała Laura stanowczo. – Nie sądzę, by to mogło poczekać.
- Więc pojedź z tobą. Pomogę ci.
- W sprzątaniu? Nie rozśmieszaj mnie.
- Jestem bardzo dobra w nadzorowaniu.
- Masz co robić, Serito. Sesję dla International Health Spas, o ile dobrze pamiętam.
- To może poczekać.
- Przy tym, ile ci płacą za reklamy telewizyjne?
- Powiedziałam, że to może poczekać.
- Zmuszasz mnie do rezygnacji z subtelności. Chcę być sama.
- Ty też się pieprz.

Laura zachichotała, lecz nie był to wesoły chichot.

- Jesteś dobrą przyjaciółką.
- Najlepszą.
- Tylko że ja cię wykorzystuję. Powinnam się wyprowadzić.
- Nie ma mowy. Jesteś mi potrzebna. Jako dobra wymówka dla Earla.
- Przecież wiesz, że go kochasz.

Serita wzięła się pod boki.

- Ile razy mam ci powtarzać...
- Wiem, wiem. On tylko jest dobry w łóżku.
- Trafiałś w dziesiątkę. Ale kocha te reklamy. Twierdzi, że kiedy widzi mnie spoconą na Nautilusach, natychmiast mu staje.
- Cieszę się waszym szczęściem.
- Ty też się pieprz.

Laura pocałowała przyjaciółkę w policzek i wyszła. Usiadła za kierownicą. Prowadząc, starała się nie myśleć, koncentrować wyłącznie na drodze przed maską, ale pamięć nie zamierzała dostosować się do jej poleceń. Podsuwała jej obraz Davida, zawsze podsuwała jej obraz Davida. Tego, jak chodził, jak obejmował ją we śnie, jak drapał ją nieogolonym policzkiem, kiedy się całowali.

David zmienił ją na wiele różnych sposobów, lecz teraz, gdy odszedł, zrozumiała, że część tych zmian nie przetrwa. Pamiętała, jak cudownie było odkrywać się nawzajem, uczyć miłości. Zabrało im to trochę czasu, miłość i zaufanie nie

przychodziły łatwo ani jednemu, ani drugiemu. Dopiero w drugim miesiącu znajomości Laura poczuła się wystarczająco swobodnie, by opuścić gardę, otworzyć się przed nim. Przedtem bała się stanąć bezbronna wobec straszliwego oręża miłości, bo wiedziała, że każda rana może okazać się śmiertelna. Ale pewnej mroźnej grudniowej nocy uświadomiła sobie, że przeznaczeniem jej i Davida jest bycie razem. To prawda, nie zobowiązali się wzajemnie do niczego i niczego sobie nie przysięgali, ale ona po prostu wiedziała. I teraz, wiedząc to, zapragnęła zobaczyć się z Davidem, nie mogła doczekać się spotkania, podczas którego powie mu wreszcie, co naprawdę czuje. Lecz... czy starczy jej odwagi? Czy wreszcie zdoła wypowiedzieć te słowa i wysłuchać odpowiedzi, które pragnęła usłyszeć? Prawdopodobnie nie. Przypuszczalnie nie była jeszcze gotowa. Ale jeśli nie spróbuje...

Siedziała za biurkiem. Noga podskakiwała jej jak zwykle. Na twarzy Laury to pojawiał się, to zniknął nieśmiały, lecz szczęśliwy, niemądry uśmiech kobiety. Zbierała się na odwagę, a potrzebowała jej wiele, by przez to przejść. W końcu sięgnęła po słuchawkę, zadzwoniła do Davida, do Garden, i zaprosiła go na piątek, na kolację.

– Gotujesz? – spytał.

– Oczywiście.

– To przedtem sprawdzę, czy nie zapomniałem opłacić ubezpieczenia.

– Przestań się wygłupiać.

David się zawahał.

– Bardzo bym chciał, ale...

– Ale co?

– W piątek nie mogę. Załapię się na powtórkę?

Rozczarowanie było jak powódź.

– Jasne – powiedziała słabo.

– Muszę iść na to przyjęcie dobroczynne.

Serce Laury biło jak szalone. Natychmiast w myślach potępiła się surowo za swoje zachowanie i za to, że liczyła, iż David zaprosi ją na przyjęcie. Przecież tak bardzo chciała się z nim zobaczyć...

– Posłuchaj – mówił dalej – teraz muszę wracać na trening. Porozmawiamy później, dobrze?

Usłyszała trzask, potem sygnał, a potem ten denerwujący dźwięk informujący, że nie odłożono słuchawki. Odłożyła ją po minucie, może dwóch.

Nie poprosił, żeby mu towarzyszyła.

Tej piątkowej nocy sen był jej bardzo kapryśnym gościem. Dlaczego David nie zaprosił jej na przyjęcie? Czy nie jest tak, że on też chce się z nią zobaczyć? A może to ona przesadziła z pośpiechem? W końcu spotykają się zaledwie od dwóch miesięcy. Może David nie ma w planach stałego związku? Może inaczej widzi te sprawy?

W sobotę rano wzięła prysznic, ubrała się. Musiała zrobić coś, by nie myśleć o Davidzie, więc pojechała do biura i zajęła się czytaniem miesięcznego bilansu. Wzrost dochodów niemal o dziesięć procent, takiego sukcesu się nie spodziewała. Zadowolona usiadła wygodniej, sięgnęła po „Boston Globe”. W kolumnie

towarzyskiej zobaczyła zdjęcie Davida, zrobione na balu.

Na tym zdjęciu był z inną kobietą.

Miała wrażenie, że jakaś niewidzialna ręka ściska jej serce. Tajemnicza kobieta była oszłamiającą, choć starszą blondynką, którą podpis pod zdjęciem identyfikował jako Jennifer van Delft. Pani van Delft obejmowała władczo wystrojonego we frak Davida, uśmiechniętego jakby właśnie wygrał na loterii. W tekście nazwany został jej „towarzyszem”.

Towarzysz. A to sukinsyn!

Laura poczuła, że za chwilę może się rozpląkać. Nie odrywała wzroku od zdjęcia. Czemu płacze? Też ma się czym martwić. Jak mogła być tak głupia, by uwierzyć, że pomiędzy nimi jest coś niezwykłego, że Davidowi zależy na niej bardziej niż na innych przyjaciółkach?

Rozległo się pukanie do drzwi. Laura umiała szybko się opanowywać. Zwinęła gazetę, wytarła łzy, poprawiła kostium Svengali. Była spokojna jak zwykle.

– Proszę – powiedziała.

Do gabinetu wszedł David radosny i uśmiechnięty, mniej więcej tak, jak uśmiechał się na zdjęciu.

– Dzień dobry, moja śliczna.

– Dzień dobry – powiedziała chłodno.

Przeszedł przez pokój. Próbował ją pocałować, ale odwróciła się tak, że mógł tylko cmoknąć ją w policzek.

– Coś się stało?

– Nic. Jestem zajęta. Powinieneś być zadzwonić.

– Myślałem, że może zjemy razem lunch.

Laura pokręciła głową.

– Nic z tego. Pracuję.

Zaskoczony David patrzył, jak wraca do studiowania bilansu, jakby wcale nie przyszedł do niej z wizytą.

– Jesteś pewna, że nic się nie stało?

– Absolutnie.

David wzruszył ramionami i w tym momencie dostrzegł „Boston Globe”. Uśmiechnął się; już wiedział.

– Zdenerwowałaś się? – spytał, wskazując gazetę.

Laura spojrzała na nagłówek.

– Co? Pożar w południowym Bostonie?

– Mówię o moim zdjęciu w rubryce towarzyskiej.

– A dlaczego miałyby mnie zdenerwować? Nie jesteś moją własnością. Możesz robić, co chcesz.

David zachichotał.

– Teraz rozumiem.

– Tylko moim zdaniem dobrze by było, żebyśmy trochę sobie odpuścili.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Naprawdę.

– Mogę spytać dlaczego?

– Nasze stosunki... wymknęły się spod kontroli.

David usiadł na krześle naprzeciw biurka.

– Więc chcesz czegoś, co byłoby mniej zobowiązujące... takiego wolnego związku?

– Wolnego związku?

– Właśnie. Żadnych zobowiązań. Spotykamy się, z kim chcemy, tego rodzaju rzeczy.

Laura nie mogła jakoś powstrzymać drżenia nogi.

– No... tak.

David nie dał wyprowadzić się z równowagi.

– Rozumiem. Więc nie denerwuje cię, że byłem na tym balu z inną kobietą?

– Mnie? Skądże znowu.

– Powiedz mi jeszcze... a co, jeśli nie spodoba mi się idea wolnego związku? Przypuśćmy, że nie chcę spotykać się z innymi kobietami? Przypuśćmy, że po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochałem?

Jej serce jednocześnie wzniosło się w niebo i z hukiem spadło na ziemię. Laura przełknęła ślinę z wysiłkiem, odwróciła wzrok, jakby bała się przenikliwego spojrzenia Davida.

– Jeśli powiedziałaś mi coś takiego, odparłabym, że nie jesteś gotów na ten rodzaj znajomości.

– Czego dowodem jest wczorajszy wieczór?

Skinęła głowę, ale nadal nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Lauro...

Milczała.

– Spójrz na mnie.

Z wysiłkiem uniosła głowę, ich spojrzenia się spotkały.

– Kobieta ze zdjęcia nazywa się Jennifer van Delft. To żona Nelsona van Delfta. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Mówiło, ale Laura nie potrafiła skojarzyć go z człowiekiem. Pokręciła głowę.

– Van Delft jest głównym właścicielem Boston Celtics, a jego żona co roku prosi mnie o pomoc przy zdobywaniu funduszy na dzieci z dystrofią mięśniową. W tym roku akurat pan Nelson wyjechał, więc poprosiła, żebym jej towarzyszył. To wszystko.

Laura milczała.

– Pozwól, że powiem coś jeszcze. Żeby nie było żadnych wątpliwości. Pozwól, że powiem ci coś, czego nie usłyszała ode mnie żadna kobieta. Kocham cię. Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie.

Siła uczuć, sprzecznych uczuć, była tak wielka, że Laura nadal nie potrafiła wykrztusić słowa.

– Nie odpowiadasz? Czyżbyś nie rozumiała, co do ciebie mówię? Kocham cię, Lauro. Chcę być zawsze jak najbliżej ciebie.

Noga Laury pracowała jak młot pneumatyczny. To nie może być prawda! David



igra z nią.

– Posłuchaj... ja... ja naprawdę jestem teraz bardzo zajęta. Porozmawiajmy o tym kiedyś... później...

David potrząsnął głową.

– Nie potrafię do ciebie dotrzeć, prawda? A myślałem, że jednak mi się uda. Tylko że ty ciągle jesteś małą, grubą dziewczynką i nie potrafisz poradzić sobie z własną wspaniałą urodą. Jesteś grubaskiem panicznie przerażonym możliwością utraty kontroli nad sytuacją, zbliżenia się do kogoś, kto przecież zawsze może cię skrzywdzić. I co teraz powiesz, Lauro? Nadal wszystko sama kontrolujesz?

Chciała mu odpowiedzieć. Bardzo chciała...

David poczerwieniał na twarzy, mówił podniesionym głosem.

– Myślisz, że nikt nie może cię kochać? Mam rację? Bo przecież twoja uroda mnie oślepia, nie widzę prawdziwej ciebie, wszyscy będą tylko podziwiał to, co widzą. Bzdura! Aż do tego stopnia brakuje ci pewności siebie? Naprawdę myślisz, że nie wiem, o co chodzi, że nie spotykałem setek pięknych kobiet pragnących mnie tylko dlatego, że potrafię trafić piłką do kosza?

Umilkł. Oddychał szybko, ciężko. Potrząsnął głową rozgniewany, odwrócił się i podszedł do drzwi.

– Davidzie?

Zdjął rękę z klamki, ale się nie odwrócił.

– Co?

Znów nie doczekał się odpowiedzi. Spojrzał na Laurę i zobaczył, że płacze.

– Lauro...?

Rozpłakała się jeszcze rzewniej.

– Tak się boję...

– Lauro...

– Boję się tego, co czuję. – Laura szlochała niepowstrzymanie. – Tego, jak bardzo cię kocham.

David podszedł do niej szybko, wziął ją w ramiona.

– Ja też cię kocham, skarbie.

– Proszę, nie skrzywdź mnie.

– Nigdy, skarbie. Obiecuję.

„Nigdy, skarbie. Obiecuję”. Jego słowa powróciły teraz z przeszłości.

Proszę, nie skrzywdź mnie, Davidzie.

Nigdy, skarbie. Obiecuję.

Ale okazało się, że jednak kłamał. Zostawił ją, a przecież tego zawsze bała się najbardziej. Wygnała z pamięci wspomnienie jego twarzy, całą uwagę skupiła na prowadzeniu samochodu. Piętnaście minut później włączyła kierunkowskaz i skręciła.

Dom.

Dlaczego tu przyjechała? Dlaczego sama to sobie robi? Miała ochotę znowu się rozpłakać. Dlaczego? Przecież to tylko budynek. Budynek nie powinien skłaniać do płaczu. Zwykły zaciszny domek, trzy sypialnie, trzy łazienki, z czego jedna tylko z prysznicem i toaletą. Nie ma po czym płakać... chyba że po ciągle zaśmiecających

go, zrujnowanych marzeniach.

Wysiadła z samochodu, podeszła do drzwi frontowych. To był kolejny piękny letni dzień, nie aż tak wilgotny, jak to się często zdarzało w mieście. Przeszła ścieżką, wyjęła klucze...

Drzwi nie były zamknięte na zamek.

Wiedziała, że David zamknął je w dzień ich wspólnej ucieczki. Obróciła klamkę, weszła do środka, wyłączyła alarm. Skoro był włączony przez cały czas, jakim cudem...? Wzruszyła ramionami, odpędzając strach. Nawet gdyby ich okradziono, co z tego? Nie miała się czym martwić. Weszła do pokoju dziennego. Otoczyła ją wszechwładna, martwa cisza. Pokój sprawiał wrażenie pustego, ale oczywiście taki zostawili.

Kupili ten dom dwa miesiące temu. Nie mieli czasu na znalezienie mebli, więc zaopatrzyli się wyłącznie w najpotrzebniejsze rzeczy, tyle, by móc się wprowadzić po powrocie z Australii. Wierzyli, że mają przed sobą mnóstwo czasu. Całe życie.

Stała na schodach.

Na ścianach pstrzyły się niedomalowane plamy. Uśmiechnęła się smutno, pamiętała, jak David nalegał, że malowanie mogą zrobić sami. Ta próba zakończyła się spektakularną klęską, farba była wszędzie oprócz właściwych miejsc. Delikatnie poklepała miejsce, gdzie, jak pamiętała, pracował David. Odwróciła się. Byłoby złym pomysłem zatrzymać dom, mieszkać w nim bez Davida. Nie był pamiątką po głębokich uczuciach, jeszcze nie, ale pozostało w nim wspomnienie niespełnionych marzeń, nieistniejących, potencjalnych wspomnień życia, które mogła dzielić z Davidem. To tu umacniałaby się ich wzajemna miłość, tu nie urodziły się i nie dorastały ich dzieci, których tak bardzo pragnęła.

- Ile chcesz mieć dzieci, Davidzie?
- Dzisiaj? Zaraz? Nie sądzisz, że powinniśmy z tym trochę poczekać?
- Mówię poważnie. Ile?
- Nie chcę dzieci.
- Co?
- Chcę mieć króliki.
- Króliki?
- Właśnie tak, Lauro. Króliki. Dokładnie trzy. Trzech różnych płci. I sądzę, że powinniśmy wychować je w religii hinduistycznej.
- Przecież ja jestem katoliczką, a ty żydem!
- Właśnie. Dzięki temu nie będziemy się kłócić.
- Nie możesz być poważny chociaż przez sekundę? Dla mnie to ważne.
- Oczywiście, kochanie.
- Więc ile chcesz mieć dzieci?
- A ile ty chcesz mieć?
- Mnóstwo – powiedziała Laura. – Pięcioro, dziesięcioro.
- Ty?
- Chcę mieć z tobą dzieci, Davidzie. I to już.
- Nie dzisiaj. Dziś jestem zmęczony.

– Bądź poważny. Pomyśl, jakie to będzie fajne: śliczne małe Davidki biegające po całym domu.

– Rzeczywiście, brzmi to bardzo fajnie – przyznał David.

– I małe Laury...

– Fuj! Biedne dzieci.

– Tylko tak dalej, Baskin, a dostaniesz po głębie.

David wziął ją wtedy w ramiona.

– Lauro, będziemy mieli najwspanialszą rodzinę na świecie. Ty, ja, dzieciaki, trochę złotych rybek jednorazowego użytku, pies, grill w ogródku od tyłu... obrazek jak z Rockwella.

– Poważnie?

– Tak. Jak najbardziej poważnie. – Mocno przytulił Laurę do piersi. – Obiecuję, że po naszym domu będzie biegało mnóstwo dzieciaków.

Powoli wchodziła po schodach. Weszła na piętro, skręciła do sypialni, ignorując pokój w głębi, który swego czasu miał być ich pierwszym pokojem dziecięcym. Spojrzała na wielkie podwójne łóżce, w którym już nigdy nie będą się kochać, i poczuła, jak jej serce przebijają ostre, śmiertelnie zimne sople. Po lewej dostrzegła coś, co sprawiło, że w jej oczach pojawił się przejmujący ból, a jednocześnie ugięły się pod nią kolana. Tuż obok okna, pod parapetem, leżał przewrócony jeden koszykarski but Davida. Podeszła bliżej. David grał w tym butcie i już nigdy nie zagra. Już nigdy nie wejdzie do tego domu, nigdy się nie uśmiechnie, nigdy nie roześmieje. Nigdy. To jedno słowo miażdżyło Laurę jak bezbronny owada.

Nigdy.

O Boże, błagam, niech David do mnie wróci. Pozwól, Boże, by znowu mnie przytulił, a zrobię dla ciebie wszystko. Błagam cię, Boże...

Wydawało się, że ranek wyśmiewa okrutnie jej modlitwę. Laura odwróciła się i jej wzrok padł na stojące w sypialni biurko.

Ktoś w nim grzebał.

No więc tak, rzeczywiście, ktoś włamał się do domu. To akurat nie przeraziło Laury. Nie mieli nic, co warto by ukraść. Zdążyli kupić łóżko, biurko, lodówkę, stół do kuchni i kilka krzeseł. I niemal nic więcej. Niełatwo byłoby to wynieść. I co ją to teraz obchodziło?

Złodziej przejrzał zawartość jej biurka.

Panował w nim straszny bałagan. Pewnie szukali pieniędzy, książeczki czekowej, czegoś w tym rodzaju. Laura podskoczyła do biurka, wysunęła górną szufladę. Na wierzchu leżało trzysta dolarów w gotówce i pierścień Davida, pamiątka po zdobyciu mistrzostwa ligi uniwersyteckiej. Nikt nie ruszył ani jednego, ani drugiego. Bardzo dziwne. I ten album ze zdjęciami Davida. Dlaczego leży na wierzchu? Otworzyła go. Nic niezwykłego. Wszystko na miejscu...

Zaraz!

Przyjrzała się bliżej albumowi. Pomiedzy stronami pozostały małe strzępy papieru fotograficznego. Ktoś wyrwał jakieś zdjęcie. Zatrzasnęła album. Dwa strzępki leżały też na podłodze.

Szybko przejrzała wszystkie szuflady. Intruz zainteresował się także ich kalendarzem. Ciekawe, czego w nim szukał? Co tam było takiego interesującego? Spojrzała na otwartą stronę. Na stronie poprzedniego tygodnia David napisał wielkimi literami „BIERZEMY ŚLUB!”. Zanotował także numer ich lotu do Australii i nazwę hotelu w Palm's Cove.

Nie dotknęła kalendarza. Sięgnęła po telefon. Podziękowała losowi za to, że kazali go włączyć, tak by móc z niego korzystać, gdy tylko wrócą tu jako państwo Baskinowie.

Wybrała numer T.C., ale go nie zastała. Centrala poinformowała ją, że nie będzie go przez parę godzin. Pozostawiła dla niego wiadomość i jeszcze raz spojrzała na okładkę albumu. Nie, nie miała jeszcze tyle siły, by otworzyć go i obejrzeć zdjęcia.

Zeszła po schodach do samochodu.



Mężczyzna stał przy łóżku pacjenta.

– Popatrzcie tylko na te bandaże – powiedział. – Wyglądasz jak mumia albo facet z *Niewidzialnego człowieka*.

Pacjent nie zareagował.

Mężczyzna zastanowił się przelotnie, czy powinien zdradzić mu najnowszą niespodziankę, ale uznał, że to nie jest dobry pomysł. Pacjent potrzebował wszystkich sił, by odzyskać zdrowie. Nierozsądne byłoby denerwować go teraz czymś, na co nie miał żadnego wpływu.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

Tym razem doczekał się odpowiedzi. Pacjent skinął głową. A to oznaczało postępy.

– Bandaże ci nie przeszkadzają?

Pacjent pokręcił głową.

Pielęgniarka usiadła na stojącym przy łóżku krześle.

– I tak jest od tygodnia – powiedziała. – Do tej pory nie odezwał się ani słowem.

– Może nie powinien? Ze względu na struny głosowe albo coś?

Pielęgniarka pokręciła głową.

– I tu się mylisz. Oglądałam chyba z milion takich jak on. Powinien już gadać jak najęty o swoich problemach i takich tam. A on? W ogóle się nie odzywa. Przez co, można powiedzieć, nudzę się w pracy, wiesz?

Mężczyzna przytaknął, po czym całą uwagę skupił na pacjencie.

– Muszę wracać – powiedział do niego – inaczej ludzie zaczną się dziwić. Potrzebujesz czegoś?

Kolejne milczące zaprzeczenie.

– Za parę dni wrócę z lekarzem. Uważaj na siebie.

Spod bandaży na policzek pacjenta wypłynęła łza.

## 6

T.C. przekręcił klamkę.

– Nie ruszałaś zamka? – upewnił się.

Laura potwierdziła.

– Kto jeszcze ma klucz?

– Nikt.

– Przed wylotem do Australii zamknęliście drzwi na zamek, tak?

– Oczywiście.

Weszli do przedpokoju.

– I nic się tu nie zmieniło?

– Nie.

– Chodźmy na górę.

Poszli razem do sypialni.

– Jesteś pewna, że to nie David nabałaganił? – spytał T.C. – Nie słyszał przecież z utrzymywania porządku.

– Całkowicie pewna – odparła Laura stanowczo. – Doskonale pamiętam, że tuż przed wyjściem wyjęłam z szuflady bilety na samolot. Wszystko było porządnie poukładane.

T.C. przejrzał biurko. Ktokolwiek tu czegoś szukał, robił to w pośpiechu. Szperał w górnej szufladzie, wyciągając papiery, książki, cokolwiek wpadło mu w ręce. A jednak zostawił pierścień i pieniądze. Dlaczego? Przyjrzał się strzępom papieru fotograficznego. A gdzie reszta zdjęć? Całkiem prawdopodobne, że włamywacz je podarł, a ponieważ się spieszył, pozostawił po sobie ślady. Tylko... dlaczego to zrobił? Kim był?

Wyjął z kieszeni szkło powiększające, czując się przy tym jak kiepski naśladowca Sherlocka Holmesa. Obejrzał to, co zostało z fotografii, starej, jak się okazało, czarno-białej, zaczynającej żółknąć ze starości.

– Wiesz, co na niej było? – spytał.

Laura zaprzeczyła.

– Ale mogę przejrzeć album – zaproponowała. – Sprawdzić, czego brakuje.

– Jeśli czujesz się wystarczająco silna...

– Wystarczająco – skłamała Laura.

– Zabierz go z sobą. To może poczekać.

Następnie T.C. szybko przeszukał dom, najpierw piętro, potem kuchnię i pokój rodzinny, a na końcu piwnicę. Wszystko wyglądało normalnie. Nie było żadnych śladów włamania. Skończył i wrócił pod drzwi frontowe, gdzie już czekała na niego Laura.

– Nie zamierzam się nad tym rozwodzić – powiedział – ale to dość skomplikowany zamek i system zabezpieczeń. Ile kompletów kluczy zamówiliście? – Dwa. Jeden zostawiłam w domu.

– A drugi?

Laura przełknęła z wysiłkiem.

– David zabrał swój komplet do Australii.



Judy przyglądała się siostrze. Mimo wieku i doświadczonego w ostatnich dniach bólu, który pozostawił wyraźny ślady na jej twarzy i ciele, Mary nadal była piękna i za taką uważało ją wielu mężczyzn.

Siostry siedziały w jej sypialni, gustownie urządzonej zgodnie z obowiązującą modą, jakkolwiek była. Meble wyglądały tak, jakby wyrzeźbiono je z włókna szklanego, półki ugięły się od ostatnich lektur Mary, dosłownie pożerającej książki. Judy wiedziała, że nie sprawia jej to przyjemności, że są tylko rekwizytami mającymi dowieść świata, iż jest kimś więcej niż tylko kombinacją ślicznej twarzy i wspaniałego ciała. Od kiedy pamiętała, Mary zawsze bała się, czy wywiera właściwe wrażenie na ludziach, pewna, że uroda każe im zakwalifikować ją do kategorii „głupiutkich”.

Prawda zaś była taka, że Mary Ayars nie była ani śliczną idiotką, ani wielką intelektualistką. Judy powtarzano, że los obdarza każdego człowieka niezwykłym darem. Jeśli tak, talentem Mary była uroda, na której polegała, może nawet przesadnie. To prawda, dar urody wiele jej dał, nieodmiennie ściągał na nią uwagę, ale też uczynił z niej kobietę płytką i w końcu ściągnął na nich nieszczęście.

Boże, jak bardzo Judy pragnęła, by wszystko mogło się zacząć od początku. Gdyby miała dostęp do wehikułu czasu, natychmiast wróciłyby do tych dni, gdy obie były tylko małymi córkami Simmonsów. Zakradłyby się późną nocą do pokoju śpiącej twardo siostry i rozcięła jej twarz szkłem ze stłuczonej butelki coli. Albo ojcowską brzytwą. A może użyłyby kwasu, który przeżarłby buzię Mary, oszpecając ją, jakby ciało roztopiło się niczym wosk, pociekło z przerażającej maski; wszystko, byle tylko zniszczyć zło, nim zdołało narodzić się i rozkwitnąć.

Te myśli sprawiły, że zbladła niczym upiór.

Była nieubłagana wobec samej siebie, ale to należało zrozumieć. Dzisiaj, nieco wcześniej, spotkała się z Laurą. Pełna życia Laura, kobieta taka, jaką Judy zawsze chciała być, nadal nie wyszła z szoku. Patrzyła na świat nieprzytomnie, jakby zastanawiała się, dlaczego nagle zdecydował się ją zniszczyć.

Co ja ci zrobiłam, Lauro? Co pomogłam zrobić?

Judy milczała. Pozwoliła siostrze dać upust emocjom, pozwoliła jej wypłakać się, mówić przez łzy. A potem zadała jej jedno najważniejsze pytanie.

– James wie?

Przerwała wybuch hysterii Mary tak skutecznie, jakby wymierzyła jej policzek.

– Co?

– Czy twój mąż wie?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałby wiedzieć?

Judy zignorowała to pytanie.

– Czy teraz, po twoim powrocie, zachowuje się jakoś inaczej?

– Na litość boską, nasza córka właśnie straciła męża. Oczywiście, że to go wyprowadziło z równowagi!

– Pytam, czy zachowuje się inaczej w stosunku do ciebie. Mary niepewnie wzruszyła ramionami, a jej oczy znów zaszklily się łzami.

– Kompletnie mnie ignoruje. Od śmierci Davida ani razu na mnie nie spojrzął. Ale wiem, że jest zdruzgotany. Bardzo lubił Davida.

– David był wspaniałym człowiekiem – I bardzo kochał Laureę – powiedziała Mary po chwili milczenia.

– Wiem – Co mam zrobić, Judy?

– Zrobić? – powtórzyła jej siostra. Nie zapomniała, że kiedy Mary ostatnim razem poprosiła o radę, doprowadziło to do tragedii i śmierci. – Tym razem nic nie rób.



Laura podała Stanowi kolejną filiżankę kawy.

– To kiedy wracasz do Michigan?

– Tak bardzo ci zależy, żeby się mnie pozbyć?

– Oczywiście, że nie. Nie chciałam...

Stan machnął ręką.

– Hej, Lauro, przecież żartuję.

– Cieszę się, że tu jesteś. Że przychodzisz. To dla mnie bardzo ważne.

– Miło mi to słyszeć. – Stan wypił łyk kawy. – Bo wiesz, zaczynam poważnie rozważać, czy nie zostać w Bostonie na stałe.

– Naprawdę?

Starszy brat Davida wzruszył ramionami.

– W Michigan właściwie nic mnie nie trzyma. Przed wyjazdem zakończyłem negocjacje, nie muszę wracać. Poza tym próbuję załatwić coś w tym mieście. Mam pomysł, na który chcę zdobyć trochę pieniędzy. Chodzi o galerię handlową z motywem przewodnim koszykówki. Coś w tym rodzaju. Tylko że nie to jest najważniejsze... – Przerwał, spojrzął w oczy Laury. – Mam nadzieję, że nie uznasz tego, co chcę powiedzieć, za przesadną śmiałość.

– Nie, skąd.

– No więc szczerze mówiąc, głównym powodem, dla którego nie chcę wracać, jest to, że w Michigan nie mam rodziny, a ty i twoi bliscy... potraktowaliście mnie wspaniale. Nie wiem, może rzeczywiście powinienem zatrzymać to dla siebie, ale czuję się tak, jakbym był członkiem rodziny. Doskonale się z wami czuję.

– Przecież jesteśmy rodziną.

Stan ujął ją za rękę.

– Dziękuję. Miło jest usłyszeć coś takiego. Od dawna nie mam nikogo, kogo mógłbym nazwać „bliskim”.

Laura uśmiechnęła się smutno.

– Nadal nie potrafię uwierzyć, że David odszedł... na zawsze. Ciągłe czekam, kiedy wpadnie tu z Earlem, obaj w dresach, David z piłką wirującą na palcu, a Earl robiący wszystko, by odwrócić jego uwagę.

Stan przysunął się bliżej, objął Laurę za ramiona.

– Wkrótce pogodzisz się ze stratą...

W tym momencie zadzwonił telefon. Laura wstała.

Psiakrew! A już ją miałem. Do diabła z telefonami.

Laura odebrała rozmowę z aparatu w kuchni. Siedzący w pokoju rodzinnym Stan słyszał jej głos, ale nie rozróżniał słów. Wróciła po trzech minutach.

– To była Gloria – wyjaśniła. – Przyjedzie do mnie za jakąś godzinę.

– To cudowna kobieta.

– Masz rację, cudowna.

– Bardzo ją lubię.

– A ja bardzo się z tego cieszę.

– Wydaje mi się interesującą osobą. Wiele przeżyła.

– I drogo za to zapłaciła.

– Zapłaciła?

– Nie, nic, Stan. Nie powinnam była tego powiedzieć.

– Mówiła mi, że chodzi do psychiatry. I że uratowałaś jej życie.

– Brzmi to przesadnie dramatycznie.

– Jest ci bardzo wdzięczna.

– Nie ma za co.

– Było z nią bardzo źle? Kiedy wróciła? O Boże, przepraszam! Przecież to nie moja sprawa. Proszę, zapomnij, że cię o to pytałem. Zdaje się, że rozmowa o rodzinie pozbawiła mnie rozsądku.

Laura usiadła na kanapie.

– Nie rób sobie wyrzutów, Stan. Mówiłam już, że jesteś członkiem rodziny. Wygląda na to, że Gloria niczego przed tobą nie ukrywa. – Nerwowo bawiła się pustą filiżanką, z której piła kawę. – Rzeczywiście, na początku nie było łatwo. Potrzebowała ciągłej opieki. Wynajęliśmy kogoś, żeby pilnował jej dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Przebywała w szpitalu dla umysłowo chorych?

Laura skinęła głową. Mimo tego, co powiedziała wcześniej, czuła się nieco zażenowana, rozmawiając o siostrze tak bezpośrednio.

– Owszem, choć była to raczej klinika odwykowa.

Z tonu jej głosu Stan poznał, że lepiej zrobi, nie kontynuując tematu.

– Przepraszam za wścibstwo.

– Niepotrzebnie. Nie ma za co.

Zapadła niezręczna cisza.

– No cóż, chyba lepiej będzie, jak sobie pójdę.

– Dziękuję za odwiedzinę.

Wstali oboje, Laura odprowadziła gościa do drzwi. Kiedy je otwierała, pochylił się, pocałował ją w policzek, wyprostował i... okazało się, że nie może wyjść.



Uśmiechnął się promiennie.

– Cześć, T.C.

Oczy policjanta płonęły.

– Co, do kurwy...? – Zobaczył Laurę i nie dokończył zdania. Stan poklepał go po wypukłym brzuszku.

– Do zobaczenia, duży chłopcze – zakpił i widząc, jak T.C. zamyka oczy i opanowuje się z największym wysiłkiem, wyszedł szybko.

– Dobrze się czujesz? – spytała przyjaciela Laura.

– Całkiem dobrze, dziękuję.

– Wejdz.

– Słuchaj, powiedz mi... on często do ciebie przychodzi?

– Kto, Stan? Owszem, okazał się bardzo pomocny.

– Hmm...

– O co ci chodzi, T.C.?

– Uważaj na Stana Baskina. Tylko o to.

– Potrafię o siebie zadbać. Poza tym jest miły.

– Jasne. Słodki. Jak cukiereczek.

– Wspomniał w rozmowie, że wam się nie układa.

– To pocieszające, że raz powiedział coś zgodnego z prawdą.

– Co się stało, T.C.? Co mogło tak podzielić braci?

– Nie ja powinienem odpowiedzieć ci na to pytanie.

– Dlaczego?

– Naprawdę nie ja powinienem odpowiedzieć ci na to pytanie. To wszystko.

– Tak, rozumiem. – Laura nie ukrywała irytacji. – Możesz swobodnie obsmarowywać człowieka, nie przedstawiając żadnych dowodów na poparcie swoich oskarżeń.

– Przepraszam, nie miałem pojęcia, że zeznaję przed sądem.

– Posłuchaj, T.C., nie chcę słuchać takiego gadania. Tak się złożyło, że Stan Baskin należy do rodziny...

– Tak się złożyło, że należy do najgorszej hołoty.

– Nie chcę tego słuchać!

– Oczywiście.

– I wcale ci nie wierzę. Kiedy po raz ostatni rozmawiałeś z tym człowiekiem?

– W twoim domu, zaraz po pogrzebie.

– Wiesz, o co mi chodzi. Przedtem.

– Lauro...

– Kiedy?

– Co to jest, krzyżowy ogień pytań?

– Kiedy?

– Na drugim roku studiów. Dziesięć lat temu. Szczęśliwa?

– Człowiek może się zmienić przez dziesięć lat.

– Nie on, Lauro. On jest chory. Nienawidzi Davida.

– Nigdy tak się nie myliłeś. Kochał go tak bardzo, że to aż boli.

- Kupujesz to gównno?
- Byli braćmi. Tego nic nie zmieni.
- I co dalej?

– Dalej to, że się zmienił. Żałuje, że postępował tak, jak postępował. Czuje się winny temu, co zdarzyło się między nim a Davidem... cokolwiek się zdarzyło.

– Chryste, Lauro, gadasz jak jeden z tych telewizyjnych psychologów, co to puszczają wolno przestępców. Jak możesz być taka cholernie łatwowierna?

- Pieprz się, T.C.
- To ty się pieprz!

Oboje umilkli nagle i tylko się na siebie patrzyli. T.C. otworzył usta, już miał coś powiedzieć, ale nim zdążył wydobyć z siebie głos, Laura rzuciła mu się w ramiona.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Daj spokój. – T.C. odsunął ją od siebie łagodnie. – Jesteś pewna, że mogłabyś teraz przejrzeć ten album?

Laura skinęła głową. Nie miała okazji zrobić tego wcześniej, a i teraz nie była pewna, czy wystarczy jej siły, by je tak po prostu obejrzeć, w samotności.

Zabrali się więc do tego we dwójkę. Przyjaciel obserwował ją, gdy odwracała kolejne strony. Zaskoczyło go to, że czuje się winny, że robi wszystko, co należy, by pomóc. Zaskoczyło go, że tak szybko obeschły jej łzy, że przeglądała pamiątkowe fotografie z oczami suchymi i przytomnymi. Z jej twarzy nie sposób było odczytać, co czuje, była blada i nieruchoma, jakby niedawny wybuch całkiem ją wyczerpał. Ten brak uczuć przerażał bardziej niż rozpacz.

Przy kolejnej karcie zatrzymała się na kilka minut. T.C. spojrzął jej przez ramię. Zapatrzyła się na zdjęcia matki Davida.

– Jaka ona była, T.C.?

– Matka? Nie spotkałem jej zdrowej, dowiedziała się, że ma raka, kiedy zaczynaliśmy studia. Wiem, że byli sobie bardzo bliscy, ona i syn. I wiem, że jej śmierć doprowadziła go do rozpacz.

Laura przyglądała się zdjęciu przez kolejną długą chwilę. Odwróciła kartę. Następna była pusta. T.C. wyciągnął rękę.

– Czy tu...?

Skinęła głową.

– Tak. Tu był ojciec Davida.

– Jezu. Niesamowity zbieg okoliczności.

– Nie rozumiem, T.C. Po co niszczyć zdjęcie kogoś, kto nie żyje niemal trzydzieści lat?

– Nie wiem.

– Dla mnie nie ma to sensu.

– Może oprócz niego było tam jeszcze coś?

– Nie, chyba nie. To była taka zwykła fotografia, jakie publikuje się w rocznikach studenckich.

– Jesteś pewna, że tylko ona znikła?

Szybko sprawdzili resztę albumu, ale nie było w nim drugiej pustej karty.

– O co tu może chodzić, T.C.?

– Daj mi trochę czasu, dobrze? Nie umiem myśleć szybko. Wolę dokładniej. – T.C. wyjął cygaro. – Mogę?

– Jasne, pal.

Zapalił.

– W porządku – powiedział – zastanówmy się nad tym krok po kroku. Po pierwsze, ktoś włamuje ci się do domu, racja? Złodziej? Nie, bo gdyby to był złodziej, ukradłby pieniądze. A szukający pamiątki wielbiciel talentu Davida zabrałby pierścień ligii uniwersyteckiej albo jakieś fotografie z meczów.

– To już wiemy.

– Daj mi zrobić to po mojemu. Proszę.

– Jasne, przepraszam.

– No więc ktokolwiek to był, interesowało go właśnie zdjęcie ojca Davida.

– Zaglądał też do naszego kalendarza – przypomniała mu Laura.

– Słusznie. Jest tu jakiś związek? Dlaczego ktoś miałby usuwać zdjęcie ojca Davida i jak to jest związane z waszym kalendarzem?

– Nie mam zielonego pojęcia.

T.C. milczał, pocierał brodę z zastanowieniem.

– Co wiemy o ojcu Davida? – spytał nagle.

– Popęcił samobójstwo – powiedziała Laura.

– Jasne. Potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś chciał mieć jego zdjęcie. No, powiedzmy, prawie zrozumieć.

– Jak to?

– No cóż, ten fragment życia Davida jest, powiedzmy sobie, nieco tajemniczy. Może ktoś chciał mu nadać rozgłos, a nie mógł znaleźć odpowiedniej fotografii?

– Mało to konkretne.

– Wiem. A w dodatku on nie tyle zabrał zdjęcie, ile wydarł je z albumu.

– No więc na czym właściwie stoimy, T.C.?

Policjant zaciągnął się cygarem głęboko, po czym wypuścił powietrze nad głowę. Do tej pory sądził, że potrafi zrozumieć, dlaczego ktoś włamał się do domu, po co potrzebne mu było zdjęcie i kalendarz. Powiedzmy, że prawie miało to dla niego sens. Ale wrywać fotografię ojca Davida?

Potrząsnął głową.

– Stoimy – powiedział – na bardzo grząskim gruncie.



Mężczyzna uważnie przyglądał się chirurgowi. Wielokrotnie widział, jak to robi, ale nigdy nie patrzył na to z czymś większym niż zwykłą ciekawość. Tymczasem teraz obserwował każdy ruch lekarza, który powoli przecinał bandaż, rozwijał je, usuwał warstwy gazy. Tym razem mężczyznę interesował efekt końcowy.

– Leż nieruchomo – powiedział chirurg do pacjenta. – Za chwilę kończę.

Mężczyzna próbował zajrzeć mu przez ramię, chciał zobaczyć twarz, ale bandaży ciągle było zbyt wiele. Chirurg z wyjątkową ostrożnością odrywał białą taśmę,

warstwa po warstwie. Obmył twarz mężczyzny kawałkiem płótna zanurzoną w spirytusie. Skończył i cofnął się o krok, odsłonił widok.

– Jezu! – westchnął mężczyzna.

Chirurg się uśmiechnął.

– Jedno z moich najlepszych dzieł – powiedział z dumą.

– Nie przesadzasz, Hank. Fantastyczne!

Po raz pierwszy od dnia operacji mężczyzna usłyszał pacjenta.

– Mogę prosić o lustro?

– I ten głos. Nieprawdopodobne, Hank, po prostu nieprawdopodobne.

– Lustro?

Chirurg imieniem Hank skinął na pielęgniarkę.

– Nim ci je dam, młody człowieku, pozwolę sobie na słowo ostrzeżenia. Czeka cię szok. Nie wpadaj w panikę. Wielu ludzi zmiany dezorientują. Czasami dochodzi do kryzysu tożsamości.

– Dziękuję – powiedział pacjent bezbarwnym głosem. – Czy mogę teraz dostać lustro?

Przyniosła mu je pielęgniarka. Pacjent przyjrzał się wreszcie swojemu odbiciu. Cała trójka w napięciu czekała na jego reakcję. Ale reakcja nie nastąpiła. Pacjent przyglądał się sobie jak każdego zwykłego, normalnego dnia. Jego twarz ani drgnęła.

– Jak ci się to podoba? – spytał chirurg.

– Wykonał pan doskonałą robotę, doktorze. Zakładam, że rachunek został już uregulowany?

– Tak jest, dziękuję.

– Kiedy będę mógł wreszcie wstać z łóżka?

– Jeszcze dzień odpoczynku. To wszystko.

– A kiedy będę mógł rozpocząć forsowne ćwiczenia?

– Forsowne ćwiczenia? Ale dlaczego... – chirurg powstrzymał się w ostatniej chwili, przypomniał sobie o niebezpieczeństwie, którym groziło zadawanie zbyt wielu zbyt dociekliwych pytań. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, mniej więcej za tydzień.

Stan znalazł budkę telefoniczną niedaleko Filene's Basement. Wyjął z kieszeni rolkę ćwierćdolarówek, wrzucił kilka do automatu, wybrał numer. Po trzech sygnałach odezwała się sekretarka.

– Kancelaria prawnicza Charlesa Slacksona, czym mogę służyć?

– Proszę połączyć mnie z Charliem.

– Z kim rozmawiam?

– Jego starym przyjacielem – warknął Stan.

– Bardzo przepraszam, ale muszę znać...

– Połącz mnie z nim, słodziutkie bezmózdze, albo wyrwę ci jęzor.

Sekretarce odebrało głos. Stan usłyszał trzask centralki, a po chwili głos mężczyzny.

– Halo?

– Charlie? To ja, Stan.

– Jezu, Stan, naprawdę musiałeś przerazić na śmierć moją sekretarkę?

– Przepraszam, ale nie zamierzałem się jej przedstawiać.

– Wcale ci się nie dziwię, stary przyjacielu.

– O co chodzi?

– Pan K cię szuka. Nie jest w najlepszym humorze.

– Tak przypuszczałem.

– Gdzie ty, do cholery, jesteś, Stan?

– O to się nie martw. Ale chcę ci zadać pytanie z zakresu prawa.

– Sprawa jest czysta?

– Owszem.

– Normalnie nie zajmuję się czystymi sprawami. Moją specjalnością są brudne.

– O tym akurat doskonale wiem.

– Nie mów mi, że znalazłeś dla nas sposób na legalne zarobienie jakichś pieniędzy, Stan. O wiele bardziej lubię cię takiego, jaki jesteś. A jesteś oszustem, i w dodatku kiepskim.

– Spróbuję się nie zmienić.

– Trzymam cię za słowo. Teraz pytanie.

– Oczywiście wiesz, że mój brat odwalił kity w Australii?

– Chyba żartujesz. Wszędzie trąbią o tym od tygodni.

– Chodzi mi o spadek po nim. Nie zostawił testamentu, więc kto właściwie dostanie całą tę forszę?

– To zależy. Czy to prawda, że parę dni przed śmiercią braciszek zabrał tę Laurę Ayars w romantyczną podróż we dwoje?

- Aha.
- Człowieku, ale to babka jak marzenie. Jej kalendarz wisiał u mnie w kuchni.
- Plus dla ciebie, Charlie, ale teraz wróćmy do sprawy forsy mojego brata.
- Słusznie. Trochę mnie poniosło. Więc zdążyli zawrzeć małżeństwo przed jego śmiercią, tak?
- Tak.
- W takim razie wiadomości nie są dobre, Stan.
- Jak to? Jestem jego jedynym żyjącym krewnym!
- Sądy mają w nosie więzy krwi. Chodzi o przypadek śmierci bez określonego rozporządzenia majątkiem.
- Mów do mnie językiem prostego człowieka.
- Proszę bardzo. Nie ma testamentu, wdowa bierze wszystko.
- Wszystko?
- Wszystko.
- Nawet jeśli jest bogata sama z siebie?
- Nawet gdyby była Agą Chanem.
- Cholera!
- Przykro mi, kolego. Ile wiesz panu K? Tym razem?
- W każdym razie już wiszę – burknął Stan.
- No to lepiej wymyśl szybko jakiś bombowy numer albo zrób z siebie niewidzialnego człowieka. Pan K nie lubi znikających dłużników.
- Wiem, Charlie.
- Trzymasz się jakoś?
- Jakoś się trzymam. Potrzebuję trochę czasu, kilku dni. Posłuchaj, Charlie, dzisiaj na Aqueduct jest pewniak...
- Już to kiedyś słyszałem.
- Nie, naprawdę. Postaw za mnie, a sam zobaczysz...
- Nie ma mowy, Stan. Pan K już wysłał wiadomość. Nikt za ciebie nie założy.
- Ale, Charlie...
- Stan, trzymaj mnie od tego z daleka. Zostałeś sam. Muszę już kończyć.

Charlie odłożył słuchawkę. Stan stał przez chwilę zamyślony i nagle się uśmiechnął. Wyjął kolejną ćwierćdolarówkę i znów zadzwonił

Gloria Ayars schodziła po schodach, czując, jak z radości kręci jej się w głowie. Nic nie mogła na to poradzić. Po raz pierwszy od dnia pogrzebu Davida miała powód, żeby się uśmiechać. To prawda, wraz z rodziną i ona ciągle była pogrążona w żałobie. Nadal czuła potrzebę oplakiwania straty, którą ponieśli. Ale przydarzyło jej się wreszcie coś miłego, a w radości nie ma przecież nic złego, prawda?

Dosłownie przed chwilą zadzwonił Stan. Umówili się na jutrzejszy wieczór. Powtarzała sobie, że to przecież nie randka, skądże znowu, tylko taka przyjacielska kolacja. Nic więcej. Nie ma sensu robić ze spotkania czegoś, czym przecież nie jest.

Tylko dlaczego na samą myśl o tym spotkaniu robiło jej się ciepło na sercu?

Tak długo nie była już z mężczyzną. Nie umawiała się z nikim, nie czuła potrzeby bliskości. Ile to czasu minęło? Zamknęła oczy. Dlaczego przypomniała sobie o tym

właśnie teraz? Dlaczego myśli, że nie jest godna być z kimś takim jak Stan? Dlaczego myśli, że jest godna tylko tego, by maltretował ją jakiś męś, jakiś łobuz?

Nie. Ja nie jestem mętem. To już minęło. Tamta Gloria Ayars nie istnieje. Umarła i została pogrzebana, dzięki Bogu...

– Powiedz mi, co się stało.

Podniesiony, władczy głos przywołał ją do rzeczywistości. Ojciec rozmawiał przez telefon, przemawiając do kogoś gniewnie, prawdopodobnie do nowego stażysty w szpitalu. Gloria poszła dalej, nie chciała stać blisko drzwi jego gabinetu, podsłuchiwać, co ma komuś do powiedzenia.

– Zabiła Davida czy nie?

Zamarła w pół kroku.

Głos ojca zrobił się jeszcze gniewniejszy.

– Nie mogłaś jej powstrzymać?

Umilkł. Ktoś, z kim rozmawiał, ktokolwiek to był, miał szansę odpowiedzieć na pytanie. Potem ojciec przemówił, znacznie spokojniej. Znow był opanowany.

– Wiem, wiem, przepraszam. Nie powinienem krzyczeć na ciebie. – Chwila milczenia. – Zgadza się. Prawdopodobnie było to samobójstwo.

Gloria poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Nie mogła oddychać.

– Nie. Teraz nie przyniesie to już nic dobrego. Naprawdę myślisz, że ona mówi prawdę? Aha. Racja. Chyba rzeczywiście nic nie możemy zrobić. – Znow umilkł na chwilę. – Nie mów tak! – Jego głos znow był gniewny. – Słyszysz mnie? Powiedziałem, że nie wolno ci tak do mnie mówić. To kłamstwo. Każde słowo. – Przerwa. – Nigdy!

Doktor James Ayars cisnął słuchawką. Gloria nadal wstrzymywała oddech, przyciśnięta plecami do ściany. Przecież na świecie żyje z milion Davidów, powtarzała w myśli. Ojciec musi mieć wielu pacjentów o tym imieniu.



Szczegóły śmierci.

Laura mocno ścisnęła rękę siostry, przesuając wzrokiem po wyłożonych boazerią ścianach biura prawniczego. Krzesła były tu duże, miękko wyściełane, na ścianach wisiały obrazy przedstawiające polowanie na lisa, a przed nią stało biurko z przepięknie polerowanego dębu, za którym stał regał pełen porządnie poustawianych książek i pism prawniczych.

Był z nią Clip. A także T.C., Earl i Timmy. I ojciec. Matka oczywiście nie została zaproszona, ale Laura poprosiła o przyjście Stana. Zdziwiło ją, że się nie pokazał.

Averall Thompson, prawnik Celtów, przyjaciel Clipa Arnsteina od wielu, wielu lat, pochylił się do przodu.

– Załatwmy to tak szybko i prosto, jak to tylko możliwe. Czy pani się ze mną zgadza, pani Baskin?

Laura skinęła głową.

– Przede wszystkim proszę przyjąć moje najszczerze, chociaż spóźnione kondolencje z powodu pani straty.

– Dziękuję.

– Po drugie, proszę przyjąć przeprosiny z powodu opóźnień w załatwianiu tej sprawy. Jeśli zmarły nie zostawia ostatniej woli, zawsze występują komplikacje.

– Doskonale to rozumiem, panie Thompson. Nie ma pan za co mnie przepraszać.

– Doskonale. – Starszy wspólnik kancelarii założył okulary. – W sytuacjach takich jak ta wdowa wchodzi w posiadanie całości majątku zmarłego. Z tego, co udało nam się ustalić, większość waszych środków znajdowała się na wspólnych kontach bankowych, co powinno uprościć sprawę. Oboje kupiliście dom w Brookline. Macie trzy wspólne konta, dwa bankowe, jedno w instytucji finansowej. Poza tym David pozostawił udziały w kilku funduszach inwestycyjnych oraz akcje, mieszkanie w Bostonie... i to właściwie wszystko.

– Pozostaje jeszcze konto w banku Heritage of Boston.

– Przepraszam, pani Baskin?

– David miał konto w Heritage. Jest na nim około pół miliona dolarów.

Prawnik spojrział na nią, zaskoczony.

– Jest pani pewna, że to konto nie zostało zlikwidowane?

– Całkowicie.

Pan Thompson spojrział na leżące przed nim dokumenty. Laura rozejrzała się po gabinecie. T.C. wpatrywał się w czubki swych butów, inni, sądząc po wyrazie ich twarzy, byli nieco zdziwieni i bardziej ciekawi niż zaniepokojeni. Z wyjątkiem ojca. James Ayars zbladł jak upiór, w oczach miał strach.

– W posiadanych przeze mnie dokumentach nie ma o tym wzmianki. Czy zna pani może numer tego konta?

– Wyciągi znajdują się w mieszkaniu Davida.

Thompson wcisnął przycisk interkomu łączącego go z sekretariatem.

– Beatrice?

– Tak, panie Thompson?

– Zadzwoń do naszego kontaktu w Heritage of Boston. Niech sprawdzi, czy mają tam konto pana Davida Baskina.

– W tej chwili, panie Thompson.

Prawnik usiadł wygodniej.

– Bardzo mi przykro, pani Baskin. Nie rozumiem, jak mogło dojść do tego rodzaju pomyłki z naszej strony. Doprawdy, jestem zażenowany.

– Nie wątpię, że szybko wyjaśni pan tę sprawę.

– Ja też w to nie wątpię.

Zadzwoił telefon na biurku.

– Pan Thompson?

– Tak, Beatrice?

– Przed chwilą skończyłam rozmowę z Heritage. Nie prowadzą konta pana Baskina. Nie mają go w dokumentach.

Laura wyprostowała się w krześle.

– To niemożliwe!

Prawnik uśmiechnął się ze zrozumieniem.



– Gdyby dysponowała pani numerem...

Może spowodował to wyraz twarzy ojca, może sposób, w jaki T.C. stał, zajęty studiowaniem nosków własnych butów, ale Laura poczuła nagle wielki niepokój. Pieniądze nic dla niej nie znaczyły, już miała ich tyle, że nie wiedziała, co z nimi robić. Ale... zniknięcie konta było dziwne. Bardzo dziwne. Działo się tu coś niedobrego.

– Dziękuję, panie mecenasie – powiedziała.



Choć ręce jej drżały, Laura zdołała wyjąć klucz. T.C. zaoferował jej swoje towarzystwo, ale pomyślała, że lepiej będzie, jeśli załatwi to sama. Teraz, stojąc przed drzwiami mieszkania Davida, zastanawiała się, czy postąpiła właściwie.

Włożyła klucz w zamek, obróciła go i otworzyła drzwi. W mieszkaniu było ciemno. Laura się zawahała. Nie chciała włączać światła, nie chciała stawiać czoła bolesnym wspomnieniom, gotowym rzucić się na nią natychmiast.

Wraz z Davidem spędziła tu wiele szczęśliwych chwil, przepelnionych prawdziwą, czystą radością; wiedziała, że już nigdy nie doświadczy niczego podobnego. To nie w porządku. Wiedziała, że bluźni, ale nie potrafiła obronić się przed myślą, że Bóg ją oszukał. Oszukał i zranił w najgorszy możliwy sposób. Najpierw dał jej szczęście największe z możliwych, a potem podciął skrzydła i pozwolił spaść na twardą ziemię. W jednej chwili David żył, silny jak zawsze, a w następnej znikł z jej życia. Jak można odebrać kogoś takiego światu, tak po prostu? Jak to możliwe, że w jednej chwili wszystko, co miało wartość, traci ją i nie jest już nic warte?

Doprawdy, była to jakaś okrutna, sadystyczna sztuczka.

Weszła do środka, ale nadal nie włączała światła. Nagle przypomniała sobie, kiedy po raz ostatni weszła tu sama. Znali się od trzech miesięcy i już byli w sobie beznadziejnie zakochani.

Postanowiła wpaść do niego, wracając z pracy do domu. Zapukała do drzwi. Czekala, ale nikt jej nie otworzył.

Dziwne.

Zadzwoniła do Davida zaledwie przez kilkana minutami, więc raczej nie wyszedł, bo po co? Poruszyła klamką i ku jej wielkiemu zdziwieniu okazało się, że drzwi są otwarte. Uśmiechnęła się. David nie poszedłby nigdzie, nie zamykając za sobą drzwi. Tego rodzaju reakcje miał zaprogramowane. Pewnie bierze prysznic.

Weszła do środka. W mieszkaniu było ciemno, tak jak teraz, dwa i pół roku później, gdy wchodziła tu w poszukiwaniu wyciągów bankowych z Heritage of Boston. Rozejrzała się dookoła. W pokoju nie było nikogo. Spodziewała się usłyszeć szum prysznicu, ale nie słyszała niczego.

Nieprawda. Do jej uszu dobiegł stłumiony krzyk.

Na ten dźwięk ścisnęła jej się żołądek. Pobiegła do sypialni, to tam był ktoś, kto krzyczał.

– Davidzie...?

Kolejny krzyk, również stłumiony, był jednak głośniejszy i straszniejszy od wszystkiego, co zdarzyło się jej do tej pory słyszeć.

Wpadła do środka. Jej oczy szybko przyzwyczały się do ciemności. David leżał w kącie łóżka skulony, mocno obejmując dłońmi głowę i wijąc się z bólu. Znow krzyknął z ustami przyciśniętymi do poduszki.

Była przy nim, serce waliło jej w piersi jak młot.

– Davidzie, co się stało?

Dostrzegła jego twarz, maskę strasznego cierpienia. Nigdy nie widziała takiego bólu, nie wiedziała nawet, że może istnieć. Zaciskał zęby, twarz miał przerażająco czerwoną, jakby głowa miała eksplodować mu lada chwila. Walczył, ale nie potrafił się powstrzymać. Przycisnął twarz do poduszki. Jego kolejny krzyk przeszył Laurze serce, doprowadził ją do paniki.

– Dzwonię do szpitala.

Sięgnęła po telefon, ale David chwycił ją za rękę.

– Nie... – Więcej nie zdołał powiedzieć, znow wsadził do ust poduszkę. Puścił jej rękę. Krzyczał. Ścisnął głowę dłońmi. Wysiłek wypowiedzenia jednego zrozumiałego słowa musiał go wiele kosztować. Spojrzał na nią przepełnionymi cierpieniem oczami. Zdobył się na wielki wysiłek i wykrztusił jeszcze dwa słowa.

– Przytul mnie.

Przytuliła go. Przytuliła go mocno. Głaskała i uspokajała. Krzyczała, gdy i on krzyczał, chwytając ją kurczowo, jakby była kołem ratunkowym na wzburzonym oceanie. Minęły niemal dwie godziny, nim jego przedziwne cierpienie najpierw osłabło, a potem zaczęło mijać. Lecz Laura nie zwolniła uścisku, nie chciała ryzykować nawrotu tej gnębiącej go przedziwnej choroby.

– Już wszystko w porządku, Lauro.

Nie zareagowała.

– Chyba powinienem coś ci wyjaśnić.

– Tylko jeśli sam chcesz – powiedziała, drżąc.

– Chcę.

Przytuliła jego głowę do piersi.

– Czy to ci się często zdarza?

David wzruszył ramionami.

– I raz wystarczy na coś takiego. Mój doktor mówi, że to kombinacja wyjątkowo ciężkiego klastrowego bólu głowy i jakiejś nieoperacyjnej dysfunkcji mózgu.

Brzmiało to przerażająco.

– Dysfunkcji mózgu?

– Takiej jak cysta. Albo guz. Ale nie jest aż tak niebezpieczne, to znaczy nie śmiertelne. Zawsze zaczyna się i kończy na bólu, to wszystko. Lekarz twierdzi też, że z tym się urodziłem, chociaż pierwsze objawy pojawiły się dopiero na studiach.

– I nic ci nie pomaga? Jakieś lekarstwo?

– Właściwie nie.

– Davidzie, powiedz mi, jakie to naprawdę jest?

David przywołał uśmiech na swą zmęczoną twarz.

– Udawanie dzielnego nigdy mi nie wychodziło. Powiem ci prawdę: to był jeden z najłagodniejszych ataków.

Nie była to pocieszająca wiadomość.

– Przypuszczam – mówił dalej – że to dzięki twojej pomocy. Atak zaczyna się zazwyczaj tak, jakby ktoś walił kafarem w najwrażliwsze połączenia nerwowe w głowie. Potem ból rośnie, czuję, jak przez mózg przepływają mi tysiące woltów. Czasami chciałbym sięgnąć w głąb głowy, zrobić coś, ale to jak próba drapania się pod gipsem. A później bywa, że ból dociera do innych nerwów, i wtedy mnie po prostu paraliżuje.

– I nie możemy nic z tym zrobić?

– Tylko to, co już zrobiłeś. Po prostu przytulaj mnie podczas ataku.

– Koledzy z boiska wiedzą?

David pokręcił głową.

– Tylko lekarz i T.C. Nie powiedziałem nikomu, nawet Clipowi i Earlowi. Zazwyczaj wyczuwam, kiedy zaczyna się atak, i zdążam zniknąć ze sceny. Zamknięcie się w ciemnym pokoju pomaga. No i często dzwonię do T.C. – David przerwał, przełknął z wysiłkiem. – T.C. nie łagodzi bólu, ale czasami jest aż tak źle, że boję się, abym nie zrobił czegoś, czego bym później żałował. Nie, nie chcę cię przestraszyć, tylko chcę, żebyś zrozumiała, jakie to poważne.

Laura płakała, tuląc Davida jeszcze mocniej.

– Kocham cię. Tak bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham, Lauro. – David przymknął oczy.

– I bardzo cię potrzebuję.

Ostatni atak przyszedł w październiku 1988 roku. Przez osiem i pół miesiąca aż do śmierci paraliżujące bóle głowy wcale się nie pojawiały. David był pewien, że to zasługa Laury, że w jakiś sposób udało jej się wygnać drzemiącego w jego mózgu demona. Nawet lekarz był zdumiony, stwierdziwszy, że cysta, czy może guz, nie jest już aktywna. W jakiś sposób udało im się pokonać demona.

Ale... czy naprawdę?

Czy demon rzeczywiście znikł, czy też tylko czekał na właściwy moment, gotów zaatakować w każdej chwili? Czy udawał, że go już nie ma, do chwili gdy bezbronny David znalazł się w zawsze groźnym oceanie? Może wówczas zdecydował, że skończy grę raz na zawsze, pozbędzie się Davida, paraliżując go, wciągając pod wodę, czekając, aż jego płuca pękną...

T.C. powiedział, że nie. Laura nie była tego taka pewna.

Włączyła światło. W oczach miała łzy. Nawet gdy David jeszcze żył, myśl o tym, jak cierpiał, zawsze doprowadzała ją do płaczu.

Weszła do sypialni, na pół spodziewając się zobaczyć go skulonego w łóżku, ale pokój był pusty. Przeszła do gabinetu, w którym stała szafka na akta; kupiła mu ją w prezencie w zeszłym roku. Starannie podpisane tekturowe teczki stwarzały przynajmniej iluzję porządku. Była to jednak tylko iluzja. David nadal gubił rachunki, oświadczenia majątkowe, ważne dokumenty. Zawsze nienawidził papierów, jakichkolwiek papierów. Nie widział nic o pieniądzach, a chciałby wiedzieć jeszcze

mniej.

– W tych sprawach będziesz podejmowała decyzje za nas oboje – powiedział jej kiedyś. – Jesteś geniuszem finansowym.

W drugiej szufladzie od góry znajdowały się oświadczenia finansowe. Laura wysunęła ją z szafki. Wiedziała, że książeczka czekowa i miesięczne sprawozdania Heritage of Boston powinny się znajdować za teczką Gunther Mutual. Szybko przekładała kolejne. Catalyst Energy, Davidson Fund, Equities with Recovery Corporation of America, Fredrickson and Associates, Gunther Mutual...

Teczki Heritage of Boston nie było.

Sprawdziła jeszcze, czy David gdzieś jej nie przełożył. Potem zajrzała do innych szuflad. Z tym samym rezultatem.

Wyprostowała się. Trzęsa się na całym ciele. Potrzebowała odpowiedzi, i to natychmiast.

Pora na odwiedzin w banku.



W towarzystwie T.C. podjechała do banku. Wysiedli, ruszyli w stronę głównego wejścia. Policjant zawsze czuł się dziwnie, kiedy gdzieś z nią szedł. Oto jedna z najpiękniejszych kobiet na świecie idzie z tęgawym, ale poza tym nierzucającym się w oczy tępakiem w wygniecionym garniturze, o dobre dziesięć centymetrów niższym od niej. Przypadkowi przechodnie musieli nieźle się bawić na ten widok.

– No więc nie mogłaś znaleźć wyciągów? – spytał. – Też mi problem. Może przeniósł rachunek i zwyczajnie je wyrzucił?

– Mówimy o Davidzie – przypomniała mu Laura. – Wiesz, jak kiepsko radził sobie z finansami.

Musieli czekać jakieś dziesięć minut, nim sekretarka wprowadziła ich do biura.

– Bardzo przepraszam za to opóźnienie – przywitał ich mężczyzna, wstając zza biurka. Potrząsnął dłonią Laury. – Nazywam się Richard Corsel i jestem jednym z wiceprezesów banku. Proszę wejść.

Był młody, miał nie więcej niż trzydzieści lat. Coś w jego zachowaniu powiedziało Laurze, że jej wizyta go nie uszczęśliwiła.

– Laura Baskin – przedstawiła się.

– Od razu panią poznałem, pani Baskin. Bardzo mi przykro z powodu śmierci męża.

– Dziękuję. A to Terry Conroy z wydziału policji.

– Policjant? Czy stało się coś złego?

– Jestem pewna, że nic, czego nie zdołalibyśmy wyjaśnić. Chodzi mi o konto, które mój mąż miał w pana banku.

– Tak?

– Nie mogę znaleźć wyciągów. Mam nadzieję, że pan mi powie, jaki jest jego stan.

– Jedną chwileczkę. – Richard Corsel uderzył w klawisze terminalu komputerowego na biurku. – Pan Baskin nie ma już u nas konta, proszę pani.

– Jestem pewna, że istniało, nim przed kilku tygodniami wyjechaliśmy do Australii.

- To bardzo możliwe. Ale zostało zamknięte.
  - Czy pieniądze zostały podjęte, czy przelane?
- Corsel zakaszła, zasłaniając usta dłonią.
- Tego, niestety, nie mogę pani powiedzieć.
  - Kto panu tego zabronił?
  - Pan Baskin.

Zaskoczona Laura wyprostowała się w krześle.

– Co?

– Kiedy pani mąż zamykał konto, pozostawił nam bardzo dokładne instrukcje. Jedną z nich był zakaz udzielania jakichkolwiek informacji dotyczących jego funduszy.

– Ależ on nie żyje!

– Jego życzenia pozostają w mocy.

Laura spojrzała na T.C., upewniając się, czy śledzi przebieg rozmowy.

– Kiedy zamknął konto? – spytała.

– Tego też nie wolno mi powiedzieć. Przepraszam.

– Panie Corsel, zginęła znaczna suma pieniędzy. I nikt nie wie, gdzie się podziały.

– Jeszcze raz przepraszam, ale nic nie mogę na to poradzić.

Laura spojrzała mu w oczy. Bankier natychmiast odwrócił wzrok spłoszony.

– Chcę wiedzieć, co się stało z tym kontem.

– Tego nie mogę pani powiedzieć.

T.C. wstał.

– Lauro, chodźmy – powiedział spokojnie.

– Jak to „chodźmy”? – zareagowała z gniewem. – Nigdzie nie pójdę, póki się nie dowiem, co się stało z tym kontem.

– Pan Corsel już nam wyjaśnił, że to informacja poufna.

Bankier skinął głową.

– Pani Baskin, proszę... przecież spełniam tylko życzenia pani męża.

– Jego życzenia? Życzył sobie, żeby nie powiedział pan jego żonie, co się stało z kontem?

– Nie... nie mogę odpowiedzieć pani na to pytanie.

– Panie Corsel, zmusza mnie pan do podjęcia nieprzyjemnych działań.

– Doprawdy, nic nie mogę zrobić – powiedział bankier drżącym głosem.

– Ale jest coś, co ja mogę zrobić. – Laura była wściekła. – Czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu?

– Oczywiście.

Wybrała numer, zaczekała na przekazanie rozmowy, a potem powiedziała do słuchawki:

– Sam? Tak, to ja, Laura. Dzięki, mnie też miło jest usłyszeć twój głos. Chcę poprosić cię, żebyś coś dla mnie zrobił. Powiedz, proszę, ile Svengali ma w Heritage of Boston? Wiem, że dużo, ale nie wiem dokładnie ile.

Richard Corsel zrobił się nagle biały jak prześcieradło.

– Jezu, Lauro – nie wytrzymał T.C. – Co ty wyprawiasz?

– Zaczekaj na mnie za drzwiami, T.C., proszę. Nie chcę cię w to mieszać.

– Ale...

– Zrób choć raz, o co cię proszę, bez zadawania pytań, dobrze?

Policjant wzruszył ramionami, wstał i wyszedł. Zatrzasnął drzwi, dystansując się od rozpoczętej właśnie wojny.

– Tak, słyszę cię, Sam. Ile milionów? Świetnie. Przenieś je proszę do First Boston. Powiedz radzie nadzorczej Heritage, że nie byłam zadowolona z pomocy, o jaką poprosiłam jednego z ich wiceprezesów, Richarda Corsela. Powiedz im także, że może mieć coś wspólnego z próbą okradzenia mnie. Tak, dobrze słyszałeś. C-O-R-S-E-L. Zapisaleś?

– Chwileczkę! – nie wytrzymał bankier. – Czy możemy przedyskutować tę sprawę?

– Zaczekaj chwilę, Sam. Pan coś mówił?

– Pani Baskin, proszę odłożyć słuchawkę. Przedyskutujmy problem racjonalnie, dobrze?

– Sam – powiedziała Laura do słuchawki – jeśli nie odezwę się do ciebie w ciągu dziesięciu minut, przeprowadź transakcję. – Odłożyła słuchawkę. – A teraz... pan miał mi coś do powiedzenia?

– Pani Baskin, posunęła się pani do szantażu.

– Panie Corsel, ja tylko chcę wiedzieć, co tu zaszło. I może mi pan wierzyć, że się dowiem. To nie jest taka sobie pogróżka. Jeśli nie powie mi pan nic nawet po tym, kiedy przeniosę fundusze Svengali, pojawi się tu armia dziennikarzy... wraz z moimi prawnikami. Media pokochają opowieść o wdowie, która chce przeznaczyć fundusze, pozostałe jej po tragicznie zmarłym mężu, na cele dobroczynne, i banku, który, być może, je przywłaszczył.

– Przywłaszczył?

– Reputacja pańskiego banku ucierpi, to nieuniknione, a ja i tak się wszystkiego dowiem.

Richard Corsel wyglądał jak bokser, który właśnie dostał nokautujący cios.

– A przy okazji – nie oszczędzała go Laura – Sam jest bardzo dokładnym człowiekiem. Pozostało mi zaledwie kilka minut, potem przeprowadzi transakcję.

Bankier opuścił głowę.

– Nie wiem, dokąd dokładnie przepłynęły pieniądze z konta. Naprawdę. Proszę mi wierzyć.

– Niech pan mówi dalej.

– Mąż kazał je przelać do Szwajcarii.

– Kiedy?

– Pani Baskin, błagam... naprawdę nie mogę tego pani powiedzieć.

– Który bank w Szwajcarii?

– Bank of Geneva. Ale wiem, że nie czekały tam długo, więc nie może pani zgłosić roszczenia do nich. No i straszenie Heritage to jedno, a szwajcarski bank to co innego. Oni się nie ugną.

– Ale... dlaczego David miałby zrobić coś takiego?

Corsel wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.
- I osobiście zlecił przeprowadzenie transakcji?
- Nie. Rozmawiałem z nim przez telefon.
- Jest pan pewien, że to był właśnie on?
- Absolutnie. Doskonale znałem głos pana Baskina, potrafiłem go rozpoznać mimo zakłóceń. Poza tym podał hasło, które mógł znać tylko on.
- Siedemset osiemdziesiąt cztery CF dziewięćdziesiąt osiemset dwadzieścia jeden BC – wyrecytowała Laura.
- I ci, którym powierzył je w zaufaniu.
- David mówił mi wszystko. Wszystko bez wyjątku. A teraz zmuszona jestem jeszcze raz skorzystać z pańskiego telefonu. Sam czeka.



Laura zrelacjonowała rozmowę T.C. po drodze do samochodu.

- Nie wierzę, że to zrobiłaś – powiedział policjant, kiedy skończyła. – Za takie rzeczy to ja aresztuję ludzi.
- W porządku, oskarżona przyznaję się do winy. I co ty na to?
- Na Szwajcarię? Moim zdaniem Corsel powiedział prawdę. Mam paru przyjaciół w FBI, ale wątpię, czy dowiemy się, co się stało z twoją forszą po tym, jak trafiła do Bank of Geneva.
- Ale żeby David zrobił coś takiego? Dlaczego?
- T.C. wzruszył ramionami.
- Może chciał mieć trochę forsy za granicą, na wypadek gdyby coś się tu stało?
- I nic by mi o tym nie powiedział?
- Może miał zamiar powiedzieć, ale nie zdążył? Sama mówiłaś, że utrzymywał konto w Heritage prawie do samego końca. Może być i tak, że dokonał przelewu tuż przed wylotem do Australii, ale uznał, że miesiąc miodowy to nie najlepsza pora na rozmowę o interesach?
- Zaczekaj chwilę. – Laura skupiła się, próbując coś sobie dokładnie przypomnieć.
- David wpadł tu po gotówkę. Tuż przed wyjazdem.
- No to masz odpowiedź. Podjął pieniądze, zlecił przelew i postanowił powiedzieć ci o tym później.
- Dziewczyna potrząsnęła głową.
- Coś ciągle jest nie w porządku. David nie potrafił prawidłowo odczytać wyciągu z konta!
- To prawda, ale...
- Zatrzymała się w pół kroku.
- Chwileczkę!
- Co?
- Corsel powiedział, że David zlecił przelew przez telefon, nie osobiście. I jeszcze, że na linii były jakieś zakłócenia.
- No?
- Nie rozumiesz!? Przecież to znaczy, że David dokonał transferu podczas naszego

pobytu w Australii.

Stan gapił się w telewizor. Same nudy. Gruba Oprah (a może w tym tygodniu była chuda?) rozmawiała z grupą jakichś ciółów, którzy napastowali seksualnie rośliny czy coś takiego. Właściwie to nie słuchał. Myślał intensywnie. Potrzebował jakiegoś numeru. Koniecznie dużego i koniecznie szybko, jak najszybciej.

Myślał także o panu K.

Rozwiązanie problemu finansowego wydawało się oczywiste: wyciągnąć forszę ze spadku po Davidzie. Ale jak? Braciszek wszystko zostawił Laurze. Mógł poprosić o pożyczkę, ale to obudziłoby podejrzenia. Laura była może naiwna, ale z pewnością nie głupia. Poza tym pieprzony T.C. niewątpliwie nabijał jej głowę różnymi pieprzonymi nonsensami z przeszłości. Nie, Stan uznał, że bezpośrednia prośba jest wykluczona. Musi skłonić ją jakoś, żeby zechciała dać mu forszę sama z siebie.

Tylko jak?

Rozmyślania przerwało mu głośnie pukanie do drzwi.

I przeraziło go śmiertelnie. Zameldował się pod fałszywym nazwiskiem. Nikt nie miał prawa wiedzieć, gdzie jest. Znów to pukanie. Zamknął oczy. Może to tylko pokojówka. Może to...

– Otwieraj, Stan. Mamy do pogadania.

...pan K.

Stan wstał jak zahipnotyzowany. Miał pokój na czternastym piętrze, ucieczka oknem nie wchodziła w rachubę. Co tam, do diabła, znali się przecież od dawna, pan K nigdy go nie skrzywdził. Wiedział, że Stan zawsze zwraca długi, wystarczy powiedzieć mu, że teraz jest szansa na naprawdę duże pieniądze, i da przyjacielowi więcej czasu.

Stan otworzył drzwi.

– Pan K! – wykrzyknął, uśmiechając się szeroko. – Jak się masz, człowieku? Wyglądasz wspaniale.

Uśmiech K wydawał się bardzo chłodny.

– Dziękuję, Stan. Też się cieszę, że cię widzę.

Wygląd pana K dziwił go za każdym razem. Facet nie sprawiał wrażenia bezwzględного gangstera. Miał długie, farbowane na blond włosy, przez cały rok był mocno opalony, a jego białe zęby z powodzeniem nadawały się do reklamy pasty do zębów. Niewysoki i szczupły, sprawiał wrażenie wręcz drobnego. Co najdziwniejsze, ukończył studia na prestiżowym uniwersytecie i przez trzy lata mieszkał w Korei. Przez sześć godzin dziennie ćwiczył tam kung-fu czy jakieś takie gówno.

To była jego specjalność, walka wręcz. Stawiałeś przeciw niemu trzech zaprawionych w bojach zawodowców, a on ich załatwiał i nawet się przy tym nie spocił.

– Wchodź, K.

– Dziękuję. – Lichwiarz wszedł, zamknął za sobą drzwi. Był spokojny, mówił cichym, przyjaznym głosem. – Co porabiasz w Bostonie, Stan?

– Przecież mówiłem ci, że jadę na pogrzeb brata.

– Który odbył się jakiś czas temu.



– Przecież wiem, K, człowieku, ale jestem blisko naprawdę dużej forsy.

– Już to kiedyś od ciebie słyszałem.

– Ale teraz to jest prawda.

Stali blisko siebie, ich twarze dzieliło niespełna dwadzieścia centymetrów.

– Chyba nie starasz się mnie unikać, przyjacielu?

– Nie ma mowy! Tego nigdy bym nie zrobił.

Pan K milczał i tylko się na niego patrzył.

– Co... co sprowadza cię do Bostonu, K?

Gość przeszedł się po pokoju.

– Mam tu mały interes do załatwienia. Jeden z moich zapaśników jest w mieście.

– Roadhouse Rex?

K skinął głową.

– Roadhouse jest wspaniały – zachwycił się Stan, któremu najbardziej zależało na tym, by gangster myślał tylko o obrzydliwym zawodniku, ale broń Boże o nim. – Potrafi paść na matę jak nikt w biznesie.

Tym razem K uśmiechnął się ledwie widocznie.

– Jest najlepszy – przyświadczył. – Powinieneś zobaczyć go w szatni. W bagażniku wozi kapsułki krwi, lewe gipsy, wszystko, co mu się przydaje do symulacji. Zależy, co wymyśli. – Odwrócił się nagle, podszedł do Stana. – Ale zboczyliśmy z tematu, nie uważasz?

– Z tematu?

K uśmiechnął się szerzej – Powiedz, czy ty przypadkiem nie próbowałeś się przede mną ukryć?

Stan przełknął ślinę z wysiłkiem.

– Człowieku, chyba wiesz, że tego nigdy bym nie zrobił. Przecież wiesz. Upredzałem cię, że wyjeżdżam.

– Owszem. Ale zapomniałeś powiedzieć, że będziesz używał fałszywego nazwiska.

– Potrzebowałem czasu. Bo rozumiesz, mój brat...

– Wiem wszystko o twoim bracie.

– Także to, że był bogaty. Dostanę część jego pieniędzy.

Tym razem K roześmiał się głośno.

– Czy ty zapomniałeś, z kim rozmawiasz? Wiem, co mu zrobiłeś, byłem przy tym, pamiętasz? Brat nie zostawiłby ci ani centa.

– Przecież wiem. Dostanę pieniądze od wdowy po nim.

– Tej modelki?

– Właśnie, panie K. Da mi forszę.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

– Jasne. Zero problemu.

K podszedł do łóżka. Zachowywał kamienny spokój.

– Może, Stan, na razie jesteś mocno spóźniony.

– Dodaj do procentu.

– Ależ oczywiście. Już dodałem. Ale jesteś za bardzo spóźniony.

– Daj spokój, K, wiesz, że zwrócę dług. Jak zawsze.

– I tu się mylisz. Sądzę, że zwrócisz dług, jak zawsze. Ale nie jestem pewien. Może potrzebna ci zachęta?

– Zachęta?

Stan nie zdążył powiedzieć nic więcej ani zareagować w żaden inny sposób. Ręka pana K wystrzeliła do przodu z przerażającą szybkością i trafiła go w żołądek. Ze Stana powietrze uszło z sykiem. Osunął się na podłogę, walcząc o oddech.

Pan K przyglądał się beznamiętnie, jak wije się z bólu, po czym, bez pośpiechu, chwycił prawą dłoń Stana i odczekał kilka chwil, aż ofiara złapie oddech.

– Bardzo mi przykro, że musiało do tego dojść.

– Proszę...

K położył mu dłoń na ustach, a potem wygiął jego środkowy palec, aż niemal dotknął nim nadgarstka. Kość pękła jak zapalka, Stan poczuł, jej ocierają się o siebie ostre krawędzie. Zrobiło mu się ciemno przed oczami.

– Tydzień, Stan – powiedział lichwiarz, nie podnosząc głosu. Przytrzymał odchylony palec jeszcze przez sekundę, a potem delikatnie złożył ranną dłoń na podłodze. Palec już spuchł, końce kości niemal przebiły skórę.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

Stan zdołał skinąć głową. Ból był obojętniający.

– Już nigdy nie będziesz się przede mną chował.

Pokręcił głową.

Pan K uśmiechnął się łagodnie, podniósł nogę i z rozmachem przydepnął butem dłoń, z dokładnością eksperta trafiając wprost w złamany palec. Zdążył nawet stłumić okrzyk ofiary, znów przykrywając jej usta dłonią.

– Chyba doszliśmy wreszcie do porozumienia – powiedział rzeczowo. Spojrzał w lustro, przyglądał włosy, podszedł do drzwi. – Zawsze miło jest cię widzieć, Stan. Masz tydzień na zwrot kasy. Od dziś suma wynosi sześćdziesiąt tysięcy.



Tego samego dnia, nieco później, Laura siedziała w pokoju gościnnym mieszkania Serity. Wyglądała przez okno, Co się stało? Świat, do tej pory doskonały, nagle zmienił się w piekło. Co takiego zrobiła? W tej chwili nienawidziła świata. Nienawidziła wszystkiego, co się nań składa. Były chwile, kiedy nienawidziła Davida za to, że ją zostawił, choć wiedział, że nie może bez niego żyć.

Czas mijał powoli, ale nie był w stanie wyleczyć żadnej rany. Za każdym razem kiedy miała wrażenie, że jednak staje się silniejsza, coś się zdarzało: przejeżdżała obok boiska, na którym dzieciaki grały w koszykówkę, widziała kochanków trzymających się za ręce na brzegu Charles River albo rodzinę wyjeżdżającą na weekend swym kombi – i rany otwierały się, krwawiły.

Nic już nie miało sensu. Do ich domu włamano się, ale niczego nie ukradziono. Konto Davida znikło gdzieś w Strefie Mroku. Ojciec zachowywał się co najmniej dziwnie. I co się działo z T.C...? Od kiedy używał taktyki nacisku, by wydobyć informacje?

Serita weszła do pokoju, włączyła światło.

– Co robisz, Lauro? – spytała.  
– To co zwykle. Chyba po prostu chcę być sama.  
– Przez te ostatnie miesiące nie robiłaś nic innego. Zaczyna mi to działać na nerwy.  
– Jutro się od ciebie wyprowadzę. Sądzę, że najwyższy czas, żebym zaczęła sama troszczyć o siebie.

– Mówisz jak dzielna dziewczynka. I co będziesz robiła u siebie?

Laura wzruszyła ramionami.

– Jeżeli masz zamiar tkwić pogrążona w czarnych myślach, to równie dobrze możesz zostać. – Serita rzuciła gazetę na kolana przyjaciółki. – Czytałaś to?

Laura tylko zerknęła na nagłówek.

– Dział finansowy? Nie sądziłam, że interesy to teraz twoja działka.

– Bo nie są moją działką. Ale nadal sądzę, że powinnaś to przeczytać.

Na to Laurze brakowało jednak sił.

– Może po prostu szybko streścisz mi, o co chodzi?

– W porządku. Więc sprawa wygląda tak, że Svengali straciło wczoraj dwa punkty, a to oznacza, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni straciło ponad dziesięć punktów. A powód tych strat jest prosty: rozeszły się plotki, że sprzedajesz firmę i że już do niej nie wrócisz.

– Doprawdy, nic mnie to nie obchodzi.

– To posłuchaj, możesz mieć w nosie, co się stanie z tobą, i to ci wolno, w porządku. Ale powinnaś chronić udziałowców, ludzi, którzy ci uwierzyli i którzy w ciebie zainwestowali. Nie wolno ci ich tak po prostu porzucić.

Laura milczała. Wpatrywała się w okno.

– Co się z tobą dzieje, do cholery!?

Wreszcie spojrzała na przyjaciółkę.

– Co się ze mną dzieje? – powtórzyła. – Nie czytasz gazet? Mój mąż nie żyje, Serito. Do ciebie to nie dociera? Mój mąż nie żyje!

– Oczywiście, że to do mnie dociera. Ale ty żyjesz, prawda?

– Serita przeszła przez pokój, usiadła na krześle obok przyjaciółki. – Jeśli chodzi o ciebie, kochanie, to wszystko pamiętam. Jak opowiadałaś mi o zarozumiałych gówniarzach wyzywających się na tobie, bo byłaś brzydka, ale przeżyłaś i pokazałaś im, na co cię stać. I jak te wszystkie dupki z wielkich firm wyśmiewały cię, kiedy uruchomiłaś Svengali. Ciekawa jestem, czy ty pamiętasz, jak próbowali cię załatwić. Nie dałaś się i znowu przetrwałaś, chociaż nikt na ciebie nie stawiał. A ja? Ja siedziałam sobie z boku i biłam ci brawo. Musiałaś walczyć, żeby zrobić z firmy to, czym jest dzisiaj. I walczyłaś jak lwica. To twoje dziecko, wiesz? Nie oddawaj go. David by tego nie chciał. I nie chciałby, żebyś się poddała, jak teraz.

David. Samo brzmienie tego imienia spowodowało, że do oczu napłynęły jej łzy.

– Kochanie, wiem, że ci ciężko, ale musisz żyć dalej. Musisz się obudzić teraz, zaraz, nim wszystko, co masz, wszystko, na co tak ciężko pracowałaś, rozpadnie się jak domek z kart.

– Serita wstała, spojrzała na przyjaciółkę z góry. – Poza tym tak się złożyło, że akurat jestem twoją najlepiej płatną modelką. Jeśli Svengali się rozleci, stracę

ważnego klienta. A tego z pewnością byś nie chciała.

– Niech mnie Pan Bóg broní. – Laura zdołała uśmiechnąć się lekko. – Wiesz co?

– Nie wiem.

– Jesteś dobrą przyjaciółką.

– Najlepszą.

Laura splotła dłonie, zacisnęła je.

– Serito?

– Jestem przy tobie.

– Nie wiem, co robić. Ja... ja boję się wrócić.

– Wiem, kochanie. Nie chcę cię naciskać. Po prostu zrób to, krok po kroku.

Laura skinęła głową, ale nadal miała wątpliwości. Bardzo poważne wątpliwości. Odetchnęła głęboko, z wahaniem, sięgnęła po telefon. Zadzwońiła do firmy, do dyrektora odpowiedzialnego za kontakty z mediami.

– Halo?

– Mówi Laura – przedstawiła się drżącym głosem. – Proszę o wydanie oświadczenia, że jutro rano wracam do pracy.



– Doktorze Ayars, rozmowa na piątej linii.

– Dziękuję.

James Ayars podniósł słuchawkę, wcisnął odpowiedni przycisk.

– Gdzie byłeś, do diabła?!

– Tu i tam.

– Próbowałem cię złapać przez cały dzień!

– Nie masz mnie na kiwnięcie palcem.

– Nie powiedziałem, że mam.

– Czego chcesz? – spytał głos.

– Dziś odbyło się przejęcie spadku po Davidzie – powiedział doktor.

– I?

– Przy okazji wyszła pewna dziwna sprawa związana z jego finansami.

– I?

Doktor James Ayars pochylił się w fotelu.

– Nie jestem już taki pewien, czy David popełnił samobójstwo.

## 8

– Estelle!

– Tak, Lauro?

– Gdzie, do diabła, są projekty butów na zimę? Prosiłam o nie dziesięć minut temu!

– Już, chwileczkę.

– I chcę natychmiast zobaczyć się z Martym Tribble'em. Marketing robiony jest chyba dla prababci! Na litość boską, nie zamierzam sprzedawać w Pasie Biblijnym!

– Załatwione.

– Powiedz Hillary, że zapowiada się długa noc. Wzory spódnic są do bani; będziemy siedzieć na tyłkach, póki nie poprawimy wszystkich!

– Zapisałam.

– Sandy ma być u mnie mniej więcej za godzinę. Mam pomysł na nową linię produktów.

– Sandy... tak... za godzinę.

– Księgowość ma wiedzieć, że będę potrzebowała wykazu wszystkich transakcji dokonanych pod moją nieobecność. Liczby coś nie chcą mi się zgodzić.

– Jasne. Coś jeszcze, Lauro?

– Zabiłabym za filiżankę herbaty.

– Załatwione. – Estelle zatrzymała się przy drzwiach.

– Słuchaj...

– Tak?

– Miło znowu widzieć cię w pracy.

– Dziękuję.

Estelle wyszła. Laura spojrzała na blat swojego biurka i tylko potrząsnęła głową. Co za imponujący bałagan. Ciekawe, w której kupce znajdzie najpiękniejsze materiały. Dystrybucja leżała, w modzie zimowej panował pożałowania godny nieład wymagający uporządkowania w ciągu najbliższych kilku dni.

Poprawiła się w fotelu. Czy powrót do pracy to rzeczywiście dobry pomysł? Wcale nie była tego taka pewna. Owszem, odwracał uwagę, a więc przynosił ulgę. Miała o czym myśleć. Tylko że w firmie nic jej nie pasowało, nie do końca, i czuła się tak, jakby po bardzo długiej nieobecności wróciła do rodzinnego miasteczka, znajomego, a jednak zapomnianego. Jeśli praca miała ją rzeczywiście uleczyć, to zapowiadał się długi, powolny proces. Ręce nadal jej drżały. Nadal wydawało jej się, że serce zgniata potężne imadło. Ale może Serita miała rację. Małymi krokami do przodu.

Zadzwoił telefon wewnętrzny.

– Co się stało, Estelle?

– Ma pani gościa. Przyszedł pan Stan Baskin.

– Wprowadź go.

Estelle otworzyła drzwi przed Stanem, witającym Laurę ciepłym, serdecznym uśmiechem.

– Cześć, mała. Dobrze znów cię widzieć, i to przy pracy.

– Co za miła niespodzianka. Siadaj, Stan.

– Jesteś pewna, że ci nie przeszkadzam?

– Szczerze mówiąc, owszem, przeszkadzasz. Za co jestem ci bardzo wdzięczna.

Potrzebowałam przerwy.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. – W tym momencie Laura zauważyła zabandażowaną dłoń. – Co ci się stało?

– Chodzi ci o rękę? Nic takiego, przytrzasnąłem ją drzwiczkami samochodu.

Zawsze byłem rodzinną niezdara.

– Sprawiasz wrażenie nieco obolałego. Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Dziękuję, nic mi nie jest. Naprawdę.

Laura wstała zza biurka, usiadła obok gościa.

– Dlaczego nie przyszedłeś wczoraj do kancelarii? – spytała.

Stan się zawahał.

– Dziękuję ci za zaproszenie, ale nie czułbym się tam na miejscu.

– Byłeś jego bratem.

– Może to i prawda, ale nie pasowałbym do towarzystwa. Mieli tam być ludzie, których David kochał i o których się troszczył. Ja... ja nie należę do nich.

– To nie tak – powiedziała Laura z naciskiem. – Cokolwiek zdarzyło się między wami, nie zmieni faktu, że jesteś jego bratem. Pomyśl o wspólnym dzieciństwie, jego nic ci nie odbierze. Powinieneś tam być, Stan. Masz prawo do części spadku.

Stan powoli pokręcił głową.

– Ja to wszystko zmarnowałem, wiesz? Nie chcę od Davida nic oprócz tego, czego nie może mi dać: przebaczenia.

– Wiem, że gdyby żył, toby ci przebaczył.

– Nie jestem pewien... – Stan umilkł na chwilę.

– Posłuchaj, Lauro, jesteś zajęta, więc chcę ci od razu powiedzieć, po co przyszedłem. Dowiedzieć się, czy zjesz ze mną jutro kolację. To taki rodzaj pożegnania.

– Pożegnania? – zdziwiła się Laura.

Stan skinął głową.

– Pojutrze rano wracam do Michigan.

– Wyjeżdżasz? – W ciągu ostatniego miesiąca przyzwyczała się do obecności Stana. Był częścią rodziny i jedynym żyjącym krewnym Davida. Polegała na nim. – Dlaczego? Myślałam, że polubiłeś Boston.

– Polubiłem. Nawet pokochałem. Ale układ z galerią handlową nie wyszedł. Nie mogę zdobyć kapitału. I... nie wiem... czuję się źle w towarzystwie, do którego nie należę. Jakbym narzucał się rodzinie Davida.

– Nie narzucasz się.

– Być może. Nieważne. To co, przyjmujesz zaproszenie?

Laura poprawiła się w fotelu. Złożyła dłonie, czubkami palców dotknęła nosa.

– Mogę liczyć na przysługę, Stan? – spytała.

– Oczywiście.

– Nie wiem, czy wiesz, czy nie, ale David nie pozostawił testamentu. Zgodnie z literą prawa wszystko, co pozostawił, należy do mnie. Chcę ofiarować ci część tego majątku.

– Lauro, nie mogę...

– Chcę, żebyś wybudował tę swoją galerię z motywem koszykówki. Jak sądzisz, ile ci potrzeba? Na początek?

– Daj spokój.

– Dlaczego mam dać spokój?

– Powiedziałem ci już. Nie zasługuję na to, by dostać coś po Davidzie.

– Więc zrób to dla mnie. Potrzebuję nowych sklepów Svengali w tej okolicy. Twoja galeria byłaby darem niebios.

– Stan pokręcił głową, ale Laura nie przerywała. – Możesz nadać jej nazwisko Davida. Niech stanie się dla ciebie sposobem upamiętnienia braterskiej miłości, sposobem pokazania światu, co David dla ciebie znaczył. Czy milion dolarów na początek wystarczy?

Już mówiąc te słowa, Laura poczuła delikatne ukłucie niepewności. Usłyszała cichy głos Davida: „Nie układa nam się...”.

Zignorowała ten głos.

– Słuchaj, nie czuję się w porządku i ta oferta...

– A więc załatwione. Mój prawnik wypisze ci czek jutro po południu. Milion dolarów z majątku twego brata będzie twój. Zgoda?

Stan zachichotał.

– Lauro, czy ktoś kiedyś nazwał cię upartą?

– Wielokrotnie mnie tak nazywano. Więc zgoda?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Więc powiedz „tak” – ponagliła Laura, choć miała coraz większe wątpliwości. Nie wiedziała, czy dobrze postępuje. – Powiedz, że odwołujesz lot do Michigan. I że masz zamiar na serio zająć się galerią. Powiedz, że nadal chcesz być częścią rodziny.

– Oczywiście, że chcę być częścią rodziny.

– Więc powiedz „tak”.

Stan patrzył w ziemię. Potem, powoli, podniósł wzrok.

– Dziękuję ci, Lauro. Nie pożałujesz.

Laura uśmiechnęła się niepewnie. Nie pożałujesz? Chyba już pożałowała.



Clip Arnstein zgasił cygaro. Przez szerokość stołu spojrzął na swoich dwóch najlepszych graczy. Earl powoli dobiegał trzydziestki i w tej chwili był u szczytu kariery. Dwukrotnie przewodził w lidze pod względem liczby zdobytych punktów, raz

pod względem liczby zbiórek, słynął też ze znakomitej obrony. Ale wiele ze swych słynnych rzutów oddawał po cudownych podaniach Davida, a inne dlatego, że przeciwnicy pilniej niż jego kryli Białą Błyskawicę.

Timmy Daniels był o parę lat młodszy. Był obrońcą, wywodzącym się z Uniwersytetu imienia Brigham Younga, doskonałym wszechstronnym atletą, zaciętym i zapalczwym jak David. Lubił zwyciężać, musiał zwyciężać, był gotów zrobić wszystko, by zwyciężyć. Z wyglądu mógł sobie przypominać małe dziecko w piaskownicy, ale większego twardziela Clip nie widział przez pięćdziesiąt lat swego życia poświęconego wyłącznie koszykówce. No i chłopak potrafił rzucać. Po śmierci Davida to on dysponował najlepszym rzutem z dystansu w lidze.

Clip wyciągnął kolejne ze swych słynnych cygar. Odgryzł koniec.

– Moim zdaniem nadszedł czas, byśmy porozmawiali sobie prywatnie, my trzej – powiedział.

– A co jest grane? – zainteresował się Timmy.

– Mam wyniki głosowania drużyny. Wy dwaj jesteście od dziś jej kapitanami.

Timmy i Earl porozumieli się wzrokiem, ale to Timmy mówił dalej:

– Mam wrażenie, że za nas obu mogę powiedzieć tyle: wolelibyśmy, żeby ten zaszczyt nie przypadł nam w udziale.

– Wiem – westchnął Clip. – Wszyscy wiemy, że bez Davida to nie będzie ta sama drużyna. Bez niego to nie będzie, do cholery, to samo życie! Ale świat się nie skończył. Sezon zaczyna się za parę miesięcy, musimy się przygotować. W przyszłym tygodniu zaczynamy treningi z nowymi.

– Czego od nas wymagasz?

Clip rzucił im teczkę.

– Tutaj macie informacje o ludziach, których wybieramy w drafcie, i wolnych strzelcach do wypróbowania w drużynie.

Obaj szybko przejrzeni dane, a kiedy skończyli, sytuację znów skomentował Timmy.

– Wszystko to gównie warte.

Clip skinął głową.

– Tegoroczny draft nie obfitował w talenty, no a poza tym aktualny mistrz wybiera ostatni. Panowie, mamy problem. Straciliśmy jednego z najlepszych graczy ligi. Z przodu nie mamy nawet przyzwoitego rzucającego. Bez niego nie będzie nas już na półmetku turnieju. Więc moje pytanie brzmi: jak mamy znaleźć kogoś nowego na liście graczy?

– Nie wiem – przyznał Tim. – Ale byłeś już w trudniejszych sytuacjach, Clip. Przez lata zrobiłeś tyle zakupów w ostatniej sekundzie, że jesteś słynny głównie dzięki nim. Nie na darmo nazywają cię cudotwórcą.

Clip zachichotał.

– Dzięki za dowód zaufania. Earl, milczysz jak zaklęty. Masz coś do powiedzenia?

– Nikt nie zastąpi Davida.

– Przecież wiem. Nie szukam zastępstwa. Cała drużyna musi zacząć myśleć inaczej. Bez Davida nie będzie podań Davida, Earl. Musimy zwolnić grę. Musimy



lepiej ją kontrolować. Musisz częściej wchodzić po zwodzie, jak to robiłeś z Notre Dame. A ty, Timmy, masz bez wątplenia najlepszy rzut z dystansu, ale teraz będziesz musiał wchodzić środkiem, ściągając obrońców. Musisz grać znacznie bardziej wszechstronnie. A i tak potrzebujemy nowych części, by maszyna zaczęła chodzić bez zgrzytów. Być może będzie musiał zahandlować.

– Zahandlować? – zaprotestował Timmy. – Nie możesz rozbić naszej grupy.

– Biznes to biznes. Za Davida i Earla dałem trzech popularnych weteranów i jeśli będzie trzeba, znów pozbędę się graczy.

– Przecież musi być jakieś inne wyjście.

– Jasne, że jest.

– Jakie?

Cudotwórca wstał.

– Módlcie się o cud.



Stan obudził się nagle. Nie pamiętał, czy to znów był zły sen, ale raczej nie. Niemożliwe. Po raz pierwszy wszystko układało się po jego myśli.

Opuścił nogi na podłogę. Usiadł, spojrzął na zegarek. Wpół do czwartej. Wczoraj to dopiero był dzień! Szczęście dopisało mu dwukrotnie: najpierw rano śpiewająco okantował Laurę, ale dopiero potem dokonał czegoś o wiele większego! Ta noc była jego nocą! Może powinien dać sobie spokój, nie kusić bogów, nie nadużywać szczęścia, ale po prostu nie potrafił się powstrzymać.

Leżąca obok naga kobieta poruszyła się, przewróciła na bok. Stan westchnął. Co za widok! Od razu zareagował jak mężczyzna.

– Jak się czujesz? – spytał.

Gloria spojrzała na niego oczami małego zwierzątka.

– Jestem bardzo szczęśliwa – powiedziała cicho.

– Ja też. Wiesz, że nie widziałem kobiety piękniejszej od ciebie?

– Dziękuję – powiedziała, drżąc na całym ciele.

– Mówię prawdę. Wiesz, minęło wiele czasu i naprawdę nie pamiętam, kiedy ktoś był mi tak bliski jak ty.

– Mówisz prawdę, Stan?

– Oczywiście.

– Proszę, nie kpij sobie ze mnie.

Stan położył się, przytulił do jej rozgrzanego ciała.

– Nigdy bym ci tego nie zrobił, Glorio. Bo wiesz... no, nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć.

– Proszę!

– Cóż, może to zabrmi ckliwie, tandetnie, ale wiesz... wydaje mi się, że ta noc może być początkiem czegoś naprawdę cudownego.

– Naprawdę?

– Nie chcę powiedzieć za dużo, bo z natury jestem raczej nieśmiały i pełen rezerwy. Niełatwo otwieram się przed ludźmi. Jednak kiedy jestem z tobą, czuję, że tak

powinno być. Że mogę ci zaufać we wszystkim.

Gloria uśmiechnęła się do niego z nadzieją.

– Ja czuję to samo – przyznała.

– Naprawdę?

Skinęła głową.

– Nie byłam z mężczyzną od roku. – Przesunęła się, znalazła wygodniejszą pozycję. Stan obserwował ją; tak pięknych piersi jeszcze nie widział: dużych, okrągłych, jędrnych. Miał wrażenie, że między nogami wyrasta mu blok betonu. – Nim posuniemy się dalej, chcę ci coś opowiedzieć.

– Co takiego? – spytał.

– Historię z przeszłości.

– Już o niej rozmawialiśmy. Twoja przeszłość nie ma dla mnie znaczenia, Glorio.

– Czy mówiłam ci już o tym, jak po raz ostatni byłam z mężczyzną... chociaż powinnam powiedzieć raczej „mężczyznami”?

Stan usiłował zapanować nad twarzą, nie okazać zdumienia.

– Nie musisz mi niczego tłumaczyć.

– Niestety, obawiam się, że muszę. A potem możesz mnie zostawić. Jeśli zechcesz.



Mniej więcej rok temu Gloria mieszkała na Zachodnim Wybrzeżu. Z handlarzem narkotyków. I – po raz chyba tysięczny – była pewna, że wreszcie spotkała właściwego mężczyznę. Tony mógł sobie handlować prochami, mógł zajmować się pornografią, na drobną skalę, ale nie był jak inni. Traktował ją łagodnie. Naprawdę się o nią troszczył. Rzeczywiście, dawał jej narkotyki, ale przecież ćpała od dawna. Tony twierdził, że kontroluje sytuację, ale że na tym etapie odwyk byłby bardzo bolesny. Miała więc pod dostatkiem strzykawek heroiny, mogła wciągać tyle kokainy, ile chciała, bo się o nią martwił, bo nie chciał, żeby cierpiała.

A jednak Gloria nadal miewała ataki depresji. Brakowało jej poczucia własnej wartości, szacunku dla samej siebie. To jeszcze dawało się znieść, przecież zawsze mogła naćpać się tak, że przestawało mieć znaczenie. Bywało, że przez kilka dni nie wstawała z łóżka. Bywało, że mijały tygodnie, po których w jej pamięci nie pozostał nawet najdrobniejszy ślad.

Żyła z Tonym jakieś trzy miesiące, kiedy pewnego dnia przyprowadził do domu ważnego handlarza z Kolumbii. Zjedli we trójkę kolację, ale tego Gloria już nie pamiętała. Tony dał jej coś wspianiałego, coś, po czym potrafiła latać. Co prawda, zauważyła, że handlarz natrętnie jej się przygląda, ale to akurat nie było dla niej nowością. Mężczyźni zawsze się na nią gapili. Z Tonym przy boku była bezpieczna. Przecież Tony bardzo ją kochał.

Zrobiło się późno i była już bardzo zmęczona.

– Tony?

– Tak, Glorio?

– Idę spać. Jestem bardzo zmęczona.

– Oczywiście. Powiedz naszemu gościowi „dobranoc”. Pożegnała się

z Kolumbijczykiem. Wchodziła na piętro, mocno trzymając się poręczy. Zamknęła za sobą drzwi sypialni, zdjęła biustonosz, potem majteczki...

– *Guapa!* Piękna!

Obróciła się gwałtownie, próbując zakryć nagość rękami. Kolumbijczyk wszedł do pokoju.

– Co tu robisz?

Za jego plecami pojawił się Tony.

– Wszystko w porządku, kochanie.

– Co... co się dzieje?

– Pan Enrique jest bardzo ważnym dostawcą, Glorio. Poprosił mnie o drobną przysługę.

– Ale, Tony...

– Wszystko w porządku, mała. Jestem z tobą. Będziemy się dobrze bawić.

Kolumbijczyk rozebrał się szybko, nie odwracając od niej zachwyconego spojrzenia.

– Tony, ja nie chcę.

Tony też zaczął się rozbierać.

– Zrób to dla mnie, Glorio. Proszę.

Drżąc na całym ciele, obróciła się w stronę Kolumbijczyka. Stał naprzeciw niej, nagi. Brutalnie, boleśnie ścisnął jej pierś, dotknął wargami sutka.

– Proszę, nie.

Położył ją zapłakaną. Tony trzymał ją, a handlarz robił, co mu się podobało.

Stan przytulił ją mocno.

– To już było, Glorio. Minęło.

– Nie, jeszcze nie. Muszę ci to powiedzieć teraz, nim opuści mnie odwaga.

Następnego dnia rano Gloria obudziła się z poczuciem, że jest brudna i obolała. Wciągnęła trochę kokainy i powlokła się pod prysznic. Stała pod silnym, gorącym strumieniem, póki nie skończyła się ciepła woda. I nadal nie czuła się czysta.

Tego ranka nie płakała. Po raz pierwszy rozumowała jasno mimo narkotyków. Nic się nie zmieniło. Tony był taki jak oni wszyscy, jak Brad, Jeff, Stuart i Mike, i J.J., i Kenny, i inni. Wiedział, że jej nie warto kochać, że nie warto się nią przejmować. Robił z nią, co chciał, kiedy chciał i jak chciał. Ale teraz, wreszcie, choć bardzo późno, Gloria zrozumiała, co może zrobić. Jak może z tym skończyć, raz na zawsze. W gruncie rzeczy było to bardzo proste.

Zabije się.

Zastanowiła się, jak się do tego zabrać. Najpierw zadzwoni do siostry, do Laury. Nie rozmawiały niemal od ośmiu miesięcy, ale zawsze szczerze się kochały. Rodzice... cóż, rodzice zapomnieli o niej, dali sobie spokój. Laura nigdy nie zrezygnowała. Naprawdę miło będzie usłyszeć jej głos jeszcze raz.

Podniosła słuchawkę, wybrała numer. Laura była zachwycona. Uznała, że byłoby wspaniale, gdyby się spotkały, jak najszybciej. Gloria chętnie się zgodziła. W przyszłym tygodniu, brzmiało to całkiem nieźle.

– U ciebie wszystko w porządku? – zaniepokoiła się siostra. – Może przyjechałabyś i trochę ze mną pomieszkała?

Odrzuciła zaproszenie, podziękowała, odłożyła słuchawkę. Zaczęła planować, jak się zabije. Szybko podjęła decyzję: przedawkuje narkotyki. Pół roku temu zrobił tak jej przyjaciel z San Francisco. Gloria podjęła decyzję. Jutro wieczorem przedawkuje heroinę.

Tony wrócił wieczorem do domu. Przepraszał, deklarował miłość.

– Byłem zaprawiony, mała. Nie wiedziałem, co robię. Wybacz mi, Glorio, proszę. Przepraszam.

– Mówisz szczerze, Tony?

– Ależ oczywiście, kochanie. Nie miałem pojęcia, że tak cię to zrani. Kocham cię, skarbie. Nie skrzywdzę cię. Nigdy. Przecież wiesz.

I Gloria pomyślała, że być może mówi prawdę. Może rzeczywiście ją kocha? Może nie rozumiał, co czuła, kiedy to się działo? Bo gdyby rozumiał, nigdy by jej do tego nie zmusił.

Tony ciągle mówił, nie przerywał, uspokajał. Tak, dostał nowy towar. Pierwszorzędnej jakości. A ona go potrzebowała. Całe jej ciało wręcz krzychało o ukłucie igły Tony'ego. Dostała od niego naprawdę wielką porcję.

Narkotyk zamieszał jej w głowie. Zamieszał jej w głowie nawet bardziej niż zazwyczaj. Skupiła się jakoś, chociaż świat tańczył wokół niej, pogrążony w ciemnej mgle.

– Jak się czujesz, skarbie?

– Fruwam – powiedziała z uśmiechem. – Ja fruwam.

– Świetnie, mała. To naprawdę dobrze.

Poczuła, jak przez bluzkę przyciska ręce do jej ciała. Rozpiął stanik. Zdjął go, zdjął jej szorty i majteczki. Gloria zachichotała.

– Chcesz to zrobić teraz?

– Tak, kochanie. Mam w planach coś wyjątkowego.

Wyjątkowego. To brzmiało obiecująco. Zamknęła oczy.

Narkotyk rozplywał się z krwią po całym jej ciele. Miło było być nagą, z Tonym.

Poczuła, że unieruchamia jej ręce i nogi. Nie musiał, nie zamierzała walczyć, może tylko tyle, ile czasami lubił. Nagle oślepiło ją jaskrawe światło. Pewnie Tony odsunął roletę. Ale... chwileczkę! Jak mógł odsunąć roletę, skoro cały czas ją trzymał?

Nagle usłyszała ludzi mówiących po hiszpańsku.

Otworzyła oczy, ale oślepiona jasnym blaskiem musiała je natychmiast zamknąć. Chciała je osłonić dłonią i dopiero wtedy zorientowała się, że ręce i nogi ma przywiązane do łóżka.

– Tony?

Kolejne szepty, po hiszpańsku, także po angielsku. Wybuch śmiechu. Gloria czuła zmęczenie, wielkie zmęczenie. Chciała tylko spać. Zmusiła się do otwarcia oczu, skupienia wzroku.

Nad nią stał uśmiechnięty Kolumbijczyk. Było z nim sześciu mężczyzn. Wszyscy nadzy.

Zacząła walczyć, ale narkotyki i węzły były dla niej za mocne.

– Tony?

– Tu jestem, malutka. – Tony się roześmiał. – Dobrej zabawy.

Mężczyźni podeszli, zaczęli pieścić jej ciało dłońmi i językami. Gloria spojrzała w sufit, jej wzrok zatrzymał się jednak na Tonym, trzymającym małą kamerę wideo. Poza tym był tylko chaos słów i pozycji. Jej ciało obracano i skręcano, robiono z nim nieludzkie rzeczy.

– Bliżej kamery..

– Włóż jej w usta...

– To będzie nasz najlepszy film...

– Niech wygnie się w drugą stronę...

Gloria czuła ślinę i gorące oddechy na twarzy, szyi, biodrach, udach. I twarde ręce...

Nagle kobiecy głos krzyknął: „STOP!”. Ktoś oderwał od niej mężczyzn. Ktoś rozwiązał sznury, krępujące jej ręce i nogi. Zdołała otworzyć oczy. To, co zobaczyła, musiało być jednak wywołaną narkotykiem halucynacją.

– Laura?! – krzyknęła.

– Spokojnie – powiedziała jej siostra. – Wszystko będzie w porządku.

Gloria się rozpłakała. Dlaczego sama się nie zabiła? Już lepiej nie żyć, niż pozwolić na to, żeby Laura na własne oczy zobaczyła, co ją spotkało.

Razem z nią byli David i T.C. T.C. błysnął odznaką i Kolumbijczycy błyskawicznie się zmyli. David zniszczył kamerę Tony’ego wraz z nagraniem.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziała Laura przez łzy. Mocno przytuliła Glorię. – Teraz mogę ci wreszcie pomóc.

Gloria podniosła głowę.

– A teraz, jeśli chcesz wyjść, zrozumiem.

Co za cholerna pieprzona historia! Stan poczuł, że znowu staje mu jak kamień. Przynął się do dziewczyny.

– Nie rozumiesz, Glorio. To wszystko nie ma dla mnie znaczenia. Jestem szczęśliwy, bo byłaś wobec mnie szczerą, ale przecież to wszystko przeszłość. Nie musisz ciągle za nią przeproszać. Mnie obchodzi Gloria taka, jaką poznałem teraz. Poza tym ja też mam przeszłość. Szczerze mówiąc, nie jestem tym, kim się wydaję... no, nie do końca. Ale próbuję. Naprawdę próbuję. Pomożesz mi, Glorio? I pozwolisz mi pomóc sobie?



Znowu się kochali, a potem Stan się ubrał. Spojrzał na nagie ciało, poczuł, że znów zaczyna twardnieć. Jeszcze nigdy tak mu się nie chciało. W swoim czasie miał mnóstwo dziewczyn, ale takiej nigdy. Gładka skóra, okrągłości obfite, lecz nie miękkie, płaski brzuch, no i te piersi, takie, jakie śnią się mężczyznom. Tylko jedna podjarałaby go bardziej: Laura.

Ale wszystko we właściwym czasie. Na razie musi być ostrożny z Glorią. Chryste,

co za niesamowita historia, pomyślał kolejny raz. Prawdziwa Szalona Miss 1989. Nie chciał ryzykować, Laura nie powinna wiedzieć, z kim sypia, więc przekonał dziewczynę do zachowania tajemnicy.

– Tylko na razie – zapewnił. – Jestem przesądny, wiesz, i boję się, że jeśli powiemy światu, stanie się coś złego.

Na szczęście kupiła to. Poza tym była doskonałym kołem ratunkowym, na wypadek gdyby coś poszło nie tak albo gdyby potrzebował więcej forsy. Miała mnóstwo swojej.

Razem wyszli z hotelu. Na ulicy Stan zatrzymał Głorię.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedział.

Uśmiechnęła się cała rozpromieniona.

Pochylił się i pocałował ją namiętnie.



Stojący po drugiej stronie ulicy jogger w dresie Adidasa obserwował pocałunek przez obiektyw aparatu fotograficznego. Zrobił jeszcze kilka zdjęć, wyjął telefon komórkowy, wybrał numer.

– Co masz? – odezwał się głos w słuchawce.

– Właśnie wyszedł z Głorią Ayars. Wygląda na to, że się zaprzyjaźnili.

– Idź za Baskinem.

– W porządku, ale chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

– Niech cię to nie martwi. Idź za nim, a jeśli zrobi coś niezwykłego, zadzwoń znowu.

Jogger wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz, T.C.



Zadzwoił telefon.

– Tak, Estelle?

– John Bort do pani.

– Wprowadź go.

John Bort sam otworzył drzwi.

– Chciała mnie pani widzieć, szefowo?

– Tak, wejdź, proszę.

– Coś nie tak z bezpieczeństwem?

– Nie, skąd – zaprzeczyła Laura pospiesznie.

– To miejsce jest zabezpieczone lepiej niż Fort Knox.

– Doskonale wywiązuje się z obowiązków, John. Usiądź, proszę.

– Dziękuję, szefowo.

– Mówi mi Laura.

– Wolę „szefowo”.

Laura wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz.

– Więc... co mogę dla pani zrobić?

Laura odchyliła się w fotelu.

– Pracowałeś w FBI, prawda?

– Trzydzieści trzy lata.

– Więc w swoim czasie widziałeś wszystko?

– No, prawie. O co chodzi, szefowo?

– Mam pytanie dotyczące transakcji bankowej.

– Tak?

– Rozważmy hipotetyczną sytuację. Załóżmy, że znikła duża kwota...

– Duże kwoty nie znikają, szefowo.

– To prawda. Więc założmy, że jakiś człowiek wytransferował dużą sumę do Szwajcarii, a Szwajcarzy przesłali ją dalej. Ten człowiek umarł i nie ma sposobu, by wytropić pieniądze. Co byś zrobił?

Bort zastanawiał się, ale tylko chwilę.

– Nie mogę powiedzieć na pewno, szefowo. Być może ten człowiek chciał ukryć pieniądze? Może bał się, że ktoś na niego poluje, na przykład krewny, i chciał uniemożliwić ich zagarnięcie. Możliwe też, że miał kochankę i chciał się nią zaopiekować, ale tak by rodzina nie wiedziała.

– Co masz na myśli?

– No na przykład wiedział, że umrze, nie? I że rodzina będzie miała prawo do majątku. Ale chciał po cichu zostawić komuś jakąś sumkę.

– Mocno to naciągane.

– Prawda, ale znam paru facetów, którzy tak właśnie zrobili. Do diabła, szefowo, jeśli pani ma to za naciągane, powinna pani usłyszeć o pewnej sprawie z siedemdziesiątego drugiego. Całkiem podobnej.

– Co to za sprawa?

John Bort poprawił się w krześle.

– Ważny informator zginął w pożarze tuż przed zeznaniami. Podpalenie. Uznaliśmy, że mafia go załatwiła. Ale było też coś dziwnego, bo jego pieniądze znikły. No więc razem z partnerem sprawdzaliśmy to i sprawdzaliśmy, ale do niczego nie doszliśmy. Nie zlokalizowaliśmy forsy. I co się dzieje?

– No, co?

– Po dwóch latach facet ginie po raz drugi! Sukinsyn ukrył forszę, a potem sfingował własną śmierć, a my się na to nabraliśmy! Przeniósł pieniądze do Irlandii, sam też tam mieszkał przez cały czas, pod przybranym nazwiskiem. Nabrał nas, ale miał chłop pecha, bo nie nabrał mafii. Oni go jakimś cudem znaleźli. – Uśmiechnął się, potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Założę się, że nie słyszała pani nic bardziej niezwykłego, szefowo.

Laura nie odpowiedziała. Już wybierała numer T.C.



Pacjent podniósł sztangę nad głowę.

– Na dziś wystarczy – upomniała go pielęgniarka.

Pokręcił głową i opuścił sztangę.

– Do końca daleko – powiedział.

– Przesadza pan.

Wzruszył ramionami i znów podniósł sztangę. Był nie w formie, owszem, ale spodziewał się czegoś znacznie gorszego.

– Mowy nie ma.

– Jest pan bardzo uparty.

Pacjent podniósł sztangę jeszcze dwa razy.

– Za długo byłem przykuty do tego cholernego łóżka. Muszę trochę poćwiczyć.

– To niezwykle naruszenie obowiązujących u nas zasad. Lubimy uważać się za szpital, nie centrum odnowy biologicznej. – Pielęgniarka podeszła do zasłoniętego okna. – Może spacer byłby dobrym pomysłem. Tylko miejscowi mogą tu pana zobaczyć.

Pacjent spojrzał na nią zaskoczony.

– To mogę już wychodzić na zewnątrz?

Pielęgniarka westchnęła.

– Jeśli obieca mi pan, że tym razem nie przesadzi. – Sięgnęła do szafki. – Doktor kazał mi to panu pokazać, dopiero kiedy będzie pan gotowy.

Pacjent odłożył sztangę. Przyglądał się jej zaciekawiony.

– No więc proszę. Podobno chętnie weźmie pan to do ręki. – Z tymi słowami rzuciła mu piłkę do koszykówki.



– Cieszę się, że zadzwoniłaś – powiedział T.C., wchodząc do gabinetu Laury. Był zbyt podekscytowany, by usiąść na jednym z miękkich foteli, tylko niecierpliwie spacerował od ściany do ściany. – Też chciałem z tobą porozmawiać.

– O czym?

– Ty pierwsza.

Laura także nie była całkiem spokojna, ale nie ruszyła się z biurka i tylko jej noga drżała jak zwykle. Nie była pewna, co właściwie chce powiedzieć. Nic już nie miało sensu, ale może T.C. pomoże jej zorientować się, o co właściwie chodzi, może T.C. zdoła wytłumaczyć, dlaczego ktoś, kto nie miał pojęcia o finansach, opracował skomplikowany system usunięcia pieniędzy z ludzkich oczu na kilka dni, a może nawet tylko kilka godzin przed śmiercią.

– Znasz Johna Borta?

– Szefa twojej ochrony? Jasne, że go znam. Dobry jest, a jak opowiada!

– I wiesz, że kiedyś pracował dla FBI?

– Oczywiście.

– No więc zapytałam go o znikające konto.

T.C. sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Rozmawiałaś z nim na ten temat?

– Właściwie nie. Spytałam o hipotetyczną sytuację podobną do tej, w której się



znaleźliśmy.

– I co on na to?

Laura pokrótce streściła rozmowę. T.C. słuchał jej, coraz bardziej niespokojny.

– Co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć? – spytał, kiedy skończyła.

– Nic. Chcę usłyszeć twoją opinię.

T.C. wreszcie usiadł.

– David nie żyje. Musisz wreszcie się z tym pogodzić.

– Wiem. Ale chcę się dowiedzieć, dlaczego przelał pieniądze.

– Może być tak, jak powiedział John: żeby je ukryć z powodów, o których nie mamy pojęcia.

Tego Laura nie kupiła.

– Skąd nagle tyle wiedział o transferze kapitału?

– Nie mam pojęcia. Mógł zgłosić się do eksperta finansowego.

– I tak to się zbiegło w czasie? Cholernie dziwny przypadek, nie uważasz?

T.C. wyjął cygaro. Zachowywał spokój, ale niełatwo mu to przychodziło.

– No więc co sobie właściwie myślisz, Lauro? Widziałem ciało. David nie żyje. Jego duch nie włamał się do twojego domu, nie wyrwał z albumu zdjęcia ojca. Jego duch nie pije margarity na Tahiti, płacąc za nie z tajnego konta bankowego. Istnieje milion innych, logiczniejszych wytłumaczeń.

Zadzwoił telefon.

– Co się stało, Estelle?

– Przyszedł księgowy z czekiem dla pana Baskina.

– Za chwilę będę wolna.

Błada twarz T.C. w jednej chwili zalała się szkarłatem.

– Czek dla Stana Baskina? Co tu się, do cholery, dzieje!?

– Nic.

– Dasz forszę Stanowi?

– Daj spokój. Wspomniałeś, że masz mi coś ważnego do powiedzenia.

– Nie rób mu prezentów!

Laura pożałowała, że usłyszał informacje od Estelle.

– Może ci się to podobać albo nie – powiedziała – ale on jest jedynym żyjącym krewnym Davida. Ma prawo do części spadku po nim.

– Gówno tam!

– To twoje zdanie.

T.C. zerwał się na równe nogi i znów zaczął chodzić po pokoju. Był wściekły.

– Na ile cię naciął?

– Jeśli chcesz wiedzieć, musiałam go przekonać, żeby wziął cokolwiek.

– Jasne. Już widzę, jak go zmuszasz. Ile?

– Milion dolarów. Na galerię handlową imienia Davida.

T.C. miał wielką ochotę się roześmiać, ale ją opanował.

– Więc tym razem użył galerii? I ty mu uwierzyłaś?

Teraz i Laura zaczęła się złościć.

– O czym ty właściwie mówisz?

– A o tym, że jak na kogoś tak cholernie cwanego, potrafisz być biedną pieprzoną naiwniaczką.

– Nie zaczynaj od nowa. Daję mu pieniądze.

– Nic z tego. – T.C. sięgnął do teczki, rzucił zdjęcie na blat biurka. Laura podniosła je do oczu i na jej twarzy pojawiło się zdumienie. Przeniosła wzrok ze zdjęcia na przyjaciela. – A teraz dowiesz się wreszcie, dlaczego David nienawidził brata.

Laura nie potrafiła uwierzyć świadectwu własnych oczu.

– Co to takiego?

– Zdjęcie Stana z twoją siostrą – wyjaśnił T.C.

– Widzę.

– Gloria spędziła z nim noc.

– Jezu, ty wścibski sukinsynu. Mnie też śledziłeś?

– Nie śledzę Stana przez wścibstwo, ale dlatego że go znam.

– I co za groźne sekrety ujawniło twoje śledztwo?

– Nie spodoba ci się to, co powiem.

Laura potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Miałeś czelność skarcić mnie, bo postraszyłam faceta z banku, a sam zlecasz podglądanie mojej siostry? Nie wierzę!

– Posłuchasz mnie czy będziesz dalej obrzucała wyzwiskami?

Laura spojrzała mu w oczy. Nagle zrobiło jej się zimno i nie była już taka pewna, czy rzeczywiście chce dowiedzieć się, co przyjaciel ma jej do powiedzenia.

– Mów.

T.C. zastanawiał się, od czego zacząć. Zapalił cygaro. Szukał właściwych słów.

Przez niemal całe swe życie Stan Baskin był łobuzem. Karierę przestępcy zaczął w liceum, ale miał wielkie szczęście, czyli styl i wdzięk, choć powierzchowne. Dzięki nim zawsze jakoś wygrzebywał się z kłopotów. Niezwykle wręcz lenistwo kazało mu szukać najłatwiejszych rozwiązań i najprostszej drogi do pieniędzy. Dla pieniędzy zrobiliby wszystko, jeśli nie trzeba byłoby przy tym pracować. Oszukiwał, kantował i był w tym dobry. Wystarczająco dobry, by wyciągać sporą forszę z kieszeni niespodziewających się niczego ofiar. Po czym tracił ją, bo miał też piętę achillesową.

Hazard.

David próbował wytłumaczyć mu, że jest uzależniony od hazardu i powinien poszukać pomocy. Ale jego brat był jak narkoman czy alkoholik, pewny, że może przestać w każdej chwili, tylko po prostu nie chce. Zwłaszcza gdy Red Skinski byli pewniakiem w meczu z Vikingami albo biegł Rambling Shoe, który przecież nie mógł przegrać. Może David powinien być twardszy? Może powinien zmusić go do sięgnięcia po pomoc, ale i to pewnie wcale by nie pomogło. Stan był w sposób naturalny zazdrosny o brata. Z jego punktu widzenia brat miał wszystko. Talent do koszykówki był przepustką do prawdziwych pieniędzy. Nie brał pod uwagę, ile godzin David spędzał na treningach i meczach. Ale znów można to od biedy zrozumieć.

David i T.C. byli na pierwszym roku, kiedy Stan wpadł na całego. Mogło się

zdawać, że nagle całe mnóstwo jego pewniaków okazało się nie takich znowu pewnych; więcej niż zwykle. Był winien sporo forsy bardzo nieprzyjemnym typom. Potrzebował wielkiego numeru, no i wymyślił jeden, naprawdę piękny.

Był marzec. Ich matka leżała w szpitalu z rakiem jajników. Sezon koszykarski dobiegał końca. W kampusie wszyscy chodzili podminowani, bo Uniwersytet Michigan znalazł się w półfinale po raz pierwszy od Bóg jeden wie jak dawna. Na każdej popijawie każdego bractwa, a było tych popijaw wyjątkowo dużo, mówiono tylko o spotkaniu z UCLA. Jeśli Michigan zdoła im dołożyć, zagra w finale.

Michigan miało przewagę trzech punktów.

W tym momencie Laura przerwała opowieść.

– Nic nie wiem o hazardzie. Co to znaczy, że miało przewagę trzech punktów?

– Powiedzmy, że stawiasz na Michigan. Żebyś ty wygrała, Michigan musi wygrać więcej niż trzema punktami. Jeśli wygra z mniejszą przewagą albo przegra, i ty przegrywasz. Proste.

Stan wysmażył plan w dzień meczu, a jego sukces zależał od Davida. Wymyślił sobie, że młodszy brat z przyjemnością mu pomoże. W sumie prosił o niewiele, tyle, by David obciął trochę punktów z ostatecznego rezultatu. Co to dla niego za różnica, że Michigan wygra dwoma, a nie pięcioma? Nie musiał przecież ustawić meczu. Wystarczy, żeby zwycięstwo nie było znów takie duże.

David oczywiście widział sprawy inaczej.

– Nie wierzę, że mnie o to prosisz – powiedział oburzony.

– Ale... musisz mi pomóc.

– Nie ma mowy, Stan. Sam się w to wpakowałeś, to sam się z tego wyciągnij. A przede wszystkim wyświadczyć sobie przysługę i poszukaj pomocy.

– Poszukam. Obiecuję. Jeszcze ten jeden raz.

– Gówno prawda. Zaczynaj się leczyć, to pogadamy.

Rozmowa stawała się coraz bardziej przykra i wreszcie David wyrzucił Stana z pokoju.

– I to już koniec? – zdziwiła się Laura.

T.C. pokręcił głową.

– To dopiero początek.

Stan nie miał nawet za co zagrać. Miał nadzieję zwrócić dług, przekonując raczej nieprzyjaźnie do niego nastawionych kumpli z mafii do postawienia na UCLA. Powiedział im, że David zgodził się na jego plan, no i teraz Stan miał poważny problem. Nie mógł przecież powiedzieć gangsterom, że kłamał i że brat nie zamierza go wspomóc. Zatańczyliby na jego żebrach w podkutych butach.

Jak łatwo się domyślić, Michigan wygrało z wielką przewagą, a dokładnie z przewagą dziewięciu punktów. Mafia aż się gotowała. Paru ludzi straciło na przekręcie spore pieniądze, ktoś musiał za to zapłacić. W świat poszło polecenie: znaleźć Stana Baskina.

Ale Stan miał dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy i umiał przeżyć, choćby kosztem innych. Zawczasu ukrył się gdzieś na granicy Dakoty Południowej. Wiedział, że mafia w końcu go znajdzie, ale zamierzał mieć wówczas pieniądze. Tyle że mafiosi nie słynęli z cierpliwości. Pragnęli krwi. Pragnęli się odegrać. I pragnęli dokonać tego jak najszybciej. Potrzebowali ofiary, a Stana nie było akurat pod ręką.

Zajęli się więc Davidem Baskinem.

Finał, mecz Michigan z Notre Dame, miał się odbyć dwa dni po półfinale z UCLA. Panowało powszechne przekonanie, że drużyny są równorzędne, więc wynik trudno przewidzieć. Stąd wniosek: jeśli grasz, zdajesz się na los. Wygrywasz, kiedy wygrywa twoja drużyna. A tymczasem media poświęcały czas przede wszystkim zaostrzaniu stosunków między dwoma tegorocznymi najlepszymi zawodnikami: Davidem Baskinem z Michigan i Earlem Robertsem z Notre Dame. Prowadziły do konfrontacji.

Doszło do niej trzy lata później.

Plan mafii był prosty: odzyskać stracone pieniądze dzięki ustawieniu meczu. Jak ustawić mecz? Łatwizna. Postawić na Notre Dame i dopilnować, by supergwiazdor Michigan nie mógł zagrać.

Noc przed meczem David spędził w hotelu. Spał, a przynajmniej próbował zasnąć. Nikt nie mógł mieć mu za złe, że przewracał się z boku na bok, w końcu miał to być najważniejszy mecz jego życia. O takim meczu marzył od dziecka, marzył o nim przez całe życie, więc teraz zasypiał, budził się natychmiast, a potem znów zasypiał, tylko na chwilę.

Około trzeciej sforsowano zamek do drzwi jego pokoju. Do środka weszło pięciu mężczyzn, szybko, jeden po drugim.

David usiadł na łóżku.

– Co, do...

Nim zdołał powiedzieć coś więcej, czterech mężczyzn obezwładniło go, trzymając za ręce i nogi. David walczył, ale przeciw zawodowcom wykonującym swoją rutynową robotę, nic nie mógł poradzić. Nie miał szans.

– Zakryjcie mu usta – powiedział piąty, szeptem. – Nie chcę, żeby ktoś usłyszał, jak wrzeszczy.

Między zęby wsunięto mu poduszkę. David, z oczami rozszerzonymi paniką, rzucał głową na boki, ale oczywiście nic to nie dało. Poczul, jak piąty facet łapie go za stopę, jedną ręką za palce, drugą za piętę.

– Teraz mocniej...

Jego stopa została skręcona pod niemożliwym kątem. Kostka pękła z wyraźnie słyszalnym trzaskiem. Bandyta skręcił ją jeszcze trochę, tak dla pewności. Końce złamanych kości otarły się o siebie, ale poduszka stłumiła krzyk.

Mężczyźni wyszli tak szybko, jak się pojawili. Nie włączyli światła, więc David nie miał najmniejszej szansy ich później zidentyfikować. Złamanie okazało się skomplikowane: dwa miesiące w gipsie. W tym tygodniu David dwukrotnie doznał gwałtownych napadów bólu głowy, tak ciężkich, że T.C. wręcz obawiał się o jego życie.

Drużyna Michigan przegrała z Notre Dame piętnastoma punktami.

– I to jeszcze nie wszystko, prawda? – raczej stwierdziła, niż spytała Laura.

T.C. skinął głową.

Stan nie mógł się chować wiecznie. Musiał spłacić długi, sprawa zrobiła się pilna. Wymyślił więc bezbłędny sposób na zdobycie gotówki.

Szczegóły nie są ważne. Nikt nigdy nie dowiedział się na pewno, jak udało mu się tego dokonać. Ale są na to miliony sposobów. Mógł przekabacić adwokata. Pani Baskin mogła podpisać coś na lekach. Kto wie? Ważny jest tylko rezultat: Stan ukraść pieniądze matce.

Wyobraź sobie syna czyszczącego konto lokacyjne umierającej na raka matki, by zapłacić mafii dług z przegranych zakładów. Wyobraź sobie syna pozostawiającego biedną, chorą, umierającą w szpitalnym łóżku matkę bez centa i bez żadnej możliwości zapłacenia rachunków za leczenie. To się w głowie nie mieści.

David zrobił, co mógł, opiekował się nią do końca, ale do ciężkiej choroby doszło też załamanie tym, co zrobił jej drugi syn.

Umarła sześć miesięcy później. Stan nie pojawił się na pogrzebie.

– Teraz rozumiesz, Lauro?

Laura siedziała nieruchomo, w milczeniu. Czują się wyczerpana samym wysłuchaniem tej historii.

– Ale... przecież to zdarzyło się wiele lat temu – powiedziała w końcu. – Nie mam zamiaru go bronić, tylko co z tego wynika? Wystarczy spojrzeć na przeszłość Glorii. Co by powiedział ktoś, kto ją pozna? Że dziewczyna nic nie jest warta, prawda?

– Nie. Mógłby powiedzieć, że jest słaba, że dąży do samozniszczenia, ale nikogo nigdy nie skrzywdziła z wyjątkiem samej siebie. Najważniejsze, że przeszłość jest dokładnie tym. Przeszłością. – T.C. otworzył teczkę. – Masz tu wyciąg z policyjnych akt Stana. W ciągu ostatnich trzech lat aresztowany był dwukrotnie za oszustwo. Zadzwoniłem do gliny, który zajmował się sprawą. Powiedział, że Stan znany jest z tego, iż wykorzystuje swój wygląd i wdzięk do uwodzenia starszych kobiet. To akurat trudno uznać za oryginalne. Wyciąga z nich, ile się da, a potem wszystko przegrywa. Ale dodaje też do tej zabawy coś swojego, raczej nieprzyjemnego.

– Co?

T.C. się zawahał.

– Nie odchodzi tak po prostu. Rzuca swoje ofiary. Tak okrutnie, jak tylko się da. Zależy mu, żeby kobieta poczuła się bezwartościowym kawałkiem gówna. Jedna z jego ofiar przeszła załamanie nerwowe, druga próbowała popełnić samobójstwo. Badania psychologiczne pokazały, że ma osobowość narcystyczną i wręcz nienawidzi kobiet. On wie, że rani i poniża kobiety. Do tego dąży, to lubi.

– Jezu!

– Postanowiłem pogrzebać nieco głębiej. No i okazało się, że Stan znów wisi sporą forszę jakiemuś bukmacherowi, który lubi łamać dłużnikom kości.

Laura wyprostowała się w fotelu.

– Jego ręka...

– Złamana. Właściwie złamany jest tylko palec. Ale to dość nieprzyjemne złamanie. Stan bardzo potrzebuje forsy, i to dziś, nie jutro. Ty masz być jego nową

ofiara, Lauro, ale o ciebie się nie martwię. Ty sobie poradzisz.

T.C. wziął z biurka zdjęcie Stana całującego Głorię i podał je Laurze.

– Problem w tym, co z nią?



Pacjent czytał „Boston Globe”. Zawsze lubił niedzielne gazety. W czasie studiów wyłaniał się z kumplami z pokoju w akademiku gdzieś około południa, bo sobotnie noce bywały ciężkie, wszyscy razem szli na późne śniadanie i przy jedzeniu okładali się gazetami. Do obiadu cała podłoga była nimi dosłownie zasłana.

Tę tradycję zamierzał kontynuować.

Odłożył na bok niedzielny dodatek „Parade Magazine”, przejrzał szybko różne mniej interesujące go artykuły, aż wreszcie znalazł kolumnę sportową. Zazwyczaj jej nie czytał, co raczej dziwiło ludzi, którzy o tym wiedzieli, jednak to się ostatnio zmieniło.

Kolumna C, strona 1, materiał Mike’a Logana. Zawsze lubił faceta. Dobry z niego dziennikarz, autentycznie kochający pracę i Boston Celtics.

#### CELTÓW CZEKA PODRÓŻ WYBOISTĄ DROGĄ

*Mike Logan*

Moja drużyna, wasza drużyna, ma kłopoty. Ma, ludzie, duże kłopoty. Pewnie pamiętacie play-offy Konferencji Wschodniej z zeszłego roku. Celtowie cudem prześlizgnęli się między Chicago Bulls i Detroit Pistons. Tak, nie pomyliłem się, cudem. Nie mieli prawa popełnić najmniejszej pomyłki.

A potem nasi Chłopcy z Fasolowego Miasta zegrali z Los Angeles Lakers o mistrzostwo NBA. I powiedzmy sobie szczerze, powinni przegrać. Gdyby David Baskin nie sprokurował Cudu Ostatnich Sekund, w tym sezonie Celtowie nie broniliby mistrzostwa.

Tak, zespoły NBA są na krzywej wznoszącej. A Celtowie toną. I to szybko.

To nie ich wina. Nie oni ściągnęli nieszczęście na Davida Baskina. Ale nie wygrywa się mistrzostwa tłumaczeniami, że to nie ja, tylko wspaniałymi zawodnikami, doskonałymi trenerami i organizacją. Trenerzy to nie problem. Clip Arnstein i jego organizacja też.

Za to zawodnicy!

Nikt nie kwestionuje talentu środkowego Earla Robertsa, umiejętności zdobywania punktów z dystansu Timmy’ego Daniela czy opanowania piłki Johnny’ego Dennisona. Są wspaniali. Co do tego wszyscy się zgadzamy. Ale bez Białej Błyskawicy to tylko dobra drużyna. Żeby była wielka, potrzebny jest wielki skrzydłowy. Silny skrzydłowy.

Tylko skąd go wziąć?

W przeszłości Clip Arnstein, znany jako cudotwórca, zawsze coś wymyślił. Dlaczego nie miałby wymyślić czegoś także dziś? Przecież Celtom pozostała najlepsza w świecie koszykówki organizacja. Cudotwórca kwitnie w kryzysowych sytuacjach. Zazwyczaj dokonuje zaskakującego wyboru w drafcie, ale dziś nawet on przyznaje, że draft oferuje bardzo przeciętnych graczy. Może wolny strzelec? Nie, wśród wolnych strzelców nie ma supergwiazd. Więc może jakiś handel? Nic z tych rzeczy. Nikt w lidze nie zamierza pomagać Celtom, a większość drużyn boi się sparzyć w układach z Arnsteinem.

I co teraz?

Tu mnie macie. Nie znam odpowiedzi. Jestem dziennikarzem i dzięki Bogu to nie moja robota. Clip Arnstein, ten geniusz wieczny i nieśmiertelny, ma zagwozdkę. Ale ci, którzy obserwują Celtów tak długo jak ja, mają prawo zacząć wierzyć w cuda. Ktoś gdzieś czeka na nich na wyboistej drodze. Ktoś będzie wybawcą Celtów.

Pacjent oderwał się od lektury. W zasadzie wiedział, kim będzie ten ktoś.



– Przyszedł pan Stan Baskin.

– Niech wejdzie. – Laura czuła, jak jej noga zaczyna drżeć.

Kilka sekund później Stan już otwierał drzwi, uśmiechając się promiennie.

– Cześć, Lauro.

Laura usiłowała zachować spokój i zapanować nad głosem.

– Wejź, proszę.

Stan zamknął za sobą drzwi, pocałował ją w policzek.

– Wyglądasz pięknie jak zawsze.

– Dziękuję. Nie usiądziesz?

Znowu odezwał się interkom.

– Lauro?

– Tak, Estelle?

– Mogę teraz wyskoczyć na lunch?

– Oczywiście.

– No to będę za godzinę.

Laura uświadomiła sobie, że jej noga drży mocniej niż zazwyczaj. Skupiła się i zdołała ją zatrzymać.

– Chciałam porozmawiać o tym pomysłe na galerię handlową – powiedziała.

– Tak?

– Poznać parę szczegółów.

– Szczegółów?

– Tak. Opowiedz mi o niej.

Stan wyczuł w jej głosie coś dziwnego.

– Niewiele jest do opowiadania. Kiedy ją skończę, będzie wspaniała. Powiedziałbym, że zmieści się tam około dwustu sklepów.

– Ile metrów kwadratowych?

– Co? No... nie jestem pewien.

– Gdzie ją stawiasz?

– W Bostonie.

– Centrum?

– Jasne.

Laura usiadła wygodniej.

– Ale w centrum Bostonu nie ma wolnego miejsca na coś tak wielkiego. No i będziesz potrzebował znacznie więcej niż milion, choćby i na początek.

– Oczywiście, ale...

– Kto jest wykonawcą?

– Wykonawcą?

– Kto będzie budował galerię?

Uśmiech Stana przygasł i znów rozbłysnął, trochę jak stara żarówka.

– Zapomniałam nazwiska.

– Twój prawnik załatwił oczywiście zgodę w ratuszu?

– No, prawie...

– O to przynajmniej możesz się nie martwić. Pozwolenia na budowę daje Teddy



Hines z biura burmistrza. Zadzwońię do niego, dopilnuję, żeby wszystko poszło gładko.

Stan rozglądał się dookoła spłoszony.

– Nie rób sobie kłopotów.

– Uwierz mi, to żaden kłopot. – Laura poczuła się znacznie pewniej. – Opowiedz mi teraz o tej sprawie z Michigan.

– Szczerze mówiąc, nie poszło mi najlepiej.

– Rozumiem. – Głos Laury był spokojny, pewny.

– Prowadziłem firmę produkcji zabawek.

– Doprawdy? Jakich zabawek?

– Och, nic nadzwyczajnego. Sprzedałem udziały.

– A kto je kupił?

– Och, z pewnością go nie znasz.

– A może? Spróbuj?

Stan uświadomił sobie, że został zapędzony w kozi róg. Nie miał pojęcia, co robić.

– Przyjaciół – powiedział bez przekonania.

– Rozumiem. A jak tam twój palec?

– Już lepiej. Dziękuję, że zapytałaś.

– Przypadkowe złamanie, co?

– Zdarza się. – Stan wzruszył ramionami.

– Takie przytrzaśnięcie drzwiami, które łamie środkowy palec, a nie rusza innych?

To się raczej nie zdarza.

Przez chwilę oboje milczeli i tylko się sobie przyglądali. Ciszę przerwał Stan.

– O co ci właściwie chodzi, Lauro? Skąd te wszystkie pytania?

Laura odetchnęła głęboko.

– Rozmawiałam z T.C.

– Tłumaczyłem ci, że on mnie nie lubi.

– Powiedział mi, co zaszło między tobą a Davidem.

To było jak wylany na głowę kubeł lodowatej wody.

– T.C. przesadza – zaprotestował. – Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co mówi.

Laura podniosła leżącą na biurku teczkę.

– A twoje akta policyjne? To też jego wymysł?

Stan przełknął ślinę z wysiłkiem. Wszystko się rozłaziło. Sukces był tak blisko, a teraz suka wbija mu nóż w plecy.

– To fałszywe oskarżenia. Jeśli chodzi o kobiety, nie jestem święty, pierwszy to przyznam, ale nigdy żadnej nie okradłem ani nie zamierzałem skrzywdzić. Niektóre po prostu nie pozwalają ci odejść. Wiesz, jak mściwe potrafią być ekskochanki.

Laura wstała, obeszła biurko.

– Być może tak właśnie jest, Stan, ale ja nie zamierzam ryzykować. Próbowalesz wykorzystać mnie i moją rodzinę. Postanowiłam nie dawać ci nic z pieniędzy Davida. Nie sądzę, by tego chciał.

Stan zacisnął pięści. Próbował opanować się, zachować kontrolę nad sobą.

– Doskonale. Przecież mówiłem, że i tak na nie nie zasługuję.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Słucham.

– Chcę, żebyś zostawił w spokoju mnie i moją rodzinę.

Stan nie potrafił opanować ogarniającej go paniki.

– Nie mówisz poważnie! Mogłem zawinić w przeszłości, zgoda, ale sama mówisz, że przeszłość to przeszłość. Robię, co mogę, żeby odpokutować za stare błędy. Nie odbieraj mi jedynej rodziny, jaką mam.

– Mówię poważnie. – Z górnej szuflady biurka Laura wyjęła zdjęcie przedstawiające Stana całującego jej siostrę. – Przede wszystkim masz zostawić w spokoju Glorię.

Stan zapatrzył się na zdjęcie wściekłym wzrokiem. W jego głosie wreszcie zabrzmiał gniew.

– Skąd to masz?

– Nieważne.

– Skąd to masz?

Laura schowała zdjęcie.

– Czy to naprawdę twoje jedyne zmartwienie? Co z dżentelmenem, któremu jesteś winien pieniądze?

Twarz Stana poczerwieniała. Próbował jakoś zareagować, powiedzieć coś, co mogłoby uratować sytuację. Tylko co? Po co ma się starać, skoro Laura to tylko kolejna z długiej listy kobiet, które próbowały go wykorzystać? Podporządkować. Tylko w ten sposób mogła rządzić. Cóż, Stan Twardy Facet nie zamierzał jej na to pozwolić. Pora odwrócić role. Pora dać jej nauczkę.

– W porządku, Lauro. Wygrałaś. Przepraszam za wszystko. Bardzo mi przykro. Uwierz w to, proszę.

– Niech ci będzie. – Laura spojrzała za okno. – A teraz wyjdź.

Stan wstał posłusznie, zrobił krok w kierunku drzwi.

– Lauro?

Odwróciła się i szeroko otworzyła zdumione oczy. W ostatniej chwili uchyliła się przed ciosem, wymierzonym wprost w jej twarz. Pięść tylko otarła się o skroń, ale uderzenie rzuciło ją na kolana. Była oszołomiona, czuła ból.

Stan stanął nad nią, wyciągnął rękę i chwycił ją za bluzkę. Cofnęła się, trzasnął rozdzierany materiał.

– O mój Boże. – Patrzyły na nią oczy przepełnione pożądaniem. – O mój słodki Jezu, co za ciało!

Laura przetoczyła się, byle dalej, ale Stan zrobił krok w jej stronę.

– Spokojnie, dziewczyno – szepnął. – Przecież cię nie skrzywdzę. Marzyłem o tobie od pierwszej chwili, kiedy tylko cię zobaczyłem. A ty marzyłaś o mnie. David nie był prawdziwym mężczyzną, Lauro. Wiele mu do niego brakowało. Prawdziwy mężczyzna wypieprzy cię dopiero teraz. Nawet nie wiesz, co cię czeka.

Opuścił wzrok, rozpiął pasek. I to był błąd.

Laura dostrzegła swą szansę, z całej siły wbiła mu pięść w jądra i Stan wybałuszył oczy. Wstała, ale nie uciekła daleko. Mocna dłoń zacisnęła się na jej kostce,

pociągnęła ją z powrotem na podłogę.

– Ty suko!

– Puść mnie! – krzyknęła.

Puścił ją natychmiast, a w jego twarzy nie było już zwierzęcej żądz, lecz tylko zdziwienie jak u niczego nierozumiejącego dziecka.

– Ale... byłem pewien, że mnie pragniesz...

Laura spojrzała na niego przerażona. Naprawdę myślał, że ona go chce!

– Już chętniej kochałabym się z bernardynem.

– Ty złośliwa mała kurwo!

Przycisnęła podartą bluzkę do piersi.

– Wynoś się stąd, Stan. Wyjdź, nim każę cię aresztować.

Jego usta wykrzywiły się w szalonym uśmiechu.

– Nie mówisz poważnie, prawda? Nadal mnie pragniesz. Przyznaj się, jesteś zazdrosna o Glorię.

Laura odczołgała się od niego powoli.

– Jesteś gnidą. Wynoś się. I zostaw w spokoju moją siostrę.

– Nie. – Stan pokręcił głową. – Nie, do końca jeszcze daleko.

W oczach Laury błysnął strach.

– To już koniec. Wyjdź.

Stan wstał. Widać było, że nie rozumie, co się stało. Podszedł do drzwi, otworzył je.

– Koniec? – powtórzył i znów pokręcił głową. – Do końca jeszcze daleko.

I wyszedł.



Stan wybiegł z budynku na ulicę. Co się stało, do diabła? W jednej chwili miał w garści milion, w następnej go stracił. Niech diabli wezmą cholernego T.C.

Ale nie tylko T.C. zawinił. To ta pieprzona suka szwagierka, to ona go zdradziła. Z oczywistego powodu. To nieprawda, że chodziło o przeszłość. Przeszłość nic jej nie obchodziła. Przeszłość była tylko wymówką, chodziło o zazdrość. Wkurzyła się, bo zadał się z jej siostrą, nie z nią. To dlatego nie potrafiła usiedzieć na tym swoim zgrabnym tyłku. O tak, chciała go mieć. Pragnęła go. Najgorsze, że mężuś właśnie wyciągnął kopyta, więc nie mogła załatwić sprawy otwarcie. No bo jak by to wyglądało? Jasne, oczywiście, przekonywał się w duchu Stan, to sfrustrowana lala. Sfrustrowana i napalona.

Napalona na niego.

Ale na razie tkwił w kłopotach. Pan K miał go na widelcu, a nie było jak go spłacić. Milion dolarów rozplynał się w powietrzu... przynajmniej na razie. Musi się ukryć, musi wykręcić nowy numer, musi...

Cholera, o czym ja myślę!

Stan uśmiechnął się do siebie. Gra wcale się jeszcze nie kończyła. Ba, daleko jej do końca! Stan Twardy Facet ma ją pod kontrolą. W rękawie trzyma asa. Glorię Ayars, czyli prawdziwą Szaloną Miss 1989.

Za rogiem znalazł budkę telefoniczną. Wrzucił monetę, wybrał numer.

– Halo?

– Witaj, piękna.

Głos Glorii drżał ze zdenerwowania. Jak zawsze.

– Stan?

– To ja, kochanie. Jak się czujesz tego wspaniałego dnia?

– Dobrze. – Zebrała się na odwagę. – A ty?

– Jestem bezwstydnie szczęśliwy. Wzlatuję do nieba!

– Naprawdę?

– Oczywiście. Od lat nie trafiło mi się takie szczęście jak ty. Nie mogę się doczekać, kiedy cię znowu zobaczę.

– Za parę godzin będę wolna – odparła zachwycona Gloria.

– Przepraszam, kochanie, ale nie mogę czekać tak długo. Spotkajmy się teraz, zaraz.

– Stan! – Gloria zaśmiała się cicho. – Jestem w pracy!

– Zniknijmy na parę dni, ty i ja.

– Brzmi wspaniale.

– No to jedźmy gdzieś, gdzie jest cicho, spokojnie i romantycznie.

– Znam takie miejsce.

– No?

– Deerfield Inn. To mała wiejska gospoda jakąś godzinę, półtorej godziny jazdy stąd.

– Brzmi wspaniale.

– Stan, ja nie mogę tak po prostu wyjechać. Mam dużo pracy. Jednak on natychmiast postarał się, by w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

– Tak sobie myślałem, że byłoby naprawdę cudownie, gdybyśmy mogli spędzić kilka dni sami, razem. Chcę z tobą być, sprawdzić głębię naszych uczuć.

– Nie możesz poczekać te kilka godzin?

– Chyba mogę. Nie powinienem tak cię naciskać. Jestem niespokojny, bo ta noc była dla mnie naprawdę wyjątkowa. Pewnie inaczej to odczuwasz, ale ja rozumiem.

– Ależ czuję to samo co ty – zaprotestowała Gloria. Milczała chwilę, zwijając palcami przewód. Wreszcie podjęła decyzję. – Och, czemu nie? Jedźmy do Deerfield.

Stan z trudem opanował śmiech. Co za naiwność!

– Mówisz szczerze?

Gloria się uśmiechnęła. Czowała, że podejmuje właściwą decyzję.

– Jasne. Powiem tylko Laurze...

– Nie! To będzie nasz maleńki sekret. No wiesz, tajemniczość, spontaniczność...

– Jeśli tak po prostu zniknę, będzie się o mnie martwiła.

– Zostaw jej wiadomość, że wyjeżdżasz na kilka dni. Tylko nie podawaj żadnych szczegółów.

– To chyba będzie w porządku – przyznała Gloria po chwili milczenia. – Ale...

– Świetnie. Spotkamy się więc na dole za... dziesięć minut. I wiesz co, Glorio...

– Tak?

– Jestem taki szczęśliwy.

– Ja też, Stan. Ja też.



Laura zamknęła drzwi gabinetu, przeszła do swej prywatnej łazienki, rozebrała się i weszła pod prysznic. Ciągłe była oszołomiona, niepewna, czy to, co się zdarzyło, zdarzyło się naprawdę, bo wyglądało bardziej na koszmar niż rzeczywistość. Czy Stan rzeczywiście ją zaatakował, czy tylko poniosła ją wyobraźnia?

Nie, to nie było złudzenie. Laura nie miała aż tak bogatej wyobraźni.

Wyszła spod prysznica, zaczęła się wycierać. Odrętwienie ustępowało, łzy napłynęły jej do oczu. Oddychała ciężko. Wyrzuciła podarte ubranie do kosza, wyjęła z szafy nowy kostium. Usiadła na stołku, obejmując się mocno ramionami. Nogi jej drżały.

Pomóż mi, Davidzie. Tak bardzo cię potrzebuję. Proszę cię, wróć i powiedz mi, co mam robić.

Pląkała. Źle załatwiła tę sprawę, nie miała pojęcia, jaki powinien być jej kolejny krok.

Gloria.

Gloria będzie załamana. Co ma jej teraz powiedzieć?

„Glorio?”

„Tak, Lauro?”

„Mężczyzna, z którym spałeś tej nocy to najgorsze gówno na całej naszej planecie. Przy nim twoim poprzedni przyjaciele byli święci jak Gandhi”.

Tego przecież nie może zrobić! Kilka tygodni temu mogło się wydawać, że Gloria już nigdy nie zaufa mężczyźnie. Doświadczenie przekonało ją, że mężczyznom, wszystkim mężczyznom, zależy tylko na tym, żeby ją zniszczyć. Musi darzyć Stana naprawdę głębokim uczuciem, skoro pozwoliła mu sforsować mur podejrzliwości i strachu.

I co teraz?

Laura szybko znalazła odpowiedź na to pytanie. Zadzwoń do psychiatry Glorii, doktor Jennifer Harris. Ona będzie wiedziała, co robić. Choć w psychiatrii istniały żelazne reguły tajemnicy lekarskiej, Gloria od samego początku nalegała na to, by Laura czynnie uczestniczyła w jej leczeniu. Po spotkaniu z siostrami pani doktor wyraziła zgodę.

Laura usiadła za biurkiem i zadzwoniła do niej. Wymieniły kilka grzecznościowych zdań, po czym Laura zrelacjonowała całe zdarzenie. Zaczęła od pojawienia się Stana na pogrzebie, skończyła na tym, jak wypadł z jej gabinetu.

Lekarka wysłuchiwała jej relacji w milczeniu.

– Gloria wspomniała mi o Stanie Baskinie – powiedziała, kiedy Laura skończyła mówić. – Mam wrażenie, że czuje do niego pewną słabość.

– Co powinnam zrobić?

– Twoja siostra nie ryzykowała przyjaźni z mężczyzną od momentu załamania nerwowego. Jeśli zdecydowała się spędzić z kimś noc, to z pewnością nie była

spontaniczna decyzja. W tej chwili prawdopodobnie bardzo się boi, niepewna, czy dokonała właściwego wyboru. Musisz zrozumieć jedno, Lauro: gdyby nie sądziła, że ten Stan Baskin darzy ją naprawdę silnym uczuciem, nie ryzykowałaby związku. Innymi słowy, uważa, że nie ma żadnego ryzyka. Gdzieś w głębi duszy jest pewna, że on naprawdę się o nią troszczy.

– To szumowina, pani doktor.

– Określenie to nie pochodzi ze słownika medycznego, ale oczywiście rozumiem, o co ci chodzi. Niemniej, Lauro, musisz postępować bardzo delikatnie. Nie możesz wpaść jak bomba do pokoju Glorii i oznajmić jej, że zakochała się w łobuzie.

– Ale nie mogę też przyglądać się z bezpiecznej odległości, jak się w nim zakochuje. Muszę powiedzieć jej prawdę.

– I tak, i nie – rzekła lekarka po chwili milczenia.

– Nie rozumiem.

– Możesz spróbować wyrazić dezaprobatę... delikatnie, ale ja osobiście w tej chwili nie wdawałabym się w szczegóły.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ jeśli Gloria rzeczywiście zakochała się w tym mężczyźnie, po prostu nie zechce cię wysłuchać. Przyjmie postawę defensywną, odrzuci twoje słowa i opinie. Może to skończyć się w ten sposób, że raczej wepchniesz ją w ramiona tego Stana, niż z nich wyrwiesz.

– Więc co powinnam zrobić?

– Możesz jej pomóc, Lauro, ale w ostatecznym rozrachunku twoja siostra będzie musiała przejść przez to samodzielnie. Nie otworzymy jej na siłę oczu.

Laura rozważyła te słowa.

– Tak, ona potrafi być uparta – przyznała.

– Owszem, też to zauważyłam.

– Ale przecież muszę coś zrobić!

– Zgoda. Ale rozmawiaj z nią łagodnie. Nie wytaczaj ciężkiej artylerii. Nie próbuj jej do czegoś zmusić. Spraw, by sama dostrzegła prawdę. I przyprowadź ją do mojego gabinetu, jak najszybciej.

– W porządku. Dziękuję, pani doktor.

– Lauro?

– Tak?

– A co u ciebie? Jak się czujesz?

– Doskonale, dziękuję.

– Nie masz problemów, o których chciałabyś porozmawiać?

– Nie. Wszystko układa się doskonale.

Po obu stronach telefonicznego kabla zapadła lekko żenująca cisza.

– Mam wolną godzinę w południe – przerwała ją doktor Harris. – Nie wpadłabyś? Tak żeby pogadać?

– Nie sądzę... – Laura, przerwała, przełknęła ślinę; ręce jej drżały. – Świetny pomysł, to miło z twojej strony, Jennifer. Dziękuję.

– W takim razie do zobaczenia w południe. Na razie, Lauro. Laura odłożyła

słuchawkę. Poszła korytarzem do gabinetu Glorii. Tuż przed właściwymi drzwiami zatrzymał ją głos.

– Lauro?

To była sekretarka Glorii.

– Tak?

– Glorii nie ma.

– A gdzie jest?

Sekretarka wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Wybiegła z biura, uśmiechnięta od ucha do ucha. Zostawiła wiadomość dla ciebie.

Laura otworzyła kopertę, wyjęła z niej kartkę.

*Lauro, nie będzie mnie w pracy do poniedziałku. Nie martw się. Zadzwoń po powrocie, Kocham cię,*

*Gloria*



Mężczyzna osłonił oczy przed ostrym blaskiem promieni słonecznych. Obserwował pacjenta, krążącego siedem metrów od kosza. Pacjent narysował kredą linię. Jasne, pomyślał mężczyzna, mniej więcej tu biegnie linia trzech punktów. Tylko najlepsi oddają rzuty z tej odległości.

Pacjent zaczął rzucać, zbierać z tablicy, rzucać, zbierać, rzucać... Poruszał się bez wysiłku, rzuty oddawał z niemal poetyczną lekkością. Piłka raz za razem trafiała do kosza z lekkim stukiem, zaledwie muskając obręcz, ale częściej wcale jej nie dotykając.

– Nieźle, nieźle, Mark! – zawołał mężczyzna.

Pacjent się zatrzymał. Kręcone włosy blond urosły mu już nieco przydługie. Oczy miał zimne, niebieskie, spiczasty nos i wysokie kości policzkowe. Był niezwykle przystojny w chłopięcy, beztroski sposób. Miał mniej więcej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu przy idealnej budowie ciała. Wcześniej nigdy nie podnosił ciężarów, teraz nie trzeba było długo czekać na efekty ćwiczeń ze sztangą. Zeszczupłał, mięśnie nabrały kształtów. Czuł się bardzo silny.

– Dzięki.

– Pozwolisz mi na parę zbiórek?

– Ależ oczywiście, będę wdzięczny.

Mark rzucił. Mężczyzna zebrał, oddał mu piłkę.

– Mogę cię o coś spytać?

– Pytaj.

– Jakim cudem chcesz się załapać na testy? Przecież nikt cię nie zna.

– Rozważam kilka pomysłów. – Mark ustawił się do rzutu hakiem.

– Na przykład?

Wzruszył ramionami.

– Możesz załatwić mi karty prasowe?

– Jasne. Na co ci one potrzebne?

– Pracuję nad tym. Jak się czegoś dopracuję, dam ci znać.

– W porządku. Zestaw przepustek prasowych. Coś jeszcze?  
Mark rzucał i robił, co mógł, żeby sprawiać wrażenie obojętnego.

– A co u nich?

– Jakich „nich”?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie, Mark, nie wiem.

Pacjent nie odrywał wzroku od tablicy.

– Masz rację. Nie było rozmowy.

– Jakiej rozmowy?

– Zasady są po to, żeby się do nich stosować.

– Racja – przytaknął mężczyzna.

Pacjent rzucał. Mężczyzna zbierał piłkę.

– Mark?

Pacjent przestał rzucać.

– U nich na ogół kiepsko.

Twarz Marka znieruchomiała nagle.

– Kiepsko?

Mężczyzna skinął głową.

– Chcę wiedzieć?

Mężczyzna zaprzeczył gestem i poszedł z powrotem, w kierunku domu.

– Nie powinienem był ci powiedzieć nawet tego.

Mark tulił piłkę do piersi jak dziecko pluszowego misia. Jego potężne ciało złożyło się jak scyzoryk. Upadł ciężko na asfalt. Uczucia i wspomnienia wirowały mu w głowie, raniąc go jak ostre łopaty śmigła. A mężczyzna nadal się od niego oddalał.

– T.C...!

Dopiero teraz zatrzymał się, odwrócił.

– Pilnuj, żeby nie spotkało ich nic złego.

Mężczyzna nazwany T.C. wyjął z kieszeni cygaro.

– Zrobię, co mogę – powiedział spokojnie, choć wiedział, że nic nie może zrobić.



**29 MAJA 1960**

– Sukinsyn!

Huknął strzał. Kula przeszła przez czaszkę Sinclaira na wylot. Krew trysnęła na ściany, lepka, gęsta mgiełką osiadła na twarzy mordercy. Tył głowy ofiary eksplodował kawałkami tkanki mózgowej. Martwe ciało ześlizgnęło się z krzesła na podłogę.

Zabójca stał nad nim, czując się przedziwnie dobrze, swobodnie. Nie żyje. Drań załatwiony na amen. Trup. Nie o to chodziło, ale nie żyje, takie to proste. Opryskał mnie krwią, ale tak, o tak, zasłużył sobie na to, co go spotkało. Sam się o to prosił.

Zabójca rozejrzał się po pokoju. Muzyka za oknem grała tak donośnie, że studenci nie usłyszeli huku, a nawet jeśli usłyszeli, to pewnie wzięli go za fajerwerk albo strzał z rury wydechowej czyjegoś samochodu. Mimo to brakowało mu czasu i musiał działać szybko.

Spokojnie. Bez paniki. Kontrolujesz sytuację. Teraz myśl. Z pewnością zaraz coś wymyślisz.

Spojrzał na to, co pozostało z głowy Sinclaira: do niczego niepodobną masę krwi, ciała i kawałków kości.

Dostał w łeb. Moje szczęście. Mądry wybór. Można załatwić sprawę tak, żeby wyglądała na samobójstwo. Wszyscy wiedzą, że sukinsyn miał kłopoty. Nikt nie będzie kwestionował samobójstwa.

Zabójca zamknął drzwi gabinetu, wytarł do czysta broń, włożył ją zgrabnie w dłoń ofiary.

No i już. Załatwione. Bezbłędnie załatwione. Nikt nie będzie mnie podejrzewał. Teraz wystarczy wyslizgnąć się tyłem przed przyjazdem policji i...

Zamarł nagle, bo przypomniało mu się coś ważnego.

Jak się nazywał ten telewizyjny serial? Czy może był to film? Książka? Nieważne. W każdym razie chodziło o podobną sytuację. Znalaziono mężczyznę z kulą w głowie i pistoletem w rękę. Samobójstwo, prawda? Ale detektyw odkrył, że nie, że mężczyzna został zamordowany, tylko... jak?

Zabójca pstryknął palcami. Uśmiechnął się.

Policjant kazał sprawdzić dłoń ofiary na ślady prochu czy jak to się tam nazywało. Nie znaleziono żadnych śladów. Nie znaleziono także śladów urazu, więc trup nie mógł strzelić do siebie za życia. A więc został zamordowany.

Wraz z przypomnieniem przyszedł strach. Zabójca podbiegł do ciała, podniósł

bezwładną rękę trzymającą broń i ściągnął spust palcem ofiary.

Rozległ się strzał. Kula utkwiała w ścianie koło regału z książkami.

Na twarzy zabójcy pojawił się wyraz ulgi. Na dłoni jest już proch czy co tam. Policja wkrótce się tu pojawi. Przeprowadzi śledztwo i dojdzie do jednego z dwóch możliwych wniosków: albo Sinclair strzelił sobie w łeb, a potem pośmiertny skurcz dłoni spowodował drugi wystrzał, albo za pierwszym razem stchórzył i w ostatniej chwili wygiął dłoń, a potem zawstydził się i palnął sobie prosto w łeb.

Zabójca wyszedł na rozświetlony słońcem dziedziniec tylnym wyjściem pewien, że nikt go nie widział.

Bardzo się mylił.

Wyglądająca zza kanapy para przerażonych oczu widziała wszystko. Ale zabójca nie zajrzał za kanapę, tylko uciekał, myśląc: No to załatwione. Sukinsyn nie żyje. I teraz nie mam wyboru. Tylko w jeden sposób można naprawić ten błąd, tylko w jeden sposób można to wszystko uporządkować.

Przełknął ślinę z wysiłkiem.

Będę musiał zabić jeszcze raz.

Gloria nigdy nie była taka szczęśliwa. Weekend w Deerfield zapowiadał się nawet lepiej niż w jej marzeniach. Nie ma lepszego narkotyku niż miłość, a to ją właśnie spotkało. Prawdziwa miłość, a nie walka, w której uczestnicy próbowali wykorzystać się nawzajem i zranić.

Prawdziwa miłość.

To prawda, byli z sobą krótko, ale Gloria wiedziała. Nigdy w życiu nie była niczego taka pewna.

Spojrzała na Stana. A on uśmiechnął się i ciepło rozpląnęło się po całym jej ciele. Mogła nie jeść, mogła nie spać, byle tylko być ze Stanem.

Szli pustą ulicą w stronę gospody. Małe nowoangielskie miasteczko wyglądało jak z pocztówki. Był wrzesień, za wczesny, by liście zaczęły zmieniać kolor, ale pustka i ciepłe słońce przeświecające przez grube gałęzie drzew robiły swoje. Była wspaniała, ciepła pogoda, oboje mieli na sobie szorty i podkoszulki. Opuszczając miasto w pośpiechu, Gloria zapomniała podkoszulków, musiała je pożyczyć od Stana.

W głównym budynku Deerfield Inn było tylko dwanaście pokoi i drugi tuzin czy coś koło tego w przybudówce od tyłu. W ten akurat weekend nie było jednak tłoku, co jej pasowało.

Poprzedniego wieczoru zjedli kolację, pospacerowali po kampusie Deerfield Academy, posiedzieli przy kominku w saloniku gospody. Cisza uspokajała ją jak najlepszy masażysta.

Stan objął ją ramieniem, Gloria mocno przytuliła się do jego piersi. Czowała się dobrze, była bezpieczna i szaleńczo wręcz szczęśliwa.

Za rogiem już czekała na nich gospoda. Stan zatrzymał się, obrócił, spojrzał na nią.

– Kocham cię, Glorio – powiedział. – Wiem, że krótko się znamy, ale...

– Ja też cię kocham.

Pochylił się, by ją pocałować, a jej serce omal nie wyskoczyło z piersi. Ale kiedy się odsunęła, zobaczyła wyraz niepokoju na jego twarzy.

– Co się stało, Stan?

Na moment odwrócił wzrok.

– Tak tu pięknie – powiedział. – Chciałbym móc zostać tu na zawsze.

– Ja też.

Skinął głową.

– Nadszedł czas, bym powiedział ci o sobie wszystko. To, co dobre, i to, co złe.

Laura przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

– W tobie nie ma nic złego.

– Owszem, jest.

– Nic mi nie musisz mówić.

– Może było to prawdą, nim się w tobie zakochałem, ale teraz nie mam wyboru.

Spojrzała na niego, w jej oczach dojrzał strach. Stan cofnął się o krok. Zaczął mówić po chwili milczenia.

– Jestem graczem. Baseball, futbol, konie, wszystko, co ci tylko przyjdzie do głowy. To choroba, Glorio, trochę taka, jak twoja z narkotykami. Pożądałem czegoś i nie mogę się powstrzymać. Chciałem przestać, jasne, ale nie potrafię. Gram i gram, aż tracę wszystko, co posiadam. To mnie nie powstrzymuje. Pożyczam, przegrywam, dług się kumuluje, no i nie jestem w stanie go spłacić.

Stan ruszył w kierunku gospody. Gloria szła obok niego w milczeniu, patrząc, jak idzie przed siebie równym krokiem.

– Czasami po to, żeby oddać dług, popełniam przestępstwa. Posłuchaj, ludzie, którym jestem winien pieniądze, to gangsterzy. Karzą tych, którzy spóźniają się ze spłatami. W tej chwili już jestem im winien i nadal nie potrafię nie postawić. Glorio, pamiętasz, jak to było, kiedy przestałaś brać narkotyki? Pamiętasz, jak brakowało ci ich we krwi, chciałaś ich tak bardzo, że cierpienia zespołu odstawienia doprowadzały cię do szaleństwa?

Gloria skinęła głową. Wiedziała, co to nałóg. Omal jej nie zabił.

– Pieniądze na grę to moja działka. Próbowiałem się wyleczyć, ale chyba nie miałem tyle siły co ty.

Gloria wzięła go za rękę.

– Tylko dlatego, że nie miałeś wsparcia – zapewniła go. – Mnie nigdy nie udało by się bez Laury. Za żadne skarby. Ale nałóg możesz pokonać, wiem, że możesz.

Stan spojrzał na nią z nadzieją.

– Pomożesz mi?

Gloria znów go objęła.

– Oczywiście. Pokonamy go razem.

– Kocham cię.

Jej twarz się rozświetliła.

– Też cię kocham.

Szli razem, trzymając się za ręce. Gloria przerwała milczenie.

– Powiedziałeś, że jesteś winien pieniądze.

– To nie twoje zmartwienie.

– Mam pieniądze, Stan. Mogę ci pomóc.

– Nawet o tym nie myśl. Nie chcę, żebyś się w to wplątała.

– Ale...

Delikatnie położył palec na jej wargach.

– Koniec dyskusji, kochanie.

Stanęli przed wejściem do Deerfield Inn. Stan pocałował ją, a potem weszli do środka.



Dwaj mężczyźni, jeden przeciętnego wzrostu i wagi, drugi potwornie wielki

i włochaty, obserwowali pocałunek ze stojącego przed gospodą samochodu.

– To oni? – zapytał ten wielki.

Pan K skinął głową.

– Widziałeś, jakie ma ciało?

– Bardzo atrakcyjne, Bart – przytaknął pan K.

– Powinna być gwiazdą filmową – rzucił z entuzjazmem Bart. – Boże, strasznie chciałbym ją wypieprzyć.

Pan K poklepał swego wielkiego przyjaciela po ramieniu.

– Bart, mój chłopcze, być może nadarzy się okazja.



Gloria wzięła szybki prysznic. Kiedy wyszła, Stan już czekał, żeby ją wytrzeć.

– Jesteś taka nieprawdopodobnie piękna – powiedział.

– Czyżbym się powtarzał?

– Skąd. Powiedz to jeszcze raz.

Stan odłożył ręcznik, zaczął ją pieścić.

– Jesteś piękna – powiedział.

Pieszczoty przerwało im pukanie do drzwi.

– Ktoś dobrze sobie wybrał czas – powiedziała Gloria, osłaniając się ręcznikiem.

– Kto to?! – krzyknął Stan.

– Obsługa. Odrobina szampana. Na koszt firmy.

Stan się uśmiechnął.

– Zostań tu, gołąbeczko. I nie wąż się ubierać!

Gloria zachichotała.

– Idę! – Stan podszedł do drzwi. Obrócił klamkę. Skrzydło, pchnięte od zewnątrz bez ostrzeżenia, uderzyło go w czoło.

Upadł na podłogę.

Pan K i jego wielki goryl szybko weszli do środka, zamykając drzwi za sobą. Gloria tylko westchnęła cicho.

Blondyn uśmiechnął się do leżącego na podłodze Stana.

– Czy to nie miłe? Cichy, spokojny weekend na wsi. Brzmi pięknie, prawda, Bart?

– Pięknie, panie K – zgodził się z nim goryl.

Stan wstał z wysiłkiem.

– Czego chcesz?

Gangster zignorował jego pytanie. Podszedł do Glorii, stojącej po drugiej stronie pokoju.

– Kim jest ta piękna pani? – spytał.

– Zostaw ją w spokoju – powiedział Stan stanowczo. – Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Co prawda, to prawda. – Pan K odwrócił się w stronę Stana. Dziewczyna stała nieruchomo, przytulona do ściany. Zauważyła, że gigant ani na chwilę nie spuścił z niej wzroku. Znała to lubieżne spojrzenie i nagle, choć owinięta ręcznikiem, poczuła się naga. – Masz pieniądze?

– Już ci powiedziałem, że będę je miał w ciągu tygodnia.

– To mi nie wystarczy. – Pan K znów przeniósł uwagę na Glorię, skuloną w kącie, przyglądającą się Bartowi przerażonym wzrokiem. – Stan powiedział ci, jak zranił się w palec, piękna pani?

– Powiedziałem, żebyście zostawili ją w spokoju.

I znów Stan został całkowicie zignorowany.

– Widzisz, piękna pani, Stan nie dotrzymał słowa, złamał obietnicę, okazał się nieodpowiedzialny. To wyjątkowo niepokojące. Uznałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak wyginać mu palec tak długo, aż trzasnął jak zapałka, wydając przy tym bardzo nieprzyjemny dźwięk.

Z twarzy Glorii odpłynęła krew.

– Wystarczy, K! – krzyknął Stan.

– Ale nie martw się jego palcem, piękna pani, bo w porównaniu z tym, co go czeka teraz, złamany palec to drobiazg. – Skinął na goryla, nadal gapiącego się na dziewczynę. Goryl otrząsnął się, powrócił do rzeczywistości i powoli ruszył w stronę protestującego Stana.

– Chwileczkę, chwileczkę, pozwólcie jej wyjść. Nie chcę, żeby była w to zamieszana.

– Bardzo mi przykro – pan K powoli pokręcił głową – ale na to jest już, niestety, za późno. Bartowi twoja pani bardzo się spodobała.

Stan zrobił krok w przód, zastępując drogę gorylowi.

– Ze mną możesz zrobić, co zechcesz, panie K, ale ją macie zostawić w spokoju.

Gangster spojrzał na niego zdziwiony.

– Co za niezwykła odmiana! Od kiedy to troszczysz się o kogoś oprócz siebie?

– Nie twój interes. Macie zostawić ją w spokoju.

To wyraźnie rozbawiło gangstera.

– Zaspokój moją ciekawość, przyjacielu. Załóżmy, że anuluję ci dług, jeśli pozwolisz Bartowi zabawić się ze swoją przyjaciółką. Co ty na to?

– Idź do diabła.

– O mój Boże, rzeczywiście się zakochałeś. Podziwiam cię za to, Stan. Naprawdę. – Pan K uśmiechnął się do Glorii tak zimno, że dziewczyna poczuła ten uśmiech na nagiej skórze jak powiew lodowatego wiatru. – Lecz, niestety, Bart to mój oddany pracownik i, drogie dziecko, bardzo niewymagający. Gdybym odmówił mu tej małej przyjemności, byłbym wobec niego niełojalny, prawda? Chyba mnie rozumiesz?

Pan K skinął na goryla. Ten uśmiechnął się do swej bezbronnej ofiary i ruszył w jej stronę, spoglądając poządliwie. Obliznął usta, sięgnął po ręcznik.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna.

Wielkie łapy Barta dzieliło od ręcznika nie więcej niż pięć centymetrów, kiedy ktoś rzucił się na niego z tyłu. Stan oprzytomniał. Zaatakował z furją, ale Bart odrzucił go z łatwością, ktoś jego rozmiarów nie musiał się przejmować takim przeciwnikiem. Mimo to Stan próbował walczyć, dzielnie bronił Glorię przed ohydny napastnikiem.

Do walki włączył się pan K. Jeden wielki facet wystarczyłby na Stana, a teraz w ringu znalazł się drugi. Uderzył go w kark i Stan upadł na podłogę.

– Uciekaj, Glorio! – wykrztusił z wysiłkiem. – Uciekaj!

Gloria pragnęła uciec, ale nogi nie chciały jej słuchać.

Sparaliżowana strachem patrzyła, jak dwóch facetów kopie jej ukochanego. Twarz Barta była czerwona z wściekłości.

– Zabiję sukinsyna!

Stan brał straszliwe lanie. Kopniaki nie ustawały. Każdy z nich, zadawany powoli, z rozmysłem, wydawał się doskonale wymierzony. Stan tylko stękał cicho. Gloria dostrzegła wyciekającą z jego ust strużkę krwi. Nagle jego oczy uciekły w tył głowy, a powieki się zamknęły.

– Przestańcie! – krzyknęła. – Zostawcie go w spokoju.

Mężczyźni zawahali się, podnieśli głowy. Stan leżał nieruchomy na podłodze.

– Proszę. Błagam. Dam wam wszystko, czego chcecie, tylko zostawcie go w spokoju.

– Kochanie – powiedział pan K, robiąc krok w jej stronę. – On jest mi winien sto tysięcy dolców.

– Wypiszę czek. Tylko błagam, już go nie krzywdźcie.

Pan K wahał się przez chwilę.

– Naprawdę chcesz mu pomóc?

Skinęła głową. Stan ryzykował dla niej życie. Jasne, miał problem, ale przyznał się do niego i poprosił ją o pomoc. Dobrze, zapłaci tym bandytom, a potem pomoże mu rzucić nałóg, tak jak Laura pomogła jej.

– Tylko proszę, nie bijcie go już.

Pan K wzruszył ramionami.

– Zostaw go, Bart. Zaczekaj na mnie na dole.

– Ale...

– Idź.

Bart wyszedł. Niechętnie.

– Torebka... – Gloria się zająknęła – ...moja torebka jest w łazience. Zaraz wracam.

Wyszła, a kiedy znikła im z oczu, Stan podniósł głowę, wyjął z ust kapsułkę z krwią i schował ją do kieszeni.

– Podziękuj ode mnie Roadhouse'owi – szepnął.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia.



Mark Seidman pokazał ochroniarzowi kartę prasową, którą załatwił mu T.C., wszedł do środka i usiadł na jednej z drewnianych ławek, wśród innych dziennikarzy. Hellenic College w Brookline miało swoją drużynę, Szybujące Sowy. Koszykówkę wyrzucono z podstawowego programu zajęć dwanaście lat temu, po kolejnym żalonym sezonie, i jeśli na meczu pojawiali się trzydzieści osób, wliczając zawodników i trenerów, uważano to za sukces, ale Mark Seidman i inni widzowie nie przyszli tu dla Szybujących Sów, zwanych przez gazetkę uniwersytecką Bezskrzydłymi. Nie, na sali gimnastycznej Hellenic College pojawili się interesujący

goście.

Boston Celtics.

Właśnie tu przeprowadzano ostatnie testy przed przedsezonowymi meczami przygotowawczymi. Z siedemnastu biegających po parkiecie miało pozostać dwunastu, marzenia pięciu wkrótce rozwieją się z dymem. W tym tygodniu Celtowie trenowali dwa razy dziennie. Rano przeprowadzano intensywny trening ogólnorozwojowy, po południu ćwiczono już lżej, bez takiego reżimu. Przedstawiciele prasy, wyposażonych w odpowiednie przepustki, zachęcano wręcz do obserwacji przygotowujących formę koszykarzy.

Jednym z takich dziennikarzy był dzisiaj Mark Seidman.

Trener Roger Wainright zarządził kilka prostych ćwiczeń, po czym dał zawodnikom czas na trenowanie rzutów. Zapowiadał się spokojny dzień i na trybunach siedziało tylko ośmiu przedstawicieli prasy. Nie było nawet Clipa Arnsteina.

Mark obserwował graczy. Earl Roberts pracował nad swoim hakiem, Johnny Dennison ćwiczył zwody z piłką na całej długości parkietu, a Timmy Daniels, powszechnie uważany za kandydata na najlepszego strzelca za trzy w tym sezonie, rzucał z dystansu raz za razem; piłki zbierał dla niego jeden z chłopców. Widział uśmiech na twarzy trenera Rogera Wainrighta, który obserwował swego młodego obrońcę trafiającego do kosza bezbłędnie raz za razem. Nagle do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Wyprostował się. Tak, to się mogło udać, bez wątpienia. Ryzykowne, nawet bardzo, ale przecież nie miał nic do stracenia.

Nagle Mark nabrał ochoty, by zacząć już, teraz, chociaż wiedział, że to nie może być dziś. Będzie miał tylko jedną szansę i jeśli ją zmarnuje, to koniec. Potrzebował trochę pieniędzy, poza tym na miejscu musi być Clip Arnstein i dziennikarze. Bez nich plan nie może się udać.

Wstał i zszedł z trybun. Musi poczekać do następnej konferencji prasowej, to po pierwsze. Konferencje prasowe zazwyczaj były do siebie podobne: dziennikarze pytali o szansę na zwycięstwo, Clip Arnstein odpowiadał albo żartem, albo jakimś wytartym banałem. Czasami padały też pytania o zmiany w drużynie, plotki o kupowaniu graczy, ale przeważnie pytania rutynowe, w dodatku nudnawe.

Mark Seidman miał to zmienić.

Gloria wyszła z łazienki, trzymając książeczkę czekową. Spojrzała na Stana leżącego na podłodze nieruchomo, zbyt nieruchomo. Mimo drżenia rąk zdołała wypisać czek na sto tysięcy dolarów. Wydarła go z książeczki i wręczyła farbowanemu blondynowi stojącemu nad ciałem Stana.

Aż się skuliła, kiedy pan K uśmiechnął się do niej grzecznie.

– Dziękuję, piękna pani – powiedział, chowając czek do kieszeni. – Rozumiem, że nie będzie kłopotów z pokryciem tej dość przecież poważnej kwoty?

Gloria skinęła głową.

– Pozwolę sobie odradzić kontakt z władzami lub powstrzymania wypłaty po moim wyjściu. Moją reakcją na coś takiego można nazwać, najłagodniej mówiąc, nieprzyjemną. Czy zostałem dobrze zrozumiany?



Kolejne skinienie. W oczach Glorii był tylko strach.

– Doskonale. – Pan K spojrzał na leżącego u jego stóp Stana. Potrząsnął głową. – Nie jestem pewien, co widzisz w tej kupie gówna. Pozwolę sobie powiedzieć, że jesteś po prostu głupia.

Znowu ten uśmiech! Gloria skuliła się w kącie.

– No cóż, przez całe życie wybieramy. Sama sobie posłałaś i to ty będziesz spała w tym łóżku. – Pan K się uklonił, tego zwyczaju nabrał na wschodzie, i podszedł do drzwi. – Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego. Do zobaczenia, piękna pani. Na razie.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Gloria przebiegła przez pokój i przykleknęła przy bezwładnym, nieruchomym ciele.

– Stan?

Jęk.

– Nie ruszaj się. Wezwę karetkę.

Stan chwycił ją za rękę.

– Nie!

– Ale jesteś ranny.

– Oberwałem parę razy. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – To specjaliści w zadawaniu bólu i biciu ludzi, ale uważają, żeby człowieka poważnie nie uszkodzić. Nic mi nie będzie.

– To co mam robić?

– Pomóż mi wstać.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. – Stan skrzywił się przeraźliwie. – Gorący prysznic wystarczy, żeby wszystko wróciło do normy. – Uśmiechnął się, dodając dziewczynie odwagi. – Wygląda to fatalnie, ale nie jest tak źle. – Wstał chwiejnie, oparł się na ramieniu Glorii, spojrzał jej głęboko w oczy. – Zwrócę ci całą sumę. Co do centa. – Na razie się tym nie zajmuj.

– Mówię szczerze. Co do centa. I bardzo cię przepraszam za to, co się stało. Jeśli postanowisz nie spotykać się ze mną więcej, zrozumiem.

– Ale ja chcę się z tobą spotykać.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak.

– Już nie będę grał, obiecuję.

– To nie będzie łatwe, Stan. Lecz wiem, że potrafisz, jeśli tylko będzie ci na tym zależało.

– Przestaną. Obiecuję. Już nigdy nie będę grał.

– Doskonale – ucieszyła się Gloria. – Ale teraz potrzebna nam apteczka. Mogę przynieść ci ją z recepcji.

– Jasne. Kiedy wrócisz, zastaniesz mnie pod prysznicem.

Dziewczyna podeszła do drzwi.

– Glorio! – zawołał ją Stan.

– Tak?

- Kocham cię.
- Ja też cię kocham.

Gloria zamknęła za sobą drzwi. Stan odczekał, aż ucichnie echo jej kroków na korytarzu, po czym podniósł słuchawkę i szybko wybrał numer.

- Cześć, tu Stan – powiedział. – Postaw pięćset na Broadway Lew w trzeciej.



Do Brookline w Massachusetts zawitał poniedziałek. T.C. wiózł Marka przez centrum w stronę uniwersytetu i sali gimnastycznej. Mark niemal przez całą drogę milczał, co nie wydawało się dziwne. W końcu nadszedł ten dzień. Mark spędził weekend, szlifując plan i próbując opracować rozwiązanie każdego problemu, który mógł się pojawić. Zdaniem T.C. byli przygotowani na wszystkie ewentualności. Zresztą plan był w rzeczywistości bardzo prosty, a jego sukces w całości zależał od Marka.

Uda mu się czy się nie uda?

Przed nimi pojawiła się sala gimnastyczna. Bostoński glina pomyślał, że oto nadszedł najważniejszy dzień w życiu Marka Seidmana i że nie wolno mu popełnić błędu. Myślał także o tym, że kilka miesięcy temu plan po prostu musiały się udać. Lecz wiele zdarzyło się w ciągu tych miesięcy, zmieniając zarówno ich punkt widzenia, jak i cele. Kilka miesięcy temu Mark mógł wyciąć numer dla samej frajdy i dla ożywienia swego życia. Ale wówczas w jego życiu istniało jeszcze coś takiego jak frajda.

Teraz jednak plan był jedynym sposobem na przetrwanie.

Odezwał się interkom.

– Tak? – powiedziała Laura.

– Gloria właśnie pojawiła się w biurze – zameldowała Estelle.

– Dziękuję.

Laura odsunęła krzesło od biurka. Gloria wróciła! Westchnęła głęboko, wstała, podeszła do drzwi. Przeszła przez sekretariat; Estelle pisała jakiś list. Nie podniosła głowy. Jej szefowa od rana miała zły humor, chyba przez siostrę, a kiedy szefowa ma zły humor, należy zejść jej z oczu, a najlepiej zniknąć.

– Zaraz wracam. Nie przyjmuję rozmów.

Laura wyszła na korytarz, znikając z oczu sekretarce. Szła sztywno wyprostowana, walcząc z rosnącym gniewem. Przypomniała sobie, co doktor Harris mówiła o łagodnym traktowaniu Glorii, ale to nie takie łatwe. Siostra znikła na cały weekend, wyjechała, nie mówiąc nikomu dokąd. Oczywiście, powtarzała sobie Laura, popełni błąd, jeśli zacznie pochopnie wyciągać wnioski. Przecież w ogóle nie wiadomo, czy była akurat ze Stanem...

Gówno prawda.

Laura gotowała się z wściekłości. Pomyśleć, że porwał ją ten obłąkany psychopata... jasne, łatwo nią manipulować, ale to przerażające, że tak łatwo daje się nabrać.

Weszła do działu marketingu, zapukała do drzwi z napisem „Gloria Ayars”. Radosny głos powiedział: „Proszę”.

Wsadziła głowę do środka.

– Cześć, siostrzyczko.

Gloria wyszła jej na spotkanie, cała rozpromieniona.

– Laura? Wchodź, na co czekasz.

– Dziękuję. Jak leci?

– Wspaniale! Przepraszam, że w piątek uciekłam tak nagle.

– Żaden problem. – Laura uśmiechnęła się szeroko i nieszczerze. – Ostatnio ciężko pracowałam. Zasłużyłaś na trochę wolnego.

– Mimo to głupio mi, że tak po prostu wyjechałam.

– Daj spokój. Mogę usiąść?

– Oczywiście.

Siostry usiadły naprzeciw siebie, Uśmiechały się miło jak prezenterki sympatycznego teleturnieju. Laura czuła się śmiesznie.

– I co? Dobrze bawiłaś się przez ten swój tajemniczy weekend?

– Rewelacyjnie!

Jakże trudno utrzymać ten sympatyczny uśmiech.

– Tak? A dokąd pojechałaś?

– Do Deerfield Inn. Pamiętasz, bywałyśmy tam jako dzieci.

Pamiętała.

– Brzmi nieźle.

– I było wspaniale. Lauro?

– Tak?

– Zakochałam się.

Laura poczuła, jak jej serce zamiera. Ale uśmiech pozostał niezmienny.

– Naprawdę? Kim jest ten szczęściarz?

– Stan! – wykrzyknęła Gloria z entuzjazmem. – Potrafisz w to uwierzyć? Czyż to nie wspaniale?

Laura mechanicznie skinęła głową.

– A kiedy to się zaczęło?

– W zeszłym tygodniu. Wiem, że znamy się krótko, ale on jest taki cudowny. Ciepły, troskliwy, zabawny... sama wiesz, przecież go znasz. Bardzo podobny do Davida!

Laura aż się skrzywiła na to porównanie.

– Zapomnij o Davidzie – poradziła siostrze. – Powinnaś oceniać Stana jak każdego innego mężczyznę.

– Jak to? O co ci chodzi?

– Tak naprawdę o nic. – Laura postanowiła zaryzykować. – Mówię tylko, że powinnaś traktować Stana Baskina jak każdego innego mężczyznę, którego znasz od tygodnia. Nie zachowuj się inaczej tylko dlatego, że jest bratem Davida.

Gloria najpierw zdziwiła się, a potem uśmiechnęła.

– Och, rozumiem. Wiesz o jego przeszłości. Martwisz się.

– No, może trochę.

– Opowiedział mi o wszystkim. Wiem, że jest uzależniony od hazardu. Zamierzam mu pomóc.

Gówno prawda, pomyślała Laura, nie po raz pierwszy. Doktor Harris ostrzegła ją, żeby nie naciskać, więc nie miała jak powiedzieć Glorii o wszystkich tych wspaniałych rzeczach, które ciepły, troskliwy Stan zrobił swej rodzinie. Ugryzła się w język. Kiedyś nadejdzie właściwy czas.

– Mimo wszystko, Glorio, powinnaś mieć oczy otwarte.

– Przeszłość to przeszłość. Sama tak powiedziałaś, kiedy przyjechał do Bostonu.

– Tak. Pamiętam, co powiedziałam. Ja tylko proszę cię o ostrożność.

– Ostrożność? – powtórzyła Gloria i uśmiech znikł z jej twarzy. – Przecież my się kochamy!

– Temu nie zaprzeczam. – Laura robiła wszystko, by zachowywać się dyplomatycznie. – Ale czyż nie czułaś tego samego w przeszłości? W stosunku chociażby do tego faceta z Kalifornii?

Gloria zmrużyła oczy.

– Wtedy byłam innym człowiekiem.

– Przecież wiem – zapewniła ją siostra – ale może nie powinnaś aż tak się spieszyć?  
– Lauro, co chcesz mi powiedzieć?  
– Nic.  
– Daj spokój. Chodzi ci o przeszłość, prawda? To nią się martwisz? A ja myślałam, że twoim zdaniem przeszłość nie jest ważna.  
– Bo nie jest. Naprawdę. To nie znaczy jednak, że można ją zignorować.  
– Ach, teraz rozumiem – powiedziała Gloria powoli, lecz podnosząc głos z gniewu.  
– Przeszłość nie ma znaczenia! Dziwisz się, jak Stan może pragnąć kogoś z moją przeszłością...  
– Ależ skąd!  
– ...narkomanki i dziwki...  
– To nieprawda! Przecież nie o to mi chodzi! Mężczyzna, który podbije twe serce, będzie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Ja tylko nie jestem pewna, czy Stan Baskin to właściwy mężczyzna.  
– A to dlaczego?  
– Bo... nie, nic. Po prostu tak czuję.  
Gloria wstała.  
– Lauro, wiesz, jak bardzo cię kocham. Zawdzięczam ci życie.  
– Niczego mi nie zawdzięczasz. Jesteśmy siostrami. Ty pomogłaś mnie, ja pomogłam tobie.  
– Pięknie, ale chcesz, żebym przestała widywać się ze Stanem.  
Laura się zawahała.  
– Tego nie powiedziałam, chociaż...  
– Nie aprobujesz naszego związku?  
– Nie jestem pewna, to wszystko.  
– I nie powiesz mi, skąd ta twoja niepewność.  
Laura milczała.  
– Posłuchaj, siostro, mam przeszło trzydzieści lat. Trudno w to uwierzyć, prawda? Stan dobiega czterdziestki. Nie jesteśmy już dziećmi. Kocham go. Bardzo go kocham.  
– Nie chcę...  
– A ja myślałam, że ze wszystkich ludzi ty będziesz najbardziej zadowolona z mojego szczęścia – przerwała jej Gloria. – Nie jesteś, trudno, ale to niczego nie zmienia. Kocham go i będę się z nim spotykać.  
– Nie wiesz, co mówisz – nie wytrzymała Laura. – On do ciebie nie pasuje.  
– Za kogo ty się, do cholery, uważasz?  
– Jest szalony. Krzywdzi ludzi, nawet...  
– Nie muszę tego słuchać! Nie jesteś moim aniołem stróżem.  
Gloria wypadła z gabinetu, głośno trzaskając drzwiami.  
Laura opadła na fotel. Świetna robota, nie ma co. Nie mogła zachować się lepiej. Wzór opanowania. Westchnęła. Czuła się słaba, jakby ta rozmowa wyssała z niej siły. I co ma teraz zrobić?  
Przypomniała sobie całą rozmowę. Coś ją niepokoiło, coś, co powiedziała siostra. Tkwiło głęboko w podświadomości. Przywołała to i nagle zrobiło jej się zimno.

Słowa, którymi Gloria się broniła... jej słowa brzmiały tak prawdziwie. Może miało to coś wspólnego z prostym faktem: w gruncie rzeczy miała rację. Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, kto dał Laurze prawo do wtrącania się w jej życie uczuciowe? Życie uczuciowe dorosłej kobiety? Dorosła kobieta ma prawo robić, co jej się podoba. Laura odtworzyła w pamięci ich rozmowę. Jakże przypominała ona...

Tak, rozmowę o niej i Davidzie!

Gardło jej się ścisnęło. To było bardzo bolesne porównanie.

O Boże, czy matka nie mówiła jej tego samego o Davidzie? Czy nie ostrzegała przed nim córki, nie podając żadnych wyraźnych powodów?

– Proszę, Lauro, zaufaj mi. Przestań się z nim widywać.

– Ale dlaczego?

– Błagam cię. Nie jest dla ciebie odpowiedni.

Od czasu śmierci Davida Laura nie odezwała się do matki słowem. Co wówczas próbowała powiedzieć?

– Może wyjdę za niego za męża?

– Nigdy, Lauro. Nie pozwolę ci wyjść za niego. Nie ma mowy.

Potrafiła przeciwstawić się matce. Uciekła do Australii, poślubiła Davida i teraz rozumiała coś jeszcze: jej słowa nie powstrzymają Glorii, nie przerwą jej spotkań ze Stanem. Dokładnie tak, jak słowa matki nie oderwały jej od Davida.

Laura wyjrzała przez okno. Tak bardzo chciała zbiec na dół, dopaść siostrę, zmusić ją, by wysłuchała nieprzyjemnej prawdy. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego zrobić. Czyjej matka nie znalazła się w identycznej sytuacji? Wiedziała o Davidzie coś strasznego, chciała o tym powiedzieć, ale z jakiegoś powodu nie mogła.

Właśnie teraz, w tej chwili, pojawiło się najważniejsze, kluczowe pytanie i zmroziło Laurę. Pytanie, na które w końcu trzeba było znaleźć odpowiedź.

Co takiego matka wiedziała o Davidzie, że tak to ukrywała?



Mark Seidman zajął swe zwykłe miejsce na niewygodnej drewnianej ławeczce. Natychmiast skupił uwagę na Timmym Danielsie, ćwiczącym rzut za trzy. Był to wspaniały widok: jedna za drugą piłki, ciągnące za sobą pomarańczowe ogony jak komety, przelatywały przez metalową obręcz. Następnie spojrział na Clipa Arnsteina i przedstawicieli mediów stojących za boczną linią i podziwiających to bezbłędne przedstawienie.

Clip Arnstein założył ręce na piersi. Na głowie miał biały kapelusz z obwisłym rondem, ubrany był w szorty i zieloną koszulkę Celtów. Wyglądał bardziej na amerykańskiego turystę niż legendę koszykówki.

– Dobra robota, mały! – zawołał.

Timmy przerwał. Podbiegł do Arnsteina, który tam, na boisku, urządził konferencję prasową.

– Dziękuję.

Dziennikarze otoczyli go ciasnym kołem.

– Jak myślisz, Clip, Celtowie obronią mistrzostwo?

– Mam nadzieję.

– Nadzieję?

– Arogancja nie popłaca.

– Twoim zdaniem to możliwe do osiągnięcia? Bez Davida Baskina?

– Posłuchajcie mnie, ludzie. Nie ma drużyny, która nie odczułaby straty zawodnika klasy Davida. Faceci tacy jak Biała Błyskawica nie rodzą się na kamieniu. Będziemy walczyć? Jasne, będziemy. Oczywiście. Czy zdobędziemy mistrzostwo? Przyszłości, moi drodzy, nikt nie zna. Jest tyle czynników przesądających o porażce albo zwycięstwie. Żeby wymienić dwa: zdrowi zawodnicy i szczęście.

Mike Logan, dziennikarz, który zajmował się Celtami od dziesięciu lat, podniósł rękę.

– Clip, w zeszłym roku powiedziałeś nam, że David Baskin ma najlepszy w lidze rzut z dystansu, a zaraz po nim idzie Tim Daniels.

– I miałem rację, prawda, Mike? Konkurs rzutów za trzy to udowodnił.

– Jasne, nie o to chodzi. Moje pytanie brzmi: czy teraz, kiedy David nie żyje, Timmy jest najlepszy na świecie?

Nim Clip zdążył odpowiedzieć, donośny głos z trybun krzyknął: „Nie!”.

Dziennikarze, gracze i sam Clip spojrzeli na jasnowłosego aroganckiego krzykacza.

– Jeśli nie on, to kto?! – odkrzyknął Logan.

Mark wstał.

– Właśnie na niego patrzycie.



Śpiewny sygnał dzwonka do drzwi frontowych poniósł się echem po domu, docierając także do Mary Ayars stojącej w kuchni z kieliszkiem białego wina w ręku. Ostatnio Mary piła odrobinę więcej niż zazwyczaj, niż powinna. Wiedziała, że niebezpiecznie zbliża się do granicy problemu alkoholowego, że powinna się oszczędzać, ale ból spowodowany zarówno poczuciem winy, jak i konsekwentnym odrzucaniem jej przez córkę dokuczał jej tak, że nie mogła obyć się bez kolejnego kieliszka. Białe wino. Hiszpańskie białe wino. Osobiście najbardziej lubiła rioja.

Spojrzała na zegar. Jedenasta rano. Nie minęło południe, a ona już piła.

Dzwonek znów się odezwał. Odstawiła kieliszek, przejrzała się w lustrze, podeszła do drzwi. Otworzyła je i głośno westchnęła ze zdumienia.

– Laura!

– Dzień dobry, mamó – przywitała ją córka grzecznie. Matka sprawiała wrażenie zmęczonej, ale jej uroda nadal rzucała się w oczy. Nie sposób było nie zauważyć, że wygląda najwyżej na trzydzieści pięć lat, nie pięćdziesiąt.

Tymczasem Mary usiłowała jakoś się opanować. Córka nie odezwała się do niej słowem od czasu tej ucieczki do Australii z...

– Ojca nie ma – powiedziała.

– Nie przyszedłam do niego, tylko do ciebie.

– Do mnie?

– Sądzę, że powinniśmy jednak porozmawiać.

Mary cofnęła się, zapraszając Laurę do wejścia. Przeszły do saloniku, usiadły w fotelach, naprzeciw siebie. Zapadła cisza.

– Bardzo mi przykro z powodu Davida – przerwała ją Mary. Jej głos brzmiał raczej niepewnie. Mocno przycisnęła dłonie do ud. – Martwiłam się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Jakoś sobie radzę.

Mary sięgnęła po dłoń córki. W jej oczach zabłyśły łzy.

– Proszę, wybac mi, kochanie. Nie chciałam cię zranić. Wiesz, że cię kocham, i wiesz, że chcę dla ciebie tylko tego, co dobre.

Laura wychyliła się z fotela, przyklękła, wzięła matkę w ramiona.

– Wszystko w porządku, mamó – szepnęła. – Wiem, że próbowałaś mi pomóc.

– Tak bardzo cię kocham, córeczko.

– Ja też cię kocham. – Laurę ogarnęło wielkie poczucie winy na myśl o tym, przez co przechodziła jej matka. – Wybac, że byłam taka nieprzejednana.

– Nie. Miałaś prawo zachowywać się właśnie tak. – Mary spojrzała na nią z nadzieją. – Czy ty naprawdę potrafisz mi wybaczyć? Czyżbyśmy mogły wreszcie o wszystkim zapomnieć?

Laura skinęła głową.

– Mamó?

Mary osuszyła oczy chusteczką.

– O co chodzi, maleńka?

– Dlaczego nie lubiłaś Davida?

Mary poczuła, jak ściska jej się serce.

– Och, Lauro, to wszystko należy już do przeszłości.

– Chciałabym wiedzieć.

Mary rozglądała się po pokoju, jakby szukała wzrokiem bezpiecznej kryjówki.

– Teraz to nieważnie.

– Mamó...

– Kochałaś go, skarbie. Nie powinnam była się wtrącać. Popełniłam błąd.

– Musiałaś mieć jakiś powód.

– Chyba wówczas miałam.

– Chyba?

– Wiesz, jakie są matki. – Głos Mary drżał, łamał się. – Żaden mężczyzna nie jest wystarczająco dobry dla mojej najdroższej dziewczynki.

– David nie był pierwszym mężczyzną, z którym się spotykałam. Przeciwno tym wcześniejszym nie protestowałam.

– Bo nigdy nie traktowałaś ich poważnie. Czy nie możemy porozmawiać na inny temat?

Laura zignorowała tę prośbę.

– Przecież nie ma w tym odrobiny sensu. Nie znosiłaś Davida od pierwszej chwili, od kiedy wymieniłam jego imię. Dlaczego?



Mary wzruszyła niespokojnie ramionami.

– Chyba nigdy nie ufałam sportowcom. Myliłam się, oczywiście. Był cudownym człowiekiem. Jestem pewna, że bardzo cię kochał.

– Dlaczego teraz mi o tym mówisz?

– No... nie wiem. Chyba właśnie uświadomiłam sobie, że się myliłam.

– Kiedy to sobie uświadomiłaś? – przycisnęła ją Laura. – Kiedy zginął?

– Nie... to znaczy... Lauro, proszę, popełniłam błąd. Nie możemy o nim zapomnieć?

– Czego się po mnie spodziewałaś!? – Laura podniosła głos. – Straciłam jedyne go mężczyznę, którego naprawdę kochałam. Musieliśmy uciekać w głębokiej tajemnicy, a wiesz dlaczego?

– Dziennikarze potrafią...

– Nie, mamó, nie dziennikarze. Oboje potrafiliśmy radzić sobie z dziennikarzami. Uciekliśmy, bo moja własna ukochana matka powiedziała, że ślub owszem, ale po jej trupie. Stąd Australia. I dlatego nic ci nie powiedzieliśmy.

Mary szlochała cicho.

– A teraz David nie żyje!

Poderwała głowę.

– Nie możesz mnie za to winić! Ja tylko...

– Tylko co, mamó? Czy ty ciągle nie rozumiesz, co się stało? Przez twój kaprys oboje z Davidem poczuliśmy się wyklęci. To przez ciebie uciekliśmy do tej Australii!

– Przestań! Proszę!

– A tam David się utopił. Mężczyzna, którego kochałam, utopił się w oceanie, bo nie lubiłaś sportowców, ponieważ...

– Miałam swoje powody!

– Jakie? Jakie miałaś powody?

Jedyną odpowiedzią, jakiej się doczekała, był szloch matki, rozpaczliwy, nieopanowany, wstrząsający całym jej ciałem. Mary spazmatycznie łąpała oddech, jej piersi i ramiona poruszały się szybko. Laura spojrzała na tę żalną postać. Zdołała się opanować. Co ja zrobiłam? – spytała samą siebie. Przyszła powiedzieć matce, że jej wybaczyła, zakończyć niezasłużone cierpienie, którego doświadczyła przed kilkoma miesiącami z łaski córki, a zamiast wybaczać, zaatakowała z gwałtownością, która i matkę, i córkę przyprawiła o drżenie.

– Przepraszam, mamó. Nie chciałam. Nie przyzwyczaiłam się jeszcze do myśli... dlatego jestem taka agresywna...

Wzięła matkę w ramiona. Rozpłakały się. Laura głaskała matkę po włosach. Niektóre sekrety pozostają sekretami nawet za grobem, pomyślała, a niektóre prawdy lepiej pozostawić pogrzebane w przeszłości. Dowiedziała się, że prawda nie zawsze jest dobra. Że może sprawić ból tak nieznośny, iż zdolny niszczyć życie.

Nie znaczyło to jednak, że zechce bronić się przed prawdą, pozostać w świecie, którego błogosławieństwem jest ignorancja. Nie, jeśli chodzi o Davida. W końcu już i tak wyrwano jej serce. Co może ją spotkać gorszego, jak jeszcze można ją skrzywdzić? Nie! Laura postanowiła szukać prawdy.

I znaleźć ją.



Oczy wszystkich wpatrzone były w Marka Seidmana.

– Potrafię rzucać lepiej niż którykolwiek z żyjących koszykarzy!

– Kim ty, do cholery, jesteś? – spytał głośno któryś z dziennikarzy.

– Mark Seidman z „Boston Eagle Weekly”.

– Z czego?

– Nie zwracajcie na niego uwagi, przyjaciele – nie wytrzymał Clip. – To jakiś cholerny krzykacz. Ignorujmy go. By odpowiedzieć na twoje pytanie, Mike: tak, dziś w lidze z dystansu najlepiej rzuca Timmy Daniels.

– Chcecie się założyć? – spytał blondyn.

Clip przywołał wzrokiem jednego z ochroniarzy.

– W porządku, dość tego. Wyrzucicie faceta.

Umundurowany ochroniarz ruszył w kierunku ławek. Mark wstał szybko. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej zwitek zielonych banknotów.

– Dziesięć tysięcy dolarów! – krzyknął. – Sto portretów Bena Franklina na nowych szeleszczących banknotach mówi: mogę pobić Timmy’ego Danielsa w konkursie rzutów za trzy.

W sali zapanowała martwa cisza. Mark widział, jak twarz Clipa robi się czerwona ze złości.

– Powiedziałem, że macie wyrzucić faceta!

Dziennikarze zaczęli robić zdjęcia. Mark pomachał pieniędzmi.

– Dziesięć tysięcy dolarów na dowolny cel dobroczynny, panie Arnstein. Nie musi pan stawiać, wystarczy tylko wybrać, kto dostanie moje pieniądze. Zero ryzyka... chyba że boi się pan urazić delikatne ego swej gwiazdy, pokonanej przez obcego wprost z ulicy.

Timmy pochylił się do ucha Chipa.

– Pozwól mi zamknąć gębę temu śmieciowi – powiedział półgłosem.

– Właśnie, Clip – zgodził się z nim jeden z dziennikarzy. – Niech Tim weźmie forszę gówniarza.

Po sali poniósł się szmer oczekiwania.

– Pozwolisz, że policzę pieniądze, Wielka Gębo? – spytał Clip, nadal czerwony na twarzy i wściekły.

– Oczywiście. Powierzam je panu na czas wykonywania rzutów.

Mark zszedł z trybuny. Wręczył Arnsteinowi dziesięć tysięcy dolarów. Spojrzał w oczy starszego mężczyzny. Gdyby wzrok mógł zabijać, już leżałby trupem. Wokół słyszał szept: „Jak sądzisz?”, „Jakiś bogaty gówniarz lubi wyrzucać pieniądze”, „To nie dziennikarz”, „Sukinsyn musi być nadziany!”, „A jak”, „Timmy da mu nauczkę”, „Wariat czy co?”.

Clip przeliczył banknoty. Westchnął.

– No dobra, kończmy z tym.

Rzucił monetą. Mark wygrał i postanowił rzucać drugi. Chłopiec do pomocy

szybko rozstawił piłki w odległości przeszło sześciu metrów od kosza, w odległości, z której tylko najlepsi decydowali się na rzut. Mike Logan przyglądał się temu z zainteresowaniem. To on pisał o zeszłorocznym konkursie rzutów za trzy punkty przed meczem Gwiazd w Dallas. Zwyciężył Baskin, poprawiając własny rekord: dwadzieścia dwa celne rzuty w ciągu minuty. Dwadzieścia dwa. Nieprawdopodobne. Timmy Daniels był drugi z dwudziestoma rzutami, Reggie Cooper z Chicago Bulls trzeci z dziewiętnastoma.

Timmy podszedł do pierwszego koszyka piłek, umieszczonego po lewej stronie kosza. Nie patrzył ani w prawo, ani w lewo, wzrok koncentrował na koszu. Przyjął pozycję na ugiętych nogach. Czekał na sygnał.

– Minuta... gotów... start!

Tim zaczął rzucać. Przesuwał się od lewej strony kosza ku środkowi, pomarańczowe komety leciały do celu jedna za drugą.

– Trzydzieści sekund!

– Dwanaście celnych! – krzyknął ktoś. – Będzie rekord!

Mark zamknął oczy. Modlił się o to, by Timmy częściej pudłował, ale jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Timmy jeszcze nigdy nie rzucał tak dobrze, jego ręce poruszały się zawsze tym samym, precyzyjnym ruchem.

– Stop!

Sędzia podniósł głowę.

– Niech to diabli! Dwadzieścia trzy! Nowy rekord! Pobił rekord Białej Błyskawicy!

Po małej sali poniosły się echem brawa i okrzyki. Koledzy Timmy'ego, w tym Earl Roberts, podbiegli pogratulować gwiazdzie. Clip poklepał go po plecach. Reporterzy pisali szybko w notesach. Nawet sam Timmy wydawał się nieco zaskoczony własnym sukcesem.

Clip wyciągnął z kieszeni cygaro zwycięstwa.

– Synu, równie dobrze możesz iść do domu.

Dziennikarze przyznali mu rację pomrukiem.

– Jeszcze chwilę – powiedział Mark spokojnie, dobrze ukrywając zdenerwowanie.

Timmy Daniels rzucał niemal genialnie. – Teraz moja kolej.

– Po co marnować czas, synu?

– Nazywam się Mark Seidman, panie Arnstein, a konkurs jeszcze się nie skończył.

Clip zapalił cygaro. Dziennikarze się roześmieli.

– Tylko szybko, panie Marku Seidmanie. Musieliśmy przerwać trening. Przez pana.

Chłopiec od piłek pozbiierał je szybko i ustawił tak jak poprzednio. Mark podszedł na miejsce po lewej od kosza, ale odwrócił się jeszcze i powiedział do Clipa:

– Proponuję dodatkowy zakład. Zgoda?

– Co? Synu, oszalałeś.

– Zgadza się pan czy nie?

Clip uśmiechnął się drwiąco.

– Strzelaj.

– Jeśli wygram, wypróbuj mnie pan w zespole. Jeśli przegram, jakaś organizacja dobroczynna wzbogaci się o dodatkową dychę.

I znów sala odbiła echem śmiech.

– Jasne! – krzyknął Clip.

Mark skinął głową. Czekał. Mięśnie miał napięte. Czuł na sobie kpiące spojrzenia widzów, słyszał, jak mocno bije mu serce.

– Gotów... start!

Chwycił piłkę, rzucił. Za szybko; jego pierwszy rzut odbił się od obręczy. Rozległy się śmiechki. Drugi rzut był już celny. Następny też. I następny.

– Nieźle. Może dojść do piętnastki.

– Nie ma mowy.

Rzut. Trafienie. Trafienie. Trafienie.

– Dzieciak wie, jak rzucać.

– Szesnastu nie robi.

Pudło. Trafienie. Trafienie.

– Śmiesznie rzuca, zauważyłeś?

– Jasne. Szybko wypuszcza piłkę. Trochę jak Baskin.

– Hej, Clip, i co ty na to?

Clip Arnstein milczał. Obserwował nieco dziwne, ale płynne ruchy rzucającego. Dłoni Marka niemal nie było widać.

– Trzydzieści sekund.

– Chryste! Dzieciak ma dziesięć trafionych!

Teraz już wszyscy patrzyli tylko na Marka, który przeniósł się bliżej środka. Nadal przegrywał z Timmym Danielsem, nikt nie wierzył, by ten blondynek mógł pokonać mistrza, ale tylko siedmiu zawodowych koszykarzy zaliczyło osiemnaście celnych, a ten bezczelny chłopak miał sporą szansę na osiągnięcie tego imponującego wyniku. Tymczasem Mark rzucał raz za razem, nie licząc trafień, rozkoszując się nawet tym naśladownictwem prawdziwej koszykówki. I były to idealne rzuty, odpowiednio podkrecone przelatowały przez obręcz, zwijając siatkę.

– Stop.

Na sali zapadła pełna zdumienia cisza. Sędzia podniósł głowę.

– Dwadzieścia cztery – powiedział cicho. – Chłopak właśnie pobił rekord.

Odprawdzany spojrzeniem dziennikarzy Clip Arnstein podszedł do młodego blondyna, Marka Seidmana. W absolutnym milczeniu zwrócił mu pieniądze. Blondyn milczał, był bardzo poważny.

– Wyjątkowy wyczyn, synu.

Mark stał nieruchomo. Czekał.

– Ale koszykówka to o wiele więcej niż rzut za trzy punkty.

Chłopak lekko skinął głową.

Clip przyglądał mu się uważnie. Ten gówniarz właśnie pokonał najlepszego strzelca NBA i pobił rekord ligi. Powinien szaleć z radości, ale nie, stał poważny, nieruchomy, jak na pogrzebie. Clip wzruszył ramionami, odwrócił się, nie patrzył w zielone, poważne, nawet smutne oczy.

– Zakład to zakład – powiedział. – Przebieraj się.

Mark pobiegł do szatni, odprawdzany nieprzyjaznymi, podejrzliwymi

spojrzeniami członków drużyny. Mike Logan też odprowadził go wzrokiem. Nadal nie wierzył świadectwu swych oczu. Amator pobił rekord w rzutach za trzy punkty. I ten jego dziwny styl. Taki podobny...

Wyjął notatnik. Zapisał przydomek, na wypadek gdyby chłopakowi jednak się udało.

Biała Błyskawica II.

**30 MAJA 1960**

I znów trzeba było zabić. Ofiarę numer dwa.

Do oczu zabójcy napłynęły łzy. Nie chcę go zabijać. Naprawdę nie chcę. To tylko niewinna ofiara.

A może nie? Może on był wszystkiemu winien? Może jego śmierć przyniesie wreszcie pokój? Może na dłuższą metę przyniesie korzyści? Niewinni umierają codziennie. Czasami potrzebne są ofiary. Bywa, że cel uświęca środki. Tak urządzony jest ten świat.

Te argumenty nie brzmiały szczególnie przekonująco.

Nadszedł czas. Bez ostrzeżenia, w całkowitej ciszy, zabójca wbił stalowe narzędzie śmierci w ciało bezradnej ofiary. Z ciała strumieniem wypłynęła krew; było jej więcej, niż morderca się spodziewał. Ciemnoczerwona struga spłynęła na podłogę, znacząc wszystko, co znalazło się na jej drodze.

Koniec następuje tak szybko, pomyślał zabójca, obserwując kolejną ofiarę śmierci, pozbawioną życia przed czasem. Wyprostował się, spojrzał na współlnika skulonego w cieniach, śledzącego wydarzenia przerażonym wzrokiem.

– Posprzątaj tu trochę – powiedział. – I pospiesz się.

– Muszę?

– Tak. Do roboty.

Wspólnik nie zdążył zrobić dwóch kroków w stronę ciała, kiedy drzwi za ich plecami otworzyły się z impetem. Obaj westchnęli zaskoczeni i odwrócili się. Do środka zaglądała mała dziewczynka. Dzieciak nie zdążył się jeszcze dobrze rozejrzeć, ale zobaczył krew. Mnóstwo krwi. Przenikliwy krzyk małej rozdarł ciszę.

– Mamusiu! Mamusiu!

– Wyjdź stąd, Glorio! Wyjdź stąd natychmiast.

„Serita łśni »mineralną wspaniałością« formalnej srebrnej sukni z szerokim złotym pasem w talii. Zdejmuje pas, przez co suknia przyjmuje nieformalny charakter. Zwróćmy uwagę na głęboki dekolci na plecach...”

Serita obróciła się, pozwalając widzom obejrzeć swój głęboki dekolci. Laura przyglądała się przyjaciółce zza zasłony. Znak nad wybiegiem głosił:

Bądź swoim SVENGALI!  
Nasze nowe odkrycie: pan Benito Spencer!

Doskonale znane logo SV dekorowało oba końce wybiegu. Salę balową nowojorskiego hotelu Nikko wypełniali najwięksi przedstawiciele świata mody. Laura zarezerwowała miejsca w pierwszym rzędzie dla najważniejszych krytyków, a wieczorem, w Palladium, miało odbyć się przyjęcie na cześć pana Spencera. Dział marketingu ciężko pracował, by pierwszy od pięciu miesięcy pokaz firmy zyskał mnóstwo pozytywnych opinii.

Serita doszła do końca wybiegu, obróciła się po raz ostatni, ruszyła z powrotem. Laura nie miała wątpliwości: ta dziewczyna jest najlepsza w biznesie. Rozkwita na wybiegu jak aktorka na scenie. Wyprostowana, wręcz promieniuje aurą wyrafinowanej elegancji; na niej nawet koszula hawajska wyglądałaby jak dzieło sztuki. A jednocześnie pozwala widzom zajrzeć za tę fasadę, przekonać się, że nie jest manekinem, lecz dziewczyną z krwi i kości, która w dodatku dobrze się bawi.

Opanowana, pewna siebie, opuściła wybieg, a gdy tylko zesła widzom z oczu, jej spokój znikł, jakby go nigdy nie było.

– Z drogi – warknęła, w jednej chwili zmieniając wyćwiczony krok w sprint godny Carla Lewisa. Rozbierała się już w drodze do szatni, rozpiniała guziki, szarpała zamki błyskawiczne, ciągnąc za sobą ogon czterech asystentek. Jedna z nich zdołała w biegu zmienić jej kolczyki, druga w ten sam sposób poprawiła makijaż. Już w szatni, czyli wydzielonej części hotelowej kuchni, trzecia zdjęła jej z nóg srebrne pantofle na wysokich obcasach i zastąpiła je czarnymi, nieco niższymi. Czwarta wsunęła jej przez głowę białą bluzkę. Modelka poderwała się na równe nogi i pobiegła z powrotem, a kolejna asystentka biegła za nią z naszymnikiem z pereł. Zatrzymała się obok Laury. Naszyjnik ozdobił jej łabędzią szyję.

– Jak ja tego nienawidzę – szepnęła.

– Kogo chcesz oszukać? – Laura się uśmiechnęła. – Przecież ty to kochasz.

– Racja.

Czterdzieści sekund po tym, jak zniknęła za zasłoną w formalnej srebrnej sukni ze

złotym pasem, Serita znów pojawiła się na wybiegu, tym razem w granatowym kostiumie ze skórzanym krawatem do kompletu.

„Czyż Serita nie wygląda pięknie w najnowszym...”.

– Pokochają cię – powiedział głośno asystent stojący obok Benito Spencera. Szefer uciszył podwładnego ostrym spojrzeniem. Zaciągnął się papierosem tak mocno, że mógłby wessać w płuca piłeczkę tenisową. Przez słomkę.

Laura spojrzała na swego najnowszego projektanta, który naprawdę nazywał się Larry Schwartz. Był to dwudziestotrzyletni chłopak o chudej twarzy i długich włosach. Musiał wiedzieć, że dziś decyduje się jego przyszłość projektanta. Wyrok mieli wydać siedzący na widowni krytycy, zwykli ludzie, którym przypadkiem udało się zdobyć władzę w świecie mody. Jutro rano Benito obudzi się jako „nowy geniusz” albo „nic niewarte beztalencie”. Mimo imponującego rozgłosu w środkach przekazu to oni mieli podjąć decyzję, a wielu z nich nigdy nie udało się spełnić marzeń, znaleźć sponsora, urządzić własnego pokazu. Jeśli chodzi o Svengali, to firma podejmowała niewielkie w gruncie rzeczy ryzyko finansowe. Benito stawiał na szalę znacznie więcej.

Młody projektant zdusił papierosa i zaczął poprawiać ubranie. Nie mógł znieść beczynności. Laura szczerze życzyła mu sukcesu. Był wrażliwy, widziała w nim talent. Żywiła przekonanie, że dzisiejszy pokaz się spodoba.

Laura uwielbiała kiedyś ten dreszczyk emocji związany z wprowadzaniem nowego talentu do świata mody. Tygodniami pracowała nad promocją nowej linii z pasją rzeźbiarza stojącego przed nowym blokiem marmuru. Siedziała w biurze do późnej nocy, osobiście pilnowała każdego szczegółu pokazu, póki nie doprowadziła go do perfekcji. A potem, gdy się kończył, gdy długie godziny przygotowań przynosiły wreszcie owoce, gdy na własne oczy widziała sukces, wypełniała ją radość i poczucie spełnienia. Jednak teraz podobne uczucia nie miały do niej dostępu. Znikły z jej życia, które oznaczało tylko przetrwanie. Było alternatywą śmierci, dobrą czy złą, tego nie potrafiła powiedzieć. Svengali stanowiło koło ratunkowe chroniące ją przed śmiercią w oceanie rozpacz. Praca, jak życie, już tylko zabijała czas, odwracała jej uwagę od rzeczywistości.

Kiedyś... kiedyś było zupełnie inaczej. Pamiętała radość towarzyszącą jej poprzedniemu pokazowi, przygotowanemu, gdy David jeszcze żył. Odbył się zaledwie kilka dni przed ich odlotem do Australii, w innym życiu. Przez długi, poprzedzający wydarzenie tydzień Laura pracowała w firmie prawie do północy.

Pewnego wieczoru, przed pokazem mającym odbyć się w hotelu Beverly Hills, mozoliła się nad rozsadzeniem gości. Ten element decydował o sukcesie lub klęsce. Obraziła wpływowego krytyka, nie dostał miejsca w pierwszym rzędzie i część pieśni, choćby projekty były rewelacyjne.

Siedziała przy biurku, pochylona nisko nad listą magazynów mody, których przedstawiciele zapowiedzieli swoją obecność. „Vogue” weszło w mały spór z „Mademoiselle”, więc ludzi z tych magazynów nie wolno sadzać blisko siebie. A...

Coś jej przeszkodziło. Mimo że w gabinecie nie było nikogo, czuła na sobie czyjeś spojrzenie. Powoli podniosła głowę, spojrzała w kierunku drzwi...



– Cześć – powiedział cicho David.

Skupiła wzrok. W kącikach jego oczu zobaczyła łzy.

– Długo tu stoisz? – spytała.

– Jakieś pięć minut.

– Wszystko w porządku?

David skinął głową.

– Oczywiście. Chciałem ci sprawić niespodziankę.

– Co się dzieje, Davidzie?

David wreszcie się uśmiechnął.

– Nic, kochanie. Nic się nie stało.

– Płaczesz.

– Wzruszyłem się, to wszystko.

– Czym?

David wszedł do gabinetu i mocno ją przytulił.

– Co mogę ci powiedzieć? Przyszedłem, bo chciałem cię zaskoczyć. Pracujesz tak ciężko, że pomyślałem sobie: należy jej się krótka przerwa. Dobrze jej robi.

– Miałaś rację – przyznała Laura.

– W każdym razie stanąłem w drzwiach, a ty... Siedziałaś za biurkiem, pracowałaś i... Nie wiem. Po prostu uwielbiam patrzeć na ciebie. Uwielbiam, kiedy przekrzywasz głowę przy czytaniu, kiedy uśmiechasz się, bo wpadłaś na nowy pomysł. Uwielbiam sposób, w jaki odgarniasz włosy palcem. Uwielbiam nawet to twoje potrząsanie nogą. No więc obserwowałem cię oczarowany i myślałem o tym, jaka jesteś piękna i jak bardzo cię kocham, i w ogóle...

Laura przerwała mu pocałunkiem.

– Jesteś najśłodszym...

– Nie zaczynaj. Bo zemdli mnie od tej słodyczy.

– Kocham cię, Davidzie. Zawsze będę cię kochała.

„A ten specjalny projekt Benito Spencera dla Svengali jest doskonały dla kobiet aktywnych. Można go nosić z żakietem lub bez...”.

Dlaczego to wszystko zabrano właśnie jej?

Twarze ważnych krytyków z pierwszych rzędów zwały się w jedną masę koloru ciała. Dwa tygodnie minęły od dnia, kiedy Laura stanęła przed matką i pogodziła się z nią, przez dwa tygodnie grzebała w papierach, przygotowując pokaz. A jednak ta rozmowa nadal tkwiła w pamięci, wbijała w nią ostre igiełki, nie chciała dać o sobie zapomnieć. Matka coś przed nią ukrywała, Laura nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Matka ukrywała przed nią coś, co dotyczyło Davida.

Cóż to mogło być takiego? Czyżby chodziło o coś z jego przeszłości? Jeśli tak, to skąd dowiedziała się czegokolwiek o jego przeszłości? I dlaczego nie chce powiedzieć, o co chodzi?

I cokolwiek się zdarzyło, jak ma się do teraźniejszości...

Morderstwo.

Myśli Laury rozszalały się w jej głowie. Tę jedną próbowała odepchnąć, lecz nic z tego nie wyszło, zbyt mocno się zakorzeniła. T.C., ciotka Judy, ojciec...

zachowywali się tak dziwnie...

Morderstwo.

...jakby coś podejrzewali...

W tle brzmiał głos prezentera: „Z pewnością uderzy was czerwony zestaw.”.

Znikło pięćset tysięcy dolarów. Pół miliona. Są ludzie, którzy dla takich pieniędzy popełniliby każde szaleństwo. Kłamałoby, oszukiwali, napadali, kradli, porywali, mordowali...

Morderstwo.

Laura przypomniała sobie rozmowę z Richardem Corselem z banku.

– Pani mąż polecił mi przelać pieniądze do Szwajcarii.

– Kiedy?

– Proszę. Nie mogę powiedzieć.

Dlaczego Corselel uchylał się od udzielenia odpowiedzi na proste pytanie „kiedy?”? Chyba że... Prześladowało ją tyle pytań związanych ze śmiercią Davida, który utopił się w burzliwych wodach Oceanu Spokojnego...

Utopił? David?

Nie miało to ani odrobiny sensu. Słuchała, jak bliscy dyskutowali o niebezpiecznych prądach, ale w jej uszach brzmiało to niezbyt przekonująco. Prądy nie prądy, David był pływakiem równie doskonałym jak ostrożnym. Sprawdziłby wszystko: wysokość fali, siłę i kierunek prądu, nim w ogóle wszedłby do wody. Może i był człowiekiem nieprzewidywalnym, ale nigdy nie podjąłby bezmyślnego ryzyka. Zwłaszcza jeśli to ryzyko wiązało się z jego zdrowiem.

Żeby taki człowiek się utopił?

Morderstwo.

Wydawało się, że otaczające ją ściany szepczą to słowo. Pięćset tysięcy dolarów znikło zaledwie kilka dni po śmierci Davida. Przypadek czy...

Morderstwo.

Być może T.C. i inni żywili te same podejrzania. To by tłumaczyło ich dziwne zachowanie w jej obecności. Czyżby próbowali osłaniać ją przed prawdą? Czy to dlatego T.C. nie podobało się, że tak zdecydowanie rozmawiała z Corselem z banku? Czy rozpacz po śmierci Davida uczyniła ją ślepa na prawdę?

„Ostatnim kompletem jest odkrywczy zestaw wizytowy...”.

Laura usiadła. Hotel Nikko i pokaz mody całkiem wyleciały jej z głowy, istniały tylko jako ciche, nic nieznaczące głosy z tła. Czy powoli wpadała w szaleństwo, czy też po raz pierwszy wydarzenia zaczęły nabierać sensu? Niemal cztery miesiące minęły, boleśnie powoli, od dnia śmierci Davida, a Laura nadal nie potrafiła jej zaakceptować. Ludzie tacy jak on nie umierają tak po prostu. Umysł z całej siły bronił się przed myślą o takiej śmierci. Nie David, przecież...

Davidzie, co się z tobą stało? Co oni ci zrobili?

Pokaz skończył się wreszcie. Serita podeszła do Laury. Usiadła.

– Chyba nieźle poszło – powiedziała.

Laura skinęła głową. Przyjaciółka rozpoznała dobrze jej już znany, nieprzytomny

wyraz jej twarzy, ale w nieruchomych oczach wyczytała, że stało się coś jeszcze.

– Oho! I co teraz?

Laura nieco oprzytomniała.

– Coś mi się nie zgadza, Serito.

– Na przykład co?

Nim Laura zdążyła odpowiedzieć, jeden z asystentów Benito Spencera dotknął jej ramienia.

– Telefon do ciebie – powiedział.

– Niech zostawi wiadomość.

– Dzwoni pan Richard Corsel z jakiegoś bostońskiego banku. Twierdzi, że to pilne.



Gloria zdjęła z wieszaka szary ręcznik i delikatnie wytarła nim twarz. Ciekawe, że jej łazienka cała urządzona była w odcieniach szarości. Rodzice mieli łazienkę czerwoną, Laura niebieską, a łazienka na dole była żółta. A jej – szara. Gloria zastanowiła się przelotnie, czy to może o czymś świadczyć i czy to nie omen.

No, cokolwiek by o tym sądzić, już nie.

Odwiesiła ręcznik. Spojrzała w lustro, palcami rozczesała gęste jasne włosy. Przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu; tak, nigdy nie wyglądała i nie czuła się lepiej. Prawdę mówiąc, czuła się tak dobrze, że mimo protestów doktor Harris odwołała resztę sesji. Nie potrzebowała już pomocy psychiatry. Od tej pory jej lekarstwem będzie miłość.

Gloria wróciła do sypialni, przeszła nad dwoma leżącymi na podłodze walizkami, zeszała po schodach. Przed drzwiami do saloniku zawahała się, po czym weszła do środka. Skręciła za rogiem. Oboje siedzieli na kanapie. Czytali. James Ayars podniósł głowę i spojrzał na nią znad okularów do czytania. W rękę trzymał „New England Journal of Medicine”. Piękna Mary Ayars, opierając nogi na stołeczku, ze szczesnymi do tyłu i związanymi włosami, przeglądała najnowszy numer „New Yorkera”.

– Cześć – przywitała ich córka.

– Dzień dobry, kochanie. – Matka odłożyła magazyn. – Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję. Po prostu chciałam o czymś z wami porozmawiać.

Ojciec usiadł prosto.

– A o czym?

Gloria nie była pewna, jak powinna zacząć.

– Wiecie, że ostatnie kilka tygodni spędzam z przyjacielem? – spytała wreszcie.

– Tak – przyznała Mary.

Teraz było już łatwiej.

– No więc byłam z mężczyzną. Z przyjacielem, tylko że on jest kimś więcej niż przyjacielem. Jakiś czas temu wyjechaliśmy na weekend w Deerfield Inn i od tego czasu spędzam z nim wszystkie noce.

Gloria obserwowała rodziców. Po ojcu, jak zwykle, niczego nie można było poznać, ale twarz matki wyraźnie się rozpromieniła.

– Znalazłaś sobie miłego chłopaka? – spytała z nadzieją.

Córka skinęła głową.

– Jest kimś zupełnie wyjątkowym. Postanowiliśmy zamieszkać razem.

– Rozumiem – powiedział doktor Ayars.

– Kochamy się.

– Rozumiem – powtórzył, kiwając głową.

– Jak się nazywa ten młody człowiek? – spytała Mary z uśmiechem.

Gloria odgarnęła z twarzy blond grzywę.

– Stan Baskin.

Uśmiech znikł. Mary wyglądała tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

– Co?

– Brat Davida, mamó. No tak, oczywiście, nie mieliście okazji się spotkać.

Przyjechał do Bostonu na pogrzeb Davida. Ty go poznałeś, tato, prawda?

– Akurat nie. Nie poznałem – odparł rzeczowo doktor. – Było tam mnóstwo ludzi i panowało takie zamieszanie, że nie miałem okazji. Ale Laura wspomniała, że okazał się bardzo pomocny.

– To prawda. – Gloria spojrzała na matkę. Jej twarz zastygła w wyrazie przerażenia.

Ojciec zdjął okulary.

– A właściwie... jak do tego doszło?

Gloria wzruszyła ramionami.

– Po prostu doszło. Bardzo się kochamy.

Mary udało się odzyskać głos.

– Kochanie, jesteś pewna? Bo wiesz, zamieszkać z mężczyzną... to wielki krok.

– Wiem, mamó. Mam trzydzieści jeden lat. Nie jestem dzieckiem. Kocham Stana.

W oczach matki błysnęła panika.

– Glorio, sądzę, że nie powinnaś...

– Życzymy ci szczęścia – przerwał jej ojciec, uciszając żonę ciężkim spojrzeniem. – Jeśli ty będziesz szczęśliwa, my też będziemy.

Obojętna na dezaprobatę matki, może nawet nie zdając sobie z niej sprawy, Gloria podbiegła do ojca, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go mocno, a potem tak samo mocno uściśnęła matkę.

– Kocham was oboje!

– A my kochamy ciebie. – James uśmiechnął się ciepło. – Bardzo chcielibyśmy spotkać się z tym młodym człowiekiem, najszybciej jak to uznacie za stosowne. Przyprowadź go któregoś wieczoru. Na kolację.

– Nie...! – Mary umilkła, opanowała się. – To znaczy tylko wtedy, gdy będzie wam to naprawdę odpowiadało. Nie chcemy was do niczego zmuszać.

– Do niczego mnie nie zmuszacie. To bardzo miłe zaproszenie.

– Doskonale – zakończył rozmowę doktor.

– Tato, pomożesz mi znieść walizki do samochodu?

– Jasne. Przyjdę za sekundkę.

Gloria wyszła z pokoju. James wsunął zakładkę między kartki pisma, powoli odłożył je na niskim stoliku, westchnął, wstał powoli i wychodząc, spojrzał na żonę.

– Sądzę, że powinniśmy poważnie porozmawiać.



– Mówię ci, że w tym facecie jest coś dziwnego – powiedział do Earla Roberta Tim Daniels.

– Też mi odkrycie – prychnął Timmy. – Od wygrania konkursu rzutów za trzy nie powiedział do mnie nawet pięciu słów.

Gracze napili się wody ze zbiorniczka w szatni i wrócili na salę. Obaj byli mokrzy od potu, a jeśli już o tym mowa, wszystkich piętnastu graczy w zespole Celtów było mokrych od potu. W tej chwili trwała przerwa w treningu i gracze rozeszli się po parkiecie, próbując odzyskać oddech.

Wszyscy oprócz jednego.

Timmy padł na parkiet obok Earla.

– Facet nic nie mówi, tylko gra i wychodzi – powiedział.

– Mnie to pasuje.

– Niby dlaczego?

– Bo go nie lubię. Z nim jest coś nie tak.

– Na przykład?

Earl wzruszył ramionami.

– Powiedzmy sobie szczerze: Mark Seidman to wielki gracz. Podaje i rzuca jak nikt w tym biznesie.

– Więc?

– Więc gdzie się, do cholery, podziewał? Jak ktoś może być tak dobry i nie grać na uniwersytecie?

Timmy obrócił się tak, by mógł obserwować rzuty Marka.

– Nie mam zielonego pojęcia. Clipowi chyba powiedział, że studiował za granicą. Jego rodzina wiele podróżowała czy coś w tym rodzaju.

– Ale nikt nic o nim nie słyszał – upierał się przy swoim Earl. – W ogóle nie odzywa się do prasy. Próbowali go skłonić, żeby im coś powiedział, to ich niezbyt uprzejmie splawił. Widziałeś nowego, który by się tak zachowywał? No bo dopiero czeka go pierwszy rok w NBA, a gość już zachowuje się jak primadonna. Kto to zrozumie?

Timmy skinął głową.

– Każdy dzieciak marzy o NBA, on jednak cały czas jest taki cholernie smutny.

Przez chwilę obaj przyglądali się rzutom Marka. Earl wytarł ręcznikiem spoconą twarz.

– Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi.

– Wiem, o co ci chodzi – przytaknął Timmy.

– Zupełnie jakby umyślnie grał jak on. Mnie to wkurza.

Timmy spojrzał na Earla.

– Eee, chyba nie o to chodzi. Jest kilku innych, rzucających w ten sposób.

– Rzucających, tak. – Kolejna piłka przemknęła przez obręcz. – Ale kto z nich tak trafia?



Laura i Serita wkroczyły do Heritage of Boston i praca w banku dosłownie zamarła. Ucichł stuk klawiszy, obróciły się głowy, wytrzeszczyły oczy, opadły szczęki. Mężczyźni tylko się na nie gapili. Obie kobiety były doskonale świadome faktu, że intensywne spojrzenia wywołują u mężczyzn łzawienie. One dwie w jednym miejscu mogły każdego doprowadzić do nieprzytomności.

– Gapią się na nas – szepnęła Serita.

– A tobie w to graj.

– Zawsze.

Przeszły przez salę obsługi klientów, kierując się do części wydzielonej na biura. Odprowadziły je pożądliwe spojrzenia i rozdziawione usta mężczyzn. Po chwili do uszu Laury dobiegł klekot klawiszy.

Starsza sekretarka o ciemnoszarych włosach z delikatnym odcieniem zieleni spojrzała na nie zza biurka i podejrzliwie zmrużyła oczy. Plakietka na biurku identyfikowała ją jako panią Eleanor Tansmore.

– Czym mogę służyć? – spytała.

– Chciałybyśmy zobaczyć się z panem Richardem Corselem.

– Och, rozumiem. Czy są panie umówione?

– Raczej nie – przyznała Laura – ale wie, że przyjdziemy.

– Cóż, pan Corsele jest dziś bardzo zajęty. Może zadzwonią panie później w celu ustalenia terminu spotkania?

– Mam lepszy pomysł – wtrąciła Serita. – Dlaczego nie miałyby panie zawiadomić pana Corsela, że jesteśmy?

– A kogo miałabym mu przedstawić?

Dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie.

– Pan Corsele kupił nas u agenta, pana... no... Tyrone'a Landreaux.

– Słucham? – zdumiała się sekretarka.

– No i jesteśmy. Czarna i biała. Według zamówienia.

– Co?

– Pośpiesz się, kochaniutka. Melduj nas. Czas to pieniądz. W naszym przypadku duży pieniądz, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Pani Tansmore podniosła słuchawkę telefonu. Uśmiechała się kpiąco.

– A przyniosły panie może własne bicze i łańcuchy? Bo chyba wiecie, że pan Corsele nie znosi używać swoich?

Serita spojrzała na nią wyraźnie zdziwiona.

– Pani sobie ze mnie kpi!

– I owszem.

Tym razem w spojrzeniu modelki był nieklamany szacunek.

– Jesteś w porządku, pani T.

– Z ciebie też dobry numer. A teraz proszę, usiądźcie.

– Przepraszam za zachowanie przyjaciółki – wtrąciła się do rozmowy Laura. – Gdyby mogła panie poinformować pana Corsela, że przyszła Laura Baskin, sądzę, że znalazłby dla nas czas.

– Laura Baskin? Ta modelka?

- Była modelka.
- Czytałam o pani mężu. Bardzo mi przykro.
- Dziękuję.

Sekretarka przeniosła zainteresowanie na Seritę.

- A kim jest pani dowcipna przyjaciółka?

– Ochrona osobista – odparła Serita bez wahania. Sekretarka posłała jej służbowy uśmiech.

– Proszę usiąść, a ja zawiadomię pana Corsela o wizycie. Obie dziewczyny posłusznie zajęły wskazane im krzesła.

Drzwi jednego z gabinetów otworzyły się, do sekretariatu wszedł niski facet o cienkich wąsikach.

- To on? – pytała Serita.

Laura pokręciła głową.

- Świetnie.

Mężczyzna zobaczył dwie czekające na coś piękne kobiety, wciągnął spory brzusek i uśmiechnął się. W odpowiedzi Serita puściła do niego kusząco oko, a potem założyła jedną długą nogę na drugą długą nogę. Bankier omal nie potknął się o własny język. Zareagowała na to śmiechem.

- Daj już sobie spokój – ostrzegła ją Laura.

- Jasne, przepraszam.

- Naprawdę nie można cię nigdzie zabrać.

- Ja tylko próbuję rozładować sytuację.

- Przestań wreszcie.

- Dobrze. Ale nigdy nie widziałam cię takiej spiętej. Nie do twarzy ci z tym, wiesz?

Rozluźnij się, dziewczyno.

- Serito?

- Co?

- Czy ja oszalałam? Z tymi teoriami konspiracyjnymi, podejrzeniami morderstwa.

Serita wzruszyła ramionami.

- Prawdopodobnie tak.

- Bardzo ci dziękuję.

– Posłuchaj, Lauro. Wiem, że nie zostawisz tej sprawy, póki nie dowiesz się dokładnie, co zaszło. No więc proszę, dowiaduj się. Zajrzyj pod każdy kamień. Jeśli dzieje się coś dziwnego, to się tego dowiesz. Jeśli nie dzieje się nic dziwnego, to też się tego dowiesz.

- Pan Corsel chce panią widzieć – oznajmiła Eleanor Tansmore.

Laura wstała.

- Idziesz ze mną?

– Nie. – Serita uśmiechnęła się łobuzersko. – Pogadam z moją przyjaciółką, panią T, a ty rozedrzyj faceta na strzępy sama.

- Jesteś dobrą przyjaciółką.

Laura odwróciła się, skrzyła w korytarz. Gdy tylko znikła jej z oczu, uśmiech spelzł z twarzy Serity. Dziewczyna zamrugła, odpędzając łzy.

– Najlepszą – szepnęła do siebie.



Doktor Ayars przyglądał się kobiecie, która była jego żoną od trzydziestu trzech lat. Powrócił pamięcią do dnia ich pierwszego spotkania. Odbywał wówczas staż w szpitalu w Chicago, pracował sto godzin w tygodniu, jeśli akurat nic szczególnego się nie działo. Jego przyjaciółką była bystra studentka Uniwersytetu Chicago, Judy Simmons. Śliczna, drobna Judy Simmons. Ładna dziewczyna. Kasztanowate włosy, świetna figura, dobrze czuł się w jej towarzystwie. Młody doktor Ayars zakochał się w Judy Simmons.

Po czym spotkał jej młodszą siostrę, Mary.

Kiedy Judy przedstawiła go Mary, natychmiast poczuł ucisk poniżej brzucha. W życiu nie widział tak pięknej dziewczyny, nie wyobrażał sobie nawet, że taka uroda może istnieć. Mary Simmons uśmiechnęła się do niego tego pierwszego dnia i zaczarowała go tym uśmiechem. Był to bardzo zmysłowy czar. W jej towarzystwie wił się przerażająco bezradny, a gdy na nią patrzył, w jego spojrzeniu było niezaspokojone pożądanie. Wiedział, że to ta dziewczyna zostanie jego żoną. Obojętne, jakim kosztem, ale musi ją mieć, uwielbiać...

Przerażała go siła tej obsesji.

Oczywiście nie było to takie proste. Sprawy komplikowała Judy, ale słodka, kochana Judy zrozumiała. Zeszła im z drogi i życzyła szczęścia.

Teraz, prawie trzydzieści cztery lata później, Mary nadal była porywającą pięknoscią. I nadal zdarzało się, że na widok jej wspaniałej urody James czuł uścisk poniżej brzucha. Ich małżeństwo nie było wolne od problemów, bo w którym małżeństwie ich nie ma, ale ogólnie rzecz biorąc, zdaniem doktora zasługiwało na miano doskonałego. Wychowali dwójkę wspaniałych dzieci. Życie okazało się dla nich dobre...

...z wyjątkiem...

– Co się dzieje? – spytał żonę.

– Dzieje? – powtórzyła.

– Wiesz, o co pytam. Nie aprobowałaś Davida. Nie aprobujesz jego brata. Dlaczego?

Mary przełknęła z wysiłkiem.

– Ja... nie jestem pewna. Po prostu nie ufam tej rodzinie.

– Dlaczego?

– Naprawdę nie wiem, James.

– Mary, zawsze byłaś dobrą matką. Nigdy nie ukrywałem, że jestem dumny z tego, jak wychowałaś nasze córki. Pamiętasz, jak Gloria miała te swoje problemy, a ja przysiągłem, że nie pozwolę jej wrócić do domu?

Mary skinęła głową.

– No więc myliłem się. I ty wiedziałaś, że się mylę. Ale wiedziałaś też, że nie ma sensu spierać się ze mną w tej sprawie. Więc zamiast się kłócić, wskazałaś mi właściwą drogę łagodnymi słowami. Skłoniłaś mnie, bym zrozumiał, że Gloria



pozostaje naszą córką bez względu na to, co by zrobiła. Pamiętasz?

Mary znów mu przytaknęła.

– A teraz, jak sądzę, nadeszła moja kolej. Uważam też, że powinnaś poważnie zastanowić się nad konsekwencjami tego, co robisz. Zastanów się, do czego doprowadziło odtrącenie Davida...

– Co? – przerwała mu Mary. Podniosła głos. – Winisz mnie za to, co się stało? Ty także?

– Laura za nic cię nie wini. – Doktor próbował dodać jej odwagi. – Ja również. Laura cierpi, denerwuje się i nie mówi tego, co myśli.

– To nie była moja wina – powtórzyła Mary z naciskiem.

– Robiłam, co uznałam za słuszne.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Co miałaś przeciw Davidowi?

– Robiłam tylko to, co uważałam za najlepsze.

– Dla kogo najlepsze?

Mary podniosła głowę. Jej płonące spojrzenie rzucało mu wyzwanie.

– Dla samej Laury!

– Czy dotyczy to także Glorii i Stana? Robisz to, co uważasz za najlepsze dla Glorii? – dociekał James.

Jego piękna żona osunęła się na kanapie. Zamknęła oczy. Przez jej głowę przelatywały przypadkowe myśli. Próbowwała się skoncentrować, ale było to takie trudne...

James bywa taki mądry, myślała. Oczywiście ma rację. Tym razem jej słowa nie zostały wypowiedziane w obronie córki. Tym razem za najważniejszą uznała siebie. Popełniła błąd. Córki muszą być na pierwszym miejscu. Zawsze.

Poczuła, jak ogarnia ją strach. Uspokój się, upomniała samą siebie. Bo w końcu jaką krzywdę Stan Baskin może wyrządzić mnie i mojej rodzinie? Teraz?

Odpowiedziała sobie na to pytanie i zadrżała.



Richard Corsel wstał na powitanie Laury, uśmiechając się niepewnie. Przerzedzone włosy bankiera domagały się grzebienia, był nieogolony. Nie przypominał eleganckiego, doskonałego w każdym calu wiceprezesa banku, którego Laura miała przyjemność poznać.

– Pani Baskin – spróbował uśmiechnąć się szerzej, ale bez powodzenia – miło mi panią znowu widzieć.

– Dziękuję.

– Proszę, niech pani usiądzie. Jak się pani czuje tego pięknego dnia?

– Doskonale.

– To świetnie, to bardzo dobrze. – Rozejrzał się jak zamknięte w klatce zwierzę rozpaczliwie szukające drogi ucieczki. – Czy mogę czymś pani służyć? Kawą?

– Nie, dziękuję za kawę. Panie Corsel, powiedział pan przez telefon, że ma dla mnie ważne wiadomości.

Uśmiech znikł nagle, jakby pokonało go zmęczenie.

– Tak. Być może... te wiadomości okazały się ważne.

– Nie rozumiem.

Mężczyzna powoli pokręcił głową.

– Ja także, pani Baskin. Ja także.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Corsel ujął długopis, bawił się nim przez chwilę, odłożył go na biurko.

– Chodzi mi o to, że jeszcze raz przejrzałem historię konta pani męża. Coś może być nie tak.

– Co jest nie tak?

– Może być nie tak – poprawił ją bankier. Wyjął teczkę z szuflady biurka. – Czy mogę zadać pani pytanie?

Laura skinęła głową.

Corsel odchylił się w fotelu, spojrział w sufit i już nie opuścił wzroku.

– Z informacji prasowych wynika, że pani mąż poszedł popływać czternastego czerwca i utopił się tego samego dnia między szesnastą a dziewiętnastą czasu australijskiego. Mam rację?

– Tak.

Bankier skinął głową, nie zmieniając obiektu zainteresowania.

– Między nami i Australią jest piętnaście godzin różnicy. U nas jest wcześniej. Co oznacza, że pan Baskin zginął czternastego czerwca pomiędzy pierwszą a czwartą w nocy naszego czasu.

– Zgadza się.

Corsel zaprzestał kontemplacji sufitu, ale nie spojrział na gościa.

– Pan Baskin zadzwonił do mnie czternastego czerwca o wpół do dziewiątej rano, czyli w Australii dochodziła północ. Czyli co najmniej pięć godzin po śmierci.

Strach zmroził Laurze krew w żyłach.

– Proszę. – Corsel przesunął teczkę w jej stronę. – Może pani sama sprawdzić. Zgodnie ze znajdującymi się tu informacjami pan Baskin zadzwonił do mnie kilka godzin po śmierci.

– Jest pan pewien, że dobrze zapamiętał pan godziny? Może doszło do pomyłki.

Bankier potrząsnął głową.

– Niemożliwe. Chociaż rozpoznałem głos pana Baskina i podał prawidłowe hasło, nalegałem na weryfikację. Ze względu na wielkość transakcji.

– Co pan ma na myśli, mówiąc o weryfikacji?

Bankier przełknął z wysiłkiem.

– Poprosiłem go o numer telefonu i to ja zadzwoniłem do niego. Telefon odebrała kobieta mówiąca z australijskim akcentem. Przełączyła rozmowę. Tu ma pani zapisany numer, a także kopię rachunku telefonicznego potwierdzającą czas.

Laura przerzuciła papiery. Zobaczyła numer 011-61-70-517-999. I czas rozmowy. Poczula, jak przygniata ją wielki ciężar. Jakim cudem...? Godzina rozmowy: ósma czterdzieści siedem. Data: czternasty czerwca. Trzydzieści minut przed północą czasu australijskiego. Dobre kilka godzin po tym, jak David się utopił.

– Zero jedenaście to rozmowa międzynarodowa, sześćdziesiąt jeden kod Australii,

a siedemdziesiąt kierunkowy Cairns.

Cairns, powtórzyła Laura w myśli. Tam spotkałam się z Grupą Petersona. Negocjowałam z nimi, a David topił się gdzieś blisko...

– Nie rozumiem – przyznała. – Jak to możliwe, że David dzwonił do pana pięć godzin po śmierci?

Corsel wzruszył ramionami.

– Nie jestem detektywem, pani Baskin. Wiem tyle, że właśnie poznała pani fakty. Choć dla mnie jest to bolesna sprawa, muszę przyznać, że miała pani rację. Ktoś w jakiś nieznany mi sposób nie tylko zdobył hasło Davida, ale też naśladował jego głos wystarczająco dobrze, bym dał się oszukać. Nie potrafię wyobrazić sobie innej możliwości... no, chyba że koroner błędnie określił czas śmierci.

Laura zgarbiła się w fotelu. Jeśli koroner się pomylił, to co David robił przez kilka godzin? I dlaczego przelewał pieniądze z banku do banku kilka godzin przed kąpielą o północy?

– Mogę zatrzymać te akta, panie Corsel?

– Wolałbym, żeby spisała pani sobie to, co może się pani przydać, przynajmniej na razie. Oczywiście spróbuję wytropić zaginione pieniądze. Pani mąż... to znaczy ktoś, kto ze mną rozmawiał, dysponował jego hasłem i nalegał na zachowanie tajemnicy, więc błagam, pani Baskin... nigdy pani tego nie widziała, dobrze? Zaczynam się martwić o rzeczy znacznie ważniejsze niż praca.

Laura skinęła głową. Doskonale rozumiała, o czym mówi.



Wraz z Seritą wróciła do siebie i natychmiast zadzwoniła. 011-61-70-517-999. Wyobrażała sobie, jak wysłane przez nią impulsy wędrują tysiące kilometrów po kablach i między satelitami, aż wreszcie docierają z Bostonu do małego miasteczka po drugiej stronie świata, w Australii. Po kilku sekundach usłyszała głośny trzask zakłóceń, a potem sygnał centrali.

Ścisnęła słuchawkę z siłą, której nawet u siebie nie podejrzewała. Mogła tylko czekać. Po trzecim sygnale ktoś podniósł słuchawkę. Przeróżliwe wycie sprzężenia przemknęło przez pół świata wprost do jej ucha, a potem odezwał się głos młodej kobiety.

– Hotel Pacific International. Czym mogę służyć?

Laura bez słowa odłożyła słuchawkę.

– O co chodzi? – spytała Serita. – Do kogo się dodzwoniłaś?

Laura doskonale pamiętała ten hotel. Okno sali konferencyjnej Grupy Petersona wychodziło wprost na wysoki budynek Marlin Jetty; był to piękny widok.

– Do hotelu Pacific International.

Serita wzruszyła ramionami.

– I co z tego wynika?

– Przy tej samej ulicy stoi budynek Petersona – wyjaśniła Laura monotonnym, bezdzwięcznym głosem. – Do banku dzwoniło z telefonu, który niespełna przecznica dzieliła od miejsca, gdzie miałam spotkanie.

Jej przyjaciółka usiadła wygodnie, zsunęła pantofle z nóg, kopniakiem posłała je w drugi kąt pokoju.

– Cała ta sprawa zaczyna wyglądać trochę niesamowicie, nie uważasz? – Laura nie odpowiedziała. – Tylko czekać, aż rozlegnie się muzyczka ze *Strefy mroku*. I co masz zamiar zrobić? Dzwonisz do T.C.?

– Nie teraz.

– A to czemu?

– Bo moim zdaniem on coś już podejrzewa.

– Co? Jak to możliwe?

Laura wzruszyła ramionami.

– Jest zawodowcem, prawda? Jeśli ja potrafię do czegoś dojść, to on tym bardziej.

– Więc dlaczego nie mielibyście połączyć sił? – zdziwiła się Serita.

– Nie. – Jej przyjaciółka pokręciła głową. – Moim zdaniem T.C. nie chce wiedzieć, co się stało naprawdę... albo już odkrył i nie chce, żebym wiedziała.

– Nie widzę w tym za grosz sensu, dziewczyno.

– Wiem. To tylko przecucie, ale nie mogę się go pozbyć.

– Lepiej pozbadź się go i pogadaj z tym gliniarzem.

– Może później. Na razie chyba wezmę prysznic i zmienię ubranie.

– Nie krępuj się. Poczekam, aż skończysz. Pożyczysz mi ten swój biały kostium?

– Jasne. Pewnie na tobie i tak lepiej wygląda.

– To dzięki ciemnej cerze.

Laura uśmiechnęła się słabo. Poszła do łazienki. Serita odczekała, aż rozlegnie się szum leżącej wody, po czym podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer.

– T.C... – powiedziała cicho – musimy porozmawiać.

Stan Baskin wyglądał przez okno wychodzące na Charles River. Niemal pod każdym względem ich nowe mieszkanie nie było niczym wyjątkowym. Sypialnia, pokój dzienny, łazienka, kuchnia i taras. Jeśli o niego chodziło, w cholerę z sypialnią, pokojem dziennym i łazienką, tylko zostawcie mi taras. Widok uspokajał go jak delikatna pieśczość. Choć wprowadzili się tu z Glorią zaledwie kilka dni temu, już wydawało mu się, że spędził setki szczęśliwych godzin, przyglądając się Charles River, studenckim parom spacerującym wzdłuż jej brzegów, łodziom wiosłowym Harvardu mknącym po jej spokojnych wodach. A nocą rzeka błyszczała niczym drogocenny naszyjnik światłami padającymi ze stojących po jej obu stronach budynków i odbijającymi się w jej lustrze.

Zazwyczaj Gloria była wówczas obok niego, zapatrzona na rzekę jak on. Ale nigdy nie przeszkadzała mu, gdy był pogrążony w myślach. Miała niezwykły talent rozpoznawania, kiedy ma ochotę na rozmowę, a kiedy chce, żeby zostawić go w spokoju. W tej chwili siedziała w firmie siostry, planując strategię marketingową dla linii młodzieżowej. Do domu wróci pewnie za kilka godzin.

Stan odwrócił się od okna. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wkrótce musi znaleźć sobie pracę (albo wykrecić dobry numer). Dziesięć tysięcy, zarobione na tym cyrku w Deerfield, już mu się kończyło. Cholera weźmie pana K, tylko on dobrze na tym zarobił. Pięćdziesiąt tysięcy zwrotu długu, dziesięć tysięcy procentów i dwadzieścia tysięcy czystego zysku minus te kilka dolców, które zapłacił temu neandertalczykowi Bartowi.

Sięgnął po leżącą na kanapie gazetę. Dostał cynk w siódmej, Breeze's Girl nie miała podobno prawa przegrać. Jego kontakt był tego całkiem pewien, ale w jego uszach brzmiało to dziwnie. Prawie nigdy nie stawiał na klacze. Ludzie, zwierzęta, bez różnicy, klaczom po prostu się nie wierzy. Kobieta nigdy nie pomoże mężczyźnie.

Zegar wskazywał piętnastą. Gloria wracała zwykle między osiemnastą a dziewiętnastą. Czyli najwcześniej za trzy godziny. Stan potrząsnął głową; nie miał pojęcia, dlaczego liczy godziny do jej powrotu. Gdyby nie znał siebie lepiej, przysięgłby, że za nią tęskni. Ale to było niemożliwe. Stan Baskin nie tęsknił za kobietami, to kobiety tęskniły za Stanem Baskinem.

Poszedł do kuchni, nalał sobie szklankę soku pomarańczowego. Kiedy był mały, codziennie rano matka wyciskała mu świeży sok, bo wiedziała, jak bardzo go lubi. Biedna stara, w końcu umarła na raka. Co za cholerna, pieprzona choroba, pomyślał.

Albo masz szczęście i sama się cofnie, albo musisz leżeć w łóżku i czekać, aż cię wykończy. Aż zeżre cię od środka. Albo, co gorsza, lekarze każą ci przejść przez to cholerne gówno, chemoterapię. Stan pomyślał jeszcze, że nie ma mowy, on nie da się w to wrobić. Jeśli spotka mnie jej los, znajdę największy pistolet na świecie, kupię go, przyłożę lufę do skroni i pociągnę za spust.

I nie żyję. Szybko, bezboleśnie. Tak jak to było z tatą. A przynajmniej oni wszyscy tak myślą, tylko że ja wiem lepiej.

Codziennie rano mama wyciskała mu sok ze świeżych pomarańczy. „Jest zdrowy”, powtarzała, ale Stana nie trzeba było namawiać do picia gęstego płynu, w którym były małe dziurki. Kochał świeżo wyciśnięty sok Grace Baskin. A potem jego ojciec umarł

(został zamordowany) i wszystko się zmieniło. Stan miał wówczas dziesięć lat, a David niespełna dwa.

Na pogrzebie było mnóstwo ludzi z uniwersytetu: profesorów, dziekanów, sekretarek, studentów. Przyszli też wszyscy sąsiedzi. Stan stał spokojnie obok mamy. Mama była ubrana na czarno. Płakała w białą chusteczkę.

– Musimy myśleć o Davidzie, Stan – powiedziała, patrząc na opuszczaną do grobu trumnę. – Musimy wynagrodzić mu to, że będzie dorastał bez ojca. Rozumiesz?

Stan posłusznie skinął głową, ale tak naprawdę wcale nie rozumiał. Dlaczego należało zająć się właśnie Davidem? Przecież nawet nie znał ojca. David nie uczył się od taty, jak łapać piłkę w baseballową rękawicę. Nie chodził z nim na ryby, do muzeów, na mecze, na filmy, do diabła, nawet u dentysty z nim nie był. Prawda wygląda tak, że David nie będzie pamiętał Sinclaira Baskina.

Grace Baskin widziała to inaczej. Już na zawsze. Postanowiła poświęcić całą swą energię na wychowanie ukochanego Davida. Postanowiła być dla niego i matką, i ojcem, nawet jeśli dla starszego nie zostawało nic, nawet matka.

Stan nieszczęśliwie się tym przejął. Bo kto by tam potrzebował matki? A w ogóle na co komu kobieta? Życie szybko nauczyło go, że kobiety w większości są bezwartościowe i okrutne. Zasadniczo można je podzielić na dwie grupy: te pasożytnicze, pragnące tylko cię wyssać, i te twarde suki, używające słów „miłość” i „być razem” po to, żeby cię posiąść na własność, kontrolować i zniszczyć.

W tym właśnie leżało piękno życiowej drogi Stana, chociaż ci, którzy go nie rozumieli, mówili o oszustwie. On po prostu odwrócił role. Wykorzystywał kobiety, tak jak kobiety wykorzystują mężczyzn. I za to chciano go wsadzić do więzienia? Cholernie śmieszne. Tyle się mówi o równości, o sprawiedliwości, więc czemu nie zamyka się tych wszystkich interesownych suk udających, że zależy im na facecie, chociaż tak naprawdę chodzi im tylko o forszę? Kurczę, gdyby je zamknąć, na wolności zostałyby może kilka bab!

Oczywiście, Stan z pierwszej ręki wiedział, jakie szkody może wyrządzić kobieta. Dowiedział się tego od kobiety. Miał szesnaście lat, kiedy uwiodła go trzydziestoletnia rozwódka, Concetta Caletti. A taki był pewny, że to najmądrzejsza, najpiękniejsza, najbardziej wyrafinowana kobieta na świecie! Młody Stan Baskin okazał się nawet wystarczająco głupi, by uwierzyć, że się zakochał. Posunął się daleko: rzucił szkołę i powiedział Concettie Caletti, że chce się z nią ożenić. Concetta go wyśmiała.

– Jesteś tylko chłopcem – powiedziała ta ciemnoskóra piękność.

– Kocham cię – powtórzył szesnastolatek.

– Kochasz? – Jej spojrzenie spaliło mu serce na popiół.

– Kto nauczył cię tego słowa? Nie masz pojęcia, czym jest miłość.

– Więc mnie jej naucz – poprosił.

– Miłość nie istnieje! – wybuchła pani Caletti. – To tylko słowo, którym ludzie przerzucają się, wmawiając sobie, że nie są samotni na tym świecie. To wielkie kłamstwo.

– Ale ja cię kocham, Concetto. Wiem, że cię kocham.

– Wynoś się stąd, Stan. Dzieciak z ciebie. O miłości możemy porozmawiać, kiedy zaczniesz zarabiać prawdziwe pieniądze.

Dzwonek do drzwi odpędził wspomnienie gniewnej twarzy Concetty, pozostawił Stana samotnego w terażniejszości. Spojrzał na zegar. No tak, ciągle piętnasta. Może Gloria wcześniej wróciła z pracy?

Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi. Na widok gościa jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Proszę, proszę, co za miła niespodzianka.

Laura milczała.

– Nie zastałaś siostrzyczki, jest w pracy.

– Wiem. Przyszłam porozmawiać z tobą.

– Cała przyjemność po mojej stronie! – Stan cofnął się o krok. – Wejdz, proszę.

– Czuję się bezpieczniej tu, na korytarzu.

– Nie masz do mnie zaufania?

– Najmniejszego.

– No cóż, Lauro, możesz tkwić tu, jak długo ci się spodoba... pod zamkniętymi drzwiami. Ale jeśli chcesz ze mną rozmawiać, musisz wejść.

Laura spojrzała na niego gniewnie, zawahała się i powoli weszła do środka. Stan zamknął za nią drzwi.

– Usiądziesz? – spytał grzecznie.

– Nie.

– A może się czegoś napijesz?

– Nie – odparła niecierpliwie.

– Świetnie. W takim razie przejdźmy do rzeczy. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chcę, żebyś zostawił w spokoju moją siostrę.

– Wstrząsające – zakpił Stan. – Dlaczego, kochanie, chcesz rozdzielić taką szczęśliwą parę?

– Daj spokój tym swoim gierkom – warknęła Laura.

– Gloria jest w tej chwili szczególnie wrażliwa. Masz problem ze mną, dobrze, załatwmy to raz na zawsze. Ale moją siostrę masz zostawić w spokoju.

Stan uśmiechnął się, zrobił krok w jej stronę.

– Czyżbym usłyszał w twoim głosie nutkę zazdrości?

– Nutkę obrzydzenia – prychnęła Laura, odsuwając się od niego.

– Bystra dziewczynka, lubię takie. Ale tak się złożyło, że ja i twoja siostra zakochaliśmy się w sobie, Lauro. Czyżby nikt już nie cenił miłości?

– Jestem pewna, że ty ją cenisz. Ile?

– Przepraszam, nie zrozumiałem.

– Ile mam ci zapłacić?

– Zdumiewasz mnie, Lauro, naprawdę zdumiewasz. Czyżbyś próbowała mnie przekupić?

– Pytam po raz ostatni: ile?

– Nie, nie, to nie takie proste. Tym razem chcę czegoś więcej niż pieniądze.

– Och!

– Jeśli o nie chodzi, mam tyle, ile chcę i potrzebuję. Twoja siostra jest osobą zamożną, a teraz, kiedy staliśmy się tak bliscy sobie, wiem, że zawsze mogę polegać na uroczej szwagierce, która chętnie pożyczy mi kilka dolców, jeśli przypadkiem znajdę się w potrzebie.

– Niby dlaczego miałabym coś ci pożyczać?

Stan wzruszył ramionami.

– Ponieważ jestem pewien, że chciałabyś, by twoja siostra była dobrze traktowana, a nie chciałabyś, żeby przeze mnie poczuła się jak kawałek gówna. Nie chciałabyś, żebym ją na przykład bił. Albo z powrotem wpędził w narkotyki. To wszystko mogę zrobić, Lauro, o czym zresztą doskonale wiesz. Więc kiedy powiem „zapłać”, zapłacisz.

Laura przyjrzała mu się uważnie.

– Nie rozumiem – przyznała. – Czego ty właściwie chcesz? – Właśnie powiedziałem.

– Przecież zaproponowałam ci pieniądze! Możesz je wziąć i zniknąć. Czy to nie w twoim stylu? Czy nie tak właśnie postępowałeś? Dlaczego ryzykujesz, zostając tu, pod ręką?

Stan rozłożył się nie na żarty. Twarz mu poczerwieniała.

– Nie kuś mnie, Lauro, bo za twoją namową mogę zrobić coś, czego sama wkrótce pożałujesz. Powiedzmy, że zniknę, dziś, zaraz... czy naprawdę przemyślałaś tego konsekwencje? Co to oznacza dla Glorii? Jak myślisz, co by się wówczas stało z jej kruchą równowagą emocjonalną?

Laura spojrzała mu w oczy. To, co powiedział, brzmiało przerażająco, ale przecież miał rację! Gdyby ją teraz rzucił, Gloria przeżyłaby poważne, być może nieodwracalne załamanie. Tylko... dlaczego miałoby go to obchodzić? Od kiedy to Stana Baskina interesuje ktoś inny niż tylko on sam? Nie, musi w tym być coś, czego na razie nie potrafi dostrzec. Być może Stan uznał, że jeśli zostanie, będzie miał dostęp do pieniędzy zawsze, gdy okażą się potrzebne. Jak długo ma zakładniczkę, a de facto tym właśnie Gloria była, zawsze może uciec się do wymuszenia. Mogło to trwać tygodnie, miesiące, ile zechce. Ale jakoś jej to nie pasowało. T.C. był pewien, że Stan przede wszystkim wyciągał forsy i nie interesował się tym, co może być jutro i pojutrze.

– Czego ty właściwie chcesz, Stan? Ile potrzeba, żebyś wyniósł się raz na zawsze?

Stan nie poddał się, nie opuścił wzroku.

– Taka jesteś pewna, że pozbycie się mnie to lekarstwo na wszystkie choroby? To musi być cudowne uczucie: zawsze wiedzieć, co robić i co jest dobre, a co złe. Chryste, założmy, że opowiem Glorii o naszej rozmowie? Jak by ci się to spodobało?

– Nie ośmielisz się!

– Nie ośmielę?

– Nie, Stan, nie ośmielisz. Nie zaryzykujesz utraty najlepszego źródła pieniędzy.

Stan powoli pokręcił głową.

– Oj, Lauro, straszna z ciebie herod-baba. Trudno nie zadać sobie pytania, czy David nie wskoczył do wody po to, żeby trochę od ciebie odpocząć.



Oczy Laury zabłysły z furii.

– Ty sukiny!nu!

– Spokojnie, dziewczyno. Spokojnie.

– Posłuchaj mnie, Stan. Posłuchaj bardzo uważnie. Mogę znieść twoje chore gierki, ponieważ tak się składa, że kocham siostrę. Posłucham cię, jeśli ochroni ją to przed twoimi chorymi zachciankami. A ty wyłączysz ze sprawy Davida. Czy to jasne?

Stan zastanawiał się przez chwilę.

– Zgoda – powiedział wreszcie. – To uczciwy interes. Jak widzisz, potrafię być rozsądny.

Laura odgarnęła włosy z twarzy.

– Widzę, że jesteś zwykłą świnią.

Uśmiechnął się, jakby go to rozbawiło.

– Rozumiem, co czujesz, ale pamiętaj: granica między nienawiścią i miłością jest cienka. Łatwo ją przekroczyć. Przyjdzie dzień, kiedy nie będziesz już mogła zaprzeczać samej sobie. Staniesz oko w oko z własnym pożądaniem. Może się zdarzyć, że akurat wtedy nie będzie mnie w pobliżu. Co wówczas poczujesz?

– Ulgę!

Stan zachichotał.

– Do widzenia, Lauro. Na razie. Może wybierzesz się z nami na kolację? Jesteś wolna w tym tygodniu?

Laura usiłowała zapanować nad głosem.

– Nie!

Stan uprzejmie otworzył jej drzwi.

– Co za szkoda. Kiedy mogłabyś wpaść?

– Nie twój cholerny interes – prychnęła Laura, myśląc już o tym, co miało ją wkrótce zająć.

Australia.



Richard Corsel uporządkował akta i schował je do szafki. Powoli dochodził prawdy. Jego przyjaciel z Bank of Geneva w Szwajcarii dowiedział się, że pieniądze Davida Baskina wpłynęły co najmniej na dwa konta, po czym wróciły do Stanów. Część z pewnością do Massachusetts. Przy odrobinie szczęścia zdoła je zlokalizować w niespełna tydzień.

– Dobranoc, panie Corsel – powiedziała sekretarka.

– Dobranoc, Eleanor.

Richard przycisnął teczkę do boku. Wyszedł na parking. Zapadł zmrok. Łagodny jesienny wiatr przewiewał Boston, podnosząc porządnie zaczesane włosy bankiera, rujnując schludny przedziałek. Nie szkodzi, dzień pracy skończony. Corsel rozpiął kołnierzyk koszuli, znalazł na kółku kluczyki do samochodu. Naomi prosiła, żeby odebrał pranie i jeszcze kupił białe skarpetki dzieciom. Richard potrząsnął głową. Nie miał pojęcia, jakim cudem sześćioletnie bliźniaki mogą tak szybko pozbywać się skarpetek. Co one z nimi robią, wkładają je na buty?

Westchnął, zmęczony, otworzył drzwiczki, wślizgnął się za kierownicę. Rzucił teczkę na siedzenie pasażera. Na autostradzie będą korki. Może lepiej pojechać bocznymi drogami? Włożył klucz do stacyjki...

...i ręka w rękawiczce chwyciła go za kark, a cichy głos przywitał go miłym:

– Cześć, Richie.

Oczy bankiera omal nie wyskoczyły z orbit.

– Co, do diabła...

Uciszył go widok rzeźnickiego noża na szyi.

– Ciiii, Richie, nie tak głośno. Chyba nie chciałbyś mnie zdenerwować? Bo wiesz, kiedy się zdenerwuję, ręce strasznie mi się trzęsą.

Dla podkreślenia wagi tych słów ręka zadrżała, a ostrze przesunęło się niebezpiecznie po szyi Corsela.

– Kto...

– Ciiii, Richie. Teraz ja mówię, rozumiesz? Nie odwracaj się i nie próbuj obserwować mnie w lusterku wstecznym. Jeśli spróbujesz, zabiję cię. Czy to jasne?

Ostrze noża dotykało lekko krtani bankiera. Czuł chłód metalu.

– Tttaaak – wybełkotał. – Portfel jest w kieszeni marynarki.

– Wiem, Richie, ale mnie naprawę nie interesują twoje drobne. Mam mnóstwo forsy. Rozumiesz mnie?

Corsel przełknął z wysiłkiem. Nóż poruszył się zgodnie z ruchem grdyki.

– Czego... czego chcesz?

– Wiesz, Richie, na czym polega problem? Zadajesz za dużo pytań. A ja o nic nie pytam, zauważyłeś? Nie pytam, jak podoba się Naomi ta nowa praca w butik. Nie pytam, czy bliźniakom, Rogerowi i Peterowi, podoba się w nowej szkole. Więc czemu ty tak bardzo interesujesz się sprawami innych? – Ciepły oddech połaskotał bankiera w ucho. – Wiesz, Richie, tak jak ja to widzę, masz wybór. Po pierwsze, możesz robić to, co robiłeś do tej pory, i węszyć wokół pieniędzy Baskina. Twoja sprawa, ja cię do niczego nie zmuszam. Zrobisz to, co uważasz za najlepsze dla rodziny, ale ostrzegam: jeśli będziesz węszył, uczynisz mnie nieszczęśliwym, a to już nie byłoby miłe. Rozumiesz, co mam na myśli?

Corsel drżał na całym ciele.

– A teraz inna możliwość, w końcu na tym polega wybór, prawda? Zobaczmy, jak ci się spodoba. Posłuchaj, a potem zdecydujesz, co chcesz robić, jasne? No więc wybór: zapominasz o tych drobnych interesach, które Baskin robił z twoim bankiem. Pracujesz uczciwie, a przed żoną gęba na kłódkę. Twoja rodzina żyje sobie długo i szczęśliwie. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Podoba ci się ten obrazek?

Richard zdołał skinąć głową.

– Ale... nie decyduj teraz, Richie. Przemyśl wszystko dokładnie. Ja oczywiście dowiem się, co wybrałeś, i odpowiednio zareaguję. Masz pytania?

Richard zaprzeczył gestem.

– No i widzisz, Richie? Szybko się uczysz. Teraz wyjdę z samochodu i zniknę, jakby mnie nigdy nie było. Jeśli obrócisz się i zobaczysz moją twarz albo postanowisz pogadać z władzami, to... no, powiedzmy, że będzie to bardzo lekkomyślny postępek.

Zmusi mnie do nawiązania bliższych kontaktów z Rogerem i Peterem. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

Corsel znów skinął głową. Po policzkach płynęły mu łzy. Robił wszystko, by się opanować. Wyobrażał sobie, jak rankiem przy stole obok siedzą Naomi, Roger i Peter, przed nim stoi miska Cap'n Crunch, i...

... i ten psychol z tylnego siedzenia podrzyna im gardła. Krzyki, dźwięk, z jakim ostrze rozcina skórę, krew tryska na wszystkie strony, krew jego żony, krew jego dzieci...

O Boże, co mam teraz robić... co robić...

Drzwiczki samochodu otworzyły się nagle i nie było już ostrza przy jego szyi. Zamknęły się z trzaskiem. Richard bał się odetchnąć głębiej. Zamknął oczy i otworzył je znów dopiero po pięciu minutach.

Kiedy wszedł do domu, Naomi przede wszystkim wygłosiła kazanie na temat zapomnianego prania i braku białych dziecięcych skarpetek. W odpowiedzi mocno przytulił najpierw ją, a potem dzieciaki.



Penthouse Earla wyglądał jak żywcem wyjęty z „Architectural Digest” i taki też był. Dosłownie. Magazyn poświęcił okładkę na prezentację czegoś, co nazwał „Wieżą w niebie”. Wieżę, dodajmy, wspaniałą. Wnętrze urządzono w bieli: ściany, krzesła, sofy, stoły, dywan. Elementy barwne wносиły wyłącznie duże, różnorodne stylistycznie obrazy dekorujące ściany. Jakimś cudem ten schemat kolorystyczny działał, a dla „Architectural Digest” miał ten dodatkowy walor, że mieszkanie Earl zaprojektował bez niczyjej pomocy, całkowicie samodzielnie.

Było tu także mnóstwo okien, a z wszystkich rozciągał się wspaniały widok na Boston. Stojąca w wielkim pokoju dziennym Laura najpierw obserwowała światła Prudential Building, a potem przesunęła wzrok na port i ciemną płaszczyznę wody, na której od czasu do czasu błyskały światelka łodzi. Ze szczytu wieżowca nie widać było, że ten port jest w istocie przeraźliwie wręcz brudny. Lecz co tam, na Boga, Laura uwielbiała Boston. To prawda, właściwie nie mieszkała nigdzie indziej, tylko tu. Rodzina wyjechała z Chicago i porzuciła Środkowy Zachód, kiedy była małym dzieckiem, więc właściwie nie miała porównania. Niemniej Boston był jej miastem.

I Davida.

Earl wyszedł z kuchni w fartuchu Celtów zawiązanym w pasie.

– Podano do stołu – oznajmił.

– Świetnie. – Serita podeszła do przyjaciółki, objęła ją mocno. – Umieram z głodu.

– No to siadajcie i przygotujcie się duchowo. Szef kuchni stworzył nowe arcydzieło.

Laura usiadła posłusznie, uśmiechając się. Earl to prawdziwy człowiek renesansu, pomyślała. W szczupłym ciele krył się zawodowy koszykarz, dekorujący luksusowe mieszkanie z lekkością doświadczonego architekta wewnątrz i przygotowujący egzotyczne dania niczym kucharz artysta. Co więcej, właśnie pisał książkę o swych koszykarskich wyczynach; miała nosić tytuł *Wsad*.

– Pachnie wspaniale. Co to jest? – spytała.

– Specjały orientu, a dokładnie Tajlandii. – Earl podniósł srebrną pokrywkę. – Nazwałem je „Koktajlem z krewetek Earla”.

– Mmmm – zachwyciła się Serita. – Coś w sam raz dla mnie.

Trójka przyjaciół zabrała się do jedzenia. Laura uznała danie za niezrównane, lekkie, przyprawione z umiarem, doskonale harmonijne.

– Pyszne – powiedziała głośno.

Earl uśmiechnął się, jakby spotkało go wielkie szczęście.

– Dzięki, Lauro. Minęło trochę czasu, od kiedy po raz ostatni pozwoliłaś mi coś dla ciebie ugotować.

Laura skinęła głową. Milczała chwilę, nie ufając własnemu głosowi. Gdy żył David, jadali u Earla przynajmniej raz w tygodniu.

– Wiem – przyznała.

Earl uśmiechnął się rozbajajaco.

– Ale Davidowi moja kuchnia nigdy nie odpowiadała.

– Nieprawda! Jesteś wspaniałym kucharzem.

– Oczywiście, ale David miał kulinarne upodobania kasjera w Burger Kingu.

Laura zachichotała.

– Nie sposób się nie zgodzić.

– Moim zdaniem to mieszkanie w jednym pokoju z T.C., jego cygarami i zamiłowaniem do tłustych hamburgerów całkowicie zniszczyło mu kubki smakowe – ciągnął Earl. – A przecież często powtarzałem Davidowi, że ciało jest świątynią. Weźmy na przykład to danie. Świeże krewetki, grzyby, brokuły, naturalne przyprawy... nie ma w nim miejsca na całe to chemiczne gówno. Zdumiewające, co też niektórzy ludzie usiłują wpakować w swój organizm.

– Co masz na deser? – zainteresowała się Serita.

– Pudding z soi.

– Błeee! To znaczy, wiesz, zdrowa żywność i tak dalej to fajne i jestem za tym, ale w niczym nie wolno przesadzać.

Earl dolał swym pięknym gościom chińskiego piwa, wrócił na miejsce i przyglądał się, jak jedzą. Pokręcił głową z podziwem.

– To zupełnie jak patrzeć na dobermanów przy surowym mięsie. Jakim cudem obie jesteście takie chude?

– Ćwiczenia, mój drogi, ćwiczenia.

– Te maszyny Nautilusa?

Serita puściła do niego oczko.

– Zła odpowiedź. Spróbuj jeszcze raz.

– Pozwól, że jeszcze to sobie przemyślę. A teraz przyniosę dokładkę, bo Laura już skrobie po talerzu.

– Nie, Earl, naprawdę, mam dość.

– Jesteś pewna? U Chez Earla każdy je, póki może. Niczego nie zabraknie.

– Jestem pewna. Nic więcej w siebie nie wepchnę.

– W porządku.

Laura milczała zapatrzona w stół, przy którym kiedyś, w poprzednim życiu, siedzieli we czwórkę, zaśmiewając się do rozpuku. Teraz każda rozmowa sprawiała wrażenie wymuszonej.

– Jak tam drużyna przed sezonem? – spytała.

Earl wzruszył ramionami.

– Chyba wszystko jest mniej więcej w porządku. Oczywiście bardzo brak nam Davida.

– W drafcie znaleźliście kogoś dobrego?

– Nie.

– Wolni strzelcy?

– Jest jeden.

– A tak, czytałam o nim w „Globe” – wtrąciła się do rozmowy Serita. – Ty też, Lauro?

– Niestety. Nie zaglądam już do rubryki sportowej.

– Wszędzie było o nim pełno. Ten chłopak wmaszerował pewnego dnia na salę, wyciągnął dziesięć tysięcy, wyzwał Timmy’ego na konkurs rzutów za trzy i wygrał. Nikt nic o nim nie słyszał, a on nawet pobił... – Serita ugryzła się w język.

– Pobił? Jak to?

– Może zmienimy temat? – zaproponował Earl.

– Nie rozumiem...

Earl spojrział na Seritę, a potem westchnął ciężko.

– Pobił rekord rzutów za trzy. Rekord Davida.

– Co? – zdumiała się Laura. – Pamiętam, jak David go ustanawiał. Prasa twierdziła, że jest nie do pobicia.

– Ja też to pamiętam – powiedział cicho Earl.

– Kto to właściwie jest?

– Nazywa się Mark Seidman.

– Dobry gracz?

Earl skinął głową.

– Jasne. Więcej niż dobry, ale...

– Ale?

– ...ja tam nic nie wiem, ale to dziwna sprawa.

– Gdzie grał w lidze uniwersyteckiej?

– Właśnie o to chodzi. Nie grał. Kiedy do nas przyszedł, nikt nic o nim nie wiedział.

– Co? Chcesz mi powiedzieć, że prasa nic jeszcze na jego temat nie wygrzebała?

Earl potrząsnął głową.

– Nic a nic. Twierdzi, że mieszkał w Europie, że jego rodzina dużo podróżowała i inne takie.

– A ty mu nie wierzysz?

Reakcją było wzruszenie ramion.

– Nie wiem. Co to mówiłaś o prasie? No więc prasa nie zdołała potwierdzić tych jego historyjek. Poza tym Seidman odmawia kontaktów z dziennikarzami, a wiesz, jak

bardzo Clipowi zależy na dobrych kontaktach z mediami. Co tam, do diabła, Seidman nie rozmawia z nikim! Przychodzi, gra, wychodzi. Jest bardzo spokojny, cichy, coś tam mówi, wiesz, jakaś uwaga, żart, jakby był jednym z nas. I patrzy na nas tak żałośnie, jakby chciał naprawdę być w drużynie. A potem chowa się do tej swojej skorupy.

– To nie musi nic znaczyć – zauważyła Laura. – Z drugiej strony może znaczyć, że coś ukrywa.

– Może – przytaknął Earl. – Zdaje się, że swoim gadaniem zrobiłem z niego jakiegoś uciekiniera przed prawem. Bo może i nim jest? Ale nie sądzę. Wydaje się to, no, powiedzmy, dość dziwne. Nie lubię go, to wszystko.

– Dobry jest? – spytała Laura.

– Trudno powiedzieć. Ciągłe jesteśmy przed sezonem. Widziałem mnóstwo chłopaków, którzy przed sezonem mogli grać w meczach gwiazd, a w lidze wychodzili na dupków.

– A twoim zdaniem jest dobry?

Earl zawahał się, podniósł szklanke, wypił mały łyk piwa.

– Może być najlepszym graczem, jakiego widziałem. Poza Davidem.

Laura zobaczyła na jego twarzy wyraz rozżalenia. Niełatwo było mu przyznać, że ktoś może być równie dobry jak przyjaciel, którego tak podziwiał.

– I nikt nic o nim nie wie? – Pokręciła głową. – To nie ma najmniejszego sensu.

– Jest nieprawdopodobny – kontynuował Earl.

– Nieprawdopodobnie miękki rzut, umie podać jak nikt... no nie, dość już o tym Seidmanie. Chciałbym porozmawiać z wami o czymś rzeczywiście ważnym.

– Ach, stąd to zaproszenie – zażartowała Laura, pobudzając Earla do śmiechu. – A ja myślałam, że lubisz moje towarzystwo.

– No pewnie. Przez te ostatnie miesiące zapraszałem cię tylko ze sto razy.

– Co mi się wcale nie podoba – zauważyła Serita. – Chcesz, żebym była zazdrosna?

– Gdybym tylko mógł... Lauro, Clip prosił mnie, żebym z tobą porozmawiał.

– O czym?

Earl zwiesił głowę. Bawił się leżącym przed nim jedzeniem.

– Trochę trudno mi o tym mówić.

– Spróbuj, proszę.

Oczy wielkoluda wypełniły się łzami.

– Celtowie... i miasto... chcą złożyć hołd Davidowi. Za tydzień mamy mecz otwarcia w Garden. Gramy z Washington Bullets. W przerwie numer Davida zostanie wycofany, a jego koszulka zawiśnie pod dachem hali.

Earl przerwał, odwrócił się. Laura wzięła go za rękę.

– Spokojnie, wszystko w porządku.

Koszykarz pociągnął nosem, a kiedy znów na nią spojrział, oczy miał zaczerwienione. Laura zerknęła na Seritę. Ona też płakała.

– Burmistrz ogłosi Dzień Davida Baskina. Po meczu zaplanowane jest takie małe spotkanie w Blades and Boards: gracze, rodzina, prasa, no wiesz, normalka. Clip chce się upewnić, że będziesz ty razem ze swoją rodziną, całą, brat Davida też.

Laurze udało się zachować kamienny wyraz twarzy.

– Przyjdziemy... wszyscy.

– Doskonale. – Już powiedzenie tego jednego słowa sprawiło Earlowi kłopoty. Rozejrzał się, wstał. – Zaraz wracam – rzucił i niemal wybiegł z pokoju.

– Wielki dzieciak – wykrztusiła rozszlochana Serita. – Boi się płakać w twojej obecności. A przecież chlipie niemal co noc, wiesz?

– Wiem – przytaknęła Laura. Ona jedna oczy miała suche. Zdążyła się dowiedzieć, że czasami, gdy ból staje się zbyt wielki, następuje automatyczne włączenie umysłowych blokad. Jasne, słyszała smutne słowa, widziała łzy, ale gdzieś w drodze do serca ból się ulatniał.

– Muszę porozmawiać z tobą o czymś innym – powiedziała. – Ale obiecaj, że nie wspomnisz o tym nikomu. Nawet Earlowi.

– W porządku. – Serita otarła oczy brzeżkiem serwetki.

– Jutro rano wylatuję do Australii.

– Lecę z tobą.

– Nie. Wolę być sama.

– Ale...

– Dobrze, ujmę to inaczej. Nie chcę, żebyś ze mną leciała.

– Ty też się pieprz.

Przytuliły się do siebie gwałtownie, mocno. Earl wrócił do pokoju, podszedł do nich, przygarnął do piersi je obie. Przez długą chwilę trwali tak, w milczeniu, pocieszając się nawzajem.

„Pasażerowie lotu Qantas 182 do Honolulu i Cairns proszeni są do wejścia numer trzydzieści siedem. Osoby z dziećmi wymagającymi specjalnej opieki wchodzą na pokład w pierwszej kolejności”.

Laura spojrzała na zegarek. Prawdopodobnie wystartuje o czasie; prawdziwy cud... i to wcale niemały. Lotnisko LAX było dziś strasznie zatłoczone. Przyjrzała się pasażerom o kamiennych wyrazach twarzy, idącym szybko i wytrwale długimi korytarzami jakże charakterystycznymi dla lotnisk. Na lotniskach nie było już wyznawców Hare Kriszna. Nowym bogiem terminali stał się Linden LaRouche, a prezesura jego świętym Graalem. Jakiś mężczyzna sprzedawał nalepki na zderzaki – co zrobić z nalepką na zderzak na lotnisku, przekraczało zdolności pojmwania Laury – wzywające do ratowania wielorybów czy może przebicia harpunem Jane Fondy, nonsens w każdym razie, inny siedział pod tabliczką głoszącą: „Róże są czerwone, wysoko lata ptak, jestem schizofrenik, o tak!”.

Laura tylko pokręciła głową. Los Angeles! Ostatnim razem była na LAX, kiedy leciała na pogrzeb Davida, a poprzednio wraz z Davidem zatrzymali się w mieście na noc, w drodze do Australii. Na miesiąc miodowy. Życie dziwnie się czasami układa. Doskonale pamiętała, jacy byli podekscytowani, jak wybiegli z lotniska i pojechali do miasta, do najbliższego szpitala, na obowiązkowe badania krwi.

– Nie znoszę igieł – powiedział David.

– Tchórzysz.

– Igieł i owadów. Obiecujesz, że po ślubie to ty będziesz zabijała wszystkie domowe owady?

– Włączymy to do tekstu przysięgi.

Godzinę później pielęgniarka wręczyła Laurze wyniki badań.

– Zdaliśmy egzamin? – spytał David.

Laura z uśmiechem przeglądała badania. Oboje uznano za zdrowych, mogli się pobrać z błogosławieństwem stanu.

– Zdaliśmy.

– Nic nie znaleźli? Ani odrobineczki choroby wenerycznej?

– Nie. Chcesz sprawdzić?

– Wyniki badania krwi? Nie ma mowy.

– Jak sobie szanowny pan życzy. Lepiej wracajmy na lotnisko. Nasz samolot niedługo startuje.

– Mam pytanie.

– Jakie?

– Wiesz, jak długo będziemy lecieli? – spytał David poważnie.



– Nie.  
– A ja wiem.  
– Wspaniale. To po co mnie pytasz?  
– Ponad trzysta godzin – powiedział David głośno i bardzo wyraźnie.  
– I?  
– Ponad trzysta godzin siedzenia w samolocie!  
– Mówisz to, bo...?  
– Bo to bardzo długo, nie uważasz?  
– Uważam – zgodziła się Laura łaskawie.  
– Ale mamy przecież trochę czasu, nim będziemy musieli pojechać na lotnisko, prawda?  
– Mamy.  
– No to, moim zdaniem, byłoby dobrze dla nas obojga, gdybyśmy znaleźli w pobliżu jakiś hotelik. Odpoczynek, odnowa biologiczna... oczywiście wyłącznie dla zdrowia.  
– Oczywiście.  
– Więc?  
– Nie ma mowy – powiedziała Laura stanowczo.  
– Nie?  
– I nie rób takiej obrażonej miny. Powiedziałam „nie”.  
– Ale trzysta godzin to strasznie długo. Znam cię, Lauro, i jestem pewien, że nie wytrzymasz trzynastu godzin bez...  
– Bez czego nie wytrzymam?  
– Przecież wiesz, o co mi chodzi. Myślę wyłącznie o tobie.  
– Wzrusza mnie ta troska o moją skromną osobę.  
– I?  
Laura uśmiechnęła się, zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go bardzo mocno.  
– Po co komu hotel? – wyszeptwała. – Zawsze chciałam spróbować tego w jednej z tych małych łazienek...  
Oczy Davida zabłysły.  
– Nie chodzi ci chyba o...  
– Właśnie o to. Nad Pacyfikiem.  
– Boże, kocham tę kobietę!  
„Lot Quantas 182 zaprasza na pokład pasażerów klasy ekonomicznej”.  
Laura wstała. Ruszyła w stronę budki telefonicznej, a szczęśliwe wspomnienia znikwały powoli w głębinach pamięci, pozostawiając po sobie tępy ból. Połączyła się z operatorem, poleciła obciążyć rozmową kartę kredytową. Dostała połączenie.  
– Heritage of Boston – powiedział głos w słuchawce.  
– Proszę z Richardem Corselem.  
– Chwileczkę. – Rozległ się sygnał, a po nim kolejny głos.  
– Biuro Richarda Corsela.  
– Mówi Laura Baskin. Chcę rozmawiać z panem Corselem.  
Chwila ciszy, a potem:

– Przykro mi, pani Baskin, ale pana Corsela nie ma w tej chwili w biurze.  
– Dzwoniłam wcześniej. Zapewniono mnie, że o tej porze będzie.  
– Bardzo mi przykro, pani Baskin. Czy zechce pani zostawić wiadomość?  
– Tak, proszę mu powiedzieć, że muszę z nim rozmawiać. To pilne. Zadzwoń jutro o dziesiątej rano.  
– Doskonale. Przekażę wiadomość.  
Eleanor Tansmore odłożyła słuchawkę. Spojrzała na szefa. Był blady jak trup.



Laura powoli odwiesiła słuchawkę. Znow działa się coś dziwnego. Richard Corsel jej unikał. Dlaczego? Spojrzała na długą kolejkę pasażerów czekających na wejście na pokład boeinga 747. Miała jeszcze chwilę. Szybko wybrała numer.

– Halo?  
– Serita?  
– Lauro, skarbie, gdzie jesteś?  
– W Los Angeles, na lotnisku. Odlatuję za chwilę. Chcę cię prosić o przysługę.  
– Strzelaj.  
– Corsel mnie unika. Mogłabyś wpaść do niego, sprawdzić, o co mu właściwie chodzi?  
– Dlaczego uważasz, że cię unika?  
– Nie mogę się do niego dodzwonić. Ilekroć próbuję, zawsze nie ma go w biurze.  
– I co z tego? Może rzeczywiście go nie ma?  
– Mało prawdopodobne. Kazałam go sprawdzić. Przez ostatnie lata nie wziął ani jednego wolnego dnia i nigdy nie pracuje poza bankiem.  
– Lauro, to mi zakrawa na drobną paranoję. To on się z tobą skontaktował. Dlaczego teraz miałby cię unikać?  
– Nie mam pojęcia – przyznała Laura. – Chyba że ktoś... Serito, mówiłaś komuś, że byliśmy w banku?  
– Dlaczego pytasz?  
– Sama nie wiem. Może ktoś dowiedział się o naszej wizycie i uznał za stosowne go postraszyć?  
Serita milczała.  
– To co, mówiłaś coś komuś czy nie?  
– Lauro...  
– Mówiłaś?  
– Rozmawiałam z T.C. Zrobiłam to wyłącznie dla twojego dobra. Niepokoisz mnie tym gadaniem o morderstwie. I jeszcze myślę, że może bierzesz się do czegoś, co cię przerasta.  
„Lot Quantas 182, to ostatnie wezwanie na pokład...”  
– Więc tylko T.C. wie?  
– Tylko on. Przysięgam. Zadzwoń do niego, Lauro, błagam cię.  
– Wie, że lecę do Australii?  
– Nie.

– Nie mów mu. Cokolwiek zrobisz, nie mów mu, dokąd poleciałam!  
– Chyba nie sądzisz, że on ma z tym coś wspólnego? Uwielbiał Davida.  
– Po prostu nie mów mu, gdzie jestem. Muszę kończyć. Zadzwoń do ciebie wkrótce.

Nim Serita zdążyła zaprotestować, Laura odwiesiła słuchawkę. Zdążyła na samolot.



Mark Seidman gapił się na T.C. szeroko otwartymi oczami.

– Coś ty zrobił?

– Nie miałem wyboru – powtórzył T.C.

– Nie miałeś wyboru? Jeśli dobrze pamiętam, zapewniałeś mnie, że nikomu nic się nie stanie.

– Nic mu nie zrobiłem. Tylko postraszyłem faceta.

– Na litość boską, groziłeś jego dzieciom!

– Posłuchaj mnie, Mark! Corsel to była twoja sprawa. Powiedziałeś, że będzie nas krył.

– Żle go osądziłem.

– I przez ten twój błąd wszystko może się zawalić. Najpierw ugiął się i powiedział Laurze, że pieniądze zawędrowały do Szwajcarii. Potem, że transferu dokonano po śmierci Baskina.

– Ale nie wie nic więcej – bronił się Mark. – Więc Laura niczego już się od niego nie dowie.

T.C. potrząsnął głową.

– I tu się mylisz. Corsel jest bystrym facetem. W firmie awansował bez problemów, a w dodatku szybko. Obiecał Laurze, że sprawdzi wszystko. Czuje się odpowiedzialny.

Mark Seidman chodził niecierpliwie tam i z powrotem, machinalnie bawił się swymi blond lokami.

– Musiał być jakiś inny sposób. Chryste, straszyleś człowieka, przyłożyłeś mu nóż do gardła!

– Mnie też się to nie podoba – warknął T.C. – ale trzeba było jakoś go powstrzymać. Załóżmy, że kopałby dalej. Załóżmy, że dokopałby się do pieniędzy Baskina. Cały plan mógł zaważyć jak domek z kart!

– Ale żeby grozić dzieciom...

– Nie miałem czasu. Nie zdążyłem wymyślić nic sprytniejszego. Ale nawet groźenie rodzinie nie wystarczyło.

– A co?

– Facet zdążył już poinformować Laurę, że Baskin zadzwonił do banku kilka godzin po tym, jak się podobno utopił. I teraz dziewczyna nie przestanie szukać, aż znajdzie odpowiedź, która jej wszystko wyjaśni.

Mark odwrócił się plecami do T.C. Wyrzął przez okno.

– Jest coś, czego zupełnie nie rozumiem – przyznał.

– Co takiego?

– Dlaczego Laura nie przysłała z tym do ciebie? Nie poprosiła cię o pomoc?

T.C. wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Kolejny punkt, w którym nasz plan zaczyna się załamywać. Być może przestała mi ufać.

– Przecież nie ma powodu sądzić, że masz coś wspólnego z utonięciem...

– A może ma – przerwał mu policjant. – Może właśnie ma?



Richard Corsel siedział w swoim biurze, wpatrzony w dwa długopisy sterczące z marmurowego pojemnika na biurku. Większość dnia spędził, siedząc i gapiąc się na nie. Próbował się skupić, ale w żaden sposób nie zdołał. Nawet na chwilę.

Wszystko przez tę bezsenność, pomyślał. Ostatnia noc ciągnęła się w nieskończoność. Chodził po domu, zszedł do kuchni, wykończył lody waniliowe, po raz kolejny przeczytał gazetę. Wrócił na piętro. Cicho otworzył drzwi pokoju bliźniaków. Roger i Peter spali, oddychając spokojnie, powoli. Na palcach podszedł do łóżka Petera, śpiącego w czapeczce Red Soksów na głowie. Kupił te czapeczki obu, w zeszłym miesiącu, kiedy Soksi znów zawitali na Fenway Park i grali z Tygrysami z Detroit. Co to był za dzień! Peter omal nie chwycił piłki, a Roger zjadł tyle hot dogów, że w końcu rozboleł go brzusek. Richard uśmiechnął się do śpiących dzieci. Delikatnie zdjął czapeczkę Petera, położył ją na nocnym stoliku, koło lampy kształtu kota Garfielda.

Wziął sominex. Liczył barany. Posunął się tak daleko, że zaczął nawet czytać nudne gazetki międzybankowe. Nic to nie dało.

– Panie Corsel? – zaskrzeczał interkom.

– Tak, Eleanor?

– Ma pan rozmowę na czwartej linii.

– Nie przyjmuję żadnych rozmów!

– Kiedy to pan Phillipe Gaillard z Bank of Geneva. Twierdzi, że ma pilną sprawę.

– Powiedz mu, że mnie nie ma.

– Ale...

– Powiedz mu, że mnie nie ma, ale oddzwonię.

Sekretarka milczała chwilę.

– Dobrze, panie Corsel – zgodziła się niechętnie.

Richard Corsel pochylił się, położył głowę na rękach. Potem wstał, przeszedł przez pokój, poszedł korytarzem do łazienki kierownictwa. Była pusta, cicha. Przed lustrem ochlapał sobie twarz zimną wodą.

Uświadomił sobie, że w końcu będzie musiał zadzwonić do Phillipe'a, bo jeśli tego nie zrobi, on będzie dzwonił do banku, a to niedobrze, nawet bardzo niedobrze. Szaleńcowi z nożem z pewnością to się nie spodoba. Nie, trzeba do niego zadzwonić, powiedzieć mu, żeby dał sobie spokój, a przede wszystkim zapomniał o koncie Baskina. Pytanie tylko: jak? Szaleniec z nożem z całą pewnością był zawodowcem i miał mocne powiązania. Skoro potrafił dowiedzieć się wszystkiego o mojej rodzinie i o rozmowie z Laurą Baskin, to równie dobrze mógł założyć podsłuch w telefonie.

Mógł nawet znaleźć kogoś, kto by mnie śledził. A jeśli uzna, że nadal próbuje wytropić pieniądze Baskina, to...

Nie. O tym lepiej nie myśleć.

Richard rozważał możliwość zawiadomienia policji albo zwierzchników z banku, ale co mógł im powiedzieć? Zwierzchnicy zapytają go przede wszystkim o to, dlaczego w ogóle przekazał poufne informacje Laurze, policja nie zdoła upilnować rodziny przed szaleńcem z koneksjami, wiedzącym wszystko o nowej pracy Naomi, o szkole Rogera i Petera. Doskonale zdawał też sobie sprawę z tego, że dopóki facet kryje się gdzieś w pobliżu, dopóty nic się nie zmienia i jego rodzina jest w niebezpieczeństwie. A co z Laurą Baskin? Czy wolno mu odwrócić się od niej bez słowa ostrzeżenia, nie uprzedzając, z kim ma do czynienia? Owszem, spotkał się z nią zaledwie dwukrotnie, ale i to wystarczyło, by nabrał pewności, że ta kobieta łatwo nie zrezygnuje. Laura Baskin będzie próbować, próbować aż do...

Uznał, że o tym też lepiej nie myśleć.

Więc co, do diabła, ma robić?

Richard wrócił do biura, wziął teczkę, podszedł do jednej z kasjerek. Wręczył młodej dziewczynie banknot dwudziestodolarowy.

– Proszę mi go rozmienić na ćwierćdolarówki.

– Cały? – zdziwiła się dziewczyna. – Po co panu tyle?

– Pojadę autostradą z mnóstwem budek do pobierania opłat po drodze – wyjaśnił zmęczonym głosem. – Po prostu daj mi te ćwiartki, dobrze?

Kasjerka wzruszyła ramionami, wręczyła mu monety.

– Proszę bardzo. Dokładnie osiemdziesiąt.

Corsel schował je do teczki. Wyszedł z banku. Złapał taksówkę, wsiadł do metra, trzy razy zmieniał linie i trasy, aż wreszcie wyszedł koło Bunker Hill Monument. Znalazł budkę telefoniczną. Nie ma mowy, by ktoś go zdołał śledzić przez całą drogę, i nie ma mowy, by mógł podsłuchać rozmowę. Nie z budki.

Rzucił pierwsze ćwiartki do automatu. Zadzwoił pod prywatny numer Phillipe'a Gaillairda w Bank of Geneva w Szwajcarii.

– Gaillaird – usłyszał w słuchawce.

– Phillipe? Mówi Richard.

– Jak się masz, przyjacielu? – W głosie mówiącym z wyraźnym akcentem słyhać było radość. Gaillaird urodził się w Paryżu, ale przeniósł się do Genewy, mając siedem lat. Dwa lata temu popełnił błąd: przelał pieniądze do Stanów na niewłaściwe konto. Był to wielki, wielomilionowy błąd z rodzaju tych, które mogą zrujnować szwajcarski bank. Richard wytropił te fundusze i oddał mu. Od tej pory Gaillaird szukał okazji do spłaty długu wdzięczności. Nie lubił takich długów. – Próbowałem się z tobą skontaktować.

– Tak, dostałem wiadomość.

– Skąd dzwonicz? Połączenie jest strasznie kiepskie.

– O to się nie martw.

– Przez linie twojego banku rozmawia się bez problemu.

– Nie dzwonię z banku.

– Och, rozumiem. No więc mam dla ciebie pewne informacje.

Richard zamknął oczy.

– Zapomnij o tej sprawie, Phillipie – powiedział.

– *Pardon?*

– Zapomnij, że kiedykolwiek mówiłem ci o tym koncje. Nie potrzebuję żadnych więcej nowych informacji.

– Jesteś pewien, Richardzie? Mam nazwisko.

– Jestem pewien. Całkowicie.

– O co chodzi? – spytał Szwajcar po chwili milczenia.

– O nic, tylko zostaw sprawę.

Głos w słuchawce stał się nagle bardzo poważny.

– Dzwonisz z budki?

– Tak.

– Posłuchaj mnie, Richardzie. Całe życie pracowałem dla szwajcarskich banków. Nie wiem, co się tam u ciebie dzieje, ale mam podejrzenia. Ktoś na ciebie naciska. W porządku, nie potwierdzaj, nie zaprzeczaj, w sumie to nie moja sprawa i nie chcę wiedzieć. Ale pozwolę sobie udzielić ci pewnej rady. Jesteś w budce. Nikt nie wie, z kim rozmawiasz i o czym, więc równie dobrze możesz poznać prawdę. Podam ci nazwisko tego, kto dostał pieniądze Baskina. Jeśli nigdy nie użyjesz tej informacji, nikt się o niczym nie dowie, a jeśli coś się zmieni, może ona ocalić ci skórę.

Richard mocno ścisnął słuchawkę telefonu. Phillipie mówił z sensem.

– W porządku. Dawaj nazwisko. Ale po tej rozmowie nie powinniśmy się już kontaktować.

– Rozumiem – przytaknął Szwajcar.

Laura wręczyła urzędnikowi zaświadczenie o stanie zdrowia, znalazła bagaż, przeszła przez kontrolę celną. Ciągnęła walizkę do postoju taksówek, kiedy nagle jakaś wielka łapa podniosła bagaż.

– Szeryf Rowe! – ucieszyła się. – Co za miła niespodzianka.

Graham uśmiechnął się przez swą gęstą brodę. Niósł walizkę, jakby ważyła tyle, co czekoladowy batonik.

– Przecież pani dzwoniła, nie?

– Tak, oczywiście, dzwoniłam, ale nie spodziewałam się, że będzie pan na mnie czekał.

Potężny Australijczyk tylko wzruszył ramionami. Poprowadził ją w stronę radiowożu. Laura natychmiast zauważyła, że wszyscy w okolicy mają na sobie szorty. Panował straszny upał, nawet na standardy Cairns. Dopiero po chwili dostrzegła piękno tego miejsca: jaskrawe promienie słońca, drzewa wyglądające tak, jakby dosłownie przed chwilą pomalowano je na zielono, jaskrawobłękitny ocean, złote plaże. Wspomnienia niemal przygniotły ją z całą siłą.

– Nic się nie działo – wyjaśnił szeryf. – Miałem wybór: albo powitać na lotnisku piękną panią, albo wydawać karty połowów bandzie bezzębnych wsioków. Nie był to łatwy wybór. – Przerwał, znów się uśmiechnął. – Moja pani wołała, żebym został ze wsiokami. Widziała zdjęcia w magazynach.

Laura odpowiedziała mu uśmiechem.

– Tym bardziej dziękuję, że pan przyjechał.

Szeryf włożył walizkę do bagażnika, po czym uprzejmie otworzył przed nią drzwiczki samochodu.

– Gdzie się pani zatrzymała, pani Baskin?

– Laura, proszę. W Pacific International, szeryfie.

– Graham, proszę. A teraz, Lauro, czy będziesz tak uprzejma i wyjaśnisz mi, po co przyjechałaś?



W wolnym czasie, po zrzuceniu egzotycznych strojów służbowych, większość modelek wkłada najchętniej wygodne sprane dżinsy i porozciągane bluzy. Serita nie należała jednak do większości. Uwielbiała elegancję i drogie stroje, a im bardziej egzotyczne, tym lepiej. W tej chwili dopinała ciasny biały kombinezon. Jeśli chodzi o ubrania, preferowała biel. Podobało jej się, jak kontrastuje z jej hebanową skórą, a sądząc z reakcji ludzi, którzy mieli szansę ją zobaczyć, nie jej jednej to się podobało. Gdyby była po prostu kobietą, oglądano by się za nią z zainteresowaniem, ponieważ jednak była Seritą, oglądającym się za nią opadały szczęki.

Co bardzo jej się podobało.

Powinam zostać aktorką, pomyślała z uśmiechem. Cholernie lubię się zgrywać.

No dobrze, lubiła też rzucać się w oczy. Jest w tym coś złego? Z tego, jak radośnie media opisują jej ekstrawertyczną osobowość, mogłoby wynikać, że przez nią wybuchają wojny na Bliskim Wschodzie. Owszem, była wybuchowa, i co z tego? Nigdy nikogo nie skrzywdziła. Nigdy się nikomu nie narzucała. Lubiała dobrze się bawić i jeśli ktoś ma z tym problem, jeśli wkurza się, bo ona nie chce być spokojna, zawsze przygaszona, zawsze nieskazitelna i okropnie nudna, to niech się pieprzy.

Chwyciła torebkę, podeszła do drzwi. Laura. Jej uparta przyjaciółka. Co jej strzeliło do głowy, żeby uciekać na drugi koniec świata? Jak Laura coś już sobie postanowi, nie ma na nią sposobu. Szukała, pytała i po co? Chce poznać prawdę? Przyniesie to jej coś dobrego? Powiedzmy, że coś rzeczywiście jest nie tak. Powiedzmy, że śmierć Davida nie była przypadkowa. Nawet jeśli, co to zmienia? Prawda ogrzeje jej łóżko? Przywróci życie Davidowi? Czy w jakimś stopniu złagodzi jej cierpienia?

Nie.

Serita wiedziała, że Laura nie przestanie szukać, póki nie znajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania. Satysfakcjonujących odpowiedzi, a ją trudno było usatysfakcjonować. I jeszcze jedna ważna sprawa: śledztwo dawało jej zajęcie, odwracało uwagę od bolesnej rzeczywistości. Ale rzeczywistość pozostała rzeczywistością. Rzeczywistość potrafi narzucać się ze straszną siłą. Kiedy to wszystko wreszcie się skończy, David nadal będzie martwy...

...a jeśli nie utonął, jeśli nie był to nieszczęśliwy wypadek, może zginąć Laura.

Serita zdążyła już rano odwiedzić Heritage of Boston. Nie spotkała się z Corselem, bo go nie było. Teraz jechała do Quincy Market, o czwartej miała sesję fotograficzną. Reklama dżinsów. Zdjęła z haczyka kurtkę, sięgnęła do klamki, otworzyła drzwi.

– Cześć, Serito.

Aż podskoczyła ze zdumienia.

– T.C., śmiertelnie mnie wystraszyłeś.

– Przepraszam. Chyba rzeczywiście powinienem wcześniej zadzwonić.

– Nic się nie stało. Mogę ci jakoś pomóc?

T.C. odgryzł koniec cygara, wsadził je między zęby, ale na razie nie zapalał.

– Szukam Laury – powiedział. – Nie wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

Serita wzruszyła ramionami.

– A nie ma jej w Svengali?

T.C. wolno pokręcił głową.

– Rozmawiałem z jej sekretarką... nie pamiętam, jak ma na imię.

– Estelle.

– No właśnie. Estelle. Więc rozmawiałem z Estelle. Powiedziała, że Laura wyjechała z miasta. Na parę dni. Powiedziała, że to wyjazd w jakiś interesach.

– Ale nie powiedziała dokąd?

– Twierdzi, że nie wie. Może do Kanady? Twierdzi, że to wielka tajemnica świata mody. – T.C. wyjął zapalniczkę, przyłożył ją do cygara. Płomień to rozbłyskiwał, to przygasał, aż wreszcie rozjarzył się czubek cygara. – Miałem nadzieję, że ty mi powiesz, gdzie jest. Martwię się o nią, Serito.

– Martwisz? A to dlaczego?

Policjant odetchnął głęboko.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś mi, że ma pewne podejrzenia? Że śmierć Davida mogła nie być przypadkowa?

– Jasne.

– I że ja mogę podejrzewać coś podobnego?

– Właśnie.

– No więc... miała rację. Jeśli chodzi o moje podejrzenia.

– Czyli... – Oczy Serity się rozszerzyły.

– Czyli jest całkiem prawdopodobne, że śmierć Davida to nie był wypadek.

Serita zadrżała na całym ciele. Cofnęła się, gestem zaprosiła przyjaciela do mieszkania. Zamknęła drzwi. Oboje usiedli.

– Śmierć Davida nie była przypadkowa... – powtórzyła.

– Mogła nie być – poprawił ją T.C. – David mógł zostać zamordowany... a mógł nie zostać. Rozmawiamy teoretycznie, pamiętaj.

– A ty jak myślisz? Co się stało?

T.C. podrapał się po karku.

– Dokładnie to nie wiem. Może być i tak, że kilku niedobrych chłopców uznało, iż da się coś uszczknąć z pieniędzy Davida, więc dali mu po łbie.

– Kto to mógłby być?

– Nie mam pojęcia. Ale kimkolwiek jest, to ktoś potężny i z dobrymi powiązaniem. Takiego numeru nie wykręci byle amator. Mówimy o bardzo nieprzyjemnych ludziach, a nieprzyjemni ludzie nie zawahają się zabijać, kiedy węszyć się wokół ich interesów. Właśnie dlatego chcę znaleźć Laurę.



– Sądzisz, że może być w niebezpieczeństwie?

– Czy sądzę? – powtórzył policjant. – Serito, przecież mówimy o Laurze. Laura nie jest zawodowym detektywem i, powiedzmy sobie szczerze, nie jest subtelna. Jeśli zacznie działać, to jak słoń w składzie porcelany. Bardzo nieprzyjemni ludzie bardzo tego nie lubią. Bardzo nieprzyjemni ludzie mają swoje sposoby i Laura łatwo może przepaść bez śladu.

Serita wstała.

– Muszę się napić – rzekła. – A ty?

– Nie, dziękuję.

Dziewczyna podeszła do lodówki, wyjęła butelkę wódki, naląła sobie kieliszek.

– Serito – powiedział T.C. wolno, poważnie – czy Laura powiedziała coś, co mogłoby nam wskazać, dokąd pojechała?

Łzy napłynęły Sericie do oczu, ale zdołała je powstrzymać, nim spłynęły na policzki. Była przerażona, owszem, ale też dała słowo przyjaciółce i miała zamiar go dotrzymać, choćby wokół niej rozpętało się piekło. Poza tym T.C. poruszył parę interesujących kwestii. Jeśli David został zamordowany, to morderca rzeczywiście musiał mieć wspaniałe powiązania. Zdołał (lub może zdołała?) zdobyć jego tajne hasło do konta, dowiedział (dowiedziała?) się o sekretnym miesiącu miodowym. Potrafił (potrafiła?) nie tylko zabijać, lecz także przeprowadzić skomplikowany transfer bankowy przez Szwajcarię. Niewielu ludzi pasowało do tego opisu. Niewielu ludzi potrafiłoby dokonać takiego morderstwa. Serita osobiście znała tylko jedną taką osobę. I ta osoba siedziała w jej mieszkaniu, na jej kanapie i pytała, gdzie jest Laura.

– Nie. Niczego takiego od niej nie usłyszałam.



Laura opowiedziała Grahamowi o wszystkim. Zaczęła od włamania do domu, otwartego kalendarza na biurku, mówiła o zaginionej fotografii i zaginionych pieniądzech, a także o Richardzie Corselu i przelewie do Szwajcarii. Nie ukrywała niczego. Opowieść zakończyła, gdy oboje siedzieli na miękkich fotelach w pokoju dziennym jej apartamentu w hotelu Pacific International.

Graham w pewnym momencie wstał. Chodził po pokoju, kiwał głową, głaskał się po brodzie i słuchał.

– Rzeczywiście, dziwnie to brzmi – przyznał.

– Wiem.

– Bardzo dziwnie – powtórzył, jakby chciał potwierdzić tę opinię, wbić ją sobie do głowy. – Więc twierdzisz, że ten numer. hasło... znaliście tylko wy, ty i David?

– Oczywiście.

Szeryf spojrzał na nią uważniej.

– Co czyni z ciebie całkiem niezłą podejrzaną, prawda?

– Nie – zaprzeczyła Laura bez gniewu, rzeczowo. – Jestem żoną. I tak wszystko bym po nim odziedziczyła. Nie było powodu, żeby bawić się w jakieś przelewy.

Skinął głową.

– Nie mówiłem poważnie...

– Tylko mnie nie przeprasza! Musimy rozważyć każdą możliwość, choćby nie wiem jak nieprawdopodobną. Od tej zaczęliśmy, i dobrze. Mamy ją z głowy.

– Słusznie. Pozwól mi teraz na kolejną obserwację, która może ci się wydać nieco bardziej odkrywczą. Podejrzewasz, że przyjaciel twojego męża, ten T.C., może mieć coś wspólnego z tą sprawą.

Laura wstała.

– Co ci podsunęło ten pomysł?

– Proste. – Graham się uśmiechnął. – Gdybyś nadal bezwarunkowo mu ufała, byłby tu z tobą. Był pierwszą osobą, do której zadzwoniłaś, kiedy zagiął David. Zgodnie z twoimi słowami to dobry glina i jego najlepszy przyjaciel. Więc dlaczego go tu nie ma? Dlaczego nie prowadzi śledztwa?

Laura wyjrzała przez okno. Nieco dalej przy tej samej ulicy stał budynek Petersona. Po co poszła na to cholerne spotkanie? Dlaczego nie została z Davidem?

– Nie wiem – przyznała. – Zawsze ufaliśmy T.C. Oboje, i ja, i David. Byli sobie bardzo bliscy. Nie wierzę, żeby mógł działać na szkodę Davida. On go uwielbiał. Ale...

– Ale?

– Ostatnio dziwnie się zachowywał.

– Jak dziwnie?

– No, może to drobiazgi, ale jest ich mnóstwo. Ciągłe gdzieś znika, nie sposób go znaleźć. Powstrzymał mnie przed przyciśnięciem Corsela. Dziwne zdarzenia nazywa przypadkami. To niepodobne do gliny, którego znam. T.C., którego znam, poszedłby do piekła, gdyby coś go tam prowadziło, a już zwłaszcza gdyby to coś dotyczyło Davida.

– A więc nie wie, że przyjechałaś?

Laura pokręciła głową. Szeryf opadł na fotel.

– No to co ty na to, żebyśmy zaczęli nasze śledztwo?

– Od czego powinniśmy zacząć?

– Masz zdjęcie Davida?

Laura wyjęła z torebki fotografię. Zrobiona w lutym, przedstawiała Davida z policzkami zaczerwienionymi od wiatru, otoczonego widocznym obłoczkiem pary z oddechu, ciepłego powietrza wypuszczanego z płuc w ten mroźny zimowy poranek. Mimo to David uśmiechał się wesoło.

– Proszę – powiedziała, wręczając ją Grahamowi. – Co zamierzasz z nią zrobić?

– Do banku dzwoniło z hotelu, prawda?

– Tak. Co z tego?

– To – powiedział spokojnie Australijczyk – że właśnie jesteśmy w tym hotelu. Sprawdzimy, czy ktoś z obsługi przypadkiem go nie pamięta.



Kilka godzin spędzili na rozmowach z obsługą. Większość ludzi, którym zadawali pytania, tego feralnego dnia nie pracowała, a ci, którzy pracowali, nie widzieli mężczyzny z fotografii.

– Co teraz? – spytała Laura.

Graham zastanawiał się przez chwilę.

– Chodźmy do baru na piętrze – zaproponował wreszcie.

– Sądysz, że barman mógł go widzieć?

– Bardzo wątpię. Chodzi mi raczej o to, że mam ochotę się napić. Człowiek nie wielbłąd, prawda?

Poszli na górę, usiedli, czekali na barmankę, która miała ich obsłużyć. Laura przyjrzała się stojącej za barem dziewczynie. Była młoda, mogła mieć dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, i bardzo ładna, w stylu dziewczyn z reklamy mydła Ivory. Chyba lubiła pieszce wycieczki. Dobrze umięśnione ciało, kasztanowate włosy. Takie same jak cioci Judy.

– Co podać? – spytała barmanka Grahama.

– Dwa razy cztery X.

– Już się robi.

Laura trąciła szeryfa.

– Co to jest to cztery X?

– Miejscowe piwo. Lubisz piwo, prawda?

Skinęła głową.

– Więc... co robimy teraz, Graham?

– Jeszcze nie wiem. Nie jestem pewien. Skoro nikt go nie poznaje, to może ten twój bankier, Corssel, miał jednak rację? Ktoś zadzwonił stąd i naśladował jego głos. Pytanie brzmi: kto?

Ładna barmanka pojawiła się przy nich z dwoma wielkimi kuflami piwa. Piana przelewała się przez ich krawędź.

– To dla państwa.

– Dzięki, skarbie. – Graham pociągnął łyk. – Mogę zadać pytanie?

– Oczywiście.

Graham rzucił jej fotografię.

– Widziałaś może tego człowieka? Mógł być tu, w hotelu, gdzieś tak w czerwcu.

– Czerwiec, mówi pan? Nie, nie mogę powiedzieć, żebym rozpoznała chłopaka.

A co, naruszył prawo? Strasznie przystojny jak na kryminalistę.

Szeryf schował zdjęcie.

– Nie, nie naruszył prawa. My tylko chcemy wiedzieć, czy był w hotelu.

– Przystojny chłopak – powtórzyła dziewczyna. – Jak się nazywa?

– David Baskin.

– Ten koszykarz, który się utopił gdzieś tam na wybrzeżu?

Graham skinął głową.

– To wdowa po nim – przedstawił Laure.

– Przykro mi, proszę pani, naprawdę bardzo mi przykro.

– Dziękuję – powiedziała Laura.

– A jeśli chodzi o to, czy był tu, w hotelu, to powinniście pytać Billy'ego.

– Kim jest ten Billy?

– Moim chłopakiem. I wielkim fanem amerykańskiej koszykówki. Co tydzień

ogląda ją w telewizji, a kiedy raz zacznie, to się od niej nie oderwie, choćby krokodyl odgryzał mu nogę.

– I on widział pana Baskina?

– W każdym razie tak twierdzi. Najpierw mu nie wierzyłam – wyznała dziewczyna – no bo proszę pomyśleć, co ma tu u nas do roboty gwiazda koszykówki? Powiedziałem: „Zmyślasz, Billy”. A on na to: „Tak?”. I pokazał autograf, który od niego dostał. Dopiero wtedy uwierzyłam.

– I gdzie jest teraz Billy?

Barmanka zerknęła na wiszący za jej plecami zegar.

– Będzie za parę minut. Jest boymem. Znajdziecie go pewnie przy recepcji. Taki wysoki, chudy.

Laura położyła należność na stoliku. Wysłała pierwsza. Graham podziękował dziewczynie i pospieszył za nią.



– Billy?

Wysoki chłopak obrócił się, spojrzął na wołającego go szeryfa. Był przeraźliwie chudy, jak z plakatu o głodnych dzieciach, i Laura zastanowiła się przelotnie, skąd bierze siłę, żeby dźwigać walizki gości. Nie wydawał się przesadnie przystojny, twarz miał czerwona od słońca, a na skórze pozostałości po młodzieńczym trądziku.

– Tak?

– Billy, jestem szeryf Rowe. Chciałbym ci zadać kilka pytań.

Chłopiec rozejrzał się dookoła, przestraszony.

– Zrobiłem coś złego, szeryfie?

– Nie, synu. Chcę cię tylko zapytać o Davida Baskina.

– David Baskin? A co ja mogę... zaraz, chwileczkę, pani to Laura Ayars, prawda?

– Tak, to ja.

– W rzeczywistości jest pani jeszcze ładniejsza niż w telewizji. Wiem o pani wszystko. Byłem największym fanem pani męża... no, w każdym razie największym fanem w Australii.

– Billy – przerwał mu szeryf – czy widziałeś pana Baskina tu, w tym hotelu?

– Jasne, że tak.

– Kiedy?

– Tego dnia, kiedy zginął. Wszedł o tędy, przez te drzwi, jak do siebie.

– Jesteś pewien?

Chłopak skinął głową.

– Mam jego autograf, a to już dowód, prawda? Bardzo sympatyczny facet. Widziałem, jak wchodzi i idzie prosto do windy. Nie wierzyłem własnym oczom! No bo co, David Baskin, ten David Baskin, u nas w hotelu? Sam trochę gram w kosza, ale drugiej Białej Błyskawicy nie ma na całym świecie. Nikt nie może się z nim równać. Nikt. On jest najlepszy! No więc podbiegłem do lady, chwyciłem długopis i kartkę i poprosiłem go o autograf. Odparł: „Jasne, mały. Jak się nazywasz?”. Powiedziałem mu. Napisał, że to specjalnie dla mnie, i nawet dodał datę.

Laura poczuła na piersi wielki ciężar. Jeśli tylko miał na to czas, David zawsze dodawał datę do autografu. Przeczytał gdzieś, że kolekcjonerzy znacznie wyżej cenią autografy z datą.

– A co potem?

– No tak jak mówiłem: wsiadł do windy i pojechał na górę. Z nikim nie rozmawiał. Był miły i w ogóle, ale widziałem, że coś go martwi.

– Dlaczego ci to przyszło do głowy?

– No nie wiem. Wyglądał jak w transie czy coś.

– Widziałeś, jak wychodził?

– No... niezupełnie.

– Jak to?

Do hotelu wdarła się grupa hałaśliwych turystów po całodziennym wycieczce łodzią na Green Island.

– Kiedy pan Baskin był na górze – mówił dalej Billy – ja zbierałem się na odwagę, żeby z nim pogadać, gdy wróci. Chciałem mu powiedzieć, że moim zdaniem jest najlepszym koszykarzem na świecie i że uwielbiam patrzeć, jak gra. Zjechał może godzinę później. Już byłem, rozumie pan, napalony na tę rozmowę... a potem zobaczyłem jego twarz.

– Co takiego zobaczyłeś w jego twarzy?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie potrafię tego dokładnie powiedzieć, ale wydał mi się strasznie blady. Mówiłem już panu, że poprzednio był jakby zmartwiony, ale potem to już co innego; cierpiał, jakby ktoś tańczył mu po brzuchu na szpilkach albo jakby ktoś powiedział, że ma przed sobą dwa miesiące życia, albo coś w tym stylu. Nigdy nie widziałem takiej zmiany. Wsiadł z windy, ale mówię panu, ledwie szedł. Muszę panu powiedzieć, szeryfie, że można się było przestraszyć.

Laura poczuła, że serce bije jej mocno, coraz mocniej. Co się zdarzyło tam, na górze? Sukinsyny podały mu narkotyk? Pobiły go, przestraszyły? Co mogło wywołać taką jego reakcję?

– I co dalej? – spytał cierpliwie Rowe.

– No więc podszedłem do niego i spytałem, czy wszystko w porządku. Nie odpowiedział, tylko szedł przed siebie taki oszołomiony, jakby oberwał pałą w łeb. Uznałem, że to w końcu nie mój interes, że jeśli będę się narzucał, mogę wpaść w kłopoty, więc odpuściłem.

– Wyszedł z hotelu?

Billy podrapał się po głowie.

– To właśnie jest strasznie dziwne. Rzeczywiście, wyszedł, ale parę razy przespacerował się ulicą. Poszedł Esplanade w tamtą stronę i znikł mi z oczu za biurowcem.

Laura przełknęła ślinę z wysiłkiem.

– Którym?

– Tym przecnicę stąd.

– Mówisz o budynku Petersona?

– No właśnie – potwierdził Bill. – W każdym razie potem, nie wiem, ile minęło czasu, pewnie jakieś pół godziny, wrócił do hotelu.

– I pojechał na górę, tak? – spytał szeryf.

– Nie. – Billy pokręcił głową. – Tylko tak łąził w kółko. Potem zapytał mnie, gdzie tu jest telefon. Pokazałem mu.

– Mówisz o automacie?

– Nie. Powiedział, że musi zadzwonić do Stanów, więc zaprowadziłem go do jednej z naszych telefonistek, żeby połączyła rozmowę.

– Jak się nazywa ta telefonistka?

– To Stara Maggie. Zmarła w zeszłym miesiącu. Miała chyba ze dwieście lat.

– O której to było godzinie?

– Chwileczkę... tak, musiało być około dziesiątej wieczorem.

– Co potem?

Billy odetchnął głęboko.

– Skończył rozmowy...

– Rozmowy? – przerwała mu Laura.

– No więc wie pani, nie podsłuchiwałem przecież, ale jestem pewien, że to były co najmniej dwie rozmowy. Nie wiem, czy dostał połączenia, czy nie. W każdym razie skończył rozmowy i zaczął odstawiać zombie w recepcji. Chodził i chodził. To już wydawało mi się naprawdę dziwne, ale jak mówiłem... to przecież nie był mój interes. Wyszedł mniej więcej o wpół do jedenastej.

Szeryf pamiętał, że do banku dzwonił około północy.

– Wrócił jeszcze?

– Nie mogę powiedzieć na pewno, ale to całkiem prawdopodobne. Wyszedłem o wpół do dwunastej. Widziałem, jak stoi na Marlin Jetty, sam jak palec. Po prostu stał i patrzył na wodę. Oprócz niego nikogo tam nie było. Wiem, w gazetach pisali, że utopił się i że to był wypadek, a ja nie chcę szargać jego dobrego imienia, ale nie wyglądał na kogoś, kto ma ochotę popływać sobie dla rozrywki... jeśli rozumiecie, o czym mówię.

Laura i szeryf wymienili spojrzenia. Wiedzieli, o czym chłopak mówi.



Judy Simmons weszła do swego mieszkania, rzuciła bagaże na podłogę i opadła na najbliższe krzesło. Na twarzy nadal miała ten niemądry uśmiech, nie schodził jej z warg, był jak przyklejony. No nie, może lepszym określeniem byłoby: głupekowaty uśmiech. Nie, powiedziała sobie Judy, bądźmy wobec siebie uczciwi. Od tak dawna nie uśmiechała się w ten szczególny sposób (po prawdzie w ogóle się nie uśmiechała), że zapomniała, jak coś takiego się nazywa. Zastanawiała się dłuższą chwilę, nim przypomniała sobie właściwą terminologię. Wykładowczyni angielskiego nie powinna używać akurat tego potocznego określenia do opisu wyrazu twarzy, ale cóż zrobić, było dosadne i w pełni odpowiadało rzeczywistości. Tak, studenci Colgate College mówili o uśmiechu „dobrze wypieprzonej” kobiety, wyglądającej w pewien szczególny sposób po wyjątkowo udanym kontakcie seksualnym. Czy też, by być

dokładniejszym, w tym przypadku chodziło o weekend wyjątkowo udanych kontaktów seksualnych. Trzy razy dziennie. Kto mógł przypuszczać, że profesor Bealy dysponuje tak niezwykłą wytrzymałością?

Z Colinem Bealym, profesorem geologii, zaczęła się spotykać mniej więcej miesiąc temu. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, trójkę dorosłych dzieci i był rozwiedziony, niski, z gęstą brodą, ciemnobrązowymi oczami i lekko zarysowującym się brzuszkiem. Choć należał do niewielkiej grupy cenionych w kraju wybitnych naukowców, ekspertów w swej dziedzinie, Judy początkowo obawiała się, że nie będą do siebie pasowali intelektualnie. Nie wiedziała, jak kobieta, ucząca sztuki słowa na przykładzie Szekspira i Tołstoja, może umawiać się na randki z mężczyzną, którego fascynują kamienie. Przecież trudno dopatrzeć się w nich czegoś romantycznego.

Okazało się, że bardzo się myliła co do Colina i jego fascynacji. Był człowiekiem odczytanym i raczej genialnym niż tylko wybitnie inteligentnym, a geologia okazała się bardzo daleka od jej wyobrażenia: paru brodatych facetów łupie kamienie, szukając odcisku muszli. Przypominała raczej badanie planety w jej naturalnej chwale, poznawania jej historii oraz przyszłości.

Judy przewinęła taśmę popiskującej przeraźliwie automatycznej sekretarki. Wraz z Colinem spędziła w New Hampshire całe cztery dni, nagromadziło się więc sporo wiadomości. Udała im się ta wyprawa, wspaniałe, choć krótkie oderwanie się od rzeczywistości. Czyżby wreszcie, po tylu latach, znalazła świetnego mężczyznę, którego mogła nazwać swoim?

To nieprawda. Omal nie dostałam najlepszego. Dwukrotnie.

Taśma zatrzymała się, ruszyła.

Omala nie dostałam najlepszego. Dwukrotnie.

Dwie osoby, które chciały z nią rozmawiać pierwsze, przerwały połączenie, nie zostawiając wiadomości. Boże, jak ona tego nienawidziła. Jak można nie mieć manier na tyle, by powiedzieć choćby parę słów? Kolejną okazał się student proszący o przedłużenie terminu napisania pracy, którą miał złożyć jutro.

Dwukrotnie omala nie dostałam najlepszego.

Z wysiłkiem odepchnęła od siebie tę bolesną myśl. I nagle usłyszała głos siostry.

– Judy, mówi Mary. Proszę, zadzwoń do mnie jak najszybciej. Natychmiast. Muszę z tobą porozmawiać. To ważne.

Niemądry, może nawet głupkowaty uśmiech „dobrze wypieprzonej” kobiety znikł z twarzy Judy jak zdmuchnięty. Panikę w głosie Mary usłyszałby nawet głuchoniemy. Judy wyobraziła sobie siostrę zwijającą sznur telefonu na nadgarstku i jej oczy rozszerzone z niepokoju i strachu. Musiało się zdarzyć coś złego i należało się tylko modlić, by Laury nie spotkała kolejna krzywda. Tylko... czy to w ogóle możliwe? Dziewczyna została przecież wplątana w grzechy młodości, jakby sama je popełniła. Wplątana w tę sieć tak głęboko, że uwolnienie się z niej nie było już możliwe. Z połączenia zła i przeszłości powstał potężny wróg zdolny ranić, kaleczyć, nawet zabijać.

Mary dzwoniła jeszcze dwukrotnie, za każdym razem coraz rozpaczliwiej błagając o rozmowę. A potem rozległ się głos Laury.

– Cześć, ciociu Judy, to ja. Wyjeżdżam na parę dni, ale chcę ci powiedzieć, że w sobotę, podczas meczu w Boston Garden, Celtowie mają wycofać numer Davida. Wiem, że jesteś bardzo zajęta, ale byłabym ci wdzięczna, gdybyś przyszła na uroczystość. Z Colinem, jeśli chcesz. Chętnie go poznam. Kocham cię, porozmawiamy wkrótce.

– Ja też cię kocham – powiedziała głośno Judy. Wytarła zbuntowaną łzę. Zło i przeszłość. David już nie cierpi, ale ból stał się nieodłącznym towarzyszem jego żony. Ciekawe, pomyślała, ile to wielkich dzieł literatury nauczyło mnie, że życie jest niesprawiedliwe, że nawet w przybliżeniu nie przypomina uczciwego pojedynku. Życie to chaos, jednych rozpieszcza, a innych niszczy, bez planu i uzasadnienia. Tak po prostu jest, więc musisz zaakceptować brak zasad i żyć dalej.

Wiadomość od Laury była ostatnią nagraniem na sekretarkę. W soboty Colin prowadzi seminarium, więc pewnie nie będzie mógł pójść z nią na uroczystość, ale ona się wybierze. Bardzo lubiła Davida, od samego początku, a w dodatku, ku wielkiemu zdumieniu Laury, znała go doskonale i była jego wielbicielką.

– Chodzisz z Davidem Baskinem? – spytała siostrzenicę. – Lepszego koszykarza w życiu nie widziałam!

– Nie wiedziałam, że lubisz koszykówkę.

– Kocham koszykówkę. Kiedy jeszcze mieszkałam na Manhattanie, miałam karnet na wszystkie mecze Knicksów. Śledzę karierę twojego chłopaka od czasów Michigan Wolverine. A ty? Nie lubisz koszykówki?

– Teraz już lubię.

Judy się roześmiała.

– No to powiedz tej twojej przystojnej supergwiazdzie, że ma załatwić mi bilety.

– Już masz załatwione. Kiedy przyjeżdżasz?

– Za dwa tygodnie.

– Zatrzymasz się u mnie?

– Oczywiście.

– Doskonale. No to do zobaczenia, ciociu Judy.

– Do zobaczenia, Lauro.

Judy odetchnęła głęboko. Biedna Laura. Biedny David. Sięgnęła po telefon, wybrała numer Mary.

– Halo?

– Dzień dobry, Mary.

– Gdzieś ty była!?! – Mary podniosła głos, niemal krzyczała. – Szukam cię od kilku dni!

– Właśnie się dowiedziałam. Wyjeżdżałam.

– I nie sprawdzałaś wiadomości? A gdyby ktoś miał do ciebie pilną sprawę?

Judy przymknęła oczy.

– Myślałam o czymś innym. Zapomniałam. Co to za wielki problem?

Jej siostra milczała chwilę, a potem powiedziała:

– Stan Baskin.

– Brat Davida?



– Właśnie.

– I co z nim?

– Mieszka z Glorią.

Judy miała wielką ochotę się roześmiać.

– I co z tego?

– Co z tego? – Mary była wściekła. – Nie zdajesz sobie sprawy, co to oznacza?

Judy westchnęła głęboko.

– Dlaczego nie chcesz cieszyć się szczęściem Glorii? Przecież tyle wycierpiała, a to zupełnie inna sytuacja niż z Davidem i Laurą.

Mary znów zamilkła. Uspokoiła się.

– Wiem – powiedziała cicho. – I chcę dla mojej córki tego, co dla niej najlepsze.

– Ten Stan Baskin... czy to sympatyczny facet?

– Nie wiem. Jeszcze go nie poznałam.

Judy skinęła głową. Teraz rozumiała już, dlaczego jej siostra jest taka zdenerwowana.

– Jeśli ten związek przetrwa, będzie musiała się z nim spotkać.

– Wiem. I boję się. A jeśli pozna...

– Minęło trzydzieści lat – przerwała jej Judy. – A w ogóle to ryzyko, które musimy podjąć. Obie. Dla Glorii.

– Obie?

– Ciągłe rozmawiasz z Laurą?

– Tak.

– Więc pewnie wiesz o sobotniej ceremonii w Boston Garden. Jestem pewna, że Stan tam będzie. Ja też.

– Przyjdiesz?

– Tak.

– Bardzo ci dziękuję. Potrzeba mi wsparcia.

– Nie przyjeżdżam dla ciebie – powiedziała Judy chłodno – ale dla Laury. I żeby złożyć hołd Davidowi.

– Słuchaj...

– Tak?

– To się nigdy nie skończy, prawda? Za każdym razem, kiedy już-już wydaje się, że jest po wszystkim, przeszłość wraca, żeby mnie prześladować. Czy to rzeczywiście było takie straszne? Wystarczająco złe, żeby cierpiały dzieci? Niewybaczalne?

Judy przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Szczerze mówiąc, nie, nie było to niewybaczalne, ale czasami nasz bezlitosny świat działa jednak według pewnego wzoru przypominającego domino. Przewracamy jedną małą kostkę i nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wywołujemy reakcję, od której przewracają się inne. Czy ta szczególna reakcja łańcuchowa dobiegła wreszcie końca, czy przewróciła się ostatnia z kostek? Czy śmierć Davida oznacza, że przyszedł kres zniszczenia?

Judy miała nadzieję, że tak. Ale bardzo wątpiła, czy jej nadzieja jest uzasadniona.

T.C. wracał na posterunek. Myślał o tym, że Serita okazała się dobra, nawet bardzo dobra, ale miał przecież do czynienia z lepszymi. Kłamała. Bez wątpienia. I nie czuła się z tym najlepiej. Gdyby była stuprocentowo pewna, że kłamstwo jest tym, czego w tej chwili on najbardziej potrzebuje, jej mina niczego by nie zdradziła. Nawet teraz nie był wcale taki pewny siebie, jakiego udawał. Ale co innego mógł zrobić? Gdyby założył, że mówi prawdę, nie miałyby punktu zaczepienia. Natomiast jeśli założyć, że kłamie... ooo, to zupełnie inna historia.

W porządku, myślał T.C., więc założmy, że Serita kłamie. Co to znaczy? Spróbował poukładać sobie w głowie fakty. Fakt pierwszy: Laura spotkała się z Corselem. Fakt drugi: w tej chwili wie już wszystko o czasie dokonania przelewu. Fakt trzeci: dowiedziała się, że David dzwonił z hotelu Pacific International w Australii. Konkluzja, przynajmniej chwilowa, mogła brzmieć tylko tak: wiedząc to wszystko, Laura nie zapomni i nie odpuści. Pytanie: dokąd mogła pojechać?

T.C. nie kupił rewelacji Estelle, jakoby wypełniała sekretną misję w świecie mody. Co za gówniana wymówka! Owszem, potrafił zrozumieć, że są rzeczy, które trzeba zataić przed konkurencją, ale żeby zatajać je przed rodziną i przyjaciółmi? To nie w stylu Laury. Laura ufa przyjaciołom. Niczego by przed nimi nie ukrywała, zwłaszcza teraz, kiedy wszyscy tak się o nią martwią.

Ale nie ufa mnie.

Przykre to, ale T.C. nie mógł się okłamywać. W którymś momencie stało się coś, przez co stracił jej zaufanie. Laura nie powiedziała mu o drugiej wizycie u Corsela, nie powiedziała też, czego dowiedziała się o śmierci Davida. Gdyby mu ufała, nie robiłaby z tego tajemnicy. Gdyby mu ufała, skorzystałaby z pomocy, której tak bardzo potrzebuje.

T.C. pokręcił głową. Ta jej cholerna podejrzliwość tylko wszystko skomplikowała. Ale te mało ważne sprawy prowadziły donikąd. Musi jak najszybciej odkryć, gdzie jest Laura i co planuje. Pytał jej rodziców, siostrę, najlepszą przyjaciółkę. Niczego się od nich nie dowiedział. Czyżby Laura wyjechała dokądś, nic nikomu nie mówiąc? A jeśli tak, to dlaczego? Całkiem możliwe, że nie chciała narażać bliskich. Całkiem możliwe, że robi coś, co uznała za niebezpieczne. Całkiem możliwe...

Zatrzymał samochód, pobiegł truchcikiem do pobliskiej budki telefonicznej. Wrzucił ćwierć dolara, wybrał numer, którego próżno by szukać w książce telefonicznej. Ktoś podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

– Hurtownia produktów papierowych Shermana.

– Stu, cześć, tu T.C.

– Hurtownia produktów papierowych Shermana – powtórzył Stu Sherman.

– Niech szlag trafi was i wasze hasła, ważniaki z FBI. Nie sposób ich zapamiętać. Nie masz urządzenia do rozpoznawania głosu albo coś?

– Mamy specjalną ofertę na żółty papier.

T.C. myślał intensywnie.

– Och, właśnie, macie żółty papier w różowe i szaroniebieskie linie?

Na chwilę zapadła cisza, a potem głos w słuchawce powiedział:

– Cześć, T.C., dawno cię nie słyszałem. Coś się dzieje?

– Niewiele. Nie mdli cię od odgrywania szpiega z tymi wszystkimi hasłami?

– A skąd! Głównie z tego powodu bierzemy tę robotę.

T.C. roześmiał się głośno.

– A ja głównie dlatego pracuję z tobą wyłącznie przy specjalnych okazjach.

– Podaj swój numer.

T.C. podyktował mu go: 617-555-4789. Jego kumpel wklepał ten numer w komputer.

– W porządku, czysty – powiedział po chwili. – Czego chcesz?

– Prosta sprawa. Możesz powiedzieć mi, czy Laura Baskin weszła na pokład któregośkolwiek z samolotów latających ze Stanów do Australii? Mogła użyć nazwiska Ayars.

– Żaden problem. Na kiedy ci to potrzebne?

– Na już. Czekam przy telefonie.

– Też nie problem, ale poczekasz parę minut. Powiedz mi przy okazji, jak się spisał koroner, którego znaleźliśmy ci w Australii?

– Nieźle, ale on był z Townsville, nie z Cairns.

– Townsville?

– To jakąś godzinę lotu od Cairns. Musiałem go dotransportować osobiście.

– Co tam, do diabła, robota byłaby nudna jak cholera bez tych paru dziur w systemie. A Hank? Przydał się?

– Ciągle jest najlepszym chirurgiem w tym biznesie.

– I najdyskretniejszym. – Stu się zawahał. – Aha, T.C., nie bój się, nie będę pytał, o co w tym wszystkim chodzi. To nie mój interes, prawda?

– Prawda.

– No i przecież nie jestem fanem Celtów.

T.C. westchnął ciężko.

– W porządku. Jestem ci coś winien.

– Jesteś mi sporo winien – poprawił go przyjaciel. – A teraz chwileczkę, bo sprawdzam.

T.C. czekał, wsłuchując się w mdławą muzyczkę. Zastanawiał się, jaki to przekaz podprogowej FBI postanowiło zaserwować dzwoniącemu, wybierając właśnie ją. Z pewnością coś ogłupiającego. Stu miał rację, dług był olbrzymi. Jeśli firma dowie się kiedyś, czym T.C. się zajmuje, obaj wpadną w kłopoty. Ale z drugiej strony on sam wielokrotnie nadstawiał głowy za faceta, przede wszystkim wtedy, kiedy Stu jako tajniak przeniknął do rodziny Bandini.

Bandini byli wyjątkowo brutalnymi handlarzami narkotyków, radośnie

torturującymi i mordującymi tych, którzy się im nie podobali. Przede wszystkim nie podobali im się federalni. Kiedy ostatnim razem zorientowali się, że mają jednego na liście płac, w opuszczonym magazynie przywiązali go do kołków, z rozłożonymi na boki rękami i nogami, a potem wysypali na niego worek szczurów. Biedny facet wił się z bólu, patrząc, jak szczury wyżerają mu brzuch, jaja, policzki; patrzył, póki nie dobrały się do oczu. Kiedy kilka dni później T.C. zobaczył trupa, pochorował się po raz pierwszy i ostatni w swej zawodowej karierze. Wspomnienie gnijącego ciała nadal wywoływało dreszcze.

W każdym razie T.C. dowiedział się od informatora, że Bandini już wiedzą o Shermanie i właśnie szykują mu podobną egzekucję. FBI zdążyło wycofać go dosłownie w ostatniej chwili, kiedy szedł na spotkanie, które miało być jego ostatnim. Po tym zdarzeniu Stu zdecydował, że woli jednak zajmować się firmowymi komputerami, i już nie pracował w terenie.

– Mam, T.C. – rozległ się jego głos.

– Słucham.

– Używa nazwiska Ayars. Dwa dni temu wyleciała liniami Qantas z Los Angeles do Cairns.

T.C. przetarł oczy.

– Bardzo ci dziękuję.

– Właśnie dopisałem do rachunku.



Laura i Graham wrócili do baru koktajlowego. Tym razem usiedli w przytulnym kąciuku. Laura obserwowała siedzącego naprzeciw niej, gładzącego brodę wielkiego szeryfa, który wpatrywał się w przestrzeń ze skupieniem. Co tak naprawdę wiedziała o Grahamie Rowe? Skąd miała wiedzieć, czy jest, czy nie jest wplątany w sprawę? Jeśli nie mogła zaufać T.C., jak może polegać na obcym?

– No więc co my tu mamy? – Rowe mówił raczej do siebie niż do niej. – Po pierwsze: David nie poszedł po prostu popływać, choć taką wiadomość zostawił.

Laura doskonale pamiętała liścik. „Będę cię zawsze kochał. Nie zapomnij o tym”. Jak na niego brzmiało to strasznie poważnie. Jak zła wróżba. Czyżby miał powody podejrzewać, że to ostatni list, który do niej pisze? Czyżby wiedział, że śmierć czeka na niego za rogiem?

Tymczasem Graham mówił dalej.

– Po drugie: koroner podał bardzo daleką od rzeczywistości godzinę zgonu. Mamy naocznego świadka, który widział go wiele godzin po tym, kiedy się podobno utopił. – Szeryf przewrócił kartkę w notesie, zapisał coś szybko. – Po trzecie: wiemy, że David po przyjeździe do hotelu pojechał windą na górę. Spędził tam około godziny. Możemy bezpiecznie założyć, że się z kimś spotkał.

Laura skinęła głową.

– Z kim? – spytała.

– Oto właściwe pytanie. Ale jest jeszcze kilka rzeczy, które powinniśmy sprawdzić.

– Na przykład?

– Na przykład: dlaczego koroner popełnił aż tak wielki błąd przy określaniu godziny śmierci? Czy to jego jedyny błąd? Może nie zauważył oznak przemocy albo...

– Albo?

Graham patrzył na nią tym swoim przenikliwym spojrzeniem.

– Wybacz mi, Lauro, ale musimy także rozważyć możliwość samobójstwa.

– Mówiłam ci już – głos Laury był równy, spokojny – że chcę rozważyć wszystkie możliwości. Niezależnie od tego, do czego może nas to doprowadzić.

Szeryf skinął głową.

– W porządku, zaczynamy.

– Dokąd idziemy?

Parsknął śmiechem.

– My? – spytał. – Nie dasz się przekonać, że powinienem zrobić to po swojemu, co?

– Nie dam.

Wzruszył ramionami.

– Cóż, zawsze chciałem mieć piękną partnerkę. No tak, najważniejsze jest teraz znalezienie Giny Cassler.

– Kto to taki?

– Moja stara przyjaciółka. A także właścicielka i kierowniczką tego hotelu.



Gina Cassler okazała się szacowną damą około sześćdziesiątki. Miała siwe włosy, związane w porządną kok, trzymała się prosto, dumnie nosiła głowę. W szarym kostiumie bizneswoman, zadbana i ze zrobionym manikiurem, wyglądała jak wcielenie elegancji. W odróżnieniu od biurka, za którym siedziała. Teczki i kartki luzem tworzyły metrową stertę na czymś, co zapewne było wypolerowanym drewnianym blatem. Niektóre kartki odrywały się od zboczy góry i spływały na podłogę, ale pani Cassler chyba to nie przeszkadzało.

– Jezu, Gina. – Szeryf pokręcił głową. – Jak taka piękna dama może być taką bałaganiarą?

Pani Cassler machnęła ręką lekceważąco.

– Ciągłe czarujący, co, Graham?

– Robię, co mogę.

– A kim jest towarzysząca ci piękna dama?

– Laura Baskin – Graham uprzejmie przedstawił Laurę.

– Ach tak! Pani stworzyła Svengali. – Gina delikatnie potrząsnęła dłonią gościa. – Kupiłam jeden z pani kostiumów, kiedy ostatnio byłam w San Francisco. Rozumiem, że teraz rozpoczyna pani sprzedaż w Australii?

– Tak.

– Jestem pewna, że odniesie pani wielki sukces. A teraz... co mogę dla ciebie zrobić, Grahamie?

– Badamy okoliczności śmierci męża pani Baskin. Słyszałaś o tej historii, prawda?

– Oczywiście. Prasa rozpisywała się o wypadku, mówiono o nim w telewizji. Straszne, po prostu straszne. W tamtym rejonie nikt się nie utopił od... ile to czasu minęło, trzy lata? Prawda, Grahamie?

– Dwa i pół.

– Żadna różnica. A przecież podobno był świetnym pływakiem. – Pani Cassler potrząsnęła głową. – Bardzo mi przykro. Naprawdę, bardzo mi przykro.

– Dziękuję – powiedziała Laura.

Graham odchrząknął.

– Gino, chcielibyśmy zobaczyć listę twoich klientów z okresu zbliżonego do daty śmierci pana Baskina.

Pani Cassler spojrzała na niego zdziwiona.

– Chodzi ci o listę gości?

– Właśnie.

– Z czerwca.

– Z siedemnastego czerwca.

– Minęło niemal sześć miesięcy!

– Pięć i pół.

– Nie mamy jej.

– Jak to, nie macie?

– Nie zachowujemy list gości na każdy dzień. Jasne, w piwnicy trzymam spisy gości, ale nie porządkuje się ich według okresu pobytu w hotelu.

– Więc nie ma sposobu, żeby sprawdzić, kto u ciebie mieszkał siedemnastego?

– Nie. Chyba że... sekundkę. – Kobieta zmarszczyła czoło. Myślała intensywnie i nagle pstryknęła palcami. – Szukacie cudzoziemca?

– Co to za różnica...

– Po prostu odpowiedz mi na pytanie, Grahamie. – W głosie pani Cassler zabrzmiało zniecierpliwienie. – Szukasz cudzoziemca?

– Prawdopodobnie tak. A co to za różnica?

– Karty paszportowe.

– Co takiego?

– Każdy cudzoziemiec musi zostawić w recepcji paszport, żebyśmy mogli wypełnić za niego kartę paszportową. Biuro Imigracyjne zbiera je i przechowuje w ratuszu.

– Potrafisz wyciągnąć te wypełnione siedemnastego?

– Będzie szybciej, jeśli ty się do nich zwrócisz.

Szeryf potrząsnął głową. Nie chciał włączyć w sprawę instytucji państwowych. Jeszcze nie.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś sama się tym zajęła. Powiedz im, że chodzi o kwestie podatkowe albo coś.

Gina wzruszyła ramionami.

– Nie ma sprawy. Tylko że będziesz musiał poczekać parę dni. Biurokracja.

– Ale to jest naprawdę ważne – podkreślił Graham. – Chciałbym zobaczyć też listę rachunków za przeprowadzone od ciebie rozmowy międzykontynentalne w czerwcu.

Kobieta gwizdnęła ze zdziwienia.

– Rozejrzyj się, przyjacielu – zaproponowała. – Czyja ci wyglądam na osobę, która zachowuje stare rachunki telefoniczne?

Laura rozejrzała się po stosach papierów zalegających dosłownie wszędzie i wypełnionych nimi koszach na śmieci. Odpowiedź wydawała się oczywista.

– Potrzebne mi te rachunki.

– Bratanek pracuje w firmie telefonicznej z Cairns. Jutro będzie w biurze, więc możesz do niego zadzwonić.

Podziękowali pani Cassler, pożegnali się i wyszli.

– Co teraz? – spytała Laura. – Spotkanie z koronerem?

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Jak to?

Szeryf otworzył przed nią drzwi.

– Twoją sprawą nie zajmował się lokalny koroner.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ściągnięto go z Townsville.



Stan usłyszał zgrzyt wsuwanego w zamek klucza. Gloria! Wstał szybko, podszedł do drzwi, a kiedy się otworzyły, przygarnął dziewczynę do piersi i pocałował namiętnie.

– Witaj w domu.

Gloria natychmiast się rozpromieniła.

– Wiesz, co to znaczy serdeczne powitanie.

Stan odebrał jej teczkę, objął ją ramieniem.

– Tęskniłem za tobą.

– Ja też – przyznała zachwycona. – Mmmm... co tu tak cudownie pachnie?

– Zrobiłem małe zakupy i postanowiłem przygotować obiad.

– Gotowałeś? Dla mnie?

Stan skinął głową.

– Jak tam w firmie? – spytał.

– Nieźle, tylko mamy strasznie dużo roboty. Laura wyjechała.

– Dokąd?

Gloria wzruszyła ramionami.

– Właściwie nie wiem. Estelle twierdzi, że gdzieś tam ma jakieś sprawy do załatwienia i postanowiła załatwić je teraz. Co będziemy jedli? Umieram z głosu.

– Pasta primavera.

– Mmmm... uwielbiam makaron.

– Za jakiś kwadrans danie będzie gotowe.

Gloria wzięła go za rękę i w milczeniu wyprowadziła na taras. Usiedli na dwuosobowej kanapie. Dziewczyna nie wypuszczała jego dłoni. Zamknęła oczy, położyła mu głowę na ramieniu.

– Kocham to – wyznała.

– Co?

– Wszystko, co się z nami wiąże. Jestem taka szczęśliwa.

– Ja też. – Stan uściśnął jej dłoń.

Siedzieli w milczeniu. Patrzyli na Charles River. Takie chwile zdumiewały Stana bardziej niż cokolwiek w jego związku z tą dziewczyną. Mogli po prostu siedzieć, nie rozmawiając, ciesząc się swoim towarzystwem. Dla niego nie miało to sensu. Gloria była inna niż wszystkie znane mu kobiety. Nie gadała bez przerwy w nadziei, że mówi coś „znaczącego, głębokiego”. Nie miała pretensji o to, że do tej pory nie znalazł pracy. Ani słowem nie wspomniała, że jest jej winien sto tysięcy. Wydawała się zadowolona, że może z nim po prostu być. Nie wymagała niczego, a on dawał jej więcej, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się dać kobiecie.

Kilka minut później wstał; kolacja była gotowa. Gloria poszła za nim do kuchni.

– Laura zostawiła nam wiadomość – powiedziała.

A pewnie, pomyślał Stan.

– Tak? – spytał.

– W sobotę wieczorem, w Boston Garden, Celtowie wycofają numer Davida. Podczas pierwszego meczu nowego sezonu. Píše, że byłaby szczęśliwa, gdybyśmy oboje wzięli udział w uroczystości.

– Oboje?

Gloria skinęła głową.

– Był twoim bratem. Wiem, że nie bardzo dogadujecie się z Laurą, ale nie martw się, przejdzie jej.

– Nie licz na to.

– Chcę tam być, Stan. I chcę, żebyś mi towarzyszył. Uważam, że to może być ważne.

Stan posypał makaron odrobiną parmezanu.

– W porządku. Powiedz siostrze, że to dla mnie zaszczyt.

– Przyjdą rodzice. I ciotka. To dobra okazja, żebyś ich wszystkich poznał.

– Będzie mi bardzo miło.

Gloria zapaliła świece, przygasiła światło. Stan wodził za nią wzrokiem. Nigdy by się do tego nie przyznał, nawet przed samym sobą, ale uwielbiał patrzeć, jak się porusza. Uwielbiał tylko na nią patrzeć. Była taka dobra, taka łagodna, że wręcz musiał zadawać sobie pytanie: o co jej chodzi? Na czym zależy? Czego chce? W jaki sposób spróbuje go wykorzystać? Czy jej czułość jest tylko nieznanym mu jeszcze sposobem uspienia jego czujności, przynętą na haczyku, którą jeśli połknie, to przepadnie, bo ona przejmie kontrolę?

Może.

Ale były ważniejsze pytania. Co on wyprawia, do cholery? Na czym mu zależy? Czego tak naprawdę chce od tej dziewczyny? Laura go o to pytała... i tymi pytaniami dotknęła go do żywego. Bo, szczerze mówiąc, Stan wcale nie był pewien, co robi. Mógłby nieźle zarobić, nawet bardzo dobrze, podwinąć ogon pod siebie i zwiąć. Mógłby zdobyć forszę, o której do tej pory nawet mu się nie śniło, i odjechać wprost w kierunku zachodzącego słońca. Ale z jakiegoś dziwnego powodu nie odjeżdżał. Nie miał centa przy duszy, trafiła mu się niesamowita okazja, a jednak jej nie



wykorzystywał.

Dlaczego?

Co mu się, do cholery, popieprzyło? Powinien już rzucić tę babkę. Mógł oskubać ją ze wszystkiego, co miała, zmiążyć jej wrażliwą duszę, pozostawić ją płaczącą albo jeszcze gorzej i zniknąć, ale nie. Nie ruszał się z miejsca. Zostaną jeszcze trochę, dobrze?

Zadzwonił telefon.

– Odbiorę – powiedziała Gloria.

– Nie, to pewnie do mnie. Porozmawiam z sypialni.

Stan przeszedł do drugiego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Wiedział, kto chce z nim rozmawiać. Był przerażony. Przełknął ślinę z wysiłkiem, podniósł słuchawkę.

– Stan, twardzielu, jak się masz?

Natychmiast rozpoznał ten głos.

– Cześć, panie K.

– To tak witasz się z przyjacielem? Czuję się urażony, głęboko urażony.

– Jesteśmy w połowie obiadu.

– Jakie to słodkie. I jaki ty jesteś słodki, taki udomowiony. Jestem pod wrażeniem.

Masz jakieś plany na później? Zjesz i pójdziesz skosić trawnik?

Stan zamknął oczy.

– Co jest grane? – spytał.

– Nic. I właśnie dlatego uznałem, że warto zadzwonić. Mój kontakt twierdzi, że od trzech dni nie grasz.

– I?

– Jesteś mi winien tylko dwa tysiące. A ja na ogół odcinam fundusze tylko tym, którzy doszli do czterdziestki.

– Ostatnio jakoś nic mi się nie spodobało.

– Daj spokój – warknął pan K. – Pamiętaj, z kim rozmawiasz. Od dziesięciu lat obstawiałeś przy każdej okazji.

– No więc dobrze, powiedzmy, że postanowiłem wziąć sobie wolne. Czy to coś złego?

Pan K się roześmiał.

– Nie rozumiesz, prawda, Stan? Nie rozumiesz, że nie dasz rady tak po prostu przestać?

– Kto mówi o przestawaniu?

– Żartujesz? Nie próbuj okantować kanciarza. Faceci tacy jak ty nie biorą sobie wolnego. Próbujeś przestać.

– Nawet jeśli, to co, nie wolno?

– Wolno, ale po co marnować czas? Wiesz, że nie dasz rady.

– Dlaczego tak mówisz?

Pan K westchnął ciężko.

– Stan, znałem wielu takich jak ty. Jesteś nałogowcem. Nie możesz przestać. Wiem, co próbujesz zrobić. Spotkałeś dziewczynę. Polubiłeś ją, można powiedzieć. Tak?

– Sam nie wiesz, o czym mówisz. To zdzira jak one wszystkie.

– Jasne, oczywiście. Jak sobie życzysz. W każdym razie spodobało ci się proste życie. Zjeżdżasz na pobocze, bo grzać z gazem wciśniętym do dechy... przecież to niebezpieczne! Ale, przyjacielu, ty się do tego nie nadajesz. Pewnego dnia znów zjedziesz na tor i rozwalisz wóz. Masz popieprzone w głowie. Nie możesz się zmienić.

– Zostaw mnie w spokoju, K.

– Zostawię, nie martw się. Przecież wiem, że do mnie wrócisz. Zajrzysz do jutrzejszej gazety i w trzeciej gonitwie zobaczysz konia, murowanego zwycięzcę. Pewniaka. Albo mecz futbolu z punktami ustawionymi tak, że to okazja za dobra, żeby ją przegapić. Zacznie cię swędzieć tak, że nie zdołasz powstrzymać się od drapania. A jak raz się podrapiesz, to będziesz musiał drapać się coraz mocniej i mocniej...

– Stul pysk!

– ...a ja będę w pobliżu, żeby ci pomóc drapać się aż do krwi. Twój stary przyjaciel, pan K, powita cię z otwartymi ramionami i ostrymi pazurami.

Górna warga Stana drżała.

– Masz się zamknąć!

– Nie lubię, kiedy się na mnie krzyczy – ostrzegł go gangster cichym, groźnym głosem. – Bardzo nie lubię. Może powinienem dać ci nauczkę, Stan?

– Nie, K, słuchaj...

– Może powinienem urwać ci ten złamany paluch? A może zgarnę tę twoją blondyneczkę, przywiążę do łóżka i pozwolę Bartowi, żeby się z nią zabawił? Z paroma przyjaciółmi? Jak ci się podoba ten pomysł?

Stan szeroko otworzył przerażone oczy.

– Nie, nie, przepraszam! Nie zamierzałem okazać ci braku szacunku.

Śmiech pana K przyprawił go o dreszcze.

– Wiem, Stan. Wiem. Zadzwoń, kiedy już będziesz w potrzebie, a tymczasem ciesz się krótkimi chwilami radości. Ludziom takim jak ty nieczęsto się trafiają. Kiedy zdecydujesz się wrócić do rynsztoka, gdzie twoje miejsce, chętnie ci pomożemy.

Połączenie zostało przerwane. Stan odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach Glorię.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Podszedł i przytulił ją mocno.

– W najlepszym porządku – zapewnił ją.

– Naprawdę rzuciłeś hazard?

– Naprawdę – powiedział Stan, doskonale wiedząc, że chociaż w tej chwili mówi prawdę, to pan K bynajmniej się nie myli i czas zmieni tę prawdę w kłamstwo.

Rajski ogród stał się teraz piekłem na ziemi. Zmiana nastąpiła nagle. W jednej chwili hotel Reef Resort był miejscem idyllicznej ucieczki od rzeczywistości, miejscem, gdzie spędzało się miesiąc miodowy, w następnej kojarzył się ze śmiercią. Laurze wydawał się w tej chwili zamglony, nierzeczywisty, jakby oglądała go we śnie. Tak dobrze znała ten budynek i otaczające go tereny. Busz się nie zmienił, nie zmieniły się ogrody i hol, za ladą stał nawet ten sam opalony recepcjonista. Pamiętała go doskonale. To on dał jej ostatni liścik od Davida.

– Pani Baskin! – krzyknął radośnie na jej widok. – Jak miło znów panią zobaczyć.

Laura się uśmiechnęła i oszołomiona podała mu rękę.

– Też cieszę się, że pana widzę.

– Długo pani u nas zostanie?

Do rozmowy włączył się szeryf.

– Tylko parę minut.

– Jak leci, szeryfie?

– Nieźle, Monty. Co u ciebie?

– Nie skarzę się. Mogę coś dla was zrobić?

Szeryf był dobre trzydzieści centymetrów wyższy od recepcjonisty. Żeby na niego popatrzeć, musiał pochylić głowę.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy znikł David Baskin?

– Jasne – przyświadczył recepcjonista. – A o co chodzi?

– Przed wyjściem zostawił u ciebie liścik?

– Tak – przytaknął Monty. – Chryste! Z tym listem to dopiero było. Pani Baskin z pewnością pamięta, prawda? – Zwrócił się do Laury. – Przeczytałem go pani przez telefon. Jeszcze nigdy nie byłem tak zażenowany.

– A co potem? – spytał Graham.

– Nie rozumiem...

– David wrócił do hotelu?

Recepcjonista skinął głową.

– Jasne, mówiłem o tym pani Baskin. Wrócił, ale na chwilę.

– I znowu wyszedł?

– Właśnie.

– Ile czasu spędził w hotelu?

– Bo ja wiem? Jaką godzinę?

– A o której wyszedł po raz drugi?

– Nie potrafię powiedzieć – przyznał Monty po chwili zastanowienia. – Ale zaraz po tej rozmowie telefonicznej.

Graham i Laura wymienili spojrzenia.

– Jakiej rozmowie telefonicznej? – spytał szeryf.

Recepcjonista wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Obsługiwałem centralę, kiedy ktoś do niego zadzwonił. Przełączyłem do pokoju, to wszystko. Parę minut później pan Baskin wyszedł. Śpieszył się.

Szeryf oblizał wargi.

– Co możesz powiedzieć o głosie tego kogoś, kto do niego dzwonił?

– Powiedzieć o głosie?

– Płeć, akcent, cokolwiek.

Monty znów zastanowił się przed udzieleniem odpowiedzi.

– No cóż, trudno powiedzieć, w końcu minęło sporo czasu. Pamiętam tę rozmowę tylko dlatego, że w końcu pan Baskin to był ktoś, i kiedy przełączyłem ją do pokoju, zacząłem sobie pluć w brodę, że nie sprawdziłem, kto dzwoni. No bo to mógł być przecież jakiś dziennikarz albo nachalny fan. W każdym razie ten, kto dzwonił, rzekł tylko: „Z pokojem pana Baskina proszę”. Mogę jedynie powiedzieć, że ten głos był jakiś taki przygłuszony. Kobieta czy mężczyzna? Nie mam pewności. Ale akcent był jankeski. Tego się nie da ukryć, choćby człowiek nie wiem jak próbował.

– Coś jeszcze?

Monty pokręcił głową, ale zaraz zmienił zdanie.

– Zaraz, poczekaj. Jeszcze jedna rzecz. To była rozmowa miejscowa.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Nasze linie są po prostu straszne, jeśli telefonuje się z zagranicy. Tym razem nie było zakłóceń. Ktoś musiał dzwonić z okolicy.

Graham podziękował Monty'emu, po czym poprowadził Laurę do stojącego w kącie bambusowego fotela. Usiadła w milczeniu, patrząc ze smutkiem na basen i plażę.

– Lauro?

Odwróciła powoli głowę i spojrzała na Grahama.

– Tak?

– Dobrze się czujesz?

Zignorowała pytanie.

– Ktoś do niego dzwonił.

– Na to wychodzi – zgodził się z nią szeryf. – Spróbujmy poskładać puzzle i zobaczymy, jaki nam wyjdzie obrazek.

Laura skinęła głową. Szeryf spacerował w kółko.

– Krok pierwszy – powiedział. – Jedziesz na spotkanie w gmachu Petersona w Cairns. David się ubiera; będzie pływał i może porzuci trochę do kosza. Krok drugi: dzwonisz do hotelu. Davida nie ma w pokoju, zostawił ci żartobliwy liścik. Krok trzeci: David wraca do hotelu. Idzie do pokoju. Rozmawia przez telefon z Amerykanką bądź Amerykaninem, ale jest to rozmowa lokalna...

– Co wyklucza T.C. – przerwała mu Laura. – Nie ma sposobu, żeby zadzwonił skądś w Australii i zdążył wrócić do Stanów, by odebrać mój telefon.

Rowe przemyślał to sobie dokładnie.

– Brzmi logicznie – przyznał – ale tak naprawdę niewiele nam mówi. To, że nie on dzwonił, w żaden sposób nie dowodzi, że nie był wplątany w śmierć Davida. O czym to ja mówiłem?

– David rozmawia przez telefon.

– No właśnie. Dzwoni do niego Amerykanin bądź Amerykanka, ale jest to rozmowa lokalna. David pisze kolejny, nieco tajemniczy liścik i wychodzi z hotelu. Możemy roboczo założyć, że poszedł na spotkanie z kimś, kto do niego dzwonił. A więc krok czwarty: David udaje się do hotelu Pacific International w Cairns.

– Może taksówkarz go zapamiętał – podsunęła Laura.

– Mało prawdopodobne, ale sprawdzić można. W każdym razie mamy świadka, który potwierdza jego obecność w hotelu o odpowiedniej godzinie, i tego się trzymajmy. Krok piąty: David przyjeżdża do hotelu. Sprawia wrażenie wytrąconego z równowagi, zapewne z powodu tego, czego dowiedział się przez telefon. Jedzie na piętro, spędza tam mniej więcej godzinę, prawdopodobnie spotyka się z dzwoniącym. Kiedy schodzi, jest zdezorientowany. W ciągu godziny zdarzyło się coś, co bardzo go zdenerwowało.

– Ale co? – spytała Laura, bardziej siebie niż wielkiego szeryfa.

– Nie mam pojęcia. Następnie David robi sobie spacer po okolicy. Być może poszedł do budynku Petersona, w którym miałaś spotkanie. Potem wraca do hotelu i dwukrotnie telefonuje do Stanów. Do kogo dokładnie, tego nie wiemy. Może za pierwszym razem nie dostał połączenia i musiał zadzwonić powtórnie? Następnie znowu spaceruje, trwa to dwie godziny. Mamy świadka, który widział go na plaży w Marlin Jetty około wpół do dwunastej w nocy. Od tamtej pory nic. Aż do znalezienia ciała. Twój przyjaciel bankier twierdzi, że David dzwonił do niego o dwunastej. Możliwe. Ale możliwe też, że David już nie żył, a ktoś naśladował jego głos.

Laura poruszyła się w fotelu.

– Nie wydaje się to już bardzo prawdopodobne, nie uważasz?

Graham pokręcił głową.

– Możliwe, tak. Prawdopodobne? Nie. Sądzę, że David wrócił do hotelu i zadzwonił do banku. Dlaczego? Nie wiem. Moim zdaniem ma to wiele wspólnego z tym kimś, z kim spotkał się w Pacific International. Tak czy inaczej, dowiemy się, dokąd dzwonił, gdy tylko Gina odnajdzie te rachunki. Poza tym musimy przesłuchać nocnego portiera i może jeszcze recepcjonistę z budynku Petersona. Oni też mogli widzieć Davida. To wszystko to zaledwie początek, Lauro. Pełnego śledztwa nie przeprowadza się w jeden dzień.

– I co teraz?

Rowe wzruszył ramionami.

– Jak długo zamierzasz zostać w Australii?

– Muszę wracać jutro w nocy. W sobotę w Bostonie odbędzie się uroczystość ku czci Davida.

– W porządku. Teraz musimy wypełnić najważniejsze luki. Przede wszystkim

dowiedzieć się, którego z gości Pacific International odwiedził David.

– To klucz do zagadki, prawda? Tożsamość tajemniczej osoby, która do niego dzwoniła?

– Moim zdaniem tak – przytaknął szeryf.

– A co z tym koronerem?

Szeryf zerknął na zegarek.

– Za późno na telefon do doktora Bivellego. Skontaktujemy się z nim jutro rano.

Laura przełknęła z wysiłkiem, opuściła wzrok.

– Słuchaj... a twoim zdaniem co się przydarzyło mojemu mężowi?

Szeryf położył swe wielkie łapsko na jej ramieniu.

– Nie wiem, skarbie, ale tego z pewnością się dowiemy.



– Teraz? – spytał Mark.

T.C. spojrzął na zegar wiszący na ścianie za jego głową.

– Teraz.

T.C. westchnął, wstał i podszedł do telefonu. Wybrał trzynastocyfrowy numer. Czekał. Mark chodził nerwowo tam i z powrotem.

– Nie ma mowy, żeby teraz kupiła historyjkę, jak to Baskin po prostu utonął – powiedział.

– Wiem. Pracuję nad tym.

Ktoś podniósł słuchawkę po trzech sygnałach.

– Rezydencja państwa Bivellich.

– Chciałbym mówić z doktorem Bivellim.

– Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni?

– Nazywam się Terry Conroy.

– Proszę chwilę poczekać, panie Conroy.

Kilka sekund później w słuchawce rozległ się głos kononera.

– T.C...?

– Tak, cześć, Aaronie, jak leci?

– Nieźle. Nie spodziewałem się, że tak szybko zadzwonisz.

– No wiesz, pojawiły się pewne okoliczności.

– Jakie to okoliczności?

– Muszę cię prosić o kolejną przysługę.

– Wiesz, że nie wyświadczam przysług. Stu ci to powiedział, nim w ogóle się ze mną skontaktowałeś.

– Wiem, Aaronie. Jesteś prawdziwym najemnikiem. Ale za tę robotę już ci zapłaciłem.

– Chodzi o utonięcie Baskina?

– Trafiony, zatopiony.

– Myślałem, że wszystko gładko poszło.

– Bo poszło – przytaknął T.C. – Ale pojawiła się pomniejsza przeszkoda. Chcę, żebyś wiedział, że mogą się z tobą skontaktować pewni ludzie. I zadawać pytania.

- Minęło tyle czasu...!
- Mimo to.
- Cóż, w tej robocie się zdarza. Firma stawia.
- Po prostu uprzedzam.
- Doceniam to, T.C., ale nie masz powodu się martwić.
- Doskonale.
- Tylko – dodał Bivelli – któregoś dnia opowiesz mi całą historię. Chętnie posłucham.

T.C. uśmiechnął się półgębkiem. Bivelli wiedział coś, ale mało, Stu wiedział coś innego, Hank coś jeszcze innego; znali fragmenty prawdy, ale za małe, by ułożyć z nich coś sensownego.

- Któregoś dnia – obiecał.



Szeryf Rowe dotarł do Bivellego następnego dnia rano i umówił się z nim na popołudnie. Okazało się, że nie ma wolnych miejsc w samolotach z Cairns do Townsville, więc Laura wynajęła małą prywatną maszynę. W Memorial Hospital znaleźli się o dwunastej. Gabinet lekarza sądowego, doktora Aarona Bivellego, znajdował się w piwnicy, drzwi w drzwi z kostnicą.

– W czym mogę państwu pomóc? – spytał poważnie, lecz grzecznie, jak przystało na kogoś wykonującego tak nieprzyjemny zawód. Był niskim mężczyzną zbliżającym się do sześćdziesiątki. Pokażny brzusek wypełniał szarą kamizelkę tak, że lada chwila mogły jej odpaść guziki. Minę miał jednocześnie pełną rezerwy i uprzejmą. Na twarzy widniał przyjazny, pełen zaufania do świata uśmiech.

- Nazywam się Graham Rowe. Rozmawialiśmy dziś przez telefon.

– Och, oczywiście. Szeryf z Palm’s Cove.

– A to Laura Baskin.

Uśmiech znikł z ust koronera, jego twarz przybrała wyraz powagi.

– Proszę przyjąć kondolencje z powodu śmierci męża.

– Dziękuję.

– Proszę – Bivelli wykonał szeroki, zapraszający gest – proszę usiąść. – Sam zajął miejsce za biurkiem. – Po rozmowie z szeryfem Rowe’em jeszcze raz przestudiowałem dokumenty dotyczące pana Baskina. Mam szczerą nadzieję, że na coś się państwu przydam.

– Może pan nam pomóc w wyjaśnieniu kilku pobocznych spraw – wyjaśnił szeryf.

– Z przyjemnością.

– Proszę pozwolić, doktorze, że zacznę od następującego pytania: czy śmierć pana Baskina mogła być przez kogoś spowodowana?

Koronier rozparł się w fotelu.

– To trudne pytanie. Jeśli mam odpowiedzieć najprościej: tak, istnieje taka możliwość, ale bardzo w to wątpię. Po pierwsze i najważniejsze: kiedy znaleźliśmy ciało pana Baskina, płuca wypełniała morską woda, co znaczy, że utonął. Nie został zabity, a potem wrzucony do oceanu. Jak utonął? No, tu już każdy domysł dobry.

Mocno nim pomiatało.

– Mocno pomiatało? – zdziwiła się Laura.

– Tak, pani Baskin. – Doktor Bivelli obrócił się do niej i jej poświęcił całą swą uwagę. – Ciało pani męża rzucało się przez fale, przygniecione ich ciężarem, a także obite przez uderzenia o kamienie i pocięte przez koralowce. Najprawdopodobniej zdążyły dobrać się do niego ryby.

Laura zbladła.

– Bardzo przepraszam, pani Baskin – natychmiast usprawiedliwił się koroner. – Jestem anatomopatologiem, nie musiałem do tej pory dbać o właściwe maniery w obecności chorego i jego bliskich.

Laura przełknęła ślinę z wysiłkiem.

– Wszystko w porządku. Niech pan mówi dalej.

– Próbuję tylko powiedzieć, że kiedy znaleźliśmy ciało, było w strasznym stanie. Czy ktoś mógł, powiedzmy, uderzyć żywego pana Baskina w głowę, a potem wrzucić do morza nieprzytomnego...? Owszem, choć to bardzo wątpliwe.

– Dlaczego uważa pan to za bardzo wątpliwe? – spytała.

– Ponieważ zazwyczaj nie tak to się odbywa. Czasami zwłoki zamordowanego wrzuca się do wody, żeby upozorować utonięcie. Czasami zwłoki wrzuca się do wody obciążone, by opóźnić ich odnalezienie. Ale, jak powiedziałem, David Baskin utonął, a bardzo rzadko zdarza się, by mordercy zostawiali nieprzytomnego człowieka w oceanie w nadziei, że zginie. To jednak jest zbyt ryzykowne. Może ocaleć, może go znaleźć przypadkowa łódź albo może odzyskać przytomność, jest wiele możliwości.

Graham skinął głową.

– I twierdzi pan, doktorze, że ciało pana Baskina było w złym stanie?

– Tak.

– Niemożliwe do rozpoznania?

Doktor Bivelli spojrzał na Laurę niepewnie.

– Właściwie... tak.

– A więc w jaki sposób dokonał pan pozytywnej identyfikacji?

Koroner zasłonił usta, kaszlnął.

– Na dwa sposoby. Po pierwsze, amerykański policjant, jego przyjaciel... – założył okulary do czytania, otworzył teczkę

– ...ach, funkcjonariusz Terry Conroy, rozpoznał pewne jego znaki szczególne. Większe znaczenie ma jednak karta zdrowia denata, którą przysłano mi faksem ze Stanów Zjednoczonych. Rentgen zębów dostałem następnego dnia. Potwierdził ostatecznie to, co już wiedzieliśmy. – Bivelli znów zajrzał do akt. – Według funkcjonariusza Conroya pan Baskin powinien nosić pierścień upamiętniający zdobycie mistrzostwa ligi NBA w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, ale nie mogliśmy użyć go do identyfikacji, ponieważ jego prawa dłoń... nosił pierścień na palcu prawej dłoni, prawda, pani Baskin?

Laura skinęła głową. Pierścień. Całkiem zapomniała o mistrzowskim pierścieniu na palcu Davida. Była to jedyna ozdoba, jaką zamierzał nosić na dłoni, oprócz obrączki, którą mieli kupić zaraz po powrocie z Australii.



Bivelli odchrząknął jeszcze raz.

– No więc prawej dłoni... prawej dłoni nie było.

– Nie było... dłoni? – powtórzyła.

Lekarz opuścił głowę.

– Jak powiedziałem, ciało ofiary było w fatalnym stanie.

– Rozumiem. – Szeryf Rowe skinął głową. – Mam kolejne pytanie: jaką dokładnie godzinę zgonu podano w raporcie?

– W przypadkach utonięć takich jak to określenie godziny zgonu to zawsze raczej kwestia przypuszczeń niż faktów. Mogłem pomylić się nawet od dwunastu do piętnastu godzin.

– Podana przez pana godzina zgonu to mniej więcej dziewiętnasta – przypomniał lekarzowi Graham. – Czy wstrząsnęłaby panem wiadomość, że mamy naocznego świadka, który widział pana Baskina żywego tego samego dnia około północy?

– Ależ skąd, szeryfie. – Bivelli zachowywał się wręcz nonszalancko. – Jak już powiedziałem, sekcja uszkodzonego ciała kogoś, kto poniósł śmierć przez utonięcie, nie przyniesie dokładnych, naukowych rezultatów. Czego mogę tylko żałować. Przy określaniu czasu brałem pod uwagę przede wszystkim zeznanie pani Baskin, która powiedziała, że jej mąż poszedł popływać około godziny szesnastej lub siedemnastej. Oczywiście logicznie było przyjąć, że zginął kilka godzin później, nie po północy.

Szeryf podrapał się po brodzie.

– W takim razie ostatnie pytanie, po którym nie będziemy panu dłużej przeszkadzać. Dlaczego do tej sprawy wezwano właśnie pana? Dlaczego nie zwrócono się do miejscowego koronera?

Bivelli wzruszył ramionami.

– Nie mam pewności, mogę się tylko domyślać.

– A więc proszę podzielić się z nami swoimi domysłami.

– Oto pierwszy z nich: weźmy pod uwagę, że pan Baskin był cudzoziemcem i osobą cieszącą się pewną sławą. W razie śmierci kogoś takiego w sprawę włącza się na ogół nasz rząd, a mnie zdarzało się w przeszłości pracować dla rządu. Townsville leży zaledwie godzinę lotu od Cairns, przypuszczalnie uznano więc, że przydam się w tak szczególnej sytuacji.

– A więc funkcjonariusz Terry Conroy z Nowego Jorku nie kontaktował się z panem?

– Nie, pan Conroy się ze mną nie kontaktował.

Graham wstał, Laura również.

– Dziękuję, doktorze Bivelli. Bardzo nam pan pomógł.

– Do usług, szeryfie. – Mężczyźni wymienili mocny uścisk dłoni. – Pani Baskin, proszę jeszcze raz przyjąć moje najszczerze kondolencje.

Graham i Laura poszli korytarzem do windy. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Laura powiedziała tylko:

– Kłamie.

Szeryf poważnie skinął głową.

– Jak z nut.



Judy patrzyła na fotografię ze łzami w oczach. Tak dobrze wiedziała, co przedstawia! Ileż lat będzie to jeszcze trwało? Jak długo stare czarno-białe zdjęcia będą boleśnie raniły jej serce? Boże, jak ona go kochała. Kochała go jak nikogo przedtem... i nikogo po nim. Czy odwzajemniał jej uczucia? Jej zdaniem, tak. Pamiętała czasy, gdy byli szczęśliwi do szaleństwa, kiedy oprócz nich nic się nie liczyło...

...aż coś go jej odebrało. Oślepiło go jak rozbłysk jaskrawego światła.

Ja go zabiłam. To moja zazdrość przyłożyła mu rewolwer do głowy i pociągnęła za spust.

Była taka głupia, taka niecierpliwa, taka cholernie młoda. Przecież mogła odsunąć się, przeczekać. W końcu zdałby sobie sprawę, jaki popełnił błąd, w końcu by do niej wrócił.

Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego nie poczekałam?

Takie pytania prześladowały ją od trzydziestu lat i nadal nie znała na nie odpowiedzi. Gdyby tylko można było cofnąć czas. Gdyby tylko nie postąpiła tak głupio.

Złożyła fotografię, schowała ją do torebki.

– Pani Simmons?

Podniosła głowę. Obok niej stał pracownik banku i trzymał na ramieniu jej skrzynkę depozytową.

– Proszę za mną – powiedział i poprowadził ją do pustego pokoju. – Proszę mnie zawiadomić, kiedy pani skończy.

– Dziękuję.

Urzędnik uśmiechnął się i wyszedł. Judy wyciągnęła rękę, otworzyła skrzynkę. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, były stare długoterminowe obligacje skarbowe, które pozostawili jej rodzice. Ojciec zmarł nagle, w wieku zaledwie pięćdziesięciu siedmiu lat, matka rok później. Judy strasznie brakowało ich obojga. Tak niewielu ludzi potrafi kochać kogoś bezwarunkowo.

Odsunęła na bok akt urodzenia, stare tytuły własności, bezużyteczne deklaracje majątkowe. Wreszcie znalazła to, czego szukała. Chwyliła palcami skórzaną okładkę, pociągnęła mocno. W dłoni trzymała niewielką książeczkę. Drżącymi rękami przeniosła ją na stolik. Przeczytała wytłoczony w skórze tytuł.

*Pamiętnik 1960.*

Pisała pamiętniki regularnie od 1955 roku. Wszystkie zdarzenia jej zwykłego, przeciętnego życia trwały bezpiecznie ukryte wśród kartek białego papieru w niebieskie linie. I przeciętne życie opisywały w gruncie rzeczy przeciętne słowa: mnóstwo bezładnych wykrzykników z okazji utraty dziewictwa, opisy pierwszych eksperymentów z marihuaną, zdziwienia fantazjami, o których nie powiedziałyby się nikomu. Jednym słowem: jej typowe panięńskie pamiętniki nie zawierały nic oprócz typowej panięńskiej gadaniny.

Z wyjątkiem roku 1960.

Judy trzymała kolejne tomy w domu, w szafie, porządnie poukładane. Wszystkie, z wyjątkiem tomu, który właśnie miała w dłoni. Rok 1960. Jaka szkoda, że nie mogła oddzielić go od reszty lat życia, tak jak oddzieliła ten pamiętnik od reszty pamiętników. W nich nie wspomniała o roku 1960 ani słowem. Pisała nadal o wszystkim, ale nie o roku 1960. Straszne wydarzenie roku 1960 zamknęła w jednym tomie, jakby w ten sposób reszta życia mogła pozostać czysta, niczym nieskalana.

Tak się oczywiście nie da.

Rok 1960 się rozrastał. Zatrwał inne lata, wszystkie lata. Od czasu do czasu znikał z pola widzenia na dziesięć lat, na dwadzieścia, ale nadal istniał, był zawsze pod ręką, gotów podnieść swój obrzydliwy łeb, kiedy najmniej się tego spodziewała.

Judy powoli uniosła okładkę. Przerzuciła zapiski ze stycznia 1 lutego. Zapłakane oczy wpatrywały się w pismo Judy uczennicy: beztroskie, radosne, optymistyczne, ozdobne, ciągnące się w skomplikowanym wzorze od jednej strony do drugiej. Trudno uwierzyć, że autorką wpisu była ta sama osoba, która go teraz czytała.

*18 marca 1960*

*Nigdy nie byłam taka szczęśliwa, nie wiedziałam nawet, że takie szczęście może istnieć. Utrata Jamesa okazała się nieszczęśliwym błogosławionym w skutkach. On i Mary są szczęśliwi, ja jestem w ekstazie! Czy życie może być piękniejsze? Wątpię. Miłość przepelnia całą mnie...*

Judy potrząsnęła głową. Przewróciła kartkę. Nie rozpoznawała już autorki, miała tylko słabe uczucie déjà vu, dalekie, jak wspomnienie dawno zmarłej przyjaciółki. Kim była ta zakochana do szaleństwa dziewczyna, pisząca takie banalne, kliwne bzdury? Gdyby któraś ze studentek oddała jej tak napisaną pracę, na pierwszej stronie u góry zobaczyłaby napisane wielkimi literami: „ZAPRASZAM DO SIEBIE”. Ale miłość, niestety, działa właśnie tak. Z samej definicji wymaga kliwego banału.

*3 kwietnia 1960*

*Dziś wybieramy się z wizytą do rodziny. Nie spodziewam się, by podzielali moje szczęście. Wątpię, czy zrozumie. Ale jak zaprzeczają temu, że moja twarz świeci wewnętrznym blaskiem? Jak może niepokoić ich nasze szczęście? Będą musieli nas zaakceptować...*

Uśmiechnęła się lekko. Lektura tych słów sprawiła, że znów poczuła nadzieję przenikającą całe jej ciało w dawno minionych dniach młodości. Jak wspaniałe było życie tego kwietniowego poranka. Jaki piękny wydawał się cały świat. Nawet teraz Judy czuła w dole brzucha odrobinę podniecenia. Jeszcze wszystko może się udać. Wszystko może ułożyć się doskonale, tak jak powinno.

Uśmiech znikł z jej warg, jakby nigdy się nie uśmiechała. Jakaż była naiwna! Te kilka chwil radości... jakież okazały się ulotne! Ale tego kwietniowego dnia ktoś winiłby szczęśliwą, ufną dziewczynę za ślepotę na okrucieństwo, które czaiło się w pobliżu.

*29 maja 1960*

Co innego... Rzeczywiście. Judy oderwała wzrok od kart pamiętnika. Nie będzie więcej czytać. Następną datą to trzydziesty maja. Poczwała chłód, ogarniający całe jej ciało. Nie miała odwagi spojrzeć na słowa, które tego dnia zapisała, o tym dniu nie potrafiła nawet myśleć.

Trzydziesty maja 1960.

Zamknęła oczy, czując przejmujący ból. Wystarczy! Dlaczego się w ten sposób torturuje? Dlaczego przyszła tu właśnie teraz, kiedy związek z Colinem przynosi jej prawdziwe szczęście po raz pierwszy od trzydziestu lat? Mogła zostawić przeszłość samej sobie, ale przeszłość nie tego pragnęła. Przeszłość krzyczała donośnie, chcąc uwolnić tajemnice. I pewnego dnia zwycięży. Pewnego dnia Judy umrze, skrytka depozytowa zostanie otwarta, sekrety wystawione na światło prawdy i wówczas, miejmy nadzieję, zwiędną i obumrą. Pewnego dnia zeszyt zapisany przez pełną nadziei, otwartą młodą kobietę wyjaśni Laurze, dlaczego jej kochany David musiał zostawić ją na zawsze. Tego dnia Laura dowie się także, co się stało dwudziestego dziewiątego maja i...

Trzydziestego maja 1960 roku.

Judy włożyła oprawioną książeczkę do skrzynki depozytowej, zamknęła ją, wezwała urzędnika. Odprowadziła go wzrokiem, gdy niósł to, co było jej największą tajemnicą, i nie wiedziała, że nigdy jej już nie zobaczy.

Minęły dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy Laura pocałowała w policzek szeryfa Grahama Rowe'a, kazała mu obiecać, że zadzwoni, gdy tylko się czegoś dowie, pożegnała go i na lotnisku w Cairns weszła na pokład samolotu. W tej chwili maszyna linii PanAm, która wystartowała z LAX, wylądowała z donośnym stukiem podwozia. Laura wyglądała przez okno, obserwując, jak zamazane kształty w oddali zmieniają się w bostońskie lotnisko Logan, w miarę jak boeing 747 zbliżał się do zabudowań i zwalniał. Była wyczerpana, lecz nie spała. Ilekroć próbowała zamknąć oczy, pojawiała się jedno jedyne pytanie, zmuszające ją do stałego zachowywania przytomności.

Co się stało Davidowi?

Nie wiedziała. Zamiast odpowiedzieć na pytania, wizyta w Australii tylko zrodziła nowe. Być może odpowiedzi przynajmniej na niektóre z nich znajdą, kiedy uda im się wreszcie zdobyć listę gości lub rachunki telefoniczne Pacific International, lecz i wówczas. co ma zrobić z tą wiedzą? I po co w ogóle prowadzić poszukiwania? David nie żyje. Po co ma przeżywać te trudne chwile?

Laura przeszła przez kontrolę celną, zatrzymała taksówkę, usiadła z tyłu. Myślami ciągle była w Australii, wciąż próbowała wyobrazić sobie, jak wyglądały ostatnie godziny życia Davida.

Nic już nie miało sensu. Jeśli ktoś chciał jego pieniędzy, to po co go zabijał? Dlaczego nie porwali go dla okupu? Dałaby im wszystko, czego by zażądali, nie powiedziała nikomu ani słowa. Ale nie, wybrali skomplikowaną, krętą drogę prowadzącą do morderstwa, choć wszystkie inne wyjścia przyniosłyby im o wiele więcej pieniędzy.

Po co ściągać sobie kłopoty na głowę? No, chyba że...

Chyba że David nie został zabity dla pieniędzy.

Laura się wyprostowała. Czy to możliwe? Z jakiego innego powodu ktoś mógłby chcieć usunąć go z drogi? Jeśli nie pieniądze były motywem, to co? Gorączkowo szukała odpowiedzi, lecz jej nie znalazła. Jasne, byli ludzie, których do siebie zraził, ale do tego stopnia, by chcieli go zamordować? Mało prawdopodobne. Może istniał ktoś pragnący, by przestał grać w koszykówkę? Jakiś wielki bukmacher, zbyt często stawiający przeciw Celtom, mógł uznać, że David zdecydowanie mu przeszkadza. Nie, bardzo mało prawdopodobne. Poza tym gangi nie zabijają w ten sposób. Gangi wysyłają faceta z krzywym nosem i sztyletem w rękę, a on załatwia sprawę. Gangi nie potrzebują takiej maskarady.

Taksówka dotarła do centrum miasta, mijając po drodze wszystkie słynne punkty orientacyjne, które dla Laury były niczym starzy przyjaciele. Czy David naprawdę

został zamordowany? – zadała sobie pytanie. Gdyby cofnąć się o krok, rozważyć obiektywnie to, co mieli, trzeba byłoby przyznać, że są to, w najlepszym razie, dowody pośrednie. W porządku, spotkał się z kimś w hotelu, zadzwonił parę razy do domu, też mi problem. Kilka oderwanych faktów w żaden sposób nie mogło być solidnymi dowodami morderstwa. Do tego jeszcze daleka droga.

Laura wyjrzała przez okno. Przyszła pora sięgnąć głębiej, zadać sobie pytanie, co właściwie chce osiągnąć dzięki tym poszukiwaniom. Załóżmy, że David został jednak zamordowany. Dowie się tego i co zrobi z tą informacją? Rozpocznie polowanie na morderców, będzie się domagać ich krwi, jak bohater któregoś z filmów z Charlesem Bronsonem? Szukać zemsty? A może chodzi jej tylko o to, że prowadzenie „śledztwa” jest kolejną linią obrony przed rzeczywistością?

Zemsta nigdy jeszcze jej nie pasjonowała. Laura wróciła pamięcią do przerażającego telefonu Glorii, tego z Kalifornii, w zeszłym roku. Siostry nie rozmawiały o niczym szczególnym, po prostu opowiadały sobie nawzajem, co się u nich dzieje. Ale kiedy Gloria pożegnała się wreszcie i odłożyła słuchawkę, Laura poczuła niczym nieuzasadnioną panikę. Nie chodziło o to, co powiedziała, słowa nie miały z tym nic wspólnego, ale coś w rozmowie nie dawało jej spokoju. Coś było zdecydowanie nie tak i nie chodziło o zwykłe, życiowe problemy, lecz o coś głębszego i ważniejszego. Śmiertelnie ważnego. Postanowiła wyczarterować samolot, żeby móc porozmawiać z siostrą twarzą w twarz.

– Czarterujesz samolot? – zdziwił się David. – Skąd ten pośpiech?

– Nie potrafię tego wytłumaczyć, Davidzie. Powinieneś usłyszeć jej głos. Był... martwy. Rozmawiałam z kimś, kto wiedział, że dociera do kresu.

T.C. już czekał na nich na lotnisku. Polecieli razem do San Francisco. Wdarli się do mieszkania, trafiając w sam środek zbiorowego gwałtu. Pogonili Kolumbijczyków, a gdy ci znikli z horyzontu, David chciał pobić tego nędznika, jej przyjaciela, Tony’ego. Pobić ciężko, do nieprzytomności, niemal na śmierć. T.C. też był za tym. To przez niego Gloria cierpiała bardziej niż kiedykolwiek przedtem, to on ściągnął na nią niewyobrażalne nieszczęścia, a jednak Laura wcale nie pragnęła mu za to odpłacić. Chciała tylko uratować siostrę, zemsta nie interesowała jej w najmniejszym stopniu.

Więc... skąd ta zmiana? Dlaczego nagle zaczęła domagać się krwi? Na te pytania nie znała odpowiedzi. Może chodziło o to, że David mściłby się, gdyby to ją zabiło? Z tymi, którzy zagrażali bliskim mu ludziom, zawsze walczył do upadłego, z zapalem, który wręcz Laurę przerażał. Możliwe jednak, że jej motywy były znacznie prostsze. Być może miała nadzieję, że stworzony ad hoc spiszek pozwoli jej zapomnieć o sprawie podstawowej, najważniejszej: David nie żyje. Można nazwać to wypadkiem bądź morderstwem, tak czy inaczej, David nie żyje. Nic nie zmieni tego prostego faktu. David nie żyje. Laura potrafiła wypowiedzieć te trzy słowa, potrafiła je pomyśleć, z tym nie miała problemu. Problem polegał na tym, że do tej pory ich nie przeżyła, nie zrozumiała.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pani.

Laura wyjęła walizkę z bagażnika. Zapłaciła kierowcy. Powiew zimnego wiatru

przeniknął jej ciało aż do kości. Po drodze do drzwi mieszkania zdążyła wyjąć klucze. Odstawiła walizkę, otworzyła drzwi, pomacała ścianę, znalazł włącznik światła, pstryknęła nim.

...i nic się nie stało.

Poruszyła włącznikiem kilka razy, w górę i w dół. Światło się nie zapaliło. Dziwne. Pewnie przepaliła się stara żarówka. Laura zastanowiła się i pokręciła głową. Nie ma mowy. Tym przełącznikiem włączało się górne światło i dwie lampy. Jaka jest szansa, że wszystkie żarówki zawiodły w tym samym czasie? Już raczej strzelił bezpiecznik albo obluzował się jakiś kabelek. Laura westchnęła. Wciągnęła walizkę do ciemnego mieszkania. Trochę światła padało tylko z klatki schodowej i...

... i spod drzwi sypialni.

Laura zeszytywniała. Dźwięki. Z sypialni dobiegały jakieś dźwięki.

Wyjdź, Lauro. Wezwij policję.

Nie wyszła, nie wezwała policji. Zrobiła krok w przód. Ku sypialni popchnęła ją dziwna myśl: ktokolwiek tam jest, ma coś wspólnego ze śmiercią Davida. Być może kryją się tam odpowiedzi, których szukała w Australii. Jeśli ucieknie, jeśli straci czas na wzywanie policji, nigdy nie pozna odpowiedzi.

W tej chwili sypialnia jest pułapką. Nie da się z niej uciec tak, by nie zostać zauważonym.

Poruszała się bezgłośnie, powoli. Im bliżej była sypialni, tym donośniejsze stawały się dźwięki. Głosy i jeszcze coś, czego nie potrafiła zidentyfikować. Smuga światła pod drzwiami zamigotała kilkakrotnie, ale nadal była widoczna. Laura przytuliła się do ściany. Noga za nogą, powoli, dotarła wreszcie pod same drzwi.

Wstrzymała oddech. Czuła, jak serce wali jej w piersi. Przyłożyła do nich ucho. Głosy. Teraz nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Co mówią? I co ona ma teraz zrobić? Wpaść do środka jak jakiś superbohater? Przecież nie jest żadną Wonder Woman. Co zrobić...?

Głosy. Dwa. Opuściła wzrok. Smuga światła padała jej na nogę. I ten inny... odgłos. Cichszy. Przypominający...

...doping?

Laura zamknęła oczy. Ulga była tak wielka, że niemal obezwładniająca. Światło... Dźwięki... Przecież to telewizja. To ta cholerna telewizja. Pokręciła głową, przeklinając się za nadmiar wyobraźni. David kpi z niej niemal nieustannie. „Wszędzie wężysz spisek, kobieto” – powtarzał, kiedy wpadała na kolejny niedorzeczny pomysł.

Odetchnęła głęboko, sięgnęła po klamkę i niemal ją już obróciła, gdy nagle przez jej głowę przemknęła myśl: przecież przed wyjazdem wyłączała telewizor. Przez ułamek sekundy, gdy otwierały się drzwi, zadała też sobie pytanie, jak to możliwe, że w mieszkaniu, w którym całą instalację podłączono pod jeden bezpiecznik, telewizja może działać, mimo że światła nadal się nie palą. Nie miała jednak czasu, by dokładniej się nad tym zastanowić, bo zobaczyła obraz w telewizorze i aż skrzywiła się z bólu.

David.

To był mecz. Po boisku biegł David. Głosy należały do komentatorów NBA ze stacji CBS.

„Baskin wykonuje zwód w lewo, obraca się, podaje do Robertsa. Roberts rzuca hakiem, nie trafia, Lakersi zbierają piłkę...

Jak to...? Spojrzała wyżej, poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Magnetowid. Oglądała mecz nagrany na kasetę. Ktoś był w jej mieszkaniu, nadal mógł tu być. Już miała odwrócić się, uciekać, kiedy zobaczyła kopertę przyklejoną u dołu ekranu. Podpisana była jej imieniem.

Na ekranie David poszedł w lewo, wszedł w obronę jak w masło, rzucił z dwutaktu. Lakersi wzięli czas. Celtowie otoczyli go roześmiani, klepali przyjaciela po ramieniu. Laura zobaczyła, jak David uśmiecha się do Earla, i poczuła nagły, ostry ból. Uśmiech Davida, ten jego cudowny, piękny uśmiech.

Przeszła przez pokój na drżących nogach. Wyciągnęła rękę, zerwała przyklejoną do telewizora kopertę. Nie próbowała nawet włączyć światła, blask telewizora wystarczył do czytania. Rozerwała kopertę, nim uświadomiła sobie, że przecież mogą być na niej odciski palców. Potrząsnęła głową. Ktokolwiek ją tu zostawił, był zawodowcem, a zawodowiec nie zostawiłby odcisków.

Wyciągnęła z koperty kartkę.

*Lauro, mam nadzieję, że dobrze bawiłaś się podczas swej krótkiej wyprawy za granicę. Tęskniłem za tobą. Zostawiam ci tę przyjacielską wiadomość, byś wiedziała, że mogę zrobić, co zechcę. Nie jesteś bezpieczna. Twoi rodzice i siostra też nie są bezpieczni. Nic na to nie poradzisz. Jeśli ty o mnie zapomnisz, ja zapomnę o tobie, a także o twojej rodzinie. Jeśli nie, zabiję ich po kolei. Co ty na to?*

Przyjaciół

Laura poczuła ucisk w gardle. Podeszła do łóżka. Próbowwała zapalić lampę i tym razem zabłysło światło, w porównaniu z panującym w mieszkaniu mrokiem tak jaskrawe, że aż musiała osłonić oczy. Jeszcze raz przeczytała liścik, po czym uniosła poduszkę. Dostrzegła, co pod nią leżały, i nocną ciszę rozdarł rozpaczliwy krzyk.

Światło lampy poraziło jej oczy odbiciem złota, ale nie dlatego krzyczała.

Wygrawerowany na pierścieniu napis głosił: 1989 MISTRZOWIE NBA – BOSTON CELTICS.

Krew. tyle krwi...

– Mamo! Mamusiu!

– Wyjdź stąd, Glorio. Wyjdź stąd natychmiast.

Tyle krwi... wszędzie krew.

Gloria krzyknęła.

– Co... Glorio?

Dziewczyna usiadła w łóżku. Szeroko otworzyła oczy. Jej ciało zeszywniało. Stan oprzytomniał.

– Glorio!

Oddychała szybko, ciężko.

– Już po wszystkim – powiedział cichym, kojącym głosem. Przysunął się, otoczył ją ramieniem. Gloria zawahała się, a potem przyłgnęła do niego całym ciałem. Czuł,



jak drży. – Już wszystko w porządku, kochanie. Nic ci nie grozi.

Spojrzała na niego oczami osaczonego zwierzątka.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Ja... tak.

– Koszmary?

Skinęła głową. Jej oddech uspokajał się powoli.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Gloria skinęła głową, ale milczała przez dobrą minutę.

– Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz.

– Powiem... chcę. – Jej głos drżał. – Tylko nie wiem, od czego zacząć. Bo widzisz... – znów się zawahała, szukając właściwych słów, jakichkolwiek słów – ... nie pierwszy raz mam ten sen.

– Och!

– Kiedy byłam mała, śnił mi się bardzo często. Budziłam się z krzykiem, zapłakana, nie mogłam przestać płakać. Pamiętam, jak rodzice przychodzili, próbowali mnie uspokoić. Przytulali mnie, mówili, że to tylko sen, lecz nic nie pomagało. Jednak kiedy przybiegała Laura, nie uwierzysz, ale była wówczas małą, grubą dziewczynką, jej jakoś się udawało. Nie mogłam zasnąć, lecz jeśli obiecała, że przy mnie zostaną jakoś mi się udawało. Wpełzała do łóżka, trzymała mnie za rękę. Dopiero wtedy mogłam zasnąć.

Stan uśmiechnął się łagodnie.

– Jak sądzisz, zdołam zastąpić Laurę na dzisiejszą noc?

Gloria odpowiedziała mu uśmiechem.

– Chyba ci się uda.

Stan przyjrzał się jej i pomyślał: Boże, jaka ona piękna. Urocza... i to ciało, któremu nie mógł się oprzeć. Patrzył na cienki materiał jej negligu, na cudowny dekolt. Gloria podniecała go jak żadna inna kobieta na świecie... z wyjątkiem jej młodszej siostry. I to, przyjaciele i wielbiciel starym Twardym Staniem, to właśnie powód, dla którego został w Bostonie. Tak, dobrzy ludzie, on sam doszedł do tego zaledwie wczoraj. Pan Knie miał zielonego pojęcia, o czym gada. Nie, Stan nie wpadł, nie zakochał się w panience. Już raczej chodzi o to, że jest, no... chętna, ale najważniejsze, że nasza Szalona Miss jest szczebelkiem w drabinie wiodącej do ostatecznego celu: wypieprzenia cudownej Laury Ayars-Baskin.

Stan pomyślał tak, wiedząc, że jego myśli nie są do końca prawdziwe. Mogło mu się to podobać albo nie, ale zależało mu na starszej siostrzyczce.

– Opowiedz mi o swoim śnie – poprosił.

Gloria opuściła głowę, mocniej się do niego przytuliła.

– Nie pamiętam go zbyt dobrze – przyznała.

– A co pamiętasz?

Nerwowo wzruszyła ramionami.

– Krew.

– Krew?

Skinęła głową.

– We śnie jestem małą dziewczynką, mam pięć, najwyżej sześć lat. Nie przenieśliśmy się jeszcze do Bostonu, nadal mieszkamy w małym domku na przedmieściach Chicago. Jest późna noc. Schodzę na dół, słyszę głosy dobiegające z sypialni rodziców. Podchodzę do drzwi, obracam klamkę i...

– I?

Gloria potrząsnęła głową.

– W tym momencie zawsze krzyczę i budzę się, za wcześnie, żeby zobaczyć, o co chodzi. Pamiętam tylko krew. Pamiętam, jak sączy się, jak płynie. Jest wszędzie. Ktoś patrzy na nią, uśmiechając się ohydnie...

– Spokojnie, już wszystko w porządku.

Dziewczyna odetchnęła głęboko, z wysiłkiem przywołała na usta nerwowy uśmiech.

– Mówię, jakbym oszalała, prawda?

– Ależ skąd – zapewnił ją Stan. – W dzieciństwie każdy ma koszmary.

Gloria usiadła, spojrzała na niego poważnie.

– Ty też?

Stan leżał wpatrzony w sufit.

– Kiedy miałem z dziesięć lat, przydarzyło mi się coś dziwnego.

– Co?

Nie odrywał wzroku od sufitu. Ciekawe, pomyślał, dlaczego przyszło mi do głowy zdradzić tajemnicę, którą chronilem przez blisko trzydzieści lat. Zwłaszcza teraz, kiedy sam siebie przekonałem, że ta lalunia dla mnie nic nie znaczy. I przecież przysięgłem sobie, że nie powiem nikomu ani słowa. Nigdy. Ale David nie żyje, matka też, więc prawda nie może mu zaszkodzić. Opuścił wzrok, przyglądał się Laurze przez bardzo długą chwilę.

– Widziałem, jak mój ojciec został zamordowany.

Gloria westchnęła głośno.

– Ale... przecież... przecież David mówił, że...

– Popęłnił samobójstwo? Wiem. Wszyscy tak sądzą. Ale nie, ojciec nie popełnił samobójstwa. Ktoś strzelił mu w głowę, a potem włożył rewolwer do ręki, żeby je upozorować.

Gloria zbladła.

– Nie... nie rozumiem. Jakim cudem wyszedłeś z tego cało?

– Proste. Nikt mnie nie widział. Siedziałem za kanapą. Widzisz, strasznie lubiłem bawić się w gabinecie taty, chociaż jego doprowadzało to do szaleństwa. Wściekał się jak cholera, gdy zakradałem się do środka, robiłem mu bałagan w jego drogocennych papierach, więc kiedy usłyszałem, że wraca wcześniej niż zwykle, natychmiast się schowałem. Ale wszystko widziałem. Widziałem lufę przyciśniętą do skroni ojca. Widziałem, jak krew tryska mu z głowy. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Nigdy.

– Dlaczego nic nikomu nie powiedziałeś?

Stan wzruszył ramionami.

– Dobrze pytanie. Szczerze mówiąc, nie wiem. Najpierw byłem w szoku, a potem się bałem.

– Ty się bałeś?  
– Bałem się mordercy. Bałem się, że morderca i mnie dopadnie. Jest jeszcze jedna rzecz.

– Tak?

– Policja chyba wie, że mój ojciec nie popełnił samobójstwa.

– Więc dlaczego...?

– Naciski rady szkolnej. Bo wiesz, ojciec uczył w Brinlen College...

– Naprawdę? To było blisko nas!

– Owszem, na przedmieściu Chicago – potwierdził Stan. – W każdym razie to taka elitarna szkoła średnia dla gówniarzy z wyższych sfer. Samobójstwo już było wielkim skandalem, ale morderstwo? Morderstwo zniszczyłoby na zawsze jej arystokratyczny wizerunek.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Więc nic nie mów. Nie mów nic nigdy nikomu.

– Nie powiem, obiecuję, ale... mogę zadać ci jedno pytanie?

– Oczywiście.

Gloria gładziła go po głowie długimi, uspokajającymi ruchami.

– Rozpoznałeś mordercę? Czy to był ktoś, kogo znałeś?

– Nie, ale nadal pamiętam twarz.

Stan zamknął oczy. O tak, pamiętał twarz, skrzywioną w wyrazie bólu, ciągle prześladowającą go w snach. Był pewien, że nigdy jej już nie zobaczy.

Bardzo się mylił.



– Pani pozwoli, że to sobie uporządkujemy – powiedział wyższy z dwóch policjantów, którzy pojawili się na wezwanie Laury. Był strasznie chudy, niemal wynędzniały, i miał wielką podskakującą grdykę. Bardzo przypominał Ichaboda Crane'a. – Wyjechała pani z miasta na kilka dni, dobrze mówię?

– Tak – odparła Laura.

– Wróciła pani i podjechała taksówką pod dom. Wjechała pani windą, wysiadła, podeszła do drzwi... Czy drzwi były zamknięte?

– Na zamek.

– W porządku, drzwi były zamknięte na zamek. – Chudy policjant zapisał to w notesie. – Skąd pani wracała?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Cóż, chodzi...

– Ja się tym zajmę, Senny – przerwał mu jakiś głos.

Wysoki policjant o przydomku Senny odwrócił się na pięcie.

– Cześć, T.C. Jak leci?

– Nieźle, Senny, nieźle. Co się tu dzieje?

– Włamanie.

– Miałbyś coś przeciwko temu, żebym przejął od ciebie tę sprawę?

Chudzielec wzruszył ramionami.

– Czuj się jak u siebie w domu. Joe jest w drugim pokoju. Zdążyliśmy się już rozejrzeć. Brak odcisków palców. Dziwnie to wygląda, wiesz? Jakiś gość się tu włamuje, włącza magnetowid...

– Dzięki, Senny. Już ja się wszystkim zajmę.

T.C. zerknął na Laurę. Wpatrywała się w niego z wściekłością.

– Jak sobie życzysz. Hej, Joe, idziemy.

Policjant imieniem Joe wyszedł z sypialni. Przywitał się z T.C., a potem obaj gliniarze wyszli, zamykając za sobą drzwi.

T.C. i Laura pozostali sami. Oboje milczeli. T.C. wpatrywał się w zamknięte drzwi, Laura wpatrywała się w niego. Minęło trochę czasu, nim odpowiedział jej spojrzeniem.

– Nie ufasz mi już, prawda?

Laura próbowała ukryć ogarniającą ją panikę.

– A powinnam?

– Owszem, powinnaś mi zaufać. Bardzo mi na tym zależy. – T.C. wyjął cygaro z kieszonki koszuli. – Mogę?

Skinęła głową. Zapalił je, wydmuchnął kłąb dymu.

– Co tu się właściwie stało? – spytał.

– Ktoś włamał się do mojego domu.

– I?

– To wszystko.

Potrząsnął głową.

– Lauro, przecież i tak się dowiem. Prościej będzie, jeśli od razu mi powiesz.

Laura nadal wpatrywała się w jego twarz. Zabiłeś mojego męża, T.C.? Jesteś jakoś wplątany w jego śmierć? Jak mogłeś, akurat ty, któremu ufał i którego uwielbiał?

– Wyjechałam na kilka dni. Kiedy wróciłam, magnetowid odtwarzał z kasety ostatni mecz Davida.

– Taśma się przesuwiała?

– Tak.

– A więc włamywacz doskonale wyliczył sobie wszystko w czasie. Wiedział, kiedy pojawisz się w domu.

– Rzeczywiście, to brzmi logicznie.

– Kto znał twój rozkład zajęć?

– Nikt.

– Jesteś pewna?

– Tylko Serita.

– No tak, ją możemy wykluczyć. A gdzie właściwie byłaś?

– Wyjechałam w interesach.

T.C. przyglądał się jej przez długą chwilę.

– Ty mi naprawdę nie ufasz – stwierdził.

– Nie wiem już, co myśleć.

– Naprawdę wierzysz, że mógłbym zrobić coś, co zaszkodziłoby Davidowi?

Laura wahała się, a jej myśli biegły jednocześnie w dwóch zupełnie różnych

kierunkach. Nie, nie wierzę. Nigdy w to nie uwierzę. David za nic nie uwierzyłby, że mógłbyś mu w jakiś sposób zaszkodzić. Wolałby umrzeć, niż być świadkiem twej zdrady. Ale czy mógłbyś zrobić coś takiego? Czy istnieje taka możliwość? Jeśli przyjrzeć się faktom chłodnym okiem, po prostu musisz być moim pierwszym podejrzanym, ale kiedy patrzę ci w twarz, pamiętając chwile, które dzieliliście...

– Nie. Nie wierzę, byś mógł zrobić coś takiego.

T.C. westchnął ciężko. Nie ukrywał ulgi, miał ją wypisaną na twarzy.

– Więc gdzie byłaś?

– W Australii.

– Przecież wiem.

– Wiesz? Przecież nikt...

– Mam swoje sposoby.

– T.C... – powiedziała Laura powoli – czy sądzisz, że David został zamordowany? Jego krótka odpowiedź ugodziła ją wprost w serce.

– Tak sądzę.

Ledwie zdołała zadać kolejne pytanie, tak wyschło jej gardło.

– Czy to ty zabiłeś mojego męża?

– Nie.

– A kto?

T.C. wzruszył ramionami. Podeszedł do okna, wyjrzał na dwór.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

– Jeszcze? Czy to znaczy, że masz trop, że jesteś blisko?

– Byłem znacznie bliżej, nim zaczęłaś tę swoją wędrówkę po Australii.

– Skąd o tym wiesz? – Laura powtórzyła pytanie.

– Oprzytomniej, dziewczyno. Szeroko otwórz oczy i rozejrzyj się dookoła. Grasz w ekstraklasie. Sądzisz, że jestem jedynym człowiekiem wiedzącym coś o tej twojej wycieczce? Sądzisz, że ten, kto tu się włamał, był amatorem?

Laura nie dawała za wygraną.

– Skąd się dowiedziałeś?

– Uwierz mi, że nie był to żaden wielki problem. Ani dla mnie, ani dla niego. To nie twoja liga. Skończ z tymi gierkami i powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

Laura przyglądała mu się jeszcze przez krótką chwilę, po czym zaczęła mówić. O wszystkim. Bez wyjątku. Niczego nie zataiła. Jeśli to T.C. zabił Davida, to przecież bez różnicy, co teraz nastąpi. *Et tu, Brute*. Ale on go nie zabił. Mogła być tego pewna. Kochał Davida. Nikt nie jest tak dobrym aktorem. Ona mogła się sparzyć na Stanie, ale T.C. znała od lat, widziała go z Davidem w przeróżnych okolicznościach. Nie, nie skrzywdziłby przyjaciela, nie ma mowy. Zachowuje się dziwnie, owszem, ale najwyraźniej chce ją tylko przed czymś bronić, a nie ukryć tropy prowadzące do odkrycia sprawców zabójstwa.

O Boże, jak dobrze było znowu mu ufać. Jak dobrze było powiedzieć mu wszystko, podzielić się z nim wątpliwościami i strachem, znowu móc wesprzeć się, choćby i trochę, na jego ramieniu.

Skończyła mówić i wręczyła mu znaleziony pod poduszką pierścień.

– Pokazywałaś go Sennemu albo Joemu?

Laura potrząsnęła głową.

– Miałam zamiar, ale nie byłam pewna, czy powinnam. Co to znaczy, T.C.?  
Powiedz mi, co się dzieje.

T.C. zgasił cygaro, pogrzebał w popiele czubkiem wypalonej zapalki, usiadł. Oglądał pierścień jak jubiler wyceniający diament.

– Są rzeczy – zaczął i przerwał. – Są rzeczy, o których nie chcę ci mówić. Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedziała.

– Na przykład?

– Lauro, proszę, daj spokój.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że David został zamordowany?

– Chodziło mi wyłącznie o ciebie. Dbam o twoje dobro.

– Jak o nie dbasz? Chuchając na mnie i dmuchając? Kłamiąc?

– Chroniąc cię, Lauro – poprawił ją policjant. – Naprawdę nie widzisz, do czego zdolni są ci ludzie? Chryste, wiedzieli nawet, o której wrócisz do domu! Co dobrego wynikłoby z tego, że bym ci wszystko powiedział? Najpierw naraziłaś własne życie, a teraz jeszcze wystraszyłaś mordercę. A tak chciałem, żeby oni czuli się bezpieczni. Przestaliby się pilnować.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Trzymaj się od tego z daleka.

– Nie mogę – powiedziała Laura tak cicho, że był to niemal szept.

– Tu chodzi o ciebie!

– Nie martwię się...

– Nie martwisz się o siebie? – przerwał jej T.C. – No cóż, David by się martwił. David nie chciałby, żeby coś ci się stało. On cię kochał, Lauro. Kazał mi obiecać, że będę na ciebie uważał.

Laura zamknęła oczy. Odwróciła się, mając nadzieję, że to go uciszy. Nie uciszyło.

– A co z twoją rodziną? Ją też chcesz narazić na niebezpieczeństwo?

Przypomniało to Laurze liścik w kopercie przyklejonej do telewizora.

– Naprawdę uważasz, że morderca mógłby...

– Mógłby spełnić groźby? Ci ludzie nie żartują, idą na całość, a zabić kogoś to dla nich jak splunąć.

– Ale dlaczego? Dlaczego zabili Davida?

T.C. myślał chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale mam zamiar się dowiedzieć.



Graham Rowe pstryknął włącznikiem wentylatora. Cholera, to się nazywa upał! Jeśli mieszka się w Palm's Cove, trzeba przyzwyczaić się do upału, ale ten dzień jest chyba rekordowy. I w dodatku ta wilgoć, tak gęsta, że oblepia ciało...

Wyprostował się w krześle, rozejrzał po biurze. Czekają go mnóstwo papierkowej roboty, a on jej nienawidził. Spojrzał na rewolwery, na pustą celę, jeszcze raz na rewolwery; wszystko dobre, co odsuwa przekładanie papierów na minutę czy półtorej.

Lepki pot przyklejał mu koszulę do ciała. Podciągnął ją na piersi, przytrzymał, puścił. Obrzydliwe. W tej chwili najbardziej potrzebował prysznic. Może powinien wpaść do domu, opłukać się, przebrać. Od razu poczułby się lepiej, a może nawet zachciałoby mu się sięść do papierów z całego tygodnia? No tak, trudno o lepszy pomysł. A robota? Nie ma obaw.

Już prawie wstał, ale usiadł, nim zdążył się wyprostować. Uśmiechnął się do siebie. Jesteś mistrzem odkładania na później, szeryfie Rowe. Powinieneś się wstydzić. Co to znaczy tak wykradać się z pracy i po co? Żeby wziąć prysznic? Zmienić ubranie? Doskonale wiesz, że nim zdążysz dojść z domu do radiowozu, będziesz i tak spocony, a świeży mundur tak przemoczony jak teraz.

Rowe westchnął i sięgnął po stos wniosków o wydanie licencji wędkarskich. Przesuwał kciukiem po ich krawędziach, kiedy zadzwonił telefon.

– Biuro szeryfa.

– Graham, to ty?

Szeryf natychmiast rozpoznał głos Giny Cassler.

– Co słyhać, Gino?

– Sam odbierasz służbowe telefony?

– To nie hotel, kochana. Nie mam recepcjonistki. O co chodzi?

– Karty paszportowe powinnam mieć jutro, może pojutrze – powiedziała Gina. – Ale siostrzeniec już zdążył załatwić sprawę. Mam przed sobą rachunki telefoniczne.

Szeryf omal nie skoczył na równe nogi.

– Jakież rozmowy ze Stanami tamtej nocy?

– Owszem, są. Dzwoniono z aparatu w holu o tej godzinie, której się spodziewałeś.

– Słodki Jezu – szepnął Rowe. Przycisnął słuchawkę ramieniem, wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu. – Już do ciebie jadę.

Kibice Celtów gromadnie oblegali rampy wejściowe do Boston Garden przed długo oczekiwanym pierwszym meczem nowego sezonu, wspinali się schodami, kłębili przy bufetach, kręcili w przejściach między rzędami ławek. Zamożni właściciele karnetów na miejsca przy linii boiska witali bileterów jak długo niewidzianych przyjaciół. Zwyczajni oglądacze z ustawionych wysoko ławek ze zdumieniem i zachwytem przyglądali się zwisającym z belek sufitowych mistrzowskim sztandarom i koszulkom z wycofanymi numerami. W połowie dzisiejszego meczu dołączyły do nich: sztandar mistrzostwa ligi w roku 1989 i koszulka z numerem Davida Baskina.

Sześć miesięcy minęło od dnia, w którym David poprowadził swą drużynę do mistrzostwa. Sześć miesięcy temu David został wybrany na Najbardziej Wartościowego Gracza NBA. Sześć miesięcy temu utopił się u wybrzeży Australii.

Na trybunach panowała dziwna, niejednoznaczna atmosfera. Choć kibice zachowywali się spokojnie, byli wyraźnie rozgorączkowani. Nad parkietem unosiły się stłumione szepty, bo tego listopadowego dnia nic nie miało być takie jak przedtem.

Biała Błyskawica nie zdobędzie już ani jednego punktu.

Laura i Serita stały przy wejściu prowadzącym z szatni na parkiet. To właśnie przez nie mieli wbiec zawodnicy – gospodarze witani ogłuszającą owacją, goście głośnym buczeniem. Laura przyglądała się znajomemu otoczeniu ze łzami w oczach. Po raz ostatni była tu na meczach poprzedniego sezonu, lecz przez ten czas nic się nie zmieniło. Farba nadal odłaziła od ścian i w sali wciąż było duszno.

Obok Laury stali dwaj ochroniarze. Serita ujęła ją za rękę.

– Gotowa? – spytała.

Laura skinęła głową. Ochroniarze wyprowadzili je z ukrycia w blask jaskrawych lamp Garden. Obie starały się nie przyspieszać kroku, nie zwracać na siebie uwagi. Nikt ich chyba nie zauważył, a nawet jeśli, nie dał tego po sobie poznać. Laura nie patrzyła ani w lewo, ani w prawo. Wyczuwała raczej, niż słyszała, że tłum cichnie, ale zlekceważyła to wrażenie, uznając je za wytwór swej rozgorączkowanej wyobraźni. A jednak działo się tu coś dziwnego. Nikt się na nie nie gapił, nikt nie gwizdał, wyrażając uznanie dla ich urody. Nikt nie wskazywał ich palcem.

Dotarły na wyznaczone miejsca. Stan i Gloria już tu byli. Na ich widok Stan wstał, uśmiechnął się promiennie.

– Ach, Lauro, jakże miło znów cię widzieć – powiedział, ujmując jej dłoń i składając na niej pocałunek.

Laura zamknęła oczy, by uniknąć widoku jakże dla niego charakterystycznego, łożliwego uśmiechu. Nie teraz, powiedziała do siebie. Nie dziś. Przez ten jeden



wieczór udawaj, że jest dla ciebie bratem Davida, a nie nędznym robakiem.

– Dziękuję ci. To moja przyjaciółka, Serita.

Stan natychmiast skierował na nią całą swą uwagę.

– Równie piękna jak ty. – Seritę także pocałował w rękę. – Mając za towarzystwo trzy tak wspaniałe damy, z pewnością stanę się obiektem zazdrości wszystkich obecnych tu mężczyzn.

Serita z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Obie z Laurą przywitały się z Głorią, ucałowały ją w policzki i zajęły miejsca. Serita pochyliła się do przyjaciółki.

– On naprawdę jest taki? – spytała. Laura tylko wzruszyła ramionami.

Stan wstał.

– Idę po popcorn – oznajmił. – Panie czegoś sobie życzą?

– Nie, dziękuję – powiedziała Laura sztywno. Gloria także nie chciała niczego. Co innego Serita.

– Mogę prosić coś do picia?

– Oczywiście. Co dokładnie?

– Colę dietetyczną.

– Dietetyczną? – Uśmiech Stana pojawił się automatycznie. – Po co komuś z twoją figurą dietetyczna?

Serita przewróciła oczami, spojrzała w sufit i zachichotała cicho. Odczekała, aż Stan się oddali, po czym szepnęła jadownicie:

– Kolejna dobra kwestia.

Laura uciszyła ją. Spojrzała na siostrę.

– Co u ciebie, Glorio? – spytała.

– Wspaniale. A jak tobie udała się podróż?

– Załatwiłam kilka spraw. Gdzie mama i tata?

– Mieli zabrać z Sheratona ciotkę Judy. Powinni przyjechać za kilka minut.

– To świetnie.

– Lauro – powiedziała nagle Gloria – chcę cię poprosić o przysługę.

Laura spojrzała siostrze w oczy. Przeczuwała, co usłyszy, ale nie wiedziała, jak ma zareagować.

– Mów.

– Chodzi o Stana.

– I co?

– Wiem, że nie czujecie do siebie sympatii. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale kocham go, Lauro, naprawdę go kocham. Możesz dać mu jeszcze jedną szansę? Zrobisz to dla mnie? Proszę.

Laura wzięła głęboki oddech, co robiła często, żeby zyskać choć odrobinę czasu. Tym razem też jej się udało. Nim odpowiedziała, pojawili się rodzice i ciotka. Laura, Gloria i Serita przywitały Jamesa, Mary i Judy. Wymieniono uściski i pocałunki. Laura przytulała członków swej rodziny odrobinę mocniej i dłużej niż zwykle, jakby dodawali jej w ten sposób siły. Było to miłe uczucie.

James był bardzo ożywiony.

– Jak moja mała dziewczynka? – spytał.

- Doskonale, tato.
- Bzdura – powiedział cicho. Laura zdołała się uśmiechnąć.
- Tak bardzo za nim tęsknię – wyszeptwała.
- Wiem, kochanie. Wiem.

Odstąpili od siebie i Laura mogła przyjrzeć się ojcu dokładniej. Śmierć Davida postarzała go, twarz miał nieco bardziej zmęczoną, pojawiło się na niej kilka nowych zmarszczek. Ubrany był, jak zwykle, z nienaganną elegancją: garnitur, trenaż Burburri, pod kolor apaszka, kapelusz i rękawiczki.

Mary zdjęła swój ciężki płaszcz. Laura dostrzegła, że matka drży. Połączenie bezsenności i wielu kieliszków wina do kolacji sprawiło, że skóra jej twarzy nie była już świeża jak zawsze, lecz blada.

- Gdzie jest ten twój młody człowiek? – zwrócił się doktor do starszej córki. Gloria natychmiast się ożywiła.
- Przyjdzie za chwilę. Poszedł po popcorn.
- Doktor Ayars uśmiechem dodał jej odwagi.
- Nie możemy się doczekać, kiedy go poznamy.
- Jestem pewna, że się zaprzyjaźnicie.
- Ja też.

Laura przyglądała się matce zaniepokojona. Chociaż w hali było duszno i gorąco, Mary trzęsała się niczym wystawiona na mróz.

- Nic ci nie jest? – spytała Laura.
- Uśmiech Mary nie sięgał oczu.
- Małe przeziębienie. Nie ma się czym martwić.

Przez chwilę panowało milczenie. Obecni przyglądali się hali, boisku, sobie nawzajem.

- Jest! – krzyknęła nagle Gloria.

Laura obejrzała się przez ramię. Stan schodził po schodkach między ławkami, uśmiechając się do Glorii, jakby ją jedną widział i tylko ona się dla niego liczyła. Co za ośliżły drań, pomyślała Laura, ale musiała przyznać, że dobrze grał zakochanego do szaleństwa szczyła. Nawet bardzo dobrze.

Głowy odwracały się w jego stronę. Schodził lekko, właściwie przeskakiwał co dwa stopnie, a w każdym jego kroku było mnóstwo radości. Podbiegł do nich w ten sposób, pocałował Głorię w policzek. Gloria zaczerwieniła się, chwyciła go za rękę.

- Mamo, tato, ciociu Judy, chciałabym przedstawić wam Stana Baskina.

Stan spojrział na nich, wyciągnął rękę i zamarł. Uśmiech znikł z jego warg, jakby nigdy go tam nie było. Stał blady z otwartymi ustami.

Mary i Judy wpatrywały się w niego w milczeniu. Wyglądały bardzo podobnie. Tylko James nie zareagował w żaden widoczny gwałtowny sposób.

- Miło cię poznać, Stan – powiedział spokojnie.

Stan powoli dochodził do siebie jak bokser korzystający z tego, że sędzia go liczy, by odzyskać świadomość i siły. Znowu się uśmiechnął, choć nie tak naturalnie i spontanicznie jak poprzednio. Potrząsnął dłonią doktora, wychrypiął: „Cała przyjemność po mojej stronie”, serdecznie przywitał się z Judy i Mary, ale unikał ich

spojrzenia, a one też uciekały wzrokiem. W końcu usiadł.

- Co tu się, do cholery, dzieje? – szepnęła Serita do Laury.
- Nie mam zielonego pojęcia, ale coś dziwnego, prawda?
- Mało powiedziane.

Laura widziała, jak matka jakby zapada się w sobie; nawet ciotka Judy nagle wydała się zmęczona. Niech to diabli, o co tu chodzi? Cisza stawała się coraz bardziej niezręczna. Miejsce po lewej stronie Laury pozostawało puste. T.C. uprzedził, że może się trochę spóźnić. Bardzo go jej brakowało. Ciekawe, co by powiedział na sposób, w jaki Stan został powitany przez rodzinę.

Niezręczne milczenie panowało do chwili, gdy Laura zwróciła się do ciotki.

- Opowiedz nam o Colinie – poprosiła.

Napięcie opadło; widać było, że Judy przyjęła to z wielką ulgą.

- Jest profesorem geologii w Colgate. Dziekanem wydziału.
- I? – odezwała się Serita.

Judy się uśmiechnęła.

- I jest wspaniały.

– To cudownie! – ucieszyła się Gloria.

– No dobrze, dość już o mnie – orzekła Judy. – Słyszałam, że Celtowie wiążą wielkie nadzieje z tym nowym zawodnikiem, Seidmanem.

Mary Ayars włączyła się do rozmowy, dzielnie udając, że wszystko jest w porządku i nic się nie stało.

- Chyba skończyłaś już z tym szaleństwem na punkcie koszykówki, prawda, Judy?

Jej siostra także robiła, co mogła, by utrzymać dobry nastrój, mimo że czekała je uroczystość upamiętniająca Davida... i jeszcze ta reakcja Stana, kiedy je zobaczył.

– Żartujesz? Już mam bilety na półfinał i złożyłam ofertę na MSG, więc w tym roku zdołam obejrzeć wszystkie mecze Knicksów.

Mary niewiele z tego zrozumiała.

- Co to takiego Knicks? I MSG?

Judy zachichotała.

- Dobrze, już dobrze, nic nie mówiłam.

Znów zapadła cisza. Przerwał ją dobiegający z głośników głos:

– Panie i panowie, oto drużyna Boston Celtics sezonu tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt.

Trybuny ryknęły jednym głosem, zatapiając halę falą dźwięku. Dwunastu mężczyzn w zielonych dresach wbiegło na parkiet i poziom hałasu jeszcze się podniósł, choć wydawało się to niemożliwe. Przez ułamek sekundy Laura szukała wzrokiem Davida, a kiedy zorientowała się, że nie ma go na boisku i że już nigdy go na nim nie będzie, jej serce przeszył nieznośny ból.

Gracze kilkakrotnie okrążyli boisko truchcikiem, po czym jedni zaczęli się rozciągać, inni zaś ćwiczyli rzuty. Laura dostrzegła stojącego pod koszem Earla, który właśnie w tej chwili pozdrawiał je uniesieniem dłoni. Serita pomachała do niego, puściła uwodzicielsko oko. Laura rozpoznawała kolejne, dobrze jej znane twarze. Wszyscy gracze podchwytywali jej spojrzenie, odpowiadali uśmiechami, ciepłymi

i nieco smutnymi. Timmy Daniels, Johnny Dennison, Mac Kevlin, Robert Frederickson...

Wszyscy oprócz jednego.

Numer trzydziesty. Tylko jego Laura nie rozpoznawała. Miał może metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, wijące się jasne włosy i wyraźnie, lecz bez przesady umięśnione, wręcz doskonałe ciało. Przyglądała mu się, gdy rzucał z dwutaktu; objął piłkę o tablicę, nawet nie odprowadzając jej wzrokiem, z góry wiedząc, że odbije się pod odpowiednim kątem i wpadnie do kosza. To musi być ten nowy, pomyślała, ten, o którym Earl i Serita rozmawiali w zeszłym tygodniu. Jak się nazywa? Ciotka Judy wspomniała coś przed chwilą. Seidman, Mark Seidman. Człowiek znikąd.

Mark Seidman.

Jak zahipnotyzowana Laura wpatrywała się w Seidmana przechodzącego rutynową rozgrzewkę pod koszem. Czekanie w kolejce, przyjęcie podania, wejście, rzut, bieg na koniec kolejki po drugiej stronie kosza, chwila oczekiwania, wejście, zbiórka, podanie i do kolejki rzucających. Mark Seidman poruszał się gładko, bez wahania. Był rozluźniony, nieprawdopodobnie wręcz rozluźniony jak na nowicjusza, z którego prasa zdążyła już zrobić nowego zbawcę Celtów.

T.C. pojawił się jak na zawołanie, kiedy sędzia podrzucał piłkę na początek meczu. Powiedział: „Cześć!” wszystkim z wyjątkiem Stana i przeszedł na swoje miejsce, starając się nikogo nie potrącić (z wyjątkiem Stana, któremu specjalnie nadepnął na nogę).

– Przepraszam, stary przyjacielu – powiedział z głęboką skruchą. – Nie chciałem.

Zignorował wściekłe spojrzenie Stana i ciężko opadł na miejsce obok Laury.

– Jak leci? – spytał.

– Nieźle.

– Przepraszam, że się spóźniłem.

– Ominął cię tylko pierwszy rzut sędziowski.

Oboje zajęli się grą. Johnny Dennison podał Timmy’emu Danielsowi. Timmy rozejrzał się, podał Big Mac Kevinowi. Obrońcy podwoili krycie. Podał do Marka Seidmana, który znalazł się w rogu boiska jak w pułapce.

– Będzie musiał rzucić – zauważył T.C. – Czas im się kończy.

Jakby usłyszawszy podpowiedź, Mark Seidman wyskoczył, obrócił się i rzucił z odchylenia. Piłka musnęła tablicę, wpadła do kosza. Przez chwilę Laura nie mogła zaczerpnąć oddechu, a żołądek ścisnął jej się z bólu. Ten rzut z wysokości, ten cholerny rzut z odchylenia... nic dziwnego, że chłopaka nazywano Białą Błyskawicą Dwa.

– Jezu, T.C., widziałeś to?

T.C. skinął głową.

– Cholernie dobry rzut.

– Nie do wiary – powiedziała cicho siedząca po ich lewej stronie Judy. Głos jej się łamał.

Mary nie zwracała uwagi na grę. Jej oczy biegały na wszystkie strony, ale najczęściej zerką na Stana. On także nie uważał, nie skupiał się na tym, co działo się na parkiecie, tylko ukradkiem spoglądał na tych, w których towarzystwie się znalazł.

Mocno ścisnął dłoń Glorii, twarz miał przerażająco bladą.

– Wiesz coś o nim?

– Seidmanie? – T.C. pokręcił głową. – Tylko to, co pisały gazety. I Earl wspomniał o nim parę razy. Podobno jest cichy, zamknięty w sobie.

Mecz trwał. Mark Seidman grał jak nawiedzony. W pierwszej kwarcie zdobył osiem punktów, poza tym miał trzy asysty i cztery zbiórki. Celtowie prowadzili siedmioma punktami. Pierwszą połowę, dzięki Seidmanowi, zakończyli z przewagą dwunastu punktów.

Uroczystość, zapowiedziana na połowę meczu, odbyła się zgodnie z programem, ale przed oczami Laury ukrywała ją jakby nieprzenikniona mgła. Robiła to, co powinna, wysłuchiwała uroczystych słów, przyglądała się, jak Earl i Timmy podnoszą koszulkę Davida. Dolna warga drżała jej niepowstrzymanie.

Judy Simmons w ogóle nie zwracała na to uwagi, zajęta obserwowaniem Seidmana i tego, jak reaguje na uroczystość ku czci Davida Baskina. Twarz miał nieruchomą, ale zauważyła, że ani razu nie spojrzął w stronę Laury.

Przez głowę Judy przelatowały myśli, dzikie i chaotyczne. Obijały się o jej czaszkę. Próbowwała zatrzymać przynajmniej ich część, choć wydawały się irracjonalne, uporządkować w rodzaj spójnej teorii. Ale myśli te nie dawały się uporządkować.

Wiedziała, że każda z osobna, każdy pojedynczy fakt, niewiele znaczy. Wielu koszykarzy z powodzeniem naśladowało rzut Davida: ten chłopak z UCLA chociażby albo rozgrywający z Seattle. A co z silnym skrzydłowym z Phoenix Suns? Koszykarze na całym świecie próbowali udoskonalić rzut z wysoku Białej Błyskawicy, błyskawiczny, a przez to niemożliwy do zablokowania. Nie, to nie mogło budzić niczyich podejrzeń.

I w tym problem. Było to zbyt doskonałe. Nikt nie mógł nic podejrzewać. Chyba że świetnie znał sytuację. Chyba że doskonale rozumiał potęgę przeszłości i to, jak potrafi nie do poznania zmienić rzeczywistość.

Laura wróciła na miejsce, wysoko trzymając głowę. Oczy miała suche. Nie będzie już płakać, pomyślała Judy. Rozpłacze się później, gdy będzie sama, z daleka od ludzi. Pocałowała ją w policzek, robiąc co w jej mocy, by pozbyć się idiotycznych myśli swobodnie krążących w jej głowie. W końcu najprawdopodobniej się myliła. Dopuszczała do tego, by górę wzięła jej nadmiernie podejrzliwa natura. Lepiej wszystko sobie dokładnie przemyśleć, nim zacznie się wyciągać wnioski. Spróbować ocenić sytuację chłodnym okiem, nim wkroczy się na pole minowe.

Lecz jeśli podejrzewania okażą się trafne, nie uniknie przejścia przez to pole i do diabła z ceną, którą przyjdzie jej za to zapłacić. Jeśli jej podejrzewania okażą się trafne, duchy przeszłości znów podniosą głowy, każą spojrzeć sobie wprost w oczy. Po raz ostatni krzykną, domagając się zemsty, i wreszcie po wielu, wielu latach to ich pragnienie zostanie zaspokojone. Tym razem nie będzie dokąd uciec, nie będzie gdzie się schować, nie będzie kogo złożyć im w ofierze. Tym razem winni zostaną ukarani. Zniszczeni.



Mark opuścił głowę, podparł ją rękami. Siedział na ławce naprzeciw swej szafki, ze wszystkich sił próbując odgradzić się od otaczającego go ze wszystkich stron medialnego szaleństwa. Większość dziennikarzy pozostawiła go samemu sobie, znając jego reputację człowieka z zasady nierozmawiającego z prasą, i kręciła się teraz wokół obiektów znacznie bardziej atrakcyjnych: Earla Robertsa, Timmy'ego Danielsa i Maca Kevlina.

Ale dzisiejszy mecz był wielkim triumfem właśnie Seidmana. W swym ligowym debiucie zdobył dwadzieścia siedem punktów, miał dwanaście zbiórek i siedem asyst. Celtowie odnieśli łatwe zwycięstwo nad Waszyngtonem: 117-102. W normalnych warunkach prasa rzuciłaby się na sprawcę takiego cudu niezależnie od wszystkiego, ale Marka pozostawiono w spokoju, respektując jego prawo do samotności. Oblężono resztę zawodników, a na niego tylko popatrywano nerwowo, jakby był granatem z wyciągniętą do połowy zawleczką. Kto mógł się spodziewać, że gra dobrze rokującego nabytku przejdzie wszelkie oczekiwania, i to już w pierwszym meczu? Obiecujące początki w cyklu przedsezonowym to jedno, ale stanąć naprzeciw kibiców w meczu otwarcia w Boston Garden i rozłożyć przeciwnika na łopatki, ooo... to już zupełnie co innego. Mark jednak wyglądał raczej na doświadczonego weterana niż na nowicjusza, a jego zaangażowanie w grę było zdumiewające, nawet nieco niesamowite. Ani razu nie przybił piątki koledze z zespołu, nie cieszył się po udanym rzucie, nie uśmiechał się, nie ujawniał uczuć. Nie miało to żadnego sensu. Oto debiutant gra w wykupionej do ostatniego miejsca sali, rodzinnym domu legend koszykówki i porusza się po parkiecie w chłodny, zimny, niemalże mechaniczny sposób. Jednak w jego grze było piękno, niepozostawiający wątpliwości wdzięk mistrza.

Do szatni wszedł Clip Arnstein ze słynnym cygarem zwycięstwa w zębach. Natychmiast otoczyli go dziennikarze.

- Co sądzisz o meczu, Clip? – spytał jeden z nich.
- Pałę cygaro, prawda? – odpowiedział Arnstein z uśmiechem.
- A o grze Marka Seidmana?

Odpowiedzią był jeszcze szerszy uśmiech.

– Możecie mnie zacytować, przyjaciele. Teraz jednak, bardzo proszę, wyświadczyć mi przysługę i wynoście się stąd. Chłopcy muszą się przebrać i przygotować do przyjęcia.

W zwykłych okolicznościach prasa natychmiast narobiłaby krzyku, ale tego wieczoru obyło się bez protestów. Wszyscy wiedzieli, że gracze Celtów są zaproszeni na przyjęcie rodzinne Baskinów. David był ulubieńcem prasy, postacią barwną, nieco zwariowaną, zabawną i uprzejmą, zawsze gotową powiedzieć coś żartobliwego i niecodziennego. Biała Błyskawica był prawdziwym talentem: chętnie udzielał się w mediach, nie sprawiając wrażenia egomaniaka.

Dziennikarze spokojnie wyszli z szatni. Gracze ubierali się szybko, w milczeniu, tylko Mark siedział, podpierając głowę rękami. Clip podszedł do jego narożnej szafki, położył dłoń na jego ramieniu. Gracze wychodzili jeden po drugim.

- Wszystko w porządku? – spytał.

Seidman skinął głową.

– Słuchaj, wiem, że nie lubisz publicznych wystąpień i rozmów z dziennikarzami. W porządku, to twoja sprawa. Ale dla tych chłopaków David znaczył naprawdę wiele. Jesteś samotnikiem, zgoda. Nie chcesz nawiązywać przyjaźni w zespole, nie ma sprawy. Jak długo odwalasz swoją robotę, nic nie mówię. Rozumiesz?

Mark podniósł wreszcie wzrok.

– Tak, rozumiem.

– Więc choć nie podoba mi się polityka zamkniętej gęby, odpuszczam. Ale nie chcę, żebyś zrobił coś, co naprawdę zrazi do ciebie kolegów.

Ostatni gracz wyszli z szatni. Seidman i Arnstein zostali sami. Wszędzie poniewierały się rzucone ręczniki.

– Jak długo robię swoje na parkiecie, w czym problem? – spytał Mark.

– Nie powiedziałem, że masz być najlepszym kumplem całej drużyny, tylko że nie opłaca się wkurzać ani ich...

– Ale...

– ...ani mnie. – Clip mówił coraz donośniej, głos mu drżał. Twarz miał czerwoną. – Gdzieś muszę nakreślić granicę, Mark, i gówno mnie obchodzi, jaki jesteś dobry. David Baskin znaczył bardzo wiele dla tych chłopaków. Dla mnie też. Jeśli nie okażesz mu szacunku, to możesz sobie być samym Mesjaszem, a i tak posadzę cię na ławce, i to tak daleko, że nie będziesz nawet widział meczu. Zrozumiano?

Mark zapragnął wstać i uściskać zdenerwowanego, kruchego starszego pana, ale powiedział tylko:

– Chyba tak.

Arnstein uspokajał się powoli, jego twarz odzyskała normalny kolor, a głos zwykle brzmienie.

– Już porównują cię z Davidem. Rzucasz jak on, poruszasz się jak on, zająłeś jego pozycję. – Clip wstał i podszedł do drzwi. – No to ubieraj się – zakończył rozmowę. – Pojedziemy razem.

Mark skinął głową. Gdyby dalej się opierał, tylko ściągnąłby na siebie uwagę. Nie mógł opanować drżenia. Bał się wejść do Blade and Boards. Będą tam jego koledzy z drużyny. Będzie T.C. Ale najważniejsze, że będą tam ludzie, którzy na meczu siedzieli w tym samym rzędzie co T.C. Udało mu się nawet nie spojrzeć w tamtym kierunku, nie starał się podchwycić spojrzenia T.C. z obawy, że zobaczy jeszcze kogoś. I chociaż jej nie widział, wiedział, że tam jest, czuł jej obecność od chwili, gdy weszła do hali. A teraz czuł dojmujący chłód na myśl o tym, że czy mu się to podoba, czy nie, Mark Seidman będzie musiał przed nią stanąć. Po raz pierwszy.

Żołądek zacisnął mu się boleśnie.

Minęło wiele czasu. Nadeszła chwila, by Mark Seidman poznał Laurę Baskin.

---

<sup>1</sup> New York Knicks (skrót od Knickerbrokers) – znana nowojorska drużyna ligi koszykówki NBA. MSG to skrót od Madison Square Garden, hali, w której New York Knicks są gospodarzami.

Laura stała w towarzystwie Earla i Serity. Zdążyła już przywitać przyjaciół Davida uściskami i ciepłymi słowami. Byli wszyscy z wyjątkiem Clipa i tego tajemniczego nowego. Nadal nie potrafiła uwierzyć w to, co widziała przecież na własne oczy. Nie chodziło tylko o grę Marka Seidmana, choć grał wspaniale. Dopiero teraz w pełni zrozumiała to, o czym mówił Earl, kiedy spotkali się u niego i Serity, w penthousie. W Seidmanie było coś niepokojącego. Ten sposób gry... technicznie grał dokładnie jak David, ale bez odrobiny emocji, a tymczasem to właśnie emocje wydobywały z Davida to, co najlepsze. Żywił się uczuciem do kolegów z drużyny i miłością do gry, można było odczytać to z jego twarzy przy każdym rzucie, każdym podaniu, każdej zbiórce. Marka Seidmana motywowało coś zupełnie innego, abstrakcyjnego, bezosobowego. Sprawiał wrażenie wojownika, który nie chce walczyć i próbuje tylko przetrwać najtrudniejszą z bitew, by móc po niej wrócić do domu.

Ale znowu... jakże przypominał Davida. Zajął jego pozycję w drużynie i na boisku, demonstrował tę samą niewzruszoną koncentrację i, co najdziwniejsze, ten sam błyskawicznie wykonywany rzut z wyskoku. Jak u Davida, po jego rzucie piłka leciała do celu wytyczonym łukiem, jakby prowadziła ją niewidzialna dłoń. Laura nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

Każdy ruch Marka na parkiecie powodował, że bolało ją serce. Taki podobny do Davida! Taki podobny do jej cudownego, pięknego, ukochanego Davida. Na myśl o tym drżała, nawet w tej chwili.

Clip wszedł do klubu, więc wygnała z głowy te swoje wszystkie, śmieszne przecież, myśli o nowicjuszu. Spojrzał w jej stronę i uśmiechnął się uśmiechem sięgającym aż jego smutnych do tej chwili oczu. Był to uśmiech pełen współczucia, pocieszający, uśmiech starego przyjaciela przychodzącego, by pomóc.

Zrobiła krok w jego kierunku i wówczas pojawił się Mark Seidman.

Laura zamarła. Nie spojrzała na niego, jeszcze nie. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak bardzo nie chciała na niego patrzeć, ale tak właśnie było. Clip wziął go pod ramię, poprowadził i przedstawił rodzinie, Sericie, T.C., aż wreszcie podeszli i do niej.

– Lauro, to Mark Seidman. Mark, przedstawiam ci Laurę Baskin.

Laura powoli podniosła głowę. Ich oczy nagle się spotkały. Odczuła to jak potężny cios w dołek. Natychmiast uciekła spojrzeniem, on także. Kontakt wzrokowy trwał ułamek sekundy, ale nie mogła się pomylić: jego oczy wypełniał niewypowiedziany ból.

– Gratuluję wspaniałej gry – powiedziała z trudem.

– Dziękuję – odparł Mark niemal szeptem. – Przykro mi z powodu twojego męża.

Podali sobie ręce. Czując jej dotyk, Mark zaczerwienił się i szybko cofnął dłoń.



– Przepraszam, ale...

Clip próbował chwycić go za ramię, zatrzymać, ale Seidman wyślizgnął mu się i szybko przeszedł pod przeciwległą ścianę sali. Zażenowany Arnstein tylko rozłożył ręce.

– Co mogę powiedzieć. – Wzruszył ramionami. – Mark jest chorobliwie wręcz nieśmiały.

– Earl mnie uprzedził.

– Dziwny z niego facet. Ale doskonały gracz.

Skinęła głową. Clip przeprosił i dołączył do grupy trenerskiej Celtów.

Laura dostrzegła zmierzającego w jej stronę Stana.

Po kilku piwach wypitych w hali Stan do tej pory okupował miejsce przy dobrze zaopatrzonym barze. Był niewątpliwie pijany. Zalany w trupa. Ledwie trzymał się na nogach. Poszukała wzrokiem Glorii, ale nigdzie jej nie zobaczyła.

Stan dotarł do niej jakoś, objął ją mocno, przytulił i pocałował.

– Zgrabna z ciebie cizia.

– Sukinsyn – syknęła wściekle.

– Spokojnie, nie rób sceny. – Gdyby na niej nie wisiał, toby się przewrócił. – Przecież tylko cmoknąłem cię w policzek.

– Czego chcesz?

– Spokojnie, spokojnie. – Zachwiał się, ale zdołał odzyskać równowagę. Przyciągnął Laurę. – Boże, jaka ty jesteś nieuprzejma, siostrzyczko. Czy ktoś ci to już kiedyś powiedział?

– Jesteś pijany.

– Nie chrzań, Sherlocku. Jestem pijany i co z tego? Czy to znaczy, że nie mogę podejść, przywitać się grzecznie, spytać, jak się czujesz i jak sobie radzisz? Nawet przy tak tragicznej okazji nie stać cię na zwykłą grzeczność?

– Naplułybyś na grób Davida za dolara – prychnęła.

Stan jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie.

– Za pięćdziesiąt centów, chętnie.

Laura zastanowiła się przelotnie, czy nie wbić mu pięści w jądra, jak to zrobiła, kiedy zaatakował ją w gabinecie, ale myśl o zrobieniu sceny, a potem konieczności tłumaczenia się sprawiła, że udało jej się zachować spokój. Nawet uśmiechnęła się miło, jakby nie zdarzyło się nic wyjątkowego, co nie przeszkodziło jej powiedzieć:

– Puść mnie, świni.

– Ależ, Lauro, dlaczego? Przecież mam dla ciebie dobrą nowinę. Zagadka bardzo szybko znajdzie rozwiązanie.

– Gdzie Gloria?

– Pudruje nos. Ale... posłuchaj mnie. To już koniec. Dzisiaj wszystko się skończy.

– Co tam bełkoczesz?

Stan kiwał się w przód i w tył.

– Już nie chcę ani ciebie, ani cholernych pieniędzy twojej siostry.

– Słuchaj, nie wiem, o czym mówisz, i nic mnie to nie obchodzi. Po prostu się ode mnie odczep.

– Wszystko w swoim czasie. Chyba ciągle nie rozumiesz, co do ciebie mówię. To już koniec. Wyjeżdżam.

– Świetnie. Miło było cię poznać. Na razie.

Stan się uśmiechnął. Spróbował skupić spojrzenie przekrwionych oczu na jej twarzy.

– Nie zapominasz przypadkiem o pewnym znaczącym drobiazgu?

– Jakim to drobiazgu?

– Na imię mu Gloria.

– No i co?

Stan wzruszył ramionami, omal się przy tym nie przewracając.

– Ona mnie kocha, wiesz? Mogę z nią zerwać miło i kulturalnie, powiedzieć, że nie jestem dla niej wystarczająco dobry i takie tam gówno. Ale mogę też ją złamać, przyznać, że była tylko narzędziem, a teraz jest zwykłą beużyteczną dziwką.

Laura burzyła się w duszy, ale jej twarz pozostała spokojna.

– Jeśli to zrobisz – powiedziała cicho – zabiję cię. Przysięgam.

– Grozisz mi, dziewczyno? Powinnaś być mądrzejsza.

– Czego chcesz, Stan? Zdaje mi się, że nie pieniędzy, sam to powiedziałeś. I dlaczego zachowywałeś się tak dziwnie na meczu?

– Cierpliwości, mój śliczny kwiatuszku. Ale masz rację. Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

– Więc dlaczego nie zostawisz mojej siostry w spokoju?

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, ale niestety, życie nie jest takie proste. Najpierw musisz coś dla mnie zrobić. – Stan położył dłonie na ramionach Laury i obrócił ją tak, że stali teraz przodem do siebie.

– Co? – spytała i zobaczyła, jak się uśmiecha.

– Chcę, żebyś się ze mną przespała. Tylko raz. Zrób mi tę drobną przysługę, a obiecuję, że nie skrzywdzę twojej siostrzyczki.

Laura zaczęła się dławić, a jednocześnie uświadomiła sobie, że dla zwykłego obserwatora ona i Stan to rozmawiająca przyjaźnie przystojna para. Oboje uśmiechali się, patrzyli sobie w oczy, stali blisko siebie, a on trzymał dłonie na jej ramionach. Pozór przeciw rzeczywistości. Ludzie prawdopodobnie przyglądali im się teraz z sympatycznymi uśmiechami na twarzach, dzielili się uwagami, jaką to przystojną są parą...

...ale w tej chwili Laura patrzyła na Marka Seidmana, a on bynajmniej się nie uśmiechał. Po raz pierwszy tego wieczoru nie potrafił zachować spokoju. Bardzo ją to zaskoczyło. Stał za Stanem, patrząc na nich gniewnie, a jego twarz miała wyraz, który nazwać można wyłącznie nienawiścią.

Dlaczego?

– No więc... – oddech Stana śmierdział alkoholem – ...czekam...

Laura oderwała wzrok od Marka.

– Jesteś pijany!

– To już ustaliliśmy. I nadal czekam na odpowiedź.

– Jak ci się spodoba taka: idź do diabła!

Stan potrząsnął głową.

– Zachowujesz się niemądrze. Bardzo niemądrze. Powinnaś najpierw pomyśleć, a dopiero potem działać.

– Jesteś najobrzydliwszym stworzeniem, jakie znam. Nienawidzę cię! Przemyśl to sobie.

– Wiesz, dlaczego mnie nienawidzisz?

– Mam wyliczyć powody w jakimś szczególnym porządku?

Stan się roześmiał. Zrobił dwa niewielkie kroczki i jakoś utrzymał równowagę.

– Lauro, przestań sama się oszukiwać. Przyznaj, przynajmniej przed sobą, dlaczego mnie nienawidzisz.

– W porządku, Stan. Jeśli ma cię to uspokoić, pytam: dlaczego cię nienawidzę?

– Dlatego że uznałaś mnie za atrakcyjnego – powiedziała, plując drobinami śliny. – Bardzo atrakcyjnego. Pragniesz mnie, Lauro, i przez to czujesz się winna. Masz wrażenie, że jesteś nielojalna wobec Davida. Jak to sobie kompensujesz? Tworzysz sobie iluzję potwora, kogoś, kogo łatwo nienawidzić.

– Jesteś chory – nie wytrzymała Laura. – Kiedy dziś zobaczyłam was razem, byłam taka głupia, że pomyślałam nawet: a może ona jednak go obchodzi? Ale obiecuję, że już nigdy nie zapomnę tej jednej prawdy: jesteś gównem wart.

Stan nie przestał się uśmiechać.

– Zgoda, ale to gówno dostanie od ciebie to, czego chce.

– Nie ma mowy!

– Och, Lauro, znów te emocje. A ostrzegałem, ostrzegałem. Udaj, że to decyzja biznesowa. Jeśli dziś się ze mną prześpisz, jutro zniknę na zawsze. Dla Glorii pozostanę tylko miłym wspomnieniem. A jeśli się nie prześpisz, zniszczę ją bez wahania. Przemyśl to sobie. Ile warte jest dla ciebie życie Glorii? Tak niewiele, że nie poświęcisz dla niego swej wdowiej cnoty?

Laura milczała. Uśmiech Stana, szalenie z siebie zadowolonego, boleśnie ranił jej serce.

– Oho, widzę, że zaczynasz myśleć praktycznie. To mądra decyzja. Jeden szybki numer i przechodzę do historii. Jeśli chcesz, możesz nawet zamknąć oczy. No ale jeśli to twoje wspaniałe ciało uzna, że nie wystarczy mu Stan na jedną noc, że chce więcej tego, czego mam mnóstwo, zostanę z tobą... na jakiś czas. To będzie taki nasz mały sekret.

Laura przełknęła ślinę, walcząc z mdłościami. Nie wierzyła własnym uszom.

– Jaką mam gwarancję, że rzeczywiście wyjedziesz?

Stan uśmiechnął się zwycięsko. Już ją miał.

– Nie ufasz mi?

– Zupełnie.

– No to będziesz musiała zaufać, kochanie. Życie jest grą. Dokonasz wyboru i będziesz z nim żyła. Tak czy inaczej, jutro wyjeżdżam, więc jeśli znajdziesz Glorię w wannie, z podciętymi żyłami, będziesz wiedziała, że podjęłaś złą decyzję.

W tym momencie Laura dostrzegła Glorię zmierzającą w ich kierunku.

– Do zobaczenia u ciebie, po północy – szepnął Stan i odszedł.

Laura obserwowała, jak zataczając się, szedł na spotkanie jej siostry. Gloria wyglądała tak pięknie, tak delikatnie, była taka szczęśliwa, choć patrzyła na swego mężczyznę z obawą. Ona martwi się o niego, pomyślała, martwi się o tego sukinsyna! A ja nic nie mogę na to poradzić. Jestem bezradna, a w tej chwili słowo to ma tylko jedno znaczenie.

Odwrociła się plecami do siostry, do Stana. David nie żyje. Przybyła za późno, by uratować go przed falami Pacyfiku lub przed mordercą. Ale Gloria żyje i jest przy niej.

Ma szansę ją ocalić.



Mark obserwował Stana i Laurę, a gniew niemal całkowicie go zaślepił. Ciągłe nie wierzył w to, co widzi. Stan! Stan był tu, w Bostonie! Cholera, dlaczego T.C. mu o tym nie powiedział? Cóż, odpowiedź na to pytanie była więcej niż oczywista: teraz, kiedy David Baskin nie żyje, Markowi Seidmanowi nie mówi się niczego.

Z transu wyrwał go znajomy głos mówiący: „Przepraszam...”.

Odwrocił się i zobaczył wysoką kobietę o kasztanowatych włosach. Judy Simmons. Przypuszczał, że pojawi się na uroczystości, i bardzo się tego bał. Ciotka Laury nie była głupia, a co znacznie ważniejsze, nie wątpił też, że jako jedyna w tym gronie ma duże szanse, by dowiedzieć się, co naprawdę spotkało Davida Baskina.

– Tak, pani... – udał, że nie pamięta nazwiska.

– ...Simmons – dokończyła za niego. – Judy Simmons. Jestem ciotką Laury Baskin – Tak, oczywiście.

Przyjrzała mu się uważnie, szczególnie długo zatrzymując wzrok na jego twarzy.

– Chciałam tylko powiedzieć, że grał pan dziś wspaniale.

– Dziękuję.

– Gdzie pan się tego nauczył?

Mark wzruszył ramionami.

– Nigdzie w szczególności. Tu i ówdzie.

– No cóż, nie widziałam jeszcze tak grającego nowicjusza. – Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie. – Wydaje mi się pan znajomy, panie Seidman. Czy myśmy się już spotkali?

– Nie, nie sędzę.

– Dziwne. Jestem pewna, że gdzieś już pana widziałam. Był pan może kiedyś na kampusie Colgate College?

– Nie.

– Więc może znałam pańską matkę. Tak, to musi być to. Seidman, Seidman... nawet nazwisko brzmi znajomo.

– Moja matka zmarła wiele lat temu.

Judy znów spojrzała w jego twarz. Widziała, jak zareagował na rozmowę Laury ze Stanem Baskinem, ale tym razem był spokojny.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała.

– Czy mogę odejść, proszę pani?

Judy tylko patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Nie przestała patrzeć mu w oczy, nawet kiedy uśmiechnął się słabo, skinął głową i ruszył w kierunku wyjścia.

To przecież niemożliwe, powiedziała do siebie. Uspokój się.

Mark Seidman to tylko nowe sportowe cudowne dziecko. Nic więcej. Nie rób afery z niczego.

Ale wiedziała, że się okłamuje.



Zataczając się po korytarzu Boston Garden, Stan dotarł wreszcie do pustej męskiej toalety na najwyższym piętrze. Bywał już w życiu pijany, i to nie raz, nie dwa, ale nigdy jeszcze nie czuł się taki bezradny, taki chory. W głowie kręciło mu się, jakby była płytą na siedemdziesiąt osiem obrotów nałożoną na stary adapter, a w ustach miał sucho, jakby ktoś wsypał mu do gardła wiadro piasku. I żołądek, ten cholerny żołądek... zupełnie jakby przerobiono go na poligon dla mózdzierzy.

Przyjrzał się sobie w lustrze. Strach chwycił go za gardło. Zawrót głowy, gardło, żołądek; nie, dolegliwości nie były wyłącznie dziełem alkoholu. Nie bał się tak jeszcze nigdy w życiu, a jednocześnie pojawiła się przed nim zachwycająca wręcz szansa. Pieniądze. Tyle pieniędzy, ile sobie zażyczy. Tyle, ile będzie potrzebował. Miał je na wyciągnięcie ręki. Każe dać sobie sto tysięcy, tak po prostu, zwyczajnie, a potem będzie zgłaszał się po kolejne raty, kiedy tylko uzna, że mogą się przydać. Może spełnić wszystkie swe marzenia...

...jeśli zgodzi się zawrzeć pakt z diabłem.

Stan chwiejnie odsunął się od lustra. Czasami zachowywał się jak kompletny idiota, zwłaszcza gdy chodziło o Laurę. Kiedy nauczy się kontrolować tę swoją niewyparzoną gębę? Chryste, ale się uchłął. Może powinien przeprosić za to, co powiedział, ale nie, to by niczego nie załatwiło. Laura tylko naplułaby mu w twarz. Czemu tak się zachowuje? Dlaczego zawsze spada do zimnej, ciemnej jamy, kiedy jest zaledwie o krok od wydostania się z niej na dobre? Wypił za wiele, zobaczył Laurę i znów zapragnął zemsty na Davidzie. I po co to, do cholery? Przecież biedak nie żyje. Dlaczego stara nienawiść dawała o sobie znać zawsze wtedy, gdy patrzył na tę kobietę o nieprawdopodobnej urodzie?

Podszedł chwiejnie do urnału, rozpiął rozporek. Banalna prawda wyglądała tak, że nie chciał jeszcze wyjeżdżać. Mógł mieć i pieniądze, i Glorię, choć nie da się tego zrobić ładnie. W końcu źródło jego dochodów należy do jej rodziny.

Tak, oczywiście, myślał o szantażu, takie to było proste. Ale nie byłby to zwykły szantaż. Nie miał zamiaru szantażować po prostu kogoś, kto kiedyś zrobił coś złego.

Będzie szantażował zabójcę ojca.

Zachwiał się tak mocno, że musiał chwycić urnału obiema rękami, by się nie przewrócić. Pocił się i ubranie nieprzyjemnie kleiło mu się do skóry. Po tylu latach stanął wreszcie oko w oko z mordercą. Większość synów wołałaby głośno o krew takiego demona, wymagała biblijnej sprawiedliwości, oko za oko, śmierć za śmierć. Ale nie on. Nie Stan. Za wiele czasu minęło, by miał teraz odgrywać mszczącego się za swe krzywdy rewolwerowca, a poza tym zawsze bał się przemocy. Taki już był.

Mógłby zgłosić się na policję, ale kto by mu uwierzył? Kto uwierzyłby słowu człowieka, który czekał trzydzieści lat, by ujawnić, że był świadkiem zamordowania własnego ojca? I jeszcze ta jego kryminalna przeszłość? Nie ma mowy. O tym może od razu zapomnieć.

Nie. Stan uznał, że na zabójcy, który odebrał mu szczęśliwe dzieciństwo, musi zemścić się na swój sposób. Sprawi, by żył w nieustannym strachu, że jego przestępstwo wyjdzie na jaw, a przy okazji nieźle się obłowi.

Nagle poczuł mdłości. Bóg jeden wie, że nic go nie uratuje. Zaraz zacznie rzygać. Nienawidził rzygać, ale kto to, do cholery, lubi? Czasami po prostu trzeba. Lepiej mieć to z głowy jak najszybciej. Może nawet poczuje się lepiej, gdy poświęci parę koktajli porcelanowemu bogu?

Zataczając się, wszedł do kabiny. Po drodze uderzył ramieniem w metalową framugę drzwi. Gdyby był trzeźwy, z pewnością poczułby pulsujący ból łopatki, na szczęście dla niego alkohol działał jak środek znieczulający. Opadł na kolana, oparł się obiema rękami o krawędź sedesu i czekał.

Nagle ktoś złapał go za włosy.

– Hej, co...

Resztę zdania stłumiła zimna woda. Nie wiedział, kto go trzyma, ale był to ktoś bardzo silny. Zanurzył mu twarz w wodzie z kibla głęboko, do samego dna. Stan nie mógł oddychać, ogarnięty paniką szarpał się tylko, rzucał głową, nie mógł się jednak uwolnić z niesamowicie silnych rąk ani trafić na bąbel powietrza, by zaczerpnąć go w obolałe płuca choć odrobinę.

– Ty sukinsynu!

Zaledwie słyszał wymyślający mu głos, woda wypełniała mu uszy. Umrę, pomyślał. Utopię się w pieprzonym kiblu!

Jego płuca już pękały, woda ściekała gardłem, oczy wychodziły z orbit. Nie myślał już, nie był w stanie, mógł tylko reagować. Pozostał mu jeden, prymitywny odruch, instynkt przetrwania. Zachowywał się jak każdy tonący ssak, niezdolny zaczerpnąć powietrza. Szarpał się, rzucał, próbował kopać, ale uścisk żelaznych rąk nie słabł ani przez chwilę. Napastnik wcisnął mu głowę jeszcze głębiej, miażdżąc nos o dno toalety. Stan widział unoszącą się wokół niego jego krew.

Gardło paliło go żywym ogniem, oczy uciekły w głąb czaszki. Utonie. Jak David. Tak to wygląda, braciszku? Tak...

Napastnik poderwał jego głowę i puścił. Stan uderzył nią w plastikową deskę, a potem w kafelki podłogi, ale nic go to nie obchodziło. Właściwie nawet nic nie poczuł. Dyszał, charczał, dławił się, trzymał za gardło, jakby miało to złagodzić ból. Przewracał się z boku na bok, nadal niezdolny wypełnić powietrzem obolałych płuc.

Ręka znów chwyciła go za włosy.

– O Boże, proszę... – wychrypiał.

Stan widział, jak muszla klozetowa rośnie mu przed oczami. Za chwilę jego twarz znów miała się znaleźć w wodzie. Ale nie, zatrzymała się zaledwie dwa centymetry od niej. Czekał, ciężko dysząc.

– Nie, błagam...

Czuł, że napastnik pochyla się nad nim, nie zwalniając uchwytu. Ciepły oddech poślaskował jego ucho i szyję.

– Jeśli kiedyś cię przy niej zobaczę – powiedział powoli męski głos – zginiesz.

Cios spadł znikąd. Głowa Stana odskoczyła, ciało zwiotczało. Ześlizgnął się na podłogę, szczęśliwie tracąc przytomność.



Mark patrzył na leżącą na kafelkach bezwładną postać. Zacisnął pięści, próbując opanować wściekłą furję, którą wzbudzał w nim ten obrzydliwy sukinsyn. Jeszcze nigdy nie stracił panowania nad sobą aż do tego stopnia, nie miał pojęcia, że stać go na tak bezwzględne skrzywdzenie człowieka. Ale... Stan Baskin nie był przecież zwykłym człowiekiem.

Kopniakiem odwrócił go na wznak, spojrzał na zakrwawioną twarz. Prawdę mówiąc, nie miał się czego bać, w uderzenie włożył zaledwie ułamek swej siły, ale facet tak pijany mógł stracić przytomność od zwykłego klepnięcia. Nadal nie wierzył świadectwu własnych oczu. Stan wrócił! Zawsze był łajdakiem i sądząc z fragmentów rozmowy z Laurą, którą Markowi udało się podsłuchać, to się akurat nie zmieniło. Pozostał człowiekiem chorym, obłąkanym.

Ale... dlaczego przyjechał do Bostonu? Odpowiedź na to pytanie wydawała się oczywista. Pieniądze. Uznał, że bogata wdowa po jego bracie będzie łatwym łupem. Spryciarz, wiedział, jak z takimi postępować. To, że Laura była samotna, słaba i piękna, czyniło ją tylko atrakcyjniejszą w jego oczach. Na myśl o tym Mark poczuł narastający wściekły gniew.

Sukinsyn!

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Mark, jesteś tam?

Mark szybko wyszedł z kabiny.

– Jesteś sam, T.C.?

– Sam.

Przesunął zasuwkę, otworzył drzwi toalety, a kiedy policjant wszedł do środka, natychmiast je za nim zamknął.

– Gdzieś ty znikł? – spytał T.C. Zauważył uchylone drzwi do toalety, zajrzał do środka, zobaczył leżącego na podłodze nieprzytomnego Stana. Zagwizdał cicho. – Co mu zrobiłeś?

– Trochę go podtopiłem. Dlaczego mi, do cholery, nie powiedziałaś, że tu będzie?

T.C. nie poświęcił nieprzytomnemu uwagi. Spojrzał na Seidmana, wzruszył ramionami.

– Bo to nie był twój interes.

– Mój interes? Nie sądzisz, że posuwasz się za daleko?

I wówczas przyszedł atak. Mark ścisnął dłońmi głowę, osunął się na kolana. Ból przychodził falami, pulsujący, nie do zniesienia.

T.C. się nie wahał. Podbiegł do przyjaciela.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Jestem z tobą.

Mark uniósł głowę. Cierpiał tak bardzo, że nie mógł skupić spojrzenia. T.C. otoczył go ramieniem, pomógł mu wstać. Czuł ból przyjaciela... i własny strach.  
Znów tu jest, pomyślał. Demon powrócił.



Laura przeprosiła obecnych i ruszyła w stronę wyjścia z Blades and Boards. Potrzebowała chwili odpoczynku od tłumu, od rodziny i przyjaciół, kilku sekund samotności, podczas których będzie mogła powspominać Davida. Tego rodzaju towarzyskie wieczory można przeżyć jak we mgle, ale wiedziała, że przed rzeczywistością może bronić się tylko jakiś czas, nim runie mur, którym się od niej odgradziła.

Szła pustym korytarzem, nie zwracając uwagi na to, dokąd idzie. Pograżona w myślach, oczami wyobraźni widziała wyłącznie Davida. Ostatnie pół roku nauczyło ją, że ludzie różnie reagują na śmierć. Niektórzy obnoszą się ze swym bólem, inni odsuwają ból, udając, że nic się nie stało i że zmarły bliski nigdy nie istniał. Laura uznała, że należy do trzeciej kategorii. Przyjaciele radzili jej, żeby spróbowała zapomnieć o tragedii, powtarzali, że życie musi toczyć się dalej. Rozumiała, o czym mówią, i prawdopodobnie udzielałaby podobnej rady, gdyby była przyjaciółką pograżonego w żałobie przyjaciela, nie wdową, sama jednak wcale nie chciała zapomnieć Davida. Wspomnienia o nim, o każdej spędzonej z nim chwili, przynosiły jej swego rodzaju ulgę. Płakała, przeglądając zdjęcia w albumach, kiedy uświadamiała sobie, że przedtem miała po co żyć, gdy docierało do niej, że nie stworzą wymarzonej, idealnej rodziny. Ale płacz jest czymś naturalnym. W płaczu nie ma nic złego. Lepiej płakać, niż udawać, że David nigdy nie istniał. Lepiej płakać, niż nie czuć nic.

Głos T.C. wyrwał ją z marzeń, przywołał do rzeczywistości ciemnego korytarza Boston Garden. Mówił cicho, więc podeszła, by lepiej go słyszeć.

– W porządku – mówił. – Trzymam cię.

Przechyliła głowę. Co T.C. ma tu do roboty? Wyjrzała ostrożnie zza zakrętu korytarza i natychmiast go zobaczyła. Przyglądała mu się, zdumiona. T.C. na pół niósł, na pół włókł Marka Seidmana, któremu nogi odmówiły posłuszeństwa. Mark obiema rękami ścisnął głowę, jakby bał się, że może pęknąć. Krzyknął, ale T.C. zasłonił mu usta dłonią.

– Trzymaj się, przyjacielu. Oprzyj się o mnie. Zaraz... za chwilę będziesz w domu.

Mark otworzył usta, by mu odpowiedzieć. Krzyknął cicho.

– Nie... nie chcę jej widzieć, T.C. Nie chcę nawet się do niej zbliżyć.

– Wiem, Mark, wiem.

Laura zamarła z przerażenia. Patrzyła na nich, póki nie znikli jej z oczu za kolejnym zakrętem korytarza. Doskonale pamiętała, co T.C. powiedział jej zaledwie parę godzin temu: że nie zna i nigdy przedtem nie spotkał Marka Seidmana.



Judy chodziła nerwowo po pokoju dziennym swego parterowego domu. Mieszkała na terenie kampusu od przeszło dziesięciu lat i bardzo to sobie chwaliła. Domek był mały, ale wystarczyło w nim miejsca na łazienkę, kuchnię, sypialnię, pokój dzienny oraz gabinet, co oznaczało, że ma do dyspozycji mnóstwo miejsca. Więcej pokoiów to tylko więcej okazji do zrobienia bałaganu.

Myślała o wydarzeniach wczorajszego wieczoru. O tym, co się zdarzyło w Boston Garden. Wspominała, analizowała obrazy podsuwane przez pamięć, oceniała, co widziała i słyszała, próbowała formułować wnioski. Pierwszy rzut z dystansu Marka Seidmana wywołał u niej zawrót głowy i przerażający swoją intensywnością wir myśli. Nie potrafiła ich opanować. Czy to możliwe? Czy Seidmanowi mogło się udać coś takiego? Odpowiedź „tak” wydawała się nieprawdopodobna, ale gdy wszystko przemyślała, tylko jeden wniosek miał sens.

Sięgnęła do portfela, wyjęła z niego fotografię. Ręce jej drżały. Przyglądała się młodszej, promiennej Judy w objęciach nieco od niej starszego mężczyzny. Czarno-białe zdjęcie zrobiono po wydziałowym meczu softballu w Chicago, po południu pewnego pięknego dnia 1960 roku. W wolnej dłoni mężczyzna nadal trzymał pałkę. Na głowie miał przekrzywioną czapkę baseballową, uśmiechał się i był bardzo przystojny.

Tak wyglądał ojciec Davida Baskina.

Judy nie odrywała wzroku od zdjęcia. Doskonale pamiętała, kiedy zostało zrobione. Ona i Sinclair znali się wówczas od dwóch miesięcy i bardzo kochali. Żadne z nich tego nie planowało. Nie chcieli nikogo krzywdzić. Ale między nimi pojawiła się niezwykła chemia, tak silna, że spokojna, doskonale wychowana młoda kobieta zakochała się bez pamięci w żonatym mężczyźnie.

Oczywiście, Judy wiedziała, że Sinclair ma opinię kobieciarza. Zdawała sobie sprawę, że nie pierwszy raz zdradza żonę, ale zawsze były to głupiotkie uniwersyteckie piękności, z którymi można się miło zabawić i rozstać bez większych problemów. Ona była inna. Ładna, oczywiście, ale nie aż tak ładna, by głowy się za nią obracały, jednak, co znacznie ważniejsze, ich znajomość trwała już cztery miesiące! Nie wątpiła, że Sinclair Baskin ją kocha i że wkrótce się rozwiedzie. Nie zapowiada się to miło i rodzice z pewnością nie zrozumieją córki, nie udzielą jej wsparcia, ale to się później zmieni, prawda? Miłość wszystko zwycięża. Co może być od niej silniejsze?

Okazało się, że wobec zazdrości, piękna, fałszu i gniewu miłość może być niczym.

Sinclairowi też nie było łatwo. Miał dziesięcioletniego Stana i małego synka. Kochał ich. Dziś uroczy, psotny Stan miał już czterdzieści lat. Mały chłopczyk,

David, wyrósł na wspaniałego człowieka i wielkiego sportowca. Jaki dumny byłby z niego ojciec! I jaki zrozpaczony, gdy David się utopił...

Ale, rzecz jasna, to by się nigdy nie zdarzyło. Gdyby Sinclair żył, żyłby także jego młodszy syn.

Judy nadal przyglądała się tak dobrze jej znanej fotografii, z wielką łatwością przeskakując myślami z przeszłości do teraźniejszości. Jakże cienka linia dzieliła Boston 1990 roku od Chicago roku 1960. Jej śliczna siostrzenica także zakochała się w Baskinie. Davidzie Baskinie. Małym synku Sinclaira. I w tę miłość włożyła wszystko, co miała. Marzenia, nadzieje, całe życie... to wszystko już się skończyło. Odeszło i nie powróci.

Istniały jednak wielkie różnice między tragedią Judy a tragedią Laury. Przede wszystkim David kochał ją całym sercem, co do tego nie było wątpliwości. Ostatecznie okazało się, że Judy nie mogła powiedzieć tego samego o jego ojcu. Ważniejsze jednak było co innego: Laura nie ponosiła żadnej winy za śmierć mężczyzny, którego kochała.

Judy wręcz przeciwnie.

Niech cię diabli, Sinclairze Baskinie. Dlaczego popełniłeś ten jeden ohydny błąd? I dlaczego ja okazałam się taka głupia? Dlaczego zareagowałam tak impulsywnie, uderzyłam, nim zdążyłam pomyśleć? Wszystko układało się tak idealnie, ty głupcze. Idealnie!

Odszedł. Nie żyje. To koniec. Judy straciła wszystko. Co z Laurą?

Sięgnęła po telefon. Laura nadal mogła mieć nadzieję. Podniosła słuchawkę, wybrała numer.

Podjęła decyzję.



Po treningu Mark Seidman wziął prysznic i ubrał się. Milczał uparcie, a w szatni panowała cisza. Po wczorajszej uroczystości zawodnicy stali się poważniejsi. Nikt nie puścił z magnetofonu najnowszego longplaya Chaki Khan lub Samantha Fox. Niewiele toczyło się rozmów, dzięki czemu i Mark nie musiał konwersować z kolegami. W przeszłości chętnie bratał się z członkami drużyny i doskonale bawił w ich towarzystwie. Rozumiał, że istnieje bezpośredni związek między radością z gry a zwycięstwem. Kiedy koszykówka staje się tylko zawodem, poziom gry drastycznie spada.

Mimo wszystko, mimo wiedzy i przekonania Mark Seidman nie potrafił jakoś przekonać się do kolegów, a i oni nie powitali go z otwartymi ramionami. Martwiło go to, choć doskonale wiedział, że zawarcie przyjaźni z którymkolwiek z nich mogło mieć katastrofalne następstwa. Earl nie był głupcem, głupcami nie byli też Timmy, Mac czy Johnny. Choć nie sądził, by którykolwiek z nich zdołał poskładać do kupy całą historię, ryzyko było za duże.

Chwycił torbę, ruszył do wyjścia.

– Do zobaczenia jutro, Mark – usłyszał, mijając szafkę Earla.

Od początku sezonu Earl zamienił z nim zaledwie kilka słów.

– Jasne – powiedział niepewnie. – Do zobaczenia jutro.

– Dobrze grałeś.

Mark przełknął z wysiłkiem.

– Ty też.

Obaj zamilkli i tylko przyglądali się sobie niepewni, co teraz. W końcu Mark uśmiechnął się z przymusem, odwrócił i znikł w korytarzu. Pobiegł za nim jeden z chłopców do podawania piątek.

– Mark!

– Tak?

– Telefon do ciebie.

– Powiedz, że mnie nie ma.

– Ale ona twierdzi, że to ważne.

– Ona?

Chłopiec skinął głową.

– I powiedziała jeszcze, że ją znasz. Nazywa się Judy Simmons.

Mark poczuł skurcz żołądka.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoił się chłopiec.

– Nie, nic. – Rzeczywiście, miał wrażenie, że stracił czucie w całym ciele. – Wszystko w porządku – powiedział raźniej. – Będę rozmawiał z pokoju numer pięć.

Próbował zachować spokój, nie dać się wyprowadzić z równowagi. Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi; nie chciał, by ktoś mógł usłyszeć rozmowę. Podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Pan Seidman?

– Tak.

– Mówi Judy Simmons. Spotkaliśmy się wczoraj.

Miał strasznie suche usta.

– Tak, oczywiście. Co mogę dla pani zrobić, panno Simmons?

– Skąd pan wie, że nie jestem mężatką?

– Słucham?

– Właśnie zwrócił się pan do mnie „panno Simmons”. Skąd pan wie, że nie jestem mężatką?

Mark przymknął oczy. Musi uważać na każde słowo, obracać je w głowie przed wypowiedzeniem.

– Ja... zauważyłem, że nie nosi pani obrączki.

Judy milczała, jakby oceniała jego odpowiedź.

– Rozumiem – powiedziała wreszcie.

– Podobno wspomniała pani, że ma do mnie jakąś ważną sprawę?

– Mam, oczywiście, ale... czy mogę zwracać się do pana po imieniu, Mark?

– Oczywiście.

– Doskonale. – Judy zamilkła na krótką chwilę, a potem zadała kolejne pytanie. – Mark, a czy mogę ci mówić David?

Te słowa uderzyły go jak potężny cios. Spokojnie, Mark. Tylko spokojnie.

– Czy to jakiś żart?

– Nie.

– Proszę posłuchać, nie wiem, o co chodzi, ale nie podoba mi się, że dzwoni pani, udając, iż ma do mnie ważną sprawę...

– Nie baw się ze mną w te gierki, Davidzie. Bo to twoje prawdziwe imię? David Baskin?

– Nie, to nie jest moje prawdziwe imię – powiedział Mark pewnie, chociaż był przerażony. I to jak przerażony. – Nie wiem, o czym pani mówi, i nic mnie to nie obchodzi. Bez przerwy słyszę o Davidzie. Zaczyna mnie od tego mdlić. Wiem, że dla rodziny była to wielka tragedia, panno Simmons, i wiem, że mój rzut z dystansu bardzo przypomina jego rzut, ale ja jestem Mark Seidman, nie David Baskin. Czy to rozumiałe? Nie jestem martwym mężem pani siostrzenicy.

– Zaraz, chwileczkę...

– Nie, to pani poczeka jeszcze chwileczkę. Tragedie się zdarzają. Przypadkowym ludziom. Bywają okrutne. Wiem, że śmierć mężczyzny tak młodego i zdrowego jak David Baskin jest trudna do zaakceptowania. Prasa i kibice ciągle nie potrafią się z nią pogodzić. Nazywają mnie Biała Błyskawica Dwa, jakbym był jego wcieleniem. Mdli mnie od tego, czy pani potrafi to zrozumieć? Proszę zrobić sobie grzeczność, zaakceptować prawdę i pomóc rodzinie ją zaakceptować. David Baskin nie żyje. Tak się złożyło, że to ja zastąpiłem go na boisku. To wszystko!

Judy odpowiedziała po bardzo długiej chwili.

– Nic nie rozumiesz, prawda?

– O co pani chodzi?

– Sądzisz, że wiesz, co robisz, ale wcale nie wiesz. Są w tej sprawie szczegóły, które przed tobą zatajono.

– Nie wiem, o czym pani...

– W porządku, panie Seidman, czy jak tam się nazywasz. Jeśli chcesz kontynuować swą grę i udawać ignorancję, to rzeczywiście, nic nie mogę zrobić. Jestem bezbronna. Ale jeśli chcesz się dowiedzieć, co naprawdę zdarzyło się trzydzieści lat temu, jeśli chcesz oszczędzić Laurze niewypowiedzianego cierpienia, proszę, przyjedź do Colgate jutro o dziewiętnastej. Wówczas wszystko ci wyjaśnię. A potem, kiedy mnie już wysłuchasz, podejmiesz decyzję, z którą ja będę musiała żyć. Nigdy więcej nie powiem słowa na ten temat. Ale... jeśli nie przyjedziesz, nie będę miała wyboru. Znajdę jakiś inny sposób załatwienia tej sprawy. Sposób, który może ci się nie spodobać.

Mark przełknął z wysiłkiem. Łzy napłynęły mu do oczu.

– A więc do jutra, panie Seidman. O dziewiętnastej.

Przerwała połączenie. Mark powoli odłożył słuchawkę. Poszedł do czekającego na niego samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera, wszedł.

– Dzwoniła Judy Simmons – powiedział.

T.C. zareagował szybko i wcale nie zaskakująco.

– Co miała ci do powiedzenia?

– Myśli, że jestem Davidem Baskinem. Twierdzi, że Baskin nie usłyszał całej

prawdy.

– Nie usłyszała całej prawdy? A co to, do diabła, ma znaczyć?

– Nie jestem pewien. Mówi, że ma to coś wspólnego z czymś, co zdarzyło się trzydzieści lat temu.

T.C. odgryzł koniec cygara.

– Interesujące, prawda?

Mark wzruszył ramionami.

– Zależy od tego, co ma do powiedzenia.

– Czy może mieć rację? Czy Baskin mógł jednak zostać oszukany?

– Ty jesteś detektywem, ty mi odpowiedz na to pytanie. To znaczy, chyba jest możliwe, ale jak? I ważniejsze pytanie: dlaczego? Kto by na tym zyskał?

– Nie mam pojęcia – przyznał T.C. – ale ona chyba nie orientuje się, ile David wiedział, prawda?

– Co znaczy...?

– Może sądzić, że David nie znał całej historii, podczas gdy tak naprawdę on ją znał.

Samochód wyjechał z parkingu. Mark wyglądał przez boczne okno.

– Powiedziała także, że jeśli chcę oszczędzić Laurze czegoś, co nazwała „niewypowiedzianym cierpieniem”, powinienem jutro wieczorem pojechać do Colgate.

– Mówiła coś jeszcze?

– Że jeśli nie przyjadę, znajdzie inny sposób załatwienia sprawy.

– Tak powiedziała?

Mark skinął głową.

T.C. zacisnął dłonie na kierownicy. Twarz miał ściągniętą, poważną.

– Cóż, do tego z pewnością nie wolno nam dopuścić, prawda?



Drrrryń! Drrrryń! Budź się, Stan. Budź się, Stan! Pora zdemaskować mordercę tatusia!

– Booże, moja pieprzona głowa!

Stan obrócił się na wznak. Co za kac! Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów. Wyciągnął rękę, uciszył budzik, obrócił go, sprawdził godzinę.

Trzynasta.

Odstawił budzik na nocny stolik. Oddychanie przez nos bolało jak cholera. Pewnie złamany. Powinni się nim zająć w szpitalu. Później. W tej chwili ma coś do zrobienia.

Wstał, podszedł do lustra. Wyglądał fatalnie. Oczy miał podbite i pomazane krwią ze złamanego nosa, twarz śmiertelnie bladą; to przez wielkie rzyganie. Przypomniał sobie incydent w łazience, ale pamiętał tylko fragmenty, i to jak przez mgłę. Zaatakował go jakiś facet, wsadził mu łeb do kibla, próbował utopić, a potem jednym uderzeniem pozbawił przytomności. Dziwne, ale prawdziwe. I coś mu jeszcze powiedział, coś o tym, żeby Stan trzymał się z dala od „niej”. „Ona” oznaczało chyba Laurę.

Ciekawe, czy to Laura wynajęła faceta. Raczej wątpliwe. Mógł to być oczywiście T.C., takie podejrzenie samo się nasuwało, ale to nie T.C. szeptał mu do ucha.

Spróbował przypomnieć sobie rozmowę z Laurą, jednocześnie po raz kolejny pytając sam siebie, jak mógł być taki głupi. Na co mu wróg, i to tak potężny jak ona? Dlaczego nie odpuścił jej sobie, w końcu ma, czego chce. Jest szczęśliwy z Głorią. Dostanie forsy, ile zapragnie. Żeby tak to wszystko spieprzyć.

Dlaczego zawsze musi sobie sparać życie?

Niestety, tak to już z nim było. Jakoś zawsze udawało mu się jedną nogą wdepnąć po kostki w gówno. Potem dzielnie walczy, ciągnie i szarpie, a kiedy już udaje mu się ją wyciągnąć, kiedy trzyma stopę bezpiecznie, w powietrzu, niebotycznie zdumiony stwierdza, że druga noga tkwi w gównie równie głęboko.

Przeszedł do saloniku, padł na kanapę. Dość tej autoanalizy na dziś, bardzo panu dziękuję. Spojrzał na telefon, nerwowo zatarł dłonie. Całe jego ciało pokrywała cienka warstewka potu.

Czas na rozmowę. Taką zwykłą, nieważną rozmowę...

Przez chwilę czuł obrzydzenie do samego siebie. Jak może pozwolić na to, żeby morderca ojca wymknął się sprawiedliwości? Jak może tak się sprzedać i pozwolić, by mu zapłacono? Przecież ojciec był jedną z bardzo niewielu osób, które go rzeczywiście kochały. Być może jedyną.

Stan sięgnął po butelkę wódki, nalał sobie solidną porcję. Lepiej o tym w ten sposób nie myśleć. Lepiej uznać tę rozmowę za normalną, biznesową, obiecującą w dodatku bardzo przyzwoity zarobek. Tak, jasne, od razu lepiej to wygląda.

Wrócił do łazienki, ogolił się, wykąpał, pokropił old spice'em, włożył luźną bluzę. Wypił szklankę soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy (z odrobiną wódki do smaku), podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do zabójcy ojca.



Judy odwiesiła słuchawkę po rozmowie z Markiem Seidmanem i znów zaczęła spacerować po pokoju. Co teraz? Odpowiedź na to pytanie wydawała się oczywista: powinna zadzwonić do jedynej na świecie osoby, która nie weźmie jej za szaloną, jedynej, która zrozumie jej podejrzenia. A tak się przy okazji składa, że osoba ta kocha Laurę bardziej niż własne życie.

James.

Rozmawiała z Jamesem kilka razy po tym, gdy oboje się zorientowali, że David nie zginął przypadkiem, że najprawdopodobniej popełnił samobójstwo. Rozważali nawet tę możliwość, że Mary też mogła mieć w tym jakiś udział. Dopiero teraz Judy w pełni uświadomiła sobie, że ich sceptycyzm wobec „wypadku” był nader powierzchowny. A tymczasem ziemia zaczynała drzeć im pod stopami i wydawać groźne pomruki. Przerażało ją to, a jednocześnie napawało nadzieją. Wiedziała, że James czuje to samo; prawda brzmiała tak, że oboje kochali Laurę i chcieli dla niej tylko tego, co najlepsze. James jest nawet w stanie wymyślić coś, co uratuje sytuację bez przywoływania przeszłości.

Może. Ale to raczej mało prawdopodobne.

– Poproszę z doktorem Ayarsem. Mówi jego szwagierka.

– Proszę zaczekać.

Chwilę później rozległ się znajomy głos.

– Judy?

...taki autorytatywny, przepojony pewnością siebie; między innymi dlatego zakochała się w nim przed laty. Straciła go na korzyść Mary, złamało jej to serce, ale potrafiła ukryć żal po stracie. Usunęła się na bok, biedna słodka Judy zawsze usuwała się na bok, zrezygnowała z pierwszoplanowej roli panny młodej, została honorową druzną siostry. Kilka miesięcy później spotkała Sinclaira Baskina i to wyleczyło jej serce do tego stopnia, że mogła już bezpiecznie zapomnieć o poprzedniej wielkiej miłości.

Ale po kolejnych kilku miesiącach jej serce znów zostało złamane i ta rana nigdy się nie zagoiła.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała bez wstępów. – Jesteś sam?

– Tak. O co chodzi?

Judy odetchnęła głęboko. Nie bardzo wiedziała, jak zacząć.

– Nie zauważyłeś niczego dziwnego na tym wczorajszym meczu? – spytała wreszcie.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli coś niezwykłego.

– W poczekalni czeka kolejka pacjentów. Czy możemy oszczędzić sobie zabaw w kotka i myszkę?

I znów Judy musiała chwilę się zastanowić.

– Zwróciłeś uwagę na Marka Seidmana?

– Tego nowego? Oczywiście. Wspaniały zawodnik.

– I ten jego rzut z wyskoku...

– Co z tego?

– Nie wydał ci się znajomy?

– Bardzo przypominał rzut Davida. I co z tego? Sugerujesz, że... – James umilkł. Otworzył usta, a gdy wreszcie się opanował, rzekł cicho: – ...chyba nie myślisz...

– Owszem. Tak właśnie myślę.

– Ale jak? To przecież bez sensu.

– Wręcz przeciwnie, z sensem. Tylko pomyśl. Przypomnij sobie, czy to nie ty przypadkiem zadzwoniłeś do mnie zaraz po spotkaniu z prawnikiem, twierdząc, że wcale nie jesteś już pewien, czy David popełnił samobójstwo?

– Owszem, ale tylko dlatego, że znikły jego pieniądze. Pomyślałem, że być może ktoś go dla nich zamordował.

– To pomyśl jeszcze raz. Nie uważasz, że morderstwo byłoby wyjątkowym zbiegiem okoliczności?

– Może. Ale to, co sugerujesz, jest po prostu niedorzeczne.

– Doprawdy? A nie jest to przypadkiem jedyne wyjaśnienie pasujące do wszystkich faktów?

– Taka sztuczka nie mogła się Davidowi udać!

– Z pewnością miał kłopoty. Potrzebował pomocy. Zapewne zaangażował T.C., który...

– ...który dotarł do Australii zaraz po tym, gdy Laura zgłosiła zaginięcie męża – dokończył James.

– Właśnie.

– Oboje musimy jednak przyznać, że to naprawdę szalona teoria, Judy. I tym na razie pozostaje, teorią. Nie masz cienia dowodu na jej potwierdzenie. Na tej podstawie nie możemy snuć żadnych przypuszczeń. Pomyśl o reperkusjach.

– Wiem wszystko o reperkusjach.

– Więc co powinniśmy zrobić, twoim zdaniem?

Judy westchnęła. James miał rację, jak zawsze. W sumie to, co powiedziała, było jeszcze jedną szaloną hipotezą sfrustrowanej nauczycielki angielskiego.

– Będziemy postępować ostrożnie, powoli, ale tę ewentualność należy koniecznie zbadać.

– Im szybciej, tym lepiej – zgodził się doktor. – Nie możemy pozwolić sobie na czekanie. Pójdę do banku, spróbuję dowiedzieć się czegoś o tych zaginionych pieniądzach.

– Doskonale.

Zapadła cisza. Przerwał ją James Ayars.

– Rozmawiałaś z Mary? – spytał.

– Żartujesz? Jeden Bóg wie, jak ona zareaguje.

– Zgadzam się z tobą. Do zobaczenia, Judy.

– Powodzenia, James. Skontaktuj się ze mną, gdy tylko się czegoś dowiesz.



Graham Rowe przeglądał rachunki telefoniczne. Mógłby je dostać z firmy telefonicznej, wystarczyło o nie wystąpić, ale gdyby spróbował, rząd mógłby się zainteresować, czym się w tej chwili zajmuje. A jeśli działa się coś naprawdę dużego, jeśli doktor Bivelli i australijscy federalni pracowali ręką w rękę z tym T.C., to wtykanie nosa w nie swoje sprawy może się okazać mocno niezdrowe.

To nie moja sprawa, myślał. Jestem tylko prowincjonalnym szeryfem z małego miasteczka. Lubię polować i łowić ryby, lubię wypić parę fosterów w pubie u Luke'a. Nie za wiele, nigdy, ale dobre zimne piwo trzyma faceta w formie.

Spiski, komplikacje, morderstwa – tego szeryf unikał jak święty Michał diabła. A w ogóle po co wkładać głowę w pętlę? Wygląda na to, że facet utopił się w Cairns. W Cairns mają cały wydział policji. Można przekazać im sprawę, usiąść wygodnie i odrobinę przedrzemać się w pracy.

Podobałoby ci się coś takiego, stary, nie? – pomyślał. Prawda wyglądała jednak tak, że David Baskin spędzał wakacje na jego terenie. Żona Baskina zwróciła się o pomoc właśnie do niego. Mogła mieć kłopoty, a Graham Rowe nie należał do mężczyzn obojętnych na kłopoty pięknych pań.

Chwycił długopis, zakreślił wszystkie rozmowy wychodzące do Stanów Zjednoczonych. Siedemnastego czerwca przeprowadzono ich siedem. Sprawdził je



bez większych problemów. Trzech turystów dzwoniło do rodzin w Kalifornii, jeden do Teksasu. Jeden do czegoś, co nazywało się SportsPhone. W Cleveland.

Można było się tego spodziewać. Trop prowadzący donikąd.

Tego samego nie można jednak było powiedzieć o jeszcze dwóch, obu przeprowadzonych z aparatu w holu, tego, z którego korzystał Baskin, i obu do Bostonu.

Rowe znów spojrzął na kartkę, na której zapisał, co odkrył, z nadzieją, że coś się w tych notatkach zmieni.

Cholera! Dlaczego musi być właśnie tak!

Pokręcił głową. Nie ma sensu odwlekać w nieskończoność tego, co i tak trzeba zrobić. Zadzwoń do Laury i będzie miał z głowy. Oj, nie uszczęśliwi jej ten telefon.

Połączenie dostał błyskawicznie, dosłownie po sekundzie Laura podniosła słuchawkę.

– Cześć, kochana – powiedział.

– Graham? – zdziwiła się Laura. – To ty?

Szeryf spróbował udać jowialnego. Dlaczego? Nie miał zielonego pojęcia.

– Znasz jeszcze kogoś z australijskim akcentem? – spytał.

– Dowiedziałeś się czegoś? Znaleźli karty paszportowe?

– Tak i nie.

– Zaczynaj od tego „nie”.

– Nie, nie mamy kart paszportowych. Powinniśmy dostać je jutro.

– Teraz „tak”.

Rowe westchnął głęboko. Przymknął oczy.

– Mamy za to rachunki telefoniczne.

– I co? Dzwoniono do Bostonu?

– Tak, dwukrotnie. Za każdym razem z telefonu w holu.

Serce Laury zabiło szybciej.

– Do kogo dzwonił, Grahamie?

– O jednej rozmowie wiesz. Tak jak się spodziewaliśmy, rzeczywiście rozmawiał z Heritage of Boston.

– A druga rozmowa? – W głosie Laury słyhać było gniew. i ciekawość.

– Lauro, on zadzwonił do T.C., rozmawiali prawie godzinę.

Słowa Grahama były jak potężny cios wymierzony w żołądek.

Najgorsze obawy zatoczyły krąg i znów znalazły się tam, gdzie się narodziły. T.C. kłamał. Znowu. Zeszłego wieczoru twierdził stanowczo, że jeszcze nigdy nie spotkał Marka Seidmana. Kiedy zobaczyła, jak razem wychodzą z Boston Garden, zrozumiała i poczuła strach. Kłamał. Mark Seidman był jakoś związany ze sprawą.

– Lauro? Jesteś tam?

– Tak. Masz jeszcze coś?

– Na razie nic.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś.

– Nie ma sprawy. Ale słuchaj, zachowajmy ostrożność, dobrze? Jeśli T.C. ma z tym coś wspólnego, nie opłaca się na razie odkrywać kart. Prawdę mówiąc, to może być

nawet niebezpieczne.

Laura przypomniała sobie, co T.C. powiedział jej zaledwie kilka dni temu. „Najpierw naraziłaś własne życie, a teraz jeszcze wystraszyłaś mordercę. A tak chciałem, żeby oni wszyscy czuli się bezpiecznie. Przeszliby się pilnować”.

Przeszliby się pilnować, co? Może pora, żeby odwrócić sytuację? Może powinna pozwolić, by T.C. poczuł się bezpiecznie w swojej sieci kłamstw, dać mu do zrozumienia, że przestała już dociekać prawdy o śmierci Davida? I wówczas może, choć tylko może, to on przestanie się pilnować.

– Będę ostrożna – obiecała.



Richard Corsel siedział przy biurku z palcami na klawiaturze komputera. Nie stukał nimi w klawisze, nie w tej chwili. Po raz trzeci tego dnia supernowoczesny system komputerowy banku Heritage of Boston przestał działać. Richard mógł tylko gapić się w pociemniały monitor.

– Panie Corsel?

Westchnął, obrócił się do interkomu.

– Tak, panno Tansmore?

– Jest tu pewien pan, który chce się z panem zobaczyć. Doktor James Ayars.

– Był umówiony?

– Nie.

– Wiesz, czego chce?

– Mówi, że chce porozmawiać o koncie swego zięcia.

– A ten zięć to kto?

– David Baskin.

Corsel próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Przypomniał sobie szaleńca z nożem, groźby wobec bliźniaków i żony. Mimo to sprawdził, dokąd pieniądze Baskina przepłynęły ze Szwajcarii. Ktoś miał teraz te pół miliona, a on wiedział, kim ten ktoś jest.

I co miał zrobić z tą informacją? Na litość boską, psychol z nożem zagroził jego dzieciom, a Laura Baskin to przecież bogata kobieta, doskonale poradzi sobie bez tej forsy. On musi trzymać głowę na kłódkę. Chronić rodzinę. A poza tym, nawet jeśli powie jej wszystko, co przyjdzie z tego dobrego? Psychol ma dobre koneksje. Wiedział wszystko o jego życiu osobistym, o kontaktach z Laurą; nie opłaca się wkurzać tego typu ludzi. Jej także.

W teorii Richarda była ogromna dziura. Załóżmy, że psychol i jego kumple nie skończyli jeszcze z Laurą Baskin. Jeśli zamordowali Davida dla pieniędzy, kto powiedział, że nie spróbują teraz tego samego z Laurą? A co, jeśli uznają, że niejaki Richard Corsel wie jednak zbyt wiele? I że jedynym sposobem, by mieć pewność, iż nie będzie kłapał dziobem, jest uczynić z Naomi wdowę?

– Wpuść go – powiedział, nie podjąwszy żadnej decyzji.

Chwilę później w drzwiach stanął James Ayars. Corsel pomyślał, że nie sposób się pomylić, facet po prostu wygląda na lekarza. Elegancki, doskonale ubrany,

siwowłosa, przystojny, poważny... telewizyjny lekarz lat dziewięćdziesiątych.

Wstał, mocno uściśnął jego dłoń.

– Proszę usiąść, doktorze Ayars.

– Dziękuję.

– Czy jest coś, co mogę dla pana zrobić?

Doktor Ayars natychmiast przystąpił do rzeczy.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o koncie, z którego zniknęły pieniądze pana Baskina.

– Bardzo mi przykro, ale chyba pana nie rozumiem.

– David Baskin był moim zięciem. Przed jego śmiercią z należącego do niego konta wyprowadzona została duża suma pieniędzy. Jeśli wolno mi użyć tego określenia, znikły. Chciałbym się dowiedzieć gdzie.

Corsel omal nie westchnął z ulgą. Najwyraźniej Laura wykazała się rozsądkiem, postanowiła nie narażać ojca, nie powiedziała mu, czego sama się dowiedziała.

– Przykro mi, doktorze. Te informacje są poufne.

– Poufne?

Richard skinął głową.

– Załóżmy, panie doktorze, że zleca pan naszemu bankowi przelew wychodzący. Czy chciałby pan, by wszyscy członkowie pańskiej rodziny mogli dowiedzieć się, dokąd przelał pan pieniądze?

Doktor lekko skinął głową.

– Tu muszę przyznać panu rację. Ale pan Baskin nie żyje.

– Co nie zmienia jego praw.

– Ale z pewnością najbliższy krewny ma prawo wiedzieć, co stało się z jego pieniędzmi.

– Na ogół rzeczywiście tak. Ale pan nie jest jego najbliższym krewnym. Jest nim pańska córka.

– Tak, wiem, lecz ostatnie miesiące były dla niej bardzo ciężkie. Czy mogę wystąpić w jej imieniu?

– Mógłby pan... wyposażony w odpowiednie pełnomocnictwa prawne.

Doktor Ayars pochylił się ku niemu. Twarz miał pochmurną.

– Czy ma pan jakieś nowe informacje w tej sprawie?

– Przykro mi, ale nie mogę panu powiedzieć.

James się cofnął.

– Szanuję pańskie obiekcje, panie Corsel – rzekł spokojnie – ale podejrzewam, że transfer, o którym mówimy, może kryć pewne tajemnice. Może być związany z pewnymi sprawami, z czymś bardzo niebezpiecznym, mogącym wyrządzić mojej córce poważną krzywdę. Muszę wiedzieć, co stało się z tymi pieniędzmi.

Obaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Bardzo żałuję, ale nie mogę panu pomóc – przerwał milczenie Corsel – jednak w tym wypadku nie chodzi o nagięcie jednej czy drugiej zasady obowiązującej w bankowości. Prosi pan, by Heritage of Boston złamał prawo.

– A więc jak mogę dowiedzieć się, co się stało?

– Proponuję, bo porozmawiał pan na ten temat z córką.

James zorientował się, że nie ma sensu nalegać dłużej.

– Dziękuję panu, panie Corsel – powiedział, wstał i skierował się do wyjścia. Już w korytarzu zastanowił się, jaki powinien być jego następny krok. Niezależnie od tego, czy podejrzenia Judy okażą się szalone, czy nie, jego córka będzie cierpieć. A on jest gotów zrobić wszystko, by ochronić ją przed cierpieniem. Pytanie tylko: jak ma to zrobić?

W każdy możliwy sposób i bez zwracania uwagi na koszty.

Wsiadł do samochodu i wyjechał z parkingu. Laura dość już wycierpiała. Nie pozwoli, by trwało to dłużej. Niezależnie od ceny, którą przyjdzie mu zapłacić.



Przez cały dzień Judy targały wątpliwości. Powinna zadzwonić do Laury czy nie? Jeśli myli się co do Marka Seidmana, rozmowa z nią oznaczać będzie katastrofę. Otworzy stare rany, do krwi rozdrapie nowe. Może wyrządzić nieodwracalne szkody. A trzeba sobie powiedzieć, że Judy nie zna przecież całej historii Marka Seidmana. Dokładnie mówiąc, wszystko, co do tej pory wymyśliła, można nazwać spekulacją kreatywną. Jako osoba myśląca logicznie Judy wiedziała, że nie powinna jeszcze kontaktować się z Laurą.

Więc dlaczego właśnie wybiera numer siostrzenicy?

Może się to wydać dziwne, lecz Judy uznała, że nadszedł czas, by przestała się wreszcie martwić tym, co najlepsze dla Laury. Tak szczelna ochrona mogła pozbawić ją szansy na prawdziwe przetrwanie. Uznała, że nie ma wyboru. Musi zaryzykować. Jeśli się myli, skrzywdzi siostrzenicę, dzieląc się z nią tym, co uważa za prawdę. Ale jeśli poznała prawdę i nic nie powie, wyrządzi siostrzenicy jeszcze większą krzywdę.

Rozległ się pierwszy sygnał. Ścisnęła słuchawkę, jakby chciała ją zgnieść.

– Halo?

Słowa nie chciały jej przejść przez krtań.

– Halo? Halo, kto mówi?

– Laura?

– Ciocia Judy?

– Tak, to ja.

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

– To przez te zakłócenia, przepraszam.

– Drobiazg. Jak się masz, ciociu?

– W porządku, dziękuję. A ty?

– Jakoś sobie radzę. Dziękuję, że przysłaś wczoraj wieczorem. To wiele dla mnie znaczyło.

– Nie musisz mi dziękować. Wiesz, jak kochałam Davida.

Laura nie odpowiedziała. Cisza stawiała się niezręczna.

– Nie dzwonisz, ot tak sobie, żeby ze mną porozmawiać, prawda, ciociu?

Co powiedzieć? I jak to powiedzieć?

– Właściwie nie, Lauro.

– Czy dotyczy to wczorajszego wieczoru?

– Tak.

Znów ta nieprzyjemna cisza.

– W takim razie słucham.

Po prostu zacznij mówić, Judy. Prostszy sposób nie istnieje.

– Chodzi o śmierć Davida.

– Co? – wyszeptała Laura, którą momentalnie ogarnęła rozpacz.

– Chodzi o śmierć Davida. Być może nie jest to takie ważne...

– Jak to, o śmierć Davida?

– Lauro, wiem, że dla ciebie może to być szok, ale wysłuchaj mnie, dobrze?

Judy słyszała, jak oddech jej siostrzenicy powoli się uspokaja.

– Są rzeczy – powiedziała ostrożnie – o których nic nie wiesz. Nie wiesz o tym, co zdarzyło się dawno temu.

– Dawno temu? Przecież David utonął w czerwcu!

– Wiem. – Judy ze wszystkich sił starała się zachowywać i mówić spokojnie, nie dać się ponieść, nie zacząć krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć, aż nie pozostanie nic oprócz krzyku. – Ale czasami przeszłość nakłada się na teraźniejszość. I tak też jest tym razem.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że nie rozumiesz, kochanie.

– Chcesz mi powiedzieć, że David zrobił kiedyś coś, co teraz spowodowało na niego śmierć?

– Nie, nie David. On był tylko niewinnym świadkiem.

– Więc dlaczego...

– Posłuchaj mnie, dziecko. Muszę się z tobą spotkać, pokazać ci, o co mi chodzi.

– Pokazać?

– David może być... – Judy przerwała. W głowie zaświtała jej pewna myśl, zaczęła mówić za szybko. Igrała z ogniem, bo doprowadzenie do ich spotkania z pewnością wiązało się z niebezpieczeństwem, ale może to jedyny sposób, by sprawdzić, czyjej teoria jest prawdziwa? – Mam zdjęcia i inne rzeczy, nie poradzimy z tym sobie przez telefon. Możesz być u mnie jutro wieczorem? O dziewiętnastej?

– Już wsiadam do samolotu. Będę za kilka godzin...

– Nie – przerwała siostrzenicy Judy. – Chcę, żebyś odwiedziła mnie jutro o dziewiętnastej. Ani minuty wcześniej.

– Dlaczego o dziewiętnastej?

– Proszę, Lauro, zaufaj mi w tej sprawie, dobrze?

– Ale ja chcę wiedzieć...

– Jutro. Dziewiętnasta. Kocham cię, Lauro.

– Ja też cię kocham, ciociu Judy.

Laura usłyszała trzask, połączenie zostało przerwane. Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do swego gościa. Naprzeciw niej siedziała jej matka, której twarz przeraźliwie zbladła i wyglądała teraz jak maska śmierci.

Płomień. Szatańska kojąca kąpiel. Symbol piekła. Narzędzie masowego zniszczenia. Płomień niszczy wszystko na swej drodze bez względu na wartość. Płomień pali skórę, przykleja ciało do kości, wypiera tlen z płuc, prowadząc do...

Zabójca przekroczył granicę między Connecticut a stanem Nowy Jork. Jechał do Colgate College.

...śmierci.

Często zastanawiam się nad śmiercią. Jaka naprawdę jest? Nikt nie ma zielonego pojęcia, prawda? Ludzie zastanawiali się nad tym od początku czasu, ale każdy ich pomysł był równie nonsensowny jak wszystkie poprzednie. Jak to ujął Hamlet przed własnym zejściem? Czy nie była dla niego „nieobecna w atlasach krainą, skąd żaden jeszcze odkrywca nie wrócił”? Czy tego właśnie się boimy? Elementu nieznanego w Wielkim Poza? Czy jest wspaniałymi niebiosami, niszczycielskim piekłem, czy też wielką, czarną pustką... a może wszystkim tym naraz?

W oczach zabójcy pojawiły się łzy, łzy żalu i smutku.

Przeze mnie ludzie trafiali do tego tajemniczego innego świata. Oddałem kosztusze dwie dusze, już nigdy nie powrócą...

Trzy, jeśli wliczyć Davida.

Ciało zabójcy drżało, rozpierała go wściekłość. Krzyknął tylko: „Nie!”.

Nie! Za to nie przyjmę odpowiedzialności. Nie przeze mnie zginął. Ludzie reagują na sytuację. David Baskin zrobił to, co uważał za najlepsze. Szkoda, wielka szkoda. Mimo że miał takiego ojca, mam dla Davida Baskina wyłącznie podziw. I w głębi serca nie uważam się za zabójcę. Nie było moim zamiarem skrzywdzić kogokolwiek. Tak, Sinclair Baskin zginął z mojej ręki. Wystarczyło przyłożyć mu do czoła lufę pistoletu i pociągnąć za spust, lecz sam ten akt wynikał z bezmyślnej furii, skierowanej przeciwko mężczyźnie zasługującemu na śmierć. Każdy, i David Baskin, i ja, reaguje na splot okoliczności. A jeśli chodzi o drugie morderstwo...

Dłonie zabójcy obróciły kierownicę, samochód omal nie wyleciał z drogi.

Drugie morderstwo. Co można powiedzieć o okrutnej rzezi, jaką było zabójstwo bezimiennej ofiary? Czy można pominąć je, zlekceważyć jak śmierć Sinclaira? Nie. Płomień winy na zawsze będzie płonął w moim sercu, splamionym śmiercią tej niewinnej duszy. Czy było to konieczne? W końcu mówimy o niewinnej ofierze. Ulgę przynosi mi tylko wspomnienie Machiavellego i jego słów: „Cel uświęca środki”. Historycy uznają, że była to mądra decyzja, i w ostatecznym rozrachunku muszę się z tym zgodzić. Jeśli mi nie wierzycie, spójrzcie na Laurę.

Zabójca spojrział na mapę, znalazł zjazd do Hamilton w stanie Nowy Jork. Colgate College znajdowało się właśnie w Hamilton.

Trzydzieści lat temu. To wszystko zdarzyło się przed trzema dekadami. Kennedy jeszcze żył. Nieprawdopodobne. Tyle czasu minęło, a jednak w każdej godzinie wspominam dni spędzone w Chicago. Wspomnienia przesładują mnie na każdym kroku, w każdym śnie, choć chodzę i śpię z czystym sumieniem. Może myśli, oczekiwania i modlitwy przepajała nadzieją, że sekrety przeszłości zostaną pogrzebane dawno temu. Bo przeszłość miała być właśnie tym, przeszłością. Nie miała ranić.

Czyżby?

Czy gdzieś w cieniu nie kryła się myśl o tym, że przeszłość przetrwa i pewnego dnia wychyli się z ukrycia? Chyba jednak się kryła. Lecz teraz nagle dopadają mnie straszne sekrety, zalewają, śmieją się, kpią i grożą zniszczeniem wszystkiego, co uważam za cenne. Stan Baskin, mężczyzna przerażająco podobny do ojca, chce mnie szantażować. Policzę się z nim jutro w nocy. Policzę brutalnie.

A Judy? Po wszystkich tych latach Judy chce rozmawiać o przeszłości. Dlaczego? Dlaczego i ona nie pozwala przeszłości pozostać przeszłością? Dlaczego chce ją ożywić, pozwolić jej kwitnąć z całą jej nienaruszoną siłą?

Samochód zjechał z autostrady. Kanister nafty obijał się w bagażniku, od czasu do czasu uderzając z brzękiem w jego ściany. Na desce rozdzielczej leżało pudełko zapalek. Do Hamilton było już blisko.

Najpierw Judy.

Potem Stan.

A później...?



Judy zaparzyła herbatę. Siedziała w kuchni, co jakiś czas spoglądając na zegar. Przez ostatnie cztery minuty patrzyła na niego trzykrotnie.

Osiemnasta dwadzieścia.

Jeśli wszystko odbędzie się tak, jak zaplanowała, mniej więcej za czterdzieści minut pojawią się tu oboje – Laura i Mark Seidman. Judy uświadomiła sobie, że wyznaczając im spotkanie na tę samą porę, udało jej się stworzyć delikatną sytuację. Ostatnie kilka godzin spędziła, podważając zasadność tej decyzji. Dokładnie rozważyła wszystkie za i przeciw i doszła do wniosku, że nie ma o czym mówić. Musiała to zrobić. Za wiele czasu zostało już zmarnowane, za wiele ludzkich istnień rozszarpanych na strzępy i pozostawionych, by gniły w palącym słońcu.

Wyjęła z filizanki torebkę liptona, przeczytała poradę zdrowotną i wyrzuciła ją do śmieci. Posłodziła herbatę połową łyżeczki cukru, dodała odrobinę mleka. Miała nadzieję, że będzie piła herbatę ziołową; jeden ze studentów z jej seminarium na temat dziewiętnastowiecznej poezji amerykańskiej spędził semestr w którymś z krajów Wschodu, skąd przywiózł jej wielki wybór herbat pochodzących z kontynentalnych Chin, ale, niestety, wszystkie zostały już zużyte. Dziś był więc dzień liptona. Jutro pojedzie do tego sklepu dla smakoszy w mieście, tam pewnie dostanie ziołowe.

Jutro.

Judy pomyślała, że jak w tej sentymentalnej piosence z *Annie*, jutro jest zawsze

następnego dnia. Ale jeden dzień oznaczał teraz całe życie. Judy pijąca herbatę jutro będzie żyć w innym świecie niż Judy siedząca dziś przy stole w kuchni. Nic nie będzie już takie samo. Jej życie i życie osób jej najbliższych zmieni się na zawsze. Na lepsze czy na gorsze? Tego nie mogła przewidzieć.

Upiła herbaty, z przyjemnością łykając gorący, rozgrzewający gardło płyn. Wskazówki kuchennego zegara powoli przesuwały się do przodu. Judy nie potrafiła powiedzieć, czy poruszają się zbyt szybko, czy zbyt wolno. Wiedziała tylko, że nadchodzi przyszłość. Cierpiała na huśtawkę nastrojów. W jednej chwili oczekiwanie sprawiało, że wręcz kipiała ze zniecierpliwienia, w następnej przerażała ją ta chwila, kiedy usłyszysz nieuniknione pukanie do drzwi.

Podniosła leżący na stole pęk kluczy do oczu. Były ich cztery: dwa do samochodu, jeden do domu i jeden do skrzynki depozytowej, w której trzymała pamiętnik z 1960 roku. Już niedługo Laura dowie się o wszystkim, co Judy w nim opisała. Pozna sekrety ukrywane przed nią przez tyle długich lat. Potem, i o to Judy się modliła, to wszystko wreszcie się skończy.

Ale... czy naprawdę?

Judy znowu napiła się herbaty. Tym razem smakowała gorzko.



Noga jej drżała, lecz jak zwykle Laura nie zdawała sobie z tego sprawy. Do diabła! Kiedy wreszcie ten samolot wyląduje? Nie zdając sobie z tego sprawy, obgryzała paznokcie, tęskniła za papierosem, czytała nudny magazyn linii lotniczych, poznawała w trzech językach lokalizację wyjść awaryjnych i uczyła się, jak rzygać do papierowej torebki.

Dużo tego było jak na godzinny lot do Hamilton.

Ciągle przytupywała i wreszcie siedząca obok niej kobieta o niebieskich włosach obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem. Z wysiłkiem powstrzymała odruch.

– Przepraszam – rzekła.

Niebieskowłosa kobieta nie odpowiedziała.

Laura wróciła do lektury magazynu. Bezmyślnie przewracała kartki. Wczoraj wieczorem kilkakrotnie telefonowała do Judy, bez rezultatu, jeśli nie liczyć głosu ciotki nagranej na automatyczną sekretarkę. O co właściwie jej chodziło? David nie żyje od przeszło sześciu miesięcy. I teraz, po pół roku, ciotka chce jej powiedzieć coś o jego śmierci? Co? Co ona może o tym wiedzieć?

I ten jej ton... wystraszony... nie, to nie jest właściwe określenie. Przerazony? I co to za zabawa spod znaku płaszcza i szpady? Co jest takie ważne, że nie można o tym mówić przez telefon? Jakie zdjęcia chce pokazać? I te uwagi na temat przeszłości. Dlaczego ciotka Judy wyznaczyła spotkanie dopiero na dziś, na godzinę dziewiętnastą?

I jak to wszystko może łączyć się ze śmiercią Davida w czerwcu?

Za wiele pytań. Za mało odpowiedzi.

Niebieskowłosa kaszlnęła z nieukrywaną irytacją. Laura spojrzała na swą nogę. Znowu podskakiwała jak szalona. Wyciągnęła rękę, przycisnęła nią kolano, patrzyła,



jak noga zwalnia powoli i wreszcie się zatrzymuje.

– Przepraszam – powtórzyła.

Sąsiadka zmierzyła ją wściekłym spojrzeniem. Laura nie spuściła wzroku. Pieprzę się, moja pani.

A potem znów wbiła wzrok w magazyn, którego nadal nie miała zamiaru czytać. Przez głowę przelatywały jej ciągle te same myśli. Wątpliwości dotyczące śmierci Davida biegły teraz w nowym, groźnym kierunku. Do głosu doszła intuicja. Sprawy już nie tylko budziły wątpliwości, teraz te wątpliwości się czuły. Istniało niebezpieczeństwo bardziej przerażające od tego, które Laura wyobrażała sobie jeszcze niedawno. Stała przed zamkniętymi drzwiami, za którymi kryło się coś strasznego, coś złego, coś, co groziło zniszczeniem im wszystkich. Pragnęła odwrócić się, uciec, zapomnieć, że kiedykolwiek znalazła drogę do tych drzwi, ale stopy miała jak przyklejone do podłogi. Nieświadomie wyciągnęła rękę, sięgnęła do zasuw. Wkrótce przesunie ją, przekręci klamkę, zajrzy do środka. W tej chwili nie miała już odwrotu. Było za późno, by mogła się zatrzymać.

Co znajdowało się za zamkniętymi drzwiami? Tego Laura nie wiedziała. Za kilka minut samolot wyląduje w Ithaca. Taksówka zawiezie ją do cici Judy. I tam otworzą się drzwi.



Zabójca odczytał znak:

## COLGATE COLLEGE

Samochód skręcił, wjechał na kampus typowy dla małych uczelni. Budynki obrastały powój, gdyby nie to, że przykrywał go śnieg. Powietrze przesycił zapach nowoczesności. Studenci takiego college'u jak ten prowadzą intelektualne dyskusje o Hobbesie i Locke'u, o Heglu i Marksie, o Tennysonie i Browingu, o Potoku i Bellowie. W ciągu dnia chodzą na wykłady, spotykają się z przyjaciółmi w kafeteriach, odbierają listy na pocztę. Nocą uczą się w bibliotekach, flirtują podczas strategicznych przerw w zajęciach, popijają piwo w salach bractw i oddają się uciechom z przedstawicielami płci odmiennej.

Dla studentów chcących zdobyć dyplom nie istnieje nic poza kampusem. Jakimś cudem cały nasz trudny świat ze wszystkimi jego problemami kurczy się do rozmiarów idyllicznej, małej, ekskluzywnej uczelni. Dla większości z nich życie nigdy już nie będzie tak dobre, już nigdy nie dostaną szansy, by tak gorąco przejmować się czymś, co ich bezpośrednio nie dotyczy. Już nigdy nie staną na scenie w próbie kostiumowej do prawdziwego życia.

Samochód zwolnił. Studentów niemal się w tej chwili nie widziało. Doskonale. Zabójcy właśnie o to chodziło.

– Jestem tu. Nie potrafię uwierzyć, że tu jestem. I nie potrafię uwierzyć w to, co mam tu zrobić.

Temperatura musiała spaść poniżej zera, ta odczuwalna, niższa ze względu na

zimny wiatr. Z rynien biblioteki zwisały sopele. Warstwa śniegu miała dobre trzydzieści centymetrów. Zabójca zwolnił przed garbem spowalniającym, wyrzwał przez boczną szybę od strony pasażera. Nagle, bez ostrzeżenia, łzy napłynęły mu do oczu.

Dlaczego muszę to zrobić? Dlaczego? Czyżby nie istniały inne możliwości?

Ale wiedział, że odpowiedź na to pytanie brzmi „nie”. Przeszłość używała Judy jak okna otwartego na teraźniejszość, więc okno należało zamknąć. Uciszyć ją, nim zdąży powiedzieć Laurze, co się zdarzyło trzydzieści lat temu.

Lekkie płatki śniegu opadły delikatnie na przednią szybę. Kolejny skręt w lewo i samochód wjechał w osiedle mieszkalne kampusu. Przed sobą zabójca widział już mały ceglany domek, w którym Judy Simmons piła herbatę, siedząc przy kuchennym stole.



Laura niemal biegła przez mały terminal. W powietrzu rzucało czy lot był spokojny? Dobry czy zły? Czy podawano coś do jedzenia i picia, czy nie? Nie potrafiłaby odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Nie wiedziała, jakim samolotem leciała i jakiej linii, na którym miejscu siedziała. Pamiętała tylko jak przez mgłę niebieskowłosą kobietę ubraną w stylu, który można nazwać wczesnym Mayberry, wyglądającą jak kelnerka przydrożnego baru. Przez cały czas albo gniewnie patrzyła na Laurę, albo zapadała w drzemkę i głośno chrapała. Trudno o lepsze towarzystwo.

Pani Psychodeliczna Fryzura była miłym urozmaiceniem podróży, bo chroniła przed nieznośnie bolesnym oczekiwaniem na nieznaną. Minuty spędzone na pokładzie samolotu postarzały Laurę o lata. Włosy miała rozczochrane, cienką warstewkę makijażu rozmazaną po całej twarzy, jakby nakładała sobie palcami farbę dla dzieci, ale wcale nie zdawała sobie z tego sprawy. A nawet gdyby zdawała, nic by jej to nie obchodziło. Miała misję: musiała dotrzeć do domu ciotki Judy. W tej chwili tylko to ją interesowało.

Spojrzała na zegarek. Osiemnasta dwadzieścia. Bardzo chciała znaleźć się na miejscu punktualnie o dziewiętnastej. Przyspieszyła kroku, zorientowała się, że biegnie kłusem. Znak wskazywał parking po jej prawej. Skręciła w miejscu, automatyczne drzwi otworzyły się przed nią z sykiem. Zimny wiatr owiał jej twarz i szyję. Przed nią na postoju stała jedyna taksówka. Pobiegnęła do niej jak najszybciej. Dyszała, wysoko podnosiła nogi, z trudem wygrzebując je ze śniegu.

Dobiegła do taksówki, chwyciła klamkę, pociągnęła. I nic. Drzwi były zamknięte od środka. Pochyliła się i mrużąc oczy, zajrzała do środka. Powitało ją doskonale znane, wściekłe spojrzenie. Wyprzedziła ją „pani niebieskowłosa” z samolotu. Zdejmowała właśnie ciężki płaszcz, swobodnie rozmawiała z kierowcą, ale patrzyła na Laurę.

Taksówka odjechała od krawężnika.



Zabójca zaparkował samochód wśród drzew za domem Judy. Nikt go nie zauważy, a to przecież bardzo ważne. Żadnych świadków. Nie wolno dopuścić, by ktoś coś zobaczył.

Wysiadł z samochodu. Otworzył bagażnik. Rozejrzył się szybko, ale w pobliżu nikogo nie było. Doskonale. Wyciągnął kanister z bagażnika. Ręka mu drżała.

Przestań się trząść. Nie mięknij, nie wolno ci, nie teraz. Weź się w garść. Uspokój. Trzymaj się, to zbyt ważne. Trzeba to zrobić.

Z miejsca, w którym stał zabójca, między drzewami widać było ceglany dom Judy. Jeszcze sto metrów, jeszcze pięćdziesiąt, jeszcze dwadzieścia. Postawić stopę, drugą zamazać ślad. Po co policja ma poznać wielkość buta?

Kilka sekund później zabójca był już na podwórku. Umieścił kanister nafty za pojemnikiem na śmiecie. Postoi tam, ale niedługo. Bo wkrótce dom Judy spłonie jak stos.

Zabójca podszedł do tylnych drzwi. Podniósł rękę, żeby zapukać. Jeden szybki rzut oka przez okno powiedział mu, że Judy siedzi w kuchni i pije herbatę. Ostatnią filiżankę w życiu.



Judy nagle podniosła głowę. Usłyszała kroki, trzask głębokiego śniegu pod oknem. Ktoś wszedł na jej teren, chodził po podwórku od tyłu, zbliżał się do kuchennych drzwi.

Nagle zrobiło jej się zimno. Wprostowała się w krzesło. Po co ktoś miałby podchodzić od tyłu, skoro ścieżka od frontu była porządnie odśnieżona? A w ogóle to nikt nie korzystał z kuchennego wejścia. Wychodziło na las, drzewa, krzaki i, w tej chwili, śnieg.

Poczuła się niepewnie. Spojrzała na zegar. Za piętnaście siódma. Zapewne Laura przyjechała przed czasem, choć raczej był to Mark. Mark z pewnością wolałby, żeby nikt go tu nie widział. Nie chciałby, żeby ktoś skojarzył go z gospodynią.

Stukanie do drzwi bardzo ją zaskoczyło. To musi być Mark Seidman, pomyślała, czując, jak szybko bije jej serce. Chwyciła pustą już filiżankę, wstała, odstawiła filiżankę do zlewu i podeszła do drzwi. Zdjęła łańcuch, obróciła klamkę. Drzwi otworzyły się powoli. Podniosła wzrok, spojrzała w uśmiechniętą twarz.

– Cześć, Judy.



– Hej, pani jest tą modelką, co? Laura Ayars?

Znalezienie drugiej taksówki zabrało Laurze dobre dziesięć minut.

– Tak. Jak długo będziemy jechać na miejsce?

Kierowca się roześmiał.

– Laura Ayars w mojej taksówce. Żona mi nie uwierzy, nie ma mowy. Kiedyś kupiłem nawet pani kalendarz kostiumów kąpielowych.

– To miłe. Czy moglibyśmy nieco przyspieszyć? Taksówkarz pokręcił głową.

– Chciałbym. Bo wie pani, gdybym szybciej jeździł, tobym więcej zarabiał. Im więcej kursów, tym lepiej, nie? No i lubię szybko jeździć. Ale nie tak jak ci nowojorscy taksiarze, tak? Wariaci, sami wariaci. Jechała pani kiedyś nowojorską taksówką?

– Tak.

– No to wie pani, o czym mówię. Sami szaleńcy. Ale pani o coś pytała, nie? No więc chciałbym jechać szybciej, naprawdę, ale w tym miesiącu dostałem już dwa mandaty za przekroczenie dozwolonej prędkości. Potrafisz w to uwierzyć, Lauro? Mogę pani mówić po imieniu?

– Tak, oczywiście.

– Dwa mandaty, Lauro. Miejscowi gliniarze nie mają nic lepszego do roboty, niż chronić owce przed co dowcipniejszymi studentami i zatruwać życie komuś, kto tylko chce uczciwie zarobić parę dolców. Ale do diabła tam, w końcu aż tak mi nie przeszkadzają. Prawdziwym problemem, Lauro, jest śnieg i lód. Na tej drodze raz wziąłem za szybko jeden zakręt, no i wylądowałem w rowie. Nie żartuję. Jechałem tamtędy z milion razy, znam tę drogę jak własną kieszeń, ale tym razem był na niej lód i... bum!

Laura przestała go słuchać. Wyglądała przez okno samochodu jadącego statecznie drogą, która wydawała się pusta. Od czasu do czasu mijało ich jakieś auto jadące w przeciwnym kierunku. Przed nimi i za nimi nie było nikogo. Po obu stronach drogi wznosiły się wysokie pryzmy śniegu. Było cicho i bardzo spokojnie. Laura chłonęła ten spokój całą sobą. Zawsze bardzo lubiła tę okolicę, a teraz i umysł, i ciało poddały się masażowi idyllicznego krajobrazu. Tak, tu było pięknie, w sam raz na kilkudniową wizytę. Po kilku dniach człowiek zaczyna wariować. Samotność jest fajna, od czasu do czasu, ale jako sposób na życie? Nie ma mowy. Przynajmniej jeśli chodzi o Laureę.

– Osiedle profesorskie, tak?

– Tak.

Taksówka zjechała na kampus. Skręciła w lewo. Laura rozejrzała się dookoła. I tu było pusto. Myślała o Davidzie. Nic nie mogła na to poradzić, ale miała wrażenie, że wszystko się kończy i że już wkrótce dowie się, co naprawdę zdarzyło się w Australii. Co potem? Pozostanie sama, David nadal będzie martwy, a jej zabraknie czegoś z taką siłą odwracającego uwagę od rzeczywistości. Ale lepiej nie sięgać myślą za daleko, nie zastanawiać się, co przyniesie przyszłość.

Taksówka zwolniła, zatrzymała się.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział kierowca wesoło.

Laura spojrzała na mały domek Judy. W zasięgu wzroku nie było ani śladu ruchu. Zapłaciła i szybko włożyła płaszcz. Zamieniła komfortowe, ciepłe wnętrze samochodu na mróz północnego Nowego Jorku. Taksówka odjechała, pozostawiając ją samą na ścieżce. Ruszyła do drzwi wejściowych z rękami w kieszeniach, skulona, próbując utrzymać resztki ciepła. Była już blisko, a jednak nadal nie dostrzegła nikogo, nie zarejestrowała najmniejszego poruszenia. Wyjęła rękę z kieszeni tylko na krótką chwilę, by zerknąć na zegarek.

Dziewiętnasta. Dokładnie.

Laura stanęła na progu, zadzwoniła do drzwi. Usłyszała dzwonek odbijający się echem w małym wnętrzu, słyszała, jak cichnie. Tylko to, nic więcej. Spróbowała jeszcze raz. Czekala na dźwięk szybkich, zbliżających się kroków.

Nie doczekała się go.

Zadzwoniła po raz trzeci. Odczekała długą chwilę. Cisza.

Nie. Nie całkiem. Jakiś szmer.

– Ciociu Judy! – krzyknęła.

Żadnej odpowiedzi. Cisza absolutna. Szmer, jeśli rzeczywiście był to jakiś szmer, ucichł. Laura położyła dłoń na klamce. Klamka obróciła się, nie stawiając oporu. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Przestąpiła próg i wówczas niemal jednocześnie zdarzyły się dwie rzeczy. Z cienia za jej plecami wyłonił się zabójca i Laura poczuła znajomy zapach nafty.

– Proszę, proszę, co my tu mamy.

– O kurczę, szeryf!

Graham Rowe podszedł do dwóch chłopaków. Znalezienie ich nie zabrało mu za wiele czasu. Stara pani Kelcher potrafiła precyzyjnie wskazać miejsce na drodze numer siedem, w którym na jej samochód poleciały jajka. Od razu wiedział, że winni kryją się na szczycie Wreck's Pointe. Dojechać tam samochodem nie było łatwo. Nikt nigdy nie jeździł starą, gruntową drogą na Wreck's, ale jeśli dobrzy ludzie z Palm's Cove sądzą, że ich szeryf będzie się tam wspinał na piechotę, by złapać dwóch gówniarzy rzucających jajkami w przejeżdżające niżej samochody, to lepiej niech się zastanowią.

– Jajeczka były w robocie, co, koledzy?

Wyższy z dwóch chłopców wstał. W garści ścisnął dowód przestępstwa.

– Nie chcieliśmy nikomu zaszkodzić, szeryfie Rowe – powiedział.

– No ale zaszkodziliście, Tommy. Nie jesteście odrobinę za dorośli na takie zabawy?

Bracia opuścili głowy jak na komendę.

– Co na to powie wasz tata? Tommy? Josh?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Graham zrobił krok w ich stronę. Przygotowywał się do wygłoszenia standardowego kazania dla notorycznych łobuziaków, stanowczej przemowy typu „ja jestem mężczyzną, ty natomiast gówniarzem”, kiedy przez samochodowe radio ochryplę głos wyszczał jego imię. Westchnął ciężko.

– Wynoście się stąd, ale już, a jeśli jeszcze raz złapię kogoś na rozróbie, dopilnuję, żeby trafił do klatki głodnego krokodyla. Zrozumiano?

– Tak jest, szeryfie.

– Jasne, panie szeryfie.

– Dobra. To teraz spadajcie.

Bracia zbiegli na dół i znikli mu z oczu.

Radio znów wyszczało jego nazwisko. Cholerny złom! Graham podbiegł do samochodu, szarpnął głośnik, podniósł go do ust.

– Szeryf Rowe. Co się dzieje?

Głos jego zastępcy z trudem przedzierał się do jego uszu przez uszkodzony głośnik.

– Dzwoniła do ciebie pani Cassler z hotelu Pacific International.

– I?

– Chce, żebyś zaraz do niej przyjechał.

– Co się dzieje?

- Ma karty paszportowe, których szukałeś.
- Szeryf zdążył już włączyć silnik. Teraz włączył też koguta i wcisnął gaz do deski.
- Powiedz jej, że już jadę.



Zabójca stał nad ciałem Judy. Posługiwał się już rewolwerem, potem ostrym nożem, a teraz?

Za trzecim razem bronią miał być ogień.

Judy oddychała równo. Oczy miała zamknięte. Wyglądała, jakby spała, a jej pierś poruszała się powoli niczym w głębokim śnie. Ale ciało leżało nieruchomo! Na podłodze, tuż przy głowie, tam gdzie uderzyło w nią popiersie Keatsa, powstała mała kałuża krwi. Taka brutalność u człowieka w głębi duszy łagodnego; ten fakt niesłychanie smucił zabójcę.

Muszę działać szybko, pozbyć się dowodów. Jak? Jak mam dopilnować, by nikt nie przeczytał słowa z tego jej pamiętnika, nie zobaczył żadnego starego zdjęcia? Jak uciszyć ją na zawsze?

Odpowiedź nasuwała się sama.

Ogień.

Wyjątkowo łatwopalna nafta została już rozlana w całym, niewielkim gabinecie, także na ciało Judy. Wokół niego leżały strategicznie rozrzucone papiery. Nie za dużo nafty, nie za wiele papierów. Jak na razie wszystko w porządku, ale trzeba się strzec nadmiernej pewności siebie.

Od chwili gdy zabójca wszedł do domu, szczęście sprzyjało mu bardziej, niż mógł się spodziewać. Oboje przeszli wąskim korytarzem o ścianach obwieszonych plakatami – reprodukcjami Chagalla, Dalego, nawet McKnighta i przy wejściu do małego, zagraconego gabinetu Judy popełniła poważny błąd.

Odwróciła się tyłem do gościa.

Zabójca nie potrzebował nic więcej. Popiersie Keatsa stało ma podwyższeniu tuż przy drzwiach. Okazało się zdumiewająco ciężkie i trudno było je podnieść, ale za to opadło szybko i bezbłędnie trafiło ofiarę w tył głowy z doprowadzającym do mdłości mokrym płaszczykiem. Bezwładne ciało obróciło się i upadło na podłogę.

Zabójca rozejrzał się dookoła. Pamiętniki znajdowały się gdzieś tu, groźne, opisujące wydarzenia sprzed trzydziestu lat. Nie musiał ich szukać, nie musiał przeglądać, Judy wszystkie swoje papiery trzymała w gabinecie. Zniszczone, spalone wraz z ich autorką, przestaną być groźne. Brak dowodów. Nic już nie powiąże przeszłości z teraźniejszością. Wszyscy znów będą bezpieczni.

W gabinecie powiał zimny wiatr. Ostrzegając zabójcę, że coś przegapił, że przeszłości nie da się wymazać tak łatwo.

Ale, na szczęście, szybko przestał wiać.

Zabójca się skrzywił. Myślał. Strażacy z pewnością dojdą w końcu do wniosku, że pożar nie był przypadkiem, że główną rolę odegrała nafta i to dzięki niej ogień się rozprzestrzenił, że mamy do czynienia z podpaleniem. Ale przez ten czas pozostawione przez kanistry ślady zdążą już zniknąć. Zawieje je śnieg. Zabójca odda

wynajęty samochód i zniknie, nie pozostawiając po sobie tropu pozwalającego go zidentyfikować.

Doskonale. Wszystko układało się wręcz doskonale.

Więc dlaczego z oczu znów płyną łzy?

Dlaczego musi być właśnie tak? Zamykał oczy, a mimo to widział okrwawione ciało ofiary. Co oznaczało, że począwszy od dziś, przez wiele, bardzo wiele dni będzie miał koszmary. Biedna Judy. Biedna kochana, słodka Judy. Dlaczego musi umrzeć? Przecież mogła zostawić przeszłość w spokoju, zapomnieć o niej, dać jej spocząć w zapomnieniu. Ale nie, musiała ją niepokoić, drażnić i poszturchiwać, aż obudziła się i zaatakowała gwałtownie, wściekle. Istniał tylko jeden sposób, by ją ugłaskać.

– Żegnaj, Judy.

Dłoń wytarła łzę ściekającą po policzku, wyjęła zapaliki, zapaliła jedną...

...rozległo się pukanie do drzwi.

Serce zabójcy podeszło mu do gardła, odcinając dostęp powietrza. Panika zawładnęła nim w oszalamiającym tempie. O Boże, co teraz? Co teraz?

Płomień przesunął się powoli po zapalce.

Znów to stukanie. Kto? Co...? Płomień był już blisko ciała, blisko palców. za blisko. Cichy okrzyk bólu i zapalica wylądowała na kupce pogniecionych papierów. Buchnął ogień, który zajął leżące obok magazyny, zaginając do środka i zwęglając ich okładki.

Kości zostały rzucone. Nie było już odwrotu.

– Wynos się – powiedział cicho do siebie. Pukanie rozległo się znowu, mocniejsze, bardziej natarczywe. – Wynos się stąd natychmiast.

Ale... jeśli...

Zabójca przestał się zastanawiać i wybiegł z gabinetu ofiary jak szalony. Po drodze zatrzasnął jeszcze drzwi, więząc Judy w pułapce i ograniczając terytorium, na którym grasował śmiercionośny płomień. Ale płomienie rosły, próbowały wydostać się z zamknięcia.

Trzasnęły kuchenne drzwi, a jednocześnie od frontowych dobiegł głos, wykrzykujący imię Judy, znajomy, tak przerażająco, tak strasznie znajomy...



Frontowe drzwi otworzyły się powoli. Laura weszła do małego przedpokoju. Było ciemno, słońce zaszło dobre pół godziny temu, a jedna latarnia na ulicy rzucała niewiele światła. Laura spojrzała w lewo i w prawo, ogarnęła wzrokiem cały pokój dzienny, ale nie dostrzegła niczego. I niczego nie usłyszała.

– Ciociu Judy! – zawołała, ale odpowiedziała tylko cisza.

Posunęła się do przodu jeszcze o krok. Zatrzymała się, pociągnęła nosem; w mieszkaniu czuło się dziwny, ostry zapach; benzyny, oleju, czegoś w tym rodzaju. Był silny, niemal oszalamiający. Laura wzięła głębszy oddech. Teraz, kiedy miała chwilę na zastanowienie, zorientowała się, że to nie jest po prostu zapach oleju czy benzyny jak na stacji benzynowej albo w warsztacie samochodowym, nie, tak pachnie



coś...

...co się pali.

Nagle poczuła mdłości. Przesunęła dłonią po ścianie, znalazła włącznik światła. Pstryknęła. Zapaliły się świetlówki; ich jaskrawy blask zaskoczył ją, musiała osłonić oczy, a kiedy po chwili odzyskała wzrok, zobaczyła pasma dymu wydostające się spod drzwi gabinetu.

O Boże, nie!

Pobiegła w tamtą stronę. Dym stawał się coraz gęstszy, płynął w górę, pod sufit, długimi, ciemnymi pasmami. Wyciągnęła rękę, położyła ją na skrzydle drzwiowym i natychmiast cofnęła. Bo wydawały się ciepłe.

Uciekaj, Lauro. Uciekaj i wezwij straż pożarną. Judy nie ma w domu. Wyszła, ale zostawiła włączone żelazko albo coś podobnego. Uciekaj stąd natychmiast.

Słyszała już nawet trzask płomieni.

Uciekaj! Uciekaj, nim płomień wywali drzwi z zawiasów.

Dym był coraz bliższy i coraz gęstszy. Laura zakryła oczy, cofnęła się.

Uciekaj...

Już miała odwrócić się i uciec, kiedy z gabinetu dobiegł jakiś dźwięk. Zamarła. Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. Straszny dźwięk powtórzył się, tym razem nieco głośniejszy.

Kaszlnięcie.

Laura poczuła, jak jej ciało ogarnia przejmujący chłód.

Kolejne kaszlnięcie.

Za drzwiami gabinetu ktoś był. Ktoś był uwięziony w płonącym gabinecie.

Nie myśląc, nie zastanawiając się ani przez chwilę, zaczęła działać. Wyciągnęła rękę, przekreśliła klamkę, pchnęła drzwi. Otoczyły ją kłęby gęstego, czarnego dymu; upadła i przewróciła się na bok. Znów to kaszlnięcie, kobiece, ale tym razem brzmiało strasznie, brzmiało tak, jakby ta kobieta się dławiła.

Laura wstała, podeszła do drzwi. Dym był wszędzie, oślepił, wyciskał łzy z oczu. Przykryła usta dłonią, wpadła do środka.

I znalazła leżącą na podłodze Judy.

Chryste!

Pochyliła się. Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale dym podrażnił jej gardło, tak że nie mogła wykrztusić słowa. Judy spojrzała na nią błagalnie, niezdolna opanować kaszlu. Gęsta krew zlepiała jej włosy. Wyciągnęła rękę, wcisnęła coś w dłoń siostrzenicy, zmusiła ją do zaciśnięcia palców.

– Weź to – szepnęła ochryple.

Laura schowała tę rzecz do kieszeni. Uklękła. Judy straciła przytomność, oddychała niemal niezauważalnie. Laura chwyciła ją pod pachy i zaczęła ciągnąć. Paliło się przede wszystkim w kącie gabinetu, płomień rósł powoli, lecz bez przerwy. Papier kurczył się w ogniu. Krzesło rozpadło się z trzaskiem.

A potem ogień dotarł do nafty.

Nagle, bez ostrzeżenia, pożar ogarnął cały kąt, zaczął pożerać dywan. Jęzory płomieni sięgnęły firanek. Wtem Laura uświadomiła sobie coś, co dodało jej niemal

nadludzkich sił.

O Boże, nie, nie...

Ciało Judy zalane było naftą. A ogień się zbliżał.

Muszę próbować... muszę wyciągnąć ją stąd, nim.

Dym zasłaniał wszystko, ale Laura doskonale wiedziała, że ogień nie spocznie, póki nie pochłonie swych ofiar. Paliło się biurko, krzesła, książki. Laura ciągnęła ciało ciotki centymetr po centymetrze, ale za wolno, o wiele za wolno. Ogień był szybszy, już je okrążył, osaczył.

I sięgnął po Judy.

Rozległ się krótki, straszny krzyk. Płomień wpełzł na ubranie nieprzytomnej kobiety i szybko się rozprzestrzenił. Laura wpadła w panikę. Resztkami sił ciągnęła ciotkę za rękę. Poruszały się odrobinę szybciej. Od wyjścia dzieliło je może ćwierć metra, kiedy Laura potknęła się o brązowe popiersie Keatsa, straciła równowagę i upadła. Wyciągnęła przed siebie ręce, ale nie była wystarczająco szybka. Uderzyła głową we framugę drzwi, poczuła przenikliwy ból, pociemniało jej przed oczami.

Muszę wstać, zdążyła jeszcze pomyśleć. Wstać, wyciągnąć ją stąd...

Miała wrażenie, że ktoś przydepnął i zmiażdżył jej gardło. Czarny dym był wszędzie. Udało jej się jeszcze usiąść. Ogień sięgał jej stóp. Ból głowy był nie do zniesienia, ręce i nogi wydawały jej się ciężkie jak z ołowiu.

Muszę wstać... muszę coś zrobić...

Podpełzła powoli, wyciągnęła rękę. Tępy ból głowy odbierał jej siły i przytomność. Nie mogła już oddychać. Znieruchomiała. Oczy uciekły jej w głąb czaszki, powieki zamknęły się powoli. Nie zdołała chwycić Judy.

Straciła przytomność, opadła bezwładnie na podłogę. Jednocześnie silne ramię objęło ją w talii i uniosło.

Dla turystów była to doskonała okazja do zrobienia pamiątkowych zdjęć z egzotycznego zakątka świata. Miejscowy szeryf wpadł jak bomba przez frontowe drzwi hotelu Pacific International, nim zdążyły się do końca otworzyć, omal nie roztrzaskując szklanych tafli. Przeskakiwał przez stosy bagaży, zgrabnie lawirował między grupami gości, ślizgał się po kafelkach podłogi. Skręcił w lewo i nie zwalniając kroku przy recepcji, dopadł odległych o dwadzieścia metrów drzwi z napisem: „Dyrektor”. Wbiegł do środka, nie zdążywszy zapukać.

– Gdzie one są!?

Gina Cassler spojrzała na niego zza biurka.

– Dobry Boże, Graham, przecież ty nie jesteś w stanie złapać oddechu.

Rzeczywiście, Rowe dyszał rozpaczliwie.

– Nieważne – wykrztusił. – Gdzie są te karty paszportowe?

Gina potrząsnęła głową.

– U mnie w szafce. Uspokój się, usiądź...

Szeryf padł na krzesło, jakby ktoś podciął mu nogi.

– Daj mi je, kochana – poprosił.

Dyrektorka wyjęła z szuflady klucz, otworzyła znajdującą się za nią szafkę.

– Chciałam, żeby bezpiecznie doczekały, aż przyjdiesz.

– Serdecznie dziękuję.

– Napijesz się czegoś? – spytała.

– Za chwileczkę, dzięki.

Wyjęła z szafki dużą szarą kopertę.

– Są tu – powiedziała.

– Przeglądałaś je?

– Czyje przeglądałam? – Przyjaciółka popchnęła kopertę w jego stronę. – A niby po co? Przecież nawet nie wiem, czego szukasz.

Graham skinął głową, usatysfakcjonowany odpowiedzią. Niecierpliwie rozerwał kopertę.

– Miałaś jakieś problemy?

– Żadnych.

– I nikt nie pytał, po co ci karty paszportowe gości?

– Powiedziałam, że utrzymuję wzorowy porządek w papierach, ale jeden z moich pracowników przez niedbalstwo zgubił część dokumentacji.

Szeryf rozejrzał się po zapchanym luźnymi kartkami pokoju.

– I oni ci uwierzyli?

Gina przytaknęła.

– Na szczęście nie widzieli tego pokoju.

Rowe wzruszył ramionami, wysypał karty z koperty i zaczął je przeglądać. Amerykańskie odkładał na bok.

– Czego się napijesz, Grahamie?

– Whisky – powiedział, nie podnosząc głowy.

Gina sięgnęła do tej samej szafki, wyjęła z niej butelkę i dwie szklaneczki. Napełniła obie, jedną podsunęła gościowi, ale ją zignorował.

– Znalazłeś coś?

Szeryf pokręcił głową, nie odrywając wzroku od kart, a kiedy skończył je segregować, wziął te, które przedtem odłożył. Sprawdzał je uważnie. W górnym rogu recepcjonista zapisywał numery pokoi, pod nim znajdowały się rubryki na nazwisko i adres, a jeszcze niżej na narodowość (większość Amerykanów wpisywała „USA”), numer paszportu oraz datę i miejsce wydania. Dotarł do karty pokoju 607, sprawdził adres. Boston, Massachusetts. Przeczytał nazwisko i nagle poczuł się tak, jakby wielki młot uderzył go w klatkę piersiową. Sprawdził je po raz drugi.

– Słodki Jezu...

– Źle się poczułeś?

Reszta kart wypadła mu z ręki na podłogę. Złapał stojącą na biurku szklaneczkę, wlał whisky wprost do gardła.

– Mary Ayars – powiedział. – Matka Laury.



Doktor Eric Clarich mieszkał w Hamilton, w stanie Nowy Jork, od trzeciego roku życia. Chodził do szkoły podstawowej imienia Johna Quincy’ego Adamsa, gimnazjum Heritage i liceum miejskiego, studiował w Colgate College. Mroźne Hamilton opuścił tylko raz, gdy studiował medycynę w szkole medycznej Cornell. Nawet rezydenturę i praktykę odbył w najbliższym szpitalu, tu przeżył dzieciństwo i młodość. Według języka uczniów szkoły przygotowawczej był „miejscowy”. Wielu twierdziło, że oddanie czy też wręcz obsesja na punkcie Hamilton mogą być niebezpieczne, a sam fakt, że doktor Clarich nie zna wielkiego świata, zapewne sprawi, iż jego horyzonty będą mocno ograniczone. I przypuszczalnie były. Ale Eric wcale się tym nie przejmował. Tu miał swoje życie. Delta, ukochana z liceum i szczęśliwa żona, spodziewała się ich drugiego dziecka. Praktyka rozwijała się systematycznie. Uważał swoje życie za dobre, oparte na solidnych podstawach. Mówiono nawet o wystawieniu jego kandydatury do rady miejskiej.

– Czy to nie jest ta słynna modelka? – spytała go jedna z pielęgniarek.

Doktor Clarich poważnie skinął głową. Na oddział pomocy doraźnej przywieziono właśnie dwie kobiety. Jedną z nich rozpoznał, a drugą znał doskonale. Wiedział też, że są spokrewnione: ciotka i jej siostrzenica. Ciotkę poznał ponad dziesięć lat temu. Profesor Judy Simmons wzbogaciła życie studenta drugiego roku, wprowadzając w nie Szekspira, a wraz z nim głębokie refleksje zdumiewające i wzbogacające tych szczęśliwców, którzy trafili na jej zajęcia z literatury. Profesor Simmons była dumna z tego, że studenci mają do niej łatwy dostęp, z którego Eric chętnie korzystał. Nigdy

nie zapomniał godzin spędzonych na rozmowach przy ziołowej herbacie w jej gabinetach, tym na uczelni i tym w domu. Z tego, co mu powiedziano, wynikało, że ten ostatni, wraz z całym domem, jest teraz niczym więcej niż kupką popiołu.

Eric Clarich wspominał. Profesor Simmons napisała mu wspólną rekomendację do szkoły medycznej Cornella, opisując go w niej jako „prawdziwego człowieka renesansu”. Sformułowanie to, oznajmiła, jest w jej ustach największym komplementem. Wielu lekarzy może się pochwalić zimną, bezosobową wiedzą naukową, ale ilu łączy ją z gorącą miłością do literatury i sztuki? Właśnie to, kończyła rekomendację, czyni pana Erica Claricha, jej studenta i przyjaciela, człowiekiem wyjątkowym.

Erich odetchnął głęboko, nie przerywając pracy. A co z olśniewającą profesorem Simmons? Czy opisałby ją jako prawdziwą kobietę renesansu? Być może, ale Judy zawsze była dla niego postacią nieco tajemniczą. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie wyszła za męża, nie spotykała się z żadnym mężczyzną, nie utrzymywała żadnych bliższych znajomości, nie miała przyjaciół. Poruszył ten temat tylko raz, a ona zażartowała wówczas, że jej związki z mężczyznami są jak w powieści Dickensa. Żart żartem, ale stosunek do siebie i świata miała nieco dziwny. Przypadkowy obserwator nazwałby ją ładną, pogodną kobietą, ale pod tą maską Eric widział postać smutną i samotną jak bohaterka powieści gotyckiej, która samej pani profesor z pewnością bardzo by się spodobała. A teraz okoliczności uczyniły tę powieść tragiczną.

Judy Simmons nie żyje.

Przyglądał się sponiewieranemu, poparzonemu, miejscami zwęglonemu ciału przyjaciółki. Mógł tylko mieć nadzieję, że odeszła szybko, że nie żyła tak długo, by czuć, jak płoną jej końcówki nerwów, jak skóra topi się w grube bryły woskowatego tłuszczu. Modlił się, by któraś ze spadających belek uderzyła ją w głowę i pozbawiła przytomności, nim ogień zaczął łapczywie pożerać jej ciało.

Profesor Simmons martwa. Kolejna tragedia rodziny, która powinna przecież mieć wszystko. Najpierw David Baskin. Teraz to. Dwoje zdrowych ludzi padło ofiarą dwóch najczystszych ziemskich żywiołów. Woda dla Baskina, ogień dla Judy.

– Więcej tlenu – polecił ostro pielęgniарce.

– Tak, panie doktorze.

Doktor Clarich skupił całą swą uwagę na młodszej pacjentce. Laura Ayars-Baskin, piękna i znana siostrzenica Judy, leżała nieprzytomna na noszach. Po raz kolejny sprawdził puls, rozprowadził po jej ciele masę na poparzenia. Przy odpowiednim leczeniu, jeśli zapewni się jej odpoczynek i jeśli zbyt wcześnie nie wstanie z łóżka, w pełni wyzdrowieje. Uzdrawienie, które można nazwać cudownym. Zaledwie przed kwadransem leżała nieprzytomna wśród szalejących płomieni, ale los sprawił, że ktoś akurat przechodził obok, bardzo dzielny ktoś, kto bez wahania ruszył na ratunek i jakimś cudem wywlekł obie kobiety wprost z piekła. Ta sama odważna osoba zadzwoniła do szpitala. Karetka wyjechała natychmiast, ale nim dotarła na miejsce, bohater znikł. Dziwne, bardzo dziwne. Większość ludzi zaraz zadzwoniłaby do lokalnej telewizyjnej stacji informacyjnej, żeby mieć wywiad w wiadomościach o dwudziestej trzeciej, a tymczasem ten człowiek znikł.

– Masz te jej numery alarmowe?  
– Tak, doktorze. Były zapisane w notesie z telefonami.  
– Podaj mi je. – Jasnowłosa dziewczyna wręczyła mu notes. – I wezwij mnie, jeśli coś się będzie działo.

– Oczywiście, doktorze.

Doktor Clarich poszedł do telefonu na korytarzu. Wcisnął dziesiątkę, wyjście na miasto, zaczekał na sygnał, wybrał numer rodziców Laury. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka, informując go, że połączył się z domem państwa Ayars. Zostawił wiadomość i rozłączył się.

Co teraz, do diabła?

Sprawdził godzinę. Prawie wpół do ósmej. Nawet jeśli złapie jej rodziców, z Bostonu jedzie się tutaj dobre pięć godzin, a w taką pogodę nawet dłużej. Przerzucił kartki notesu, znalazł numer służbowy ojca, lekarza. Świetnie! Całkiem możliwe, że doktor Ayars jest jeszcze w swym gabinecie w Boston Memorial. W każdym razie warto spróbować.

Rzeczywiście, sekretarka odezwała się już po drugim sygnale.

– Gabinet, słucham?

– Czy mogę rozmawiać z doktorem Ayarsem?

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Nazywam się Eric Clarich. Doktor Clarich. To pilne.

– Proszę poczekać.

Upłynęła może minuta i w słuchawce odezwał się męski głos.

– Mówi James Ayars. W czym mogę pomóc?

– Doktorze Ayars, jestem doktor Clarich z St. Catherine's w Hamilton, w stanie Nowy Jork.

– Słucham.

– Mam dla pana złe wiadomości.

Głos pozostał spokojny, autorytatywny.

– Słucham pana.

– W domu pańskiej szwagierki wybuchł pożar. Pańska córka została ranna...

– Ranna?! – krzyknął doktor Ayars.

– Nic jej nie będzie, doktorze. Jest lekko poparzona, poza tym nawdychała się dymu. Poradzimy sobie z tym. Pańska szwagierka nie miała jednak tyle szczęścia. Bardzo mi przykro, ale pani Judy Simmons nie żyje.

Zapała ciężka, nieprzyjemna cisza, a potem cichy męski głos powtórzył:

– Nie żyje? Judy?

– Tak.

– Zaraz... zaraz wynajmę samolot. Zadzwoń do domu, do żony i...

– Próbowałem dodzwonić się pod pana prywatny numer. Nikt nie odbiera telefonu.

I znów to milczenie, a kiedy doktor Ayars ponownie się odezwał, mówił głosem bez wyrazu.

– Jest pan pewien?

– Włączyła się automatyczna sekretarka.

- Słodki Jezu!
- Doktorze Ayars.
- Przyjadę do pana jak najszybciej, doktorze Clarich. Proszę, niech pan powie córce, że jestem w drodze.



James odłożył słuchawkę. Ręka mu drżała, poruszał nogą tak jak córka, która odziedziczyła po nim ten tik.

Laura jest ranna. Judy nie żyje.

Spróbował połączyć się z domem. Rozległ się pierwszy, głośny sygnał.

Mary, podnieś słuchawkę, proszę. Bądź w domu.

Po czwartym sygnale rzeczywiście włączyła się automatyczna sekretarka. Zamknął oczy, czekając, aż odezwie się znajome „bip”, a kiedy je usłyszał, spokojnym, opanowanym głosem powiedział:

– Mary, w domu Judy wybuchł pożar. Laura została ranna, ale nic jej nie będzie. Zaraz wylatuję do Hamilton. Gdy tylko wrócisz, zrób to samo. Laura leży tam w szpitalu St. Catherine’s.

Uznał, że nie ma sensu w tej chwili informować żony o śmierci siostry. Tylko by wpadła w panikę. Odłożył słuchawkę. Coś tu było bardzo nie tak. O tej godzinie Mary prawie zawsze była w domu, a jeśli już się spóźniała, zawsze zostawiała mu wiadomość, żeby się nie denerwował. Ale nie dziś. James nawet nie pamiętał, kiedy poprzednio zapomniiała o zostawieniu wiadomości.

Przecież może właśnie brać prysznic. Mogła wyskoczyć po zakupy, do sklepu spożywczego albo apteki. Nie ma się czym przejmować, pewnie właśnie o to chodzi.

James Ayars bardzo chciał w to wierzyć, bardzo chciał przekonać sam siebie, że żona jest tuż za rogiem, właśnie wraca ze sklepu, od kosmetyczki albo z...

Hamilton w stanie Nowy Jork...

Poczuł, jak uginają się pod nim kolana. O Boże, proszę, proszę powiedz mi „nie”.

Może Mary złożyła siostrze towarzyską wizytę, porozmawiały sobie, tak, porozmawiały po przyjacielsku, jak w rodzinie...

Czy Judy mogła okazać się aż taka głupia? Powiedzieć coś siostrze? Był pewny, że nie, że nigdy nie podzieliłaby się z Mary swoimi podejrzeniami... nie podzieliłaby się nimi z nikim, póki nie zyskałaby całkowitej pewności, że się nie myli.

Ale co Laura robiła u Judy? Tak po prostu wpadła na pomysł odwiedzenia Colgate? Nie przesadzam z tymi przypadkami?

Ból wykrzywił twarz doktora. Z Bostonu do Hamilton jechało się nie mniej niż pięć godzin, wynajęcie samolotu i lot to też nie kwestia minut, a od tej chwili najważniejszą rolę grał czas. Musi jak najszybciej znaleźć się w szpitalu, chronić córkę, nim zawali się jej świat...

Jeśli coś złego zdarzy się Laurze, o Boże, jeśli coś złego stanie się mojej córeczce...

James Ayars zduślił ten wewnętrzny głos, nim zdołał on dokończyć zdanie.



Laurze wydawało się, że powieki ma z ołowiu. Walczyła z nimi długo, aż wreszcie udało się je podnieść. W oczy uderzyło ją jaskrawe światło, uniemożliwiające dostrzeżenie czegokolwiek oprócz jednolitej jaskrawej bieli. Na szczęście światło to szybko osłabło, a spoza jego zasłony zaczął wyłaniać się świat: czysty pokój, zapach środków dezynfekujących... to straszne.

Niemal natychmiast zorientowała się, gdzie jest.

– Pani Baskin?

Język miała jak przyklejony do podniebienia, ale zdołała wybełkotać:

– Tak?

– Jestem doktor Eric Clarich – przedstawił się stojący nad nią mężczyzna. – A pani znajduje się w tej chwili w szpitalu St. Catherine’s w Hamilton, w stanie Nowy Jork. Czy pamięta pani, co się stało?

Laura zdołała skupić wzrok na młodej, nieogolonej twarzy lekarza. Przekrwione, piwne oczy przyglądały się jej z troską i dojrzałością zaprzeczającą wiekowi lekarza.

– Ogień...

– Tak, jest pani ofiarą pożaru. Doznała pani poparzeń, niezbyt groźnych. Wszystko będzie dobrze.

Laura zdołała wypowiedzieć jeszcze jedno słowo.

– Judy...

Doktor opuścił wzrok, a ona poczuła na piersi nieznośny ciężar. Przez jej ciało przepłynęła fala przerażenia.

– Nie żyje – powiedział lekarz. – Przykro mi. Bardzo lubiłem pani ciotkę. Byliśmy przyjaciółmi.

Laura bezwładnie opadła na łóżko. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w sufit. Ciotka Judy nie żyje. Zginęła w pożarze. Próbowowała przypomnieć sobie ostatnie chwile przed utratą przytomności, wyraz rozpaczony w jej oczach, pełzące ku nim, zbliżające się nieuchronnie płomienie. Pamiętała, że potknęła się o coś, przewróciła, uderzyła w głowę, zdołała jeszcze wyciągnąć rękę, a potem... nic.

– Kto mnie uratował? – spytała.

Lekarz uśmiechnął się lekko.

– To dość tajemnicza sprawa. Was obie wyciągnął z ognia jakiś mężczyzna. Niestety, dla pani profesor Simmons było już za późno.

– Jaki mężczyzna?

– Tego właśnie nie wiemy. Zadzwoił, wezwał karetkę i znikł.

– Znikł?

– Mnie też wydaje się to dość dziwne.

Pogrążona w żalu Laura spróbowała się skoncentrować. Pożar nie wybuchł przypadkowo, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Ktoś podpalił dom. Ktoś pozbawił biedną Judy przytomności, po czym oblał naftą ją i jej gabinet. Ktoś dokonał podpalenia, by zabić jej ciotkę. Ale kto?

Morderca Davida.

Laura skinęła głową. Tak, pożar był dziełem mordercy Davida. Judy dowiedziała



się jakoś prawdy o jego śmierci i zapłaciła za to życiem. Tylko... dlaczego pożar, zwłaszcza że standardowe śledztwo musiało ujawnić podpalenie? Czemu nie użył pistoletu lub noża? Po co palić Judy dom nad głową, jeśli chodziło tylko o to, by ją uciszyć...

Nie dom. Gabinet.

Wzdłuż kręgosłupa Laury przeszedł dreszcz. Gabinet. Przecież najpierw zaczął palić się gabinet!

– Rozmawiałem z pani ojcem. – Młody lekarz przerwał jej rozmyślenia. – Już tu jedzie. Powinien być za kilka godzin.

– Dziękuję, doktorze. Kiedy będę mogła opuścić szpital?

Eric uśmiechnął się, podniósł do oczu podkładkę z kartą choroby.

– O tym porozmawiamy później, dobrze? Teraz proszę trochę odpocząć.

Laura zamknęła oczy, choć wiedziała, że sen nie przyjdzie. Bała się i czuła tak bardzo samotna, bezradna amatorka wobec bezlitosnych morderców i podpalaczy. W tej konfrontacji... jaką miała szansę? Judy nie żyje, została uciszona, nim miała szansę powiedzieć jej, o co w tym wszystkim chodzi. Czego takiego dowiedziała się, że musiała zginąć? Co takiego chciała powiedzieć, że...

...pokazać ci, Lauro. Pokazać ci...

Laura nagle otworzyła oczy.

...pokazać ci...

– Doktorze Clarich?

...weź to...

Eric przerwał zapisywanie czegoś w karcie choroby, spojrzał na nią.

– Słucham, pani Baskin?

– Moje rzeczy osobiste – powiedziała Laura. Miała bardzo suche usta.

– Są w plastikowej torebce w pani szafce.

Ogień już je dosięgał. Laura ciągle czuła dotyk Judy wkładającej jej coś w dłoń, zmuszającej ją, by schowała to coś do kieszeni, podczas gdy wokół szalały płomienie.

– Mogę ją dostać?

Lekarz westchnął ciężko.

– Naprawdę, powinna pani odpoczywać. Szef straży pożarnej też zechce z panią porozmawiać.

– Odpocznę, oczywiście, ale najpierw chciałabym zobaczyć swoje rzeczy.

Eric usłyszał w jej głosie nutę desperacji.

– W porządku – zgodził się. – Ale potem pani odpocznie.

Laura skinęła głową z największym przekonaniem, na jakie mogła się zdobyć. Patrzyła, jak doktor Clarich podchodzi do szafki. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

Co mi dałaś, ciociu Judy? Co było takie ważne, że nawet nadciągająca śmierć nie potrafiła odwrócić od tego uwagi?

Lekarz otworzył szafkę. Pochylił się, wyjął z niej czerwoną plastikową torbę z oznaczeniem oddziału pomocy doraźnej. Laura próbowała usiąść, choć każdy ruch drażnił poparzone miejsce. Przez chwilę pomyślała o tym, jak bliska była śmierci,

spalenia się żywcem, i o tajemniczym mężczyźnie, który ocalił jej życie.

Doktor Clarich podał jej torbę.

– Teraz zostawię panią samą – powiedział.

– Dziękuję, doktorze.

Eric uśmiechnął się i wyszedł z pokoju. Kiedy zamknęły się drzwi i Laura została sama, natychmiast otworzyła torbę i zabrała się do przeglądania jej zawartości.

Potrzebny mi jakiś ślad, ciociu Judy. Czy udało ci się ocalić z pożaru jakiś ślad?

Pierwszą rzeczą, która wpadła jej w oko, była metka Svengali na podartej, nadpalonej bluzce. Cześć rękawa i plecy wypaliły się na czarno. Znalazła także resztę ubrania, portmonetkę i portfel, buty oraz kluczyki do samochodu, a dopiero na końcu dwie wciśnięte jej przez Judy rzeczy.

Komplet kluczy.

Rozczarowanie zabiło w niej nadzieję. Po co Judy miała dawać jej klucze? Jakie mogły mieć znaczenie? Na łańcuszku były cztery. Pierwszy do frontowych drzwi, rozpoznała go bez problemu. Drugi i trzeci do samochodu. Do czego służył czwarty, nie miała pojęcia.

Dlaczego Judy wcisnęła jej ten komplet kluczy? Być może w tym momencie nie potrafiła już jasno myśleć. Może chciała dotrzeć do samochodu i nim uciec z pożaru?

Przesadzasz, Lauro.

Dobrze, ktoś ma jakiś lepszy pomysł?

Odłożyła klucze na bok, znów sięgnęła do torby. Namacała gruby kawałek papieru, czy też może kawałek cienkiej tektury. Wydawała się pomarszczona, stara. Wyjęła ten papier, czy może tekturę, podniosła do oczu.

Była to fotografia.

Zdziwiona zmrużyła oczy, by przyjrzeć się jej dokładniej. Była niewątpliwie stara, czarno-biała. Matka miała mnóstwo podobnych, ale ta wyglądała na często oglądaną. W miarę upływu czasu na takich zdjęciach pojawiają się brązowe plamy, Laury nie interesowały jednak szczegóły techniczne, tylko to, co przedstawiało.

A przedstawiało szczęśliwą, zakochaną parę, wpatrującą się sobie w oczy. Mężczyzna mocno przytulał kobietę, obejmując ją w talii. Kobieta była Judy, mająca najwyżej dwadzieścia lat. Laura pomyślała, że wygląda na wyjątkowo szczęśliwą, że twarz ma tak promienną, jakiej Laura nigdy u niej nie widziała. Nie tylko dlatego, że była to twarz młodej dziewczyny. Wypisana była na niej miłość, prawdziwa miłość.

Z kolei Laura dokładniej przyjrzała się mężczyźnie. Poczowała, jak zaciska się jej gardło. Kilka sekund trwało, nim jej mózg zaakceptował prawdę. Kiedy rozpoznała jego twarz, zyskała całkowitą pewność, kim jest, zapragnęła krzyknąć, krzyknąć, krzyknąć.

Mężczyzna z fotografii uśmiechał się wesoło do młodej, ślicznej Judy Simmons. Miał zmierzwiłone włosy i przystojną twarz, jakże podobną...

...jakże podobną do twarzy młodszego syna.

Laurze zakręciło się w głowie. Ojciec Davida. Ojciec Davida, człowiek, który trzydzieści lat temu popełnił samobójstwo. Sinclair Baskin i ciocia Judy tulili się do siebie do szaleństwa zakochani.

Wypuściła zdjęcie z dłoni. Ślad. W obliczu nieuchronnej śmierci, w ostatnim, rozpaczliwym wysiłku, Judy zostawiła jej ślad w postaci tej fotografii. Fotografia miała powiedzieć prawdę o tym, co zdarzyło się Davidowi, dlaczego zginął.

Tylko... o czym miała ona właściwie świadczyć?



– Niechże się pan pośpieszy, do diabła.

– Hej, kolego, już jadę za szybko. Ty też chcesz skończyć w szpitalu?

James opadł na siedzenie.

– Przepraszam, ja tylko...

– Wiem, wiem – przerwał mu taksówkarz. – Ma pan córkę w szpitalu w Hamilton. Człowieku, ja też mam dzieci. Rozumiem, co czujesz.

Doktor Ayars próbował się uspokoić, odetchnął głęboko kilka razy.

– Długo to jeszcze potrwa? – spytał.

– Pięć minut. Jeśli wziąć pod uwagę pogodę, powiedziałbym, że idzie nam całkiem nieźle. Z lotniska do miasta w pół godziny. Być może to nawet rekord.

– Nie mógłby pan trochę przyspieszyć?

– Nie ma potrzeby – powiedział taksówkarz. – Jesteśmy na miejscu.

James rzucił mu pięćdziesiąt dolarów i podziękował.

– Dzięki, człowieku – pożegnał go taksówkarz. – Mam nadzieję, że twoja córka już czuje się lepiej.

Doktor Ayars wyskoczył z taksówki i pobiegł do wejścia do szpitala. Serce waliło mu jak oszalałe. Rekordowe trzydzieści minut z lotniska do St. Catherine's dla niego ciągnęło się tygodniami.

Z Laurą wszystko w porządku, powtarzał sobie w myślach. Słyszałeś, co powiedział doktor. Drobne poparzenia, no i nałykała się dymu. Nic, czego nie wyleczyłby dobry wypoczynek.

A on już dopilnuje, żeby odpoczęła. O tak, będzie jej pilnował dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie dopuści, by ktoś znowu skrzywdził jego małą dziewczynkę. Nikt. Nigdy.

Wpadł do szpitala jak bomba. To był teren znany mu jak własna kieszeń. Natychmiast znalazł rejestrację i dowiedział się, gdzie leży Laura.

– Pokój sto siedemnaście – powiedziała mu dyżurna pielęgniarka. – Doktor Clarich chyba właśnie u niej jest.

Popędził korytarzem. Skręcił w prawo, nogi niosły go ze zdumiewającą szybkością... i nagle stanął jak wryty. Serce uderzyło mu mocniej i zatrzymało się na chwilę.

Boże, nie!

Przy końcu korytarza, tuż obok drzwi do pokoju Laury, w plastikowym krzeselku siedziała jego żona, zgarbiona, drobna i krucha. Twarz miała bardzo bladą, zmęczoną.

– Mary?

Powoli obróciła ku niemu głowę.

– Och, James.

Jakim cudem tak szybko się tu dostałaś, Mary? Jak...

Jego żona poderwała się, podbiegła do niego chwiejnym krokiem. James szedł w jej stronę powoli, niepewnie, jakby bał się do niej zbliżyć.

Była tu przez cały czas. Była w Colgate.

– Odsłuchałam... zadzwoniłam i odsłuchałam automatyczną sekretarkę. Była na niej nagrana twoja wiadomość – tłumaczyła nieprzekonująco. – Dotarłam tu jak najszybciej.

W mniej niż trzy godziny? Ktoś coś mówił o biciu rekordów?

– Gdzie lekarz? – spytał James głośno, próbując z całej siły zachowywać się normalnie.

– Z Laurą. Powiedział, że wszystko będzie w porządku.

– Mary się rozpłakała. – Och, James, powiedz, że to nieprawda. Ona nie mogła zginąć. Nie mogła. Nie Judy.

Doktor wziął ją w ramiona i przytulił mocno. Zamknął oczy, a w jego sercu dokonała się przemiana. Przecież w gruncie rzeczy właśnie o to chodziło. Kochał ją. Niech mu Bóg przebaczy, ale tak bardzo ją kochał. Grzeszyła, robiła straszne rzeczy, tak straszne, że większość mężów nie potrafiłaby ich wybaczyć, ale on mimo wszystko kochał ją mocniej każdego dnia. Wydawała się taka niewinna, taka bezradna, taka piękna. Musiał ją chronić...

...niezależnie od tego, co zrobiła w przeszłości.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – powiedział, nie otwierając oczu. – Jestem przy tobie i wszystko będzie dobrze.

Chwila czułości, być może ostatnia dana im przez los, skończyła się jak nożem uciął wraz z otwarciem drzwi do sali sto siedemnaście. Doktor Ayars wypuścił żonę z objęć, błyskawicznie przybrał maskę profesjonalisty, odwrócił się.

– Doktor Clarich?

– Doktor Ayars? – Eric wyciągnął rękę na powitanie. – Cieszę się, że jesteście tu oboje.

– Jak ona się czuje? – spytał James. – Możemy ją zobaczyć?

– Czuje się świetnie. Spędzi w szpitalu dzień lub dwa.

– To cudownie – ucieszyła się Mary.

– Jeszcze nie doszła do siebie. Wiele przeżyła.

– Może pan nam powiedzieć, co się właściwie stało, doktorze?

Eric poprowadził ich do poczekalni, gdzie wygodnie usiedli.

– Z tego, co wiemy – rozpoczął – państwa córka weszła do domu profesor Simmons, gdy zaczynał się palić. Według tego, co sama powiedziała, otworzyła drzwi gabinetu i znalazła panią profesor leżącą na podłodze. Próbowała ją ratować, przy czym sama omal nie zginęła. Nie mogła się wydostać z pokoju. Ciągnęła ciotkę z całej siły, ale dym pozbawił ją przytomności.

Mary spojrzała na lekarza przerażona.

– Pozbawił przytomności? Więc jak...

– Jak udało jej się przeżyć? – dokończył za nią. – Rzeczywiście, wygląda to dość tajemniczo. Z ognia wyciągnął państwa córkę mężczyzna, który do tej chwili

zachowuje anonimowość. Gdyby nie on, z pewnością zginęłaby w płonącym gabinecie pani siostry.

- Możemy zobaczyć się z Laurą? – powtórzył pytanie James.
- W tej chwili pacjentka odpoczywa. Śpi. Powinna obudzić się za kilka godzin.
- Zaczekamy. – Doktor Ayars ujął drżącą dłoń żony.
- Wszystko w porządku, Mary? Mary skinęła głową.
- Skontaktowałem się z Glorią – mówił dalej. – Wraz ze Stanem są w drodze. Mary znów skinęła dłonią, a doktor Ayars zwrócił się do Claricha.
- Czy przyczyny pożaru są już znane?
- Nie do końca, ale to prawdopodobnie podpalenie.

Widział, jak twarze rodziców Laury bledną jeszcze bardziej, choć jeszcze przed chwilą wydawało się to niemożliwe.



Później tego samego wieczoru rozległo się delikatne pukanie do drzwi pokoju, w którym leżała Laura.

- Proszę wejść.
- Drzwi otworzyły się, do środka zajrzała blond główka.
- Cześć.
- Gloria! – Laura się uśmiechnęła. – Tak się cieszę, że przyjechałaś.
- Usłyszała dobiegający z korytarza kobiecy głos.
- Może z mojego przyjazdu też?
- Serita! – Laura zachichotała. – Jakim cudem dotarliście tu tak szybko?

Siostra i przyjaciółka weszły, zamykając za sobą drzwi. Wyciąłowały Laurę, a potem usiadły po bokach jej łóżka.

- Założę się o milion, że nie zgadniesz. – Serita się roześmiała.
- Bo co?
- Stan nas przywiózł – nie wytrzymała Gloria.
- I wiesz, Lauro, zachowywał się jak dżentelmen w każdym calu.
- Dlaczego nie przyszedł z wami?
- Dobra, Glorio, ty jej to wytłumacz.
- Wyjechał. Powiedział tylko, że poprzedniego wieczoru nagadał ci mnóstwo różnych głupstw i że na razie nie śmie spojrzeć ci w oczy.

Laura spojrzała na siostrę zaskoczona.

- Tak wam powiedział? – spytała z niedowierzaniem.

Obie panie jednocześnie skinęły głowami.

- I teraz wraca do Bostonu?

– Otóż to, skarbie – przytaknęła Serita. – Potrafisz w to uwierzyć? Przez ostatnie sześć godzin facet odgrywał szofera, a teraz wlecze się z powrotem do domu.

- On był wtedy bardzo pijany – dodała Gloria. – No i teraz strasznie się czuje.

Laura nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Zapomnijmy o tym.

- Więc jak się czujesz, dziewczyno? – spytała Serita.

– Nieźle, dzięki.

Gloria nerwowo splatała dłonie.

– Nie mogę w to uwierzyć. Ciocia Judy nie żyje. To takie straszne. Rodzice są w szoku.

– Wiem. Byli u mnie przed chwilą.

– Co za straszny wypadek – powiedziała Serita.

– To nie był wypadek.

Siostra i najlepsza przyjaciółka spojrzały na Laure z niedowierzaniem.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że to nie był wypadek. Ciocia Judy została zamordowana.

– Jesteś pewna? – spytała Serita.

– Podpalenie. W domu rozlano naftę, a ciotkę podpalacz najpierw pozbawił przytomności.

– Ale kto mógłby zrobić coś takiego?

Laura wiedziała, że wciągając kogoś w swoje sprawy, wiele ryzykuje, ale czuła się taka samotna, taka zrozpaczona, że już nie mogła się powstrzymać.

– Musicie mi obiecać, że nikomu o tym nie powiecie. Ani słowa. To może być kwestia życia i śmierci.

– Ani słowa – przyrzekła Serita, a Gloria skinęła głową.

– No więc... nie wiem, kto zabił ciocię Judy, ale obejrzyjcie sobie to.

Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej starą fotografię. Najpierw obejrzała ją Gloria, a po niej Serita.

– Nie rozumiem – przyznała Gloria. – To stare zdjęcie cioci Judy, ale kim jest ten mężczyzna?

– I co ty na to, Serito?

– Wygląda znajomo, ale...

– Przypomina Davida, a może Stana?

– Chyba trochę tak.

– Co sugerujesz? – spytała Gloria.

– Na tym zdjęciu widzicie Sinclaira Baskina, ojca Stana i Davida.

Gloria westchnęła głośno. Pamiętała, co Stan powiedział jej o śmierci ojca. Zadrżała.

– Nie rozumiem. – Serita zmarszczyła brwi. – Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią Judy?

– Nie. Ale przyjrzyj im się dokładniej. To nie jest takie sobie zwykłe zdjęcie.

– Nie jest – przyznała przyjaciółka. – Ci dwoje są w sobie zakochani.

– To spójrz jeszcze na transparent w tle. Brinlen College, rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. Sinclair Baskin uczył w Brinlen, a w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku zginął.

Serita nie odrywała wzroku od zdjęcia.

– Nadal nic nie rozumiem. Twoja ciotka mogła mieć romans z ojcem Davida, ale co to ma wspólnego z dzisiejszym pożarem?

– Na razie ja też nie mam pojęcia, ale jakiś związek po prostu musi istnieć. Żeby go

znaleźć, muszę pojechać do Chicago.

– Dlaczego akurat Chicago?

– Bo tam właśnie mieści się Brinlen College. Mama i ciocia wychowały się w jego sąsiedztwie.

Gloria włączyła się do rozmowy. Jej głos docierał do Laury jakby z oddali.

– Mieszkaliśmy tam, Lauro. Przed twoim urodzeniem.

– Wiem. No więc gdzieś musi być jakiś związek. Samobójstwo Sinclaira Baskina i morderstwo cioci Judy muszą jakoś się z sobą wiązać.

Gloria omal nie krzyknęła. W ostatniej chwili włożyła dłoń do ust i mocno ją przygryzła. Rozległ się tylko cichy pisk.

– O co chodzi, Glorio? Co się stało?

Gloria wyjęła dłoń z ust. Doskonale pamiętała, co Stan opowiedział jej w nocy, całkiem niedawno, tuż po tym, kiedy obudził się z koszmaru. Rozglądała się po pokoju, jakby szukała miejsca, w którym mogłaby się ukryć.

– Nie... nie mogę powiedzieć.

Laura usiadła, chwyciła ją za ramię.

– To bardzo ważne – powiedziała z naciskiem. – Ktokolwiek zabił Judy, mógł także zamordować Davida.

– Co? Davida? Przecież David utonął.

– Może. A może nie. Powiedz mi, co wiesz.

– Ale... obiecałam...

– Komu?

– Stanowi. Obiecałam mu, że nie pisnę słówka.

– Musisz mi wszystko powiedzieć, Glorio. Możesz być w niebezpieczeństwie. Stan może być w niebezpieczeństwie.

– Nie wiem...

Laura potrząsnęła nią z całej siły.

– Musisz... musisz...

Serita rozdzieliła siostry.

– Uspokój się, Lauro – powiedziała stanowczo.

Laura puściła Glorię. Opadła na łóżko.

– Nie mogę się uspokoić. Morderca jest nadal na wolności.

– Mówisz od rzeczy, dziewczyno. Zdjęcia sprzed trzydziestu lat! Mordercy na wolności! Samobójstwo sprzed trzech dekad...

– To nie było samobójstwo!

Obie, Laura i Serita, spojrzały jednocześnie na Glorię skuloną w kącie, drżącą na całym ciele, dygoczącą jakby w napadzie gorączki.

– On nie popełnił samobójstwa – powtórzyła dziewczyna. Laura nie wierzyła własnym uszom.

– O czym ty mówisz? Oczywiście, że popełnił samobójstwo. Jej siostra gwałtownie pokręciła głową.

– Zamordowano go. Sinclair Baskin został zamordowany.

– Co?

– Stan ukrył się za kanapą w gabinecie ojca. Miał zaledwie dziesięć lat, ale wszystko widział. Ktoś zamordował Sinclaira Baskina.

– Ale... – Laura gapiała się na nią z otwartymi ustami. Oniemiała ze zdumienia. – Mój Boże... – wykrztusiła wreszcie. – Stan wie, kto to zrobił?

– Nie. Nie rozpoznał mordercy, ale pamięta twarz...

Laura opadła na łóżko. Oto w jej ręce trafił kolejny fragment układanki i on też do niczego nie pasował. Morderstwo. Sinclair Baskin. David. Judy. Trzydzieści lat temu coś się zdarzyło, coś ohydneho i złego, coś, co przetrwało dekady. Prześladowały ją słowa Judy, rozdzierały serce niczym szpony.

Są rzeczy, o których nic nie wiesz. Rzeczy, które zdarzyły się wiele lat temu... czasami przeszłość zachodzi na przyszłość. To się zdarzyło Davidowi...

– Serito? – powiedziała głośno.

– Taaak?

To był jedyny sposób, by znaleźć odpowiedź na pytanie o zdarzenia z przeszłości i o to, co zdarzyło się Davidowi.

– Mogę mieć do ciebie prośbę?

– Jasne.

– Nie mów rodzinie. Ani lekarzowi.

– Nie powiem.

– Kup mi bilet na samolot do Chicago.



Mark wpadł do środka zdyszany. Z trudem łapał oddech, jego pierś wznosiła się i opadała nierówno.

– Co ci się stało, do cholery? – spytał go T.C. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Daj mi coś do picia. Może być wódka...

– Przecież nie pijesz.

Mark opadł na krzesło.

– Dzisiaj piję.

T.C. rzucił mu puszkę budweisera. Dla siebie wziął drugą.

– Nic więcej nie mam. Jezu, przecież masz popalone ubranie! Mark wypił pół puszki jednym haustem.

– Powiesz mi, co się stało? – zirytował się jego przyjaciel. Seidman wstał. Ścisnął puszkę tak mocno, że niemal ją zmiażdżył. Mówił szybko, chwilami ciszej, chwilami trochę głośniej.

– Podjechałem do Judy o dziewiętnastej, tak jak się z nią umówiłem. Zaparkowałem gdzieś poza kampusem i przeszedłem prawie dwa kilometry, nim znalazłem jej dom. A potem...

– Co potem?

Mark przełknął z wysiłkiem.

– Podjechała taksówka i wysiadła z niej Laura.

– O cholera!

– Schowałem się za drzewem. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, na jaki pomysł wpadła jej ciotka. Musiała uznać...

– ...że kiedy znajdziesz się sam na sam z Laurą, posypią się iskry – skończył za niego T.C.

Mark roześmiał się, ale w jego śmiechu nie było wesołości.

– Coś cię rozbawiło?

– O zabawie nie ma raczej mowy. Najwyżej o ironii.

– Co?

– Zaraz się dowiesz. W każdym razie siedzę za tym drzewem, przyglądam się Laurze...

Mark przerwał, wrócił pamięcią do niedawnych zdarzeń. Laura. Pożerał ją wzrokiem, każdy fragment ciała; pożądał go z siłą tak wielką, że mógłby umrzeć. Sam jej widok, ta piękna, zaczerwieniona od mrozu twarz, sposób, w jaki swobodnie szła ścieżką, sprawiły, że ponownie zdał sobie sprawę, jaką straszną stratę poniósł.

– Mark?

– Przepraszam – powiedział cicho. Odetchnął głęboko i kontynuował: – No więc

widziałem, jak Laura puka do drzwi i czeka. Nikt jej nie otworzył. Zawołała Judy. Nadal nic. Poruszyła klamką i drzwi się otworzyły. Weszła do środka.

– A ty co zrobiłeś?

Mark uciekł ze wzrokiem.

– Tylko stałem jak wrośnięty w ziemię. Nie wiem dlaczego, przecież powinienem odwrócić się i odejść. Nie mogłem. Stałem tak i stałem, pewnie śniąc na jawie, aż zobaczyłem dym.

– Dym?

– Dom zaczął się palić.

– Co?

Mark skinął głową, jakby dla potwierdzenia prawdziwości własnych słów.

– Zobaczyłem, że przez szczeliny w drzwiach i oknach wydobywa się dym. Od wejścia Laury minęło pięć minut, nie więcej.

– Co zrobiłeś?

– Wbiegłem do domu. Straszny widok, niewiarygodny. Płomień pełzał już po ścianach.

– Jezu!

– Myślałem tylko o Laurze. Jak papuga powtarzałem sobie, że jest gdzieś tu uwięziona, uwięziona w tym piekle, wśród śmiercionośnych płomieni. Nic innego nie miało znaczenia. Dziwne, ale ogień stał się dla mnie rzeczą drugorzędną, zaledwie problemem, który trzeba rozwiązać. Zacząłem szukać Laury po omacku, z rozpaczliwą nadzieją, że jeszcze żyje.

– Tylko mi nie mów.

Mark pokręcił głową.

– Znalazłem ją i wyciągnąłem. Ogień jeszcze do niej nie dotarł. Straciła przytomność, więc zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście i zostałem przy niej, póki nie usłyszałem syren. Później zadzwoniłem do szpitala. Nic jej nie będzie.

– Dzięki Bogu.

Mark przełknął ślinę z wysiłkiem. Kiedy podniósł Laurę, wziął ją w ramiona, pragnął ją tak trzymać w nieskończoność, bronić jak zawsze i powtarzać, że wszystko będzie w porządku. W jego oczach rozbłysły łzy, powstrzymał je w ostatniej chwili.

– Tego samego – rzekł powoli, ważąc słowa – nie da się powiedzieć o Judy. Judy nie żyje.

T.C. pokręcił głową.

– Bardzo mi przykro, Mark. Wiem, że wiele dla ciebie znaczyła.

– Pożary nie wybuchają tak szybko, prawda, T.C.? To było podpalenie. Ktoś zabił Judy Simmons. Z premedytacją.

– Tego nie możesz być pewny.

– Chcę znaleźć podpalacza, T.C. Chcę dorwać sukinsyna. Przebić go kołkiem.

– Sukinsyna albo sukincórę.

– Co?

– Pomyśl choć przez sekundę. Kto chciałby uciszyć Judy?

– Nie sugerujesz chyba...

T.C. wzruszył ramionami.

– Pamiętasz, co Judy powiedziała ci przez telefon?

Mark zastanawiał się przez chwilę.

– Mówiła trochę bez sensu. Coś o tym, że nie wiem, co robię, i że nie znam całej historii.

T.C. jeszcze raz wzruszył ramionami.

– I może rzeczywiście jej nie znamy?



– Pani Klenke za chwilę do pani przyjedzie.

– Dziękuję.

Laura spróbowała usiąść wygodniej. Oparzenia tak bolały, że przy każdym ruchu miała wrażenie, jakby ktoś pocierał je papierem ściernym. W szpitalu dali jej środki przeciwbólowe. Nie miała pojęcia jak mocne, ale kodeina, którą kupiła po drodze w aptecce, okazała się nieskutecznym substytutem.

Spojrzała na zegarek. Przez cały wieczór przekonywała Seritę i Glorię, by pomogły jej dotrzeć do Chicago. W końcu zgodziły się niechętnie, prawdopodobnie ze strachu, że i tak się tam wybierze niezależnie od tego, jaką decyzję podejmą.

Najprawdopodobniej miały rację.

T.C., cwany sukinsyn, na swój specyficzny sposób byłby z niej dumny. Cały poranek spędziła w łóżku, bawiąc się w detektywa. Zadzwoiła do Brinlen College, skontaktowała się z kilkoma wykładowcami i pracownikami, wypytała ich o Sinclaira Baskina. Niewiele się dowiedziała, bo i niewielu pracowało tam ludzi pamiętających 1960 rok.

Ale wystarczyła jedna owocna rozmowa.

– Rozmawiała pani z panią Klenke? – zapytał ją starszy profesor.

– Nie. A kto to taki?

– No... wtedy nazywała się Engle. Była osobistą sekretarką

Sinclaira Baskina, a jeśli wierzyć plotkom, akcent należałoby położyć na słowie „osobistą”. Rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć?

Dziekanat nadal miał w aktach jej adres i numer telefonu. Laura zadzwoniła i zdołała przekonać panią Dianę Klenke do spotkania i chwili rozmowy. Teraz, po upływie zaledwie kilku godzin, siedziała w jej saloniku.

– Pani Baskin?

Spojrzała na wchodzącą do pokoju kobietę. Według informacji w roku 1960 Diana Klenke miała dwadzieścia siedem lat, więc teraz powinna mieć pięćdziesiąt siedem, ale ciągle robiła wielkie wrażenie. Włosy jej posiwiały, ale rysy twarzy i uśmiech czyniły ją po prostu olśniewającą. Była wysoka, szczupła i bardzo elegancka w czarnym kostiumie Svengali. Jej ruchy charakteryzował dyskretny wdzięk.

– Mam na imię Laura.

– A ja Diana, Lauro.

Diana przyglądała jej się z łagodnym uśmiechem.

– Mój Boże, jesteś taka śliczna. Zdjęcia nie oddają ci sprawiedliwości.

– Dziękuję – powiedziała Laura. Bardzo chciała odpowiedzieć komplementem, ale w przeszłości, ilekroć próbowała, komplementowani uważali, że brzmi to fałszywie i że traktuje ich z góry.

– Masz ochotę się czegoś napić?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno?

– Tak.

Diana Klenke usiadła na obitym pluszem krześle w pięknym, obszernym pokoju, nienagannie sprzątniętym i utrzymywanym przez liczną służbę, co rzucało się w oczy. Wiktoriańska rezydencja mogła mieć i dwadzieścia pięć takich pokoi, każdy urządzonego w sposób zawstydzający Wersal.

– Jak tam podróż?

– W porządku. Masz piękny dom, Diano.

Gospodyni lekko skinęła głową.

– Mój mąż go kochał. To była jego duma i radość. Zginął dziesięć lat temu w wypadku samochodowym, gdy wracał z lotniska. Jak się zapewne domyślasz, był bardzo bogaty.

– Przerwała, roześmiała się. – A teraz ja jestem bardzo bogatą wdową.

– Wyrazy współczucia.

– Nie ma powodu mi współczuć. Nigdy nie byliśmy sobie bardzo bliscy. Poza tym rządzę rynkiem starszych mężczyzn. Chcą tylko moich pieniędzy.

– Z pewnością to nieprawda.

Diana wzruszyła ramionami.

– Nie ma o czym mówić. Co mogę dla ciebie zrobić, Lauro? Przez telefon wspomniałaś coś o Sinclairze?

– Tak.

– Czytałam o tragicznej śmierci twojego męża. Smutne, był taki młody. Czasami wydaje mi się, że nad mężczyznami z tej rodziny ciąży jakaś klątwa.

– Rzeczywiście, może to tak wyglądać – przyznała Laura.

– Więc... w czym mogę ci pomóc?

Noga Laury rozpoczęła swój taniec. Nie warto było nawet próbować jej powstrzymać. Odczekałaby chwilę i zaczęła od nowa. Laura pochyliła się, skrzywiła z bólu i sięgnęła do torebki.

– Mogłabyś przyjrzeć się tej fotografii? – spytała.

Diana Klenke założyła okulary, które, jakimś cudem, tylko dodały jej urody; wydawała się w nich dostojniejsza i piękniejsza niż bez nich. Była sekretarka Sinclaira Baskina wzięła teraz jego zdjęcie, przyglądała mu się przez dobrą minutę, po czym powiedziała:

– Tak, to on. A ta kobieta to Judy...

– Judy Simmons – odpowiedziała jej Laura.

– Właśnie. Rzeczywiście, tak się nazywała. Tę pamiętam aż za dobrze.

– Tę?

Diana skinęła głową.

– Sinclair Baskin był kobieciarzem, Lauro.

– Miewał przygody?

To pytanie wywołało wybuch wesołego śmiechu.

– Dziesiątki przygód. Blondynka, brunetka, ruda... nie robiło mu to żadnej różnicy, jeśli tylko kobieta była piękna. Zmieniał je jak rękawiczki, jednego dnia ta, następnego inna. Bo widzisz, był przystojnym mężczyzną i umiał sobą zainteresować. Uwodził studentki, koleżanki nauczycielki, kobiety zamężne. Pamiętam czasy, kiedy sypiał z żoną dziekana wydziału. – Diana umilkła, uśmiechnęła się. – Sypiał nawet z własną sekretarką.

Laura nie bardzo wiedziała, jak dalej prowadzić rozmowę.

– Mówisz, że miał dziesiątki kobiet?

– Co najmniej.

– Pamiętasz je? Przynajmniej niektóre?

– Prawie żadnej z nich nie pamiętam.

– Ale Judy Simmons, owszem.

– To prawda.

– Dlaczego?

– Była przypadkiem niezwykłym. Po pierwsze, nie pasowała do jego typu.

– Dlaczego?

– Popatrz na zdjęcie. Nie zrozum mnie źle, to ładna dziewczyna, ale Sinclaira nie interesowały te po prostu ładne. Liczyły się jedynie te piękne, wspaniałe. W końcu szukał tylko przygody, był żonaty. Liczyła się wyłącznie uroda.

– Rozumiem.

– Chodzi mi o to, że byłoby całkiem normalne, gdyby przespał się z nią i na tym poprzestał.

– I dlatego ją pamiętasz?

Diana Klenke pokręciła głową.

– Nie tylko dlatego. Głównie chodzi o to, że ich związek trwał długo. Byli razem przeszło dwa miesiące. Po raz pierwszy widziałam wówczas kobietę, na której naprawdę mu zależało. Biorąc pod uwagę, jaki był, można powiedzieć, że Sinclair Baskin zakochał się w niej do szaleństwa. Rozwahał nawet możliwość rozwodu, żeby ożenić się z Judy. Nie oglądał się już za innymi kobietami. Jak na niego było to bardzo niezwykle zachowanie.

– I co się stało?

– Stało?

– Co się między nimi popsulo?

Diana wstała, podeszła do okna, odsunęła zasłony. Widok na ogród z tyłu posiadłości był równie piękny jak ona sama: posągi, rośliny, fontanny. Laura dostrzegła także basen, kort tenisowy i altanę. Diana stała, oddychając głęboko, jakby piękno, które obserwowała, czyniło powietrze bardziej aromatycznym i świeżym.

– Sinclair zakończył tę znajomość.

– Tak po prostu? – zdziwiła się Laura. – Kochał ją do szaleństwa, ale odepchnął bez wahania?

Diana skinęła głową, nie odwracając się. Gałąź drzewa rzucała cień na jej twarz.

– Jednego dnia była to wielka miłość, następnego... nie było już nic.

– Czy można to uznać za normalne? To znaczy, czy Sinclair Baskin zawsze tak postępował?

– Mówiłam ci już, że Judy Simmons była dla niego kimś wyjątkowym. Zaskoczył mnie... na początku.

– Ale dlaczego z nią zerwał? Chodziło o rodzinę? O dzieci?

Diana Klenke nadal wyglądała przez okno.

– Nie chodziło ani o rodzinę, ani o dzieci.

– Więc o co?

Gospodyni skrzywiła usta w niewyraźnym uśmiechu.

– Mój mąż uwielbiał nasze ogrody. Kiedy była ładna pogoda, wracał wcześniej do domu i brał się do pracy. Mówił, że kocha jej owoce i że ogrodnictwo ma wielkie walory terapeutyczne. Osobiście nienawidzę ogrodnictwa, ale uwielbiam zadbany ogród. Nie wiem jak ty?

– Rzeczywiście, piękny widok – przyznała Laura.

– Przepraszam. Pytałaś o Sinclaira i Judy?

– Tak. O to, jak skończył się ten romans.

Diana przymknęła szare oczy, po czym otworzyła je, powoli odwróciła się od okna i spojrzała wprost na gościa.

– Jego słabość. Związek z Judy zakończył się przez jego słabość.

– Jaką słabość?

– Piękno, Lauro. Znów oślepiło go piękno.

– Chodzi ci o to, że znalazł sobie inną kobietę?

Uśmiech Diany mroził krew w żyłach.

– Nie tak po prostu „inną kobietę”. Jak już wspomniałam, Judy była całkiem atrakcyjna, ale ta dziewczyna...

– Tak?

– Jej uroda wydawała się nieprawdopodobna, jakby była dziełem bogów. Coś tak niezwykłego zawróci w głowie każdemu mężczyźnie. Przemówi wprost do jego duszy. I tak się właśnie stało. Piękno rozdzierało mu serce, aż ból stał się nie do zniesienia. Mój Boże, ona była taka... prawie taka...

Diana zamilkła tak nagle, że Laura aż podskoczyła. Twarz miała upiornie bladą.

– Co? – krzyknęła. – O co ci chodzi? Powiedz!

Gospodyni drżała na całym ciele, oczy miała szeroko otwarte, nieprzytomne.

– Matka Boska.

– O czym ty mówisz? O czym?

– ...prawie tak olśniewająca jak ty.

Laura spojrzała na nią spod przymkniętych powiek.

– Nie rozumiem.

– Kobieta, która go jej ukradła... ta kobieta wyglądała jak ty, Lauro. Jesteś niemal jej lustrzanym odbiciem.

Twarz Laury znieruchomiała. Dziwna myśl, obrzydliwa, niewybaczalna,

przemknęła jej przez głowę, ugodziła w serce jak ostrze noża.

– Tak bardzo była do mnie podobna?

Pani Klenke skinęła głową.

Nie myśląc, nie zastanawiając się nad tym, co robi, Laura sięgnęła do torebki. Umysł i ciało miała jak sparaliżowane. Wyjęła portfel, przejrzała jego zawartość. Drżącymi palcami wyciągnęła kolejne zdjęcie.

– Wiem, że minęło trzydzieści lat – powiedziała martwym głosem – ale czy to mogła być... ona?

Diana Klenke znów założyła okulary. Przyglądała się zdjęciu dłuższą chwilę.

– Tak – powiedziała zdecydowanie.

– Nie możesz być tego taka pewna! Minęło...

– Jestem pewna – przerwała jej Diana. – Takich kobiet się nie zapomina.

Laura odebrała jej zdjęcie. Czowała, że musi się bronić. Przytuliła fotografię do piersi, jakby była ona czymś więcej niż kawałkiem papieru z uwiecznionym na nim obrazem. Po kilku chwilach podniosła ją jednak do oczu. Patrzyła na nią, jakby pierwszy raz...

...jakby pierwszy raz oglądała swą matkę.

– Mary! – powiedziała nagle Diana. – Na imię miała Mary.

Laura czuła się tak bezradna i oszołomiona jak pokonany bokser niepewny nawet tego, z której strony padnie ostatni, nokautujący cios.

– Jest jeszcze jedna rzecz – usłyszała.

– Tak? – spytała niemal niesłyszalnie.

– Była ostatnią osobą, która widziała Sinclaira żywego w jego gabinecie. Po jej wizycie popełnił samobójstwo.



Graham doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że będzie musiał zadzwonić. Nie miał żadnego powodu, by odkładać to na później. Poza tym, szczerze mówiąc, nie miał też pojęcia, co działo się w pokoju 607, który odwiedził David. Być może teściowa zrobiła mu awanturę? Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Jego mamusia na przykład uwielbiała wtykać nos w nie swoje sprawy. Najprawdopodobniej nie przeleciałaby przez Pacyfik tylko po to, by znów gdzieś wetknąć nos, ale znając ją, nie sposób było wykluczyć i tej możliwości.

Podniósł słuchawkę, wybrał numer Laury. Szeryf Rowe należał do tych, którzy zawsze wszystko odkładają na później. Kunktator od najwcześniejszego dzieciństwa, uwielbiał czekać w nieskończoność ze wszystkim, a już szczególnie z przekazywaniem złych wieści. Nie miało to nic wspólnego z lenistwem, skądże znowu, i oczywiście wiedział, że niczego nie da się odkładać w nieskończoność, ale jeśli się coś odłoży, to może samo zniknie z czasem albo świat się zawali, albo zmieni się rzeczywistość?

I dlatego poczuł wielką ulgę, kiedy odezwała się automatyczna sekretarka.

Zostawił wiadomość, prosząc o telefon, i wypił kolejny łyżeczek whisky.



Richard Corsel uwielbiał oglądać mecze hokeja. Gracze jechali, by całą siłą na siebie wpadać.

Co za sport!

Naomi nie podzielała jego fascynacji, a poza tym wcale nie podobało jej się, że bliźniacy odziedziczyli ją po ojcu.

– Równie dobrze mógłbyś zachęcać ich do wolnej amerykanki – protestowała.

– Ależ, kochanie, nie jest aż tak źle – odpowiadał.

– Nie chcę, żeby moje dzieci grały w hokeja!

On sam wcale się nie bał, ale też nigdy nie grał i nawet nie umiał jeździć na łyżwach. Oglądał mecze, bo hokej był widowiskowy. Zderzenia, ciosy i cała ta walka wciągały go do tego stopnia, że zapominał o banku, rachunkach i nawet własnym kredycie hipotecznym.

Jego ulubioną stacją była TV 38, transmitująca mecze Boston Bruins, chociaż telewizja kablowa powoli przejmowała prawa transmisji. W końcu pewnie będzie się musiał złamać, zamówić SportsChannel, choć myśl o płaceniu za oglądanie hokeja wydawała mu się obrzydliwa. Było w tym coś ze świętokradztwa.

Włączył telewizor i usiadł wygodnie na starym fotelu z podnóżkiem. Roger i Peter przycupnęli przed nim, na dywanie, jak on śledząc wydarzenia dziejące się na lodowej tafli i od czasu do czasu odgrywając co lepsze akcje. Bruins prowadzili z Oilersami siedem do pięciu. Dla Richarda powinien to być czas całkowitego oderwania się od rzeczywistości, umysłowego odpoczynku, ale nie. Nieustannie powracał myślą do krótkiej informacji z gazety. Próbował wygnać ją z głowy, zastąpić obrazem żony, dzieci...

Ale oczami wyobraźni widział Laurę. Laura. Pożar w Colgate College.

Oczywiście w gazecie w żaden sposób nie sugerowano, by miał on coś wspólnego z zaginionymi pieniędzmi. Nic w podanych informacjach nie świadczyło o tym, że psychopata, który przyłożył mu nóż do gardła, zdecydował się spalić Laurę i jej ciotkę. Nic a nic. Napisano tylko, że w sprawie pożaru „toczy się śledztwo”. To przecież nie powód, by wyciągać pochopne wnioski i wskazywać kogoś palcem.

– Bramka! – krzyknął komentator.

– Bramka! – powtórzyły bliźniaki, równie głośno.

Bruins powiększyli przewagę. Bliźniaki tańczyły z radości.

– Nieprawdopodobny strzał, tato!

– Wspaniały, Pete.

– W tym sezonie też zabierzesz nas na mecz? Może przeciw Rangersonom?

– Postaram się, obiecuję.

Chłopcy wrócili do kibicowania, pokrzykiwania i pohukiwania, ich ojciec wrócił myślami do Laury Baskin. Załóżmy na chwilę, że pożar nie był przypadkowy, że w jakiś sposób wiązał się z zaginionymi pieniędzmi. Przypomniał sobie słowa jej ojca, który go wczoraj odwiedził.

„Podejrzewam, że transfer, o którym mówimy, może kryć pewne tajemnice. Może być związany z pewnymi sprawami, z czymś bardzo niebezpiecznym, mogącym wyrządzić mojej córce poważną krzywdę”.



Żałował, że nie może po prostu dać sobie z tym spokoju, lecz na to nie pozwalało mu sumienie. Dlaczego dopuścił, by Phillipe Gaillard z Bank of Geneva zdradził mu, do kogo trafiły fundusze? Dlaczego zdecydował się go wysłuchać?

Ciekawość nie musi być pierwszym krokiem do piekła, Richie. Może być ostatnim.

Gdyby nie usłyszał tego cholernego nazwiska, mógłby spokojnie spać, jeść, a nawet oglądać mecz Bruinsów. Zachowałyby czyste sumienie. Teraz musiał podjąć decyzję. Ma trzymać głębę na kłódkę czy może podać Laurze nazwisko? Kiedy wymienił je Phillipe, nic dla niego nie znaczyło, ale to zmieniło się po kilku tygodniach i, o rany, jak zmieniło! Teraz znał to nazwisko doskonale. W Bostonie znali je już wszyscy. Poza tym cała ta sytuacja stała się więcej niż niebezpieczna. Stała się wręcz niesamowita.

Richard Corsel doznał wrażenia, że przez pokój powiał mroźny wiatr, jakby to on stał na lodzie, nie zawodnicy. Co robić? Co, do cholery, powinien teraz zrobić? Milczeć, siedzieć jak mysz pod miotłą czy wyznać szokującą prawdę, w którą nawet on nie potrafił uwierzyć? Ma pilnować własnych spraw czy powiedzieć jej, że człowiek, który ukradł pieniądze Davida, pozbawił go także jego pozycji, średniej zdobytych punktów w meczu i przezwiska, że tym człowiekiem jest nowa, sensacyjna gwiazda Celtów?

Mark Seidman.



Serita poprowadziła Laurę do windy. Nie rozmawiały. Prawdę mówiąc, Laura niemal nie otwierała ust od chwili, gdy spotkała się z przyjaciółką na lotnisku. Serita widziała ją w różnych nastrojach: wesołą, smutną, zwariowaną, ostrożną, poważną, niepoważną, widziała ją gniewną i zakochaną, ale nigdy taką. Nigdy nie widziała jej tak biernej, patrzącej przed siebie szklanym wzrokiem. Przyglądała się światu, który nagle postanowił pozbawić ją zdrowych zmysłów, i przez całą drogę do domu zadawała tylko jedno pytanie:

– Czy Estelle dzwoniła do ciebie?

– Twoja sekretarka? Dlaczego miałyby do mnie dzwonić?

– Przed śmiercią – wyjaśniła Laura głosem bez wyrazu – Judy dała mi fotografię, którą ci pokazałam, i cztery klucze. Wiem, do czego są trzy z nich. Estelle jest w tej chwili w Colgate i próbuje dowiedzieć się czegoś o czwartym. Powiedziałam, że jeśli jej się uda, ma zadzwonić do ciebie.

– Przykro mi, ale nie dzwoniła.

Przez resztę drogi w samochodzie słychać było wyłącznie radio.

Winda zatrzymała się na siedemnastym piętrze. Jej piękne pasażerki wyszły na korytarz. Serita wzięła od Laury klucz, otworzyła drzwi, wprowadziła ją do mrocznego mieszkania, w którym jedynym źródłem światła było migające czerwone światelko oznaczające, że na automatycznej sekretarce pozostawiono jakąś wiadomość. Serita pstryknęła wyłącznikiem na ścianie, Laura opadła na kanapę.

– Dobrze się czujesz? – spytała ją przyjaciółka. – Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić do szpitala?

– Wszystko w porządku.

– Przecież widzę, jak w porządku. Krzywiłaś się przez całą drogę, a kiedy samochód podskakiwał, tylko czekałam, aż zaczniesz wrzeszczeć.

– Nigdy nie czułam się lepiej.

– Aha. Proponuję, żebyś przestała łąć i powiedziała mi, co robiłaś w Chicago.

– To zbyt nierealne. Nie uwierzysz.

– Zamieniam się w słuch. Czego się dowiedziałaś? Twoja ciotka i ojciec Davida mieli się ku sobie?

– Na to wygląda.

– A on był żonaty?

– No właśnie.

– Nieładnie, nieładnie. – Serita zatarła ręce. – No, mów, dziewczyno, przecież wiesz, jak uwielbiam soczyste plotki.

Laura doskonale wiedziała, że jej przyjaciółka uwielbia plotki, ale wiedziała też, że nie zawiedzie jej zaufania.

– Było gorzej, znacznie gorzej – powiedziała. – Doszło do tego, że Sinclair Baskin rozważał rozwód.

– Soczyste przez duże „S”. No, mów, co się stało ze szczęśliwą parą?

– Rzucił ją dla innej kobiety.

– Do diabła z nim. – Zawiedziona Serita potrząsnęła głową. – Z mężczyzn potrafią być cholerne świnię.

– Tą inną kobietą była moja matka.

Serita otworzyła ze zdumienia usta.

– Chrzanisz.

– Nie.

– Twoja matka ukradła faceta siostrze?

– Jednocześnie zdradzając ojca. Fajne, nie?

– No, niech mnie... Ale co to właściwie znaczy, Lauro? Co to może mieć wspólnego z pożarem?

Laura wstała. Wzruszyła bezradnie ramionami, podeszła do automatycznej sekretarki, wcisnęła przycisk przewijania. Taśma pomknęła wstecz, zgrzytając i popiskując jak robot kuchenny.

– Nadal nie mam pojęcia – przyznała. – Im więcej dowiaduję się o przeszłości, tym mniej widzę jej związków z teraźniejszością.

Taśma się zatrzymała.

– To co teraz robimy? – spytała Serita.

Rozmowę przerwał im głośny pisk. Z głośnika huknął basowy głos szeryfa Rowe'a.

– Mówi Graham. Kochana, zadzwoń do mnie przy najbliższej okazji, dobrze? Chyba dowiedziałem się, kogo David odwiedził w Pacific International. Będę dostępny całą noc pod domowym numerem.

Ten głos, taki smutny, taki zrezygowany. Dlaczego? Czego dowiedział się Graham? Laura spojrzała na zegarek, podniosła słuchawkę.

– Teraz dzwonimy do Australii.



Stan drgnął i obudził się. Nawiedził go kolejny koszmar, wypełniony złowrogimi upiorami, znikającymi z oczu i pamięci, gdy naprawdę się budził. Na jawie już tylko bicie serca, krótki oddech i smak przerażenia w ustach przypominały mu, że jego nocny odpoczynek znów zakłóciły demony przeszłości.

Narzucił szlafrok, przeszedł do kuchni. Dziś wieczorem miało dojść do wielkiego spotkania, dziś miał zobaczyć zabójcę ojca zaledwie po raz trzeci. Po raz pierwszy widział go, gdy miał dziesięć lat, po raz drugi w Boston Garden. A teraz, za trzecim razem, miał też otrzymać pierwszą ratę wypłaty. Sto tysięcy dolarów. Naprawdę wielkie pieniądze, dzięki nim przez długi czas będzie mógł...

No właśnie. Co będzie mógł?

Stan zatrzymał się u stóp schodów. Spojrzał na Głorię. Wyjmowała naczynia ze zmywarki, zwykle kuchenne porządki, ale on stał nieruchomo, w milczeniu, pożerając ją wzrokiem. Delikatne, piękne ciało okryte jedwabną bluzką, miękki, łagodny uśmiech, skupienie, w jakim wykonywała tę drobną, nieważną pracę... to go zmusiło do myślenia. Po co mu właściwie ta forsa? Przestał grać. Jest niegłupim facetem, może pójść do pracy, takiej prawdziwej pracy, raz na zawsze przestać uciekać. Patrząc na Głorię, był pewien, że może tego dokonać bez problemu.

Ale kiedy nie było jej w pobliżu, kiedy zostawał sam, czuł to, co pan K nazywał „swędzeniem”. Wówczas rozumiał, że marzenia o tym, by się jakoś ustabilizować, są nierealne, że zwykłe, normalne życie nie jest dla niego. Po co to komu? Co w nim takiego dobrego? Gloria to przecież tylko kobieta, jak one wszystkie sprytna intrygantka, zdradziecka suka, która w końcu i tak go wystawi do wiatru. Może jest w tym nieco bardziej subtelna, może jej trucizna działa nieco łagodniej, ale nie oszukujmy się, kobieta zawsze pozostanie kobietą.

Sto tysięcy to przyzwoita forsa na przetrwanie. Kiedy skończy z Głorią, będzie sobie żył całkiem komfortowo w oczekiwaniu na pojawienie się kolejnej okazji. Będzie żył po swojemu. Będzie wolny.

Ale w tej chwili przyglądał się jej, a piękno, na które patrzył, rozpraszało podejrzenia i wątpliwości. Nie tylko pożądał jej, ale także tęsknił za tym, by móc ją przytulić, pocieszyć i – tak! – podniecić do szaleństwa. Kochać się z nią. Coś sprawiło, że ich związek był... kompletny. Tak, kompletny. Tylko tym słowem potrafił opisać to, co czuł. Gloria miała nad nim dziwną władzę. Do czego to może prowadzić?

Odwrociła się, zobaczyła, że stoi w drzwiach. Rozpromieniła się; Boże, jak on kochał tę radość pojawiającą się na jej twarzy, gdy na niego spoglądała.

– Cześć – przywitała go.

On też się uśmiechnął

– Cześć.

– Długo tak stoisz?

– Parę minut. Chciałem tylko na ciebie popatrzeć.

Gloria się zarumieniła.

– Odpocząłeś?

- Tak, zdrzemnąłem się.
- Musisz być strasznie głodny. Zjesz coś?
- Nie, dziękuję. Lepiej się czujesz?
- Chyba tak, ale... nie potrafię uwierzyć, że ciocia Judy nie żyje.

Stan objął Glorię, przytulił ją.

- Wiem. Upłynie trochę czasu, nim przyzwyczaisz się do tej myśli.

Spojrzał nad jej głową na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści. Za godzinę spotka zabójcę ojca w zaułku południowego Bostonu. Stan Baskin sprzeda tam swoje sieroce dzieciństwo za kilka nędznych dolców. Sto tysięcy, taka jest jego cena za pamięć ojca.

Gloria przyglądała mu się z wyraźną troską.

- Nic ci nie jest? – spytała.

Stan przytulił ją jeszcze mocniej.

- Nic – powiedział. – Czuję się wspaniale.



Serita wpatrywała się w twarz Laury. Twarz o skórze mocno naciągniętej na kościach policzkowych i oczach patrzących jednocześnie ze skupieniem i oszołomieniem. Nie widziała nigdy piękniejszej kobiety. W jej urodzie było coś wręcz hipnotycznego, coś, co czasami denerwowało, a niekiedy wręcz przerażało. Takie piękno może być groźne, fatalne w skutkach.

- Chcesz, żebym wyszła z pokoju?

Laura znalazła numer Grahama i zaczęła go wybierać.

– Wolałabym, żebyś została, ale jeśli pójdziesz sobie, póki jeszcze masz szansę, zrozumieniem.

Serita nie ruszyła się z krzesła.

- Pozostanę, dopóki będziesz mnie potrzebowała.

Laurze drżały ręce, ledwie przyciskała klawisze telefonu.

- Jesteś dobrą przyjaciółką – powiedziała.

– Najlepszą. – Serita uśmiechnęła się promiennie. – Opowiedz mi o tym twoim szeryfie. Jest przystojny?

Tym razem Laura zachichotała; taka rozmowa odwracała uwagę od smutnej rzeczywistości.

- Mniej więcej tak przystojny jak grizzly. Facet jak góra!

– No to nie wiem, może się nada? Earl zaczyna mnie nudzić z tym swoim intelektualizmem i wyrefinowaniem.

Laura dostała połączenie, usłyszała pierwszy sygnał.

- Przecież go kochasz i dobrze o tym wiesz.

Serita otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nie zrobiła tego.

- Tak, wiem – przyznała bez entuzjazmu.

Trzeci sygnał. Noga Laury rozpoczęła swój taniec.

- Najwyższy czas, żebyś się do tego przyznała.

Czwarty sygnał. Serita się uśmiechnęła.

- Nie lubię tych wszystkich czułości, wiesz, ale cokolwiek się zdarzy, chcę, żebyś

zapamiętała na zawsze, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nigdy nie miałam lepszej.

Piąty sygnał.

– I nawzajem.

Piąty sygnał był zarazem ostatni. Rozległ się cichy trzask, ktoś podniósł słuchawkę, szorstki głos warknął:

– Tak?

– Graham?

– O, cieszę się, że zadzwoniłaś.

– Właśnie odsłuchiłam twoją wiadomość. Przez parę dni mnie nie było.

– Co się stało? – zaniepokoił się wielkolud.

– Mnóstwo się stało. Robi się coraz dziwniej i dziwniej.

– Dlaczego? O co chodzi?

– Przedwczoraj zadzwoniła do mnie ciotka – rozpoczęła relację Laura. – Twierdziła, że ma mi do powiedzenia coś na temat śmierci Davida. Podobno jest jakoś związana ze zdarzeniami z przeszłości. Nie bardzo potrafię powtórzyć, co mówiła, bo to wszystko wydawało mi się trochę bez sensu. Ale nalegała na osobiste spotkanie.

– Widziałaś się z nią? Co powiedziała?

– Nie. Ktoś podpalił jej dom, akurat kiedy przyjechałam. Ciocia zginęła w płomieniach.

– Słodki Boże, makabra!

– Chcę wiedzieć, co się dzieje, nim znowu coś się komuś stanie. Może powinnam w ogóle dać sobie spokój, żeby nikogo nie narażać, ale po prostu nie mogę. David nie żyje. Chcę... muszę wiedzieć, jak i dlaczego zginął.

– Rozumiem. Na pewno był niezwykłym facetem.

Laura poczuła wilgoć spływających po policzku łez. Płakała po Davidzie... ale także po Judy.

– Tak. Był niezwykły.

Na moment zapadła cisza, którą wreszcie przerwał szeryf.

– Chodzi o to... no... Gina wyciągnęła w końcu te karty paszportowe.

– Zdążyłeś je przejrzeć?

– Tak – przyznał Graham z wyraźnie słyszalnym wahaniem.

– I co? Znalazłeś kartę T.C.?

– Nie. – Szeryf nadal mówił bardzo powoli. – Od razu ci powiem, Lauro, że nie widzę w tym wszystkim żadnego sensu.

Laura z nerwów owijała sznur słuchawki wokół dłoni.

– Może tajemnicza wizyta Davida wszystko wyjaśni? A może ten ktoś, z kim widział się w Pacific International, potrafi wyjaśnić, co zaszło.

– Może – mruknął Rowe bez przekonania.

– Grahamie?

– Tak? – odpowiedział z lekkim opóźnieniem.

– Z kim David spotkał się w hotelu?

– Z twoją matką, Lauro. Tuż przed śmiercią David spotkał się z twoją matką.

Laura wypuściła słuchawkę z ręki. Serita poderwała się na równe nogi.

– Kochanie? Skarbie, co się dzieje?

Laura spojrzała na przyjaciółkę, mrużąc oczy. Myślała.

– Co się stało? Co on ci powiedział?

W ten sposób Laura dowiedziała się, że istnieje tylko jeden sposób, by wyjaśnić wszystko raz na zawsze. Nie spuszczać wzroku z twarzy Serity, powiedziała:

– Muszę porozmawiać z matką. Muszę porozmawiać z nią już, zaraz.

Pora na czwartą śmierć.

Zabójca spojrział na zegarek na desce rozdzielczej samochodu. Miał jeszcze pół godziny, potem spotka się ze Stanem, a potem Stan już nigdy się z nikim nie spotka. Stan umrze. Dołączy do ojca, brata, do Judy Simmons.

... a David? Co z Davidem?

Nie wiem, pomyślał zabójca. Po prostu nie wiem.

Broń czekała w samochodowym schowku. Minęło wiele czasu od chwili, gdy zabójca strzelał po raz ostatni, przykładając lufę do głowy Sinclaira Baskina. Widział, jak po strzale rozpada się na kawałki. Widział, jak krew, fragmenty tkanki i kości pryskają na wszystkie strony.

Takie to było proste. Jedno ściągnięcie spustu i Sinclair Baskin z istoty ludzkiej, która potrafi czuć, marzyć, mieć nadzieję, zmienił się w zwłoki.

Takie proste.

Tak samo będzie ze Stanem Baskinem. Z chodzącym dowodem na to, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Żeby wpaść na pomysł szantażowania zabójcy... i to nie byle jakiego, bo zabójcy własnego ojca! Na to stać tylko najgorsze szumowiny, no bo wystarczy to sobie wyobrazić: Stan potraktował zabójcę ojca jak zyskowne przedsięwzięcie finansowe. Jakiej deprawacji trzeba, by zrobić coś takiego?

W głowie się nie mieści.

Zabójca zaparkował dwie przecznice od zaułka. Czas: dwudziesta dziesięć. Idealnie. Dwadzieścia minut na sprawdzenie okolicy. Czego szuka zabójca? Nie mam pojęcia, ale tak chyba powinno się zrobić, trzeba poznać miejsce przyszłej zbrodni. Na wszelki wypadek. Dzięki temu jeśli coś jest nie tak albo zostało przeoczone, teraz może rzucić się w oczy. Lepiej dmuchać na zimne.

Dłoń otworzyła schowek, sięgnęła do niego, palce zacisnęły się na rękojeści. Dotyk tak potężnego narzędzia uspokajał, zwłaszcza w tej okolicy. Południowy Boston to rejon jakby stworzony do popełnienia zabójstwa. Tu częściej słyszy się wystrzały z broni palnej niż szkolny dzwonek.

Czy to będzie ostatnie zabójstwo? Niestety, nie.

Tylko nie znowu, błagam, nie znowu...

Kiedy zabójca skończy już ze Stanem, jeszcze jedna osoba będzie musiała zginąć, jeszcze jeden chwast zostanie wyrwany z korzeniami.

Otworzyły się drzwi samochodu. Zabójca wysiadł i szybko ruszył w stronę zaułka. Czuł chłód.

Stan wyjechał z parkingu na drogę. Znalezienie miejsca do parkowania w pobliżu mieszkania Glorii było mniej więcej takim cudem jak spotkanie Murzyna na zebraniu Ku-Klux-Klanu. Jakiś kierowca czekał, aż Stan odjedzie. Kiedy wróci, będzie pewnie musiał zjechać do garażu. Dwadzieścia pięć dolców za miejsce, rozbój na prostej drodze. Ale on, Stan, będzie miał wkrótce sto tysięcy dolarów. Już niedługo zdobędzie więcej pieniędzy, niż mu potrzeba, wystarczająco wiele, by nie musieć jeździć w nieskończoność, żeby jakimś cudem zaparkować samochód.

Nie bierz tych pieniędzy...

Ten wkurzający głos w głowie znów zaczął bełkotać nonsensy. Oczywiście, że powinien wziąć pieniądze. Oczywiście, że powinien. Powinien wyciągnąć każdego centa, każdego cencika.

Nie jedź, Stan. Trzymaj się od tego z daleka.

Pokręcił głową. Nie ma mowy. Jasne, szantaż to niebezpieczna gra. Bardzo niebezpieczna. Ale schował do kieszeni nóż sprężynowy, a co ważniejsze, miał do czynienia z amatorem. Nikim kalibru pana Klub choćby podobnego. Nie grał przeciw profesjonalistom, miał do czynienia z przerażonym zajączkim. Nieszkodliwym, przerażonym zajączkim.

Racja, Stan, twardzielu. Nieszkodliwym. Spytaj ojca, jakim nieszkodliwym.

Wrócił pamięcią do dwudziestego dziewiątego maja 1960 roku. Pamiętał wyraz twarzy zabójcy w momencie strzału, nienawiść w jego oczach... Ta twarz mogła się wydawać łagodna i nieszkodliwa, ale on widział ocean gniewu pod jej maską. Widział, kim może stać się normalny, cywilizowany człowiek, jeśli wywrze się na niego zbyt wielką presję.

Tak naprawdę wcale nie chcesz tego robić, Stan. Nie chcesz pieniędzy zabójcy własnego ojca...

W takim razie co właściwie powinien zrobić? Zapomnieć, że kiedykolwiek widział zabójcę? Szukać zemsty? Zawiadomić policję? Odejść? Co właściwie powinien zrobić?

Stan skoncentrował się i wysiłkiem woli uciszył głosy. Pieniądze. Masa forsy. Po to teraz jechał, po masę forsy, i do diabła z rozważaniami o moralności, bo kim on jest, przecież nie świętym. Był kanciarzem, bo nie słuchał irracjonalnych głosów w głowie. Nie dopuszczał, by wymknęła mu się łatwa forsa.

Skręcił w lewo, pojechał do południowego Bostonu. Widok w lusterku wstecznym go nie obchodził. A gdyby spojrzął w nie choć raz, może zobaczyłby jadący za nim znajomy czerwony samochód.



Gloria trzymała się jakieś pięćdziesiąt metrów za autem Stana. Nie była detektywem, nie miała pojęcia, jakie zasady obowiązują przy śledzeniu pojazdu, tyle że oglądała takie sceny w telewizji i w kinie. W dodatku nie знаła tej części Bostonu. Nie miała pojęcia, dokąd jedzie Stan. Co on kombinuje?

Śledzenie kochanego mężczyzny nie było czymś, w czym miałyby praktykę, w rzeczywistości robiła to po raz pierwszy i bała się. Ale Stan miał kłopoty, i to



poważne. Wyczuwała to całą sobą. Drżała, a doskonale znana tęsknota przemawiała do niej jak najlepszy przyjaciel.

No, Glorio, mówiła, weź trochę i będziesz wolna. Odrobina koki jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Potrafisz to kontrolować. No już, w tej okolicy znajdziesz coś bez problemu i od razu lepiej się poczujesz. Wystarczy zatrzymać się przy tym parku.

Niemal czuła, jak dłonie podporządkowują się głosowi, skręcając kierownicę. Udało jej się odzyskać nad nimi kontrolę. Większość ludzi uważa, że narkomania to choroba, z której można się wyleczyć. Nic bardziej mylnego. Gloria przerobiła już bolesną lekcję: nigdy nie jest się wyleczonym. Możesz być pewien, że wszystko jest w porządku, dzień, tydzień, nawet miesiąc, ale w końcu coś zawsze się zdarza. Coś ci się pieprzy w życiu i pozostaje tylko samotność. Wówczas uderza ukryty w tobie narkoman. Nie wtedy, kiedy czujesz się silny i jesteś gotów stawić mu czoło, ale kiedy nie możesz się skutecznie bronić. Narkotyki, mówi, to twój jedyny prawdziwy przyjaciel. Są do twojej dyspozycji wtedy, kiedy ich potrzebujesz. Nigdy cię nie zawiodą, nigdy nie rozczarują. Sprawiają, że dobrze się poczujesz, że zapomnisz o całym świecie.

Tuż przed nią światło zmieniło się na żółte. Gloria wcisnęła gaz; chciała zdążyć przed czerwonym, inaczej straciłaby Stana z oczu. Z każdym przejechanym kilometrem rosło gnębiące ją przez cały dzień poczucie, że Stan jest w niebezpieczeństwie. Musiała trzymać się blisko niego.

Przemknęła przez skrzyżowanie. Nadal zachowywała bezpieczną odległość od śledzonego samochodu. Dlaczego tak się bała? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, ale przez cały dzień dziwnie się zachowywał, był niespokojny, a jednocześnie zamyślony. Coś go martwiło. Nie, więcej, coś go przerażało.

Och, Stan, coś ty znowu wymyślił?

Czasami wpadał na takie głupie pomysły. Pod wieloma względami był znacznie mniej pewny siebie od niej. Żył w przekonaniu, że jeśli chce coś osiągnąć, zyskać sympatię i przyjaciół, musi zdradzać i oszukiwać. Dla niego wszystko było szwindlem, kantem. Nawet uczucia. Miłość uważał za narzędzie, sposób zyskania nad kimś kontroli lub oddania się komuś pod kontrolę. Ale jednocześnie uczył się, zaczynał ufać, zaczynał czuć. Gloria umiała to rozpoznać. Przebyli długą drogę od dnia, gdy w Deerfield Inn Stan wyłudził od niej sto tysięcy.

Skręciła w prawo. Słońce zaszło i chociaż Gloria nastawiła ogrzewanie na maksimum, odczuwała chłód nocnego powietrza. Tak, wiedziała o przedstawieniu, które urządzili dla niej Stan i pan K. Nie od razu się zorientowała, najpierw rzeczywiście przeraziła się i dała oszukać, ale kiedy stwierdziła, że Stan nie odniósł poważniejszych obrażeń i nie ma na ciele nawet skaleczeń, zaczęła coś podejrzewać, a wieczorem, gdy sprzątała w łazience, znalazła w śmieciach rozgryzione kapsułki z krwią. Nie trzeba geniusza, by wszystko sobie poukładać: fałszywa krew oznaczała fałszywe lanie.

Pierwszą jej myślą było kontratakować, skończyć z nim, wyrzucić go z życia. Ale coś ją powstrzymało. Choć może nie zasługiwał na nic lepszego, ale przecież wyrzucali go z życia wszyscy, nawet najbliżsi. Może i była naiwna, lecz zastanawiała

się, dlaczego Stan robi wszystko, by siebie zniszczyć, marnuje każdą szansę na osiągnięcie prawdziwego szczęścia. Nie dowiedziała się tego, ale zdawała sobie sprawę, że potrzebuje pomocy.

A ona go kocha, niech jej Bóg pomoże.

Gloria postanowiła więc ani słowem nie wspominać o pieniądzach. Po prostu będzie go kochała najlepiej, jak potrafi. I okazało się, że to działa. Fałszywy wdzięk opadał warstwa po warstwie, ujawniając prawdziwego Stana. Ten udawany nadal tam był, wciąż silny, ale jego władza powoli słabła.

A teraz jego samochód skręcił w jednokierunkową ulicę i zatrzymał się przy krawężniku. Gloria utrzymała odległość. Okolica wyglądała jak futurystyczne pole bitwy. Latarnie nie świeciły, nie było tu innych samochodów oprócz wraków. Ulice i chodniki pokryte były okruchami rozbitych pustaków i szkła. Powybijane okna pozabijano butwiejącymi deskami.

Co Stan ma tu do roboty?

Gloria widziała, jak otwierają się drzwi od strony kierowcy. Stan wysiadł, rozejrzał się, ale jakimś cudem jej nie zauważył. Kiedy znikł w wąskim zaułku, podjechała bliżej, zaparkowała za jego samochodem, upewniła się, że wszystkie drzwi są zamknięte, i czekała.



– Co zrobiłeś?! – krzyknął Mark.

– Uspokój się choć na chwilę – upomniał go T.C. – Po prostu chciałem wystraszyć Laurę, żeby przestała plątać się przy sprawie.

– Więc włamałeś się do jej mieszkania?

– Posłuchaj mnie uważnie, Mark. Wyjechała ukradkiem do Australii. Była pewna, że Davida zamordowano. Przestała mi ufać, zrobiła się wręcz podejrzliwa. Musiałem jakoś wytrącić ją z równowagi.

– Co cię napadło, T.C.? Najpierw grozisz Corselowi i jego rodzinie, potem rodzinie Laury...

– Zrobiłem, co uważałem za stosowne.

– Popełniłeś błąd. Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Bobyś mnie powstrzymał.

– Masz świętą rację, że bym cię powstrzymał. Gdybym musiał, dałbym ci w łeb. Co dokładnie zrobiłeś, żeby ją wystraszyć, poza włączeniem magnetowidu?

– Zostawiłem list z pogróżkami i pierścień Davida.

– Który pierścień?

– Ten pamiątkowy, za zdobycie mistrzostwa ligi, który miał na palcu, kiedy się utopił. Wsadziłem go pod poduszkę.

– Oszalałeś?

– Postaraj się zrozumieć, o co mi tak naprawdę chodziło. Otóż chciałem dać jej do zrozumienia, że mordercy Davida to faceci, którzy nie żartują. Straszenie jej samej nic by nam nie dało, ale postraszenie rodziną mogło ją przekonać, że łobuzy mające pierścień Davida gotowe są zabić siostrę, matkę albo ojca. Być może skłoniłoby ją to,

żeby się wycofała. Pierścień miał nią wstrząsnąć. Oszołomić ją na wystarczająco długo, żebym mógł odzyskać jej zaufanie i...

Mark nie zdołał opanować gniewu. Złapał przyjaciela za kłapy, cisnął nim o ścianę.

– Ty sukinsynu!

– Spokojnie, Mark.

– Mówimy o Laurze, a nie handlarzu narkotyków, którego możesz łać do woli i zawsze znajdziesz jakieś usprawiedliwienie.

– Staralem się chronić ją... i ciebie.

Mark przytrzymał go za koszulę jeszcze chwilę, a potem puścił, odwrócił się, chwycił gruby płaszcz...

– Ty dokąd?! – zawołał za nim T.C.

Nie odpowiedział. Wybiegł za drzwi, w chłodną zimową noc.



Stan spojrzął na zegarek. Ostre powietrze wieczoru sprawiało, że trząsał się na całym ciele. Zabójca już spóźnił się pięć minut. Wąski zaułek getta działał jak tunel aerodynamiczny, przez co temperatura odczuwalna była wręcz nie do zniesienia. Chodził niespokojnie tam i z powrotem, próbując się jakoś rozgrzać. Gdzie jest ten człowiek? – zastanawiał się. Dlaczego wybrał na spotkanie to właśnie miejsce?

Skrzywił się z niesmakiem; podmuch powietrza przyniósł smród moczu i gnijących odpadków. Bród, smród i ubóstwo. Za jego plecami nieprzytomny, być może nawet martwy pijak leżał na pół pogrzebany w stosie śmieci. Stan raczej nie kojarzył zabójcy z takim otoczeniem. Nie, człowiek, który zamordował mu ojca, preferował miejsca bardziej eleganckie, bardziej wyrafinowane. To on był tym kimś, kto większość życia spędził w rynsztoku. Sięgnął do kieszeni dotknął dłonią sprężynowca. Następny punkt dla niego, jest na znanym sobie terenie.

Kolejne spojrzenie na zegarek. Dziesięć minut opóźnienia. Już powinien załatwić interes i wynieść się z tej śmierdzącej dziury.

Stan się zatrzymał. Było mu zimno, poza tym się bał, choć właściwie sam nie wiedział czego. Dziesięć minut to w końcu nie tak wiele.

– Witaj, Stan.

Odwrócił się w miejscu.

– Cześć.

– Przepraszam za spóźnienie.

Stan przestąpił z nogi na nogę.

– Nie ma sprawy – powiedział głośno i pomyślał: Tylko posłuchajcie, rozmawiam sobie towarzysko z kimś, kto zabił mi ojca. – Masz pieniądze?

Nie bierz ich, Stan, uciekaj...

Zabójca uniósł torbę lotniczą, którą trzymał w ręku.

– Są tutaj.

Bił od niego zapach strachu. Stan widział, jak rozgląda się nerwowo dookoła oczami przerażonej łani.

– Nie podoba się okolica? – spytał kpiąco.

– Nieszczęśliwie – przyznał zabójca.

Uśmiechnął się. Zabójca bał się coraz bardziej, on z kolei coraz mniej.

– Wygląda na to, że pocisz się mimo takiego wspaniałego płaszcza. Jakiś szczególny powód?

– Nie mam żadnego szczególnego powodu, żeby się pocić.

– Daj pieniądze.

Zabójca postawił torbę na chodniku i cofnął się.

– Powiedziałem, że masz mi dać pieniądze.

– Są tuż przed tobą, tylko schylić się i podnieść.

– Daj mi je teraz, natychmiast.

Zabójca ciągle rozglądał się dookoła, jakby oczekiwał ataku, ale nie wiedział, z której strony nastąpi.

– W porządku – powiedział, podniósł torbę, zrobił krok w kierunku Stana, który czuł się coraz pewniej. Wywarkiwanie rozkazów sprawiało mu dziwną satysfakcję.

– Podaj mi ją.

I to polecenie zostało wypełnione natychmiast. Gdy tylko Stan chwycił torbę, zabójca odskoczył.

– To pierwsza rata – powiedział Stan.

– Co? Przez telefon mówiłeś...

– Nie martw się tym, co mówiłem przez telefon. Chcę kolejne dziesięć tysięcy.

W przyszłym tygodniu. Rozumiesz?

– Nie mogę tak po prostu obsypywać cię pieniędzmi! Kiedy to się skończy?

– Kiedy powiem, że się kończyło – odparł zimno.

– Ale...

Strach znikł, zastąpiony furją.

– Jesteś zabójcą mojego ojca.

– To był wypadek.

– Wypadek? Nie pamiętasz, że ja tam byłem? Ojciec dostał kulę prosto w czoło, a ja straciłem dzieciństwo...

– To nie miało być tak...

– Gówna prawda. – Stan bezmyślnie zrobił krok w stronę zabójcy. – Czy mi się zdawało, czy naprawdę słyszałem najpierw słowo „sukinsyn”, a dopiero potem huk strzału?

– Nie wiesz, co on mi zrobił.

– I nic mnie to nie obchodzi.

Stan zrobił kolejny krok przed siebie. Twarz zabójcy była blada jak papier. Przerazone oczy szukały drogi ucieczki.

– Masz pieniądze. Chcę odejść.

– Nie chcę twoich cholernych pieniędzy!

Zabójca przyłgnął plecami do ściany.

– Co?

Jeszcze jeden krok.

– Nie masz dokąd uciec. Nikt nie usłyszy, że krzyczysz.

– Proszę, zostaw mnie w spokoju. Zapłacę, ile zechcesz.

Stana i zabójcę dzielił już niespełna metr.

– Nie ma mowy. Pieniądze nie zwrócą mi ojca ani dzieciństwa!

– Nie rozumiesz...

– Daj sobie spokój! – Stan rozplakał się, to gniew wyciskał mu łzy z oczu. Kiedy płakał po raz ostatni? Nie pamiętał, ale płacz wydawał mu się teraz czymś bardzo, ale to bardzo odpowiednim. Pasował do sytuacji. Po raz pierwszy w całym jego życiu wydawało się, że wszystko pasuje do sytuacji. Gloria, Boston, ograniczenie picia, koniec z hazardem, to wszystko doskonale pasowało do sytuacji. – Ktoś musi pomścić śmierć mojego ojca. A ktoś inny musi zapłacić za to, co go spotkało. I co spotkało mnie.

– Nie, posłuchaj...

– Ojciec pewnie był przekonany, że może cię po prostu odstawić na bok. – Włożył rękę do kieszeni. – Założę się, że stary brał cię za kogoś zupełnie nieszkodliwego.

Ręka zabójcy wyłoniła się spod długiego płaszcza.

– I zapłacił za to. Tak jak ty zapłacisz.

Rozległ się huk. Kula przeszła nocne powietrze.



Richard opowiedział wszystko Naomi. Siedziała przy kuchennym stole, pijąc kawę z kubka, który Peter zrobił dla niej w szkole. Na ścianie krzywymi literami wymalowane były od ręcznie słowa „Najlepsza Mama na Świecie”. W tym samym roku Rog zrobił podobny kubek, tylko z napisem „Najlepszy Tata na Świecie”. Wysłuchiwała go w milczeniu, nie przerwała mu ani słowem, poznała wszystkie szczegóły. Dowiedziała się o pierwszym telefonie Davida Baskina, tym z Australii, o wizycie Laury, nawet o szalonym psycholu z nożem, grożącym bliźniakom. Nie pominął niczego.

Wyraz twarzy Naomi się nie zmienił. Była niską kobietą, ładną, drobną, o czarnych wijących się włosach i pogodnym, promiennym uśmiechu, którym natychmiast rozbrajała każdego potencjalnego wroga. W tej chwili siedziała spokojnie, popijając kawę. Dziwne, ale bliźniaki zasnęły już pół godziny temu, a do łóżek poszły bez codziennej porcji rozpaczliwych protestów. Właściwie to poszły do łóżek godzinę wcześniej niż normalnie. Jutro miały mecz piłki nożnej, a trener Duckson, wyjaśniły poważnie, powiedział, że im wcześniej zasną, tym lepiej będzie im się grało. Następnie nie zwracając uwagi na oniemiałych ze zdumienia rodziców, pomaszzerowały po schodach do sypialni. W mieszkaniu, jak prawie zawsze wieczorem, zapanowała nienaturalna cisza. W tej ciszy każdy dźwięk powracał echem.

– Co twoim zdaniem powinienem zrobić? – spytał Richard, ukończywszy opowieść. – Powiedzieć Laurze, przeciw komu występuje, czy trzymać głębę na kłódkę?

Naomi wstała, podeszła do ekspresu. Nalała kawy do kubka. Drugi kubek kawy po obiedzie... niedobrze. Za dużo kofeiny; ale miała wrażenie, że i tak czeka ją długa

noc.

– Więc dlatego tak dziwnie się ostatnio zachowywałeś? – spytała.

Jej mąż skinął głową.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Chyba po prostu miałem nadzieję, że problem sam zniknie, jeśli nie będzie się o nim mówiło.

– Sam zniknie? Jak to?

Wzruszył ramionami.

– Nie powiedziałem przecież, że to była realistyczna nadzieja, Naomi, tylko że nadzieja. Więc co twoim zdaniem powinienem zrobić?

– Jesteś dobrym człowiekiem, Richardzie.

– Co?

– Jesteś dobrym ojcem, dobrym mężem, dobrym opiekunem, dobrym synem swych rodziców, dobrym przyjacielem.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

Naomi wypila łyk kawy.

– Chodzi o to, że poślubiłam dobrego człowieka, nic więcej. Większość ludzi nie przejmuje się cudzymi problemami. Większość ludzi na twoim miejscu dawno by o wszystkim zapomniała. Ale nie ty, Richardzie. Martwisz się, prawda? Przejmujesz?

Corsel wahał się przez chwilę.

– Tak – przyznał.

– W takim razie nie masz wyboru.

– Więc twoim zdaniem...?

– Jasne, że chciałabym o wszystkim zapomnieć – powiedziała Naomi. – I mnie pewnie by się udało. Ale nie tobie, Richardzie. Ty jesteś inny. W końcu doprowadzisz się do szaleństwa, a ja nie chcę mieć szaleńca za męża, nawet dobrego szaleńca. Więc zrobimy tak: póki to wszystko się nie skończy, będziesz odwoził dzieci do szkoły, a ja będę je przywoziła. Ich aktywność też trzeba będzie lekko ograniczyć. Nie zamierzam żyć w strachu, ale odrobina ostrożności nigdy nie zawadzi.

Richard milczał. Opuścił wzrok, wyciągnął rękę nad stołem, a Naomi chwyciła jego dłoń i mocno ją uścisnęła. Pozornie zachowywała olimpijski sposób, ale Richard wiedział, że strasznie cierpi. Uścisnęła jego dłoń jeszcze mocniej. Podniósł wzrok. Zobaczył, że jego żona płacze.



Gloria ustawiła trzy lusterka tak, by widzieć, jak ktoś podchodzi do jej samochodu. Potem usiadła wygodniej i obserwowała. Nie dostrzegła nikogo. Nikt nawet nie pojawił się na ulicy.

A mimo to miała wrażenie, że ktoś na nią patrzy.

Wiedziała, że to tylko jej wyobraźnia, że niczyje oko nie obserwuje jej przez szczelinę między spróchniałymi deskami. Spróbowała jeszcze podkręcić ogrzewanie, ale okazało się, że już jest ustawione na maksimum. Panowała cisza, przerywana tylko sygnałami klaksonu i piskiem opon na pobliskiej ulicy.

Co Stan ma do roboty w tym zaułku? W jakie kłopoty wpędził się tym razem? Bo ktoś taki jak on zawsze wpadał w kłopoty, kłopoty zawsze klepały go w ramię, gdy próbował przed nimi uciec.

Na litość boską, bądź ostrożny, Stan, bądź...

Ciszę chłodnej nocy rozerwał huk wystrzału.

O Boże, nie, błagam...

Gloria natychmiast zapomniała o sobie i o własnym bezpieczeństwie. Szarpnięciem otworzyła drzwi, wyskoczyła z samochodu. Pobiegła w stronę wejścia do zaułka, potknęła się, omal nie przewróciła na twardy beton. Odzyskała równowagę, nie zwalniając i nie zwracając uwagi na chłód.

Stan, och, Stan, oby nic ci się nie stało...

Wydawało się, że wiatr wyśmiewa jej modlitwę. Skręciła za róg. Zgubiła but, ale nie zwróciła na to uwagi. Szybko biegła wąskim zaułkiem...

...i znalazła go.

– Stan!

Ucichło echo kroków kogoś, kto znikł za rogiem po drugiej stronie ulicy, ale Gloria nie zdawała sobie sprawy z tego, co słyszy, jej umysł nie analizował dźwięków. Słyszała tylko bicie serca, pulsowanie krwi w skroniach. Oczy miała rozszerzone z przerażenia.

Dobiegła do Stana, przyklękła przy nim. Kula trafiła go w pierś, krew płynęła z rany, znacząc swą drogę czerwienią. Stan czynił słabe, nieskuteczne próby powstrzymania krwawienia. Nadal oddychał, nie stracił przytomności, ale życie wyciekało z niego i rozpląwało się po brudnym chodniku.

Gloria czuła się strasznie bezradna. W pobliżu nie było telefonu, nie mogła też Stana przenieść bliżej samochodu. Zdjęła płaszcz, przycisnęła nim ranę. Po policzkach ciekły jej łzy.

– Zaraz wracam – powiedziała. – Sprowadzę pomoc.

Stan przyglądał się jej, a w jego oczach widać było zbliżającą się śmierć. Powoli tracił kontakt ze światem. Miał umrzeć, niech to diabli. To już koniec, zabójca go załatwił. Nie czuł bólu, miał tylko wrażenie, że jego dusza powoli uchodzi z ciała. Coś go chwyciło, wyciągało z zaułka.

Zdawał sobie jeszcze sprawę z tego, że Gloria przygląda mu się z troską. Jeszcze jedna kobieta, która się nad nim lituje. Kobiety były przekleństwem jego krótkiego, żalosego życia. Nienawidziły go, wykorzystywały, wyżywały się na nim. Raniły mu głęboko duszę, a tę dopiero śmierć miała szansę wyleczyć. Ale on nadal chciał się na nich mścić. Teraz, leżąc u stóp Glorii, miał ostatnią szansę, ostatnią okazję, by poniżyć kobietę. Powie jej, że nigdy nic do niej nie czuł, że tylko ją wykorzystywał, że jest zwykłą, nic niewartą dziwką. Jak one wszystkie.

Gloria wyprostowała się, odwróciła. Chwycił ją za rękę. Teraz pozna, co to ból, pomyślał. Teraz dowie się, co to znaczy cierpiące serce.

– Glorio?

– Tu jestem.

Śmierć była coraz bliżej. Oczy Stana uciekły w głąb czaszki, powieki opadły.

– Kocham cię.



Już tylko jedna przecznica. Nadeszła wreszcie ta chwila, Laura miała zobaczyć się z matką.

Serita prowadziła powoli. Opierała się pokusie wciśnięcia gazu do deski i niech białe bmw mknie drogą, mijając widoczny już przed maską podjazd. Żałowały, że podróż nie może trwać dłużej, że kiedyś będą musiały wysiąść z samochodu, że poznają przyczynę śmierci Davida. Równie dobrze mogłyby siedzieć teraz same w gabinecie lekarza, czekając na wyniki jakichś badań decydujących o życiu lub śmierci, za rozrywkę mając lekturę dyplomów na ścianach i bezużytecznych ulotek reklamujących zdrowy tryb życia.

– Lauro?

Laura oddychała szybko, płytko. Serita niemal czuła, jaką wewnętrzną walkę toczy przyjaciółka.

– Co?

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym poszła z tobą?

– Nie chcę – powiedziała Laura i brzmiało to bardzo stanowczo.

– To o której mam po ciebie podjechać?

– Poradzę sobie sama.

– Nie rób mi przykrości. Przyjadę za pół godziny i zaczekam na ciebie przed domem, dobrze?

– W porządku – zgodziła się przyjaciółka.

Serita włączyła kierunkowskaz. Nie da się dłużej tego odwlekać. Wjechała na podjazd; przednie światła zatańczyły na krzakach, jakby szukały intruza. Podjechała pod drzwi frontowe. Okna były ciemne, przed tak dobrze jej znanym domem też panowała ciemność.

– Chyba nikogo nie ma – powiedziała.

– Jeszcze nie. Tata pracuje dziś do późna, ale mama powinna wrócić za kilka minut.

– Będziesz na nią czekać przed domem?

– Mam klucze.

– Jasne. No to trzymaj się, Lauro. I pamiętaj, spokojnie.

– Pamiętam.

Laura wysiadła z samochodu, podeszła do drzwi. Otworzyła je wyjętym z torebki po krótkich poszukiwaniach kluczem, który gładko obrócił się w zamku. Weszła do środka, zamknęła drzwi za sobą.

Doskonale pamiętała, gdzie jest włącznik światła. Pamiętała to z dzieciństwa, kiedy musiała do niego sięgać, stając na palcach. Rozejrzała się po znanym wnętrzu, jakby wszystko tu było dla niej nowe. Rodzinny dom wydawał jej się inny, był jak książka,

którą przekartkowało się kiedyś, ale nigdy nie przeczytało od deski do deski.

Weszła po schodach na piętro. Doskonale wiedziała, dokąd idzie. Cokolwiek powiedziałoby się o jej matce, była osobą zorganizowaną. W jej otoczeniu wszystko miało swoje miejsce, nigdy niczego nie zgubiła; pod tym względem córka z pewnością nie była do niej podobna. Ilekroć matka odwiedzała Laurę w jej gabinecie, zawsze pytała: „Jak możesz pracować w tym bałaganie? Jak udaje ci się cokolwiek znaleźć?”.

Prawda była taka, że Laurze nie udawało się znaleźć mniej więcej połowy tych rzeczy, których szukała. Na szczęście miała Estelle. Estelle, która była w tej chwili w Colgate z tajemniczym kluczem Judy, potrafiła utrzymać papiery w cudownym wręcz porządku, dzięki czemu jej szefowa mogła sobie bałaganić do woli. Szefowa potrafiła myśleć szybko, czasami wręcz za szybko; miała takie mnóstwo pomysłów, że niekiedy umykały jej szczegóły. Z matką było zupełnie inaczej. Matka była osobą systematyczną, nigdy nie robiła kilku rzeczy naraz i nie zaczynała nowego zadania, jeśli przedtem nie doprowadziła do zadowolającego końca poprzedniego.

Mama nigdy by mnie nie skrzywdziła, nigdy nie skrzywdziłaby rodziny...

Serce Laury biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Matka. Piękna, kochająca, często wręcz przytłaczająca miłością. Mary Ayars opiekowała się córkami, kiedy chorowały, przytulała je, gdy przestraszyły się ciemności, czytała im książki na dobranoc i całowała je przed snem. Czy to wszystko mogło być kłamstwem? Czy Laura naprawdę знаła swoją matkę? Takie pytania wżerały się w jej mózg, okradały ją z racjonalności. W życiu tak niewiele rzeczy okazywało się spójnych i konsekwentnych. Matka zawsze kochała je bezinteresownie, ale w tej chwili Laura we wszystko zaczynała wątpić. Kryjąca ją cudownie piękna maska odpadała kawałek po kawałku, a ona nie chciała już sprawdzać, co się pod nią kryje.

To musi być pomyłka, to musi być pomyłka, powtarzała.

Ale Laura wiedziała, że jej matka ma klucz do śmierci Davida. Jak to się stało i dlaczego, nie wiedziała, pozostaje jednak faktem, że Mary Ayars nienawidziła Davida Baskina od samego początku i błagała córkę, by się z nim nie spotykała. Dlaczego? Nigdy go przecież nie widziała, nigdy nawet nie byli w tym samym czasie w tym samym miejscu, więc dlaczego tak mocno sprzeciwiała się ich związkowi? Czy nie zdawała sobie sprawy z tego, że dawał on Laurze szczęście, że po raz pierwszy była naprawdę zakochana? Czyżby przygoda sprzed trzydziestu lat odebrała jej wzrok i rozum? Czy to przeszłość zmusiła ją do wyjazdu do Australii i...

No właśnie. I co?

Korytarzem powiał chłodny wiatr. Laura nie знаła odpowiedzi na to pytanie, ale wkrótce miała ją poznać. Tylko że przedtem musiała jeszcze coś zrobić.

Weszła do sypialni rodziców, bez wahania podeszła do szafki przy łóżku od strony, którą zajmowała matka. Otworzyła drugą szufladę i od razu zobaczyła niebieską okładkę. Wyjęła książeczkę, przekartkowała ją. Jej obawy potwierdziły się w ciągu kilku sekund. Wiedziała, że tak będzie, była na to przygotowana, ale mimo to w sercu poczuła ukłucie bólu.

To prawda, mój Boże, to prawda...

Drzwi na dole się otworzyły.

– Dzień dobry!

Głos matki. Nawet ten słodki głos wydawał się teraz nieczysty.

– Jestem na górze, mamu.

– Laura? – Krzyknęła zaskoczona Mary. – Co ty tu robisz?

Laura schowała niebieską książeczkę do kieszeni.

– Przyszłam porozmawiać.

– O dwudziestej? Dlaczego nie zadzwoniłaś, kochanie?

– Ja... nie wiem.

– Powinnaś pojechać do szpitala. Doktor Clarich twierdzi, że...

– Czuję się doskonale.

– A w ogóle jak się tu dostałaś? Na podjeździe nie ma twojego samochodu.

Chociaż dzieliły ich zaledwie schody, głos matki docierał na piętro z tak daleka.

– Serita mnie przywiozła.

– Więc zostaniesz na noc? – W głosie Mary zabrzmiała nadzieja.

– Nie sądzę. Ma po mnie przyjechać.

Pani Ayars przeszła do kuchni.

– Może zesłabyś na dół! – zawołała do córki. – Od tych krzyków już rozboleła mnie głowa.

Głowa? – pomyślała Laura, przechodząc przez pokój.

Widziałaś Davida, kiedy jego zaczynała boleć głowa? Nie? Więc nie masz pojęcia, czym jest ból głowy. Myślisz, że jak czujesz, iż masz głowę, jak ci o sobie przypomina, to jest to ból? Śmiechu warte, ale z drugiej strony tobie zawsze było łatwo, prawda, mamu? Zawsze znalazł się ktoś, to ochraniał cię przed normalnym życiem. Używałaś swej urody po to, by je kształtować, dostosowywać do swych potrzeb. Nie przepracowałaś dnia. Spędziłaś życie, udając, że pragniesz niezależności za wszelką cenę, ale to był tylko pretekst. Szukałaś usprawiedliwień. Tata zawsze się o ciebie troszczył, żywił cię, ubierał, robił wszystko, żebyś była szczęśliwa jak duży dzieciak. Czym mu za to odpłaciłaś, najdroższa mamusiu? Zdradziłaś go. Spałaś z ojcem Davida i kto wie, z iloma jeszcze mężczyznami.

Z każdym krokiem gniew Laury rósł, aż miała wrażenie, że za chwilę wybuchnie. Znikły gdzieś myśli o rozwadze, o tym, że może wszystko da się jakoś logicznie wyjaśnić i matka nie miała nic wspólnego ze śmiercią Davida. Laura gotowała się z wściekłości. Weszła do kuchni, stanęła twarzą w twarz z matką.

Mary przyjrzała się córce zaniepokojona.

– Kochanie, dobrze się czujesz?

Laura nie odpowiedziała. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła znaną w sypialni rodziców książeczkę. Na ten widok strach rozszerzył oczy matki.

– Skąd to masz? O co chodzi?

– Wyjęłam z szuflady.

– Nie masz prawa przeszukiwać moich rzeczy.

– A ty nie miałaś prawa zabić mojego męża.

Zapadła cisza, dławiąca, przerażająca. Mary cofnęła się o krok, podniosła dłoń do

szyi.

– Co powiedziałaś?

– To, co słyszałaś. – Laura rzuciła w nią paszportem. Mary odskoczyła, jakby był to rozpalony do białości węgielek.

– Przyleciałaś do Australii, kiedy spędzaliśmy tam miesiąc miodowy. Nie zaprzeczaj. Paszporty nie kłamią.

Mary milczała. Cofała się, aż wreszcie dotarła do kąta i stała tam skulona.

– Skąd wiedziałaś, że tam właśnie poleciliśmy? Tata ci powiedział? Czy Gloria?

Pani Ayars zamknęła oczy, pokręciła głową.

– Powiedzieli ci albo... – Laura przerwała. Przypomniała sobie włamanie do ich nowego domu, otwarty kalendarz na biurku, podartą fotografię. – Więc to ty?

– Co?

– To ty wykorzystałaś okazję i przeszukałaś nasz dom, kiedy nas nie było, prawda, mam? To wyjaśnia, dlaczego nie było śladów włamania. Wzięłaś klucze z mieszkania, a kod do alarmu podałam ci, kiedy tylko go zainstalowaliśmy. Z kalendarza dowiedziałaś się, gdzie jesteśmy. I to ty podarłaś zdjęcie ojca Davida, prawda?

Znów nie doczekała się odpowiedzi. Matka kuliła się w kącie, drżąc na całym ciele.

Krzyk Laury wstrząsnął pokojem.

– Mam rację, mam!?

Mary się zgarbiła. Skinęła głową.

– Dlaczego?

Głos Mary Ayars drżał tak, że był niemal niezrozumiały.

– Ponieważ widziałam, że łączy was coś poważnego. W biurze nikt nie miał pojęcia, gdzie jesteś. Ojciec, a potem siostra powiedzieli, że pewnie wyjechałaś w interesach, ale przedtem zawsze mi mówiłaś, dokąd jedziesz. Zawsze dzwoniłaś. Więc zaczęłam się bać. U ciebie, w mieszkaniu, nic nie znalazłam, ale zobaczyłam klucze do tego nowego domu, który kupiliście. Pojechałam tam i tak długo grzebałam w biurku, aż znalazłam kalendarz Davida. Z niego dowiedziałam się o waszej tajemniczej wyprawie do Australii.

– A fotografia? Dlaczego ją podarłaś?

Mary nerwowo bawiła się pierścionkami na palcach. Patrzyła gdzieś w bok.

– Nie zamierzałam drzeć żadnych fotografii. Album leżał na biurku, więc zaczęłam go przeglądać. Byłam zdenerwowana...

i chyba po prostu wyżyłam się na jakimś zdjęciu.

– Nie na „jakimś” zdjęciu, ale na zdjęciu Sinclaira Baskina. Pamiętasz go?

– Nie, oczywiście, że nie...

– Więc pozwól, że ci odświeżę pamięć. – Laura opanowywała się z najwyższym trudem. – Trzydzieści lat temu ukradłaś Sinclaira Baskina ciotce Judy.

Twarz Mary pokryła się śmiertelną bledością.

– Skąd...?

– Miałas z nim romans. A może przez lata miałas tyle romansów, że o niektórych zdążyłaś zapomnieć?

Mary zacisnęła powieki, zakryła uszy dłońmi.

– Nie, nie...

– Wiesz, coś mi się akurat przypomniało... czy ciocia nie spotykała się z ojcem, nim go poznałaś? Czyjego też jej ukradłaś?

– ...nie...

– Ale Sinclair cię rzucił. Kiedy znudziła mu się zabawka, po prostu cię rzucił.

– Nie o to chodzi i...

– Jak mogłaś zrobić to tacie? Jak mogłaś go tak oszukiwać?

Matka ukryła twarz w dłoniach. Po raz pierwszy podczas tej rozmowy powiedziała głośniejszym niż szeptem:

– Myślisz, że nie zadaję sobie codziennie tego pytania? Bardzo Kocham twojego ojca. I po Sinclairze nie miałam już żadnego mężczyzny.

– Cóż za wielkoduszność – zakpiła Laura.

– Twój ojciec pracował wtedy w szpitalu, w dzień i w nocy. W ogóle go nie widywałam. Opiekowałam się Glorią, spędzałam w domu całe dni, oglądałam seriale w telewizji. I wtedy pojawił się Sinclair, przystojny, charyzmatyczny, światowy. A ja... byłam taka młoda, taka naiwna. Ze wszystkich ludzi na świecie ty powinnaś rozumieć mnie najlepiej. Twój David miał pewnie te same cechy.

– Nie porównuj tego, co było między mną i Davidem, ze swym obrzydliwym romanssem!

– Nie porównuję – odparła Mary. – Tłumaczę ci tylko, że byłam młoda, samotna. Popełniłam błąd. Nie spodziewam się, że mnie zrozumiesz, i nie potrzebuję twego współczucia.

– To dobrze, bo nie doczekasz się go. Ale mam do ciebie kolejne pytanie: dlaczego zabiłaś Sinclaira Baskina?

– Zabiłam...? – Mary się zachłysnęła. – On przecież popełnił samobójstwo jak...

– Jak kto?

– Nie... nikt. Sinclair Baskin popełnił samobójstwo. Strzelił sobie w głowę.

– Znow kłamiesz, mamó.

– Nie...

– Kłamiesz! – krzyknęła Laura. – On z tobą zerwał. Byłaś zrozpaczona, załamana, w końcu nikt nie zrywa z piękną Mary Ayars. Jego sekretarka potwierdziła, że byłaś ostatnią osobą, która widziała go żywego.

– To było samobójstwo. Wszyscy to wiedzą.

– Mylisz się, mamó. Stan Baskin był świadkiem jego śmierci. Ukrył się za kanapą. Widział, jak zabiłaś mu ojca.

Mary Ayars się chwiała. Kręciła głową, zaprzeczając słowom córki.

– Przysięgam, że nie skrzywdziłam Sinclaira. Tak, trzydzieści lat temu zdradziłam z nim ojca, ale nie miałam nic wspólnego z jego śmiercią. Musisz mi uwierzyć. Przez trzydzieści lat nie miałam wyboru, musiałam płacić za swe uczynki. Wszyscy musieliśmy za nie płacić w sposób, którego nie potrafisz sobie wyobrazić.

– David także?

– To nie miało się zdarzyć.

– Co nie miało się zdarzyć?

– David nie miał umrzeć.

Laura zachłysnęła się własnym oddechem.

– Zabiłaś go – powiedziała bardzo cicho.

– Nie chciałam! – krzyknęła Mary. – Byłam pewna, że to wszystko skończy się zupełnie inaczej. Myślałam, że wybrałam najlepsze wyjście. Dla wszystkich!

– Zabiłaś Davida!

Matka pokręciła głową.

– Nie rozumiesz. Nie planowałam jego śmierci. Zdarzył się wypadek. Byłam pewna, że zareaguje inaczej.

– Zareaguje inaczej? Naprawdę myślałaś, że zdołasz mu wytłumaczyć, by mnie zostawił?

– Coś w tym rodzaju...

– Myślałaś, że mnie rzuci, tak jak Sinclair Baskin rzucił cię przed trzydziestu laty?

– Musiałam zaryzykować.

– A kiedy odmówił, zabiłaś go?

Mary szarpnęła głową.

– Nie! To nie tak!

– Nienawidziłaś go z powodu tego, jak jego ojciec zachował się przed trzydziestu laty!

– Nie!

– Nie chciałaś, żeby twoja córka popełniła ten sam błąd co ty. W końcu niedaleko pada jabłko od jabłoni, prawda? Uznałaś, że jest złym człowiekiem.

– Nie. Nic nie rozumiesz.

– Jak mogłaś być aż tak ślepa, mamó? David w niczym nie przypominał ojca. Był miły, ciepły, troskliwy...

– Przecież wiem! – przerwała jej Mary. Podniosła głos, niemal krzyczała. – Był wspaniałym młodym człowiekiem. W niczym nie przypominał ojca. Czy ty nie rozumiesz, że nie chciałam, żeby zginął?

Laura umilkła. Przyglądała się matce ze zdziwieniem.

– Więc dlaczego? Jeśli uważałaś go za tak doskonałego, dlaczego go zabiłaś?

– Nie zabiłam. Nigdy nikogo nie zabiłam.

– Przecież przed chwilą powiedziałaś...

– Spowodowałam jego śmierć, ale go nie zabiłam.

Laurze nagle zakręciło się w głowie.

– Przecież nie ma w tym odrobiny sensu! Chciałaś zniszczyć związek córki z mężczyzną, którego uważałaś za wspaniałego. Tak bardzo ci na tym zależało, że poleciałaś do Australii, spotkałaś się z nim i błagałaś go, żeby przestał się ze mną widywać?

– Tak.

– A kiedy odmówił...

– Nie odmówił – przerwała jej matka. – David obiecał mi, że już nigdy się z tobą nie zobaczy.

Laura nie wierzyła własnym uszom.

– Co ty opowiadasz? – warknęła. – Skłoniłaś Davida, żeby mnie zostawił?

– Mam wrażenie, że tak. Ale nie zdawałam sobie sprawy z ceny. To ty powiedziałaś, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Co z tego?

– David cię kochał. Nie potrafił znieść myśli, że będzie musiał żyć bez ciebie. Sądziłam, że po prostu odejdzie, zniknie z twojego życia. Właśnie to mi obiecał. Wiedziałam, że będziesz zrozpaczona. Wiedziałam, jak bardzo go kochasz. Ale wiem też, że jesteś młoda, silna, zdolna wyleczyć złamane serce. Rodzina by ci w tym pomogła. Ciągle nie rozumiesz, Lauro? Ja tylko chciałam, żeby on cię zostawił. Nie chciałam, żeby popełnił samobójstwo... jak ojciec.

Laura poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

– Co?

– Zaraz po rozmowie, kiedy byłam pewna, że zrozumiał, David popełnił samobójstwo. Nie wydaje ci się to dziwnym zbiegiem okoliczności? Nie wyobrażałam sobie, że po tym, co usłyszał, targnie się na swoje życie.

Słowa spadały na Laurę jak uderzenia. Próbowwała się przed nimi bronić, ale było ich za wiele, padały za szybko i zbyt celnie. Kręciło jej się w głowie, czuła mdłości.

– Chcesz mi powiedzieć, że ekscesy seksualne ojca tak przybiły Davida, iż postanowił się zabić?

– Nie. Przecież nie o to chodzi!

– Nie mogłaś po prostu zostawić nas w spokoju? – Laurze łyzy ciekły po policzkach.

– Kochaliśmy się, byliśmy szczęśliwi. Dlaczego twoja obrzydliwa przygoda miałyby w jakikolwiek sposób nas dotyczyć?

– Niestety – powiedziała powoli Mary Ayars – to o nią właśnie chodziło.

– Dlaczego? – powtórzyła Laura. Mało brakowało, a uderzyłaby matkę, biła ją i kopała, póki nie straciłaby przytomności. – Kiedy zginął Sinclair Baskin, David był jeszcze dzieckiem. W niczym go nie przypominał, sama to powiedziałaś. Dlaczego zniszczenie mojego małżeństwa było dla ciebie tak ważne?

Mary przełknęła ślinę z wysiłkiem. Stała sztywno wyprostowana. Patrzyła na Laurę, jakby spodziewała się strasznego ciosu, mogącego spaść na nią lada chwila. Drżała.

– Dlatego – powiedziała powoli – że wzięłaś ślub ze swoim przyrodnim bratem.

– Tędy, proszę pani.

Estelle weszła do banku First National w Hamilton za jego dyrektorem. Było późno, po godzinach otwarcia, ale zdołała go skłonić, by przyszedł i ją obsłużył. Jak? Tajemnica zawodowa. Sekretarka Laury wiedziała lepiej niż ktokolwiek, jak korzystać z sieci telefonicznej. W jej wykonaniu prosty rytuał rozmowy stawał się swoistym dziełem sztuki. Aparat, wolna linia i książka telefoniczna wystarczyły jej, by dowiedzieć się prawdy o każdym człowieku i każdym przedmiocie. W tym prawdy o tajemniczym kluczu Judy.

– Będzie pani uprzejma usiąść. Mogę prosić o klucz?

Estelle dała mu kluczyk.

– I upoważnienie notarialne.

Wręczyła dyrektorowi przygotowane przez prawnika Laury upoważnienie notarialne, na podstawie którego miała pełny dostęp do wszystkiego, co zdoła otworzyć.

Bankier zniknął w głębi korytarza. Pojawił się chwilę później, niosąc po pachą skrzynkę depozytową, którą wręczył jej z uprzejmym „bardzo proszę”. Estelle otworzyła ją, przejrzała zawartość. Mnóstwo starych obligacji, umowa o pracę z Colgate College, roszczenia ubezpieczeniowe, a na samym dnie pamiątnik z 1960 roku.

Słowa Laury powróciły do niej echem.

– Co spodziewasz się znaleźć, Lauro?

– Naprawdę nie wiem. Ale będzie to miało coś wspólnego z przeszłością.

– Przeszłością?

– Rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, mówiąc ściśle. Mojej ciotce coś się wtedy przydarzyło. Muszę wiedzieć co.

– Nie rozumiem cię.

– Sama się nie rozumiem, ale bez obaw. Po prostu miej oczy otwarte i szukaj czegoś, co w jakiś sposób wiąże się z tą datą.

Nie zastanawiając się dłużej, Estelle przesyłała zawartość skrzynki do małej torby, podziękowała bankierowi i pospieszyła do taksówki. Wyczarterowany odrzutowiec czekał na nią na lotnisku, wykorzystując przerwę na zatankowanie paliwa. Zerknęła na zegarek. Przy odrobinie szczęścia pojawi się w mieszkaniu Laury, wraz ze swym znaleziskiem, za ponad dwie godziny.





Dwie stojące w kuchni kobiety otoczyła całunem cisza. Zakłócał ją tylko szloch Mary. Laura była zbyt zdumiona, by choćby drgnąć, by jej umysł zdołał przyswoić i zaakceptować prawdę.

– Brat? – wyjąkała wreszcie. – David był moim bratem?

Jej matka skinęła głową.

– Twoim biologicznym ojcem był Sinclair Baskin.

– Nie... to niemożliwe.

– To prawda. Boże, jakbym chciała, by tak nie było, ale... taka jest prawda.

– Jak to... jak...

– Byłam głupia i nieostrożna. Zaszłam w ciążę.

– Może z tatą? Może to tata...

Mary Ayars pokręciła głową.

– Nie spałam z twoim ojcem prawie dwa miesiące.

– Zaszłaś w ciążę?

– Tak.

– Powiedziałaś Sinclairowi.

– Oczywiście. Już ci mówiłam, że byłam młoda i nie wiedziałam, co robić. Myślałam, że jestem w nim zakochana. Byłam gotowa zostawić ojca, zacząć z Sinclairem nowe życie.

– I co się stało?

– Kiedy dowiedział się, że jestem w ciąży, wyrzucił mnie ze swojego życia.

– Tak po prostu?

Mary skinęła głową.

– Powiedział, że nie obchodzi go, co zrobię z dzieckiem, tylko mam się od niego odczepić. Natychmiast. Bałam się, Lauro. Byłam przerażona. W życiu nie czułam się taka samotna. Nie miałam się do kogo zwrócić. Nigdy nie miała przyjaciółek, najwyżej znajome. Wszyscy myśleli, że jestem śliczna i popularna, ale nikt nie znał mnie naprawdę. Można powiedzieć, że piękna Mary nie miała ciała, krwi i uczuć, była jak piękny obraz lub fragment krajobrazu, który można podziwiać. Nic więcej. Musisz znać to uczucie z własnego doświadczenia.

Laura знаła je, to prawda.

Mary podeszła do zlewu, napełniła szklanę wodą.

– Najpierw płakałam, prawie cały czas. A potem usiadłam i spróbowałam się zastanowić. Co mogłam zrobić? Aborcja nie była realnym rozwiązaniem, nie wtedy. To znaczy można ją było zrobić, jeśli miało się pieniądze, ale finanse kontrolował James. Natychmiast by się dowiedział. Owszem, rozważałam możliwość opowiedzenia o wszystkim Jamesowi, ale wyobrażasz sobie, co by się wówczas stało. Jest bardzo zazdrosny. Gdyby się dowiedział, to... no, nawet nie wiem, co mógłby mi zrobić.

– Prawdopodobnie by się z tobą rozwiódł.

– Prawdopodobnie – przytaknęła Mary.

– I co postanowiłaś?

– Czy to nie oczywiste? Udałam, że jesteś jego dzieckiem.

– Jak? Sama powiedziałaś, że nie sypialiście z sobą od miesięcy.

– Już tego wieczoru, kiedy Sinclair mnie wyrzucił, zaczęłam uwodzić Jamesa. Przez kilka miesięcy spałam z nim niemal noc w noc.

Laura poczuła, jak zbiera jej się na mdłości.

– Uwodzenie zawsze było twoją ulubioną bronią, prawda, mamó?

– Żałuję, że nie było lepszego wyjścia, ale sama powiedz, co mogłam zrobić? Musiał uwierzyć, że jesteś jego dzieckiem. Niełatwo mi było, bardzo źle znosiłam ciężę, przez kilka tygodni ciężko chorowałam. Co rano wymiotowałam. Krwawiłam. Myślałam, że poronię, i niech Bóg mi wybaczy, ale bardzo tego chciałam. Były dni, kiedy wiedziałam, co się ze mną dzieje, a potem nic nie pamiętałam.

– Ale udawało ci się wciągać ojca do łóżka.

– Musiałam, Lauro. Musiałam dać mu pewność, że jesteś jego dzieckiem. Na mojej drodze stały dwie wielkie przeszkody: czas i podobieństwo rodzinne. Rozumiesz, gdyby wszystko poszło jak w zegarku i gdybyś urodziła się dziewięć miesięcy po tym, jak zaszłam w ciążę z Sinclairem, to jako dziecko Jamesa urodziłabyś się miesiąc lub dwa za wcześnie.

– I jak sobie z tym poradziłaś?

– Pomyślałam, że szczęśliwemu tatusiowi łatwo będzie wmówić, iż jesteś wcześniakiem. Ale na szczęście urodziłaś się późno i nie musiałam kłamać.

– A rodzinne podobieństwo?

– Jesteś podobna do mnie. Do tego stopnia, że nawet gdyby było jakieś podobieństwo między tobą a Jamesem, i tak nikt by go nie zauważył. Rok później przenieśliśmy się do Bostonu. Czułam się bezpiecznie, bo po śmierci Sinclaira o wszystkim wiedziała wyłącznie moja siostra.

– Powiedziałaś cioci Judy? – zdumiała się Laura.

– Musiałam komuś zaufać. Sama nie poradziłabym sobie ze wszystkim, więc wtajemniczyłam kogoś, na kim mogłam polegać.

– I ciocia nie była na ciebie wściekła za to, że odbiłaś jej Sinclaira?

– Byłyśmy siostrami, Lauro. Jak ty i Gloria. Judy nie odwróciłaby się ode mnie w czasie kryzysu, tak jak ty nie odwróciłaś się od Glorii. Nie wiem, co by się stało bez jej pomocy.

– Więc ciocia wiedziała o wszystkim?

– Tak.

– I miała mi o wszystkim powiedzieć, prawda? To dlatego zaprosiła mnie do siebie?

– Tak – przyznała Mary niechętnie. – Sądzę, że tak to sobie zaplanowała.

– Więc ją też zabiłaś?

– Co?

– Podpaliłaś jej dom.

– Była moją siostrą.

– Siostrą, której ukradłaś faceta.

– To co innego. Kochałam Judy, o czym doskonale wiesz. A ona kochała mnie.

– Więc może wyjaśnisz mi, dlaczego tak nagle postanowiła zdradzić twoje

zaufanie?

– Nie wiem, Lauro. Sama się nad tym zastanawiałam. Wiem, jak to musi wyglądać w twoich oczach, ale ja nie podpaliłam jej domu. Przysięgam. Spróbuj mnie zrozumieć. Próbowaliśmy tylko zrobić to, co najlepsze, i jeśli przyjrzesz się temu z boku, będziesz musiała przyznać, że mi się udało. Prawda, Lauro? Póki nie zakochałaś się w Davidzie, wszystko było cudownie. James kocha cię bardziej niż ktokolwiek na świecie.

– Nie, mamó. On kocha kłamstwo.

– Nie mów tak! Kocha cię. Biologia nie ma żadnego znaczenia. Gdybyśmy cię adoptowali, nie zmieniliby to niczego, prawda?

– Ale mnie nie adoptowaliście. Stworzyłaś kłamstwo.

– Kłamstwo, z którym wszystkim było dobrze, dopóki nie przestałaś mnie słuchać.

– Przestałam cię słuchać?

– Kiedy dowiedziałam się, że David jest synem Sinclaira, prosiłam i błagałam, żebyś przestała się z nim widywać. Dlaczego mnie nie posłuchałaś? Nie mogłaś trzymać się od niego z daleka? Próbowaliśmy cię powstrzymać. Byłam pewna, że potrafię. Ale nie, uciekliście do Australii i wzięliście ślub. Pojechałam za wami. Nie dałaś mi wyboru.

– Mogłaś po prostu powiedzieć mi prawdę.

Mary wpatrywała się w oczy córki.

– Mój podstęp miał już wówczas trzydzieści lat. Kłamstwa stały się częścią życia, częścią rodziny. Doskonale do niej pasowały. Bałam się tego, do czego mogłoby dojść, gdybym nagle zaczęła mówić prawdę. Więc poleciałam do Australii porozmawiać z Davidem, powiedzieć prawdę jemu. Nikomu o tym nie wspomniałam, nawet Judy. Zadzwoiłam do niego z hotelu. Był zaskoczony, oczywiście, ale zgodził się spotkać ze mną w moim hotelu, w Pacific International. Rozmawialiśmy długo, bardzo długo. Och, Lauro, to było okropne. David był taki zdezorientowany, w jednej chwili wściekły biegał po pokoju, a w następnej płakał. Każde moje słowo rozdzierało mu duszę na strzępy. Rozpaczał głośno. Pamiętaj, ty dowiadujesz się wszystkiego po fakcie, a on musiał zdecydować, co robić. Kochał cię. Nie mógł bez ciebie żyć, ale wiedział też, jak bardzo pragniesz mieć dzieci i jakim niebezpieczeństwem groziło zignorowanie prawdy. Nagle cały jego świat okazał się zamkiem zbudowanym na piasku, podkopywanym przez to, co mu mówiłam. Kiedy kilka dni potem ojciec powiedział mi, że się utopił, wiedziałam, że to przeze mnie, przez to, czego się ode mnie dowiedział. A przecież chciałam tylko, żeby cię zostawił! Musisz mi uwierzyć! Tak bardzo bym chciała, by istniał inny sposób, ale innego sposobu nie było. Nie mogłam siedzieć z boku i się przyglądać, jak bierzesz ślub z bratem. Rozumiesz, że nie miałam wyjścia, prawda?

Laura poddała się sile tej argumentacji. Po jej policzkach płynęły łzy. Och, Davidzie, nic mnie nie obchodzi, co pomyślałby o nas świat. Mogliśmy razem żyć, mogliśmy adoptować dzieci albo mogłaś mnie po prostu zostawić. Wszystko byłoby lepsze od tego, co zrobiłaś.

Do rzeczywistości przywołał ją męski głos.

– Halo! – zawołał James. – Jest ktoś w domu?

Laura i Mary odwróciły się jak na komendę. James stał w drzwiach z lekarską torbą w rękę, teczka stała na podłodze tuż przy jego nogach. Przyglądał się żonie i córce zaskoczonym, pełnym troski wzrokiem.

– Co się dzieje? – spytał.

– Nic, kochanie – pospieszyła z odpowiedzią Mary.

Doktor obrzucił córkę uważnym spojrzeniem.

– Lauro? Czy coś się stało?

Laura poczuła nagły przypływ miłości... i smutku. Tak bardzo pragnęła przytulić się do ojca, objąć go, powiedzieć, jak wiele dla niej znaczy. Ile to razy ojciec pocieszał ją, kiedy potrzebowała pociechy? Ile razy rezygnował dla niej ze swoich planów i przyjemności? Nikt nie zdołałby policzyć. Zerknęła na matkę, zastanowiła się przelotnie, czy nie powinna wyznać mu prawdy, uświadomić tacie, z kim się ożenił. Ale... czemu miałyby to służyć? Tylko by go zraniła. Żył z nią przecież i kochał ją od przeszło trzydziestu lat. Jeśli nadal pozostawał ślepy na jej wady, to przecież wyłącznie z wyboru.

– Nic, tatusiu.

– Wyglądasz na zdenerwowaną. Obie wyglądacie na zdenerwowane.

– Porozmawialiśmy sobie od serca. No i trochę nas poniosło.

Mary spojrzała na córkę z wdzięcznością, ale Laura nie sprawiła jej satysfakcji i nie dała po sobie poznać, że to dostrzegła.

– Rozumiem – powiedział James, ale ton jego głosu wskazywał na coś zupełnie innego. – Przed domem stoi samochód Serity. Mam ją zaprosić do środka?

– Nie. Muszę lecieć. – Całkowicie ignorując matkę, Laura włożyła płaszcz. Pocałowała ojca na pożegnanie. – Kocham cię, tatusiu – powiedziała.

Ojciec uśmiechnął się do niej, ale był to smutny uśmiech.

– Ja też cię kocham, skarbie.

– Lepiej już pójdę.

Laura podeszła do drzwi w milczeniu, ale na progu jeszcze się odwróciła. Spojrzała na rodziców patrzących na nią z wypisaną na twarzach troską. Nagle wydali jej się tacy mali, tacy łatwi do zranienia, a jednak znajomi; przy nich mogła się czuć bezpieczna. James i Mary Ayarsowie. Matka i ojciec.

Otworzyła drzwi i wyszła w zimną noc. Nie mogła wiedzieć, że już nigdy nie zobaczy ich razem.



Wiatr przeszywał ostrzami chłodu bostońską noc. T.C. objął się mocno ramionami, bezskutecznie próbując się ogrzać. O tej porze i przy tej temperaturze nie powinno się przebywać na dworze, należało raczej skulić się w łóżku, przykryć drugą kołdrą i oglądać możliwie najgłupszy program w telewizji.

Pochuchał w dłonie, schował je do kieszeni. Rękawiczki zostawił w domu i teraz powoli tracił czucie w dłoniach.

I w stopach. I jeszcze miał cholerną ochotę na cygaro, ale cygara wraz

z rękawiczkami zostały w ciepłym mieszkaniu.

Niech to diabli! Niech to wszyscy diabli wezmą!

Szedł wzdłuż Charles River. Przyspieszył kroku, bo chłód dokuczał mu już nie na żarty. Minutę później znalazł to, czego szukał.

Zobaczył Marka.

T.C. potrząsnął głową. Wiatr sprawił, że odczuwalna temperatura spadła poniżej zera, a Mark stał sam na zamrzniętym brzegu rzeki. W parku oprócz nich nie było nikogo. Młode pary, zazwyczaj często tu spotykane, od spaceru wolały ogień w kominku i nawet bezdomni wybrali schroniska, by nie ryzykować wystawienia na te arktyczne temperatury.

– Mark!

Wiatr porwał słowo, cisnął nim w mrok.

Mark odwrócił się powoli w jego stronę. Pomachał na znak, że jednak go usłyszał, po czym znów poświęcił się kontemplacji płynącej wody.

– Co ty tu robisz?

Otoczył ucho dłonią, dając do zrozumienia, że nie dosłyszał pytania. T.C. podbiegł do niego truchcikiem.

– Pytam, co ty tu robisz?

– Wyszedłem na spacer.

– Ta noc wydaje mi się trochę za chłodna na spacer. Mark wzruszył ramionami. T.C. zawahał się, a potem powiedział:

– Słuchaj, przepraszam. Przecież wiesz, że nie chciałem skrzywdzić Laury.

Jego przyjaciel powoli skinął głową.

– Wiem.

– Chyba mam tendencję do posuwania się za daleko. Próbowałem ją tylko ochronić.

– Daj spokój.

Powiew lodowatego wiatru przeniknął T.C. aż do kości. Nigdy nie lubił pocieszać zwierających mu się ludzi, nie był w tym dobry, ale ból wypisany na twarzy Marka był wręcz nie do zniesienia.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– O czym?

– O tym, co cię niepokoi.

– Przekwalifikowałeś się na psychiatrę?

– Nie. – T.C. pokręcił głową. – Jestem tylko facetem, który bardzo chce ci pomóc.

– Zrobiłeś dla mnie aż za wiele. Nigdy ci się nie odwdzięczę.

– Nie chcę, żebyś mi się odwdzięczał. Zrozum, że jestem twoim przyjacielem, a przyjaciół poznaje się podobno po tym, że sobie pomagają. Nie zrobiłbyś dla mnie tego, co ja zrobiłem dla ciebie?

– Nie ma mowy.

T.C. się roześmiał.

– Nadal dupek z ciebie. Pamiętam...

– Ostrożnie – przerwał mu Mark. – Koniec z przeszłością. Tego akurat nauczyłem

się od ciebie.

– Jasne. Przepraszam. Chcesz być sam?

T.C. nie od razu doczekał się odpowiedzi. Przyjrzał się przyjacielowi i zrozumiał, że tak, chce być sam. Zerknął na zegarek. I tak powinien już iść. Musiał być...

– Co ja robię? – spytał głośno Mark. – To znaczy, chodzi mi o to, czy postępuję właściwie.

– Pytasz o to rychło w czas.

– Nie zrobiłbyś tego samego?

– Nie. Ale to się łatwo mówi. Musiałbym wejść w twoją skórę.

– Dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

– Chcesz się dowiedzieć prawdy? Nic lepszego nie wpadło mi wówczas do głowy.

– A teraz?

T.C. wzruszył ramionami.

– Nie tylko ty zadajesz sobie pytanie: Co by było, gdyby...? Może nie powinniśmy posunąć się tak daleko? Może spanikowaliśmy?

– Co innego mogłem zrobić?

– Nie wiem. Nie wiem, czy miałbym odwagę zrobić to, co ty.

– Odwagę? – powtórzył Mark. – Co za cholerne gównu. To, co zrobiłem, nie wymagało krzty odwagi.

– Bardzo się mylisz, przyjacielu. Zrezygnowałeś z jedynej rzeczy, która coś dla ciebie znaczy, a to wymaga nie byle jakiej odwagi.

Mark Seidman lekceważąco machnął ręką.

– Nie miałem wyboru, o czym zresztą doskonale wiesz. I co się teraz ze mną dzieje?

– Przetrwaleś. Żyjesz. Mogło być gorzej. Mogłeś być martwy.

Mark uśmiechnął się smutno.

– Jak David Baskin?

– Coś w tym rodzaju.

– Gdy umierasz, przestajesz cierpieć, nie tak mówią?

– Może niektórzy.

– No to David nieźle się urządził, nie uważasz?

– Może. Kto wie?

– Och, skończ wreszcie z tym gównem. Nie jesteś lepszy od swoich przyjaciół z FBI.

– Co to niby ma znaczyć?

– Skończ wreszcie z Markiem. Przynajmniej kiedy jesteśmy sami. Przecież to nikomu do niczego niepotrzebne.

– Nie pamiętasz, co ci powiedziałem w czerwcu?

– Jasne, że pamiętam. Powiedziałeś, że jeśli podejmiemy tę popapraną decyzję, to będziemy musieli postępować dobrze. Czyli zamordować Davida Baskina, zamordować go skutecznie, żeby nie mieszał nam w głowach.

– Więc nawet kiedy jesteśmy tylko my, David Baskin nie żyje.

– Ale on żyje – zaprotestował Mark. – Daliśmy mu nowe imię, zmieniliśmy twarz,

głos, nawet kolor oczu, ale go nie zabiliśmy. Nadal żyje i chce grać w koszykówkę. Nadal jest twoim najlepszym przyjacielem. Ale najważniejsze jest to, że nadal...

– ...kocha Laurę – dokończył T.C. za przyjaciela.

Mark skinął głową.

– Więc pozwól mi trzymać się Davida, przynajmniej wtedy, kiedy jesteśmy sami. Będziesz jedynym człowiekiem na świecie wiedzącym, że David żyje. Nie chcę, żeby on umarł, nie chcę być tylko Markiem Seidmanem. Mark Seidman to postać fikcyjna, której zresztą do końca nie rozumiem. Facet prawie nie zna Laury.

T.C. pokręcił głową.

– Musisz go zaakceptować. Musisz dać sobie spokój z przeszłością.

– Nie jestem Markiem Seidmanem. On nie istnieje. Chirurgia plastyczna nie zmieni mnie w kogoś, kto nie kocha Laury.

– Jak brat?

– Załatwiłeś mnie. – Mark roześmiał się niewesoło.

– David Baskin był cholernie fajnym facetem. Kochał Laurę mocniej niż jakkolwiek mężczyzna przed nim jakkolwiek kobietę. Ale także poznał bardzo nieprzyjemną prawdę i zaakceptował ją.

– Mogliśmy przez to przejść. Byłoby trudno, ale przecież się kochaliśmy.

– Chcesz spróbować? – spytał T.C. – Chcesz teraz wyjawić jej prawdę?

Mark milczał chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nie.

– Tak właśnie myślałem.

– Więc co teraz?

T.C. wzruszył ramionami.

– Chodźmy stąd. Powoli zamarzam na śmierć.

– Idź. Wróć do domu za chwilę.

– Jesteś pewien?

Przyjaciel skinął głową. T.C. odwrócił się i odszedł.

Mark nie odrywał oczu od mgły, unoszącej się nad powierzchnią wody niczym tani efekt specjalny z tandetnego horroru. Myślał o tym, co mogło być, co powinno być, przeszłość i przyszłość mieszała mu się w głowie w jedną tajemniczą rzeczywistość. Tylko myśl o jednym pozostawała czysta, jasna.

Laura.



Serita zatrzymała się przed domem Laury.

– Chcesz, żebym odprowadziła cię do mieszkania?

– Dzięki za wszystko. Dlaczego nie pojedziesz do siebie i nie prześpisz się trochę?

– Mogę? Jesteś pewna?

Laura skinęła głową.

– Potrzebuję czasu, żeby usiąść spokojnie i wszystko przemyśleć.

– Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dobrze? Nawet jeśli będziesz potrzebowała kogoś do rozmowy o głupotach o czwartej nad ranem.

– Jeśli do czegoś takiego dojdzie, ty dowiesz się pierwsza. Jesteś dobrą przyjaciółką, Serito.

– Najlepszą.

Laura weszła do domu, mijając ochroniarza. Winda czekała na parterze. Wcisnęła przycisk swojego piętra, patrzyła, jak drzwi się za nią zamykają. Chwilę później była już na osiemnastym piętrze. Otworzyła drzwi, weszła do mieszkania. Pokój dzienny był ciemny, tylko w kącie paliła się lampa. Zaskoczona Laura gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– To ty...?

Pobiegła przez pokój do siostry czekającej na nią z zaciśniętymi ustami i rozszerzonymi, lecz nic niewidzącymi oczyma.

– O co chodzi? Co się stało?

– O Boże, Boże, błagam...

Laura przytuliła siostrę mniej więcej w ten sam sposób, w jaki tuliła ją, kiedy w dzieciństwie Gloria śniła straszne koszmary. W tej chwili doskonale rozumiała to, o czym wspomniała jej matka: więź między siostrami. Siostry mogą się z sobą nie zgadzać, mogą się kłócić, mogą być z innych światów, ale są z sobą nierozzerwalnie związane w sposób, którego same nigdy nie rozumieją.

– Co się stało? – spytała Laura łagodnie. – Stan znowu coś zmalował?

Gloria podniosła na nią smutne, przekrwione, podpuchnięte oczy.

– Nie żyje.

Laura była pewna, że się przesłyszała.

– Co?

– Nie żyje. – Jej młodsza siostra skinęła głową.

– Zastrzelili go dziś w południowym Bostonie. Przyjechałam wprost z posterunku. Policja mówi, że przeprowadzi śledztwo, ale ich to nic nie obchodzi. Nikogo to nic nie obchodzi! Ludzie myślą, że był hazardzistą i zwykłym śmieciem, który raz zagrał z niewłaściwymi ludźmi i dostał kulę w serce. Nic ich nie obchodzi, kto go zamordował.

Laura milczała. Rzeczywiście, na mężczyznach z rodziny Baskinów musiała ciążyć klątwa. Trzech nie żyło, wszyscy zamordowani w kwiecie wieku. A co z klątwą ciężącą na kobietach, które po sobie zostawili? Co z ich złamanymi sercami i niespełnionymi marzeniami, zdruzgotanymi, wdeptanymi w błoto?

– Przestał grać, Lauro. Wiem, że mi nie uwierzysz, wiem, że postępował strasznie, ranił ludzi... ciebie też. Ale przestał. Już było lepiej. Kilka dni temu zadzwonił do niego jeden z bukmacherów z dawnych czasów bardzo zdziwiony, że Stan nie stawia...

Tuląc do siebie siostrę, Laura się rozplakała. Gloria mocniej się do niej przytuliła.

– Nie miałaś szansy poznać go bliżej. Nawet ja prawie go nie znałam. Był nieszczęśliwym człowiekiem, nie widziałam jeszcze nikogo tak nieszczęśliwego jak on. Ale zmieniał się. To było widać, to się czuło. I nie mówię tego jako kobieta zaślepiona miłością. Dostał wreszcie szansę, ostatnią szansę na prowadzenie normalnego, szczęśliwego życia. I ktoś mu tę szansę odebrał. – Bezskutecznie



próbowała powstrzymać łzy. – Odebrał ją także mnie.

– Tak mi przykro.

Gloria przymknęła oczy. Sięgnęła głęboko po ukryte rezerwy sił.

– Jego śmierć ma coś wspólnego z tym, co się teraz dzieje, prawda?

– Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiem, ale miałam okazję pomyśleć, przeanalizować, co wiem.

Ciocia Judy chciała porozmawiać z tobą o okolicznościach śmierci Davida. Nim sama zmarła, dała ci zdjęcie Sinclaira Baskina pochodzące sprzed trzydziestu lat. Tylko jedna osoba była świadkiem jego śmierci i mogła zidentyfikować zabójcę: Stan. No i on też został zamordowany. To wszystko jakoś się z sobą wiąże, prawda? Te zgony są z sobą powiązane: Sinclair, Judy, Stana... nawet Davida.

Laura pochyliła głowę.

– Tak sędzę – przyznała.

Siostra nie spuszczała z niej wzroku.

– A więc musimy się wszystkiego dowiedzieć.

Rozległ się dźwięk domofonu, połączonego ze stanowiskiem ochrony. Laura podeszła, wcisnęła odpowiedni przycisk.

– Tak?

– Jest tu pani Estelle – powiedział ochroniarz – i chce się z panią zobaczyć. Twierdzi, że ma ważną przesyłkę. Brzmi to trochę dziwnie, ale kazała powiedzieć, że dotyczy to czegoś, co zdarzyło się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku.

Laura spojrzała na siostrę.

– Czy paczka, z którą przyszła Estelle, ma z tym coś wspólnego? – spytała Gloria.

– Prawdopodobnie.

– Czy może stanowić jakiś ślad?

Laura skinęła głową.

– Być może znalazła coś, co za jednym zamachem odpowie na wszystkie pytania.

– Więc chcę ją koniecznie zobaczyć.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Laura ponownie wcisnęła przycisk.

– Proszę ją wpuścić – poleciła ochronie.

Gloria wstała. Nogi się pod nią trzęsły.

– Powiedz mi, o co chodzi, proszę – rzekła.

Laura podeszła do niej, zacierając ręce.

– Usiądź – poprosiła. – Powiem ci wszystko, co wiem.

Ostry chłód ciął noc niczym brzytwa, ale Mark nie zwracał na niego uwagi, jakby go w ogóle nie czuł. Ciałem znajdował się w terażniejszym świecie, lecz myślał o przeszłości, nie przejmując się lodowatym powietrzem i jego mroźnymi powiewami. Pamięcią wracał do siedemnastego czerwca i do Australii. Uśmiechnął się smutno. Miesiąc miodowy. Jakież cudowne wydawało mu się wówczas życie.

I jak szybko to się zmieniło.

W uszach ciągle brzmiał mu dzwonek telefonu w ich apartamencie. Pamiętał, jak podniósł słuchawkę i usłyszał pełen paniki głos Mary.

– Muszę się z tobą zobaczyć, Davidzie. Muszę z tobą porozmawiać.

– Gdzie jesteś?

– W Cairns. W hotelu Pacific International. Pokój sześćset siedem. Przyjedź do mnie natychmiast.

Zgodził się na rozmowę, bardziej zainteresowany niż przerażony. Zostawił recepcjonistce żartobliwą notkę, zwirową ścieżką doszedł do drogi, na której zatrzymał taksówkę (jedyne na tej drodze samochód), i pojechał nią na wezwanie.

Teraz stał przy Charles River, o pół świata i całe życie oddalony od chwil szczęścia, ciepła i radości swego miesiąca miodowego. Czy wiedział wówczas, co mu się zdarzy? Czy Mary coś mu zasugerowała? Właściwie nie, tylko serce biło mu odrobinę szybciej i czuł w nim lekki ból, ukłucie strachu. Ale David nie mógł nawet podejrzewać, że samotną taksówką zmierza z nieba do piekła, że zostanie zraniony w sposób, przed którym nie mógł się obronić. Znowu poczuł znajomy ból; doznał go po raz pierwszy, kiedy usłyszał straszną prawdę.

– Nic mnie nie obchodzi, że to grzech. Kocham twoją córkę!

– Nie mówisz poważnie! Nie możesz tak mówić! Laura nie jest po prostu moją córką, Davidzie, lecz także twoją siostrą. Pomyśl o niej choćby przez chwilę. Zawsze chciała mieć dzieci, rodzinę. Właśnie tego nie możesz jej dać.

Przez ojca, niech go diabli wezmą, bezdusznego sukinsyna. Kiedy popełnił samobójstwo, David był jeszcze dzieckiem. W ogóle nie pamiętał ojca, nie zachował w pamięci nawet jego zamazanego obrazu. Dorastając, często zastanawiał się, jakim był mężczyzną, co mogło spowodować, że targnął się na swoje życie, kim trzeba być, by pociągnąć za spust i pozostawić żonę i dwójkę małych dzieci na łasce losu.

Być może teraz tego się właśnie dowiedział.

Sinclair Baskin. Mark zupełnie go nie pamiętał, a jednak ten człowiek zza grobu zniszczył wszystko, co dla jego młodszego syna miało jakiegokolwiek znaczenie. Ojciec stworzył Laurę i ojciec mu ją odebrał. Okrutna ironia losu.

– Więc powiem jej prawdę.

– Nie! Proszę, Davidzie, błagam. Jeśli powiesz jej cokolwiek, Laura straci ojca, którego bardzo kocha, a mnie nigdy nie wybaczy tego, co zrobiłam. Bardzo możliwe, że w końcu nie zostanie jej nikt. Musisz myśleć o tym, co dla niej najlepsze.

– Więc co mam zrobić?

– Zerwij z nią. Skończ z tym. Jeśli ją kochasz, odejź. Zranisz ją, zapewne pograżysz w rozpacz, ale w końcu przekonasz się ze zdumieniem, jak wiele może znieść serce.

Ale już wtedy David wiedział, że nie może zranić Laury i odejść w nieznane. Nie zdoła przecież powiedzieć głośno, że jej nie kocha, że cała miłość gdzieś się ulotniła. Serce tak bardzo pragnęło zignorować przerażającą rzeczywistość, ale wiedziało także, że każde słowo Mary jest prawdą. Jaki pozostawał mu wybór? Wszystkie marzenia o rodzinie i wspólnym życiu wdeptały w błoto ciężkie buty danych grzechów. On i Laura nie mogli już być razem, a powiedzenie o tym Laurze niczego by nie zmieniło, najwyżej skrzywdziło jej ojca i najprawdopodobniej oderwało ją od rodziny. A więc musi zostawić Laurę. Musi odwrócić się plecami do kobiety, która tyle dla niego znaczy.

Jak ma to zrobić? Jak powiedzieć Laurze, że jego miłość umarła? Jak powiedzieć jej, że ich wzajemna miłość była kłamstwem, skoro to ona tyle zaryzykowała i dała mu wszystko?

Uznał, że lepsza utracona miłość od przekonania, iż była niczym więcej niż oszustwem. Lepiej stracić ukochanego, choć to tragedia, niż poznać prawdę.

Zaczął obmyślać plan.

Odrętwiały David wyszedł z pokoju 607, zjechał windą do recepcji i zadzwonił do przyjaciela.

– Najpierw zadzwoni do ciebie – powiedział.

– A co z ojcem? – spytał T.C. – Z jej siostrą?

– Nie będzie chciała ich martwić. Jeszcze nie. Uzna, że będziesz wiedział, co robić.

– W porządku. Gdy tylko skończymy, zadzwoń do banku. Potem ukryj się i czekaj na mnie. Ja się wszystkim zajmę.

Tego dnia zmarł David Baskin, a narodził się Mark Seidman.

Mark odwrócił się i poszedł bulwarem. Twarz miał czerwoną od zimna, jego głowę otaczały kłęby pary dobywającej się z ust.

Przyszła pora na powrót do domu.



Estelle przestąpiła próg. Podczas lotu powrotnego przełożyła zawartość skrzynki depozytowej do dużej koperty i teraz wręczyła ją Laurze.

– Klucz otwierał skrytkę twojej ciotki w banku First National w Hamilton – powiedziała.

– Dziękuję ci, Estelle.

– Nie ma sprawy, szefowo. Masz dla mnie coś jeszcze?

Laura pokręciła głową.

– Do zobaczenia w poniedziałek. I jeszcze raz dziękuję.

– No to do widzenia.

Laura zamknęła drzwi za sekretarką i wróciła na kanapę.

– Czego szukamy? – spytała ją Gloria.

– Właściwie nie wiem – przyznała jej siostra. – Przypuszczam, że powinno to mieć coś wspólnego z Sinclairem Baskinem. Na przykład stare fotografie.

– No to do roboty.

– Jesteś pewna, że sobie poradzisz?

– Najzupełniej.

Laura wzięła nóż do papieru i rozcięła kopertę, zawartość wysypała się na poduszki kanapy. Zabrała się do jej przeglądania.

– Co to takiego? – zainteresowała się Gloria.

– Obligacje skarbowe. Mama też ich trochę ma. Dostały je od babci.

– Lauro, chyba nie sądzisz, że mama mogła kogoś zabić?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Ale też do głowy mi nie przyszło, że weźmie sobie kochanka i zdoła oszukać nas wszystkich.

– Przecież to szaleństwo! Co się dzieje? Dlaczego wszyscy giną zamordowani?

Pamiętnik leżał tylną okładką do góry, ale Laura wiedziała, że to właśnie jego szuka.

– Znalazłyśmy – oznajmiła.

– Co?

Laura pokazała jej pamiętnik z datą 1960. Gloria aż westchnęła.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. Czy to nie rok, w którym matka miała tę swoją przygodę?

Starsza siostra skinęła głową.

– To jest to, co morderca chciał spalić. Judy trzymała kolejne tomy swego pamiętnika w gabinecie. Spłonęły wszystkie.

– Z wyjątkiem tego.

– Właśnie.

Laura zacisnęła dłonie na starym tomie, a kiedy go otworzyła, natychmiast rozpoznała pismo cioci Judy. Niewiele się zmieniło przez trzydzieści lat. Niektóre litery wydawały się wyższe, pióro lżej dotykało papieru. Ale co do tego, kto trzymał pióro, nie mogło być wątpliwości.

Gloria przysunęła się do niej.

– Zaczynaj czytać, Lauro – poprosiła.



James wyjął z lodówki jabłko. Jego żona leżała już w łóżku, w ciemności, lecz z otwartymi oczami. Pomyślał, że oboje nie zaznają snu, w każdym razie nie tej nocy. Oboje wypowiedzieli słowa, których lepiej było nie mówić. Wyciągnęli na światło dzienne sekrety, które lepiej było zostawić pogrzebane na zawsze.

Odgryzł kawałek jabłka. Należał do ludzi przywiązujących wielką wagę do zdrowia. Nie pozwalał trzymać w domu cukierków, ciast i lodów. Jeśli ktoś chciał coś przekąsić, miał do wyboru rodzynki, orzechy, ciasteczka ryżowe i mnóstwo

przeróżnych owoców. Sam najbardziej lubił jabłka. Mekintosze.

Siedział samotnie w ciemnej kuchni. Wystarczyła mu lampa w korytarzu rzucająca wielkie cienie na obszerne, białe pomieszczenie. W piżamie i szlafroku było mu zimno. Marzył w samotności. Tak ciężko pracował, by rodzina była razem, szczęśliwa, zamożna; kiedy popełnił błąd? Kiedy wszystko, na czym mu zależało, zmiażdżył ciężar oszustw i kłamstw?

Kolejny kęs jabłka. Niemal czuł już na policzkach wilgoć łez, powstrzymał płacz w ostatniej chwili. James Ayars nigdy nie płacze. Jest silny i pozostanie silny, jakoś ocali rodzinę przed przeszłością. Trzydzieści lat temu żona próbowała go oszukać. Jej kłamstwa rozrastały się przez lata jak tocząca się po górskim zboczu śnieżna kula. Nic się nie zmieniło. Kłamstwa nadal rządziły ich życiem. Dzisiejszy wieczór był tego najlepszym przykładem.

Mary. Jego boleśnie wręcz piękna żona potrafiła go oczarować, uwieść, przekonać do ignorowania i wreszcie zapomnienia tego, co zrobiła. James zawsze wiedział, kiedy kłamie. Już od dawna wiedział o przygodzie żony sprzed trzydziestu lat. Nie wiedział, z kim go zdradza, kiedy i jak. Ale o zdradzie wiedział od dawna.

Wstał, wyrzucił ogryzek do kosza, przeszedł korytarzem do swego gabinetu. Dziś Mary znów mu skłamała. Laura także. Nie przerwał zwykłej rozmowy matki z córką, nie, ich rozmowa była znacznie poważniejsza. W Chicago Laura czegoś się dowiedziała, a po powrocie do Bostonu natychmiast przyjechała do domu rodziców. I tak przycisnęła matkę, aż ta pękła.

Ile powiedziała córce?

Tego James nie wiedział. Był pewien, że nie więcej niż to absolutnie konieczne. Ale niewątpliwie rozmawiały o przeszłości. Laura poznała prawdę na tyle, by zagroziło to samemu istnieniu rodziny tak mu drogiej.

Działo się bardzo źle. Ich wspólne życie opierało się na oszustwach, ale oszustwa nie mogły już niczego połączyć i wszystko rozpadało się na jego oczach. Musi zrobić coś, co zlepi luźne kawałki, nim rozlecą się niczym niesione wiatrem ziarnka piasku.

Ale co? Co może zrobić, jak ocalić rodzinę?

Zrobię, co trzeba, postanowił. Wszedł do gabinetu, włączył światło. Długi płaszcz wisiał na wysokim mosiężnym wieszaku, który dostał od Mary w zeszłym roku, na rocznicę ślubu. Pasował bezbłędnie do wnętrza: półek z polerowanego dębu, na których stały książki medyczne, antycznego globusa, perskiego dywanu. Dla Jamesa jego gabinet był najważniejszym z pokoiów tego wielkiego domu. To tu myślał, to tu planował reakcje na życiowe ciosy i strategie mające go przed nimi obronić.

Sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyjął z niej rewolwer. Przyglądał mu się przez długą chwilę zafascynowany jego potęgą, po czym przeszedł przez gabinet, wyłączył światło i wyszedł z domu, nie oglądając się za siebie.

Gdyby się obejrzał, zapewne dostrzegłby żonę, choć ukryła się w cieniu.



Minęło kilka godzin. Ile? Tego nie potrafiłaby powiedzieć ani Laura, ani Gloria. Wskazówki zegara kręciły się wkoło niczym w komiksowej historyjce. Nadszedł

wschód słońca. Laura czytała bez wytchnienia. Jej oczy wypełniły się łzami. Słowa dziennika pisała znana jej od dzieciństwa ciotka, ale taka, o której istnieniu nie miała pojęcia. Judy Simmons pełna nadziei, marzeń, cudownego optymizmu młodości. Wielokrotnie, nie troszcząc się o dobór słów, zachwycała się pięknem kwitnących kwiatów i błękitem nieba, a także wyrażała rozpalającą jej serce nadzieję, że zostanie wielką pisarką. Chciała mieszkać w Paryżu, mieć rodzinę, na lato wyjeżdżać do Cannes, publikować bestsellery.

Serce Laury przepełniał żal. Żadne z tych marzeń się nie spełniło. Gdzieś, kiedyś, każde z nich najpierw zmieniło się we własny cień, a potem znikło. W jaki sposób, stało się jasne szesnastego lutego.

16 lutego 1960

*Dziś spotkałam najprzystojniejszego i najbardziej uroczego mężczyznę na świecie. Jest profesorem w Brinlen College, nazywa się Sinclair Baskin. Teraz rozumiem, co oznaczały słowa z książek mówiące o niepohamowanym pożądaniu i o bohaterkach gotowych zrobić wszystko, by być blisko swych mężczyzn...*

Niektóre fragmenty Laura czytała głośno, przez inne tylko prześlizgiwała się wzrokiem. Związek Judy Simmons i Sinclaira Baskina ewoluował w błyskawicznym tempie. Judy szybko dowiedziała się, że profesor Baskin jest żonaty i ma dwójkę dzieci, ale „szybko” i tak oznaczało „za późno”. Sama przyznała, że miłość nie tylko oślepia, że może także uczynić kobietę okrutną i samolubną. Skłaniać ją do robienia rzeczy, których nigdy nie potrafiłaby nawet sobie wyobrazić.

24 lutego 1960

*Kocham go. Nic nie poradzę na swe uczucia, bo nie są one jak krany w łazience, które można odkręcać i zakręcać, puszczać ciepłą lub zimną wodę zależnie od ochoty. Znam przeszłość Sinclaira. Wiem, że nie jestem jego pierwszą kobietą. Ale wiem też, że jestem dla niego kimś wyjątkowym. Ludzie zechcą nazwać mnie beznadziejnie naiwną, ale znam prawdę. Rozpoznaję ją po tym, jak na mnie patrzy.*

Słowa ciotki więziły Laurę niczym w klatce. Schwyciły ją w sieć 1960 roku, nie pozostawiając wyboru; mogła tylko czytać dalej. Jakże chciała przenieść się w czasie, ostrzec Judy przed profesorem Baskinem. Jakże pragnęła sięgnąć poza zakłęcie stron pamiętnika do rzeczywistości, w której mogłaby mocno nią potrząsnąć.

18 marca 1960

*Nigdy nie byłam taka szczęśliwa, nie wiedziałam nawet, że takie szczęście może istnieć. Utrata Jamesa okazała się nieszczęściem błogosławionym w skutkach. On i Mary są szczęśliwi, a teraz i ja żyję w ekstazie. Czyż życie może być piękniejsze? Wątpię. Miłość przepelnia całą mnie; gdybym była naczyniem, zapewne już by się z niego przelała. Pragnę krzyknąć z dachów wieżowców: Kocham cię, Sinclairze! On sam zaczął mówić o rozwodzie, choć związana z tym konieczność skrzywdzenia synów boleśnie rani mu serce. Stan ma zaledwie dziesięć lat, David tylko kilka miesięcy. Ale nam przeznaczone jest być razem i już wkrótce będziemy. Odrobina cierpliwości...*

Słów poświęconych miłości było znacznie więcej, całe strony peanów ku jej czci, napełniających oczy Laury świeżymi łzami. Przeczytała o meczu softballu, po którym zrobione zostało zdjęcie, o spacerach w dzień i o nocach pełnych miłosnych uniesień. Dla niej pamiętnik był niesamowitą powieścią z aż nazbyt rzeczywistymi bohaterami. Obserwowała Judy przemierzającą tanecznym krokiem pole minowe. Wykrzyczała ostrzeżenie, ale ciotka nie mogła jej przecieć usłyszeć. Był marzec 1960 roku i jej, tak

młodej, nie obchodziło to, co miało nadejść. Świat był jasny, świat był słoneczny i nikomu nie pozwolił sobie wyjaśnić, że może być zupełnie inny. Laura pragnęła w jakiś sposób zamknąć ją w tym świecie, zawiesić jej wspomnienia z marca 1960, ale czas pamiętnika biegł nieubłaganie. Następną stroną: kwiecień. Marzec odszedł na zawsze.

3 kwietnia 1960

*Dziś wybieramy się z wizytą do rodziny. Nie spodziewam się, by podzielali moje szczęście. Wątpię, czy zrozumieją.*

*Ale jak zaprzeczę temu, że moja twarz świeci wewnętrznym blaskiem? Jak może niepokoić ich nadze szczęście? Będą musieli nas zaakceptować. Zechcą nas zaakceptować. Oczywiście, rodzice nie będą zachwyceni tym, że Sinclair jest żonaty, ale miłość zwycięża wszystko, prawda? Opiszę, jak nam poszło, kiedy wrócimy.*

*Później: coś się dziś zmieniło. Nie wiem co. U rodziny wszystko poszło dobrze, tak dobrze, jak można się było spodziewać. Rodzice byli zaniepokojeni, ale zachowywali się bardzo uprzejmie. Mary łatwo dogadała się z Sinclairem, James zresztą też. Prawdę mówiąc, rodzina zareagowała dokładnie tak, jak się tego spodziewałam, więc skąd w mej duszy te mroczne podejrzenia? Chodzi*

– Pojmij, czym jest to coś! – krzyknęła Laura. – Odejdź od niego, odejdź!

– Była bardzo młoda – powiedziała Gloria. – I bardzo zakochana.

– A on miał żonę i dwóch synów.

Starsza z sióstr uśmiechnęła się smutno.

– Gdybyś ty dowiedziała się, że David jest żonaty... czy to by coś zmieniło?

– Oczywiście!

– Naprawdę? Bądź uczciwa wobec samej siebie.

Laura próbowała zepchnąć to oskarżenie gdzieś w kąt, ale to nie całkiem jej się udało. To znikало, to znów pojawiało się, ale cały czas czuła jego obecność.

17 kwietnia 1960

*Może życie się kończy. Słońce już nie wstaje, kwiaty nie kwitną. Coś odbiera mi Sinclaira, gorzej, coś go niszczy. Spotkałam się z nim dzisiaj, miałam nadzieję, że mi się zwierzy. Zachowuje się dziwnie od dwóch tygodni, od odwiedzin u rodziców. Spytałam go, co się stało.*

*– Nic – powiedział cicho. – Ale pojawiły się problemy.*

*– Problemy? – zdziwiłam się.*

*Skinął głową.*

*– Sądzę, że powinniśmy się rozstać.*

*I wtedy moje serce rozpadło się, rozpadło się w dusznym, zawałonym księżkami pokoju, wśród wydań Keatsa, Browninga, Szekspira i Dantego.*

*„Sądzę, że powinniśmy się rozstać”.*

*Pięć słów. Moje życie zniszczyło pięć słów. A przecież spośród wszystkich ludzi na świecie właśnie ja nie powinnam się temu dziwić, bo wiem, że słowa potrafią być wszechmocne. Na poziomie intelektualnej analizy wszystko jest w porządku, ale serce to narząd znający wyłącznie uczucia. Najpierw odebrano mi Jamesa, a teraz traciłam Sinclaira.*

*– O co ci chodzi? – spytałam głupio.*

*Był bardzo zdenerwowany. Odpalał papierosa od papierosa. Czy miał przekrwione, podkrążone, włosy rozczochrane. Nie golił się od tygodnia.*

*– Między nami wszystko skończone – powiedział rzeczowo. – Trzymaj się jak najdalej ode mnie. Mam żonę, dzieci.*

– Sukinsyn – powiedziała Laura.

– Czytaj dalej.

Mniej więcej przez miesiąc Judy pogrążona była w depresji. Próbowała wszystkiego, ale nic nie pomagało jej zapomnieć o Sinclairze Baskinie. Nie mogła

przestać się zastanawiać, co go zmieniło. Czy odczytując jego uczucia, mogła aż tak się mylić, czy przez cały czas ją okłamywał? Nie sądziła, by było to możliwe. W każdym razie młoda Judy obciążała winą coś innego. Pisała o „czymś obcym”, co skrzywiło jego sposób patrzenia na świat, i o tym, że kiedyś znowu zobaczy światło. Trzeba czekać. Sinclair powróci do niej, jeśli tylko jej wystarczy cierpliwości. Tak więc Judy czekała pewna, że któregoś dnia znów połączą się na wieczność. Przecież miłość zwycięża wszystko.

Pod koniec maja zdarzyło się coś, co zmieniło jej przekonania i sprowokowało reakcję, która na zawsze odmieniła życie wielu osób.

27 maja 1960

*Ciało nadal mam jak odrętwiałe. Ująć pióro, pisać pamiętnik... nawet to było trudne. Nie potrafię ocenić tego, co się dzisiaj stało, mogę tylko zrelacjonować wydarzenia tak, jak się działy, jedno po drugim.*

*Rankiem zadzwoniła do mnie Mary. Wpadła w panikę.*

*– Mogę przyjść? – spytała. – Muszę z tobą porozmawiać. Muszę!*

*– Oczywiście.*

*– Będę za godzinę.*

*Spędziłam tę godzinę w moim pokoju w akademiku, porządkując szafę i robiąc notatki do nowego opowiadania. Mary zapukała do moich drzwi punktualnie o dziesiątej rano. Weszła, a mnie jej uroda uderzyła jak zawsze. Mieszkałam z nią całe życie, lecz jej uroda nadal budziła mój podziw. Wiedziałam też, że używa piękna jako niebezpiecznej broni. Nie sądziłam jednak, że może to być broń śmiertelna.*

*– Jestem w ciąży – powiedziała, patrząc na mnie z przerażeniem.*

*– To cudownie – ucieszyłam się. Taka byłam naiwna.*

*– Gloria doczekała się wreszcie braciszka. Albo siostrzyczki.*

*– Nie rozumiesz. Dziecko...*

*– Tak?*

*– Dziecko... nie jest Jamesa.*

*Westchnęłam głośno.*

*– Jak... jak to możliwe?*

*Mary się rozpląkała. Boże, nawet jej Izy były śmiertelną bronią.*

*– Mam kochanka.*

*– Ty?*

*Skinęła głową.*

*– Wcale nie chciałam, żeby do tego doszło, ale cały czas jestem sama, tylko z Głorią. James pracuje tak ciężko... nigdy nie ma go w domu... no i pojawił się ten uroczy mężczyzna...*

*Nie przestawała mówić, obciążała winą wszystkich, cały świat, tylko nie siebie.*

*– Powiedziałas mu? – przerwałam jej żale.*

*– Chce, żebym zrobiła test. Dla pewności.*

*– Mnie wydaje się to całkiem rozsądną radą.*

*Mary pokręciła głową.*

*– Zrobię sobie ten głupi test, Judy, ale znam prawdę. Wiem, że jestem w ciąży. Czuję to.*

*Zrobiłam nam herbatę i zadałam najbardziej oczywiste pytanie tylko dlatego, że byłam ciekawa, bo w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodziło.*

*– Znam tego mężczyznę?*

*Mary gwałtownie podniosła głowę, spojrzała na mnie.*

*– Mój Boże, zapomniałam. Ty nic nie wiesz...*

*– Oczywiście, że nie wiem – przyznałam nadal uśmiechnięta. – Skąd mam wiedzieć?*

*– Myślałam, że może ci powiedział.*

*– Kto?*

*– Sinclair.*

*Nie pamiętam, jak dalej potoczyła się rozmowa. Przestałam myśleć i nie myślałam aż do tej chwili. Kiedy wypowiedziała imię Sinclaira, mój świat się zawalił, lecz jednocześnie stał się krystalicznie czysty. Piękno Mary. To był ten obcy czynnik, siła, która zabrała mi najpierw Jamesa, a teraz mojego Sinclaira. Dlaczego nie powstrzymałam jej dawno temu? Dlaczego nie zniszczyłam tej cudownej urody w dzieciństwie? Jako dziecko sypiałam obok niej, przyjaźniłam się z nią, widziałam, jak dorastała. A teraz ona niszczyła mnie...*



Laura przeczytała wpis na następny dzień, a potem przeczytała go jeszcze raz, i znowu. Miała nadzieję, że za którymś razem słowa powiedzą jej co innego, niż powiedziały. Ale za każdym razem mówiły to samo.

– Lauro? – zawołała Gloria.

– Tak?

– Czytaj dalej.

Zabrakło jej sił. Oddała pamiętnik siostrze.



Mark Seidman nie umiał się pozbyć pewnych zwyczajów Davida Baskina, a jednym z nich był poranny trening. David uwielbiał zjawiać się w Boston Garden o brzasku; wchodził bocznym wejściem i przez kilka godzin trenował całkiem sam. Odprężało go to, pomagało zapomnieć, pomagało pamiętać.

Rano miał całą halę dla siebie; Joe, szef obsługi od dwudziestu paru lat, pojawiał się dopiero o ósmej. Mark był sam na sam ze swoimi myślami i otaczającymi go legendami. Wyjął z torby piłkę, pokozłował; basowy stuk odbił się echem po hali, od parkietu po dachowe krokwie, z których zwisały flagi mistrzostw NBA. Piętnaście tysięcy pustych siedzeń na trybunach śledziło jego sposób poruszania się na boisku i zwody; piłka tańczyła, przelatując z ręki do ręki za plecami i między nogami.

Zatrzymał się, rzucił z wysoko. Wypchnięta palcami piłka wyleciała łukiem w powietrze, zatrzepotała w siatce. Ach, ten rzut. Wyjątkowy, niewątpliwie przydatny w trakcie meczu, strasznie przeszkadzał w utrzymaniu nowej tożsamości w tajemnicy. Według Mike'a Logana z „Boston Globe” tylko jeden gracz w lidze potrafił efektywnie naśladować rzut Davida: Mark Seidman.

David pokręcił głową. Gdyby Logan znał prawdę! Gdyby oni wszyscy znali prawdę. Ale nie mieli podstaw, by się jej domyślić, ponieważ nic nie wskazywało na to, by David Baskin żył. Tylko ktoś, kto znał jego sytuację, mógłby dojść prawdy o Baskinie. Taki ktoś się znalazł, wyciągnął prawidłowe wnioski z tego, co widział, i naraził się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Judy nie żyje.

Jak wszyscy kibice Judy dostrzegła podobieństwo rzutu Marka do rzutów Baskina. W odróżnieniu od wszystkich kibiców znała jednak przeszłość wystarczająco dobrze, by uświadomić sobie, że tych dwóch to jedna i ta sama osoba, że David nie utopił się w Australii, że zainscenizował swoją śmierć i przyjął nową tożsamość. On sam od początku dopuszczał możliwość, że ciotka nie da się oszukać, i godził się z ryzykiem. W końcu wiedziała, że on i Laura są rodzeństwem. Zrozumie, dlaczego sfingował własną śmierć, nie będzie się wtrącała.

– Nic nie rozumiesz, prawda?

– O co pani chodzi?

– Sądzisz, że wiesz, co robisz, ale wcale nie wiesz. Są w tej sprawie szczegóły, które przed tobą zatajono.

Nie miał wątpliwości, że Judy została zamordowana. Ale dlaczego? Czyżby ktoś nie chciał dopuścić, by powiedziała prawdę, ujawniła, co się naprawdę stało? Czy

Mary bała się, że jej siostra zdradzi siostrzenicy skrzętnie ukrywaną tajemnicę? Być może, ale żeby zamordować? Czy Mary mogłaby zabić własną siostrę?

David nie sądził, by było to prawdopodobne.

Kilkakrotnie rzucił z dwutaktu, zastanawiając się jednocześnie, co właściwie powinien teraz zrobić. Nie może przecież udawać, iż wierzy w przypadkową śmierć Judy i to, że pożar w żaden sposób nie łączy się z jego zniknięciem sprzed sześciu miesięcy. Wszystko razem jest jedną wielką tajemnicą. Nic nie miało sensu. Dlaczego Judy w ogóle do niego zadzwoniła? Dlaczego chciała doprowadzić do jego spotkania z Laurą? Jeśli się głębiej nad tym zastanowić, zawsze popierała ten związek. Od samego początku. Mary martwiła się i robiła wszystko, by odseparować brata od siostry, Judy wspierała ten związek. Dlaczego? Dlaczego nigdy nie próbowała doprowadzić do ich zerwania?

Pytania, pytania, pytania. I żadnych odpowiedzi. David podszedł pod kosz, wyskoczył, wykonał wsad tak gwałtowny, że aż zadrżała tablica.

„Są w tej sprawie szczegóły, które przed tobą zatajono”. Jakie to szczegóły, Judy? Jakie?



Gloria wzięła pamiętnik z rąk siostry.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Laura pokręciła głową.

– Nie wiem, co robić – powiedziała bezradnie.

– Z czym?

Spojrzała na Glorię.

– Sama zobacz. Czytaj.

28 maja 1960

*Zemsta. Czy dziś wieczorem chodziło mi o zemstę? Jeśli tak, powinnam pamiętać, że zemsta jest obosieczną bronią. Obawiam się, że zrobiłam coś złego. Niestety, ty, mój pamiętniku, nie chcesz słyszeć moich opinii, lecz fakty.*

*A więc...*

*Kiedy obudziłam się dziś rano (obudziłam? przecież nie spałam), wiedziałam już, co powinnam zrobić. Powinnam się zemścić. Mary ukradła mi dwóch mężczyzn, pora na rewanż. Odwiedziłam Jamesa w szpitalu...*

Gloria podniosła głowę znad pamiętnika.

– Chryste, ona tego nie zrobiła. Powiedz mi, że ona tego nie zrobiła!

– Czytaj dalej.

*James przywitał mnie w swym nowym gabinecie, urządzonym nienagannie w typowym stylu lekarskim z dyplomami i pismami medycznymi do kompletu. Był z niego bardzo dumny. Nie omieszkał pochwalić się na wstępie, że jest jedynym doktorem na stażu specjalizacyjnym w szpitalu, dysponującym własnym gabinetem. Nawet się nie zdziwiłam. Zawsze wiedziałam, że James odniesie sukces. Kiedyś go kochałam. Kochałam go od dnia naszego pierwszego spotkania aż do dnia jego ślubu z Mary. Kiedy rzucił mnie dla niej, byłam zdruzgotana. Myślałam, że moje złamane serce nigdy się nie wyleczy. Ale wyleczyło się, a w każdym razie zaczęło leczyć, kiedy poznałam Sinclaira. To on wyrwał mnie spod uroku Jamesa, który teraz był dla mnie tylko sympatycznym mężczyzną i wcieleniem ideału męża.*

*Czy napisałam, że nic już do niego nie czułam? To nie tak, jest jednak prawdą, że bardziej chciałam*

odebrać go Mary, niż mieć go dla siebie.

Rozmawialiśmy chwilę o głupstwach, ale towarzyska rozmowa z Jamesem trwa z reguły bardzo krótko, zwłaszcza kiedy pacjenci czekają. I teraz też szybko przybrał maskę uprzejmego chłodu, a jego głos zabrzmiał energicznie i bardzo profesjonalnie, co doskonale pasowało do jego wyglądu.

– Powiedziałaś, że masz do mnie jakąś pilną sprawę.

– Bo mam – przytaknęłam. – Tylko nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– Powiedzieć mi co?

Odetchnęłam głęboko, a potem udałam bardzo zmieszana.

– Czuję się tak niezręcznie...

– Dlaczego?

– Nie jestem zachwycona tym, że robi się z ciebie idiotę. – Sięgnęłam nad biurkiem, ujęłam jego dłonie.

– Był czas, kiedy wiele dla siebie znaczyliśmy. Pamiętasz, prawda?

– Tak, oczywiście – rzekł James niecierpliwie. – O co ci chodzi?

Wtedy to zrobiłam. Powiedziałam mu o wszystkim. Powiedziałam mu, że żona go zdradza. Że Mary sypia z Sinclairem Baskinem. I dodam, że jest z nim w ciąży.

Początkowo James nie reagował, tylko bawił się ołówkiem. Potem zacisnął wargi, a jego twarz zrobiła się czerwona. Ołówek pękł mu w dłoniach, przełamał się na pół. I nagle w powietrzu latały książki, krzesła, meble. Całkowicie stracił panowanie nad sobą, zachowywał się jak szalenciec. Próbowałam go uspokoić, zwracałam mu uwagę, że ktoś może coś usłyszeć, ale jego to nie obchodziło. Praktycznie rozniósł gabinet, z którego był taki dumny, aż wreszcie wściekłość ustąpiła zmęczeniu. Opadł na fotel (jedyną rzecz, która ocalała) i podparł głowę dłońmi.

Okrążyłam biurko.

– Nie bój się, James – powiedziałam. – Kocham cię.

Będę o ciebie dbała.

Podszłam do niego, położyłam mu dłonie na ramionach. Skrzywił się, jakby z obrzydzenia. Gwałtownie cofnęłam dłonie, jakby jego ramiona płonęły żywym ogniem. James powoli podniósł głowę. Spojrzał na mnie, w jego oczach płonęła nienawiść.

– Nie chcę ciebie – powiedział. – Chcę Mary.

Gloria oderwała się od lektury.

– Tata wiedział?

Laura skinęła głową.

– I nigdy nic nie powiedział? Wychował cię jak własne dziecko?

– Nie wiem, ale sądzę, że powinnyśmy czytać dalej.

– Dlaczego?

– Ten wpis był z dwudziestego ósmego maja?

– I co z tego?

– Następnego dnia zginął Sinclair Baskin.

29 maja 1960

Pomóż mi, Boże, co ja zrobiłam? Sytuacja mnie przerosła, nie umiałam sobie z nią poradzić, a teraz wyrwała się spod kontroli. Zaczyna żyć własnym życiem, a ja nie wiem, do czego to doprowadzi. Obawiam się najgorszego, bo co innego może się zdarzyć...

Przed chwilą zadzwoniła Mary. Test ciążowy dał wynik pozytywny. Choć aż do tej pory James trzymał się doskonale, zazdrość już zaczęła pozbawiać go rozsądku. Co zrobi teraz, kiedy przypuszczenia stały się faktem?

Mary jedzie do Sinclaira przekazać mu wiadomość. Sinclairze, mój ukochany, co zrobiłeś? Rozumiem potęgę jej piękna, zmysłowy czar, który rzuca na mężczyzn. Ale czy nasza miłość nie była wystarczająco silna, by zwalczyć jej czar? Czy nasza miłość nie była wystarczająco potężna, by oprzeć się jej urodzie, odrzucić z taką siłą, żeby poleciała aż na Księżyc? Czy zmęczysz się nią wreszcie, wrócisz do mnie? Tak. Jestem pewna, że tak właśnie będzie. Muszę czekać.

Dalej:

Moje życie się skończyło. Wiedziałam, co się stało, gdy tylko dostrzegłam krew na koszuli Jamesa. Nie

*pokazałam po sobie niczego, ale moja dusza krzyczała tak głośno, że całe ciało wibrowało od tego krzyku.*

*– Nie chciałem – powiedział do mnie głosem, w którym brzmiały nuty hysterii. – Chciałem tylko stanąć z nim twarzą w twarz, stanąć twarzą w twarz z obojgiem. – Ręce mu drżały. – I wtedy to się stało.*

*– To się stało – powtórzył jakiś głos niczym echo. To chyba był mój głos.*

*– Podśluchiwałem pod drzwiami jego gabinetu, przyłożyłem ucho do drewnianej framugi. Nie potrafiłem uwierzyć w to, co słyszałem. Mary chciała mnie rzucić. Chciała uciec z sukinsynem.*

*Milczałam.*

*– Ale łobuz nie chciał jej słuchać. Wyrzucił ją z pokoju. Odnosił się do niej tak chłodno, tak... bez serca. Wiedział, że przez niego zamężna kobieta zaszła w ciążę, lecz mimo to wyrzucał ją z pokoju jak... jak wczorajsze śmieci.*

*– A co zrobiła Mary? – spytałam.*

*– Była w szoku. Nie potrafiła uwierzyć, że ją porzucił tak brutalnie. Nazwała go sukinsynem i wybiegła z gabinetu. Uskoczyłem za drzwi jakiegoś pokoju w korytarzu, przebiegła obok mnie, ale mnie nie widziała. Następne, co pamiętam, to rewolwer. Trzymam w ręku rewolwer.*

*– Nie! – krzyknęłam, a w głowie słyszałam inny krzyk: Sinclair nie żyje, Judy. James mógł pociągnąć za spust, ale to twoja zazdrość go zabiła.*

*James był jak w transie, oczy miał szeroko otwarte, wzrok zamglony.*

*– Opuściłem kryjówkę. Powoli szedłem korytarzem. Zajrzałem do jego gabinetu. Siedział w fotelu tyłem do mnie. Wyglądał przez okno. Podeszedłem bliżej. Zaciśnąłem dłoń na kolbie rewolweru. Ostatni raz miałem do czynienia z bronią w wojsku, ale teraz czułem się pewnie, wspaniale, jakby zrobiono ją specjalnie dla mnie. Kiedy obracał krzesło w stronę drzwi, przyłożyłem mu lufę do czoła. Zamarł na ułamek sekundy. Spojrzał mi w oczy, był przerażony, chyba wiedział, że za chwilę umrze. Nazwałem go sukinsynem i pociągnąłem za spust.*

– Tata? – spytała Gloria, choć doskonale znała odpowiedź na to pytanie. – Tata zabił Sinclaira Baskina?

Laura była zszokowana.

– I Judy... i nawet Stana...

– Nie! Nie on! Tata nie mógłby...

– A kto inny? Sama powiedziałaś, że Stan był świadkiem morderstwa i zapamiętał twarz sprawcy. Poznał tatę, kiedy zobaczył go na meczu. Nie ma innego wyjaśnienia.

– Niemożliwe.

– A Judy miała mi wszystko powiedzieć.

– Ale ja nie rozumiem – rzekła Gloria bezradnie.

– Dlaczego Judy czekała tak długo, dlaczego nie powiedziała o tym komuś przed laty?

– Nie jestem pewna, ale przypuszczam, że była nieprzytomna z przerażenia. Winiła siebie za to, co spotkało Sinclaira. Gdyby nie zdradziła zaufania siostry, nadal by żył. Mogła uważać się za współniczkę. A poza tym co dobrego by się stało, gdyby jednak przemówiła? Niczego by nie osiągnęła. Nie przywróciłaby Baskinowi życia.

– Więc dlaczego po tylu latach zmieniła jednak zdanie i postanowiła przemówić?

Laura zastanawiała się przez chwilę.

– Zapewne samobójstwo Davida uświadomiło jej wreszcie, że przeszłość nie odejdzie, choćbyśmy nie wiem jak bardzo sobie tego życzyli.

Gloria pokręciła głową.

– Przecież to nadal nie ma sensu. David utonął sześć miesięcy temu. Dlaczego aż do tej pory czekała ze zdradzeniem ci tej tajemnicy? A są jeszcze inne pytania. Co się stało z pieniędzmi Davida? Jakim cudem ktoś zdobył jego pierścień i podrzucił ci do sypialni?

– Nie wiem – przyznała Laura. – Ale może istnieje sposób, żeby się tego

dowiedzieć?

– Jaki?

Laura już wyjmowała płaszcz z szafy. Było wpół do siódmej rano. Lektura pamiętnika zabrała im całą noc.

– Zostań tu i czytaj dalej – zwróciła się do siostry. – Może znajdziesz jeszcze jakieś interesujące szczegóły.

– A ty dokąd się wybierasz?

Laura stała w drzwiach, w rękę trzymała kluczyki. Odwróciła się.

– Porozmawiać z tatą.

Gloria odwróciła stronę. Następny wpis dotyczył trzydziestego maja.



James prowadził bardzo szybko. Nie obawiał się, że policja ukarze go za przekroczenie dozwolonej prędkości. W końcu był wysokim rangą pracownikiem szpitala Boston Memorial. Lekarzem. Zawsze mógł powiedzieć, że wzywają go do nagłego przypadku. Kwestia życia i śmierci. To zawsze wstrząsało słuchaczami: kwestia życia i śmierci. Kiedy wypowiedział te słowa, wszyscy ci się podporządkowywali. Przypominałeś im, choćby na krótką chwilę, że są istotami śmiertelnymi.

Zatrzymał się przy bloku mieszkalnym na przedmieściach. Dzielnica należała do tych gorszych, ale policjantom nie płaci się znowu tak wiele. Spojrzał na zegarek na desce rozdzielczej. Wpół do siódmej rano. T.C. prawdopodobnie śpi. Trzeba go będzie obudzić. W końcu to pilna sprawa, kwestia życia i śmierci... dla nich wszystkich.

James wysiadł z samochodu. Od chwili gdy pół roku temu odebrał telefon Laury dzwoniącej z Australii, wiedział, że Mary znów go oszukała, że nie poleciała do Kalifornii, że ponosi odpowiedzialność za nagłe zniknięcie Davida. Lęk, który w tej chwili odczuwał, był zimny i mroczny. Jak mógł okazać się aż takim głupcem? Dlaczego nie przewidział, że to się może zdarzyć? Dlaczego nie znalazł sposobu, by powstrzymać żonę, nim zdążyła powiedzieć Davidowi cokolwiek?

Gdyby tylko zdołał ją powstrzymać! Gdyby tylko David jej nie wysłuchał, gdyby zignorował każde jej słowo i wrócił do Laury. Gdyby tylko...! Dwa słowa obejmowały sobą trzydzieści lat, stały się ważne w momencie, gdy to wszystko się zaczęło:

gdyby tylko Mary była wierną żoną, a nie tanią dziwką.

Niestety, stało się to, co się stało. Rozmyślenia o tym, co by było, gdyby... nie mogły zmienić rzeczywistości. A James musiał działać. Musiał ratować sytuację. Musiał ocalić to, co jeszcze było do ocalenia. Nie czas teraz na opłakiwanie przeszłości. Minęło za wiele czasu, zginęło za wielu ludzi.

Zapukał do drzwi. W kieszeni płaszczka miał rewolwer, na wszelki wypadek, gdyby T.C. nie wykazał należytej ochoty do współpracy. Miał nadzieję, że nie będzie go musiał użyć, jeszcze nie. W końcu chciał tylko uzyskać drobną informację: gdzie jest Mark Seidman.

A kiedy znajdzie Marka Seidmana, zrobi z broni dobry użytek.

James znów zapukał do drzwi. Dlaczego David nie utopił się w tej Australii? Gdyby się utopił, cały ten epizod byłby zbyteczny. Ale żył, więc stanowił zagrożenie dla jego rodziny. James posunął się o wiele za daleko, by teraz wszystko stracić. Trzeba będzie pociągnąć za spust ten jeden raz, a potem wszystko się skończy.

W drzwiach stanął T.C. Jego wygląd świadczył o tym, że jeszcze przed chwilą spał. Otworzył siatkowe drzwi, zmrużył zaspane oczy.

– Doktor Ayars?

– Możemy porozmawiać? Zajmę ci tylko chwilę. To ważne.

Policjant cofnął się, ustępując mu z drogi.

– Proszę wejść.

– Nie będę wchodził, nie chcę zabierać ci czasu.

– Proszę bardzo. Czym mogę panu służyć?

James oblizał wargi.

– Muszę znaleźć Davida.

– Co?

– Proszę nie próbować zrobić ze mnie durnia. Wiem, że David i Mark Seidman to jedna i ta sama osoba. Szczerze mówiąc, wiem o tym od dłuższego czasu.

– Nie wiem, o czym pan, do diabła...

– Proszę mnie wysłuchać. Wiem, że utonięcie Davida zostało sfingowane. Wiem, dlaczego David to zrobił. Nie zamierzam przysparzać nikomu problemów. Chcę tylko wiedzieć, gdzie go mogę znaleźć.

T.C. milczał.

– To kwestia życia i śmierci – ponaglił go James. – Życie Laury jest w niebezpieczeństwie. Nie mam żadnego interesu w zdradzaniu sekretów Davida. Chcę tylko zamienić z nim kilka słów.

T.C. wzruszył ramionami.

– David nie żyje, doktorze...

– Do diabła, Judy już została zamordowana. Skończ te gierki...

– ...ale – ciągnął spokojnie T.C. – jeśli chce pan porozmawiać z Markiem Seidmanem, w tej chwili jest on w Boston Garden i trenuje mniej więcej do ósmej. Jest sam. Nikt wam nie przeszkodzi w rozmowie.

– Wchodzi bocznym wejściem, jak David?

Policjant skinął głową.

– Dziękuję.

Doktor Ayars odwrócił się i odszedł. Doskonale. O tej porze w hali nie będzie nikogo oprócz nich. Podkradnie się, przyłoży mu lufę do głowy tak jak jego ojcu i strzeli.

Wreszcie wszystko się skończy.

Pobiegł do samochodu. Ręce trzymał w kieszeniach, jedną dłoń zaciskał na kluczykach, drugą na kolbie rewolweru.



Gloria postanowiła nie czytać zapisków z trzydziestego maja od razu. Pamiętnik Judy był niczym obrzydliwe lekarstwo, które można zażywać wyłącznie w małych dawkach, a dwudziesty dziewiąty maja nie był bynajmniej dawką małą.

Odłożyła książeczkę, poszła do kuchni, zrobiła sobie filiżankę kawy. Wyrzała przez okno; w tym mieszkaniu także wychodziło na Charles River. Przypomniała sobie, jak bardzo Stan lubił ten widok, jak chętnie spędzał czas na balkonie. W gruncie rzeczy był prostym człowiekiem. Prostym człowiekiem, który parę razy w życiu zбочzył z właściwej ścieżki, no i zablądził, nie potrafił na nią wrócić. A ona odnalazła go zabląkanego i właśnie wyprowadzała z ciemnego lasu, kiedy padł ofiarą zabójcy.

Nie, nie jakiegoś tam zabójcy, tylko jej ojca.

Jak to możliwe? – myślała. Jak to możliwe, że taki wspaniały, kochający człowiek jest w rzeczywistości takim potworem? Na to pytanie nie знаła odpowiedzi i wcale nie była pewna, czy chce ją poznać.

Wypiła łyk kawy, wróciła na kanapę, ujęła pamiętnik w dłonie. Kolejny dzień...

Trzydziesty maja 1960.

I nagle jej oczy się rozszerzyły.

Krew.

Słowa zatańczyły jej przed oczami, żołądek zacisnął się boleśnie. Obrazy, straszne, przerażające obrazy...

Krew, tyle krwi...

Oto ożywał jej najstraszliwszy koszmar, ścigał ją obrazem...

Krew.

...próbował zniszczyć. Była wtedy taka młoda; mała dziewczynka, dzięki Bogu nie pamiętała, co zaszło.

– Mamusiu! Mamusiu!

– Wyjdź stąd, Glorio. Wyjdź natychmiast.

Ale to się miało zmienić. Pojawiły się wizje. Nagle Gloria znów miała pięć lat, szła ciemnym korytarzem, tylko teraz pamiętała, dokąd idzie: do sypialni rodziców. Chciało jej się pić. Szukała wody. Zabrała z sobą Zajączka Uszatka i ruszyła do pokoju mamusi i tatusia.

Gloria o niczym nie marzyła tak jak o tym, by zamknąć teraz pamiętnik ciotki Judy i nigdy już go nie otworzyć, lecz jej oczy przywarły do kartek i słów. Te słowa otwierały drzwi do jej pamięci, zamknięte w dzieciństwie. Mała Gloria znów stała w drzwiach, wspinała się na palce, żeby sięgnąć klamki. Pod pachą trzymała Zajączka Uszatka.

– Wyjdź stąd, Glorio. Natychmiast.

Klamka obracała się w jej rączkach. Wkrótce Gloria zobaczy, co kryje się za drzwiami. Całe życie spędziła, próbując zapomnieć o tej chwili, ale teraz obrazy wracały. Chociaż zamknęła oczy, doskonale widziała uchylające się powoli skrzydło drzwi.

Zajrzała do sypialni rodziców. Przypomniała sobie. Krzyknęła.

Gloria odłożyła pamiętnik. Drżała na całym ciele. Słowa, które Judy zapisała

trzydziestego maja wyjaśniały wszystko. Była w nich prawda. Sama prawda. To ojciec zabił Sinclaira, Judy, Stana i...

... a co z Davidem?

Znów dzwoniła ochrona. Gloria podeszła do domofonu. Po drodze spojrzała na kuchenny zegar. Dochodziła siódma. Odwiedziny? O tej godzinie?

– Tak?

– Jest tu pan Richard Corsel. Chce się zobaczyć z panią Laurą. Twierdzi, że to pilne.

Laura wymieniła to nazwisko. Pracownik Heritage of Boston, ten, który przeprowadził transfer pieniędzy Davida.

– Proszę go wpuścić.

Usiadła i czekała. Rzeczywistość tego, co właśnie przeczytała, wnikała powoli do jej umysłu niczym cegła zapadająca się w ruchome piaski. Serce biło jej mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. Prawda stawała się jasna i była to prawda straszna, straszniejsza, niż potrafiłaby sobie wyobrazić. Chwyciła pamiętnik, przerzuciła kilka stron, wróciła do lektury. Wkrótce znalazła to, co podejrzewała. Słowa tylko potwierdziły jej najgorsze, najmroczniejsze obawy.

Matka się myliła. David i Laura nie byli bratem i siostrą.



Laura zatrzymała się na podjeździe. Wyskoczyła z samochodu. Tyle jeszcze było luk, które musiała uzupełnić: pierścień Davida pod poduszką, brakujące pół miliona i może ta jedna, najważniejsza: dlaczego Judy zwlekała tak długo, nim zdecydowała się mówić. Intuicja jej podpowiadała, że to sedno sprawy i odpowiedź na to właśnie pytanie sprawi, iż wszystkie elementy układanki trafią wreszcie na właściwe miejsca.

Nie pofatygowała się zadzwonić, uprzedzić rodziców o tak wczesnej wizycie. Po prostu otworzyła drzwi i weszła do przedpokoju.

– Laura?

Odwróciła się w kierunku, z którego dobiegł głos. Matka siedziała na kanapie owinięta szlafrokiem.

– Gdzie tata?

Twarz Mary spochmurniała.

– Nie ma go w domu.

– A gdzie jest?

– Nie wiem. Całą noc spędził w gabinecie. Och, Lauro, masz zamiar mu powiedzieć? Proszę...

– On wie – powiedziała Laura spokojnie. – Wie od trzydziestu lat.

Mary przechyliła głowę.

– Co?

– Judy powiedziała mu wszystko dzień po tym, gdy ty powiedziałaś wszystko jej. Mam pamiętnik cioci, ten z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Wszystko w nim opisała.

Na twarzy matki odmalowało się zdumienie.

– Ale to przecież niemożliwe. Nie zdradził się ani słowem.

– Judy była na ciebie wściekła za to, że odebrałaś jej Sinclaira. Wyjawiała tacie wszystko, traktując to jako swego rodzaju zemstę. Nie spodziewała się, że ojciec straci panowanie nad sobą. Zamordował go zaraz po tym, jak wyszłaś z jego gabinetu.

Mary otworzyła usta.

– To niemożliwe...

– To prawda.

– Ale James nigdy mi niczego nie powiedział. Nie wyrzucił mnie z domu. Kochał cię i wychowywał jak swoją córkę. Dlaczego?

– Nie wiem, mamu, ale podejrzewam, że może to mieć coś wspólnego z tym, że cię kocha.

Mary potrząsnęła głową i posmutniała jeszcze bardziej.

– Nie James – powiedziała słabo. – James jest lekarzem. Nie skrzywdziłby muchy.

Laura przyklęła przy matce.

– Musimy go znaleźć – rzekła z naciskiem. – Musimy zadać mu kilka pytań, dowiedzieć się, co się naprawdę zdarzyło.

W tym momencie rozległ się potężny ryk silnika; obie jak na komendę odwróciły głowy. Laura podskoczyła do drzwi, uchyliła je. Samochód Glorii pędził drogą dojazdową. Skręciła na podjazd i przejechała po trawie, ale nie zawahała się i nie zwolniła. Zatrzymała się przed wejściem i wyskoczyła z wozu.

– Co, do diabła... – Laura zobaczyła wyraz twarzy siostry i natychmiast umilkła. Gloria patrzyła na nią szeroko otwartymi, nieprzytomnymi oczami. Nie była w stanie się opanować. W prawej ręce ścisnęła pamiętnik i białą kopertę.

– Był u ciebie Richard Corsel! – zawołała.

Serce podeszło Laurze do gardła. Zaginione pieniądze! Richardowi udało się wytropić zaginione pieniądze!

– I trzydziesty maja! – Gloria nie ściszyła głosu. – Coś strasznego zdarzyło się trzydziestego maja!



James wrócił do samochodu i szybko odjechał. Musiał przyznać Davidowi, że wymyślenie Marka Seidmana było genialnym posunięciem. Doskonale wiedział, że Judy się nie pomyliła, a David nie popełnił samobójstwa. Z pomocą swego przyjaciela gliniarza (sam nie dałby sobie rady, nie ma mowy) upozorował własną śmierć i przybrał nową tożsamość. Proste, a zarazem genialne.

Wyobrazził sobie scenę, która rozegrała się w Australii pół roku temu. Po spotkaniu z Mary w Pacific International David uświadomił sobie, że będzie musiał rozstać się z Laurą, porzucić ją dla jej własnego dobra. Ale nie mógł wyjaśnić powodów swego postępowania, by nie zranić jej jeszcze bardziej.

Nasuwa się jedno logiczne rozwiązanie problemu.

Zniknąć z powierzchni ziemi, oczywiście.

A jak zniknąć, nie rezygnując ze wszystkiego?

Przekazujesz pieniądze via Szwajcaria, aranżujesz wypadek, utonięcie, poddajesz się operacji plastycznej, przybierasz nową tożsamość.

Kto spodziewałby się czegoś takiego po zamożnym, popularnym, doskonałym koszykarzu, który właśnie ożenił się z najpiękniejszą kobietą na świecie? Po człowieku, który miał mieć wszystko?

Nikt. Nawet Mary, James i Judy.

Plan miał jedną poważną wadę, ale i ją można było obejść: niezwykle rzut z wyskoku Davida. Ktoś musiał go rozpoznać. Ale co z tego? Nawet jeśli styl gry Marka Seidmana będzie podobny do stylu gry Davida Baskina, czego to dowiedzie?

Kogo stać będzie na wyciągnięcie wniosku, że dwaj podobnie grający zawodnicy są w rzeczywistości tą samą osobą? Kto dysponuje taką wyobraźnią?

Prawdę mógł podejrzewać tylko ktoś znający przeszłość. David musiał wiedzieć, że istnieją dwie takie osoby: Mary i Judy. Sinclair nie żyje, a James Ayars zdaniem Davida nie wiedział o niczym. I tu się mylił.

Mary nie stanowiła zagrożenia. Po pierwsze, nie wiedziała nic o koszykówce. Ale nawet gdyby jakimś cudem doszła prawdy, nigdy nie powiedziała by nikomu ani słowa, tylko wdzięczna byłaby losowi za to, że David Baskin usunął się z życia Laury.

Inaczej wyglądała sprawa z Judy, kobietą inteligentną, a jednocześnie zagorzałym kibicem koszykówki. Ją stać było na to, by powiązać fakty i odkryć prawdę. Lecz gdzie tu zagrożenie? Jeśli nawet zorientuje się, co się stało, z pewnością będzie milczeć. W końcu David i Laura są rodzeństwem. David zrobił to, co zrobił, by ochronić Laurę przed tą rewelacją. Czy Judy zdecyduje się odwrócić bieg zdarzeń, wiedząc, że jej siostrzenicy przysporzy to wyłącznie cierpienie? Po co miałyby to robić?

James Ayars się uśmiechnął. Rzeczywiście, po co?

Tylko on wiedział, dlaczego Judy zdecydowała się ujawnić prawdziwą tożsamość Marka Seidmana. Podczas spotkania w Australii Mary nie opowiedziała Davidowi całej historii. Bynajmniej nie dlatego, że próbowała coś ukryć, po prostu, powiedziała wszystko, co sama wiedziała. Na nieszczęście dla nich obojga, nie wiedziała wszystkiego. Nie wiedziała o... trzydziestym maja 1960.

Dzień po śmierci Sinclaira Baskina. Mary nigdy nie dowiedziała się o tym, co zdarzyło się tego dnia wieczorem. Tajemnicę znały zaledwie dwie osoby. Tylko dwie osoby były świadkami tego, co się wówczas zdarzyło. Jedną z nich złożono niedawno do grobu. Druga miała właśnie popełnić swoje ostatnie morderstwo.

Trzydziesty maja 1960.

Kiedy Judy zorientowała się, że David żyje, zaczęła działać. To, że nie zginął, było dla niej ostatnią szansą na odkupienie i wyrwanie Laury ze szponów przeszłości. Dla Jamesa jednak oznaczało to ponowne zagrożenie dla rodziny. Wiedział, że przed jego żoną i córką Judy nie będzie niczego ukrywała, że zdradzi im tajemnice, które poprzysięgła zabrać z sobą do grobu. Jamesowi pozostało tylko jedno: dopomóc jej w dotrzymaniu słowa.

Zaprowadził ją do grobu.

Podpałił dom wraz z nią i tym jej cholernym pamiętnikiem. Sekrety przeszłości zmieniły się w popiół i dym. Ale i tu zakradł się błąd: płomienie ogarnęły też Laurę. Jednak to już nie był jego błąd. Wszystko zaczęło się od Mary. Mary nie powinna sypiać z Sinclairem. Wina leżała też po stronie Judy, bo powinna milczeć. Na szczęście dla nich obu Laurę wyniósł z pożaru jakiś tajemniczy mężczyzna.

Doktor Ayars dobrze wiedział kto.

Szkoda, że i on musi zginąć.

Przejechał Fenway, skręcił w Storow Drive. Od Boston Garden i spotkania z Davidem Baskinem dzieliło go pięć minut jazdy.



Gloria wbiegła po schodach ganku i wpadła do domu. Trzy kobiety wymieniły spojrzenia, każda zwróciła uwagę na bladość dwóch pozostałych i zastanawiała się, czy ona też wygląda jak własna maska pośmiertna.

Laura pierwsza przerwała milczenie.

– Co się zdarzyło trzydziestego maja?

Gloria pragnęła zwierzyć się siostrze, lecz pragnęła także zachować tajemnicę jeszcze przez kilka chwil.

– Pamiętnik wyjaśnia wszystko – odezwała się – ale może lepiej będzie, jeśli najpierw przeczytasz wiadomość od pana Corsela. Powiedział, że to pilne.

Na czoło Laury, mimo chłodu, wystąpił kroplisty pot. Koperta była zwykła, biała, z rodzaju tych, które można kupić w każdym sklepie papierniczym lub kiosku. Wzięła ją od Glorii, rozerwała i wyjęła z niej małą kartkę papieru, białego i jak koperta niewyróżniającego się niczym szczególnym. Richard Corsel wyjątkowo oszczędnie posługiwał się słowem, ale to akurat łatwo było zrozumieć: czasami im mniej się mówi, tym lepiej.

Proszę zniszczyć tę wiadomość, gdy tylko ją pani przeczyta.  
Zaginione fundusze pozostają w tej chwili pod kontrolą  
Marka Seidmana.

Pod Laurą ugięły się nogi. Gloria i Mary zareagowały szybko, chwyciły ją, doprowadziły do kanapy, pomogły jej usiąść.

– Czego się dowiedziałaś? – spytała ją siostra.

Laurze kręciło się w głowie, lecz jednocześnie przed jej oczami pojawiło się słabe światelko. Najpierw gotowa była przysiąc, że to tylko wytwór jej wyobraźni, przypadek pożądania pragnącego zmienić nadzieję w rzeczywistość. Czyste szaleństwo. Złudzenie, nic więcej. A jednak im dłużej się zastanawiała, tym więcej rozumiała: to, dlaczego T.C. ją okłamywał, dlaczego David zadzwonił do banku, dlaczego tak dziwnie czuła się w towarzystwie Marka Seidmana, dlaczego Mark bał się bliskości, dlaczego jego rzut z wysokości wydawał się taki znajomy, dlaczego T.C. pomógł mu uciec z przyjęcia, kiedy dopadł go...

– W porządku. Trzymam cię.

Słumiony krzyk.

– Trzymaj się, przyjacielu. Oprzyj się o mnie. Zaraz... za chwilę będziesz w domu.

– Nie... nie chcę jej widzieć, T.C. Nie chcę nawet się do niej zbliżyć.

Po twarzy Laury popłynęły łzy. Próbowwała jakoś pogodzić się z faktem, że oto stanęła twarzą w twarz z prawdą. Zaakceptować to.

– On żyje.

– Kto? – zdumiała się Gloria. – O czym ty mówisz?

Laura pokazała jej kartkę.

– Tu mamy dowód. Mark Seidman to David.

– Co?! – krzyknęła Mary.

Fragmenty układanki znajdowały właściwe miejsca już w trakcie wyjaśnień.

– David nie utonął. Nie popełnił samobójstwa. On tylko chciał, byśmy wszyscy wierzyli, że nie żyje. Chciał, żebyś myślała, że usunęłaś go z drogi, mamó, a mnie chciał obronić przed prawdą. Teraz wreszcie wszystko nabiera sensu. T.C. uczestniczył w tym od początku.

- A co z pierścieniem pod twoją poduszką? – spytała Gloria.
- T.C., nikt inny. Próbował mnie odstraszyć. Bał się, że dowiem się prawdy. Mówiąc te słowa, Laura już biegła do telefonu.
- Co chcesz zrobić? – spytała ją matka.
- Dzwonię do Clipa Arnsteina. Powie mi, gdzie mieszka Mark Seidman.
- Nie! – krzyknęła Mary. – Nie rozumiesz? To niczego nie zmienia. Nie możesz być z nim. Nadal jest twoim bratem.

Laura obróciła się i spojrzała na nią, jakby te słowa były liną zaciśniętą na jej gardle.

Gloria uciszyła je, podnosząc dłoń. Płakała po własnej stracie, lecz jednocześnie rozumiała, że dla Laury jest jeszcze nadzieja.

– Nie, nie jest – powiedziała.

Matka zmierzyła ją spojrzeniem.

– O czym ty mówisz?

– David nie jest twoim bratem – powtórzyła Gloria, wręczając siostrze pamiętnik. – Trzydziesty maja. Przeczytaj wpis w pamiętniku pod tą datą.



Zaledwie kilka przecznic... nic już nie mogło ocalić Davida.

James czuł, jak koszula lepi mu się do ciała. Nienawidził się pocić. W gabinecie zawsze miał kilka koszul na zapas, żeby w każdej chwili móc przebrać się w coś świeżego. Teraz też się przebierze, gdy tylko załatwi sprawę.

Nie był zawodowym zabójcą, ale do tej pory udawało mu się nie zostawiać śladów i przygotowywać całkiem przyzwoite alibi. Weźmy na przykład morderstwo Judy. Gdyby ktoś chciał wiedzieć, gdzie był James, gdy podpalano jej dom, doktor Eric Clarich chętnie zaświadczyłby, że pięć godzin drogi od miejsca zdarzenia, w Bostonie. Doktor Clarich zeznałby pod przysięgą, że pół godziny po wypadku dzwonił do Boston Memorial i rozmawiał z nim przez telefon.

Wniosek: doktor Ayars nie może mieć nic wspólnego ze sprawą. Nie ma sensu kopać głębiej.

A jak doktor Ayars załatwił tę sprawę? Jeśli popełniał morderstwo w Colgate, jakim cudem zdążył wrócić do Bostonu i tam czekał na telefon, którego się nie spodziewał? Nic prostszego. Nie wrócił. Po prostu włączył automatyczny system przekierowywania rozmów na numer budki telefonicznej znajdującej się niespełna pięć minut od szpitala St. Catherine's w Hamilton. Błyskotliwy pomysł, prawda? Po rozmowie musiał już tylko dojechać na lotnisko, poczekać parę godzin i wrócić do szpitala, udając zmęczenie pospieszną podróżą z Bostonu.

Ta część jego planu poszła gładko, przestraszył się dopiero na widok Mary. Omal nie wpadł w panikę. Tylko w jeden sposób mogła pojawić się tu tak szybko: chciała porozmawiać z siostrą i już wcześniej była w drodze. Czy dotarła na miejsce na czas? Czy Judy miała szansę powiedzieć jej coś przed śmiercią? Na szczęście odpowiedź na te pytania brzmiała „nie”. Jedno spojrzenie wystarczyło: żona nadal nie miała pojęcia, co wydarzyło się trzydziestego maja 1960 roku. Poza tym Judy chciała opowiedzieć

o wszystkim nie siostrze, lecz siostrzenicy.

Piii... piii... piii...

James Ayars sięgnął do paska i wyłączył pager. Cholera! Będzie musiał zadzwonić. Jeśli on nie zadzwoni, szpital zacznie wydzwaniać do niego, a tego lepiej byłoby uniknąć.

Boston Garden miał już w zasięgu wzroku. Parę minut nie ma większego znaczenia. Zjechał do krawężnika, wysiadł, podszedł do budki telefonicznej.



Słowa Glorii wstrząsnęły Laurą.

– Jak to, nie jest moim bratem?

– Trzydziesty maja – powtórzyła jej siostra. – Przeczytaj.

Laura wzięła pamiętnik od siostry. Podeszła do kanapy. Mary usiadła obok, zamierzając czytać jej przez ramię.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznała.

Gloria przełknęła z wysiłkiem.

– Po prostu czytaj.

Laura otworzyła książeczkę. Przez chwilę przerzucała kartki, nim znalazła właściwe miejsce.

30 maja 1960

*Ten koszmar nigdy się nie skończy. Utkalam się i teraz sama w nią wpadłam. Plan Jamesa jest szalony, ale też bardzo pomysłowy. Wykorzystuje talent Mary do uwodzenia mężczyzn, a ze mnie czyni współniczkę.*

*– Też jesteś w to wplątana – powiedział mi głosem, w którym brzmiało okrucieństwo. – Powiem wszystkim, że pomogłaś mi zabić Sinclaira Baskina.*

*– Zaprzeczę. To będzie twoje słowo przeciw mojemu.*

*Jego uśmiech był taki diaboliczny, taki zły.*

*– Czasami bywasz strasznie głupia – prychnął. – Jak sądzisz, komu uwierzy ława przysięgłych? Zazdrosnej dziwce śpiącej z żonatym mężczyzną i zdradzającej własną siostrę czy też skrzywdzonemu doktorowi, prawdziwemu filarowi społeczności?*

*Nic nie powiedziałam. Byłam zbyt przestraszona.*

*– Pomóżesz mi, ponieważ kiedy to zrobisz, nasze sekrety i nasz los będą związane z sobą na zawsze. Żadne z nas nie będzie mogło ujawnić cudzych grzechów, nie wydając jednocześnie wyroku na samego siebie. Po tym, co zrobimy dzisiaj, życie potoczy się dalej, jakby nic się nie stało. Już nigdy nie będziemy o tym rozmawiali.*

*– Nie rozumiesz, że to, co robisz, jest złe?*

*Spoważniał.*

*– Wiem, że jest to złe. Zabić Sinclaira Baskina... cóż, można to uznać za akt sprawiedliwości. Teraz sytuacja nie jest już taka oczywista.*

*– Więc nie rób tego – poprosiłam. – Zapomnij o tym szalonym zamiarze. Zapomnij o wszystkim. Nic nikomu nie powiem, obiecuję.*

*– Nie! – odparł James stanowczo. – Nie mogę zapomnieć i żyć jak gdyby nigdy nic. Muszę naprawić to, co poszło nie tak, nawet jeśli oznacza to śmierć niewinnego. Nie rozumiesz? Mary się z tym pogodzi, choćby nieświadomie. Sinclair ją rzucił, z pewnością nie zamierza powiedzieć mi prawdy, więc jakie ma inne wyjście?*

*– Nie ma innego wyjścia – przyznałam. – Będzie musiała udawać, że dziecko jest twoje.*

*– Właśnie. – James się uśmiechnął. – Sprawimy, że jej życzenie stanie się prawdą.*

*W domu był ciemno. Z radia w salonie dobiegał mnie dźwięk znajomej piosenki, ale nie pamiętałam jej tytułu. Przeszliśmy z Jamesem korytarzem, mijając pokój małej Glorii. Szliśmy cicho. Moja siostrzenica jest taką słodką, taką słiczną dziewczynką. Nie wiem, jakie wydarzenia tej nocy pozostaną jej w pamięci. Mam nadzieję, że niczego nie zapamięta.*

*– Jesteś pewien, że Mary straciła przytomność? – spytałam szeptem już pod drzwiami ich sypialni.*

– Dalem jej środki, które uspiłyby konia. Do rana nic nie poczuje, a rano dostanie nową porcję. Otworzył drzwi. Słabe światło z holu padło na ciało mojej śpiącej siostry. Nie poruszyła się.

– No już – ponaglił mnie James. – Bierzmy się do roboty.

– Proszę, James, przemyśl to raz jeszcze.

Chwycił mnie za ramię.

– Bierzmy się do roboty!

Pociągnął mnie za sobą, zamknął drzwi. Włączył światło. Mary ani drgnęła.

– A nie mówiłem? – Uśmiechnął się. – Nic nie widzi, nic nie słyszy, ohydna kurwa.

– Więc czemu ciągle z nią jesteś?

Spojrzał na mnie trochę jak ksiądz zapytany, dlaczego wierzy w Boga, choć na świecie jest tyle okrucieństwa.

– Ponieważ ją kocham – odpowiedział i chyba go zrozumiałam.

Otworzył torbę lekarską. Wyjął z niej jeden z tych metalowych instrumentów.

– Zabrałem to ze szpitala. Wygląda groźnie, prawda?

Skinęłam głowę. Było mi tak strasznie zimno. Cofnęłam się, oparłam plecami o ścianę. Twarz Jamesa zmieniła się, jakby założył maskę. Znowu był lekarzem. Zabrał się do pracy. Pocięła krew, a ja omal nie zwymiotowałam. Zamknęłam oczy, ale cały czas słyszałam ten zgrzyt. Miałam nadzieję, że się pospieszy. Miałam nadzieję, że szybko skończy.

Mijał czas i ten dźwięk wreszcie ucichł. Oto kres kolejnego życia.

– Sprzątnij ten bałagan – polecił mi. – I pospiesz się.

– Muszę?

– Musisz. Szybko.

Zdążyłam zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy otworzyły się drzwi. Odwróciłam się w chwili, gdy na progu stanęła Gloria. Strach rozszerzył jej oczy.

– Mamusiu! Mamusiu! – krzyknęła, wpatrzona w kałużę krwi między nogami matki.

– Wyjdź stąd, Glorio! – krzyknął James. – Wyjdź stąd natychmiast!

Gloria się nie poruszyła. Zamarła w czymś, co można chyba nazwać transem. Chwyciłam ją za ramię i wyprowadziłam z pokoju, z dala od krwi...

Laura nie mogła przestać się trząść, jej matka też.

– To prawda – powiedziała Gloria. – Każde słowo cioci jest prawdą. Koszmar, którego nie potrafiłam zapamiętać... to właśnie to. Powrócił do mnie, gdy tylko przeczytałam ten wpis. Widzę krew. Widzę leżące na łóżku ciało mamy. Widzę skrzywioną twarz taty. I pamiętam nawet skuloną w kącie Judy.

– Przeprowadził aborcję – wykrztusiła zaledwie słyszalnie Laura. Jej siostra skinęła głową.

Laura przyglądała się Mary drżącej niczym w ataku gorączki. Kawałki układanki trafiały na swoje miejsce.

– Obrócił wszystkie twoje sztuczki przeciwko tobie – powiedziała. – W końcu to ty myliłaś się co do tożsamości prawdziwego ojca, nie on. To ty go uwodziłaś, żeby w końcu obdarzył cię dzieckiem. To ty tak się cieszyłaś, że potrafisz oszukać tatę, iż nawet moje „późne narodziny” uznałaś za swoje szczęście.

– A moja trudna ciąża?

Młodsza córka skinęła głową.

– Zapewne to też. Trzymał cię na lekach, żebyś się nie domyśliła, o co chodzi. Sama mi mówiłaś, że czułaś się fatalnie, ale bałaś się iść do lekarza. Mówiłaś, że uznałaś to za zbyt niebezpieczne, bo tata mógłby się czegoś domyślić. Zyskał czas, którego potrzebował. Spałaś z nim, spałaś i spałaś, żeby go oszukać, wzbudzić przekonanie, że jest ojcem, podczas gdy jemu chodziło właśnie o to, żebyś zaszła w ciążę.

Gloria przysunęła się do nich.

– Macie też odpowiedź na pytanie, dlaczego Judy czekała tak długo, nim zdecydowała się mówić. Kiedy zginął David, nie było powodu, by zdradzać ci prawdę. Nie żył i to wystarczyło. Ale kiedy w Boston Garden zobaczyła Marka Seidmana, zrozumiała, że patrzy na Davida. Że David żyje. Zrozumiała, że nie jest jeszcze za późno, by znów was połączyć.

– Boże! – wyszeptała Mary. – Więc on nie jest twoim bratem.

Laura pokręciła głową.

– Więc rewolwer.

– Jaki rewolwer? Mamo, o czym ty mówisz?

– Wtedy wcale się nad tym nie zastanawiałam. Pomyślałam, że wezwali go do szpitala, że potrzebuje rewolweru dla ochrony...

– Jakiego znowu rewolweru?! – krzyknęła Laura. – Mów!

Matka spojrzała jej w oczy.

– Widziałam, jak twój ojciec wychodzi. Wcześniej. W rękę trzymał rewolwer.

Laura podbiegła do telefonu. Zapadła cisza, Mary i Gloria pograżyły się w myślach. Laura szybko wybrała numer. Słuchawkę podniesiono zaraz po pierwszym sygnale.

– Halo? – powiedział męski głos.

– Clip?

– O, cześć, Lauro – przywitał ją wiekowy prezes Celtów.

– Jak się masz?

– Dobrze, dziękuję.

– Przykro mi z powodu twojej cici. Straszna tragedia. Cały ten rok...

– Clip, trochę się spieszę – przerwała mu. – Muszę porozmawiać z Markiem Seidmanem. Natychmiast. Masz jego numer telefonu?

– Seidman? Dlaczego chcesz z nim rozmawiać?

– Proszę – powiedziała Laura błagalnie. – To bardzo ważne.

– No cóż... jeśli naprawdę zależy ci na czasie, zawsze możesz pojechać do Garden. Zazwyczaj wpada tam rano, żeby porzucić... zupełnie jak David....

Laura przestała go słuchać. Już biegła do samochodu.



– Odłączcie kroplówkę i monitorujcie najważniejsze funkcje – warknął James do słuchawki autorytatywnie.

– Tak, panie doktorze.

– Powiedźcie doktorowi Kingfieldowi, żeby się nim zajął. Przyjadę za parę godzin.

– Tak, panie doktorze.

James wyrzwał z budki. Boston Garden był już tak blisko. Sto metrów jazdy samochodem, nie więcej.

– Coś jeszcze? – rzucił do słuchawki.

– Nie, panie doktorze.

– Doskonale. Skontaktuję się z wami wkrótce.

Nie czekając na sakramentalne: „Tak, panie doktorze”, James Ayars odwiesił słuchawkę i wrócił do samochodu. Nie było mu łatwo. Zaczynał się niepokoić.



Silnik zapalił od razu. Doktor spojrział w lusterko wsteczne i włączył się do ruchu. Minutę później już zjeżdżał na parking przy Boston Garden. Mocno naruszona zębem czasu hala wymagała tylu napraw, że nie sposób wręcz było powiedzieć, od czego powinno się zacząć, ale był też w niej pewien majestat. Spojrział na nią z szacunkiem, zdumieniem i obawą, ale czy wynikały z otaczającej konstrukcję aury, czy z historii, którą promieniowała, tego nie wiedział.

Zaparkował blisko bocznego wejścia, którego kiedyś zawsze używał David. Rzut oka przez okno upewnił go, że o tak wczesnej porze w hali nie było nikogo postronnego.

Pusto. Idealna sytuacja.

James wyjął rewolwer z kieszeni. Odchylił bębenek. Nabity i gotowy do strzału. Broń, z której wczoraj wieczorem zabił Stana, spoczywała bezpiecznie na dnie rzeki. Teraz miał nową, tak jak tamta nie do wytropienia.

Rewolwer zniknął w kieszeni. Doktor Ayars wysiadł z samochodu.

Podszedł do budynku, jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Tak jak się spodziewał, nie zobaczył nikogo. Napał na drzwi; otworzyły się powoli, cicho. Wszedł do hali. Skrzydło drzwi zaczęło się za nim zamykać. James obejrzał się i zorientował, że za chwilę mogą trzasnąć. Przytrzymał je i zmniejszył siłę uderzenia. Drzwi nie huknęły, ale nie zamknęły się też bez dźwięku.

James Ayars znalazł się w mrocznej jaskini dolnego poziomu Boston Garden. Odwrócił się. Można stąd było dojść korytarzem na słynny koszykarski parkiet. Z daleka dobiegł go niedający się z niczym pomylić niski stukot. Ktoś był na parkiecie i kozłował piłkę.

David ćwiczył rzuty osobiste. W czasie meczu pudłował bardzo rzadko, jego średnia wynosiła dziewięćdziesiąt dwa procent i była najwyższa w lidze. Chybie nie rzutu osobistego zawsze uważał za błąd niewybaczalny. Punkty można było dostać za darmo. Nikt ci nie pchał palców w oczy, nie wypychał cię ciałem i nie próbował wybić piłki z ręki. Żeby trafiać, trzeba było jednak ćwiczyć. Osobiste rozstrzygały tyle meczów, tyle wyników decydowało się na białej linii.

Rzucił dwanaście razy po kolei i usłyszał jakiś dźwięk. Ktoś wszedł do hali bocznymi drzwiami. David chwycił piłkę, przebiegł, kozłując, przez boisko pod drugi kosz. Po jego ciele spływał pot, włosy, kręcone i jasne, a nie kasztanowate jak niegdyś, lepiły się do czaszki.

Stuknęły drzwi, ale nie słyszał kroków. Dziwne. Bez wątpienia słyszał zamykające się drzwi, dźwięk był bardzo charakterystyczny. Niewielu ludzi wiedziało, że gdy trenował rano, nigdy ich nie zamykał. Wiedzieli koledzy z drużyny, Clip i zespół trenerski, T.C., Laura, Gloria, James. I na tym chyba koniec.

Więc... kto wszedł do hali?

Podszedł ostro do kosza, wykonał obrót, przeciągnięty dwutakt, rzucił z drugiej strony; to była jego ulubiona taktyka, gdy krył go znacznie wyższy przeciwnik. Wyskakiwał w powietrze, używał obręczy jako ochrony przed dłońmi kryjącego, rzucał za siebie, o tablicę. Murowane dwa punkty, możliwe trzy, jeśli został przy tym sfaulowany.

Od kiedy został Markiem Seidmanem, cztery razy w tygodniu chodził na siłownię. Ćwiczenia te miały widoczny wpływ na jego ciało. Mark był szczuplejszy od Davida, ale bardziej muskularny. David stwierdził, że poprawiają także jego szybkość, zwrotność oraz do pewnego stopnia skoczność.

Nadał cicho. Jakby nikt nie wchodził rampą wejściową.

David wruszył ramionami. Może to wiatr szarpnął metalowe drzwi? Może jeden z chłopców robił pranie w szatni? Wszystko jedno.

Już po kilku sekundach David całkiem o tym zapomniał. Skoncentrował się na rzutach za trzy punkty, ale przed jego oczami pojawiły się obrazy inne niż kosz.



Gloria zjechała z Interstate 93 na drogę wyjazdową. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się przez przednią szybę w ciągnącą się przed nią jezdnię. Mocniej przycisnęła pedał gazu, samochód przyspieszył wyraźnie.

Siedząca na miejscu pasażera Laura trzymała na kolanach pamiętnik. Czytała jego

fragmenty, czytała i czytała, ale potrafiła myśleć tylko o jednym i ta myśl odsuwała gdzieś w cień rosnące przerażenie.

David. David żyje.

Spojrzała na siostrę.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Tata zamordował Stana. Zamordował mężczyznę, którego kochałam.

– Wiem – powiedziała cicho.

– Jak... jak on mógł?

– Czytałaś pamiętnik. – Laura powiedziała te słowa niemal niesłyszalnym szeptem.

– To chory człowiek. Nie panuje nad sobą.

– Przeczytałaś wpis z czerwca? – spytała Gloria.

– Prawie wszystkie.

– Więc wiesz, co zrobił. Podawał mamie lekarstwa, po których nie wiedziała, co się dzieje i co z nią wyczynia. I spał z nią, póki znowu nie zaszła w ciążę, tylko tym razem dziecko było jego, nie Sinclaira.

– A Judy nic nie powiedziała – uzupełniła Laura.

– Panicznie bała się tego, co mogło nastąpić, gdyby prawda wyszła na jaw.

Skreśliły w prawo. Cel był już niedaleko.

– I wszyscy trzymali to w tajemnicy przez tyle lat. Udawali, że nic się nie stało.

– Nie sądzę, żeby to było takie proste – powiedziała Laura. – Wątpię, czy przeżyli choćby jeden dzień, nie pamiętając o tym, co się zdarzyło w maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku.

Gloria mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

– Ja po prostu nie mogę w to uwierzyć. No bo co aż tak skrzywiło psychicznie tatę?

– Nie wiem – przyznała Laura. – Może obsesja na tle mamy, na tle całej idei rodziny.

– Jak może udawać, że tak bardzo nas kocha, a jednocześnie być zabójcą?

– On nie udaje – poprawiła Głorię młodsza siostra.

– A przynajmniej tak sądzę. Kocha nas, może nawet za mocno. To on zawsze brał na siebie odpowiedzialność, chronił swoje dziewczynki i nigdy nie poprosił o pomoc. Kiedy pojawiał się problem, mamie nie chciało się nawet kiwnąć palcem. Siedziała z boku i czekała na rozwój wydarzeń. Niech się tata martwi. Bez wątpienia gdzieś głęboko w sercu on jest całkowicie pewien, że wszystko robił dla dobra rodziny.

– Tyle lat... a my nic nie wiedziałyśmy.

Laura skinęła głową. Próbowwała dalej czytać pamiętnik w nadziei, że odwróci to jej uwagę od tego, co może się niedługo zdarzyć, ale nie było w tym krzty sensu. Oczekiwanie było jak drażnienie obnażonych nerwów. Tyle czasu minęło, a David żył. Wkrótce go zobaczy, przytuli się do niego, powie, że nie było im pisane żyć z dala od siebie.

Jeszcze tylko kilka minut.



James szedł powoli ciemnym korytarzem. Minał pokój dla prasy, przeszedł obok

pustych w tej chwili dystrybutorów wody i szatni gości. Po lewej zobaczył wielki kontener na śmieci, wypełniony papierowymi kubkami i programami. U wylotu korytarza nie dostrzegł nikogo.

Wszystko szło dobrze, póki Mary nie zorientowała się, że David Baskin jest przecież synem Sinclaira. Wówczas spanikowała. Zaczęła się miotać, przebudziła drzemiącą przeszłość. Maskę kryjącą wszystkie jego kłamstwa – pożyteczne kłamstwa – zaczęła pękać. Próbował uspokajać żonę, ale jak mógł bronić związku Laury i Davida, nie zdradzając, do czego go zmusiła przed laty? Fundament, na którym wspierał się gmach jego rodziny, rozleciałby się, pozostawiając wyłącznie ruiny. Rodzina, jak życie, jest konstrukcją kruchą. Jedną i drugą spaja cienka tkanka. Jeśli zbyt ją rozciągnąć...

Zrobił kilka kroków przed siebie. Widział już rampę wejściową. Gracze biegli tym właśnie korytarzem i tą właśnie rampą wbiegali do sali, gdy witał ich głośny aplauz lub gwizdy.

Płóły lampy nad parkietem. Stukot kozłowanej piłki stawał się coraz głośniejszy.

James był tu zaledwie kilka dni temu, na meczu otwarcia nowego sezonu. Cieszył się wówczas nadzieją, więcej, pewnością, że najgorsze ma już za sobą. Jakże się mylił. Właśnie ta wizyta w Garden, ten przeklęty pierwszy mecz sezonu, odwinęła z motka nici kłamstw, do czego nie doszłoby przecież przy żadnej innej okazji. Judy była tylko jednym końcem postrzępionych nici, którym należało zająć się natychmiast.

Innym był Stan Baskin.

Stan rozpoznał Jamesa na meczu. Wiedział, że to James zabił jego ojca, ale zamiast szukać zemsty, postanowił zarobić na tej informacji, zabawić się w szantaż. Obrzydliwe. Co człowiek taki jak on może wiedzieć o rodzinie? Dla Jamesa natychmiast stało się jasne, że płacenie temu szantażyście nie ma najmniejszego sensu. Komuś, kto da się kupić mordercy ojca, nie można ufać. Nie będzie milczał, nawet jeśli obieca. Poza tym łobuz był w bliskim związku z jego starszą córką. James uznał, że nie może pozwolić, by Gloria się w nim zakochała. Można więc powiedzieć, że nie miał wyboru. Istniało tylko jedno wyjście z sytuacji, prawda?

Uciszyć Stana na zawsze.

Zaledwie kilka metrów dzieliło go od wejścia na boisko. Nadszedł czas. Nie ma już mowy o przycinaniu chwastów, by ogród dobrze wyglądał, musi sięgnąć głębiej, wyrwać zło z korzeniami. Zniszczyć je raz na zawsze, jednym zamaszystym ruchem. I znów wszyscy będą bezpieczni.

W drastycznych sytuacjach trzeba postępować drastycznie. Nie zniechęci się tym, że musi zrobić rzecz bardzo nieprzyjemną. Sprawy osobiste należy odłożyć na bok.

Ostatnie morderstwo.

Przyłgnął plecami do ściany, pochylił, wyjrzał ostrożnie. David ćwiczył z piłką pośrodku parkietu. Stał nieruchomo, kozłując to prawą, to lewą ręką, posyłając piłkę z jednej do drugiej między nogami.

– To dobry sposób ćwiczenia koordynacji ręka – oko, doktorze Ayars.

– Proszę, mów mi James.

Zamknął oczy, odepchnął od siebie wspomnienia, a potem zaryzykował kolejne spojrzenie. David stał plecami do niego. Odsunął się od ściany, przebiegł szybko za rząd siedzeń przy dłuższym boku boiska. David go nie słyszał, nadal ćwiczył ósemki, ale dwoma piłkami poruszającymi się w przeciwnych kierunkach. Doktor wyjrzał zza siedzeń ostrożnie, jak żołnierz z okopu. Baskin wpatrywał się w kosz, nie spuszczać wzroku na piłki, wędrujące z ręki do ręki tak szybko, że były jak pomarańczowe smugi. Zachowywały się jak doskonale ułożone zwierzątka, wykonujące każdy rozkaz swego pana.

- Jak ty to robisz, Davidzie? Jak możesz kozłować tak szybko, nie patrząc?
- Ćwiczę.
- Nigdy nie patrzysz na piłkę?
- Nigdy. Trzeba patrzeć na tak wiele innych rzeczy.

James był już wystarczająco blisko, dzieliło ich zaledwie dziesięć metrów, nie więcej. Nie spuszcza z tej odległości. Sięgnął do kieszeni, zacisnął dłoń na kolbie rewolweru. I znów uderzyła go myśl, że dobrze się czuje, trzymając broń.

Nadszedł właściwy czas. Do oczu napłynęły mu łzy. Nie teraz, teraz musi ocalić córkę, ocalić rodzinę. Skończyć z tą sprawą raz na zawsze.

Wymierzył...



Gloria skręciła na opuszczony parking North Station Garden. Musiały objechać budynek, by znaleźć się w strefie A, gdzie było boczne wejście, a gdy już tam dojechały, Laura niemal krzyknęła. Niewidzialna obręcz zacisnęła się na jej klatce piersiowej tak mocno, że nie mogła oddychać.

– Nie – szepnęła. – Neeee...!

Wyskoczyła z samochodu, nim zdążył się zatrzymać. Podbiegła do metalowych drzwi, mijając po drodze aż za dobrze jej znany samochód.

Samochód ojca.



James czuł, jak drży mu ręka, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Cel znajdował się w jego zasięgu. Pozostało mu tylko nacisnąć spust i pokój znów zagości w jego rodzinie. Przeszłość, wreszcie pokonana, nie odbierze już życia nikomu. Nie powstanie, by szkodzić.

Palcem odciągnął kurek.

I wtedy usłyszał, jak otwierają się drzwi.

Ciężkie metalowe drzwi uderzyły o ścianę z hukiem, który, odbijając się echem od ścian korytarza, dotarł na boisko. David odwrócił się błyskawicznie i na widok Jamesa zamarł.

– Tatusiu! – krzyknął głos dobiegający z dużej odległości. Głos Laury. Słuchać było, jak biegnie ku nim obu.

Czas uciekał. Trzeba się pośpieszyć. Miał zadanie do wykonania i wykona je, choćby w obecności córki. W końcu to, co robił, robił właśnie dla niej.

Wymierzył broń po raz kolejny.

David patrzył mu w oczy. Powiedział jedno słowo: „Nie”.

James zignorował go. Palec nacisnął spust.

Rozległ się huk strzału.



Laura go usłyszała.

– Nieee...! – krzyknęła.

Pobiegła korytarzem, skręciła, ile sił w nogach pędziła rampą wejściową. Z daleka dobiegł ją odgłos szybkich kroków. Ktoś uciekał.

Och proszę, błagam, błagam... tylko nie znów. nie pozwól, Boże, bym straciła go drugi raz.

Wybiegła na boisko przez bramę, którą szczęśliwy David przekraczał tyle razy. Była przerażona.

– Nieee...

Krew. Krew na parkiecie.

Pobiegła śladem czerwieni, ciekącej strugą po klepkach parkietu. Jej świat, już naruszony, zaczął się rozpadać na okruchy tak drobne, że niemal nieistniejące. Spojrzała pod nogi, zobaczyła nieruchome ciało. Głowa spoczywała w ciemnej, krwawej kałuży.

Zaczęła krzyczeć.

## Epilog

Laura prowadziła. Była w samochodzie sama; wprawdzie Gloria i Serita zgłosiły się do towarzystwa, obiecały, że poczekają w samochodzie, ale się nie zgodziła. Nie potrzebowała pomocy.

Skreśliła w prawo, na znajomy parking. Ubrana była konserwatywnie, w ciemny kostium Svengali. Zaczesane do tyłu włosy podkreślały kształt kości policzkowych. Jak zwykle prawie się nie umalowała. Jak zwykle jej uroda zapierała dech w piersiach.

Objechała rozpadający się Boston Garden. O tej porze parking był pusty, a słońce dopiero zaczęło rzucać na beton słabe jeszcze światło. Spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma rano. Droga zajęła jej może piętnaście minut, ale w jej świecie minuty zrobiły się nagle długie, bardzo długie.

Zaparkowała niedaleko miejsca, gdzie zaledwie dwa dni temu stał samochód jej ojca. Dwa dni temu. W innym życiu.

Otworzyła drzwiczki, wysiadła. Tak, pomyślała, wreszcie nadeszła właściwa chwila. Przeszłość dokonała zemsty. Zabiła niewinnych, ukarała winnych, ale wszystko wreszcie się skończyło. Minęło wiele czasu, nim poddała się teraźniejszości i przyszłości.

Podeszła do bocznego wejścia, otworzyła ciężkie drzwi, ruszyła korytarzem. Podobnie jak dwa dni temu i dziś było tu ciemno. Podobnie jak dwa dni temu i dziś słychać było dobiegający z pewnej odległości stukot kozłowanej piłki.

Laura szła przed siebie nie za szybko i nie za wolno. Nogi miała zdrętwiałe, lecz jej serce biło bardzo szybko. A także tak mocno, że jego bicie można było chyba zobaczyć gołym okiem.

Dotarła wreszcie do rampy wejściowej. Zatrzymała się, odetchnęła głęboko. Drżała. Wyszła na boisko.

Trenujący o tej ranej porze zawodnik kozłował i rzucał. Jeszcze jej nie zauważył.

Przez kilka chwil Laura nie potrafiła znaleźć głosu, ale w końcu zawołała:

– Cześć!

Na dźwięk jej głosu Mark Seidman znieruchomiał; piłka potoczyła się powoli po parkiecie. Odwrócił się ku niej powoli, z wahaniem, jakby bał się, że świadectwo oczu potwierdzi to, co przed chwilą usłyszały uszy, a kiedy zobaczył ją stojącą w wejściu, natychmiast odwrócił wzrok. Pobiegł w stronę kosza, podniósł piłkę.

– Cześć – powiedział cicho.

Laura zrobiła kilka kroków przed siebie, zajęła miejsce w jednej z łóż.

– Mogę przez kilka minut popatrzeć, jak rzucasz?

Mark wzruszył ramionami.

– Właściwie to tu nie powinien przebywać nikt obcy.

– Nie zabiorę ci wiele czasu.

Popatrzył na zegar na tablicy wyników. Pilnował się, by nie spojrzeć w jej kierunku.

– Naprawdę, muszę już lecieć.

– Zaczekaj. Nie idź jeszcze. Chciałabym popatrzeć, jak rzucasz.

Mark wolał patrzeć na piłkę niż na gościa.

– W porządku – powiedział po chwili zastanowienia – ale nie mogę zostać wiele dłużej.

Zaczął rzucać, pudłując częściej, niż mu się to zdarzyło od czasu, kiedy miał osiem lat. Ręce mu drżały, sztywne palce nie chciały podkręcać piłki. Czy ośmieli się do niej przemówić? Czy ośmieli się w ogóle spojrzeć w jej kierunku?

Sporo czasu minęło, nim powiedział:

– Przykro mi z powodu twojego ojca.

– Dziękuję. Mój ojciec był człowiekiem niezrównoważonym, który w końcu zdecydował, że może ochronić rodzinę, popełniając samobójstwo. – Laura przełknęła ślinę, gardło miała zaciśnięte.

– Nic już nie zdoła go skrzywdzić. Myślę, że znalazł spokój.

Seidman milczał.

– Mark... mogę ci zadać pytanie?

Odkoźlował piłkę z dala od jej głosu.

– Tak.

– Co wiesz o śmierci mojego męża?

Wzruszył ramionami.

– Tyle, co przeczytałem w gazetach. Pływał w niebezpiecznych wodach i utonął.

Laura pochyliła się ku niemu. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie całkiem. On tylko chciał, żeby wszyscy tak myśleli.

Mark koźlował, wpatrzony w parkiet.

– To się zdarzyło w Australii. Polecieliśmy tam w podróż poślubną. Kochaliśmy się, byliśmy tacy szczęśliwi. Wydawało się, że świat został stworzony specjalnie dla nas. Potrafił mnie rozbawić, aż śmiałam się głośno. Potrafił doprowadzić mnie do łez.

– Umilkła na chwilę. – Potrafił sprawić, że czułam, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Mark Seidman odwrócił się do niej plecami.

– Nie rozumiem, dlaczego mówisz mi to wszystko.

Zignorowała go.

– David odwiedził przed śmiercią moją matkę. Pojechał do hotelu niedaleko miejsca, gdzie się zatrzymaliśmy.

Mark drżał, ale nadal się nie odwracał.

– Opowiedziała mu o różnych sprawach. To go wyprowadziło z równowagi.

– Nie rozumiem, dlaczego...

– Myliła się.

Ciało Seidmana skrzywiło się jak w ataku bólu. Podniósł rękę, wytarł oczy, ale nadal stał tyłem do Laury, nie pokazywał jej twarzy. Koźlował w miejscu, machinalnie.



– W czym się myliła?

Noga Laury zaczęła podskakiwać. Zalała ją fala uczuć, oddychała z trudem. Powiedziała szybko:

– Miała romans z twoim ojcem, to była ta prawdziwa część, i rzeczywiście, zaszła w ciążę...

– Nie wiem, o czym...

– ...ale pozbyła się dziecka. Aborcja.

Mark przestał kozłować. Zakrył dłonią usta, jakby chciał powstrzymać krzyk.

– Co? – wykrztusił.

Laura podeszła do niego, choć nadal się nie odwracał.

– Nie jesteśmy rodzeństwem.

Teraz wreszcie się odwrócił. Oczy miał szeroko otwarte, a na jego ściągniętej twarzy malowało się zdumienie.

– Ale... – Tyle czasu, tyle cierpień! – Nie jesteśmy rodzeństwem? Bratem i siostrą?

– Nie, Davidzie. Nie urodziła tamtego dziecka. Nie jestem twoją siostrą.

Mark patrzył na nią i jego oczy wypełniły się łzami.

– Jak...? – Umilkł. Miał wrażenie, że jego mózg rozpada się na części. Rzeczywistość wymknęła się spod kontroli. Próbował uspokoić się, zrozumieć to, co właśnie usłyszał. – Proszę – rzekł cicho. – Proszę, powiedz mi, że to nie sen.

Laura pokręciła głową. Nie wstydziła się łez płynących jej po policzkach.

– To nie jest sen, Davidzie. Przysięgam ci, że to nie sen.

Przyglądał się jej, a w jego oczach zaświtała nadzieja. Laura podbiegła, rzuciła mu się w ramiona, objęła go mocno. David tulił ją z zamkniętymi oczami. Tyle strasznych dni, tyle przelanych łez, ileż to razy marzył, że znów ma ją przy boku...

– Nigdy więcej mnie nie opuścisz – powiedziała cicho.

– Nigdy – wykrztusił z trudem. – Obiecuję.

Trwali tak, wtuleni w siebie, a żadne nie chciało rozluźnić uścisku ze strachu, że to drugie, ukochane, wyslizgnie mu się z ramion i zniknie na zawsze. Trwało to długo, a przeszłość zniknęła z ich życia, rozpoczął się proces leczenia ran.

Wreszcie David uśmiechnął się przez łzy.

– Nadal chcesz mieć dzieci?

Laura się roześmiała.

– A co z królikami?

– Królikami? Ach, oczywiście, możemy mieć i dzieci, i króliki.

Skinęła głową.

– Ale najpierw to, co najważniejsze. Skąd wzięłeś te okropne blond loczki?

– Nie podobają ci się?

– Wyglądasz jak któryś z bohaterów *Godspell*. Musimy je zmienić.

– Kiedy już się do nich przyzwyczaiłem.

– Założę się, że to T.C. ci je wybrał. Kompletny brak gustu.

I ta buźka. Wiesz, że nienawidzę ślicznych chłopców.

David zamknął jej usta pocałunkiem.

– To się nie zmieniło. Istnieje tylko jeden sposób, żeby cię zmusić do milczenia.

– To na co pan czeka, panie Baskin? Niech pan mnie zmusza!

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Wstęp](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

32

Epilog

Spis treści